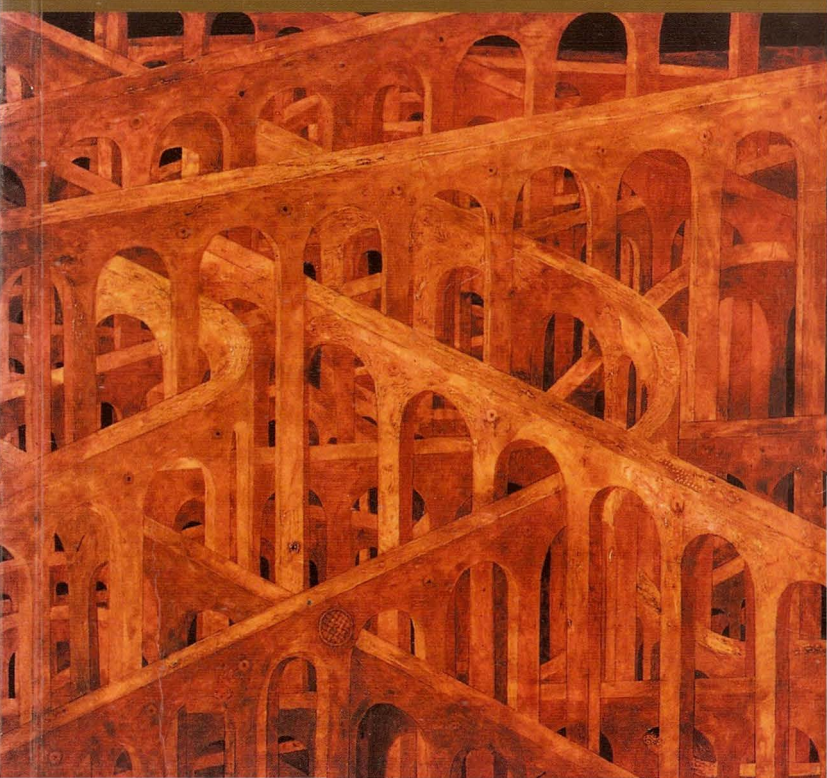




INNA EUROPA INNA LITERATURA

Eginald Schlattner

CZERWONE RĘKAWICZKI



Eginald Schlattner

CZERWONE RĘKAWICZKI

Przełożyła

Alicja Rosenau

wydawnictwo  czarne

Wołowiec 2004

*Susannie Dorothei Ohnweiler, która, wtedy osiemnastoletnia,
miała w sobie tyle odwagi i miłości, by mimo wszystko
zostać moją żoną*

*Chciałbym wyrazić wdzięczność Pani Brigitte Hilzensauer,
która również przy tej książce
towarzyszyła mi na niełatwym terenie*

Eginald Schlattner
Rothberg/Siedmiogród, jesień 2000

Pod światło

1

Wielki czas — zaczął się, a ja nawet tego nie zauważyłem.

Jakaś ręka wpycha mnie do pomieszczenia, którego nie widzę. — *Stai! Stać!* — Ktoś zdejmuje mi z oczu blaszane okulary. Zaraz potem za moimi plecami z hukiem zatraskują się drzwi. Stoję bez ruchu. Podróż do niewidzialnego osiągnęła swój cel.

Po godzinach ciemności moje oczy zaczynają rozróżniać to, co mnie otacza. Pomieszczenie jest ciasne. Gdyby wyciągnąć ręce, można by dotknąć ścian. W rogu stoi blaszane wiadro bez pokrywy. Odlewam się bez końca, aż wartownik zaczyna pokrzykiwać: — *Ho! Ho!* — W śmierzdzącej cieczy huśta się mysz.

Noc. Panuje śmiertelna cisza. Ze ściany na wysokości piersi sterczy płyta stolika. Pod nią znajduje się grzejnik. Okienko pod sufitem jest na kilka sposobów zabarykadowane: krata, zbrojone szkło, siedem żelaznych sztab. Nad drzwiami żarzy się słaba żarówka osłonięta drucianą siatką. Dwa metalowe łóżka, po lewej i prawej. Badam wąskie przejście między łózkami: trzy i pół kroku w jedną, trzy w drugą stronę. Powietrze zdaje się rozrzedzone, brakuje mi tchu. Nie czytam osiemnastu zakazów i nakazów na tablicy na ścianie. Czegoż można zabraniać w tym pomieszczeniu, gdzie prócz łóżka, stołu i krat nie ma nic?

Camera obscura, mruczę do siebie. Boję się nadawać rzeczom nazwy. A jednak! Muszę się z tym pogodzić: cela więzienna Securitate. To jest niepodważalne. Tu jesteś i pozostaniesz. Samotność to znaczy tęsknota za nikim. Tęsknię za nikim. Odcisk ludzkiego ciała w słomianym sienniku to wręcz za dużo bliskości. Jakiś człowiek musiał tam skulony przeleżeć wiele nocy. Zostało wgłębienie.

Strażnik otwiera klapę w drzwiach; widzę tylko jego wąsy i pierwszy guzik munduru. Rozkazuje: — Kładź się! — Dopasowuję ciało do odcisku w sienniku, dotykiem badam jego kształt: tu leżała kobieta, twarzą w dół.

Spać trzeba z twarzą zwróconą do wnętrza pomieszczenia. Taki jest przepis. Albo twarzą do góry, ręce rozpostarte na końskiej derce. Ledwie zamknąłem oczy, budzi mnie strażnik. Szturcha mnie kijem od miotły, bo przekręciłem się twarzą do ściany. — Odwróć się! — Czy nikt nie gasi światła w więzieniu? Z chustki do nosa robię opaskę, którą zakrywam oczy.

Z zawiązanymi oczami, skutych ze sobą, tak nas przywieźli z Klausenburga. Mój kolega nazywał się Tudor Basarabean. Choć my musieliśmy mówić na niego Michel Seifert. Seifert po jego zmarłej matce, a Michel po niemieckim Michelu*, którego ubóstwiał. Jego ręka była jedną parą kajdanek skuta z moją. Opieraliśmy dłonie raz na jego kolanie, raz na moim. Przy każdym nieprzemyślanym ruchu słychać było klik i kajdanki wrzynały się w ciało. — Amerykańskie kajdanki — rozległ się głos oficera Securitate. Kajdanki od imperialistycznego wroga.

Zabrali mnie przed południem, potem pół dnia trzymali w budynku Securitate w Klausenburgu. Późnym popołudniem

* *Der deutsche Michel* tradycyjnie uosabia typowego Niemca, por. w Anglii John Bull, w Ameryce Wuj Sam. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

zaczęła się podróż ku niewiadomej. Gdy stromymi serpenty-
nami wspinaliśmy się na grzbiet górski nad miastem, rozpo-
stał się przede mną ostatni widok na świat: słońce dogasało
w różowym mrozie, a miasto było pogrążone w dolinie cienia.
Żołnierze założyli nam okulary, które uczyniły z nas niewido-
mych. Zamiast szkielec miały kawałki blachy.

Jak się należy zachować? Mój dziadek twierdził, że nawet
najdziwniejsza sytuacja ma swoją własną estetykę. Kiedyś całą
noc, dzień i jeszcze jedną noc błąkał się po Adriatyku jako
rozbitek, przywiązany do beczki rumu. Próbował przy tym
trzymać fason. „To nie takie łatwe, mój chłopcze! Bo beczka
ciągle się obracała”.

Jakże mam tu trzymać fason, spętany, zakneblowany, bez
możliwości widzenia?

Na razie powiedziałem tylko: „To musi być jakaś pomyłka,
którą można wyjaśnić u wpływowych osób w Bukareszcie”.
Nikt w samochodzie w to nie wierzył.

Jaka więc była estetyka tej chwili?

Czy stawiać opór, jak nasz profesor marksizmu i ekonomii
politycznej doktor Raul Volcinski, który został aresztowany
w czasie przerwy na korytarzu uniwersytetu? Schowany za
drzwiami toalety obserwowałem tę scenę, przerażającą i gro-
teskową zarazem. I podziwiałem tego człowieka.

Zabrali go natychmiast po wykładzie, na którym wyjaśniał
nam wyższość centralnie sterowanej gospodarki planowej.
I kiedy owi panowie grzecznie poprosili profesora, by poszedł
z nimi, ten odmówił. Gdy go schwycili, wyrwał się. Na nowo
próbowali go pojmać, ale obronił się i zaczął uciekać. Nagle
jak spod ziemi wyrosło jeszcze dwóch pacholków. I rozszalały
mężczyzna wszystkich czterech włókł za sobą po korytarzu, aż
udało im się go pokonać i powalić. Leżał na mozaikowej po-
sadzce jak klaun na arenie i podrygiwał. Dwie studentki, które
trzymając się za ręce, szły właśnie do ubikacji, roześmiały się

serdecznie. Na pewno jakieś psikusy: dorosli się biją. Towarzysz Volcinski zgubił kapelusz, który toczył się za nim przez chwilę, lecz go nie dogonił.

Elisa Kroner, wychodząca akurat zza rogu, odwróciła się na pięcie. „Ktoś taki jak my nie może nawet być przy czymś takim widziany, a co dopiero przyglądać się” napisała mi pewnego razu. Pisaliśmy do siebie listy, z Klausenburga do Klausenburga. Ale moja ulubiona koleżanka ze studiów, Ruxanda Stoica, podniosła kapelusz i potajemnie zachowała go jak relikwię. Ktoś na nią doniósł. Dziewczyna o buntowniczym spojrzeniu Rumunki z Rudaw została na jeden semestr wykreślona ze studiów, a kapelusz zabrano i przepuszczono przez maszynkę do mięsa. Jego resztki nocą wrzucono do rzeki.

Jak więc mogę godnie sprostać tej chwili? Słyszałem babcię mówiącą: „Z niektórymi ludźmi nie należy rozmawiać. I to nie dlatego, że my jesteśmy lepsi od nich, ale dlatego, że oni są inni niż my. Jedynie milczenie ratuje”. Ci tutaj byli inni niż ja. Milczałem. Przysłuchiwałem się temu, co strażnicy mówili między sobą. I choć oficerowie i żołnierze za pomocą kłamliwych rozmów próbowali nas zmylić, udało mi się odgadnąć kierunek jazdy: byliśmy na drodze z Klausenburga do Hermannstadt. A może jechaliśmy jeszcze dalej na wschód: do Kronstadt, obecnie Stalinstadt. Albo wręcz do Bukaresztu, na drugą stronę Karpat.

— Patrzenie — odezwał się do żołnierzy oficer, może nawet się przy tym odwrócił — nasi skolektywizowani chłopci wracają z targu w Devie, jadą do domu. — Targ? Raczej niemożliwe, żeby to była prawda. Ale tak samo niemożliwe było, żeby oficer kłamał. Jednak pojawiły się wątpliwości: Deva? Jak to? Czyżby chcieli nas zawieźć do tej zrujnowanej twierdzy nad miastem, gdzie przed czterystu laty zginął w lochu pierwszy antytrynitański biskup Siedmiogrodu? Chcą nas tam przetrzymywać w średniowiecznych piwnicach? Bzdura.

W sobotę nigdzie nie odbywał się targ. Poza tym: był właśnie koniec grudnia i jechaliśmy już od kilku godzin. Dawno musiały zapaść ciemności. Każdy chłop grzeje się teraz w ciepłe domowego paleniska, nawet ten skolektywizowany. No i jeszcze: gdybyśmy jechali do Devy, droga łagodnie biegłaby w dół wzdłuż błoń nad Maruszą. Jeśli jechaliśmy do Hermannstadt, musiałyby prowadzić przez teren górzysty. Jako student ostatniego semestru hydrologii znałem nie tylko każdy ciek wodny w Rumunii, budowę tektoniczną Siedmiogrodu także znałem jak własną kieszeń.

Rzeczywiście, wycie silnika nasiliło się, samochód z wysiłkiem wspinał się na strome zakręty szosy, a nami rzucało na wszystkie strony. Od Mühlbach liczyłem po kolei wioski. Poznawałem je po tym, że odgłos silnika załamywał się na frontach domów. Słyszałem, jak mijaliśmy wsie, jedną po drugiej, wszystkie tak dobrze mi znane z przejazdów rowerowych z przyjaciółmi, z dziewczyną — w innym życiu.

Jeśli rzeczywiście jechaliśmy do Hermannstadt, powinni nas przeładować do innego samochodu. W pierwszym ośrodku nowego okręgu administracyjnego mieliśmy się przesiąść, tyle udało mi się zrozumieć. A Hermannstadt-Sibiu należało już do obwodu Stalinstadt. W tym mieście Securitate miała swoją siedzibę w budynku byłego dowództwa wojsk ck. Do 1918 roku generał dowodzący co wieczór oglądał z tarasu marsze z pochodniami, w czasach królów i cesarzy.

Każdy znał ten budynek. My, urodzeni później, omijaliśmy szerokim łukiem te straszliwe mury uzbrojone drutem kolczastym i stalowymi szpikulcami. Opowiadano, że fasada pałacyku aż po dach pełna jest rozigranych amorków i innej miłosnej gawiedzi. Lecz z powodu wysokiego muru nie mogliśmy się przekonać, czy to prawda.

Samochód zatrzymał się. Rozkazano nam wysiąść, choć nie mogliśmy wypełnić rozkazu. Niewidzialne ręce schwyciły

nas i wepchnęły do innego samochodu: — *Repede*, szybko! — Jak sprawdzić, że byliśmy tam, gdzie się domyślałem, w Hermannstadt? Był tu tramwaj, elektryczny, wprowadzony w 1905 roku przez saski magistrat; kursował tam i powrotem pomiędzy Młodym Lasem i Neppendorfem, dzwoniąc przed chatami i pałacami, nawet przed samą warownią Securitate. Czekałem na jego dzwonek. I zadzwonił. A więc było jeszcze przed północą, gdyż po dwunastej obowiązywała cisza, mogły kursować tylko dorożki. Jako następny cel wchodził w grę Kronstadt albo Bukareszt. Wkrótce powinno się to rozstrzygnąć, przy rozwidleniu dróg przed przełęczą Czerwonej Wieży.

Hermannstadt. Przez głowę przemknęła mi myśl: kilka ulic dalej mieszka moja babka, tak subtelna, że przez całe życie z jej warg nie słyszano złego słowa, nawet w tych strasznych czasach. I ciotka Herta, młodsza siostra mojej matki, delikatna jak zamrożone westchnienie. Śpią, wciśnięte pomiędzy meble z dawnych czasów, w jedynym pokoju, jaki im zostawiono. Śnią o składanych wachlarzach z kości słoniowej i zegarach kominkowych, na których zatrzymał się czas. To nie miało nic wspólnego ze mną, należało do świata zewnętrznego, do obszaru, który straciłem. W mojej pamięci zbladł nawet młodszy brat Kurt Feliks, student w Klausenburgu, tak samo jak ja, choć on studiował na węgierskim Uniwersytecie imienia Janosa Bolyaia. Poprzedniego wieczoru byliśmy razem w kinie, na meksykańskim filmie z Marią Felix. Podczas sceny, w której niewidoma dziewczyna oświetlona od tyłu słońcem zaczyna jakiś niezwykły taniec pośród kwitnących kaktusów i mułów, obaj wstaliśmy równocześnie, jak na komendę, i wyszliśmy z kina.

Nic się we mnie nie poruszyło, kiedy przejeżdżaliśmy przez Fogarasz, moje miasteczko, choć na kocich łbach mną trzęsło. Tutaj, przy ulicy Berivoi 5, w domu pełnym pęknięć i dziur,

spali ojciec, matka i najmłodszy brat Uwe, otoczeni przez sny i grasujące szczury.

Gdy przybyliśmy do Kronstadt, po rumuńsku Orasul Stalin, przestał istnieć świat zewnętrzny, od którego byłem już oddzielony kajdankami, ślepyimi okularami i ostrym trzaskiem pistoletów trzech strażników — a także inną odmianą czasu.

W tym mieście moja młodsza siostra Elke Adele uczyła do piątej klasy gimnazjalnej Szkoły imienia Honterusa. Mieszkała u Griso, naszej babki ze strony ojca. Babka prowadziła gospodarstwo i sprawowała rządy w domu swego zięcia Fritza i córki Maly. Ciotka Maly, siostra ojca, wyszła za mąż mając czterdzieści lat i wniosła do małżeństwa swoją matkę, wujek Fritz natomiast swój dom z barokowymi zdobieniami. Dom leżał w Tannenau, na willowym przedmieściu, gdzie mieszkali niegdyś bogaci ludzie, dojeżdżało się tam pomalowanym na żółto tramwajem.

Cała czwórka spała w jednym pokoju: ciotka i babka w łożu małżeńskim, wujek na sofie, u ich stóp, a w kącie, koło pieca kafłowego, Elke Adele. Za oknem sterczały szkielety jabłoni, za nimi piętrzyły się pokryte śniegiem jodły. Księżyc podrapał się do krwi o kamienne pazury górskich szczytów: Hohenstein, Krähenstein. Dorosli chrapali. Siostrze śniły się zajączek wielkanocny. W środku zimy. I czerwone pisanki.

Leżę na sienniku z odciskiem ciała obcej kobiety, strażnik upomniał mnie za pomocą kija od miotły, bym zachowywał porządek, i jedno staje się dla mnie jasne: wszystkie te istoty, które przez nieustanne powroty należą do życia człowieka i którym w różny sposób byłem oddany, zastygły teraz jak słupy soli, z odwróconymi twarzami. Ludzi jeszcze wczoraj mi bliskich po tej ponurej podróży nie darzę tymi samymi uczuciami. Gdyż miłością do nich można mnie szantażować.

Po przybyciu na miejsce obce dłonie zdjęły nam kajdany i okulary. Musieliśmy się rozebrać do naga. Z obrzydzeniem

wpatruję się w lufy dwóch karabinów maszynowych. Michela Seiferta odprowadzono gdzie indziej. Bez uścisku dłoni. Bez spojrzenia. Bez słowa. Już nigdy więcej.

Oślepiająco nagi stałem przed tymi ludźmi nocy, a pot spływał mi kropelkami spod pach. Jakież dziwne zawody istnieją: celować w środku nocy karabinem w nagich mężczyzn, podczas gdy inni robią im rewizję osobistą. Już drugi raz, po Klausenburgu, musiałem znosić coś takiego: odrażający mężczyźni przeszukują moją odzież, wsadzają nos w moją bieliznę i węższą w niej, obca twarz zagląda mi głęboko w fałdę między pośladkami, brudne paluchy odsuwają skórę napletka, pchają mi się do ust i boleśnie głęboko penetrują nos. Ręce strażnika wzięły moje ciało w posiadanie, zabrały mi je. Nawet to do nas należy, usłyszałem, kiedy na rozkaz musiałem się pochylić, uklęknąć, wstać i stanąć na baczność.

Gdy oddali mi ubranie, brakowało paska do spodni, gumki od bielizny, podkówek u butów, sznurowadeł i krawata. Wszystko, czym możesz się zabić, przemknęło mi przez głowę. Położyli przede mną listę przedmiotów i dokumentów, jakie posiadałem. Przed podpisaniem — *Repede, repede!* — przeleciałem wzrokiem pismo i stwierdziłem, że nawet w mieszkaniu rodziców w Fogaraszu przeprowadzili rewizję. O tym, że wynieśli wszystko z mojego studenckiego pokoju i zabrali rzeczy z kliniki, wiedziałem już w Klausenburgu, gdy sporządzali tam spis mojego dobytku.

Skończone! Kiedy niezdarnie usiłowałem obiema rękami założyć sobie blaszane okulary, opadły ze mnie spodnie i gatki. Mężczyźni roześmieli się, a odgłos ten echem odbijał się o ściany pozbawionego okien pomieszczenia. Popychali mnie do przodu. Szedłem półnagi, potykając się. Zamknęli mnie do komórki ciaśniejszej niż trumna. Kolanami dotykałem drzwi, moje ramiona przyciśnięte były do bocznych ścian z desek. Nie mogłem się osunąć. Nie mogłem oddychać. Po pewnym czasie

wreszcie uwolnili mnie z mojego stojącego schowka. Kolana ugięły się pode mną. Musiały się najpierw przyzwyczaić do utrzymywania ciężaru ciała. Niewidzialna ręka poprowadziła mnie, jak się prowadzi ślepców, i wepchnęła do celi, której prawie nie widziałem. Rzuciłem się do stojącego w kącie wiadra. Stałem tam i opróżniałem pęcherz, aż strażnik zawołał: — Ho! Ho! — Martwa mysz wirowała jak pijana.

Przypomniała mi się letnia noc wczesnego dzieciństwa w Szentkeresztbánya na Szeklerszczyźnie, gdy nagle, przy pogodnym niebie, pod oknem pokoju dzieciennego wśród narcyzów i lewkonii rozległ się szum, był to jakiś strumień, który nie przestawał płynąć — bawół albo jakaś istota z bajki? Pobiegliśmy, przestraszone dzieci, obudzić matkę. Okazało się, że to była nasza węgierska służąca Mariska, która popiła sobie piwa ze swoim amantem.

Leżę w celi i próbuję z zawiązanymi oczami przejrzeć rzeczy na wylot. Jak mogę uciec przed tym czasem, w który oni wepchnęli mnie siłą? Nie wiem. Zarysowuje mi się mglista myśl: może, jeśli będę zawsze o krok wyprzedzał katastrofę, może jakoś mi się uda, aż do końca...

Zapadam w sen, zostaję zbudzony miotłą, pogrążam się w drzemce, budzę się z przerażeniem, wstrząsam się na myśl, że tu jestem.

Czy spałem? Światło i powietrze bez zmian, ściana jest pełna szarych i białych plam. — Wstawać! — rozlega się szorstko przez klapę. Zaraz potem otwierają się ze zgrzytem drzwi. Mężczyzna w żołnierskim mundurze i filcowych kapciach, o twarzy jak maska urażonego świętego, stopą wpycha do celi szufelkę, obok niej bez słowa stawia szczotkę.

Na szufelce odkrywam niedopałek papierosa marki Virginia. Virginie, czasami pozwalałem sobie na nie w Klausenburgu, gdy siadywałem z Elisą Kroner w wytwornej cukierni Progresul, w suterenie pałacu rodziny Pálffy. Zawsze zabierałem

też paczkę tej marki, gdy jechałem do Forkeschdorfu, dla nauczyciela, Carusa Spielhauptera, ojca dziewczyny, która mnie kocha. To zielona virginia, zaledwie do połowy wypalona. I zwieńczona czerwienią drogiej szminki. Kobieta tutaj! Dama!

Oprócz tego na szufelce są jeszcze: staniol z topionego sera i nieapetyczne kłęby siwych włosów. Skodyfikowane menu informacji. Mój własny łup po zamieceniu kamiennej podłogi jest skromny: pokruszona słoma spod łóżka. Kłęby kurzu. Ach, i mysie gówna!

Gdy drzwi otwierają się po raz drugi, mężczyzna o obrażonej minie poucza mnie, że kiedy rozlega się trzask zasuw, od razu mam biec do tylnej ściany celi, ustawić się plecami do drzwi i nie odwracać się, dopóki nie usłyszę rozkazu. Ale mnie to niewiele obchodzi. Jestem tu tylko zabłąkanym gościem. Drażni mnie także, że on nazywa tę norę pokojem, *camera*.

Kiedy w ten czarny jak noc poranek drzwi z piekielnym łoskotem ponownie się otwierają, ja siedzę po turecku na łóżku. Zamiast policyjnym chwytem postawić mnie pod ścianą, strażnik podaje mi blaszane okulary i mówi: — *La program!* — Może o tej wczesnej godzinie poprowadzą nas na jakiś program kulturalny? Stąd odgłosy otwieranych drzwi i szuranie na korytarzu? Ciekawości jednak nie odczuwam.

Zakładam okulary na oczodoły, ich gumowa oprawka jest lepka. Niewidzialny mężczyzna brutalnym pociągnięciem poprawia blaszaną uprząż, aż zaczyna idealnie przylegać, a ja ledwie mogę oddychać. On też nie umył sobie zębów. Potem rozkazuje, jakby chciał się przekonać, do jakiego stopnia jestem niewidomy: — Przyniesź kibel! — Wyciągniętymi do przodu rękami wymacuję drogę do kąta, uderzam się o sterczący ze ściany stolik, jestem zdezorientowany, wreszcie wyczuwam śmierdzący kibel, pochylam się, wkładam dłoń do cuchnącej gnojówki z pływającą w niej myszą, w końcu trafiam na

uchwyti i słyse, jak mój pan i władca cedzi przez zęby: — *Bine!* Dobrze! — Bierze mój lewy łokieć pod swoje ramię i niecierpliwie popycha mnie w stronę mrocznych celów. Drepczę za nim, niepewnym krokiem, z pochyloną głową, nasłuchując, w prawej ręce kołyszę się naczynie pełne uryny. Po ostrym zakręcie w prawo ostatnie szarpnięcie: — *Stai!* — Jednym ruchem zrywa mi okulary z głowy, moje włosy stroszą się. — *Repede, repede!* — I z miną przypominającą maskę dorzuca złowieszcze słowa: — Ureguluj swój stolec! Rano i wieczorem!

To, co ukazało się mojemu nieosłoniętemu oku, jest pomieszaniem z kilkoma umywalkami i dwiema muszlami klozetowymi w niszach bez drzwi. Nawet moje ekskrementy już nie należą do mnie, są brane pod lupę. Wypróżniam się bez przyjemności. Nie śpieszę się. Czas nie gra roli. Ale brak papieru toaletowego wprawia mnie w panikę. Co teraz?

Z opuszczonymi spodniami pcham pozbawione klamki drzwi i wystawiam głowę na zewnątrz, pierwszy i ostatni raz widzę korytarz, dostrzegam rzędy pancernych drzwi ze straszliwymi zasuwami, słyse pomrukiwania i szepty z cel. I zauważam, że wyniosły święty w pantoflach galopuje ku mnie jak ukąszony przez tarantulę. Przerażony wypycha mnie z powrotem do ubikacji.

— Papier toaletowy — mówię. — *Hârtie igienică.*

— Papier toaletowy? — powtarza. Wchodzi do mojej kabiny. O co mu chodzi? Drobnymi kroczkami cofam się przed nim, spodnie wloką się po posadzce. — Siadaj — mówi łagodnie. Siadam na krawędzi muszli klozetowej. Dowiaduję się, że istnieją bardziej higieniczne metody niż dotychczas praktykowane, by utrzymać czystość w tamtym miejscu. Obracając się co chwilę, jakby ktoś zaglądał mu przez ramię, ów pocziwy człowiek instruuje mnie. Zawsze można nauczyć się czegoś nowego. Trzeba tylko oderwać się od przyjętych zwyczajów. Odrywam się.

Podaje mi blaszany garnuszek, który przyniósł ze sobą.

— Potem zatrzymaj go do picia wody. No a teraz nalej wody w stuloną dłoń i wypłucz odbyt. — Nie radzę sobie z tą nową techniką. Mężczyzna cierpliwie napełnia garnuszek wodą za każdym razem, gdy opróżniam go, nie osiągając rezultatu. Łaje i chwali mnie, gdy tak pokornie przed nim kucam i nie szczędząc wysiłków, staram się przyswoić sobie jego nauki. Wreszcie słyszę: — *Minunat!* Wspaniale! — Na tyłku mam uczucie chłodu i rzeźkości. Ale teraz co dalej? Spoglądam pytająco i pokazuję mu zabrudzone ręce. — Pociągnij za sznurek! A potem potrzyмай ręce pod strumieniem wody!

Robię, jak mi radzi. Szumi, gulgocze, pieni się.

— A jak je wytrzeć?

— Wymachuj ramionami, wtedy parę kropli opadnie. Resztę wytrzyj w nogawkę. A teraz naprzód marsz! — Z powrotem prowadzi mnie, jakbyśmy kroczyli przed ołtarz. Troskliwie otacza ramieniem moje biodra, tak, nawet chwytą za ubranie, by powstrzymać moje uciekające spodnie. W celi niemal z czułością zdejmuje mi z głowy okulary. Obiecuje skombinować pokrywę do śmierdzącego kubła. Na koniec mówi coś, co jest zakazane i brzmi nie na miejscu: — *Bunã ziua*, miłego dnia. — Drzwi rygluje tak bezszelestnie, że wydają mi się tylko przymknięte.

Muszę dla tego nieznanego wymyślić jakieś ładne imię. Nazywam go Nenufar. W Tannenau jest ich dużo. Płyniesz między nimi, a one muskają cię łagodnie. Długo zagłada jeszcze przez judasza, co chwilę spoziera do środka.

Natomiast kłapa w drzwiach otwiera się rzadko. Na śniadanie, na obiad i na kolację. Wtedy pozbawiona ciała ręka podaje mi do środka pożywienie. Po niedługim czasie nie jestem już zaskoczony, gdy strażnik cicho jak na gumowych podszewkach podkrada się pod *camera obscura*, zezuje przez judasza. I ulatnia się. Moje ucho to słyszy.

Tak szybko zmysły są w stanie się tu zadomowić, podczas gdy dusza ucieka. Świat zamyka się w strachu. Ale to będzie wielki czas, dość, by się nauczyć lęku.

2

Siedzę na łóżku i nie czekam na nic. Na korytarzu przy odgłosach szurania i powłóczenia nogami odbywa się *la program*. Świat jest pogrążony w półmroku. Mam już za sobą poranne mycie, z całym podnieceniem i zamieszaniem. Nie ma tu żadnego lustra. Nie rozpoznamy swoich twarzy, jeśli jeszcze kiedykolwiek będzie nam dane je zobaczyć. O goleniu nie ma mowy. Dwa razy, rano i wieczorem, wolno do ustępu: ureguluj swój stolec! Ale wszystko w tobie jest w ruchu: niepodtrzymane spodnie zjeżdżają z tyłka, w jelitach pomrukuje.

Wczoraj, w ostatnią sobotę roku 1957, wyszedłem na miasto wcześniej rano. Na sobotę i niedzielę wyprosiłem przepustkę z kliniki w Klausenburgu.

Poddawałem się tam kuracji na oddziale psychiatrycznym: pięć razy w tygodniu o świcie dostawałem na pusty żołądek zastrzyk insuliny w ciągle zwiększanej dawce. To pochłaniało cukier z mojej krwi. Wkrótce zlewał mnie zimny pot, ciało wychładzało się, język zastygał w sopel lodu, a ja jak na zjeżdżalni obsuwałem się w śmiertelne oszołomienie. Po kilku godzinach agonii pielęgniarz pompował mi do żył glukozę. Wracalem do siebie z bardzo daleka. Budziłem się zlany potem, wyczerpany i szczęśliwy, w łóżku, które przypominało kąpiel w pianie. I na kilka godzin byłem uwolniony od złych myśli i ponurych uczuć. Łapczywie połykałem naraz śniadanie i obiad. I litry kompotu, który przynosiły mi do łóżka zatroskane studentki.

Do kliniki na górze wznoszącej się ponad miastem poszedłem dobrowolnie. Było pewne, że w tym miejscu przez jakiś czas nie będę musiał martwić się o chleb codzienny, a zamierzałem też zyskać trochę czasu, by się zastanowić nad smutkami mojej duszy.

Ale czy tylko jedzenie i smutek? Czy aby w przypadku człowieka takiego jak ja, poszukującego schronienia i ucieczki, odkąd Rosjanie wtargnęli w jego dzieciństwo, nie wchodziła w grę ukryta kalkulacja? Ostatni azyl: klinika psychiatryczna. Tam, spekulowałem, nie zrobią mi tak raz dwa krzywdy. Dom wariatów wydawał się najlepszym miejscem ukrycia w kraju otoczonym drutem kolczastym i pasami śmierci. W tych murach z czasów ck czułem się chroniony przed owymi upiornymi siłami, które wyciągały po mnie ręce, które zagrażały mi od momentu „upadku”, jak mówiono w naszych kręgach. Wtedy to, 23 sierpnia 1944 roku, królestwo Rumunii zmieniło front i sprzymierzyło się z Sowietami. Oficjalnie brzmiało to inaczej: „wyzwolenie Rumunii spod jarzma faszyzmu przez zwycięską Armię Czerwoną”.

Od owego fatalnego dnia tlił się we mnie strach, że zostanę ukarany, nie mając na sumieniu nic ponad to, że byłem tym, kim byłem: urzędowo wprawdzie obywatelem Rumuńskiej Republiki Ludowej, ale z kilkoma minusami. Jako siedmiogrodzki Sas zostałem oficjalnie mianowany *naționalitate germană*, a przez to wezwany do odpowiedzialności za Hitlera. A jako syn przedsiębiorcy byłem elementem o niezdrowym pochodzeniu społecznym, *de origine socială nesănătoasă*.

Ostatnią próbę ucieczki przed sobą samym podjąłem wczoraj. Z kliniki na górze zszedłem w dół na uniwersytet, by złożyć wniosek o przyjęcie do partii komunistycznej. Decyzja przeciwko fatalnemu pochodzeniu oraz za swobodnym wyborem przyszłości.

Na ten dzień miałem wiele planów. Chciałem podjąć stypendium. Do południa popracować w bibliotece. Mieliśmy sprawdzić wzory do obliczania przepływu wody w rzekach. Po południu obiecałem pójść do kina z pewną studentką konserwatorium, na zachodniemiecki film *Uliczna serenada*, z Vico Torrianim. Wieczorem miały się odbyć tańce u kolegi Seiferta w domu. Udało mu się namówić ojca, któremu nie mógł wybaczyć, że nazywa się Mircea Basarabean i jest Rumunem, by zwolnił mieszkanie na tę jedną noc.

Spośród trzystu klausemburskich studentów należących do Kółka Literackiego imienia Josepha Marlina wybraliśmy niewielką grupkę. Na swoją partnerkę poprosiłem Elisę Kroner, intelektualistkę o marmurowej urodzie. Już przez samą swą obecność w Klausenburgu niejednemu naszemu studentowi zawróciła w głowie. A wielu pozostawiła ranę w sercu. Mój brat Kurt Feliks twierdził, że grasuje epidemia o nazwie *kroneritis*. Wszyscy pielgrzymowali do niej za miasto, gdzie tanio wynajmowała pokój u pewnej leciwej Węgierki. Ojciec Elisy posiadał tkalnię, którą upaństwowiono. Miał już za sobą obojętne więzienie dla fabrykantów i kapitalistów. Teraz był farbiarzem, a ona córką robotnika.

Dobrze zapowiadający się weterynarze i przyszli dyplomowani trębacze dobijali się do jej drzwi, chcieli z nią inteligentnie rozmawiać, na co ona uprzejmie się zgadzała. Ale to się nie udawało. Kawalerowie z kwiatami mylili *Podstawy XIX wieku z Mitem XX wieku* i razem ze *Zmierzchem Zachodu* wrzucali wszystko do jednego worka. Mieszali Schopenhauera z Nietzschem i nie mogli odróżnić *Małżeństwa z rozsądku* od *Małżeństwa doskonałego*. I to nie dlatego, że wyprawiano się na nieznanne tereny, lecz dlatego, że w obecności tej dziewczyny rozum i zmysły mieszały im się w głowach. A o rzeczach dobrze znanych, jak Marks i Engels oraz Lenin, nikt nie chciał rozmawiać, choć tych panów z konieczności znało się na wyrywki.

I kiedy Elisa po kolei odrzucała nowych chłopaków, dostała przydomek: lodowa święta.

Wybrałem Elisę Kroner na partnerkę balu, bo dotarła do mnie jej wypowiedź, że w Klausenburgu jest tylko jeden student, który jej imponuje. Właśnie ja. Ale wolałem nie wiedzieć, czy jako inicjator kółka literackiego, czy jako osoba.

Jako wolny człowiek wyszedłem wczoraj z kliniki i udałem się w dół do miasta. Bez końca szedłem przez Ogród Botaniczny, gdzie niegroźni obłąkańcy i lżej poszkodowani na duszy mogli się swobodnie przechadzać. Bez zastanowienia przekroczyłem ogrodzenie, znalazłem się w nagim krajobrazie, otoczony przez zamarzną roślinność.

W tym ogrodzie każdy szanujący się student musiał raz niepostrzeżenie dać się zamknąć na noc ze swoją ukochaną. Taki był zwyczaj. Owa para dokonywała przy tym odkrycia, że nawet najkrótsza noc jest dłuższa od dnia. I że nad ranem robi się zimno, i że jakkolwiek by się obracać i wykręcać, tylko z jednej strony można utrzymać ciepło. Choćby wybranka była nie wiadomo jak pulchna. Nie udało mi się namówić na taką noc Annemarie Schönmund, mojej przyjaciółki, która studiowała psychologię. Z bezlitosną logiką udowodniła mi, że to głupota. Lecz za to na początku lata inna studentka powiedziała „tak”, choć spytałem ją tylko dla żartu. Wybraliśmy japoński pawilon herbaciany, a między trzecią i czwartą rano zrobiło się zimno, co było do przewidzenia.

Na długo zaszyłem się wczoraj wśród kaktusów i drzew chlebowych w cieplarni, swego rodzaju legalnej zagranicy, siedziałem tam i mitrężyłem czas. W teczce szeleściły mi dokumenty w sprawie przyjęcia do Rumuńskiej Partii Robotniczej. Do podania dołączyłem lekko podkolorowany życiorys, rekomendację od komunistycznej organizacji młodzieżowej i wyniki studiów. Tak wyposażony szedłem do naszego sekretarza partii, doktora Hilarie, wykładowcy oceanografii i geodezji.

Podziwialiśmy go za to, że umiał wyliczyć wszystkie stacje pomiarowe w Rumuńskiej Republice Ludowej, łącznie z ich położeniem geograficznym i lokalnym sekretarzem partii, a do tego wszystkie większe zatoki morskie świata wymienić z nazwy, w miejscowym języku. I ceniliśmy w nim to, że miał pańskie obejście.

Długo się wahałem. Nurtowało mnie pytanie: czy będę w stanie zostać ich człowiekiem? Czy nie był to kolejny akt wyrzeczenia się siebie? Zaczynało się od wzgardy dla przeszłości, należało wyrzec się przodków, odżegnać się od swego pokoju dziecinnego, wręcz wymazać wspomnienia. Oznaczało to ciągłe ustępowanie, do końca życia.

W czym zresztą mieliśmy już pewną wprawę: by nie razić uczuć klasy robotniczej, 1 Maja matka nie wywieszała prania na podwórku. Respektując ateistyczne przekonania proletariatu, zapalaliśmy świece tylko przy zasłoniętych oknach. W piwnicy za beczką z kiszoną kapustą wraz z portretem króla pleśniało ślubne zdjęcie rodziców — matka w przepysznej sukni, ojciec we fraku. A gdy raz na rok jedliśmy sznycle po wiedeńsku, zamykaliśmy drzwi, by Securitate nie oskarżyła nas o konszachty z kapitalistycznymi krajami.

Wczoraj co chwilę oglądałem się ukradkiem za siebie. Czy nie szedł za mną żaden cień? Na rogu Strada Armata Roșie, gdzie skręcało się w stronę uniwersytetu, przystanąłem na moment. Coś mnie powstrzymywało. Chcąc nie chcąc, wstąpiłem do cukierni Czerwony Sierp, lokalu bez żadnego szyku i uroku: żelazne stelaże z drewnianymi blatami służyły za krzesła i stoły, na ścianie jako dekoracja młot i sierp, to wszystko. Zamówiłem tanią kawę. Była letnia i nie miała żadnego smaku. Niciane pończochy kelnerki były podarte na kolanie.

Z brzękiem otworzyły się drzwi. Do środka wpadła grupa studentów medycyny. Pachnieli formaliną i mówili po

węgiersku. Przybrudzone fartuchy zarzucili nonszalancko na oparcia krzesel. Kilka dziewcząt z wyraźnym podnieceniem usiadło chłopakom na kolanach. Wszyscy zamówili kawę, mocną i gorącą, którą pili z głośnym siorbaniem. Mówili jeden przez drugiego. Nikt nie słuchał. Z prosektorium zniknęły jakieś zwłoki. Wywołało to ogromne przejęcie, aż po sam Bukareszt. Węgierski spisek! „Od pięćdziesiątego szóstego my, Węgrzy, jesteście wszystkim winni!”. Nagle w samym środku głośnej rozmowy drzwi otworzyły się ponownie. Niepozorny mężczyzna stanął na progu, lustrując wzrokiem wnętrze, a jego twarz ginęła za welonami lodowatej pary. Nagle wydał z siebie szczenięcie: „*Aici nu este Budapesta!* To jest rumuńskie socjalistyczne miasto!” — Zapadła śmiertelna cisza. Dziewczyny poschodziły z kolan swych obrońców, oszołomione zaczęły się rozglądać za miejscami do siedzenia. Studenci nie ruszali się. — „*Mai decent! Unde este morala proletară?*” — krzyczał obcy przenikliwym głosem, który zdawał się dochodzić skądinąd niż z jego starczego ciała. Nikt mu nie odpowiadał, kelnerka też nie. Po chwili mroźny opar zabrał ze sobą tego obcego posłańca. Drzwi pozostały otwarte. Lokal opustoszał. Zapłaciłem i wyszedłem. Jeszcze tylko kilka kroków i byłem u celu.

Siedzę z podwiniętymi nogami na żelaznym łóżku w celi, w samym środku Securitate Stalinstadt. Ranek jeszcze nie szarzeje. W tej ciszy zauważam, że moje zmysły pożądliwie rzucają się na wspomnienia, które natarczywie mnie nachodzą: pamięć wypluwa każdy krok i każdy gest, także myśli, kiedykolwiek pomyślane, zwłaszcza myśli. Akurat teraz, kiedy moim pragnieniem jest nie mieć żadnej biografii. Dogłębniej niż dotychczas zastanawiam się, czy można się oderwać, zacząć inaczej myśleć, inaczej postępować niż ci, z którymi połączyła nas historia i los.

Ukształtowani przez mocarstwa i trudne czasy, my, siedmiogrodzcy Sasi, przez stulecia trzymaliśmy się dewizy przybyszów: *ad retinendam coronam*, dla zachowania korony; lub, jak chciał Luter: zawsze lojalni wobec zwierzchności. Gdy w styczniu 1945 roku deportowano do Rosji wszystkich zdolnych do pracy ludzi, potulnie dali się wywieźć całymi tysiącami. Z naszej szeroko rozgałęzionej rodziny poszedł każdy, kogo chcieli zabrać. Mój ojciec: jego pierwsze aresztowanie dwa tygodnie po wyznaczonym terminie było niezgodne z ustaleniami, miał czterdzieści sześć lat, był więc starszy, niż mówiły przepisy, poza tym zaciągnął się do rumuńskiego wojska. Jego brat Hermann, urodzony w 1900 roku i dlatego tuż poniżej granicy wiekowej — jakże Griso wypłakiwała sobie oczy, które zwykle i bez tego zawsze były zażławione. Młodsza siostra matki, ciotka Herta, osoba o tak wybrednym guście, że wszystkie prezenty oddawała sprzątacze, nie obejrzawszy ich nawet. Wujek Herbert, jej mąż, bukareszteński *bon vivant*, także: poszedł od razu z żoną i z kochanką.

Bez protestu dali się zapędzić do bydłęcych wagonów. Żadnego oporu. W najgorszym wypadku uchylali się od poboru. Poddawali się operacjom ślepej kiszki lub ukrywali w piecach chlebowych u rumuńskich chłopów. Ale za to brano starszych i młodszych. Ustalona liczba musiała się zgadzać. Szesnastoletnie dziewczynki zamarzały na śmierć w transportach, młodzi chłopcy gorzko płakali. Tu i ówdzie dobrowolnie ze swoją parafią szedł także stary pastor, jak Arnold Wortmann z Elisabethstadt.

Z saskich wiosek po drugiej stronie Aluty zesłańcy przyjeżdżali konnymi wozami, podskakując na kocich łbach, w obłokach pary przecinali Fogarasz w drodze na dworzec, eskortowani przez żandarmów i rosyjskich żołnierzy. Większość stanowiły tam młode dziewczyny i kobiety, z trójkątami wełnianych chustek na ramionach i węzełkami z dobytkiem na

kolanach. Ojcowie i mężowie walczyli na froncie, za niemiecką ojczyznę, przeciw rumuńskiej ojczyźnie. Kobiety śpiewały *Nie masz teraz kraju piękniejszego*, śpiewały *O, Innsbrucku, muszę cię opuścić*, a ich twarze rozmywały się w mroźnych oparach. Za nimi dreptały matki, co chwila odpędzane przez strażników. Zaprzęgami powozili ojcowie aresztowanych. Na peronie, odgródzone kordonem radzieckich żołnierzy, chłopki zawodziły, kołysząc się miarowo z jednej strony na drugą: *Cóż to za dzień nam nastał!* Opatulone w czarne chusty, zakrywające głowę i naciągnięte głęboko na czoło, przypominały żałobnice. Ojcowie stali zeszywniali i milczący, z batem pionowo przy bucie, jak na warcie. Gdy pociąg ruszył, osoby stłoczone w wagonach przez szpary i szczeliny wysunęły palce, chustki, rękawiczki i zaczęły machać, kolorowe chorągiewki czułości znikające w mroźnej dali. *Cóż to za dzień nam nastał!*

W całym kraju było już po nagłych masowych deportacjach z 13 stycznia 1945 roku. Skargi i lamentsy rozbrzmiewały od Broos do Draas, od wschodu słońca do jego zachodu. Zaraz na początku wyliczyliśmy, że od nas z domu nikogo nie powinni zabrać. Rodzice przekroczyli już fatalny wiek. Mogło to objąć Reginę, naszą służącą, ale ona była zarejestrowana w swojej rodzinnej gminie Bekokten. Żona dozorczy Szabo, która prowadziła nam gospodarstwo, była Węgierką.

I choć niebezpieczeństwo właściwie było już zażegnane, nasza matka co wieczór wykradała się z domu. Ciągłe jeszcze patrole przeszukiwały miasto. Dlaczego akurat tego dnia nie wymknęła się do Atamianów kilka ulic dalej, dokąd prowadziłem ją oblodzonymi ścieżkami przez ogrody, któż może to wiedzieć? Tam czekała na nią kryjówka. Pod ogromnymi tureckimi dywanami, które tylko ormiański pan domu był w stanie odsunąć na bok, znajdował się schowek na przyprawę. Pachniało tam aromatami Orientu, a gdy ktoś przebywał w schowku dłużej, jego zmysły doznawały halucynacji z tysią-

ca i jednej nocy. Ale było to pewne miejsce u ludzi, którzy nie wzbudzali podejrzeń władz. I którzy mieli wyczucie zagrożenia. Z całejlicznej rodziny tylko Sarko Atamian uciekł z Turcji przed rzezią Ormian. A mimo to dalej nosił fez i palił nargile.

W ów ponury wieczór pod koniec stycznia, gdy u tylnych drzwi rozległ się łomot, wszyscy wiedzieli, co się stało, jeszcze zanim po rumuńsku i rosyjsku padł rozkaz: otwierać. — *Repede, repede! Bystro, skoro!* — Już przed laty mówiono: Gdy przyjdą Rosjanie... No i teraz przyszli!

Nasza matka i my, dwaj chłopcy, Uwe i ja, razem z Reginą pobiegliśmy do sieni. Młodsza siostrzyczka spała w pokoju dzieciennym w tylnej części domu. Kurt Feliks nie pokazywał się. Ojciec był w koszarach, miał dyżur jako rachmistrz. Uwe, najmłodszy brat, który właśnie uczył się pisać obiema rękami, otworzył drzwi, zanim zdążyliśmy go powstrzymać. Wyglądało to tak, jakby powiedział sobie, że jemu nic nie może się stać.

O kogo mogło chodzić? O mnie przypuszczalnie nie, nie miałem jeszcze siedemnastu lat. Choć jak na swój wiek byłem wyrosnięty i mocno zbudowany. Stałem jak sparaliżowany. Regina zaczęła działać. Przy drugiej serii bębnienia do drzwi wzięła mnie za rękę, pociągnęła do starej niemieckiej szafy w końcu sieni i wepchnęła do środka. Wpełzliśmy pod karnawałowe kostiumy dziadków, które nadaremnie oczekiwały na maskarady. Pachniało smętnie perfumami i naftaliną. Drżeliśmy tak mocno, że musieliśmy trzymać się nawzajem, by nasze roztrzęsione kończyny nie stukały o ściany szafy.

Właściwie nie musieliśmy też wcale martwić się o matkę: już o kilka dobrych lat przekroczyła wiek deportacji. No i jeszcze siostrzyczka: matki z dziećmi jasno i wyraźnie zostały wyłączone. Było to między innymi napisane w rozporządzeniu radzieckiej komendantury miasta. Wisiało ono, po rumuńsku i niemiecku, czarno na zielonym, w gablótkach na ścianach

kościół ewangelickiego, gdzie pastor Stamm regularnie uderzał w dzwon żałobny, można je było znaleźć w naszej szkole, przy ulicy Martina Lutra, gdzie w auli zgromadzono aresztowanych; wywieszono je także przed byłym niemieckim dowództwem okręgowym przy Schlachthausgasse, gdzie jeszcze do niedawna w dzień i w nocy powiewała flaga ze swastyką. Poza tym w rozporządzeniu zostało wymienione, co można zabrać ze sobą: nie więcej, niż zmieści się w plecaku, ale co najmniej dwie pary wełnianych skarpet. Matka zapobiegliwie uszyła pięć plecaków w kolorze trawiastozielonym, od największego do najmniejszego, malutkiego jak dla lalki tornistra naszej małej siostrzyczki, i napełniła je najniezbędniejszymi rzeczami.

I oto stali przed nami obcy: rosyjski żołnierz, rumuński żandarm i mężczyzna po cywilnemu. Na głowie mimo kłuszącego mrozu miał kapelusz z miękkim rondem. I nie zdjął go, choć w domu było ciepło. Obaj żołnierze zsunęli czapki na tył głowy, żeby móc lepiej się rozglądać.

— To rutynowa kontrola — odezwał się nosowo mężczyzna w kapeluszu. — Wielu Sasów w mieście i okolicznych wioskach nie posłuchało zaproszenia do odbudowy Związku Radzieckiego. — Entuzjazm, by odbudowywać to, co na Ukrainie zniszczyły hitlerowskie hordy, był raczej umiarkowany. Poza tym na listach deportacyjnych były błędy. Nie każdy *etnic german* został na nich ujęty, między innymi dlatego, że niemiecki zarząd okręgu 23 sierpnia 1944 roku zniszczył wszystkie spisy okręgu Fogarasz. A starosta Schenker, ta tchórzliwa świnia, ten zdrajca ojczyzny, uciekł w przebraniu rumuńskiego chłopca, razem z niemieckimi żołnierzami. — My wszystko wiemy!

To zdanie kazało mi się skulić z przestachu. Regina chyba przeraziła się, że wypadnę z szafy. Pocałowała mnie w usta, bez namiętności, jakby chciała tylko mi je zatkać.

Mężczyzna w kapeluszu zażądał od matki dowodu tożsamości. Był akurat pod ręką. Ale coś się nie zgadzało. Przez szpary w drzwiach szafy widziałem, jak żandarm i komisarz po cywilnemu pochylają nad dokumentami matki. Szeptali między sobą. Tymczasem radziecki żołnierz, przewracając oczami, obserwował wszystkie drzwi w sieni, z karabinem maszynowym w gotowości.

Nagle padło krótkie i zwięzłe zdanie po rumuńsku:

— *Veniți cu noi!* — Nawet po rosyjsku: — *Idi siuda!* — Idziesz z nami.

Matka zaczęła drżącym głosem zapewniać, że nie urodziła się w roku 1916, lecz o kilka lat wcześniej. W nowym dowodzie wpisano błędnie, czego wcześniej, niestety, nie zauważyła. Chciała zaraz pokazać akt urodzenia.

— Nic z tego! — Obaj żołnierze przytrzymali ją za ramiona. — Przygotować się! — Niespokojnie rozglądali się po sieni. Drzwi, drzwi... Trudno sobie wyobrazić, co by było, gdyby nagle wszystkie siedmioro drzwi się otworzyło. Do tego jeszcze ta niesamowita szafa. Najlepiej iść już stąd!

Wtedy znienacka, jak za sprawą ducha, przed oczami mężczyzn utworzyła się ściana. Ósme drzwi, zamaskowane tapetą, przez które wyszedł mój brat Kurt Feliks, trzymając na plecach rozespaną siostrzyczkę. Jej oczy o pozlepianych rzęsach mrużyły się przed światłem. Gdy dziewczynka rozpoznała, że to żołnierze, zrobiła wielkie oczy, jej buzia rozpromieniła się i powiedziała przyjaźnie: — *Heil Hitler!* — Potem podniosła niezdarnie rączkę w niemieckim pozdrowieniu.

Rosyjski żołnierz odłożył karabin, porwał dziecko, przytulił, pohnął, przeturlał sobie po głowie, potem wziął je na barana i zaczął galopować tam i z powrotem. Nie posiadając się z radości wykrzykiwał raz po raz:

— *Malen'kaja, dorogaja malen'kaja!* Słodka dziecinka! — I oddał ją w ramiona matki.

Potem Rosjanin poczłapał do wyjścia. Pociągnął za sobą komisarza, który musiał ręką przytrzymać kapelusz. Twarz rumuńskiego żandarma rozjaśnił uśmiech. Brat Uwe zarygłował drzwi i wyseplenił refren znanej piosenki:

— Cóż to dla marynarza. Nie ma strachu, nie ma strachu, Rosemarie!

Cisza. Przez chwilę nikt się nie poruszał. Nawet my, Regina i ja, prawie uduszeni pod błazeńskimi przebraniem. Nagle rozkosznie zapachniała pieprzem i wanilią. Poczułem, jak nasze usta szukają się nawzajem, to nie były pocałunki, ale łapczywe chwytanie ust drugiego, radosne sprawianie bólu. W końcu drzwi rzeźbionej dębowej szafy się rozwarły. Wypadliśmy na zewnątrz, połączeni pocałunkami, w szeleście karnawałowych kostiumów z jedwabiu i aksamitu. Poturlaliśmy się po mozaikowej posadzce pełnej brudnych śniegowych śladów i zatrzymaliśmy u stóp matki. I śmialiśmy się! Śmialiśmy się na całe gardło. Śmialiśmy się do łez.

Następnego dnia aresztowali Reginę, gdy poszła po chleb do piekarni Krempelsa na ulicę Kronstadzką. Ojca aresztowali kilka dni później w twierdzy, miał na sobie mundur wojsk królewskich. Nosił go aż do końca, aż zaplombowano za nim rozsuwane drzwi wagonu bydłowego. Drzwi pozostały zaplombowane do samego Donbasu. Bo także umarli jechali do końcowej stacji. Rachunek musiał się zgadzać.

Nasza spostrzegawcza matka zauważyła, że w te wieczory, kiedy gasło oświetlenie uliczne, po mieście krążyły patrole i zabierały ludzi. Wkrótce także innych: znanych Rumunów, na początek jeszcze nielicznych Węgrów — uznawano, że jako pierwsi opowiedzieli się za komunizmem — żadnych Żydów, na razie mieli jeszcze okres ochronny. Lecz w końcu każdy musiał w to uwierzyć, nawet sprzedawca dywanów Atamian ze swoim fezem i fajką wodną. I nawet przełożony synagogi Ernest Glückselig.

Gdy wczoraj doszedłem na uniwersytet, elektryczny zegar pokazywał za dziesięć jedenastą. Matowe słońce ledwie wyzierało sponad dachów domów.

Najpierw stypendium. Wstecznie, za dwa miesiące. W listopadzie przegapiłem termin odbioru z powodu wyjazdu na wieczory autorskie do południowego Siedmiogrodu. W kółkach literackich w Kronstadt, Zeiden i Hermannstadt czytałem fragmenty mojego opowiadania *Czysty kruszec*, które niebawem miało ukazać się drukiem.

Czyżby coś wiedziały towarzyszki za zakratowanym okienkiem w dziekanacie? Pochyliły ku sobie głowy, poszeptały, spojrzały na mnie z zakłopotaniem, po czym jedna z nich, z niestarannie ufarbowaną trwałą, poinformowała mnie, że muszę pójść do rektoratu, ktoś chce tam ze mną rozmawiać. — A potem może pan odebrać swoje pieniądze.

Nie było nic szczególnego w tym, że miałem iść na górę do rektoratu. Często odwiedzali mnie reporterzy. Kółko Literackie imienia Josepha Marlina było interesującą nowinką. Beztrosko ruszyłem do celu. Budynek pochodził z czasów monarchii austrowęgierskiej, wszystko w nim miało imperialny rozmach. Monumentalną klatkę schodową, przykrytą kopułami w kształcie muszli, z obu stron zamykały klasycystyczne kolumny. Reprezentacyjne schody zajmowały szeroką przestrzeń westybulu. Na podeście rozchodziły się w dwie strony i dalej przepyszными łukami wznosiły ku pierwszemu piętru.

Na górze w sekretariacie kobieta pośpiesznie skierowała mnie do następnych drzwi, do pokoju posiedzeń rektora. Tam za ogromnym biurkiem siedział szef kancelarii. Na szklanej płycie leżała tylko jedna, niezapisana kartka papieru. Przyjrzał mi się krótko i przenikliwie swoimi brązowymi oczami, a potem znowu zajął się kartką papieru. To ciężkie spojrzenie miało mnie potem prześladować. Bezbarwnym głosem

powiedział, że mam pójść dwoje drzwi dalej, do gabinetu przyjąc rektora, ktoś tam na mnie czeka.

Mężczyzna, który podniósł się z krzesła nie był, nie był... Poczułem, że on tu nie należy, nie do mojego świata. Obcy po- dał mi rękę, której z wahaniem dotknąłem. Jakby nieco zakło- potany, pokazał mi gestem, żebym usiadł obok niego, plecami do drzwi. Sam nie przestawał ich obserwować.

Rozejrzałem się po obszernym pomieszczeniu. Meble z giętych metalowych rurek były zgrupowane wokół stołów o eleganckich kształtach. Przez łukowate okna w dłuższej ścianie grudniowe słońce posyłało swoje wyblakłe promienie. Na krótszej ścianie pokoju wisiał portret towarzysza Gheorghe Gheorghiu-Deja. Spoglądał na mnie z góry, najwyższy władca partii. To o nim pastor Arnold Wortmann twierdził, że nie jest żadnym ponurym wsteczniakiem, lecz raczej dobrym człowie- kiem, który ma dużo serca dla ludu i troszczy się o dobro ro- botników. Pomyślałem sobie: ten dobry człowiek w Bukaresz- cie jest teraz ogromnie przejęty. Gdyż z kąpieli formalinowej zniknęły zwłoki. Kto wie, co się za tym kryje.

Jeszcze zanim obcy mężczyzna siedzący obok mnie po- kazał mi swoją legitymację, na której przeczytałem jedynie słowo „Securitate”, zdążyłem pojąć: ta chwila nadeszła. Ów zadawniony, trzynastoletni już strach, a jednak tak świeży jak wczorajsza noc, osiągnął swój cel.

Całymi latami wyobrażałem sobie, co się będzie we mnie działo, gdy nadejdzie ta chwila. Wyobrażanie sobie tej sceny wywoływało we mnie bezgraniczne przerażenie. Pogrążałem się w kraterze zgrozy. Mógłbym wyparować w postaci molekuł strachu.

W rzeczywistości było inaczej. Nawet serce nie podeszło mi do gardła. Tylko usta wyschły, a na języku poczułem gorzki smak, który przypomniał mi pewien decydujący egzamin z hydrauliki.

Milczeliśmy, ów wysłannik obcej krainy i ja. Niepostrzeżenie stanęło przede mną dwóch mężczyzn, ubranych przesadnie elegancko, z wystudiowaną swobodą. Po ich wejściu mój towarzysz zerwał się i stanął na baczność, z dłońmi przyciśniętymi do boków płaszcza. Nowo przybyli, choć w cywilu, musieli być oficerami.

„Przyglądaj się ich butom — mawiał Michel Seifert, którego Securitate nękała, odkąd skończył szesnaście lat. — Jeśli noszą drogie buty marki Romarta, to są oni”. Nosili buty Romarta. To byli oni. Panowie w płaszczech i kapeluszach usiedli. Zauważyłem, że byli zdenerwowani. Uderzali skórzanymi rękawiczkami o stół. Nie czuli się tutaj u siebie. Chwilę potem poderwali się. Jeden z nich, nachalnie elegancki, powiedział: — Idziemy do nas, tam nikt nam nie będzie przeszkadzał. Mała przyjacielska rozmowa. — Chciałem wziąć z podłogi swoją aktówkę, lecz podwładny już trzymał ją w ręce. Ostro pouczono mnie, bym na schodach nie dawał żadnych znaków. Nie dawałem znaków. I nie uciekał. Nie uciekłem.

Wiedziałem: występując z ciemności i pokazując mi swoje twarze, naznaczyli mnie. Oficerowie wzięli mnie między siebie; ich słodkawe perfumy pachniały oszałamiająco. Za nami szedł mężczyzna z moją teczką. W przedsionku zobaczyłem plakat naszego kółka literackiego. „Stowarzyszenie Komunistycznych Związków Studenckich Rumunii”. Pod spodem wielkimi, krzyczącymi literami: „Siedmiogrodzko-Saskie Kółko Literackie imienia Josepha Marlina. Spotkanie z HUGO HÜGELEM, Stalinstadt. Środa, 8 stycznia 1958, godz. 20, Auditorium Maximum”. Jeden z oficerów otworzył masywne drzwi wejściowe i wyszedł na zewnątrz. Radziecki samochód marki Pobjeda, koloru zielonego, z włączonym silnikiem stał przy krawężniku, kawałek za schodami wejściowymi, pod pierwszym drzewem, które szeroko rozpościerało gałęzie. Drugi tajniak obszedł samochód dokoła i wsiadł, zajął miejsce z tyłu,

po prawej stronie. Pierwszy wepchnął mnie na tylne siedzenie i usadowił się obok. Mężczyzna z moją aktówką usiadł obok kierowcy, przełożył wyjęty z kieszeni płaszcz pistolet do kabury. — Jedź! — rozkazał jeden z oficerów.

3

Po tej pierwszej nocy strażnik musiał mnie obudzić bardzo wcześnie. Albo może to czas staje się nitką larwy jedwabnika, może dlatego że bronimy się przed przyszłością. Ale ostatni dzień na wolności już odszedł w dal.

Kiedy wczoraj zobaczyłem z samochodu siedzibę Securitate w Klausenburgu, byłem zaskoczony. Obszerny budynek szkolny na Strada Karl Marx został przebudowany. Znajdował się naprzeciwko domu, w którym moja niegdysiejsza ukochana, Annemarie Schönmund, mieszkała jako studentka. Bywałem tam codziennie, często wieczorami, czasem nawet w nocy — a później już nigdy więcej. Przez jedną chwilę trwającą uderzenie serca zdało mi się, że czuję opary jaśminu i ostry zapach zdeptanej mięty, a mój wzrok uchwycił ponad drewnianym płotem nagie gałęzie — bzu milczenia.

Od listopada zeszłego roku nie widziałem tej dziewczyny. Zniszczyłem ją jako myśl. Wraz z ulatniającym się zapachem jaśminu i mięty, z opadającymi liśćmi bzu rozpadały się wspomnienia gorących tajemnic, pieśzcot o zmierzchu i gier miłosnych w godzinach nocnych. Lecz wspomnienie o niej pozostało na czubkach moich palców.

I gdy samochód stał dokładnie przed jej domem, a mężczyzna z przedniego siedzenia wysiadł, jakby musiał się przekonać, czy to dobry adres, ja nabrałem przekonania: to ma coś wspólnego z nią. Tu, przed bramą jej gospodarzy, zostawiłem

ją przed rokiem, choć nie powiedziała jeszcze ostatniego słowa na nasz temat. Odetchnąłem z ulgą, kiedy samochód skręcił w podjazd naprzeciwko, na niegdysiejszy dziedziniec szkolny, gdzie monstrualne stalowe bramy otwierały się i zamykały, bezszelestnie i jakby same z siebie.

Nie było widać nikogo.

Wysiadka z samochodu, potem na dół do lochu Securitate.

Pierwszy raz musiałem znosić to, co tym ludziom zdawało się nigdy nie nudzić, powtarzane ciągle i na nowo: napawanie się moją nagością, zaglądnienie we wszelkie szczeliny i otwory mojego ciała, obwąchiwanie mojej bielizny. Podsycanie strachu, aż pod pachami zacznie zbierać się pot. I w końcu sporządzenie listy skonfiskowanych przedmiotów, czemu towarzyszyły szydercze komentarze. Starszawy podporucznik z mysioszarymi włosami nadawał ton. Przy marce papierosów zaśmiał się:

— Republicanie! A, już nawet to jest podejrzone.

— Jak to? — zapytałem.

— To nie ty tu zadajesz pytania, od pytania jesteśmy my. Wiesz przecież, że ta marka wcześniej nazywała się Royal, królewskie papierosy.

Nie marnowali czasu. Przypuszczalnie wyczyścili moją kwaterę studencką w tym czasie, gdy schodziłem z kliniki na dół do miasta. Zeszyty, teczki z listami, dzienniki posypały się z kosza na bieliznę. Czy przyznaję, że te pisma należą do mnie? Przyznałem. Na moich oczach papiery zostały starannie związane i związane sznurkiem, a ja przyglądałem się temu i byłem już tylko nagą skorupą.

Zabrali moje rzeczy z kliniki. Z walizeczki ze świńskiej skóry, którą wziąłem ojcu, posypał się mój dobytek, między innymi, co dla nich było niezrozumiałe, zielone spodniki kąpielowe. — Przecież to jakieś wariactwo, kąpielówki w zimie! — I wiele książek. Zamierzałem długo pozostać

w klinice. Przy spisywaniu listy musiałem pomagać, przeliterować niektóre tytuły: Thomas Mann, *Opowiadania*, tom dziewiąty wydania enerdowskiego w zielonej oprawie. *Żniwo*, antologia pod redakcją Willa Vespera: wiersze od modlitwy z Wessobrunn aż do Rilkego, dzięki Bogu, najnowsi poeci zmarli przed rokiem 1933. Prace Oswalda Spenglera, pożyczone od nauczyciela Carusa Spielhauptera. *Mały książe* Antoine'a de Saint-Exupéry. Nikołaj Ostrowski, *Jak hartowała się stal*, po rumuńsku. Uznają mnie teraz za kosmopolitę! Zaczęłem szpiclować sam siebie.

Wszystko wpisali na listę, nawet sznurowadła, które wyciągnęli mi z butów, spodenki kąpielowe oczywiście też. Książeczka oszczędnościowa wzbudziła ożywienie: tego dnia, kiedy zostałem aresztowany, przysłano mi przekazem pocztowym z Bukaresztu pierwszą ratę honorarium autorskiego za moje opowiadanie *Czysty kruszec*. Od razu wpłaciłem te pieniądze do Banku Pocztowego, ogromna suma: roczne zarobki matki lub osiem miesięcznych pensji ojca.

Wnikliwie obejrzeni zdjęcie mojej młodszej siostry. Piętnastolatka w kostiumie kąpielowym, szczeniak z prawej strony, kocię z lewej strony przytulone do piersi, które po dziewczęcemu zaczęły się zaokrągląć. — Patrzcie, pies z kotem — powiedzieli oprawcy — jak brat z siostrą! — Poza tym nie mówili nic. Kiedy już zakończyli węszenie i spisywanie i mogłem się wreszcie ubrać, a włos nie spadł mi z głowy, szary podporucznik odezwał się:

— W Securitate jesteśmy dokładniejsi niż na kolei.

Po rewizji osobistej zostałem do popołudnia zamknięty w celi w piwnicy. Wyciągnąłem się na łóżku, skryłem pod płaszczem. Obok mnie stało dwóch mężczyzn. Prosiłem, żeby zostawili mnie w spokoju. Nie chciałem nic słyszeć ani widzieć. I kiedy jeden z nich, chłop, z ponurą miną ukląkł w kącie i zaczął mruzczeć modlitwy, ten drugi nie dał się tak

łatwo zbyć. Był to lekarz wiejski, choć ze swoją zielonkawą twarzą wyglądał raczej na górnika. Na próżno prosiłem go, by nic nie mówił, o nic mnie nie pytał, musiałem wszystko wyjaśnić.

— Nie, nie zanosi się na żadną amnestię.

Prosiłem, żeby mi nie mówił, od jak dawna tu jest. Szepnął:

— Od trzech miesięcy. — Zapamiętałem to sobie, zdjęty przerażeniem. Prosiłem go, by zamilkł. Ale on mówił. Zastaniałem sobie uszy. Odjął moje ręce od uszu i pompował we mnie informacje. — Ich władza jest totalna. Ale nie każdy może wszystko — mówił doktor. — Na przykład strażnik z korytarza może cię ukarać, kiedy chodzi o mniejsze przewinienia: jeśli dzielisz się chlebem z sąsiadem, jeśli na sekundę wyciągniesz się na łóżku; za karę może postawić cię do kąta, jak w idyllicznych czasach przedszkolnych. Ale nie na kilka minut, tylko na godziny, tak, nawet na cały dzień, jeśli mu się tak spodoba. Na to jednak większość strażników jest za leniwa. — I mówił dalej: — Przy niesubordynacji, która wykracza poza ramy celi: modliłeś się z innym więźniem albo złapałeś mysz i z litości znowu puściłeś ją wolno, albo z tęsknoty za śmiercią połknąłeś kawałek mydła, wtedy do akcji wkracza komendant więzienia, wyciąga cię z celi i zamyka do szafy w ścianie, tak jak się ustawia kamiennego świętego w niszy, tylko bez widoków na niebo. — Siedział teraz bardzo blisko mnie, na skraju łóżka, nie mogłem uwierzyć, że trafił mu się intelektualista, *un intelectual veritabil*. I nagle odezwał się po niemiecku: — Co za szczęście, że mogę z panem porozmawiać. Oby długo pan tu był, panie kolego! — Odchylił mój płaszcz i pocałował mnie w czoło.

Chłop przerwał swoją litanię i powiedział:

— Mówcie po rumuńsku. Chcę słyszeć, co gadacie.

— Milcz! Zamknij wreszcie swoją parszywą gębę! Nawet Pan Bóg w niebie się ucieszy, jak dasz mu wreszcie spokój.

Kłapa w drzwiach otworzyła się, zabrzmiał głos, ale bez wrogości:

— Całowanie jest zabronione! — Przestępcy polecono odsunąć się od mojego łóżka. — Stawaj na nogi i nie ruszaj się!

W pozycji stojącej mój mentor pouczał mnie dalej:

— Bicie, torturowanie, dręczenie to przywilej średnich szarż, lecz tylko na rozkaz z góry i za wiedzą pułkownika.

W języku marksizmu-leninizmu to się nazywa demokratyczny centralizm, pomyślałem zgnębiony, podczas gdy on dalej mówił z poetyckim rozmachem, częściowo po niemiecku.

— Jeżeli trzeba komuś z taktycznych względów zadać ból, wtedy żaden z tyranów nie może postępować samowolnie. Na przykład bić po głowie kluczami albo przypalać dziewczętom piersi papierosem, albo za pomocą kryształowych kieliszków sprawić, by jądra mężczyzn się rozdzwoiły. Tego trzeba się nauczyć, to musi być wykonane na rozkaz. Byle kto nie może miażdżyć ci ręki w drzwiach, obijać stóp albo garbować ci skóry łańcuchem od roweru. Choć jeden tak, ten to może wszystko! — Podniósł ręce i wskazał na sufit. — Ten z góry, który stoi najwyżej, on jest wybrany. — I dodał cicho: — Póki go nie strącą. Kto siedzi wysoko, może spaść nisko, nawet tu do nas. — Mówił szybko, jakby jego godziny były policzone. — Nawet umieranie jest zakazane. Surowo zabroniona jest śmierć z własnej inicjatywy. Zabierają ci wszystko, czym mógłbyś się wykończyć. Spójrz tylko na siebie! — Odkrył mnie, szarpnął za opadające spodnie, pokołysał moimi luźnymi butami. — Przedmiotów ze stali i szkła w celi się nie toleruje. — Bezbronny pozwalałem mu na wszystko. — Cella jest tak wymierzona, że nawet nie ma sensu, żebyś próbował z rozpędu uderzać głową w ścianę. Masz tu za mało miejsca, żeby sobie skręcić kark. Będziesz miał tylko skrzywioną

szyję, ale co najgorsze: pozostaniesz przy życiu. Jako lekarz znam się na tym. Odmawiasz przyjmowania pokarmów, wtedy wkładają ci do gęby imadło, którym rozwierają ci szczęki. I pompują pożywienie do żołądka. Ich troskliwość nie zna granic.

Kłapa się otworzyła. Ukazał się w niej nos. Do mnie powiedział:

— Połóż płaszcz w nogach łóżka. Muszę widzieć twoje ręce i twarz. — Nos uniół się do góry, w otworze ukazały się wargi i podbródek. W stronę lekarza padło: — *Terminant!* A ty, doktorze, siadaj na swoim łóżku. I miej na niego oko. — Teraz obok podbródka w celi pokazał się palec wskazujący, wycelowany we mnie: — On ma problemy z głową.

Ledwie doktor usiadł na łóżku, zaraz zaczął się drapać po plecach, wyginał się, by sięgnąć ramionami jak najdalej. Zrodziło się we mnie pewne podejrzenie: czyżby tego wszystkiego, o czym opowiadał, doświadczył na własnej skórze? Warknął na chłopca:

— Przestań wreszcie mamrotać. Zawracasz tylko biednemu Bogu głowę. Podrap mnie po plecach. — I zaraz podniósł koszulę.

Przerwałem mu:

— Niech mnie pan oszczędzi, proszę mi darować widok pańskich... — zagryzłem język, by nie powiedzieć „tortur”, i powiedziałem po niemiecku: — ...pańskich obrażeń. Nie chcę zabrać stąd żadnych strasznych wspomnień.

Jak pergamin lśniła w półmroku jego skóra, na której widać było wydrapane smugi i zawijasy blizn.

— Obrażenia? — powtórzył doktor, nie rozumiejąc. — O co panu chodzi? — I mówił dalej po rumuńsku: — Brak światła i słońca tu w piwnicy jest bardzo szkodliwy dla skóry, utrudnia przemianę materii. Wie pan, promienie słońca działają jak witaminy. — Nie przerywając swojej litanii, chłop podniósł

koszulę towarzysza niedoli aż do karku. Jego szpiczaste paznokcie wskazywały, że przebywał tu już od dawna. Zabrał się do dzieła. Ręce dalej miał splecione, ale pazurami znaczył krwawe wzory na plecach współwięźnia. Tamten stękał z rozkoszy: — *Excellent!*

Przed drzwiami rozległ się brzęk naczyń.

— Ha, obiad! — Doktor pociągnął nosem: — Dzisiaj jest zupa kartoflana, na drugie kapusta. Wieczorem krupy jęczmienne lub fasola. — A że o nic nie zapytałem, wyjaśnił sam: — Podają tu tylko cztery potrawy: kapustę, fasolę, krupy, kartofle. W taki sposób ja też mógłbym być kucharzem.

Chłop przestał na chwilę drapać i wyjął nozdrza. Obaj stanęli obok siebie i wzięli blaszane miski z zupą. Ja się nie ruszyłem. Żołnierz dyżurny wetknął nos do otworu, krzyknął na mnie:

— Jedz!

— *Nu* — powiedziałem. Tutaj nie chciałem nic jeść.

Strażnik nie spróbował jeszcze raz. Doktor, który obiema rękami trzymał miskę przy ustach i z przyjemnością siorbał zupę, powiedział:

— Teraz zobaczy pan, jak tu wygląda podział pracy. Pierwszy przyjdzie komendant aresztu. On tu jest panem nad ciałem i życiem. Ma je utrzymać nienaruszone. Biada mu, jeśli coś pójdzie nie tak.

Drzwi otworzyły się gwałtownie. Nie wypuszczając blaszanych misek z rąk, obaj moi współtowarzysze odwrócili twarze do ściany celi. Ja leżałem na łóżku przykryty wojskowym płaszczem wujka Fritza i nie ruszałem się.

Męski głos zapytał ostro, dlaczego leżę. To był ten sam podporucznik co przedtem, ze szpakowatymi włosami. Odparłem, że jestem chory, zabrano mnie tu ze szpitala.

— Dlaczego nie jesz?

— Dlatego.

Na tym rozmowa się zakończyła. Podporucznik wyszedł. Doktor wyjaśnił mi:

— Teraz przyjdzie lekarz, major. A co się potem stanie, dopiero zobaczymy.

W celi znowu rozległ się łoskot. Podporucznik wprowadził do celi oficera. Ten zmrużył oczy i spojrzał z naganą na słabą żarówkę nad drzwiami. Kurtka jego munduru była ozdobiona bordowymi epoletami, na których lśniła złota gwiazda w otoczeniu węża i kielicha z trucizną. Strażnik w uchylonych drzwiach stanął na baczność, uderzając piętami filcowych kapci.

Lekarz wojskowy nie pytał o nic. Nacisnął mięśnie mojego brzucha. Potem kazał mi pokazać język. Pokazałem mu język. Odwrócił się, a ja przykryłem z powrotem brzuch. Odezwałem się:

— Zabrano mnie z kliniki psychiatrycznej. Jestem leczony szokami insulinowymi. Muszę natychmiast tam wracać.

Major rozkazał:

— Brać go!

Teraz spiorą mnie z hukiem. Ogarnął mnie strach, pomieszany z ciekawością.

Wprowadzono kucharza. W ręce trzymał nie chochlę, ale rzemienny pas. Nawet on był w mundurze, choć na głowie miał futrzaną czapkę, w pasie był przewiązany białym fartuchem, a jego twarz wyglądała jak rozgotowany seler, mimo że codziennie od lat gotował tylko cztery potrawy: kapustę, fasolę, krupy, kartofle. Komendant rozkazał, bym się podniósł i usiadł na skraju łóżka. Strażnik związał mi pasem ręce na plecach. Potem do akcji wkroczył szef kuchni: zacisnął mi nos i zaczął łyżką wlewać zupę w mój szeroko otwarty przełyk. Postarzały na służbie podporucznik zagrzewał go przy tym do akcji. I podczas gdy tyłu mężczyzn troszczyło się o moje dobro, przyszedł mi do głowy straszny obraz z dzieciństwa

w Szentkeresztbánya: węgierska służąca karmi kukurydzą gęś na święta. Jedną ręką rozwiera opornemu ptakowi dziób, a drugą wtyka mu do gardła kukurydzę, popychając środkowym palcem ziarna o ostrych kantach w dół przełyku. Wszystko szło dobrze do momentu, gdy gęś się wyrwała, chwycenie przeszła parę kroków po drewnianej galeryjce i upadła — martwa. Za dużo dobrego ją zabiło.

Zaraz pojawił się następny obraz: ta sama służąca karmi mojego brata Kurta Feliksa szpinakiem, którego nie cierpiał. Krzyczał jak przypiekany na rożnie. Rezulutna dziewczyna zatkała mu nos, żeby musiał sam z siebie otworzyć usta. Przełykał szpinak, ciężko dysząc. Przełykał i dyszał. Ale ostatnią łyżkę wypłuł służącej prosto w twarz.

Musiałem się roześmiać na to wspomnienie, co mężczyźni zmagający się ze mną wzięli za dobry omen. Puścili mnie. Jadłem zupę z posmakiem blachy, pływały po niej oka zakrzepłego tłuszczu. I natychmiast zwymiotowałem. Wszyscy byli zadowoleni.

— No proszę — powiedział lekarz, gdy w celi się uspokoilo, i cmoknął językiem. — Widzi pan, panie kolego, nawet despotyzm zna porządek i hierarchię.

Po wymuszonym posiłku zabrano mnie z celi. Z zasłoniętymi oczami zostałem poprowadzony schodami w górę, potem w dół: huk zamykanych drzwi, w korytarzach było wyraźnie chłodniej, pachniało stęchlizną. — Zwolnij krok! — skrzyp drewnianych drzwi. — Cofnij się! Uwaga, stopień! — Cofnąłem się, zapomniałem o stopniu, wpadłem do tyłu w jakąś niszę z desek. Przed moim nosem zamknęły się drzwi. Zostałem wciśnięty do stojącej skrzyni. Było w niej tak ciasno, że nie mogłem podnieść rąk, żeby zdjąć blaszane okulary, ani odchylić dłoni, żeby popukać w deski. I gdy tylko zginałem kolana, napotykały od razu na przednią ścianę. Nisza świętego bez nieba, przypomniałem sobie. Nie, stojąca trumna.

Zmuszałem się, by zachować spokój, słyszałem dziadka, który mówi: „Choćby było nie wiem jak źle, *contenance!*”. Słyszałem, jak babka mówi: „Choćby było nie wiem jak źle, pozytywnie myśleć!”. I uczepiłem się myślą pierwszej lepszej rzeczy: stojąca trumna. Gdzie ja to słyszałem? Gdzie czytałem? Czy to nie było w pewnej wiosce w kurlandzkich lasach, gdzie jakaś nienaturalna wesołość opanowała gości na stypie, zebranych w paradnej izbie zmarłego, by czuwać i opłakiwać go przy gruszkowym samogonie i drożdżowym cieście? Szał radości ogarnął żałobników. Zaczęli tańczyć. A gdy pomieszczenie zrobiło się za ciasne na tak wiele swawoli, ustawili trumnę z nieboszczykiem pionowo pod ścianą. I dalej zapałali płasali.

Poczułem, jak moje stopy zaczynają podrygiwać w rytm polki, skrzynia zachrobotła. Nieoczekiwanie drzwi ustąpiły przede mną, straciłem oparcie, moje kolana złożyły się na pół. Na oślep wypadłem do przodu i osunąłem się w ramiona strażnika. Ten wysyczał:

— Co ty wyrabiasz?

Nie odrzekłem: „Tańczę polkę”. Nie, powiedziałem:

— Trzęsą mi się nogi.

— Chodź!

Kiedy zdjęto mi zasłonę z oczu, w jasno oświetlonym pomieszczeniu bez okien zobaczyłem Tudora Basarabeana, alias Michela Seiferta, z rękami przywiązanymi do oparcia krzesła.

— Ani słowa — szczerknął krótko oficer, choć i tak nie zamierzałem się odzywać. Po ujrzeniu Seiferta moją pierwszą myślą było: Elisa Kroner, na próżno będzie na mnie czekała.

Widziałem ją przed sobą, w kuchni jej gospodyni: jak w *pleine parade*, w pełnej gali, siedzi na stołku pod tanią żarówką, w granatowej sukience, na szyi perły po babci,

pod nadzorem tamtego babsztyla, w cieniu jego ogromnych trykotowych majtasów i przepoconych staników suszących się nad piecem, Elisa, nieporuszona jak marmur, z *Doktorem Faustusem* w dłoni.

Gdy siedzieliśmy potem w wojskowej ciężarówce, przestraszyłem się. Kierowca jechał w stronę przedmieścia, gdzie mieszkała Elisa. Czyżby chciano ją wciągnąć w tę ohydną sprawę? Objazd miał jednak bardziej gospodarskie przyczyny: drewniana niecka, tak wielka, że mogłaby pomieścić całą świnię, trzeba było ją gdzieś odebrać i dostarczyć w inne miejsce. Świniobicie w Securitate?

Przez moment miałem w myślach żywy obraz: postrzelona świnia wyrывa się i biega jak oszalała tam i z powrotem, pędzi po labiryntach podziemnych korytarzy. Z ran zwierzęcia bucha krew, lecz jego wrzaski pochłaniają filcowe ściany. Rzeźnicy klaszczą w ręce. W swych lochach więźniowie podzwaniają łańcuchami.

Trzymaj się pierwszej lepszej rzeczy, upomniałem sam siebie. Z początku my, dwaj więźniowie i trzech żołnierzy naprzeciwko nas, trzymaliśmy ogromne drewniane naczynie na kolanach. Kiedy samochód na skraju miasta skręcił w wyboiste uliczki, gdzie domki były małe i wiejskie drzewa strzelały w niebo, niecka zaczęła tańczyć do taktu. Nikt nie mógł jej utrzymać. Strażnicy musieli pilnować swoich pistoletów, a my byliśmy skuci ze sobą.

Samochód zatrzymał się przy skromnym domu otoczonym morwami. Z przedniego siedzenia zeskoczył kapitan, rzucił krótkie rozkazy. Dwaj żołnierze wyładowali drewniane naczynie. Z szacunkiem oparli ogromny przedmiot o bramę. I zaraz wrócili na swoje miejsca naprzeciwko. Wpatrywali się w nas z nieprzeniknionymi minami, podczas gdy my błędziliśmy wzrokiem dokoła.

Brama z desek była nowo zbudowana i lśniła świeżą zielenią farby olejnej. Także front domu z dwoma oknami był świeżo malowany. Na cichej uliczce zebrali się mieszkańcy i z wyciekającymi minami nie odstępowali oficera: dwie kobiety owiane kuchennymi zapachami odwiązywały pośpiesznie fartuchy, grubo ciosany mężczyzna skrzyżował nagie ramiona, z kieszeni jego skórzanego fartucha sterczały liczne noże, a dzieci w sweterkach ręcznej roboty i futrzanych czapkach grzecznie wysuwały się przed dorosłych. Oficer przywitał się z każdym uściskiem dłoni. Nie zdjął rękawiczek. Trzech malców prostodusznie wyciągnęło ku niemu swoje czerwone rączki, które on także uściśnął. Potem musnął policzek dziewczynki i rozdał wszystkim trochę słodyczy.

Wysoko postawiony gość wypróbował ostrość noża, to właśnie nim jutro mężczyzna w skórzanym fartuchu przecnie gardło tucznej świni, zapytał kobiet, czy zgromadziły wszystkie dodatki i przyprawy, z zadowoleniem skwitował, że czosnek już jest obrany. Pochwalił tłustą świnię, którą chłopcy zwabili kukurydzą, z powodu tuszy nie mogła prawie utrzymać się na nogach, przy każdym kroku z chrząknięciem wykładała się w śniegu. Wokół szyi miała zawiązaną trójkolorową wstążkę w barwach Rumunii.

— *Foarte bine*, bardzo dobrze — powiedział oficer. Pojutrze przypada dziesiąta rocznica proklamowania republiki ludowej. — Ale jednak należy zamienić tę niebiesko-żółto-czerwoną wstążkę na czerwoną.

Dorośli pokiwali głowami ze zrozumieniem. Mężczyzna z podwiniętymi rękawami koszuli znowu wyjął nóż. Dwoma machnięciami ostrza odciął jednej z kobiet czerwone troczki od fartucha i kazał chłopcom przystroić zwierzę ofiarne. Kobieta krzyknęła przenikliwie:

— Stój, zadźgasz dzieci!

Druga wyjaśniła:

— Popił zdrowo raki. Ale tak to się należy.

Chłopcy zrobili, co im nakazano. Choć nie do końca tak, jak chciał oficer Securitate: do trójkolorowej kokardy dołączyli czerwoną wstążkę. Barwy ojczyzny i czerwony chłam.

Przyczłapała stara kobieta, podpierająca się kijem, czarno ubrana, w wełnianej chuście naciągniętej na twarz. Dwie młodsze kobiety chciały ją podtrzymać, ale odrzuciła wszelką pomoc. Stała wyprostowana, nie opierając się o bramę, wsparta tylko na lasce. Kapitan podszedł do staruszki. Zdjął skórzane rękawiczki. Potem pochylił się nad laską i ucałował rękę kobiety. Kobieta spojrzała na niego błyszczącymi oczami i powiedziała:

— Znowu w drodze, w trudnej misji. Jedźcie, bo złapie was noc! — Trzy razy uczyniła znak krzyża nad głową mężczyzny, którą ten z pokorą pochylił.

Gdy odjeżdżaliśmy, wszyscy patrzyli za nami, a każdy spoglądał trochę inaczej: mężczyzna z nożem, parujące kuchnią kobiety, dzieci liżące swoje cukierki. Stara kobieta w czerni patrzyła surowo, jak przełożona w leśnym klasztorze. I bardzo szczególnie spoglądała przystrojona świątecznie świnią.

Tak, to był czas wielkiego świniobicia.

Kiedy opuszczaliśmy Klausenburg drogą wylotową na południe, jeden z żołnierzy na rozkaz oficera okrył nam nogi podbitym futrem płaszczem. Zdziwiło to Michela Seiferta, co także głośno wyraził: nie spodziewał się, że tak troskliwie będą się nami opiekować, bardzo go to dziwi, nie, wcale się tego nie spodziewał.

— A co ty myślisz — odpowiedział mu oficer, który siedział z przodu i bawił się pistoletem — u nas panuje porządek. Nasz najwyższy przywódca, towarzysz Gheorghe Gheorghiu-Dej, nauczył nas, że człowiek jest najcenniejszym kapitałem. — Później, kiedy na dworze i w samochodzie zrobiło się ciemno,

żołnierze niepostrzeżenie naciągnęli połowę płaszcza na swoje nogi. Chociaż wolni, oni też marzli.

Mimo owej koleżeńskiej troskliwości strażnicy nie pozwalali nam zwracać się do siebie „towarzyszu”. Mieliśmy ich tytułować pan, *domnule*, a pozdrawiać *sã trãifi*. Niech żyje pan major, nie zapominając o panu starszym szeregowym.

— Jak to *domnule*? — zapytał Michel Seifert. — Przecież najwyższą uchwałą każdy obywatel zobowiązany jest zwracać się do innych per towarzyszu, towarzyszko, od towarzyszki przedszkolanki poczynając, a kończąc na towarzyszu Leninie.

Oficer odparł szorstko:

— Dekret ten nie obejmuje więźniów i duchownych.

To było wystarczające wyjaśnienie. Ale Michel Seifert pociągnął tę myśl dalej i powiedział łagodnie:

— I króla też.

— Zamknij gębę — fuknął oficer i rozkazał, żeby nam nałożono blaszane okulary. Ostrymi zakrętami samochód osiągnął wysokość Feleaca. Miasto w dolinie pogrzyżyło się w mroźnym fiolecie. Nasze ostatnie spojrzenie, zanim ogarnęła nas ciemność, objęło góry na zachodzie, na ich lodowych szczytach rozpraszało się światło słoneczne. Innego słońca już nie widzieliśmy.

4

Okienko pod sufitem rozjaśnia się powoli. Przefiltrowana jasność zaczyna obmacywać ściany. Wstaje ranek.

Po korytarzu toczą się kółka, przystają, suną dalej. Kłapa w drzwiach otwiera się. Śniadanie! Odcięta ręka nalewa brązową ciecz do mojego garnuszka, który podaję przez otwór. Potem wsuwa kromkę chleba i dokłada do niej kostkę *palukes*.

To porcja na cały dzień, jak ostrzega niewidzialny głos. Nie jem. Ale oglądam uważnie pryzmowaty kształt kukurydzianego placka.

Kiedyś, w świecie na zewnątrz, miał złotożółty blask. Służąca wylewała ugotowaną na gęsto kaszę kukurydzianą z żeliwnego rondla na drewnianą deskę. Masa zastygała w parującą półkulę, którą ojciec kroił potem na kawałki jedwabną nicią. Matka łopatką do tortu nakładała nam różnej wielkości kawałki na talerze i zalewała je bawolim mlekiem. Tutaj *palukes* lśni zielonkawo.

Zbrojone szkło zniecka rozżarza się do białości, a od strony nieba nadchodzi rytmiczny odgłos, szum z wysokich sfer, uderza o kraty i mury, wprawia celę w kołysanie. Wstaję z łóżka i prostuję się. Głowę mam opuszczoną. Składam ręce, lecz się nie modłę.

Rozdzwonił się wielki dzwon na Czarnym Kościele w Kronstadt. Ponieważ jest pęknięty, bije tylko z wyjątkowo uroczystych okazji. Muszą się dziać wielkie rzeczy.

Ledwie dzwon zamilkł, podrywają mnie niesłyszane tu jeszcze dźwięki. Na korytarzu z przeraźliwym zgrzytem otwierają się drzwi. Potem rozlega się stukot kroków, które się zbliżają, dźwięk narasta. Jak granat szukający celu, myślę. Kulę się. Drzwi otwierają się gwałtownie. Żołnierz w oficerkach, a za nim strażnik w kapciach, Nenufar, z lodowatą twarzą.

Siedzę na łóżku i patrzę w podłogę. Żołnierz w oficerkach podchodzi do mnie, dotyka mojego ramienia i podaje blaszane okulary: — Idziemy! — Siedząc zakładam okulary, tracę wzrok. Potem wstaję. Czyjaś ręka bierze mnie pod lewe ramię i popycha naprzód. Zwlekam. — *Repede, repede!* — Z lękiem wysuwam jedną stopę przed drugą, nie tylko dlatego, że muszę go ślepo słuchać. — Odlicz jedenaście stopni, teraz trzy kroki, jeszcze raz jedenaście stopni! — Odliczam, potykam się, odliczam. Wolną ręką przytrzymuję spodnie, żeby nie stać tam

z gołym tyłkiem. — Stój — słyszę. Potem: — Dalej! — Potem znowu: — Zatrzymaj się! Odwróć się do ściany! — Gdzie tu jest ściana? Pachnie zjełczałym mydłem i tanimi perfumami, jak w kinie. Pomiędzy rozkazami trzaskają zamki, łaskocze mnie prąd powietrza. Wącham, wsłuchuję się. Zmysły otwierają się zachłannie. — *Stai!* — syczy mój towarzysz. Wpychają mnie gdzieś. Czuję przez okulary: tu jest dużo światła. Poznają po zapachu: czuć ludźmi.

Męski głos rzuca pytanie w moją ciemność:

— Czy wiesz, gdzie jesteś? — Czy muszę wiedzieć, gdzie jestem? Mamrocze:

— Nie rozumiem pytania.

— Aha — mówi głos. — Na przykład w jakim mieście.

— W Stalinstadt. — Odpowiedź wyrywa mi się wbrew mojej woli.

— Kto ci to powiedział?

— Sam na to wpadłem.

— Na jakiej ulicy?

— Na Angergasse.

— Gdzie? — Opieram się temu słowu, do którego wypowiedzenia chcę mnie zmusić. — Gdzie? — rozlega się monotony głos z lewej strony przede mną. Przełykam ślinę:

— *La Securitate.*

— Jaki dzień dzisiaj mamy?

— Dwudziesty dziewiąty grudnia.

— Zdejmij okulary! — Zdejmuję okulary. Ktoś wyjmuje mi je z ręki.

Mężczyzna w mundurze rozkazuje:

— Usiądź przy stoliku. — Przy stoliku? Oślepiiony światłem nic nie widzę. Głos rozkazuje: — Przy stoliku za drzwiami. — Pauza. — Nie chcesz być posłuszny? — Mrużę oczy. Wreszcie dostrzegam stolik. Chcę sobie podsunąć krzesło. Stół i krzesło są przykręcone do podłogi.

Pokój jest pełen mężczyzn po cywilnemu. Zajęli swoje stałe miejsca w szeregach pod ścianami i na środku pokoju. Są starannie ubrani. I wyglądają podobnie. Szare garnitury szyte na miarę, popelinowe koszule w stonowanych kolorach, dyskretne krawaty, drogie buty. Różnice rozmywają się. Koło zakratowanego okna przy biurku siedzi oficer z tłustymi gwiazdkami na naramiennikach, major. Czy to są ci towarzysze, do których się nieśmiało wybierałeś, do których jeszcze wczoraj szedłeś? Ależ skąd. Tutaj nie chciałem trafić.

Nikt się nie odzywa. Nic się nie dzieje. Tylko ich spojrzenia skierowane są na mnie. Milczą. Czekam.

Garnitury na miarę! W mojej rodzinie kobiety przypominały mężowi: „Musisz iść do krawca”. Dziadek, Hans Herman Ingo Gustav Goldschmidt, z muchą i chusteczką w butonierce, nigdy nie ubierał się inaczej niż w garnitur, nawet w domu. Umarł w samą porę, chwala Bogu, jak podkreślały ciotki Helene i Hermine, w lutym 1947 roku; król wtedy jeszcze był w kraju i stawiał bolszewikom swe koronowane czoło.

Mój ojciec... Zapisał mi swój szary garnitur z chesankowej wełny, kiedy zdecydowałem się studiować teologię. Garnitury na miarę: nawet nam, chłopcom, je szyto, ze spodniami pumpami, u mistrza Bardocza w Fogaraszu. Prawie poczułem, pogrążając się we wspomnieniach, tamto przyjemne łaskotanie, kiedy krawiec, klęcząc na podłodze z metrem krawieckim, sięgał krocza, jego palce wspinały się do góry po udzie, by między nogami oznaczyć koniec nogawki. Buty także robiono nam, dzieciom, na miarę: tradycyjne półbuciki, o dwa numery większe, byśmy mieli możliwość do nich dorosnąć. Z początku mogliśmy w nich chodzić tylko w niedzielę, musieliśmy wypychać je z przodu watą. Wtedy. Wtedy, myślę automatycznie, w czasach wyzyskiwaczy, przed wyzwoleniem spod jarzma faszyzmu. I słyszę swój głos, który mówi:

— Wczoraj miałem zamiar ubiegać się o przyjęcie do partii. Odpowiednie dokumenty znajdują panowie w mojej aktówce. — Cisza. Nikt się nie porusza. — A aktówka z kolei znajduje się u was. — Jest niedzielne przedpołudnie. Mają czas. Ale mnie się śpieszy. Znowu słyszę siebie, mówię z naciskiem: — *Vreau imediat o confruntare cu un medic psihiatru!* Chcę natychmiast zobaczyć się z lekarzem, psychiatrą.

Ledwie zauważalny ruch przesuwają oczy mężczyźni w cywilu na oficera. Ten patrzy zaskoczony. Nagle czujność rozpała moje zmysły. Domyślam się, że coś w moich słowach nie spodobało się tym mężczyznom, wyrzucam z siebie:

— Życzę sobie, by mnie natychmiast uwolniono.

Major pyta:

— Czy wiesz, kim jesteśmy?

Spojrzenia pozostałych wracają, znowu są skoncentrowane na mnie. Jeszcze raz wpatruję się w ich buty.

— Tak — odpowiadam.

— Kim jesteśmy?

Zwlekam, żeby znaleźć jakieś neutralne sformułowanie.

— Z Securitate.

— Skąd to wiesz? — Spontanicznie chcę odpowiedzieć: wszyscy noszą buty Romarta. Wtedy odzywa się oficer: — Wiesz za dużo.

Ściskam kolana, żeby uspokoić stopy, i zmuszam się do pytania:

— Dlaczego tu jestem? Gdzie nakaz aresztowania? — Nikt nie odpowiada. Ktoś tu musi być najwyższy rangą. Nie zdradzają się. — Chcę, żeby mnie wypuszczono. Nie mam nic na sumieniu, nie jestem wrogiem reżimu. Udowodniłem to. Za opowiadanie o tematyce aktualnej dostałem nagrodę i premię. To brązowe ubranie, które właśnie mam na sobie, kupiłem za tamte pieniądze.

— Wiemy to wszystko.

— Założyłem w Klausenburgu Kółko Literackie imienia Josepha Marlina, należące do Komunistycznego Związku Studentów. Nosi imię saksońskiego bojownika o wolność, towarzysza walki Petöfięgo. Tak samo jak on, Marlin poległ śmiercią bohatera na wojnie w latach 1848–1849.

— On umarł w łóżku, ten wasz rewolucjonista Josif Marlin! Na cholereę.

To prawda.

— Ale jednak brał udział w walkach — upieram się.

— Poza tym — ciągnie dalej oficer — Marlin to przecież jeszcze nic nie znaczy. W Budapeszcie studenci nazwali swoje koło literackie imieniem Petöfięgo, Petöfikör! I pod tym płaszczykiem wzniesili kontrrewolucję. A teraz siedzą w więzieniu. — Kończy swoją wypowiedź: — Wiemy wszystko. Ale będziemy wiedzieć jeszcze więcej. Dlatego was tutaj zebraliśmy, ciebie i tamtą resztę. Chcemy w spokoju sprawdzić, co naprawdę myślicie, jakie są wasze rzeczywiste zamiary.

Resztę? Wiem o Michelu Seifercie. Ale poza tym, kto jeszcze? Mówię w ciemno:

— Pozostali także są lojalnymi obywatelami republiki ludowej, szczerze oddanymi reżimowi. — Chciałbym, żeby tak było, nawet wierzę w to. Zaklinam ich, żeby naprawdę tacy byli.

— Właśnie to chcemy sprawdzić. Mamy czas.

Ale ja nie mam czasu. Szybko mówię dalej:

— Oprócz psychastenii cierpię także na zaniki pamięci, w klinice byłem na to leczony. Glutacydem. Mam to czarno na białym: osłabienie pamięci. Dlatego nie mogę wam w niczym pomóc.

Ogromny Hun w swoim najlepszych latach, prawdziwy zabijaka, podnosi się:

— Wspaniale! W takim razie to odpowiednie miejsce dla ciebie. U nas jest jak w sanatorium. Tutaj człowieka chorego

uzdrawiamy na wszelkie sposoby. Na przykład problemy żołądkowe od razu przechodzą przy tak dietetycznym wyżywieniu. Ludzi o zniszczonych nerwach też potrafimy wyleczyć. A kto cierpi na zaniki pamięci, jak ty, *amice*, temu od razu pomożemy, znamy na to jedno lekarstwo. Sprawiamy, że u każdego pamięć wypełnia się jak gąbka, aż wszystko z niej wyciśniemy, do ostatka; tak że człowiek przypomina sobie nawet rzeczy, które mu się nigdy nie zdarzyły. — Czy nie powiedział za dużo? Nikt mu nie przerywa. Czy kuracja się uda, zależy od chęci współpracy. Przy każdej chorobie tak jest: pacjent też musi się starać, pomóc lekarzowi. — *Colaborare!* To jest kluczowe słowo.

Siąda zasapany, zajmuje miejsce pośród zastygłych w bezruchu mężczyzn. Wszyscy siedzą na wyściełanych krzesłach, co do jednego. Ale w odróżnieniu od innych, ten wrażliwy człowiek trzyma ręce splecione na brzuchu. Pozostali położyli dłonie na udach.

— Czy chcesz się na coś poskarżyć? — pyta major zza swojego biurka.

— Tylko na to, że tu jestem. I chcę wiedzieć, dlaczego tu jestem. — Choć po chwili przychodzi mi do głowy coś istotnego: brak papieru toaletowego zdecydowanie zasługuje na skargę.

Prawie niepostrzeżenie oczy mężczyzn przesuwają się na tego ze splecionymi rękami. On odzywa się do mnie ojcowskim tonem:

— A więc to cię razi? W ten sposób, *amice*, złożyłeś ważną deklarację. Bo papier toaletowy to burżuazyjny wynalazek dla rozpieszczonego i zdegenerowanego zadka wyzyskiwacza. Tym szczegółem zdradziłeś nie tylko swoje pochodzenie społeczne, ale pokazałeś także, do jakiego stopnia pozostajesz pod wpływem burżuazyjnej mentalności, chociaż zaklinasz się, że jest inaczej. — Do diabła, każde słowo to o słowo za dużo! — W szczegółach siedzi diabeł, nieczysty, siedmioogo-

niasty! I właśnie jego z ciebie wypędzimy. Czy przedtem mieliśmy papier toaletowy w domu, towarzysze? — Mężczyźni potrząsają rytmicznie głowami. Nie! Nigdy. — Kto z nas może w ogóle się pochwalić, że w tamtym czasie miał w domu WC, ten obrzydliwy wynalazek angielskich plutokratów? W ogóle: ustęp w domu, fuj, co za obrzydlistwo!

Potem ów olbrzymi mężczyzna zaczyna opisywać, jak można sobie inaczej wyczyścić odbyt, a okazuje się przy tym wielkim znawcą tej materii: oskubaną kolbą kukurydzy, może służyć całej rodzinie; wczesnym latem liśćmi rabarbaru; niezależnie od pory roku i miejsca palcami, które potem można wytrzeć o ścianę. Aha, dlatego ściany w klozecie pełne są brązowych smug.

Zauważam, że referując temat, mężczyzna nie wymienia procedury z garnuszkiem do picia, która tak się przyjęła w tym budynku. Wiedzą dużo, ale jednak nie wiedzą wszystkiego. W końcu postawny mężczyzna informuje mnie, że prawdziwy proletariusz, w przeciwieństwie do burżujów, nic z tych rzeczy nie potrzebuje. Gdyż jego zwieracz działa tak doskonale, że ekskrementy zostają precyzyjnie odcięte, „jak w salami”.

Wreszcie pada właściwe pytanie:

— Kto to jest Enzo Puter? Wszystko, co o nim wiesz, masz nam powiedzieć!

Enzo Puter, to przeklęte nazwisko! Odpowiadam od razu, pełen złości i goryczy:

— Wiem tylko jedno: odebrał mi dziewczynę, z którą byłem zaprzyjaźniony przez cztery lata, i zabiera ją do siebie, do Niemiec. Ta sprawa jest dla mnie zakończona. Definitywnie!

— Ale nie dla nas — mówi oficer, a ciemnowłosy mężczyzna, który przedtem zabierał głos, uzupełnia:

— Kiedy chodzi o politycznie wysoką stawkę, gdy w grę wchodzi imperialistyczne interesy, wtedy sprawy osobiste powinny się znaleźć na drugim planie.

— Nie miałem z tym człowiekiem nic wspólnego i nie chcę mieć z nim nic wspólnego.

Oficer kołysze głową na boki:

— Może tak, może nie.

— I nigdy więcej nie chcę z tą, z tamtą...

— Z twoją była dziewczyną. Wiemy to, wiemy także, że przysięgłeś sobie prędzej zdechnąć w przydrożnym rowie niż jeszcze raz pokazać się jej na oczy.

Dokładnie to sobie przysięgałem pewnego wieczoru przed jej bramą, niedługo potem, jak Enzo Puter w listopadzie 1956 roku wrócił do Niemiec, z biurem podróży Fröhlich.

Czuję się wystawiony na widok publiczny, jak rozkrajane trupy w prosektorium kliniki uniwersyteckiej. Każdy student musiał choć raz zejść do tamtych katakumb pełnych odrażających oczywistości, trzeba było to zrobić, to należało do studenckich lat tak samo jak noc w Ogrodzie Botanicznym z wybranką serca. Mężczyźni przede mną długimi hakami przysuwają porozcinane ciała do krawędzi basenu. Inni pochylają się nad betonowymi stołami, grzebią w zalanych formaliną wnętrzościach, zaglądną w zakamarki ludzkiego mózgu lub rzucają się na martwe genitalia.

— Tego Enzia Putera widziałem tylko raz, przelotnie.

— I rozmawiałeś z nim całą noc — dodaje oficer — tylko z nim, w domu twojej przyjaciółki. Spędziliście popołudnie we trójkę: on, ty i ona. A wcześniej we czwórkę jedliście obiad, z matką twojej przyjaciółki. Spóźniony obiad, bo ty przyjechałeś dopiero po drugiej pociągiem z Fogaraszu, na Dworzec Bartholomejski, gdzie czekała na ciebie twoja dziewczyna.

— Nie jest moją dziewczyną — mówię rozdrażniony.

— Twoja była dziewczyna — zgadza się. — W sumie spędziłeś od 11 do 12 listopada zeszłego roku osiemnaście godzin i trzydzieści trzy minuty z tym podejrzanym osobnikiem. I to tutaj, w tym mieście, na ulicy Zion, numer 8. Po czym on

rano opuścił dom w towarzystwie twojej byłej przyjaciółki, by pojechać do Bukaresztu, a stamtąd do Niemiec Zachodnich. — Tym samym łagodnym tonem ciągnie dalej: — Odjechał z Dworca Głównego. Gdzie na peronie całowali się aż do podstawienia pociągu, całowali się dalej jeszcze na schodkach wagonu, gdy skład już ruszał. — I nagle, tak ostrym głosem, że aż musiałem sobie zasłonić uszy: — Całowali się bezwstydnie, ten zachodnioniemiecki bandyta i ta twoja diabelska dziwka, zdrajczynie ojczyzny!

Nic nie przychodzi mi na to do głowy. Moja głowa jest jaskinią pełną horrorów. Uciekać stąd! Na koniec świata. W czerwcu po egzaminie dyplomowym od razu wyjechać, nad ogromne rzeki Chin, Huang-ho, Jangcy. Bratni naród socjalistyczny sygnalizował, że potrzebuje hydrologów nad Morzem Żółtym, daleko stąd!

Prowadzący przesłuchanie oficer mówi, że ma jeszcze dużo na sercu, ale...

Ale: wszyscy w pokoju jesteśmy zgodni, że ogromny żołądek męczyzny siedzącego w środku burczy. I jakby męczyzna z burczącym brzuchem tylko czekał na słowo „serce”, wstaje i prostuje się na całą swoją wysokość. Pozostali zrywają się. Stają na baczność. Zastygają w bezruchu. To jest ten najwyższy rangą, myślę oszołomiony.

Miarowym krokiem męczyzna opuszcza pomieszczenie. Łokciem przyciska do siebie teczkę z napisem *MINISTERUL DE SECURITAT*, którą kazał sobie podać z biurka. Żaden nie patrzy za nim, tak samo nie wymieniają spojrzeń między sobą. Tylko stoją sztywno. Milczą.

— Zastanowisz się i spiszesz wszystko, co wiesz o tym niebezpiecznym osobniku, tym imperialistycznym agencie. — Oficer spogląda na kartkę papieru i nienagannie literuje: — Enzo Puter. — Klaszcze w ręce. Zjawia się strażnik. — Wstawaj — rzuca oficer.

Wszyscy przyglądają mi się jak na komendę. Usiłuję wstać. Bez skutku. Próbuje się zerwać. Na próżno. Stopy nie chcą mnie słuchać. Zdają się przykręcone do podłogi. Moje kolana są jak z ołowiu. Mężczyźni kiwają głowami. Oficer rozkazuje strażnikowi:

— Złap go pod pachami, pomóż mu wstać. — Ten posłusznie wypełnia rozkaz wprawnymi rękami. Stoję, stoję na chwiejnych nogach, na nogach z gliny. Żołnierz podaje mi okulary. Wycofuję się w ich ciemność. Naprzód marsz. Wreszcie szczękają zamki.

Drobny mężczyzna stoi w głębi celi, plecami zwrócony do mnie. W ciemności trudno go zauważyć. Jego ubranie wygląda staroświecko. Podaje mi rękę, mówi cicho:

— Pochwalony! Nazywam się Rosmarin — i dłonią dotyka spranego beretu — Anton Rosmarin z Temesváru. — Kłania się.

— Niech mi pan nie mówi, od kiedy pan tu jest. Nie wytrzymam tego ani chwili dłużej. — Gdy wyciągam się na łóżku, wyczuwam po sienniku, że to nie jest ta sama cela, w której byłem dzisiejszej nocy.

— Leżeć nie wolno — mówi łagodnie mężczyzna.

— Oni muszą mnie wypuścić. To nieporozumienie.

— Każden jeden na początku tak myśli — szepcze. — Ale teraz wstawaj pan. Bo jak ten z drugiej strony zobaczy, że pan leżysz, to ukarze cię, będziesz stał w kącie na jednej nodze: bocian to się nazywa. Znam się na tym. Od sześciu lat tu jestem.

— Od sześciu lat! Gdzie, tu? W tej norze?

— W tej izbie tylko siedem miesięcy. Ale za to sam.

Naciągam płaszcz na twarz i płaczkliwie odzywam się z półmroku:

— Nie chcę nic wiedzieć. Ani odkąd. Ani dlaczego. Nic, po prostu nic. Proszę mnie łaskawie oszczędzić.

Mężczyzna odsuwa płaszcz z mojej twarzy, mówi:

— Ale niedługo będę wolny, mają mi darować ostatnie dwa lata. I jak wrócę do domu — przelyka ślinę, wyciera sobie usta, które jako jedyny szczegół lśnią w jego przygaszonej twarzy — to wejdę do kuchni i powiem: Mitzi, powiem, wróciłem, dawaj jeść, ma być ser owczy, *brânză*, z cebulą! — Mówiąc to, sieka prawą dłońią w powietrzu. — Tak właśnie chcę cebulę! Pokrajaną *finom*, drobniutko. I ser ma być w kawałkach. I dopiero potem się zapytam: A gdzie dzieci? Emma i Toni? One i tak mnie nie poznają. A potem położę Mitzi na stolnicy na kuchennym stole i będzie łomotanie! — Przerywa. Szepcze: — Na mą duszę, z pana to jakiś dziwny ptaszek. *Gardian* zaglądał do środka, długo, ale wcale nie wrzeszczał.

— Skąd pan to wie? Przecież pan stoi plecami do drzwi.

— Słyszałem uszami. Ale coś pan przeszkrobał?

— Nic, naprawdę nic!

— No właśnie — mówi mój towarzysz — każdy tak o sobie myśli, że jest niewinny, jak dziewczyna przed wejściem do konfesjonału. Nawet taki szpieg jak ja tak myśli.

Szpieg! Do tego momentu bajkowy stwór z powieści i filmów, którego nigdy nie spodziewałem się spotkać na żywo. A teraz stoi przede mną, wprawdzie niepozorny i pozbawiony jakiegokolwiek glorii czy demonizmu, lecz prawdziwy i rzeczywisty.

Zaklinam się:

— Niczym nie zawiniłem! Naprawdę nic nie zrobiłem. Mimo że jestem siedmiogrodzkim Sasem, to jednak popieram socjalizm. — Mówię jeszcze więcej, słowa wyskakują mi z ust na wyścigi, jakbym w jednej chwili chciał stworzyć nowe rzeczywistości.

— Tak to jest, w Securitate wszyscy są bardziej komunistyczni niż sam papież. Każdy odrzuca swoją przeszłość jak jaszczurka ogon, gdy się na niego nadepnie.

Poza tym jestem chory, mówię mu, cierpię na rodzaj zapalenia duszy. Natrętne wizje nachodzą mnie niczym ataki gorączki.

— To dla mnie najgorsza trucizna, nie do wytrzymania. Ciasne i ciemne pomieszczenia... lekarze wyraźnie mi zabraniają...

— Tutaj nikt nie wytrzymuje — mówi Rosmarin — to trucizna dla każdego. Mnie także lekarze zakazywali iść do więzienia. I od tamtego czasu moja dusza spala się w ogniu.

— Dużo ruchu na rozległych łąkach — gapię się na białą ścianę — to mi zalecano. Łąki ze stokrotkami i pierwiosnkami, lasy jodłowe, szum wysokich drzew. Żadnych sytuacji konfliktowych. I w ogóle tak naprawdę to życie mi się sprzyrzyło.

— To znaczy, żeś pan dobrze trafił.

Pyta, jak mi poszło na przesłuchaniu.

— Co chcieli wiedzieć?

— Nic. Nic szczególnego. Nie powiedzieli, o co chodzi. To znaczy gadało tylko dwóch, reszta siedziała jak bałwany. Na końcu pytali mnie o jednego faceta, z którym nigdy nie miałem nic wspólnego.

— Tak ci się tylko wydaje! Z innostrańcami nie ma żartów.

Innostrańcy, cóż za dziwne słowo. Dalej Rosmarin chce wiedzieć, jak wyglądali obaj wypytyjący.

— Jeden był w mundurze, miał żółte brwi, ten drugi po cywilnemu, przyjemny, tęgawy mężczyzna, ciemnowłosy. Chyba najwyższy rangą.

— Taki, co składa ręce jak w kościele, nad rozporkiem? Na mą duszę, ależ ziółko z pana! — A więc sam komendant Securitate, nazwiskiem Crăciun, był dzisiaj na porannym przyjęciu. Niezłe towarzystwo! To od niego zależy, czy ktoś jest bity i jak jest bity. Ale nic ci się nie stanie, jeśli nie udajesz głupka. Jego oczkiem w głowie są jelenie i sarny, na tutejszym

dziecińcu i w ogrodzie. Biada, jeśli coś im się stanie. Ojojoi! Od górnika w Petroszanach doszedł do pułkownika. Tytułuje się *Director General Securitate* na okręg Stalin. — Te słowa spływają Rosmarinowi z ust, jakby odmawiał różaniec. A ten z żółtymi brwiami i twarzą jak kura to główny śledczy Alexandrescu. — Za dużo jak na takiego młodzika jak pan.

— Skąd pan to wie tak dokładnie?

— Ach, stary ze mnie lis, a tutaj wie się wszystko. Czy na końcu mogłeś pan ustać na własnych nogach?

— Nie mogłem — odpowiadam zdziwiony — byłem jak sparaliżowany.

— To było jak się należy. Tak powinno być. — Sprawia wrażenie zadowolonego, drepcze tam i z powrotem, pięć kroków w jedną stronę, pięć w drugą. — Tysiąc i trzydzieści kroków, potem przyniosą jedzenie.

— Skąd pan to wie?

Unosi palec wskazujący do okna:

— Stamtąd. To mój zegar słoneczny. — Po jasności światła w pancernym szkłe określa czas. Obiad pojawia się o dwadzieścia kroków za wcześnie. Rosmarin przystanął w zamyśleniu kilka razy. A może się przeliczył? Odgłosy turlania i skrzypienia zatrzymują się w równych odstępach czasu przed celami aresztu. Trzaskają naczynia. Rosmarin nasłuchuje swoimi wielkimi szarawymi uszami: — Tam jest szóstka.

— Szóstka czego?

— Sześć zapudłowanych.

— Ale to niemożliwe, przecież nie mogą nawet oddychać!

— Trzyście — mówi wyrozumiale — trzyście osób wchodzi swobodnie do celi i muszą tam oddychać i stać, siedzieć i spać, pierdzieć i szczać przez długie lata. Koło nas jest jeden.

— Sam? — pytam przestraszony.

— Jeden zawsze jest sam.

Słyszymy, jak strażnik błędną rumuńszczyzną z węgierskim akcentem rozkazuje: „*Linierea!* Ustawić się w szeregu”.

— Ten *gardian* jest Madziarem. Nazywamy go *Päsäirilä*, bo jest taki długachny jak ptasznik. On nie zna się na żartach.

Do otwartej kłapy nachylają się wąsy i mówią:

— *Linierea!*

Rosmarin przejmuje dwie miski z kartoflanką, ja biorę błaszane talerze z kupką kapusty.

— Wieczorem będą krupy albo fasola. — To też mogłem przewidzieć.

Przełykam szybko oba dania i zaraz jestem gotów. Rosmarin powoli zabiera się do rzeczy. Wrzuca duszoną kapustę do zupy, kruszy do miski chleb i żuje powoli, mieląc szczękami bez przerwy. Wreszcie przełyka, jakby boleśnie żegnał się z jakąś bliską istotą, ale potem jeszcze raz wycofuje papkę z przełyku, smakuje i ostatecznie rozstaje się ze swym kąskiem. Przed jedzeniem zdjął beret i przeżegnał się. Jego wyschnięta łysina straciła wszelki blask.

— Gotowe — mówi, zbiera czubkiem języka ostatnie kropelki i kruszynki chleba z warg, wyciera usta, po czym wylizuje wilgotny grzbiet dłoni. Znowu czyni znak krzyża na twarzy i piersiach, mruczy coś pod nosem, wkłada czapkę. Z resztki chleba drobi okruszki. Schyla się do grzejnika i rozsypuje je na podłodze: — Dla myszek! — Przy oddawaniu naczyń przez otwór w drzwiach kobieca dłoń napełnia nasze emaliowane garnuszki wodą. — To Cyganka — wyjaśnia Rosmarin — nazywa się Fuszufusz.

— Jak?

— Fuszufusz. Nie słyszysz, jak wszystko na niej szeleści?

— A skąd pan wie, że jest Cyganką?

— Popatrz pan na jej ręce. Brązowe jak czekolada. No, załatwione! — Siada zgodnie z przepisami w nogach żelaznego łóżka, a ja się kładę. Strażnik zagłąda przez judasza, jego oko

długo się we mnie wpatruje. Otwiera okienko w drzwiach, wąsy zwisają mu do środka celi, a garbaty nos zaczyna drżeć. Przewraca oczami. Ja się nie ruszam. On wycofuje się bez słowa. — Nie podoba mu się to. No, to teraz mamy wolne. — Rosmarin tłumaczy mi, że w niedziele tu się nie pracuje. Ta historia ze mną rano to był wyjątek. — Nikt już nie będzie nas niepokoił aż do kolacji. — Żał tylko biednego *Päsärili*. On także jest zamknięty. Ale sam! Nie w tak dobrym towarzystwie jak my. Nie może z nikim pogadać. Rosmarin wzdycha: — Biedak.

Jednak tym razem się myli. Niebiański spokój pryska: nagle otwierają się drzwi. Rosmarin bezszelestnie znika w półmroku w głębi celi. Do środka wchodzi drobny oficer, z wąsikiem, u butów podwyższane obcasy. Aż podskakuje, kiedy dostrzega mnie na łóżku, rzuca rozkaz:

— Podnieś się! — Czego nie robię. Wypatrzył Rosmarina, który zastygł w bezruchu z twarzą do ściany, napada go od tyłu rozkazem, żeby się łaskawie odwrócił i wyglądził swój siennik; wygląda jak łódki w zoo w Hermannstadt. Potem wciska mi do ręki papier i ołówek. — Zapisz wszystko, co dzisiaj obiecałeś! — Na blacie stolika kładzie książkę. I znika.

— Książka — stwierdza Rosmarin — na mą duszę, z ciebie jest naprawdę niezły łotrzyk. Po niemiecku. Traven, *Bunt powieszonych*, wydawnictwo Aufbau. Za dużo tego dobrego. — Zatroskany dodaje: — No to stawaj przy stoliku i pisz. Wszystko! Nawet to, czego nie wiesz.

— Nie jestem przeciwko reżimowi.

— Ale i tak powiesz o wszystkim, co knuliście przeciwko reżimowi. Oni dowiedzą się jeszcze więcej. A sam lepiej pan wypadniesz.

— Muszę stąd wyjść! Koniecznie! W środę mam występować przed moimi studentami w Klausenburgu: kto nie jest z nami, jest przeciwko nam.

— Czyli w przyszłym roku! — śmieje się bezgłośnie, jak nakazuje regulamin na ścianie. Potem zachwycony gładzi okładkę książki, brązowe płótno. — Wiesz, kto jest twoim największym wrogiem tutaj?

— Nie mam tu wrogów.

— Nie Securitate. Nie, to ten przeklęty czas. Jeśli uda ci się zabić czas, a on ciebie nie pożre, wtedy możesz pan tu mieć całkiem dobre życie. Jedzenie, spanie i beczynność jest za darmo. Stary ze mnie lis, wiem gdzie są konfitury. A widziałeś pan, jaki ten porucznik był rozlatany? Tancerz solowy. Zawsze jest taki podenerwowany. Biada, gdyby komuś z nas coś się stało. Biedaczysko.

— Biedaczysko — sekunduję.

— Tak jest: bo ich czas nie jest naszym czasem.

To jest zrozumiałe samo przez się. Ale odwrócenie sytuacji — nad tym warto się zastanowić. Nasz czas nie jest ich czasem. Nasuwa się pytanie: czy jest tu może jakaś komora czasu, gdzie nie będą już mogli wejść za nami? Rosmarin mówi dalej:

— Oni boją się bardziej niż my.

— Czego się boją? Jak to?

— Że trafią do tego aresztu. A nas nie można bardziej zapudłować. Bo my tu już jesteśmy. Jeszcze to pan docenisz.

— Nigdy tutaj nie będę niczego doceniał!

— Tak, tak — mówi — wiem, panu bardzo się śpieszy. Ale śpiesz się powoli. Nie widzisz pan, jak oni sobie poczynają z naszym czasem? Ale gdzie to ja stanąłem? A, tak, jedno jest pewne: kto jest wolny za murami więzienia, zawsze może zostać do niego wtrącony, każdy, nawet najwyższy rangą. Niech pan weźmie Aiud: pewnego razu drzwi się otwierają i kto wchodzi do środka? Komendant więzienia w Zeiden. Ogolony na głacę i ubrany w pasiak tak jak my. To dopiero była uciecha. Ale słuchaj pan dalej. — Słucham i dowiaduję się, że jednej

strażniczce też nie powiodło się lepiej. Oboje, komendanta i strażniczkę, skazano z powodu „zadawania się z wrogiem klasowym”. Komendant przyjął od żony pewnego więźnia perski dywan w prezencie, a strażniczka podała ciężarnej kobiecie kilo cukru.

— Ale to przecież nie to samo.

— Właśnie że tak. Bolszewikom jest wszystko jedno. Ta dwójka paktowała z wrogiem klasowym. — Rosmarin prowadzi mnie przez gabinet osobliwości wszelkich możliwych wykroczeń, aż do samej góry, do ministrów.

— Tak — mówię — tego nauczyliśmy się na marksizmie: odchylenie lewicowe, odchylenie prawicowe. Za mało partyjnie, za mało samokrytycznie albo zbyt radykalnie, zbyt anarchiście. Nigdy dosyć czujności: na przestarzałe idee, fałszywe pryncypia, burżuazyjne uczucia.

— No widzisz pan, stary Marks i ja! Dlatego zawsze się boją, szefa, kolegi, tak, nawet własnych dzieci. Każdy jest szpiegowany przez swoich własnych ludzi. — I dalej ciągnie wyliczanie ich cierpień: krewnych żadnych, pochodzenie: najlepiej sierociniec, żadnych przyjaciół, żadnych romansów, żadnych sąsiedzkich pogawędek przez płot. — A jak oni mieszkają! Wszyscy na kupie w tym samym bloku. — Towarzysz z lewa to wróg, sąsiadem z naprzeciwka jest szpicel. I ani minuty dla siebie, zawsze trzeba meldować centrali, gdzie się akurat jest. — Nawet jeśli moczysz się w wannie. — Jednym słowem: — Pieskie życie, gorzej niż w piekle, gdzie *skaraotzki*, najwyższy diabeł, czasem zasypia albo przymyka oko, albo się przechadza... I gorzej niż tu u nas.

— Biedacy — mówię.

Do tego jeszcze ten strach przed ludem.

— Od czasu Budapesztu mają przecież pełno w gaciach ze strachu. Tam powiesili securistę za język, w dodatku głową na

dół. A na końcu trzeciego buta dostaną towarzysze oficerowie i strażnicy.

— Co to znaczy?

— Trzeci but to u nas w Banacie znaczy kop w dupę. Bo ich czas pracuje przeciwko nim — mówi Rosmarin uroczyście — ale nasz czas dla nas. I oni to wiedzą.

— Pan się tak zachowuje, panie Rosmarin, jakby to było jakieś szczęście tutaj siedzieć.

— Bo to prawda. Jesteśmy wolnymi ludźmi. Ale oni? Nawet swoje obrzędy i święta muszą razem odprawiać. Tutaj, za drutem kolczastym i wysokim murem.

— To straszne — wzdycham zdeorientowany.

— Ja dobrze wiem, jak się tu sprawy mają. Ale teraz całkiem już jestem skołowany z tego myślenia i gadania. — Upomina mnie jeszcze raz: — Zapisz pan wszystko, o co im chodzi.

Staję przy stoliku sterczącym ze ściany i zapisuję trzy zdania, mniej, niż wiem. Że Enzio Puter jest przyjacielem bloku wschodniego. Że wysłał telegram z życzeniami do towarzysza Stalina. I że zabrał mi moją dziewczynę.

Rosmarin czyta. Nie wygląda na zadowolonego, spogląda na mnie z wyrzutem na swojej serowatej twarzy. Ale nic nie mówi. Za to ja opowiadam mu historię o Enziu Puterze i mojej dziewczynie Annemarie, jak można ją opowiedzieć robotnikowi z dzielnicy Fratelia z Temesváru, który lubi rozmyślać o różnych rzeczach. Rosmarin rozumie, o co chodzi. Zapewnia, że jemu też coś takiego się zdarzyło:

— Ciesz się pan, żeś się pozbył tej kozy! To nie była dziewczyna odpowiednia dla pana. Właśnie! A teraz idę spać. — Siada i zasypia. Dziwne: nazwanie Annemarie kozą sprawia mi przykrość.

Otwieram książkę i przysuwam ją pod lampę. Intensywność światła zmienia się wprost proporcjonalnie w stosunku do odległości od jego źródła; dwa razy bliżej, cztery razy więcej

światła. Przy mętnym blasku żarówki czytam poruszającą relację o powstaniu powieszonych. Czy jest możliwe, żeby lekarz pozwolił na swoich oczach umrzeć ciężko chorej kobiecie, bo nie mógł z tymi biednymi *campesinos* dojść do porozumienia w sprawie honorarium? I żeby potem zażądał opłaty za składowanie ciała na swoim podwórku, wyliczonej co do godziny i minuty, aż rodzina zdobędzie trumnę i wyniesie zmarłą matkę?

Z ulgą stwierdzam: u nas już nie ma czegoś takiego. Pierwszy sekretarz partii robotniczej niedawno groził na zebraniu KC w Bukareszcie: lekarzy, którzy zapomną, że mają być sługami klasy robotniczej i niczym więcej, każe pędzić po ulicach miasta z kółkiem w nosie i tabliczką na piersiach. Czegoś takiego chętnie słucha cierpiąca brać robotnicza.

Rosmarin nagle budzi się ze snu. Drzemał na siedząco, lekko kiwając głową i z łokciami opartymi na udach. Szepcze:

— Hitler był moim Bogiem. Ale mi przeszło! — Chowam się pod moim płaszczem wojskowym, rozmawiam z Rosmarinem tylko przez dziurę w przestrelonym rękawie. Mówi: — Właśnie prowadzą jednego z łańcuchami na nogach. To ten koło nas. Aha! Do kibla. Temu rzuciło się na kiszki. — Rzeczywiście, słyszę na korytarzu nowy odgłos: podzwanianie i szuranie, szuranie i podzwanianie. Znający się na rzeczy Rosmarin wyjaśnia: — Łańcuchy na nogach. Zanitowane. Temu dali ze dwadzieścia lat, a może nawet MSV.

— A co to jest?

— *Muncă silnică pe viață*, dożywotnie ciężkie roboty, inaczej zdjęliby mu tutaj te łańcuchy. Ale nie bój się pan. To się tylko tak nazywa. On nie pracuje. Tylko siedzi całe życie w swojej norze, sam jeden. A teraz niech pan wstanie i się porusza, żeby zrobić miejsce w brzuchu na kolację.

Wstaję z łóżka i ruszam się. Odkąd słaba okratowana żarówka rzuca na ściany rozedrganą plecionkę cieni, cela wydaje się

jeszcze ciaśniejsza. Przy chodzeniu tam i z powrotem między żelaznymi łózkami, trzy i pół kroku w jedną, trzy kroki w drugą stronę, czuję, że tracę oddech. Brakuje mi powietrza. Płuć wyrrywają się ze mnie i czepiają krat okienka. Serce tłucze jak szalone. Kręci mi się w głowie. Równocześnie moje ciało rozrasta się do monstrualnych rozmiarów, biję rękami w ściany. Zrywam z siebie koszulę.

— Powietrza — charczę — duszę się. — Zaciśniętymi pięściami przywieram do ściany, jakbym chciał ją odsunąć. I gapię się na Rosmarina, a oczy wychodzą mi z orbit.

Ten siedzi na krawędzi łóżka i przygląda mi się.

— Tak — mówi najspokojniej w świecie — wszystko ma swój porządek. Jesteś pan czerwony na twarzy jak indor. Wydaje ci się, że nadymasz się jak balon i zaraz pęknie jak dętka. Albo czujesz, że ściany się walą na ciebie i miażdżą cię, wszystko jedno. To się nazywa klaustrofobia. Każdy to ma na początku, ale z latami przechodzi. Dobrze, że dziś służbę ma *Apālinā*, to poczciwa dusza, dlatego nazywamy go Cicha Woda. Powiem mu, żeby otworzył okienko u góry, to będziesz pan miał więcej powietrza.

Ale ja tylko słyszę, jak krew bulgocze mi w uszach.

— Powietrza, miejsca, przestrzeni — dyszę — długie aleje, łąki z stokrotkami, szczyty Krähensteinu, Gwiazda Polarna.

Strażnik *Apālinā* robi więcej niż tylko otwarcie lufcika i chłodne powietrze kaskadami napływa do celi. Zostawia otwarte drzwi, tak że powietrze z mojego napompowanego ciała może ulotnić się na korytarz. Gdy Rosmarin wachluje mnie swoim beretem, żołnierz w kapciach siada spokojnie koło mnie na łóżku. Opowiada, jak strasznie było pod Stalingradem i jak cudownie jest tu, w więzieniu. Daje mi do picia syrop, który smakuje bromem, wlewa we mnie pół butelki. Powoli wracam do własnego ciała, wślizguję się pod swój płaszcz i zasypiam.

Dwa dni później obchodzimy sylwestra, Rosmarin i ja, każdy sam ze sobą i swoimi myślami. O dziesiątej słyszymy jak zwykle: — Pogasić światło! — Kładziemy się na łózkach, z twarzą do góry, oczy skierowane na żarówkę nad drzwiami, która nigdy nie gaśnie, ręce grzecznie na końskiej derce, i zamykamy powieki. Nie śpimy. Przez uchylony lufcik wyczuwamy noc. Kiedy nadchodzi pora, nie życzymy sobie niczego. Żadnego szczęśliwego czy radosnego roku. Nocą nie wolno tu rozmawiać.

Nie myślę o zeszłym roku, nie myślę o nadchodzącym roku, myślę o Lorenzo de Medicim z dramatu Thomasa Manna *Firenza*. Możliwemu księciu Florencji brakowało jednego zmysłu: nie wzroku, nie słuchu, nie siły płodzenia. Tym, czego mu brakowało, był węch. I przez to nie mógł czuć smakowitości życia. Nie czuł też, gdy coś śmierdziało pod niebiosami. I nie miał pojęcia o zapachu kobiet. Jako kochanka pozostało mu tylko miasto Florencja, gdyż był kalekim mężczyzną. A mimo to wydawał w swoim pałacu huczne przyjęcia, rozkoszował się wzrokiem i słuchem. Lecz w przerwach, gdy odgłosy świętowania przycichły, słychać było podzwanianie łańcuchów, którym obwieszczali swoją obecność więźniowie w zamkowych lochach.

Rosmarin ma rację. Niedaleko nas celebrują swoje święta, czczą Dziadka Mroza, obchody na cześć pogańskiej mocy zimy, ale z chrześcijańską choinką. Za murami odprawiają swoje obrzędy, świętują swoje opuszczone przez Boga Boże Narodzenie.

Udajemy, że śpimy. Muzyka wstrząsa kratami. Tubalny śmiech mężczyzn roztrzaskuje się o ściany celi. A okrzyki kobiet przenikają łaskotliwie pod skórę. Dolatują dźwięki piosenek. Najpierw *Międzynarodówka*, potem bukareszteńskie tanga, a w przerwach rumuńskie romanse, o północy hymn państwowy. Nagle bachiczny zgiełk zamiera.

— Teraz muszą wysłuchać przemowy Deja — szepcze Rosmarin.

I zaraz następuje huk korków od szampana, na który nakłada się dźwięk wielkiego dzwonu w Czarnym Kościele. Nowy Rok.

Potem dudnienie muzyki nie ma końca. Wszystko, od ognistej hory do rosyjskiej *Kalinka*, zostaje odśpiewane z wielkim zapałem.

Nie śpię.

— *Firenza* — mówię zachwycony. Oni urządzają sobie biesiady, a łańcuchy więźniów dzwonią. Przejmuje mnie dreszcz. To otwiera się inny czas, obejmuje mnie. Na kilka mitycznych minut opada sieć strachu, rozsypuje się kopyta lęku.

Jednym ruchem obracam się do ściany i naciągam koc na głowę. Nikt nie odważy się zakłócić mi snu.

Na nowy rok strażnik nie życzy nam niczego. Nie mówi: *La mulți ani*, gdy zabiera nas na poranną toaletę. My także nie mamy żadnych życzeń, Rosmarin i ja. Nowe jest dla mnie to, że od przedwczoraj drepczemy za strażnikiem we dwóch. Żołnierz mocno mnie przytrzymuje, a Rosmarin musi położyć prawą rękę na moim ramieniu. Drugą ręką wymachuje wiaderkiem z uryną. „Lokomotywa” to żołnierz, a na całą konstrukcję Rosmarin mówi „krótki skład”. Czysty luksus.

— Wyobraź pan sobie, jak jest nas trzynastu w klozecie. Trzech sra w jedną dziurę naraz. A dzisiaj świetnie się nam powodzi. Dwóch chłopca, dwa wychodki. Elegancko!

Elegancko: mycie twarzy, stolec, obmywanie odbytu, płukanie ust, każdy sam. Choć w wielkim pośpiechu. Ale nie zostaje czasu na wstyd.

Po powrocie do celi żaden z nas nie jest w nastroju, by się zastanawiać nad nowym rokiem. Muszą wystarczyć wspomnienia. Siedzimy naprzeciw siebie, każdy na swoim sienniku. Przypomina to podróż pociągiem w pierwszej

klasie. Na razie czekamy na śniadanie. A potem... Najpierw śniadanie.

We właściwym więzieniu, zaczyna Rosmarin, na środku pomieszczenia stoi drewniana beczka, gdzie do woli można załatwiać swoje potrzeby.

— Większe i małe, kiedy tylko masz chęć. — Ale to też ma swoją złą stronę: przeważnie naczynie jest pełne już przed czasem. Przelewa się górą, gówno wylewa się na posadzkę, roznosi się po całej celi. — Przecież tam siedzi dużo ludzi! — Więźniowie, których stopy spętane są łańcuchami, rozwłóczą za sobą tę cuchnącą maź w dzień i w nocy, nawet podczas snu. Rosmarin wzdycha. — To nie jest słodkie życie!

Teraz przeskakuje do Hermannstadt. To piękne miasto w Siedmiogrodzie, stwierdza; niestety, był tam tylko raz. Prawdziwe saskie miasto z przeszłością i długą historią. Poza tym ci siedmiogrodzcy Sasi przez osiemset lat majstrowali wyłącznie przy swojej historii. Za to Szwabi, jak tylko przybyli do Banatu dwieście lat temu, od razu splunęli w dłonie, zaczęli osuszać bagna, budować domy i myć okna. W ogrodzie zoologicznym w Hermannstadt był podobno prawdziwy krokodyl imieniem Franz Joseph. I mumia Elwira.

Dorzucam:

— Często chodziłem tam z dziadkiem. Kiedy niebo się chmurzyło i zaczynało grzmieć, wtedy on mawiał: święty Piotr gra z apostołami w kręgle.

— A te ryby tam to czysty bezwstyd! Same tylko rogaliki żarły. — Nawet po wojnie, w czasach głodu, kiedy ludzie cieszyli się z każdego kawałka placka kukurydzianego. — Rozpuszczone bestie!

— Ma pan rację — mówię. — Tylko rogaliki dawaliśmy tym rybom, dziadek i ja.

Ryby cisnęły się tak, że powierzchnia wody aż kipiała od otwartych pyszczków. Chciałem rzucić rogalik tym, które były

dalej od brzegu i najmniej im się dostawało. I gdy obracałem się wokół swojej osi jak inne dzieci, stało się coś niewytłumaczalnego: rogalik wyrwał mi się z ręki, a raczej porwał mnie ze sobą. Straciłem równowagę i wpadłem do stawu. Kiedy woda zamykała się nad moją głową, płuca rozdęły mi się tak, że mało nie pękły...

— To się nazywa klaustrofobia — uzupełnia Rosmarin. — Już pan to wszystko znasz. Niedługo poczujesz się tu jak stary lis.

Usłyszałem przytłumiony okrzyk dziadka „*Finita la commedia!*” i poczułem, jak próbuje mnie wyłowić rączką laski. *Finita la commedia!*

— A dlaczego pan nie utonął?

— Uratowali mnie dzielni Rumuni.

— No tak, Rumun jest jak kot. Zawsze znajdzie kawałek twardej ziemi pod nogami.

— Mój dziadek miał w Trieście sklep z owocami południowymi. Kiedy w stromych uliczkach schodzących do portu wiał wiatr *bora*, trzeba było wiązać liny wzdłuż chodników. Bo inaczej ostry podmuch porwałby ludzi do morza. Ale kapelusze czy psy i tak zabierał. Wychodzisz rano na róg po rogaliki. Pięć minut później nie żyjesz.

— Spęczniałe były jak buchy drożdżowe, te ryby w Hermannstadt. Tylko rogaliki by chciały!

Choć żywo zgłaszam sprzeciw, Rosmarin chce opowiedzieć o swojej tajnej działalności. Ja wolałbym, żeby opowiedział, jak go aresztowali. To jest akcja dopasowana indywidualnie do każdego. Potem wszystkie losy wyglądają podobnie: wstawać, czekać, spać, czekać, całymi latami.

— Dlaczego nie? — To da się opowiedzieć w kilku słowach: jesienią 1951 roku po zwykłej wyprawie po zapasy wracał wieczornym pociągami z Aradu do Temesváru, w przedziale dwaj bardzo sympatyczni, rozmowni panowie częstujący go

drogimi papierosami, czerwone virginie, przy wysiadaniu pomogli mu nawet nieść ciężką torbę, po brzegi wypełnioną: ziemniaki, mąka kukurydziana, słonina, *brânză*, wszystko dla dzieciątek i Mitzi — i co zrobili ci szlachetni panowie? Wepchnęli go do ubikacji, zakleili mu usta plastrem, założyli kajdanki, na głowę zarzucili kaptur, a stało się to tak szybko, że nawet nie zauważył, kiedy z tych obłudników opadły maski. I zaraz potem było: licz schody, raz, dwa, trzy... — No i to już był koniec z Mitzi na kuchennym stole!

Po zmianie frontu w sierpniu 1941 roku Rosmarin jako były esesman przystąpił do niemieckiej siatki szpiegowskiej. Informacje o ruchach oddziałów rosyjskich i rumuńskich były przesyłane drogą radiową z Temesváru do Wiednia.

Z roziskrzonymi oczami opowiada o przywódcy grupy szpiegowskiej, banackim Szwabie, jak on sam. Jego nazwisko jednak woli przemilczeć: „czego się nie wie, to nie boli”. Olbrzym jak z germańskich eposów, taki był ten chwyt, jasnowłósy i silny jak staroniemiecki dąb, a temperament miał jak trzy węgierskie dziewczki. Pod Kronstadt zabarykadował się w chacie na skraju lasu. Jego znaleźli najpierw. Ale on nie dał się zamknąć w ubikacji. Wprost przeciwnie, zerwał ze ściany dwa miecze i zaczął się bronić, tak, wymachiwał nimi jeszcze, gdy tamci bandyci już powalili go na ziemię. Jednemu odciął ucho, drugiemu mały palec. W Rosji rozprawili się z nim krótko.

— Wielki bohater. Szkoda go. Jego kości leżą w wiecznych śniegach Syberii i bieleją w zimnym słońcu.

— Skąd pan wie, że pana bohater nie żyje?

— Powiedział mi to major Alexandrescu, ten, który i pana wypytywał, co ma żółte brwi jak kurak. — I dodaje z dumą: — Ale mnie złapali dopiero pięć lat później, eleganccy panowie w pociągu. Szkoda tylko, że *brânză* i słonina przypadły!

Nicolas Sturm, malarz z Tannenau! „Nasz wielki niemiecki bohater”, jak nazywała go ciotka Maly, która mieszkała dwie

ulice dalej. Przed wielu laty zaginął w niewyjaśniony sposób i w równie tajemniczych okolicznościach po latach pojawił się znowu. Bez słowa wyjaśnienia.

I oto rozwiązanie zagadki: szpiegostwo, Sybir, łagier! To stamtąd te rozbiegane oczy, ciągle patrzące w ziemię. Dlatego te makabryczne motywy jego obrazów: żołnierze, którzy wiszą na drucie kolczastym; twarze z rozwartymi ustami i straszonymi oczami w ataku bojowym; czaszki wypadające ze stalowych hełmów, szkielety splecione jak pary w miłosnym uścisku. Nigdy więcej wojny! Okrutne grafiki, dopuszczone przez cenzurę. Nicolaus Sturm, podziwiany artysta malarz: mieszka w willi pod lasem w Tannenau, jeździ rosyjską pobiedą. Na ścianie jego atelier wisiała broń biała, którą my, chłopcy, czasami mogliśmy pogłodzić.

— Nicolas Sturm — mówię głośno. — Mieszka tu, w Tannenau, i jest zamożnym człowiekiem. Już dawno temu wrócił do domu, po ośmiu latach, jak mi się wydaje, ale nigdy o tym nie opowiada...

— Co pan mówisz? — szara twarz Rosmarina nabiera koloru popiołu. Kołysze się na brzegu łóżka. Potem przewraca się do tyłu i uderza głową w ścianę. I leży, nie dając znaku życia. Dopiero kiedy razem z klucznikiem spryskujemy mu twarz wodą i nacieramy okolicę serca mokrą chusteczką, otwiera oczy. Mówi bełkotliwie: — Tylko osiem lat, wielki przywódca. I osiem lat ja, mała szara myszka. I jest wolnym człowiekiem, pan Nicolas Sturm!

Ale nie ma czasu na rozpamiętywanie. Rozlega się stukot butów w korytarzu. Zgrzytają zasuwy. Rosmarin wycofuje się w tło. Ja się przyglądam.

— Jak się nazywasz? — pyta mnie żołnierz. Wymieniam moje nazwisko. — A ty?

— Mówią na mnie Rosmarin.

— Bierz wszystkie swoje rzeczy!

Rosmarin szepcze do mnie, starannie pakując swój węzełek:

— Wy studenci chcieliście wypuścić wielkie pierdnięcie, ale gówno poszło w spodnie. — Jego szara twarz rozjaśnia się. — Na pewno pójdę do domu! — Już ma okulary na oczach, przypomina w nich kreta z bajek Idy Bohatty, wyciąga do mnie ręce na szczęście: — Niech pan powie wszystko, co wie! Tutaj się liczy tylko jedno: ratuj się, kto może! Myśl pan o panu Nicolasie Sturmie!

— Mówcie po rumuńsku! — upomina żołnierz w kapciach.

— Dlaczego? — odpowiada Rosmarin po niemiecku. — W naszym świętym języku ojczystym możemy śpiewać i mówić, ile tylko dusza zapagnie. Tak jest napisane w konstytucji naszej ludowej republiki. — I dorzuca, już wychodząc: — I pan też zapomnisz jeszcze swojego świętego języka ojczystego, a jak pan nie będziesz uważał, to mówienia w ogóle. *Adieu!* — Anton Rosmarin wychodzi, z głową nasłuchująco wysuniętą do przodu, po koleżeńsku trzymany pod ramię przez żołnierza.

I już go nie ma. Cela jest pusta. Mógłbym się rozplakać. Mógłbym się modlić. Jestem sam.

5

Po odejściu Rosmarina spod siatkowej ramy grzejnika wychodzą myszy, swoimi mysimi oczami przypominając mi o nieobecny. Zwierzątka rzucają się na okruszki chleba, które im podrzucam, uciekają, znowu podchodzą bliżej. Ale ich towarzystwo wcale mnie nie pociesza.

Czyżbym już po tygodniu miał wspomnienia o tym miejscu?

O Antonie Rosmarinie — tak. Wspomnienia, oglądane ze wszystkich stron, zniszczone ciągłym rozważaniem, przemyślane godzinami, wręcz całymi dniami, dziwactwa więźnia.

Na to, że Rosmarin mnie okłamywał, wpadłem wtedy, kiedy jeszcze raz ożywiłem w pamięci nasze rozmowy. Dlaczego od pierwszej chwili mówił do mnie po niemiecku, jeszcze zanim się odezwałem? Skąd wiedział, że wracam z przesłuchania? I zanim wspomniałem Niemca zachodniego Enzia Putera, Rosmarin już ostrzegł mnie, że szczególnie ostro tropi się tu „innostrańców”; choć wtedy nic oprócz tego dziwaczного słowa nie zwróciło mojej uwagi. I na pewno nie siedział sam w tej celi siedem miesięcy.

Podejrzenie staje się pewnością, kiedy przebiegam w myśli te słowa, których nie powiedział. Uświadamiam sobie, że w przeciwieństwie do moich pierwszych współwięźniów w Klausenburgu nie rzucił się na mnie i nie zaczął wypytywać o życie na zewnątrz: o najświeższe nowinki, o amnestię i Amerykanów, ceny masła i marki papierosów, czy słońce dalej świeci i czy są pary zakochanych całujące się na mrozie. Nie postawił żadnych pytań. Żadnych pytań... A więc wiedział, był na bieżąco, ten szczywany lis, ta szara mysz. Poczciwy Rosmarin. Brakuje mi go. Przechodzi mnie zimny dreszcz. Już mam wspomnienia z tego miejsca — minął niecały tydzień.

Ledwie stalowe drzwi w korytarzu zatrzasnęły się z hukiem — to już dziewiąty dzień tutaj — już wiem: nie wychodzimy na zewnątrz. Gdyż żołnierz, moja podpora i oparcie, rozkazuje: — Odlicz jedenaście stopni w górę! — Zostaję popchnięty, obrócony. Wreszcie słyszę: — Spocznij! — Napór światła na zakryte oczy gwałtownie wzrasta. Teraz ktoś musi powiedzieć: Zdejmij okulary!

Ktoś mówi:

— Niech pan zdejmie okulary. — I mówi to w moim języku. — Niech pan siada przy tym stoliku za drzwiami. — Siadam tam. Zaciskam oczy. Światło sprawia mi ból. Gdzie mam patrzeć? Za zakratowanym oknem wietrzeje Zinnenberg.

Zalęknionym spojrzeniem omiatam mężczyznę za biurkiem. Żółtawa cera, czarne włosy. Unikam jego oczu. Pięcioramienna gwiazdka na naramiennikach, która określa go jako majora, lśni bożonarodzeniowo. Na biurku leżą rękawiczki, nie w kolorze khaki, jak mundur, ale szare i z zamszu.

— Co pan porabia? Jak się pan czuje?

Cóż za dziwaczne pytanie. Jakbyśmy się spotkali w kawiarni. Odczekuję, zbieram się na odwagę i mówię:

— Czekam, aż pan mnie wypuści, panie majorze.

— Jaki mamy dziś dzień?

— Poniedziałek, szósty stycznia 1958 roku. Pojutrze wieczorem chciałbym otworzyć zebranie kółka literackiego w Klausenburgu.

— Dobrze wiedzieć.

— To będzie pierwsze spotkanie w tym roku. Muszę koniecznie tam być.

— Doprawdy? Kiedy po raz pierwszy zaprosiliśmy pana do nas, w niedzielę przed tygodniem, a tak przy okazji, jaka to była data?

— To był dwudziesty dziewiąty grudnia, dzień po tym, jak mnie tu przywieźliście.

— Bez zarzutu, pańska orientacja w czasie. Żadnych luk w pamięci, jak pan się obawiał. Wprost przeciwnie: w tych warunkach wspomnienia atakują człowieka jak stada szczurów. No właśnie, szczury, zwierzęta o wysokiej inteligencji, wyobraźni i zdolnościach przystosowawczych... Ale nie odchodźmy od tematu. Powinien się pan cieszyć, że tu u nas, na górnych piętrach, znalazł pan miejsce *katharsis*. Jak opisałby pan zjawisko *katharsis*?

Przypominam sobie, że moja matka w ostatnim czasie używała tego słowa, powstrzymując łyzy i mówię:

— Oczyszczenie człowieka przez duchowe wstrząsy.

— Słusznie. Tutaj tak to wygląda. Ale lepiej: wstrząs. Jeden wstrząs. Zresztą jak pan wie: dziś i jutro są u nas wyjątkowe święta, wysoko cenione przez młodych i starych, mimo iż opierają się na zabobonach.

Szósty stycznia, *Bobotează*, rytualne wspomnienie chrztu Jezusa w Jordanie, ważne święto prawosławne. Tego dnia za czasów królestwa żołnierze odziani tylko w kalesony wskakiwali do wszystkich rzek w kraju, również do lodowatej Aluty pod Fogaraszem. W obliczu arcybiskupa w złotej koronie i z pastorałem z kości słoniowej, otoczonego przez przepysznie odzianych popów, oraz przed pokornymi oczami pobożnego tłumu wyławiali z wody święty krzyż, nie kichnąwszy nawet i nie dostawszy kataru. Wtedy też kapłani biegali zaaferowani od drzwi do drzwi i błogosławili domy święconą wodą. Zresztą w tym tygodniu nie tylko święconą wodę przelewano w domach i chatach, także wino płynęło przez gardła obfitymi strumieniami. Gdyż nazajutrz, 7 stycznia, przypadał dzień świętego Jana Chrzciciela, *Sfântu Ion*, i trzy czwarte Rumunów obchodziło imieniny.

— A więc przy naszym pierwszym spotkaniu tu na górze twierdził pan, że musi pan natychmiast wracać do Klużu, żeby się leczyć w klinice. Przypomina pan sobie? A teraz ciągnie pana kółko literackie.

Niepewnie mówię:

— To prawda. Ale beze mnie nic z tego nie wyjdzie albo wyjdzie źle. Dlatego byłoby dobrze, gdybym mógł tam być pojutrze wieczorem.

— Tym bardziej, że będzie występował Hugo Hügel. Sprytny młody autor z nadmiernie rozbudzonymi ambicjami. Do tego łowca rekordów, jak sam siebie chętnie nazywa. Na

każdym kroku wychodzi z niego sportowiec. Nawet w pisaniu. *Król szczurów i flectista*, wieloznaczna alegoria. Trzecia nagroda w konkursie literackim w Bukareszcie. Uplasował się wyżej niż pańskie opowiadanie, byliśmy tym zdziwieni. No tak, gazeta „Nowa Droga”: ciągle zbyt dużo subiektywizmu w ocenie dzieł sztuki. Zapominają tam, że socjalistyczna teoria literatury wypracowała kryteria proste jak matematyczne wzory. — A potem właściwe pytanie, z precyzją, jak w cyrku przy rzucaniu nożami: — Dlaczego zaprosił pan tego Hügela do swojego klubu dwa razy z rzędu? — Słowo „klub” drażni mnie, brzmi groźnie. — Podczas gdy innym sprawdzonym socjalistycznym autorom, jak na przykład Andreas Lillin, Franz Liebhardt, Johannes Buhlhardt czy Pitz Schinlder, każe pan do dzisiaj antyszambrować?

Właśnie, dlaczego? Już chcę odpowiedzieć: ponieważ Hugo Hügel bardzo nalegał, ale jakiś głos ostrzega mnie, więc mówię wymijająco:

— Tak się złożyło.

Major poucza mnie:

— Wie pan, my mamy pewne reguły. Na precyzyjne pytania żądamy precyzyjnych odpowiedzi. Co pan sądzi o Hugo Hügelu?

To dość ogólne pytanie. Ale mimo to odpowiem precyzyjnie.

— Jest redaktorem działu kultury w Kronstadt, pardon, Stalinstadt, w niemieckiej „Gazecie Narodowej”, przepraszam, w niemieckojęzycznym organie partii na okręg Stalin.

— To wiemy.

Mój starszy kolega pisarz Hugo Hügel był gotów wyruszyć ze mną na Syberię. Zainspirowany przez pastora Wortmanna wpadłem na pomysł, że powinniśmy zażądać dla siebie obszaru na Syberii, by tam utworzyć Autonomiczny Socjalistyczny Okręg Saski. W końcu było nas dwieście tysięcy Sasów. „Dajcie

nam kawałek ziemi, odpowiednio duży dla nas, i pozwólcie nam rządzić i gospodarzyć po swojemu. Jako zasłużony naród kolonizatorów przekształcimy go we wzorcowy świat demokracji socjalistycznej i spółdzielczej gospodarki”. Tak mówiłem. Hugo Hügel zapalił się od razu: „Zawsze trzeba wyznaczać sobie tak wysokie cele, że trudno ich osiągnąć czubkami palców!”

Lecz zanosilo się, że nie będzie to Syberia, tylko południowa Bułgaria. Ta zaskakująca perspektywa pojawiła się bardzo niedawno. Ljuben Taew, siostrzeniec bułgarskiego prezydenta, studiował germanistykę w Klausenburgu. I potajemnie kochał się w saskiej studentce. Był to wystarczający powód, by chcieć mieć u siebie wszystkich siedmiogrodzkich Sasów co do jednego, czym nieustannie zanudzał swego wysoko postawionego wuja. Elisa od niedawna nazywała Bułgarów Prusami Bałkanów. Może dlatego, że Ljuben przesiadywał u niej w kuchni, ale nie chciał prowadzić inteligentnych rozmów, ba, w ogóle się nie odzywał. Siedział tam jak zwietrzały kamień nagrobny i godzinami wpatrywał się w nią swymi dwubarwnymi kocimi oczami, gdy deklamowała Puszkina lub mówiła do niego po rosyjsku. Ale wszyscy byli zgodni: ona nie chciałaby być tajemniczą damą jego serca. Nigdy nie dałaby się zamknąć razem z nim w Ogrodzie Botanicznym, i to nie tylko z powodu jego porowatej cery i popsutych zębów... Major odezwał się:

— Pan wzdycha.

— Tak, wzdycham.

Wychodzi z pomieszczenia. Bezgłośnie wyrasta koło mnie strażnik, przypatruje mi się ponurym wzrokiem.

Major wraca ubrany po cywilnemu. Ma na sobie ciemno-granatowy garnitur w jasne drobne prążki, z szerokimi kłapami i guzikami z prawdziwego rogu. Może stąd wybiera się na przyjęcie urodzinowe jakiegoś dziecka? W swym porządnym

mieszkańskim ubraniu przypomina mi daleko spokrewnionych z nami wujów w Nowy Rok albo w niedzielę. Brakuje tylko chusteczki z czerwonego jedwabiu w butonierce. Świeżo upieczony pan w cywilu idzie do swojego biurka, ale nie siada. Bierze stamtąd swoje zamszowe rękawiczki, wkłada je i po przyjacielsku przysiada się do mojego stolika. Muszę patrzeć mu w oczy. Muszę uważać, żeby ten człowiek nie omotał mnie swą nadmierną wujkowatością.

Lewy łokieć oparł na stole, jego podbródek spoczywa pomiędzy odzianym w rękawiczkę kciukiem i palcem wskazującym. Prawą rękawiczką obejmuje w posiadanie blat stołu. Niemal się dotykamy. Gdyż nie mogę cofnąć rąk. Mogę jednak podwinąć koniuszki palców; i tak zresztą moje nieobcinane paznokcie urosły już w szpony.

Z wewnętrznej kieszeni marynarki urękawiczoną dłonią wyjmuję niewielką książeczkę i podaje mi: Julius Fučík, *Reportaż spod szubienicy*, z zadziwiającymi słowami:

— To polecił panu do czytania Arnold Wortmann, nieprawdaż? Sasi nazywają go czerwonym pastorem. Socjalista, ale nie towarzysz. Czy rozumie pan to rozróżnienie?

Czy to jest pytanie precyzyjne, czy retoryczne? Odpowiadam:

— Nie zapominajmy, że ten pastor zebrał w Elisabethstadt garstkę saskich proletariuszy i opiekuje się nimi. I w dniu 1 Maja nie tylko poprowadził ich do miasta na błonia przy Kolkbrücke, by razem z rumuńskimi, węgierskimi, żydowskimi i ormiańskimi towarzyszami zaintonowali *Międzynarodówkę*, a później razem ze wszystkimi śpiewali, tańczyli i bawili się, lecz potem powiódł ich dalej na pochód z czerwonymi flagami przed Pałac Sprawiedliwości, na oczach Siguranty i pod bagnetami żandarmów. I to w czasach, kiedy u nas wierzone jeszcze w to, że „nikt panem i nikt sługą”.

Wytworny pan przede mną odzywa się niespodziewanie:

— Pański uwielbiany pastor myśli, że w socjalizmie jest jak w jego akwarium ze złotymi rybkami; wszystko dobre przychodzi z góry, spływa na dół z ręki Boga. Nie, nie: u nas trzeba splunąć w ręce, lecą wióry, płyną łzy, tryska także krew.

Akwarium? Nawet o tym wie ów pan siedzący przed moim nosem. A mimo to: jakież niesprawiedliwe uproszczenie. Czy mam bronić pastora Wortmanna? Ileż razy przesiadywałem w jego łukowato sklepionym gabinecie, a on próbował mnie przekonać, że wszystkim utrudzonym i uginającym się pod brzemieniem na kuli ziemskiej trzeba i można pomóc. Na szerokim parapecie lśniło akwarium z wesołymi rybkami. Za nim wzrok napotykał katedrę ormiańską z dwiema wieżami, ozdobioną znakami tajemniczego pisma, a dalej kościół ewangelicki na końcu kasztanowej alei.

Słuchałem i wątpiłem: socjalistyczny to nie znaczy wbrew naturze ludzkiej, lecz zgodny z nią. Człowiek, z urodzenia mający skłonności do tworzenia wspólnoty, może się wreszcie okazać do tego zdolny. „Jeżeli uda się, by w tym stuleciu zapanował socjalizm, wtedy przed chrześcijaństwem otwórzy się wielka szansa. Wbrew mieszczańskiemu powiedzeniu «Nie otrzesz wszystkich łez, otrzymaj jedną» i biblijnej obietnicy «Bóg otrze z ich oczu wszelką łzę»* ustaną wszystkie łzy *hic et nunc!*”. Z ciekawością Bóg śledzi ten wspañały eksperyment i nie skąpi swego błogosławieństwa. Lecz na razie jeszcze jest ostrożny. „Nie dajcie się przestraszyć dziecięcym chorobom tego zaraźliwego czasu. *À la longue*, na dłuższą metę, duch miłości Chrystusowej osiągnie swój cel. Państwo jest zainteresowane pozyskaniem nas, Sasów: jako przedstawicieli jednej z najstarszych demokracji Europy oraz chętnych i sprawnych pracowników”.

* Wszystkie cytaty za Biblią Tysiąclecia.

Starszy pan wołał do mnie z błyszczącymi oczami: „Wasze pokolenie, a zwłaszcza wy, studenci, intelektualiści jutra, jesteście monadami saskiej socjalistycznej wspólnoty narodowej! Bóg myśli narodami. Tylko nacjonalizmy są dla niego okrucieństwem. — I poprosił: — Zdobądźcie zaufanie tego państwa przez radykalną przemianę świadomości, *metanoia* w Nowym Testamencie. Nowy początek od podstaw. Możliwe, że państwo przyzna nam prawo do samorządności, podobnie jak niegdyś Niemcom nadwożańskim czy dzisiaj węgierskiemu okręgowi autonomicznemu u nas”. To jest to, błysnęła mi myśl: nowy początek od podstaw. Ale w innym miejscu, gdzie nikomu nie będziemy zawadzali i wreszcie będziemy mogli czuć, że tam należymy. Na przykład na Syberii.

Coś takiego jawiło się pastorowi, a nie egzystencja rozpieszczonych rybek w akwarium. A więc przewyciężam się i wyjaśniam mężczyźnie przede mną poglądy Arnolda Wortmanna, choć to nieprzyjemne uczucie wypowiadać tutaj jego nazwisko. Podczas gdy z rozwągą mówię to, co mam do powiedzenia, mój przeciwnik mierzy mnie kłującym spojrzeniem, jakby chciał każde moje słowo przyszpilić na potem.

Kiedy skończyłem, mój pan i władca mówi:

— My budujemy Królestwo Boże tu na ziemi, bez Boga!

Opuszczam wzrok i lekko odchylam się do tyłu, to nie jest zabronione.

— Dziękuję za książkę. Od dawna jej szukałem. Pastor Wortmann... — zacinam się, zanim moje wargi wymówią to nazwisko — pastor jest pod wrażeniem ostatnich słów Fučika: „Ludzie, kocham was”.

— Właśnie że nie ostatnich. Potem Fučik powiedział jeszcze, i to jest jego absolutnie ostatnie słowo: „Czuwajcie!”*. *Vigilant!* Ale nieważne, jak było, widzi pan, komuniści potrafią nie tylko

* Przełożyła H. Gruszczyńska-Dubowa.

czuć, lecz także oddawać się miłości i ponosić ofiary. To, co Kościół nazywa *imitatio Christi*. Całą prywatność odsunąć na dalszy plan, być posłusznym aż do samounicestwienia, to składa się na credo komunisty.

— Dokładnie — odzywam się uprzejmie — to właśnie ma na myśli pastor: komunizm jest zsekularyzowanym chrześcijaństwem. Pierwotnego ducha chrześcijańskiego dziedzictwa, ofiarności męczenników można spotkać u działających nielegalnie mężczyzn.

— I u kobiet. Zresztą jeśli chodzi o spiskowanie, kobiety, dziewczęta są bardziej niebezpieczne od mężczyzn. Ale przecież pan wie to lepiej.

— Nie tylko nie wiem lepiej, ale w ogóle nic o tym nie wiem. Poza tym, że kobiety i dziewczyny są dzielniejsze, bardziej odważne. — Przełykam ślinę. — I matki.

— Zresztą zobaczy pan, że w porównaniu z gestapo w Pradze jesteśmy najprawdziwszym sanatorium.

Teraz major życzy sobie porozmawiać o chorobach psychicznych. Śpiączkę insulinową i elektrowstrząsy uważa za brutalne metody leczenia. Ale psychoanaliza, o tak. Choć reakcyjna, bo początkowo przystosowana do człowieka burżuazji, z jego koncentracją na swoim ja i jego przyjmowaniem różnych ról. Niestety, ten rodzaj rozjaśniania świadomości jest w naszym kraju wyklęty.

— Ale to jeszcze przyjdzie. — Istnieją podobieństwa między psychologią głębi i działaniami tutaj: tam tak samo jak tu chodzi o dążenie do rozjaśnienia piwnicznych lochów świadomości, by wyparte kłamstwa i tajemnice wyciągnąć na światło dzienne. A celem jest stworzenie oczyszczonego w ten sposób człowiekowi nowej egzystencji socjalnej. Jedynie metody w tym zakładzie różnią się nieco od sposobów stosowanych w psychoanalizie. — To, co jest dobre w społeczeństwie burżuazyjnym, należy przejąć w nowym porządku...

— Powiedział Lenin w przemówieniu do młodzieżowych organizacji komunistycznych na początku lat dwudziestych — wtrącam.

— Brawo — chwali mnie major — przybliża się pan do naszej prawdy, próbuje pan, z partyjną prawdomównością. — Gryzę się w język: każde słowo to o słowo za dużo.

— Przydatne elementy psychoanalizy chętnie przejmujemy. Jesteśmy na przykład zainteresowani różnymi rodzajami skojarzeń, nie tylko myśli, ale i osób. Ma pan za sobą analizę u doktora Nana w Klużu. — Nowe nazwisko. Jak się obronić? — Wiele mówiące są pomyłki: przejęzyczenia, potknięcia. Przedtem zająknął się pan, zanim wypowiedział pan nazwisko pastora Wortmanna. Wie pan dokładnie, dlaczego to nazwisko tak trudno przeszło panu przez usta. My także wiemy: jest pan rozdarty. Dla pańskiej podświadomości jesteśmy okropnymi ludźmi, prawdziwymi potworami, przed którymi należy się mieć na baczności. Ale z drugiej strony widzi pan, że zachowujemy się jak kulturalni ludzie, z którymi można porozmawiać. Inne rozdarcie w pańskiej podświadomości, czyli konflikt między życiem burżuazyjnym kiedyś i dopasowanym do dnia dzisiejszego, ujawnił się ewidentnie, kiedy była mowa o Hugo Hügelu. Niechcący przejęzyczył się pan aż trzy razy: zamiast Stalinstadt powiedział pan Kronstadt, zamiast niemieckojęzyczny — niemiecki, zamiast organ partii — gazeta. Pozwala to na głęboki wgląd, jak się to ładnie mówi.

Pyta, jak wyglądała moja analiza u doktora Nana.

— Nan de Racov, stara rumuńska rodzina z Transylwanii, pochodzą z Maramureszu. — Wbijam paznokcie w zaciśnięte dłonie, chyba płynie krew. I potulnie opowiadam, jak młody lekarz całymi popołudniami pozwalał mi gadać o wszystkim, co tylko przychodziło mi do głowy.

— Czy doszło do fachowej syntezy?

— Nie. Posiedzenia dwa razy w tygodniu wiosną 1955 roku wystarczyły, by połączyć moją duszę. Zresztą potem stamtąd wyjechałem.

— Co lekarz odkrył?

— Zaburzenia w percepcji czasu — odpowiadam szybko. — Ciągłe podchodzę do czasu od strony śmierci, spiętrzonej przede mną jak czarna ściana.

Pyta, czy doktor mnie nie wyleczył.

— Wyleczył? Czas znowu zaczął płynąć. Lecz tu nieznośnie twardnieje, przytłacza duszę, otacza mrokiem umysł. Powstaje niebezpieczeństwo nieuleczalnej choroby.

— To, jakie człowiek ma podejście do czasu, co robi ze swoim czasem, jest kwestią nastawienia i inteligencji. — Więcej nie mówi, nie mówi też, że mnie wypuszczą. Ale wspomina *Czarodziejską górę*. Twierdzą, że tam panem akcji jest czas. W pierwszej połowie książki nie dzieje się prawie nic. Obiad zajmuje sto stron. A potem też niewiele.

Major nie chce o tym mówić. Chce się dowiedzieć czegoś o hydrologii i jest wyraźnie ubawiony, gdy mówię, jaka to wspaniałomyślna nauka:

— Czy w hydrologii wyliczenia zgadzają się w sześćdziesięciu, czy w stu procentach, wyniki są w równym stopniu zadowalające. — Fakt, że hydraulikę nazywa się areną współczynników i polem ćwiczeń rachunku prawdopodobieństwa, jest dla niego nowy. Rozumie, że działanie może mieć wiele przyczyn. Mniej, że przyczyna może być wynikiem wielu działań.

Wreszcie jakiś neutralny temat. Opowiadam o korytach i spływach, średnich przepływach i dopływach wody.

— Zaskakująca jest moim zdaniem zbieżność między równaniem Bernoulliego dla przepływu cieczy i prawami Kirchhoffa na temat prądu elektrycznego, tajemnicze powiązania pod powierzchnią materii... — urywam.

Mężczyzna przede mną odczekuje chwilę, potem mówi:

— Bardzo pięknie. I w ten sposób znowu jesteśmy w samym środku materii: nas także interesują tajemne powiązania pod powierzchnią i to, w jakim stopniu odpowiadają zasadom i prawom naszej republiki, żebyśmy mogli zabezpieczyć się przed niespodziankami. — Jeszcze raz chce się upewnić: — Czy przepływa sto, czy sześćdziesiąt metrów sześciennych wody, to u was wszystko jedno?

— Mniej więcej, mniej więcej — odpowiadam.

— My tutaj pracujemy efektywniej — mówi, dumny z porównania. — Kiedy dwie osoby wiedzą o jakiejś sprawie, wtedy wykrywamy wszystko w stu procentach, a jeśli coś wie jeden człowiek, wydobywamy to z niego w dziewięćdziesięciu procentach.

— To znaczy, że dziesięciu na stu milczy.

— I tak, i nie — odpowiada. — *A priori* wydostajemy wszystko z każdego. Także tych ostatnich dziesięciu ze stu skłonilibyśmy do mówienia. Ale jesteśmy niestety zmuszeni respektować *a posteriori* ich milczenie. Poza tym radzę panu, żeby pan co jakiś czas przypomniął sobie naukę o moralności Kanta. Zrozumie pan wtedy, jak przydatna jest nasza etyka: dobre jest to, co służy temu, kto żyje ze swojej pracy.

Major wstaje, zajmuje pozycję za biurkiem. Wkłada swoje zamszowe rękawiczki i kłaśnięciem przywołuje strażnika.

Ledwie zdążyłem następnego ranka przełknąć śniadanie i nakarmić myszy, przychodzą po mnie. Stukot kroków na korytarzu narasta, wyprzedza mnie, celuje we mnie. Drzwi się otwierają. Jeśli teraz mnie wypuszczą, to wieczorem mógłbym być w Klausenburgu. Choć posłaniec musi mnie znać, pyta, jękając się, o moje nazwisko, jak gdyby był jeszcze ktoś, z kim mógłby mnie pomylić. Okręca okulary wokół palca wskazującego, potem wystudowanym ruchem rzuca je w moją stronę.

Jego oczy błyszczą szczęściem, spodziewam się, że zaraz zacznie nucić horę. Swobodnym ruchem wsuwa rękę pod moje ramię — czuję od niego *Sfântu Ion* — i łagodnie kieruje mnie do przodu. W pewnym momencie zatrzymuje się bez ostrzeżenia, prawie się przewracam. Obejmuje mnie w pół, obraca wkoło i szepcze: — Zareczyłem się. Moja *adorată* nazywa się Ioanna, tak samo jak ja, co za szczęście! — by po tym wyznaniu rzucić szorstką komendę, gdzie mam iść dalej.

Major z wczorajszego dnia jest dzisiaj w mundurze. Nie pyta mnie, co porabiam ani czy dobrze spałem. Na stole leżą papiery, książki, zeszyty, które przegląda. Czuć pracą i niebezpieczeństwem, major ma surową minę.

— Wymienił pan wczoraj dwa wzory fizyczne. Czy może mi pan je przypomnieć? — Wypowiadam je. — Świetnie, z pańską pamięcią jest coraz lepiej. — Notuje coś. To nowość.

Czy mogę powiedzieć, jak nazywała się ulica w Aradzie, przy której się urodziłem.

— Doktora Rusu-Şirianu. — Czy leży blisko centrum? — Tak, dochodzi do głównego placu. — Czy dziś ulica nazywa się tak samo jak przed ponad dwudziestu laty? — Niemal z dumą odpowiadam: — Tak, dziś tak samo, jak wtedy. — Ile miałem lat, gdy wyprowadziliśmy się z Aradu? — Trzy. — Czy mam jakieś wspomnienia o tym domu w Aradzie, o mieszkaniu, podwórzu, ludziach? — *Sigur*. Oczywiście. — Rozmawiamy po rumuńsku. — *De exemplu?* — Muszę się skoncentrować. — Na przykład pamiętam, że nasza niania poślizgnęła się i przewróciła pod bramą. Potem zobaczyłem dziurę w betonie i pomyślałem: no proszę, Weronika zrobiła dziurę.

— Interesujące! Już w dzieciństwie fałszywe interpretacje związków przyczynowo-skutkowych. — Notuje. — Jak pan myśli? Czy ten doktor Rusu-Şirianu był reakcjonistą, czy człowiekiem postępu?

Waham się.

— Skoro tabliczka z jego nazwiskiem aż do dzisiaj wisi na tej ulicy, raczej nie może być reakcjonistą. Musiał być wyjątkowym Rumunem, człowiekiem poza wszelkimi ideologiami. W miastach prawie wszystkie rumuńskie osobistości w nazwach ulic zostały zastąpione przez nazwiska rosyjskie.

— Przez nazwiska radzieckich bohaterów i bojowników komunistycznych — poprawia mnie major. — Znacząca pomyłka. — Muszę starannie ważyć każde słowo!

Mówi:

— To nie jest przemyślana argumentacja jak na dialektyka. Jako taki musiałby pan przeciwieństwo uznać za prawdopodobne, nawet jeśli wygląda to na paradoks. — Przechodzi na niemiecki: — Czy wie pan, że paradoks można przetłumaczyć jako odbicie, odbłask? — I nie czekając na odpowiedź, mówi dalej po rumuńsku: — Możliwe, że władze Aradu nie były dość *vigilent* i przeoczyły to nazwisko, albo jeszcze gorzej: elementy reakcyjne w radzie miasta zachowały tabliczkę świadomie. Dywersja! Sabotaż!

Prawie czuję się winny, że nie urodziłem się na ulicy Księżycowej albo Fiołkowej.

— Nic nie wiem o tym doktorze. Dlatego nie mogę ocenić, czy był reakcjonistą, czy nie. Poza tym już nie żyje. Zresztą to małutka uliczka.

— Ale w centrum miasta. Jeszcze raz: wszystko należy oglądać w świetle i pod światło dialektyki! Dlatego dziwi nas, że przedstawił pan całkowicie błędny obraz owego posiadacza zachodnioniemieckiego paszportu Enzia Putera. — Bierze ze stołu kartkę papieru. — W pańskich bardzo skromnych relacjach z pierwszej niedzieli wystylizował go pan na przyjaciela ustroju socjalistycznego. Istnieją dowody, że nie jest to prawda. Co chciał pan ukryć? — Gdy rozmyślam nad tym niebezpiecznym pytaniem, major otwiera gruby zeszyt w okładkach z czarnego kartonu, przesuwając palcem w dół strony. — Co

może mi pan powiedzieć o niejaki, niejaki... — przewraca kartkę: — na przykład o Hansie Trollu?

— Nic — odpowiadam.

Czy go znam?

— Raz go widziałem.

— Gdzie?

— U nas w domu w Fogaraszu. Podczas wycieczki rowerowej zatrzymał się u nas na pół godziny.

— No proszę — mówi oficer i zapisuje. — Czy był sam?

— Sam — odpowiadam z ulgą.

— I co on robił przez te pół godziny, co powiedział?

— Zjadł talerz zupy. Potem powiedział „dziękuję” i „pochwalony”.

— Tylko zupę? Jaką zupę?

Dwa pytania naraz.

— Kartoflanę — mówię. I szybko dorzucam: — Bez mięsa. Ale z młodą cebulką. — Wystarczy już.

— A na drugie danie?

— Knedle z serem. Zjadł dziesięć sztuk knedli. Z marmoladą po pięć lei dwadzieścia.

— Ach tak! A jakie ma nastawienie do ludowo-demokratycznego ustroju naszej republiki?

— Nie wiem. Nie znam go.

— Jak pan może coś takiego powiedzieć, przecież was odwiedził? I wy zaprosiliście go na obiad?

— Cała saska młodzież przewija się przez nasz dom. Fogarasz leży dokładnie w połowie drogi między Hermannstadt a Kronstadt, pardon: Stalinstadt, każde oddalone o siedemdziesiąt kilometrów.

— Już nawet to, w jaki sposób ktoś kupuje warzywa na targu albo używa sztućców przy stole, zdradza, czy jest oddany ustrojowi.

Zupełnie jak moja babcia, myślę: każdy taki jest, jak je.

— Czy rzuciło się panu w oczy coś specjalnego u tego człowieka?

— Tak — mówię bez zastanowienia — jego krótkie spodnie były krótsze niż u innych chłopców.

Najwyraźniej jest to informacja o kapitalnym znaczeniu. Major robi notatki. Co zapisał? Za krótkie spodnie? Knedle? A może „pochwalony”.

Pan czarnej księgi zamyka jej okładki. Niespodziewanie znowu jest przy Enzo Puterze, ale nie wraca do ostatniego, tak złowieszczo brzmiącego pytania. Z wypowiedzi innych osób i ich własnych informacji wynika, że był on agentem zachodnioniemieckich służb szpiegowskich, a jego zadaniem było namawianie młodych ludzi tu w kraju do podkopywania władzy i organizowania grup wywrotowych. Udało mu się to podczas dwóch wizyt późną jesienią 1956 i późnym latem 1957 roku, przy czym moja była kochanka Annemarie odegrała tu kluczową rolę:

— O tym, że ona wyszła za niego, pan wie?

— Tak — mówię z wysiłkiem. Moja matka usłyszała tę nowinę w kolejce po mleko. To była sensacja, że dwoje zakochanych od ręki dostało pozwolenie na ślub, gdyż zwykle trwało to latami, jeśli w ogóle pozwolenie było udzielane. Ludzie przed sklepem nabiałowym w Fogaraszu słusznie uznali ten fakt za zastanawiający.

— Pobrali się natychmiast, ale na małżeństwo to nie wystarczy — dodaje major dwuznacznie. I ostrym tonem dorzuca: — Ta wysoce niebezpieczna osoba, Annemarie Schönmund, wprowadziła zachodnioniemieckiego agenta w kręgi konspiracyjne. Do końca roku 1957 była łącznikiem między Zachodem a tutejszym środowiskiem. Przez nią wszystko było przesyłane i sterowane. — Wstaje i wychodzi. On może!

Jak to było dokładnie? Do końca roku 1957 była łącznikiem. Czyli już nie jest. To może oznaczać tylko jedno: ona też tu jest!

Jakże mi jej żal, mojej byłej przyjaciółki, którą od półtora roku staram się przestać kochać. Więzienie całkiem ją zniszczy. Na jedno oko nie widzi, drugie jest zagrożone. Lekko zezuje w bok, co dodaje jej szczególnego uroku. Lekarze twierdzą, że to stwardnienie rozsiane. Zrozpaczony myślę: w tym ponurym więziennym otoczeniu, gdzie delikatny bez nie kwitnie nad ławką ogrodową, gdzie jaśmin nie rozpacza swych zmysłowych zapachów, będzie teraz marniała przez resztę życia. Jeśli Securitate ma rację — a nagle nie mam odwagi w to wątpić — jako główna oskarżona zostanie z pewnością skazana na najwyższy wymiar kary. Dożywocie, ciężkie więzienie, sama. I ze skutymi stopami.

Major wrócił. Pyta o chorobę Annemarie. Udzielam jednosylabowej odpowiedzi.

— Przecież pan mnie słyszy. Czy może przebywa pan myślami gdzie indziej?

— Tak i nie. — Mówię, że to ma związek z chorobą mojej duszy. — Ogarnia mnie poczucie pustki, rodzaj nieobecności, zapadam się jak pusty worek, lecę w czarną dziurę, w której tracam poczucie czasu i miejsca, a obsesje, sprzeczne myśli wciągają mnie w swą sieć.

Nagle przychodzi mi do głowy pewna myśl: jeśli ci ludzie każdemu niewinnemu, który dostanie się w ich ręce, mogą udowodnić winę, dlaczego w takim razie odwrotnie, mnie, pozornie winnego, nie mieliby puścić wolno? Jest to paradoksalna ewentualność, tak jak zalecał major: argumentować dialektycznie, w świetle i pod światło. Ściskam kolana, zbieram się na odwagę, biorę głęboki oddech, mówię prędko i z naciskiem w moim języku ojczystym:

— Nie mogę udowodnić, że jestem niewinny. Tego nikt tu nie potrafi. Ale mimo to uważam, że powinniśmy zakończyć tę sprawę. Muszę wracać do kliniki. Muszę także być z powrotem na uniwersytecie. Jestem tu już ponad tydzień,

mamy teraz styczeń. Za kilka dni zaczną się ostatnie egzaminy semestralne: gospodarka wodna, prognozowanie przepływu wody i materializm dialektyczny. A od lutego trzeba się wziąć do pisania pracy dyplomowej. Mój temat jest skomplikowany, wynik pracy będzie innowacją, która przyniesie gospodarce narodowej duże korzyści: wzory matematyczne do obliczania ilości wody w ciekach wodnych. Wymaga to wielu pomiarów w terenie i badań laboratoryjnych. Jeśli się uda i przepływ w ciekach naturalnych będzie można obliczyć przy biurku, wtedy już nie trzeba będzie robić pomiarów nad rzeką i w ten sposób zaoszczędzi się milionowe kwoty na sprzęcie i płacach. Czas nagli. Niech pan pomyśli: tu chodzi o moją przyszłość zawodową, jestem blisko celu. Proszę, niech mnie pan wypuści na wolność.

Major mówi:

— Czy muszę przypominać panu historię o indyku, który myślał o niedzieli?

— Przecież wszystko już się wyjaśniło. A co zrobiły te żółtodzioby...

— O jakich żółtodziobach pan mówi?

— Tych z pańskiego czarnego zeszytu. Przecież to w gruncie rzeczy tylko głupia gadanina, same bzdury, do których nie należy przywiązywać wagi. Ścisłe biorąc, oznaczałoby to, że musicie każdemu z nas, Sasów, wytoczyć proces. Kto trzyma język za zębami? A że nie jestem wrogiem państwa, o tym pan wie.

— Musisz nam to udowodnić. — Zwraca się do mnie przez ty.

— A jeśli chodzi o Annemarie Schönmund i Enzia Putera, ma pan, panie majorze, wystarczająco dużo informacji. Czyli ja nie jestem panu potrzebny. Ale pozostaję przy swoim: ta dwójka na pewno nie jest niebezpieczna. W żadnym razie nie mogą być tym, za co ich pan uważa.

— Jak możesz twierdzić coś takiego? Udowodnij to!

— Ponieważ się do tego nie nadają. Żadne służby specjalne nie angażują takich ludzi. — Unikam okropnych słów „agent”, „szpieg”.

— Dlaczego? — pyta major. — Dowody, świadkowie.

— Mam wystarczający dowód.

— Jaki?

— Razem wzięta siła wzroku obojga jest nie większa niż jednego zdrowego oka. Oboje nie widzą na jedno oko, a drugie mają słabe. Poza tym Enzo Puter cierpi na kurzą ślepotę. A przy tym mrocznym zajęciu zwłaszcza nocą człowiek musi mieć ostry wzrok. Czyż ślepy może prowadzić ślepego, by razem nie wpadli do rowu? — Słyszę mój własny roztrzęsiony głos, który mówi: — Proszę wypuścić dziewczynę, ona jest śmiertelnie chora. To jest męska sprawa. — I powtarzam po rumuńsku: — *Dați-i libertatea!*

Major marszczy czoło. Odpowiada po niemiecku:

— O ile dobrze usłyszałem, powiedziałeś przedtem: padam jak worek? Mogę sobie wyobrazić, co oznacza to wyrażenie: zapadać się w sobie jak pusty worek. Ale tobie się to nie zdarzy. Nie dopuścimy do tego. Musisz o wiele więcej z siebie dać. Twój worek jest jeszcze ciągle przepełniony. — Przywołuje kłaśnięciem strażnika i mówi po rumuńsku: — Wsadź go do worka.

6

Prawie upadam, pociągnięty przez strażnika, który, choć jego oczy widzą, najwyraźniej nie radzi sobie ze schodami. Poruszone myśli pędzą przed siebie. Kiedy obejmuje mnie mrok celi, wpelzam do najdalszego kąta.

Przesiewam rozmowy z majorem. Nie pozostaje nic, co pozwoliłoby spodziewać się rychłego zakończenia. Poza jednym zdaniem pobocznym: „...podczas gdy uznanym autorom każe pan antyszambrować”. Powiedziane w czasie terażniejszym, czyli można to tak zrozumieć, że mój rozmówca oczekuje, iż wkrótce zaproszę pominiętych autorów, i na pewno nie tutaj. Wszystko inne sugeruje, że major i jego sztab zamierzają poświęcić mi czas nieograniczony. Ale w żadnym razie nie pozwolę temu panu w zamszowych rękawiczkach nakazywać mi, co mam robić z moim czasem tu na dole, czym się mam zajmować w myślach: „Jeśli nie ma pan nic lepszego do roboty, niech pan poświęci trochę czasu i zastanowi się nad sprawą Annemarie Schönmund”. Mam coś lepszego do roboty: siedzę na wiadrze z uryną i przegryzam się przez cząstkowe równanie różniczkowe drugiego stopnia, o którym wiem, że bez papieru i ołówka jest prawie nie do rozwiązania. Ale wkrótce przechodzę w myślach do cytatu z *Czarodziejskiej góry*, który rzucił mi major. Czy brzmiał on: „choroba jest odmianą miłości”? Czy: „miłość jest odmianą choroby”? I przyłapuję się — po minutach, godzinach, dniach? — na tym, że jednak myślę o Annemarie, jak mi to polecono z góry.

Oślepla z głodu, tak mówiono. Bezradna rodzina, po wojnie pozostawiona samej sobie: milcząca matka, dumna chłopka córka, rzucona przez los do miasta, nieokiełznany syn Herwald, przewyższający matkę o głowę, i dorastająca córka Annemarie, która czuła się odpowiedzialna za każdą istotę i rzecz, od domowej muchy po najdrobniejszy kamyk.

Ojciec, Franz Joseph Schönmund, odszedł od rodziny w zagadkowy sposób. Z zawodu był zegarmistrzem, pracował w rumuńskich kolejach, gdzie odpowiadał na zegary dworcowe. A nastawiał je tak dokładnie, że rozwścieczało to maszynistów, zasadzali się na niego, próbowali go przekupić, aż

w końcu go poturbowali. Wyszedł z tego z paroma siniakami. „W kraju, w którym punktualność nagradzana jest razami, Niemiec może pozostać Niemcem tylko z narażeniem życia”. Schronienie dał mu Niemiecki Ruch Odnowy w Rumunii. Towarzysz Franz miał dbać o to, by chronometry dokładnie odmierzały czas na festynach sportowych, zawodach i marszach terenowych. I ręczyć za punktualność w nowym ruchu o każdej godzinie. Podczas igrzysk olimpijskich w 1936 roku w Berlinie został wysłany przez kierownictwo w Kronstadt do Rzeszy, do dyspozycji głównego zegarmistrza sportowego Niemiec. Tam już pozostał, choć pochodził z rasy wschodniej, i poślubił nordycką córkę swego pracodawcy. „Wrócił do domu, do Rzeszy”, twierdzili pozostali na miejscu kompani. „Złamał przysięgę wierności”, mówiły kobiety.

Jego zegar zatrzymał się pod Stalingradem. Zamarzł w miejscu, gdzie wykopał sobie podziemny schron, ściśle trzymając się szkicu, który Hitler własnoręcznie narysował i kazał w formie ulotki rozrzucić na froncie. Z dokładnością co do minuty ojciec Annemarie mógł rejestrować, jak wychładza się jego ciało, aż zeszywniały palce i krew w żyłach zamarzła. Zostawił czwórkę dzieci w ruinach Berlina i dwoje w dawnej ojczyźnie. Kobiet nie liczono.

Ledwie jego córka zdążyła wyrosnąć z dziecięcych bucików, stała się rewolucjonistką, wygłaszającą polityczne pogadanki o wujku, który jako jeńiec wojenny walczył w Syberyjskim Czerwonym Legionie. Już w szkole podstawowej stawiała na czele mniejszości dzieci, które na dużej przerwie jadły chleb ze smalcem, by poprowadzić ich przeciwko tym z bułkami z szynką. Dochodziło do walk klasowych, kończących się tym, że dobrze odżywieni chłopcy i dziewczynki mieli poprzyklejane na głowach zatłuszczone kromki, a ubożsi uczniowie pochłaniali plastry szynki. Stojąc na nauczycielskim biurku, buntowniczką wymachiwała niebiesko-czerwoną flagą

szkolną i wykrzykiwała: „Proletariusze wszystkich szkół, łączcie się!”.

W latach głodu po wojnie Annemarie wybierała jadalne odpadki z pojemników na śmiecie, głównie łupiny z ziemniaków i liście kapusty. Starszy brat napisał pierwszy sonet i był tym całkowicie pochłonięty. Matka zarabiała trochę pieniędzy przy sortowaniu nasion traw i usztywnianiu końcówek sznurówadeł.

Pewnego ranka, kiedy Annemarie otworzyła oczy, noc nie ustąpiła. Całe dwa lata była niewidoma, musiała pozostać w łóżku, leżeć spokojnie w nadziei, że uszkodzona siatkówka się wyleczy. Kierując spojrzenie do wewnątrz, przemierzała fantastyczne obszary.

W owym mrocznym czasie dokonała wielu niezwykłych odkryć w swym wnętrzu. Zarazem zdobyła głęboki wgląd w charakter człowieka. Pocieszające było odkrycie, że człowiek jest w stanie poprawić się dzięki pedagogice, a pokrzepiający fakt, że wszystkie istoty i rzeczy zamieszkuje dusza świata. Te i inne rzeczy notowała na arkuszach papieru pakunkowego swoim chwiejnym, prawie nieczytelnym pismem. Miałem okazję przeczytać jej notatki w czasie największego rozkwitu miłości między nami. Ludzie nie wypadali w nich dobrze, z wyjątkiem brata pięknoducha i pokornej matki. O mnie jeszcze nic nie było.

Na ścieżkach duchowego rozwoju Annemarie jako korespondencyjny przyjaciel towarzyszył jej ten przeklęty Enzo Puter. Jako człowiek z krwi i kości był oddzielony granicami nie do przebycia. I z tamtego świata poza wszelkim wyobrażeniem radził jej, żeby studiowała psychologię, nawet w obecnym reżimie. Wzrok odzyska. Annemarie dyktowała swoje listy do obcego przyjaciela rumuńskiej uczennicy z siódmej klasy, Claudii Manu, którą uczyła niemieckiego. I tylko ona

mogła odczytywać jej listy „stamtąd”, a nie piszący poezję brat Herwald, nie zahukana matka.

Po dwóch latach jedno oko przejrzało, jakby zdarzył się cud, przy czym drugie nic nie straciło ze swej piękności. Pozostał jedynie lekki zez.

„Przez siłę potrójnego ducha świata, Boga, który przeze mnie działa”, powiedział cudotwórca i jasnowidz Marco Soterius, który znał jeszcze wiele innych tajemniczych i dziwnych sztuk. Nikt już nie wątpił w jego nadprzyrodzone moce, odkąd dokładnie co do minuty określił moment śmierci pierwszej żony wujka Fritza, Rosamunde, jeszcze zanim do Tannenau dotarł telegram z Wiednia.

Marco Soterius siedział przy wezgielciu łóżka Annemarie. Obojętnie kołysał złotym wahadelkiem nad twarzą zauroczonej dziewczyny. Nagle drogocenne narzędzie zaczęło się szarpać w palcach uzdrowiciela i rysować skomplikowane zygzyki nad twarzą chorej. Wielki człowiek musiał dokonywać nadludzkich wysiłków, z czoła kapały mu krople potu. Robił wszystko, co było w jego mocy, „by zgasłe oczy niewidomej dziewczycy otworzyć na światło z trójbarwnego, kołaczącego serca boskiego ducha świata”.

— To wszystko bzdura — podsumowała później Annemarie. Siedzieliśmy w ogrodzie u jej klausenburskich gospodarzy, w dzikim zakątku, zasłonięci bzem, otoczeni jaśminem. — Gdyby Soterius rzeczywiście był posłańcem Boga, mógłby odczytać z mojej twarzy, że jego przesłanie do mnie nie trafia. Bez wiary nie ma uzdrowienia. Możesz sobie wyobrazić, jaką miałam minę podczas tej całej procedury?

— Nie bardzo — odparłem wymijająco.

— Zresztą Bóg to wymysł słabych ludzi, puste słowo, wbrew wszelkiej logice. Jeśli już, to Bóg we mnie, ja sama, przez siebie samą.

— I w każdej istocie, we wszystkich rzeczach — przypomniałem. — Tak chętnie opowiadasz, że wszystko ma duszę...

— To jest logiczne rozwinięcie zdania poprzedniego. Ale dajmy temu spokój. Odzyskałam wzrok dzięki własnej sile. Kiedy tak leżałam zdana tylko na siebie, wyobrażałam sobie godzinami drzewo kasztanowe naszego sąsiada Töpfera. Chrabąszcze majowe zniszczyły mu pierwsze delikatne listki, ale potem wyrosły na nim nowe, piękne, zielone liście. Dlaczego więc nie miałyby się zregenerować moja zniszczona siatkówka? To się nazywa wnioskowanie przez analogię. Wszystko jest logiką.

— I pedagogiką — dorzuciłem.

— Właśnie — potwierdziła z zapalem. — Pedagogika jest logiką formowania się człowieka. Dla każdego człowieka ma zawsze w pogotowiu definicję, która precyzyjnie wyraża, czym jest i czym powinien być. Jeśli nie urodziłam się niewidoma, to znaczy, że nie mam być niewidoma. — Pedagogika techniczna, tak to określiła i nie szczędziła sił, by na siłę dopasować ludzi do swej wizji. — Albo taki skomplikowany przykład: moja matka, która dobrze się czuje w roli opuszczonej żony, w gruncie rzeczy chciała się tylko pozbyć swojego męża. Nie mogła przeboleć tego, że ona, córka porządnej rodziny chłopskiej z Burzenlandu, poszła za ubogim rzemieślnikiem do miasta. Powinna pozostać tym, kim była, mianowicie chłopską córką, albo gdyby stała się tym, kim miała: żoną rzemieślnika, wtedy dorastałabym z ojcem, jak każde normalne saskie dziecko w tym kraju.

Pedagogika teoretyczna była dla niej z kolei siatką odruchów Pawłowa i nauk marksistowskich. „Prawie nie ma osoby z jej otoczenia — zauważył kiedyś mój brat Kurt Feliks — której nie przykleiłaby etykiety: ten jest taki, tamta powinna być taka. Nikt się przed nią nie uchroni. O naszej matce powie-

działa, że jest szanowaną historyczką, o swoim bracie mówi, że żądze cielesne maskuje sonetami. Kiedyś i do ciebie się dobrać”. Nie chciałem tego słuchać. Ale przecież musiał się na tym znać: studiował antropologię i historię Transylwanii na węgierskim Uniwersytecie imienia Janosa Bolyai.

— A człowiek jako tajemnica, człowiek ze swymi sprzecznościami?

— Każdą tajemnicę można wyjaśnić racjonalnie. Każda sprzeczność dąży do wyjaśnienia. Musisz tylko odpowiednio dokonać sekcji świadomości człowieka, żeby ją później od nowa złożyć według ścisłych reguł. Trzeba mieć odwagę bez ogródek nazywać rzeczy po imieniu.

Nasza ciotka Herta wyraziła to inaczej: „To bardzo niedelikatne u osób tego rodzaju, że potrafią bez żenady wpychać się w sferę intymną człowieka. Są w ludziach rzeczy, o których nie należy nawet myśleć, a co dopiero mówić”. Powiedziała to dopiero wtedy, gdy wielka miłość Annemarie do mnie nagle się skończyła.

— Trzeba mieć odwagę — powtórzyła Annemarie pod nocnym bżem — żeby przejrzeć rzeczy do samej głębi. — Ławka nie miała oparcia, musiałem więc otoczyć ją ramieniem. Powiedziałem:

— Każdy człowiek jest tyle wart, ile jest w nim tajemnicy, tak czytałem.

— To jest inne określenie kłamstwa.

— A psychologia: podświadomość, sny, wstyd, dusza?

— Dusza? Nasz profesor Roşca twierdzi, że psychologia jest nauką bez przedmiotu.

— A twoja dusza?

— Moja dusza? — Smutnym głosem powiedziała: — Moja dusza rozwiewa się jak popiół.

— Miejmy nadzieję, że kilka drobinek pozostanie w tym bzie — odrzekłem poruszony i przyciągnąłem ją do siebie.

— Pocziesz się: pozostaje jeszcze dusza świata.

Dusza świata: tego trzymała się w każdej sytuacji. To było w Klausenburgu: nakupiliśmy jedzenia, najlepsze tanie rzeczy: paryskie kiełbaski po dziewięć lei kilo, do tego pomidory i zielona papryka, razem pięćdziesiąt bani, a czerwoną cebulę ukradłem za plecami sprzedawczyni. Czarny chleb na kartki wykupiliśmy na dwa dni z góry. Byliśmy głodni. Poprzedniej nocy zarobiłem dziesięć lei, przez kilka godzin rozładowując wagon ziaren słonecznika. Chcieliśmy spożyć te przysmaki w Parku Wypoczynkowym imienia J.W. Stalina, kiedy przyplątał się do nas pies, sama skóra i kości. Annemarie lży napłynęły do oczu. „Jak my w ogóle możemy jeść w obliczu takiej niedoli? — Najprostszym rozwiązaniem wydawało mi się odpedzenie psa. Albo przeniesienie się na inną ławkę. — Jak możesz tak myśleć, on ma taką samą duszę jak ty i ja!”. I rzuciła zwierzęciu pod sam pysk kiełbasę i wszystkie kromki chleba. Głodny pies powąchał chleb, polizał kiełbasę. Potem poszedł w swoją stronę. A ja jeszcze poturlałem za nim pomidora. „Pomidory dla psa? Gdzie tu logika?”. Paprykę dostały ryby, po tym, jak wzgardziły nią ptaki. Wreszcie sam z apetytem zjadłem cebulę.

Na początku naszej miłości, gdy jeszcze nie mieliśmy odwagi wypowiedzieć słowa „szczęście”, zabrałem Annemarie z wizytą do ciotki Herty i babci. Chciałem, żeby moja rodzina pokochała ją tak samo jak ja.

— No dobrze. Cieszymy się. Miła pogawędka po południu — powiedziała babcia.

Ciotka Herta nie miała nic przeciwko temu.

— Powiedz nam tylko, z jakich kręgów ona pochodzi?

— Z żadnych.

— Chodzi mi o to, żebyśmy wiedziały, na co się mamy nastawić.

Ze skromnego trzypokojowego mieszkania zostawiono obu damom jeden pokój, z oknem wychodzącym na północ. W tym pomieszczeniu piętrzyły się resztki, które przez ostatnie czterdzieści lat udało się uratować z historycznych katastrof między Budapesztem a Hermannstadt. Rzeczy przydatne i niepotrzebne, w tym nieco sreber i kości słoniowej. A w sekretnym schowku chwiejnego sekretarzyka spoczywały rodzinne klejnoty. W pozostałych pokojach zakwaterowano po rodzinie z dziećmi. Wszyscy wspólnie używali kuchni, łazienki i spiżarni.

Podczas herbatki przy starannie nakrytym stole Annemarie dzieliła się swoimi najnowszymi pedagogicznymi odkryciami, śmiało nazywając rzeczy po imieniu. Już z cech anatomicznych można poznać, czy dziewczyna jest zdeflorowana.

— Kiedy u dojrzewającej dziewczyny, gdy ściska kolana, tworzy się między udami szczelina, tak duża, że powiedzmy, przeskoczyłby przez nią sznur, w praktyce najlepiej sprawdza się to, przesuując między nogami butelkę po piwie, wtedy dziewczyna jest jeszcze *virgo intacta*.

Ciotka Herta zapytała, jak się miewają ojciec i matka Annemarie.

— Ojciec miewa się przypuszczalnie dobrze, nie żyje. Matka ma się źle. Od lat cierpi na depresję. — I mówiła dalej: — Inny dowód na to, jak jest z niewinnością dziewczyny: nosi biustonosz, na pewno spała już z mężczyzną. Wolno puszczone piersi to oznaka, że jest jeszcze dziewicą.

Do rozmowy włączyła się babcia:

— Szlachetne słowo „dziewica” rzadko jest ostatnio używane.

Ciotka Herta zapytała, czy ojciec od dawna nie żyje.

— Zamarzył pod Stalingradem.

— Zimy w Rosji są bardzo mroźne — zauważyła ciotka Herta, nie wspominając, że sama przeżyła pięć takich zim.

— Stał się specjalną, można powiedzieć, osobistą ofiarą Hitlera.

— Tak jak my wszyscy — powiedziała ciotka Herta.

— Nie wszyscy. Świadomie powiedziałam „specjalną, osobistą”.

I Annemarie opowiedziała, że żołnierz Franz zamarzył dziewięćdziesiąt centymetrów pod ziemią, w jednoosobowym bunkrze, którego wymiary własnoręcznie wyliczył sam Hitler.

— Niemożliwe, przecież ziemia zamarza do osiemdziesięciu centymetrów!

Odezwałem się:

— W Rosji ta granica leży trzydzieści procent niżej niż w Europie.

— Wiedza to władza — powiedziała Annemarie z triumfem. — Gdyby Hitler to wiedział, ci mężczyźni by nie pozamarzali.

Babcia odkryła dzbanek z herbatą, który pod haftowanym kapturkiem jeszcze zachował ciepło. Za rządów bolszewika Béli Kuna w Budapeszcie zaczęła się trząść. Za Stalina wcale się jej nie polepszyło. Ciotka Herta nalała nam herbaty, którą piliśmy z filiżanek bez uszka, lipowej herbaty. Podane wypieki nazywały się łobuziaki i ciasto szeklarskie.

Babcia odezwała się zakłopotana:

— Zapomniałam o miodzie. Może jeszcze go znajdę. — W drodze do przedpokoju odwróciła się, znów zamknęła drzwi i szepnęła: — Panna M. — to była sąsiadka nazwiskiem Michalache, kadrowa w spółdzielni fryzjerskiej Higiena — myli czasami półki w spiżarni. Pani A. też to zauważyła. Ale panna M. wychowuje osieroconego synka swojej siostry. To dobra dusza. — Wydreptała z pokoju.

Pani A. był to skrót oznaczający panią Antonese, nauczycielkę francuskiego po studiach w Paryżu. Z mężem i dwójką do-

rosłych dzieci zamieszkiwała pokój narożny. Jej mąż, pułkownik kawalerii w stanie spoczynku, prowadził gospodarstwo domowe. Szablą odsuwał na bok garnki współmieszkańców na płycie kuchennej. Przy zmywaniu tak się ustawiał w kącie, że nikt nie mógł otworzyć drzwi do kuchni. A kiedy raz mimo to udało się pannie M. wejść, spadła na nią ogromna szabla kawaleryjska i zraniła ją w pierś. *Colonel*, przyzwyczajony do krwi i wrzawy wojennej, dalej spokojnie zmywał naczynia. Ponieważ nikogo nie zaszczycił ani słowem, nie można się z nim było ani pokłócić, ani porozumieć. Czasami tylko rzucał zagadkowe słowo: *Merde!*

— Babcia miała na pewno dominującego męża — Annemarie zmieniła temat. — Przez to swoje trzęsienie się chciała mu się przeciwstawić.

— To dlaczego trzęsie się do dzisiaj, kiedy dziadek od dawna już nie żyje? — zapytałem.

— Teraz trzęsie się, żeby wzbudzić współczucie.

Ciotka Herta zapytała, czy warunki mieszkaniowe w Kronstadt są znośne.

Annemarie odpowiedziała:

— Kiedy mój ojciec udał się w siną dal, matka wygrała na loterii domek.

Ciotka Herta nie dopytywała się, gdzie leżała owa sina dal.

Babcia odezwała się ciepłym tonem:

— Bóg był zawsze obrońcą wdów i sierot. — Drżącą ręką postawiła słoik z miodem na stole.

— Wcale nie. To była odpowiednia kombinacja cyfr. A poza tym: jeśli dotrze się do psychicznych przyczyn, można się pozbyć tego drżenia. To jest ewidentna sprawa pedagogiki. Tylko trzeba chcieć.

— Ależ oczywiście — odrzekła zgodnie moja babcia.

— Jeśli pani chce, dlaczego trzęsie się pani bardziej?

— Z radości — odpowiedziałem.

Rozległo się pukanie do drzwi. Zanim ktoś zdążył powiedzieć „proszę”, drzwi zostały otwarte, weszło dwóch chłopców, każdy z tacą w rękach, za nimi kobieta w poplamionej sukni domowej i w kapciach na bosych stopach. Mniejszy z chłopców, ubrany w kraciasty fartuszek i sukienkę, miał na sobie przepisowy strój przedszkolaka, który nie znał różnicy między chłopcem a dziewczynką, drugi był w obowiązkowym mundurku szkolnym, w kolorze szarozielonym, z bładoniebieską koszulą i granatowym krawatem.

— Proszę bardzo, troszkę słodkości, *dulceața* — powiedziała panna Mihalache i jej twarz się rozpromieniła. — Chłopcy byli bardzo ciekawi uczonych towarzyszy studentów. Ionica już wie, co chce studiować. Powiedz towarzyszom!

— Budowę okrętów w Gałaczu — odpowiedział chłopiec z poważną miną.

Panna Mihalache zaczęła się przeciskać między ludźmi i meblami i rozdzielać, nieproszona, talerzyki z przesłodzoną konfiturą. Do tego dołożyła cztery maleńkie łyżeczki do kawy, które wyczarowała z dekoltu. I kiedy Annemarie wachała przysmak, a ja wylewnie dziękowałem, ciotka Herta i babcia siedziały jak skamieniałe i patrzyły na czerwono lśniące słodycze, jakby to była trucizna.

— Dlaczego panie nie jedzą? — zapytała panna Mihalache rozczarowana. — Ach, zapomniałam przynieść wodę. Do tego musi być woda. Troszkę *dulceața* i łyk wody. — Utorowała sobie drogę do kwiecistego fotela pod oknem, na którym umieściła obu chłopców, po czym wyszła, przysunąwszy stół bliżej kredensu. — Za mało tu miejsca na tyle ludzi.

Ledwie zdążyła wyjść, ciotka Herta zawołała:

— Nie wolno wam tknąć *dulceața*!

— Te srebrne sztuczce na pewno są kradzione — powiedziała Annemarie, wyraźnie ucieszona tą obserwacją. — Srebr-

nych łyżeczek z monogramem nawet my nie mamy. A co dopiero ona.

— Z monogramem — powiedziała babcia. Rozłożyła lorgnon, przyjrzała się łyżeczkom i wykrzyknęła przerażona: — Na miłość boską, to są łyżeczki naszej Hanni. Patrzcie, JG, Johanna Goldschmidt. Ileż ja się ich naszukałam! Co my teraz zrobimy? Nie można powiedzieć pannie M., że to nie należy do niej. To by zraniło biedaczkę. Zostawmy tę sprawę. Przepadło, to przepadło, nie ma, to nie ma. — Łyżeczka wypadła jej z ręki i osunęła się na kolana, jakby chciała się ukryć.

Annemarie powiedziała:

— Pedagogiczna łamigłówka. To właśnie nas czeka.

Panna Mihalache wróciła z tacą, na której stały cztery szklanki z wodą. Ciotka Herta wyjęła z przeszklonego kredensu talerzyki i podłożyła je pod szklanki. Babcia upuściła swoją szklankę, która rozbiła się na podłodze. Panna Mihalache pochylała się, żeby zebrać szkło. Jej sukienka przy tym przesunęła się, odsłaniając ogromny biustonosz. Przez moment wszyscy pomyśleli to samo: ta panna nie jest już dziewicą. Opadła na łóżko ciotki Herty, ze szkłem zebrany w podołek. Wszyscy zobaczyli, że jej uda były przyklejone do siebie. W żadnym wypadku szczur by się nie przecisnął.

Annemarie stanęła przed towarzyszką, trzymając jedną z łyżeczek w ręce, i odezwała się przyjaźnie:

— Aleśmy się naszukali tych łyżeczek. Dziękuję pani, że nam je pani przyniosła. Należały do zmarłej ciotki z Frecku, jej duch ciągle krąży i szuka tych rzeczy.

— Do nieżyjącej towarzyski? — szepnęła wystraszona kobieta. — Czy nie wydawało mi się wczoraj, że w łazience jakiś duch gulgotał w zlewie? To była ciotka! — Przeżegnała się. Annemarie włożyła jej łyżeczkę do ręki. — Niech pani patrzy, tu jest monogram. JG.

— Szatańskie piętno! — wykrzyknęła panna M., trzymając przeklętą rzecz jak najdalej od siebie.

Annemarie usiadła przy niej.

— Wcale nie, to jest wyraz tego, że nawet sztuce mają duszę.

— Martwy przedmiot duszę! Jeszcze gorzej. — Wzdrygnęła się, splunęła trzy razy.

Annemarie po macierzyńsku objęła przerażoną kobietę, poprawiła jej biustonosz, zasunęła jej pozbawioną guzików sukienkę na biuście, brzuchu i udach, ciaśniej zawiązała pasek. Kobieta na łóżku rzuciła łyżeczkę za piec kaflowy, ta podskoczyła na podłodze, wydając delikatny srebrzysty dźwięk.

— Słyszycie jej duszę? — Rzeczywiście: wszyscy usłyszeliśmy wesoły starczy śmiech poczciwej ciotki Hanni. Towarzyszka Mihalache zabrała chłopców i uciekła, ciasno zawiązana w pasie, ale z psychiką w rozprężeniu.

Pożegnaliśmy się. Annemarie wzięła w ramiona moją drobną babcię, która drżała teraz na całym ciele, i powiedziała jej na pocieszenie:

— Kto tak drży, mniej marznie. — Przed ciotką Hertą, która nie miała akurat wolnej ręki, żeby ją podać Annemarie, gdyż specjalnie trzymała w rękach *dulceața* na tacy, moja przyjaciółka dygnęła. — Kto jest tak wytworny, żyje dłużej.

Do następnej pogawędki nie doszło przez następne cztery lata.

Kiedy przed Wigilią w Klausenburgu Annemarie przeglądała swoje notatki i wykresy, przyszło jej do głowy, że mój brat Kurt Feliks obecnie nie odpowiada jej siatce odruchów społecznych. „Musimy wycofać zaproszenie”. Wybrała niewielką grupkę osób i zaprosiła na ten wieczór do siebie. Zapalałem właśnie ostatnie świece na choince. Annemarie nie wytłumaczyła się. „Uwierz mi, gruntownie przemyślałam jego

przypadek”. Uwierzyłem jej, przecież było Boże Narodzenie. Choć mogłem równie dobrze zapytać: a Ljuben, dlaczego on może zostać, przecież on nie pasuje do żadnej siatki? A Michel Seifert?

Annemarie dzieliła pokój z dwiema studentkami, Rumunką i Węgierką, Lavinią i Mariką. Obie z utęsknieniem czekały na Kurta Feliksa, nie tylko w charakterze kawalera i rozmówcy, lecz także żartownisia i figlarza. To z jego powodu obie dziewczyny udostępniły swoją część pokoju i zrezygnowały z zaproszenia własnych przyjaciół.

Przez delikatność wobec obu koleżanek i wzgląd na niemile widzianego gościa logiczne było, że trzeba będzie czekać na niego przed bramą. A któż inny miał to zrobić, jeśli nie ja? Zdawałem sobie sprawę z jednego i z drugiego. I zrobiłem to, co do mnie należało. Już z daleka krzyknąłem do niego: — Nie masz po co tu przychodzić! — Bez słowa zniknął w ciemnościach.

Zamiast pójść razem z nim i po pasterce w katedrze spędzić z nim świętą noc w zasypanym śniegiem parku, dołączyłem do reszty towarzystwa i w przytulnym pokoju przy blasku świec śpiewałem z zapamiętaniem uduchowione pieśni, które intonowała Annemarie jako gospodyni: *O choinko, o choinko, co zielone masz igielki, Śnieżynko w białej spódniczce, już nadchodzisz. Przy Żegnaj, zimo, pożegnanie sprawia ból kilka dziewcząt wycierało nosy małymi chusteczkami, które zaraz szybko chowały w rękawach swoich barchanowych bluzek. Pachniało lawendą. Kiedy ktoś zapytał, gdzie jest mój brat, Annemarie odpowiedziała ze śmiechem:*

— Jak widzicie, tutaj go nie ma.

Przy piosence *Słuchaj, cóż to tam nadchodzi* wszyscy spojrzeli w stronę drzwi. Michel Seifert wstał, śpiewając i otworzył je, zrobiło się cicho. A on zawołał:

— Kurt Feliks, stary przyjacielu! Wyciągaj nogi i śpiesz tu do nas!

Jak dobrze by było, gdyby rzeczywiście przyszedł i rozba-
wił towarzystwo, rozweselił wszystkich! Ale nikt nie wszedł.
Dało się tylko słyszeć chrapanie właścicielki mieszkania, która
już spała w przedpokoju pod swoją kołdrą i śniła o aniołach
w wiankach z pieczonych kiełbasek. Lavinia i Marika zaczęły
głośno ziewać, nie zasłaniając się nawet dłonią, jakby były
same. Wyraźny znak, że ten wieczór je nudził.

Ale program świąteczny Annemarie jeszcze nie został wy-
czerpany.

— Przeczytam wam teraz opowieść wigilijną, napisaną
przez niejakiego pana Seidla, oburzająca rzecz. A wy powie-
cie, co o tym myślicie. — Zaświeciła małą lampkę. Już po
pierwszych zdaniach porwała słuchaczy czarem swego głosu.
Pokrótce: w wieczór wigilijny sanie państwa ze dworu utknęły
w zaspie. Służba śpieszy na pomoc, odkopuje państwa, *made-
moiselle* przynosi poncz i termofory, lokaj przyczepia świeczki
do gałązek jodły na skraju drogi i zapala je. I wszyscy śpiewają
kolędy.

Dziewczynom historyjka się podobała, były wzruszone.
Notger Nussbecker zauważył:

— Zgodne z biblijny przesłaniem. — Specjalizował się
w prahistorii, zwłaszcza w okresie wspólnot pierwotnych: „Ma
to tę zaletę, że można się trzymać z dala od walki klas”.

— Dobrze jest zastanowić się nad problemem, przemyśleć
go do końca — stwierdziła Annemarie. Siedzieliśmy stłoczeni
na trzech łózkach. Żeby było więcej miejsca, kilku chłopców
wzięło dziewczyny na kolana. Światło świec nastrojało nas
melancholijnie. — Co jest oburzającego w tej historii? — Nikt
się nie odezwał. Annemarie powiedziała surowo: — Widać,
że nikt z was nie był służącą ani parobkiem. Uważam, że to

straszne, żeby wyzyskiwany lud nawet w ten wieczór zmuszany był do pracy.

Paula Mathäi z Kronstadt, studentka mineralogii, której ojciec zaginął pod Narwikiem, a ona teraz zarabiała na życie tłumaczeniami, powiedziała:

— Mój ojciec był zwykłym księgowym w fabryce Schmutzlera. Nie mieliśmy służącej. Ale powiem ci jedno: my tak samo zostawilibyśmy choinkę i domowe ciepło i pośpieszylibyśmy na pomoc, gdyby ktoś był w potrzebie, właśnie ze względu na Boże Narodzenie. Bez niczego poszlibyśmy nawet do Tannenu, bite pięć kilometrów, gdzie Schmutzlerowie mieli willę, żeby im pomóc. Bogaci także mają duszę.

— Nie używaj tego wzniosłego słowa!

— Ty co chwilę nadużywasz logiki, ciągle mówisz o uduchowieniu wszystkiego. Jeśli każdy kamień ma duszę, to ma ją też i kapitalista, że użyję tego modnego wyrażenia.

Notger odezwał się:

— Świetnie pasuje ta historia. Kiedy ktoś nas zapyta, co tu robiliśmy, odpowiemy: czytaliśmy prozę społeczno-krytyczną, śpiewali pieśni o zimie.

Annemarie zapowiedziała następny punkt: wiersze zebranych. Gunther Reissenfels, medyk, zauważył, że fabrykowanie wierszy to najlepsze lekarstwo na obstrukcję. Notger Nussbecker powiedział:

— Niech się cieszy, kto to potrafi.

Michel odczytał swoje smętne wiersze. Dzięki dowolnemu łączeniu słów powstawały w nich rymy, które skłaniały do śmiechu: klejnoty rymował z koty, płoty, zaloty; chleby z potrzeby, a nawet ameby.

— Ostatni punkt: Achim Bierstock.

Student germanistyki starannie przygotowywał się do odczytania własnych wierszy. Długo przestawiał świece na stole, tam i z powrotem. Miał brwi ponadpalane po bokach

i krótsze, przez co wyglądały, jakby były naklejone. Nazywano go Pierrotem, na co dobrodusznie się godził. Mieszkał na przedmieściu Monostor-Klosdorf u ludzi, którzy nie mieli światła elektrycznego. Przy świecach, ustawionych po bokach na wysokości oczu, studiował i pisał poezje. Kiedy nieostroźnie odwracał głowę porwany liryczną inspiracją, niebezpiecznie zbliżał się do płomieni, to samo działo się, gdy jego zmęczona głowa osuwała się na papier. Pachniał palonymi włosami.

— Hybryda prozy i liryki, nowy gatunek — Annemarie przygotowała audytorium. Usłyszeliśmy długie zdania. Ilekroć wydawało się, że rozrosną się w utwór prozatorski, linijka kończyła się poetyckim zakrętasem, a początek kolejnej wskazywał, że może być z tego wiersz.

Gunther Reissenfels zauważył:

— Im większe zaparcie, tym dłuższe wersy. — Poza tym wszyscy milczeli z szacunkiem.

Potem zaśpiewaliśmy jeszcze *Cicha noc, święta noc* na ogólne życzenie. Najbardziej nalegała Paula Mathäi i obie współmieszkancki Annemarie, Lavinia i Marika: To się śpiewa dzisiaj na całym świecie, nawet po japońsku i cygańsku. A w naszym kraju w każdej rodzinie, nawet w Securitate.

— Są dwa tłumaczenia na rumuński — powiedziała Lavinia.

— Po węgiersku też są dwa, jeśli nie trzy — sekundowała jej Marika.

— To jest chrześcijańska *Międzynarodówka* — Annemarie musiała się poddać.

Na koniec zabrzmiał saski hymn *Siedmiogrodzie, kraju błogostawiony*. Wszyscy wstali. Tuż przed końcem wzniosłej pieśni Notger zaczął się trząść jak w febrze. Rozdzielił ręce dwóch stojących obok dziewczyn, drgawki przeszły na nie. Nikt nie mógł się przed tym ustrzec, nawet Annemarie, która

użyła wszelkiej logiki, by nie dać się w to wciągnąć. Całe towarzystwo trzymało się za ręce i trzęsło się jak w tańcu świętego Wita. Poruszone powietrze pogasiło świece. W końcu Notger przerwał ten trans.

— Tak ludzie pierwotni odpędzali złe duchy i odstraszali dzikie zwierzęta. — Paliła się tylko jedna świeca. Annemarie zaświeciła światło. Pary, które jeszcze przed chwilą rzucały się w drgawkach, obejmowały się, wszystko jedno, kto był pod ręką, i całowały się.

Gunther Reissenfels stwierdził:

— Grupowa histeria z symptomami *chorea minor*. Całowanie się jest najlepszą terapią. Napięcie we włóknach nerwowych zostaje rozładowane. — I dał Annemarie mokrego całusa.

— Tacy są ci kwakrzy — powiedziała Elisa Kroner. Trafiła na Michela Seiferta. Kiedy ją puścił, wytarła sobie usta wierzchem dłoni.

Lavinia i Marika rzuciły się na Ljubena.

— Jesteśmy bałkańskim trójkątem!

Ljubljen przesiedział cały wieczór w milczeniu, wyglądał jak cień, jak swój własny duch, i zwracał na siebie uwagę tylko wtedy, gdy cmokał, żeby przeczyszczyć zęby. Zacałowałyby go na śmierć, gdyby nie zrugwał ich po rosyjsku, w języku, którym można było zastraszyć każdego w tym kraju.

Házinéni, gospodyni, zastukała w drzwi kulą swego zmarłego męża, którą zawsze brała na noc do łóżka. Gęsiego wymknęliśmy się z mieszkania.

Gdzie mój brat spędził świętą noc? Nie wiedziałem. Mieszkał wtedy z robotnikami budowlanymi w na wpół wykończonym bloku, ja dzieliłem piwnicę ze schorowaną hrabiną Clotilde Apori. Zatem gdzie? Nigdy się nie dowiedziałem. Kiedy spotykaliśmy się później, pozdrawialiśmy się przez ulicę w milczeniu.

Po wieczorze u Annemarie odprowadzałem do domu Elisę Kroner. Prosiła mnie o to. Strada Pata ze swoimi parterowymi domkami ciągnęła się bez końca. Elisa odesłała do domu Ljubena, który ciągnął za nami jak cień:

— Dziękuję ci bardzo. Nie musisz iść ze mną. Jestem w dobrych rękach. — I do mnie: — A gdzie jest twój brat? — Zgodnie z prawdą mogłem odpowiedzieć, że nie wiem. Ale wstydzilem się przyznać do wszystkiego. Wzięła mnie pod rękę. Prowadziłem ją ostrożnie po zamarzniętych kałużach. — Co jest z Ljubenem, tym kamiennym gościem? Gdzie zbierze się dwóch, trzech naszych, on od razu się dołącza. Studiujecie przecież na uniwersytecie Bolyaia, powinien się więc trzymać Węgrów. Jeżeli rzeczywiście jest siostrzeńcem bułgarskiego wodza, to na pewno go obserwują, a nas razem z nim. A jeśli nim nie jest, to jeszcze gorzej, bo to znaczy, że jest szpiclem. Nie mamy wprawdzie nic do ukrycia. Ale żeby Securitate miało liczyć twoje pocałunki...

— On jest nieszczęśliwie zakochany.

— W tobie.

Zaśmiała się:

— Kto mnie kocha, jest zakochany szczęśliwie.

— To w kim w takim razie?

Przez chwilę się wahała:

— W pewnej saskiej studentce.

— A można wiedzieć, kto to jest?

— Oczywiście. Nosi tyrolski kapelusz z piórkiem.

— Ty też masz taki kapelusz.

— I trzydzieści innych studentek.

— Ale on po całych dniach przesiaduje u ciebie w kuchni, pod bielizną twojej *házinéni*...

— Czasami wisi tam też coś mojego — dodała.

— I patrzy na ciebie ze smutkiem. A ta stara siedzi na swoim stołku i gapi się tępo na ciebie.

— *Pirosnéni* i ja razem rezydujemy w kuchni. Żeby oszczędzić na opale — odparła Elisa.

— A nie przeszkadza ci, że ktoś tak ciągle siedzi ci na głowie?

— Każdemu pozwalam się do siebie zbliżać, ale dystans określam ja sama.

Nie śpieszyliśmy się. Elisa miała na sobie odziedziczoną po babci fryzyską kurtkę, która leżała na niej jak ulana. Dziewczyna wyglądała, jakby zesza ze starej fotografii. Jej spódnica była uszyta z grubego wełnianego materiału — jej ojciec, doktor Arthur Kroner, były dyrektor fabryki, własnoręcznie utkał go na starych krosnach, na których jego dziadek nauczył wnuka sztuki tkackiej, zanim jeszcze z tkalni wełny powstał zakład tekstylny. Głowę miała odkrytą, grzały ją gęste, kręcone włosy.

Ja też szedłem z gołą głową. Zbyt dumny, żeby nawet na siarczystym mrozie założyć czapkę, chroniłem się w ten sposób, że zapuszczałem włosy na taką długość, na jaką pozwalała partia: z tyłu do kołnierza płaszcza, z przodu do brwi, po bokach do małżowin usznych. Nie więcej.

Wsunęła lewą rękę do mojej rękawicy:

— Jakie przyjemne, ciepłe rękawiczki! Przytulne jak stajnia żrebaka. — Moja matka uszyła mi je z brezentu i podbiła jagnięcym futrem. Miałem na sobie wiatrówkę, także uszytą przez matkę, z płaszcza przeciwdeszczowego koloru feldgrau, który zostawił u nas niemiecki oficer. Kurtka była ocieplona spraną flanelą ze spuścizny ciotki Adeli z Frecku.

Elisa powiedziała:

— Annemarie poniesie klęskę z własnej winy. Jej koncepcja człowieka jest błędna. — I zacytowała: — „Nie jestem księgą pełną mądrości, lecz człowiekiem w całej swej sprzeczności”. Tego, co się dzieje na świecie, nie da się zracjonalizować. Zawsze wkrada się coś niekontrolowanego, nieoczekiwanego,

przez nikogo niechcianego. Dzisiejszy wieczór jest tu świętym przykładem. To nie była Wigilia, raczej sabbat czarownic.

— A obiektywne prawa rozwoju społecznego? A sprzeczność między biednym a bogatym? Walka klas jako niezaprzeczalny motor historii świata? No i w końcu ta fascynująca definicja: byt określa świadomość, którą można rozjaśnić wszystkie obszary ludzkiego istnienia?

Zatrzymała się i spojrzała na mnie:

— Jest nieskończenie wiele sprzeczności. Strzeż się w życiu definicji. To boli!

Doszliśmy do domku, w którym była jej stacja. Latarnia uliczna rzucała blade światło.

— Mogłabym sobie wyobrazić, że Annemarie wycofała zaproszenie dla twojego brata. — Skinąłem głową. — A ty nie miałeś odwagi, żeby po prostu pójść z nim?

Łzy napłynęły mi do oczu.

— Muszę już iść — powiedziałem szybko. — Bo inaczej moja hrabina zamarznie. Muszę dołożyć drewna. Ona nie rusza nawet palcem, bo się boi, że jej kości się połamią, osteoporoza — wyrzucałem z siebie słowa, jakbym odbywał spowiedź.

Chłód dopadał nas tysiącem białych igiełek. Oddech zamarzał, obłoki pary z naszych ust zlewały się w jeden. Odsunęliśmy się od siebie. Ale Elisa dalej miała rękę w mojej rękawiczce. Dlatego nie mogłem obetrzeć też z oczu.

— A co ta dama robi przez cały dzień?

— Liczy dni.

— Czy wie, kiedy umrze?

— Nie, nie swoje dni, tylko te, które upłynęły, od kiedy w 1948 roku uwięziono na Węgrzech kardynała Mindszentyego. I godzinami modli się o jego uwolnienie. Tym rozgrzewa swoje dłonie w mitenkach.

— Dlaczego nie nosi ciepłych rękawiczek z jednym palcem?

— Żeby modlitwa odniosła skutek, palce muszą się stykać. Poza tym u nas rano jest tak zimno, że wilgoć osiada na szybach kryształkami lodu. Ale nigdy nie usłyszysz od niej słowa skargi. Jest przekonana, że może wymodlić wolność dla kardynała.

— A dzisiaj, czy jest sama w Wigilię?

— Nie, dzisiaj spotyka się tam węgierska *haute volée*, pod przewodnictwem jaśnie oświeconej księżnej Klóry Pálffy. Jej przodkiem był książę Siedmiogrodu. Ta dama jest jak bojowy rumak. Nigdy nie wychodzi z domu bez węgierskiego buzdygana swojego męża. Wyjaśniła mi kiedyś, jak należy go używać: wbija się go przeciwnikowi w brzuch, przebija przeponę, wypcha szpic głęboko we wnętrzości i obraca kilka razy, aż porozrywane jelita owiną się wokół jego piór.

— Fuj, to potworne! Ale gdzie oni mieszkają? Jak żyją?

— Kto nie został wywieziony, tego władze przekwaterowały, najczęściej do piwnicy własnego pałacu. A z czego żyją? Przede wszystkim żyją wspomnieniami. A poza tym: to naprawdę wzruszające, jak ci niegdyś przez nich wykorzystywani chłopci troszczą się teraz o swoich byłych panów. Prawie co tydzień jakaś babinka przyjeżdża ze wsi do mojej hrabiny, klęka przed nią, całuje czubki jej palców, zachęca ją do dalszych modłów, przywozi trochę przysmaków. Przyjdź mnie kiedyś odwiedzić. Możesz z moją hrabiną porozmawiać po angielsku albo francusku. No i naturalnie po niemiecku.

— Przyjdę.

— Kiedy?

— Jeszcze nie wiem.

— Węgierscy arystokraci spotykają się regularnie. I wspierają się nawzajem. W każdej sytuacji życiowej starają się zachować najwytworniejsze maniery, zwracają się do siebie wszystkimi tytułami, nigdy nie tracą fasonu. Dziwne jest, że małżeństwa przez całe życie są ze sobą na „pan, pani”. Ale

kiedy odkryją, że ktoś w jakiś sposób do nich należy, od razu mówią do niego ty. Żywią się jogurtem i sucharkami. O piątej piją herbatę z łupin jabłek albo orzechów. Kiedy zbierają się u nas w piwnicy, ja też jestem zapraszany. I często z nimi siedzę. Choćby po to, by im usłużyć przy stole. Moja babcia pochodzi z węgierskiej arystokracji.

— A co robią na tych spotkaniach?

— Oglądają stare fotografie. Czasami grają w karty. I nigdy ani słowa na temat reżimu.

— Z ostrożności?

— Z pogardy. Ciotka Klára, ta od buzdygana, twierdzi, że pasują tu niemieckie zwroty: nie zaszczycać kogoś ani jednym słowem. Albo: szkoda słów. Kiedy coś nie zostaje nazwane, wtedy nie istnieje i nie można przez to cierpieć. O właśnie, jeszcze jedna ciekawostka: nigdy nie udzielają pochwał.

— Dlaczego? Pochwały dobrze robią ludziom, podbudowują.

— Dla nich to jest obraźliwe. I mają rację: pochwała zakłada, że coś równie dobrze mogłoby być gorsze. — Znienacka powiedziałem: — Teraz już muszę iść. A więc wesołych świąt. *Adieu.*

Wysunęła rękę z mojej rękawicy.

— Zaprosiłabym cię do środka, ale stara już czuwa. Właśnie zapaliła światło.

Dlaczego Annemarie Schönmund zażyczyła sobie, żebym ją uwiódł akurat 31 marca? A nie 1 maja, w dniu święta pracy, albo jeszcze później, na przykład w Zielone Świątki, kiedy to Duch Święty wchodzi przez drzwi pod postacią ognia i szumu? Nie wiem. Odwlekałem to. Ogarniało mnie przerażenie na myśl o tym, że pryśnie czar, że przez całe życie będę odczuwał pustkę: to się chyba nazywa *horror vacui*. Gdy to nastąpi, jaki

próg mi jeszcze pozostanie do przekroczenia, jaka niewyobrażalna tajemnica? Jedynie śmierć.

Annemarie była starsza. Dlatego stało się to 31 marca. Jaka w tym była logika? Może według reguły Ogino-Knausa były to dla kobiety bezpieczne dni — okres ochronny dla zakochanych?

Stało się to na ziemi bez jednego kwiatka, bez zielonej trawy. Na rozległej połaci nie kwitło nic, co można by zerwać. W cieplejszych zakątkach zaczęły wypuszczać pędy pokrzywy. Na ugorze na północ od Klausenburga, za dworcem i fabrykami, wysoko nad miastem. Chmury dymu zasłaniały niebo, a powietrze pachniało gazami siarkowymi. Nie trzymaliśmy się za ręce, ale szliśmy jedno za drugim. Mnie posłała przodem. Tu i ówdzie rosło bezlistne drzewo. Gdzieś na horyzoncie rozciągały się wsie, których nazwy nic nam nie mówiły. Nie reagowaliśmy na szczekanie psów łańcuchowych i dźwięk południowych dzwonów. Gdyż kraina naszego dzieciństwa leżała daleko stąd, owe zwieńczone lasami pagórki na tle Karpat Południowych, między Honigbergiem i Mühlbach, Stolzenburgiem i Kronstadt, a pomiędzy nimi rozrzucone miasta o stromych dachach i nasze wsie z warownymi kościołami.

Wreszcie powitał nas skraj lasu. W zagłębieniu między drzewami zebrały się liście przygnane przez wiatr. Pokazałem w milczeniu na niszę z jesiennymi liśćmi, skierowaną na południe. — Ty wiesz. Ty jesteś mężczyzną — powiedziała i zaczęła się rozbierać. Nasza kryjówka oświetlona słabym słońcem nie stwarzała warunków dla przeżycia intymności i rozkoszy. Suche liście szeleściły przy każdym ruchu, a z dna muldy unosił się zapach pleśni i wilgoci. Nieporadnie ułożeni na jej amerykańskim płaszczu nie mogliśmy znaleźć wygodnej pozycji. Marziliśmy.

Wielkim zmieszaniem napełnił mnie niezwykle widok jej nagości. Obnażone łono z czerwono porośniętym wzgórkim Wenery jaśniało jak słońce, jej duże, piękne piersi, nigdy jeszcze w ten sposób nieoglądane, opadły na boki z bezradną otwartością. Oczy miała zamknięte. A jej twarz z ostrymi łukami brwi i rzęs wyglądała jak namalowana maska. Ja także zamknąłem oczy ze strachu i zawstyżenia.

A przecież powinienem obserwować horyzont nad brzegiem zagłębienia, by sprawdzić, czy nie zbliżają się obcy, których należało się strzec: kłusownicy ze swymi cichymi psami, milicjanci, którzy zawsze znajdowali się tam, gdzie byli niepotrzebni, Cyganka, nalegająca na wróżenie z kart, albo pasterze, którzy ciągnęli ze swymi trzodami, nie zwracając uwagi na osty ani zakochanych. Poza tym powinienem przywołać w pamięci reguły sztuki i technik miłosnych, o których się nazytałem. — Mam nadzieję, że się gruntownie przygotowałeś! — Wreszcie musiałem pamiętać o katalogu jej życzeń i wymagań: w miłosnej zabawie i żarze namiętności miałem być czuły i dziki zarazem. Byłem w końcu także odpowiedzialny za uduchowanie tego magicznego momentu.

Ona zaś leżała tylko zamyślona, skamieniała w swej nagości, tworząc obraz godny bogów. I żadnym poruszeniem ciała nie wyszła mi naprzeciw. Zostawiła mnie na lodzie. Nie wiedziałem, co zrobić. W końcu na osłep i niezdarnie zaczęło się to, do czego tak starannie się przygotowywałem i co tak wspaniale chcieliśmy zrealizować. Stało się to z wielką biedą i trudem, i zupełnie inaczej, niż sobie wyobrażaliśmy.

W drodze do domu przygnębieni nie odezwaliliśmy się ani słowem. Czasami strzepywaliśmy zeschnięty bukowy liść z naszych ubrań. Szliśmy jedno za drugim, każde na swój sposób wyczerpane na ciele i duszy.

Wyrzuty usłyszałem po kilku miesiącach, kiedy wróciła z krótkiej wizyty w Kronstadt. Zdechł jej ukochany pies Bulli

i trzeba było go pogrzebać. Jej matka nie umiała sobie z tym poradzić.

Już na dworcu w Klausenburgu — pociąg przyjechał koło północy — Annemarie była w złym nastroju. Skarżyła się, że potraktowałem ją nie dość delikatnie i otwarcie. Jak miałem to rozumieć? Czy chodziło jej o to, że niewystarczająco śpieszyłem się do niej na peronie, by wziąć walizkę? Albo że nie od razu zainteresowałem się jej pograżoną w żalobie duszą? Ilekroć się spotkaliśmy, zawsze rozgrywały się te same sceny: ja traciłem głowę, ona nigdy. Wyrażała swoje niezadowolenie, a ja byłem opętany jej urokiem.

Ale po tym nieudanym początku w marcu wszystko rozwinęło się tak dobrze. Potem nastąpiły tygodnie nauki, kiedy ujawniła swoją zmysłowość, którą za każdym razem coraz namiętniej mi okazywała, gdyż umiałem ją do tego doprowadzić. W ogrodzie jej gospodarzy, przy krzaku jaśminu, pod bzami, późnym wieczorem, kiedy obie jej koleżanki Lavinia i Marika z głośnymi całusami i chichotami odprawiały przy bramie swych chłopców, gdy po raz ostatni zaszumiała spłuczka ubikacji i szum wody zdążył przebrzmieć, gasły wreszcie światła i dom udawał się na spoczynek, wtedy wybijała nasza godzina. Całowaliśmy się jak anioły i kochali jak zbójnicy. Na ogrodowej ławce rozgrywały się sceny łapczywej miłości. Bez kwitł jak opętany, a jaśmin roztaczał orgiastyczne zapachy.

Zdarzało się, że wydawała z siebie dźwięki rozkoszy. Raz tak bardzo oddała się namiętności, że przeszła na familiarną niemczyznę z dzieciństwa i wykrzyknęła: — O Jezusie Maryjo, moje kości! — Na twardej ławce ogrodowej ucierpiała nieco jej kość ogonowa. Ten wykrzyknik w żargonie przedmieścia sprawił, że kochałem ją jeszcze bardziej niż przedtem, tak samo jak lekki zez dodawał jej tylko uroku.

Ale teraz z pogrzebu psa w Kronstadt wróciła rozdrażniona. Po drodze z dworca do swojej bramy krytykowała mnie

z różnych powodów. Potem bez pożegnania zniknęła w domu, zostawiła mnie. Właśnie miałem odejść, kiedy wyszła znowu, w domowej sukni i na bosaka. Zaprowadziła mnie do altany przy jaśminie, którego zapach mącił zmysły.

— Nie wierzysz, że kamienie mają duszę, krzyczą z bólu, gdy się je kopie? — zapytała kwaśno.

„Nie”, chciałem krótko i zwięźle odpowiedzieć, ale usłyszałem swój głos, mówiący:

— Przychodzi mi to z trudem.

— A przecież istnieje coś więcej niż bezbarwne uduchowanie wszystkiego. — I wreszcie zaczęła mówić, o co chodziło: dopiero na pogrzebie Bulliego uświadomiła sobie, że straciła cnotę niepoetycznie, w dodatku w marcu, w nagim krajobrazie, bez żadnej ekstazy, w trywialnym procesie, pod względem technicznym pozostawiającym wiele do życzenia. Siedziała na ławce, podpierając się po bokach rękami, nocny wiatr wydymał jej sukienkę. Ja stałem oparty o płot. — Brakowało mi misterium połączenia. Gdzie był ten moment hierogamii? Nie poczułam nic z upojenia świętych godów nieba z ziemią, tej pierwotnej formy wszelkiego spółkowania.

Jasna była ta noc, kiedy musiałem wysłuchiwać tych rzeczy.

— To prawda, tego rzeczywiście brakowało — przyznałem zmieszany. — I kilku innych rzeczy też — dodałem już odważnie. — Gdyż do miłości potrzeba dwóch osób, tak samo jak do grzeczności.

To, co mi opowiedziała, to nie były jej myśli. Czyżby przyszedł pouczający list od Enzia Putera? Czy zwierzyła mu się ze wszystkiego? Odwróciłem się zdecydowanie i chciałem odejść. Ale ona zerwała się, zastąpiła mi drogę, przyłgnęła do mnie, obejmując mnie ramionami, krok za krokiem ciągnęła mnie w kierunku ławki. Przez sukienkę czułem jej gorącą skórę. Pod cienką tkaniną była naga, naga od stóp do głów, od stward-

niałych sutek piersi do wypukłości łona. Nie poddawałem się. Nawet gdy rozpięła mi koszulę i zdjęła ją szybkim i czułym ruchem, nie była w stanie mnie pokonać. Nic się nie zmieniło, gdy bosą stopą pieszczotliwie pogładziła mnie po nogach. A kiedy straciła kontrolę nad swoimi rękami i sięgnęła w ukryte zakamarki mojego ciała, wysyczałem:

— Nie tak, panie baronie!

Odskoczyła ode mnie. Rozwścieczona schyliła się po moją koszulę, podniosła ją i bez namysłu wyrzuciła za płot. Poszarpała przy tym swoją sukienkę. I zaraz jednym pociągnięciem rozdarła ją do końca z góry na dół. Powiew wiatru poruszył gałęziami drzew. W odbijającym się w liściach świetle jej brzuch był blady, a piersi lśniły zielonkawo. Ale ja, rozgarniając krzaki, szedłem do bramy. I zostawiłem ją tej pełnej dźwięków nocy, samą, w podartej szacie.

Biegłem do siebie, obnażony do pasa, przez wiele ulic. Przy każdym kroku słyszałem skargę kamieni.

7

Razem ze śniadaniem wpychają mi do celi człowieka. Ledwie zdążył zdjąć blaszane okulary, pociąga nosem w stronę okienka i mówi:

— Spadł śnieg.

Witamy się z zachowaniem wszelkich form, ściskamy sobie ręce i wyraźnie szepczemy swoje nazwiska. Mężczyzna rzuca swój węzełek na wolne łóżko.

— A skąd pan wie, że padał śnieg?

— Ja to czuję, jestem myśliwym. — Myśliwym? Dla mnie dotychczas to była zielona plama otoczona masą zmyślonych historii. Ukradkiem obserwuję przybysza. Jego twarz jest

szarawa. Na pewno już od miesięcy przebywa w więzieniu. Na nogach ma kaptcie. Czyli przeniesiono go z innej celi.

Zdenerwowany zaczyna się przechadzać tam i z powrotem między łózkami. Robię mu miejsce, chowam się do kąta przy wiadrze i milczę. Kiedy jeden milczy, każdy jest samotny. Dlaczego jest taki rozdrażniony? Chyba nie przeze mnie. Może gdy zabierano go z celi i usłyszał: „Spakuj swój tobołek!”, pomyślał, że idzie na wolność. Nie przerywając chodzenia, pokazuje na mnie palcem:

— Węgier?

— Nie, siedmiogrodzki Sas.

— Co, a więc ci potulni jak baranki Sasi też tu trafiają? Moja żona jest z waszych, prawdziwa.

Dzięki temu lody zostają przełamane. Jeszcze raz wyciąga do mnie rękę, przyciska mnie do piersi, siada. I rozpościera przede mną całe swoje życie, od razu zabiera się do opowiadania. Pochodzi z Mediaszu. Jego ojciec był królewskim kapelmistrzem w zamku Pelesz, letniej rezydencji w Sinaia.

— Dobra posada. Ojciec musiał grać tylko w lecie. W zimie się nudził. Dlatego jest nas tyle, wszystkie dzieci urodzone w maju i czerwcu. Kiedy król Ferdynand i królowa Maria przyjeżdżali z Bukaresztu na letnisko, dzieciątko już musiało być gotowe. Naszymi chrzestnymi są jaśnie oświecona para i inni szlachetni państwo.

Jego matka była córką nadwornego ogrodnika, czysta Niemka z Rzeszy. Ale jego sześciu braci i siostra nie nauczyli się języka niemieckiego.

— Czy to taka wielka szkoda, czy też szczęście, kto to dzisiaj może wiedzieć? Z niemieckim czy bez i tak tutaj lądujesz. — Wpatruje się w kamienną posadzkę, na której pomiędzy łózkami jest wydeptane wgłębienie. — Ale moje dwie córeczki, Lenutza i Petrutza, dwa i cztery lata, rozmawiają po niemiecku ze swoją matką. — Dziewczynki urodziły się tego samego dnia

w lutym, ale w odstępie dwóch lat. — Mistrzowski strzał, ależ utrafiłem! — Jego żona Hermine, z wykształcenia bibliotekarka, pracuje w bibliotece miejskiej w Mediaszu i zajmuje się niemieckimi książkami dla dzieci. Jej ojciec to znany pijaczyna. — Lubią go wszyscy pijacy w mieście, bez względu na rasę i religię, jak nakazuje proletariacki internacjonalizm. Mniejszym szacunkiem cieszy się w rodzinie, ale uwielbiają go wnuki. Patrząc marksistowsko, mój teść należy do lokalnego lumpenproletariatu. Sasi nie stworzyli prawdziwego proletariatu, na to są zbyt porządnymi ludźmi. A teraz im szkoda.

— Tak jak mój stryjeczny pradziadek w Hermannstadt. Upadły arystokrata, ceniony, wręcz uwielbiany przez prostych ludzi, którzy na jego pogrzebie ustawili się w szpalery i w trzech językach wznosili okrzyki: Niech żyje! Jesień życia spędził w przytułku.

— No widzisz: proletariackim lumpem może zostać każdy. — Z kieszonki koszuli wyjmuje zeschniętą łupinę jabłka, pokazuje dwa różnej wielkości ślady dwóch par dziecięcych siekaczy. — Jak mnie zabierali, żona wcisnęła mi jabłko. Dałem dziewczynkom do ugryzienia. Tylko tyle mi po nich zostało. — Gdy tylko wymienia ich imiona, w jego oczach szklą się łzy. — Choćby dla samych dziewczynek muszę natychmiast wracać do domu. Teraz są jeszcze małe, słodkie i przylepne. A już w wieku siedmiu lat dzieci zaczynają kłamać, stają się bezczelne. Wtedy to wszystko jedno, gdzie jestem. — Wzruszenie znowu dławi jego głos.

Próbuję zmienić temat.

— Dobrze pan usłyszał: także Sasi tu są. Ale akurat w moim przypadku chodzi o pomyłkę.

— To samo mówiłem o sobie przez pierwsze tygodnie. Już od października jestem poza domem. Na kogo położą łapy, tego tak szybko nie puszczają.

Zaraz po wojnie, na pół wygranej, na pół przegranej przez Rumunów, 9 maja 1945 roku niespełna osiemnastoletni Vlad Ursescu zapisał się do partii komunistycznej. Z zawodu jest frezerem, zwykłym frezerem, pracował przy obróbce metalu, miał płacone na akord, po ośmiu lub więcej godzinach stania przy maszynie. Muszę mu wierzyć, pokazuje mi swoje żyłaki. Ale za to jako partyjny aktywista stworzył od podstaw trzysta trzydzieści cztery dziki. — Byłem prawdziwym skarbem dla naszej partii! — Bo cała dziczyzna szła w całości do państwowych chłodni w Neumarkt nad Maruszą. Tam mięso było zamrażane. Kiedy potrzebowano zagranicznej waluty, sprzedawano zamrożone skamieliny na Zachód.

Należy do tych niewielu osób, którym ludowa republika przyznała tytuł Zasłużony Mistrz Leśnictwa. W okręgu Mediasz był panem i szefem każdego polowania z nagonką. Wszyscy uczestnicy musieli mu być posłuszni aż do końcowego gwizdka, czy chodziło o strzelanie, czy o picie, nawet sam komendant garnizonu, *colonel*, jak również komendant Securitate w Mediaszu, który był majorem. To nie mogło się przez dłuższy czas udawać. I kiedy raz Ursescu wyrwał z ręki szefa Securitate butelkę wódki, którą tamten podniósł do ust, by ją opróżnić na stanowisku jeszcze przed pierwszym strzałem, na drugi dzień był już załatwiony. Zabrali go do aresztu od frezarki. Przy przeszukaniu jego pokoju znaleziono na parapecie siedem łusek od nabojev, które nie były zarejestrowane w Securitate. I w ten sposób jego wina była dowiedziona.

Zapowiada się nam spokojna sobota i niedziela. Dla mnie to już druga sobota tutaj. Po południu prowadzą nas pod prysznic, potem do golenia. Dwa wolne dni mijają niepostrzeżenie. Myśliwy gada i gada. O obu córeczkach i o swojej rodzinie mówi smutnym tonem, jak pop, który na końcu liturgii wylicza zmarłych. Mówi, żeby się ratować. Ja słucham. I od czasu

do czasu powtarzam sobie bezgłośnie rzeczy, których nauczyłem się na pamięć w dzieciństwie i czasach szkolnych. Niech dzięki będą tym, którzy zachęcali mnie do uczenia się na pamięć! Pobożna babcia, liryczna nauczycielka nazwiskiem Essigmann, pełen polotu pastor Stamm, moja muzykalna matka oraz nasza nauczycielka rumuńskiego i francuskiego, Adriana Roșala. Niemieckie ballady, rumuńskie romanse, Ojciec nasz po francusku, psalmy, katechizm Lutra, Kazanie na Górze. „Błogosławieni ubodzy duchem”. Dawnej ukochanej jestem wdzięczny za wiersze Rainera Marii Rilkego.

W niedzielę na obiad jest pieczeń z ziemniakami i ryżem. Mięso ma słodkawy smak.

— Co to może oznaczać?

— Zwycięstwo socjalizmu — odpowiada myśliwy. — To jest końskie mięso, dobry znak. Mechanizacja rolnictwa została zakończona. W naszych skolektywizowanych gospodarstwach rolnych koń jest teraz tańszy od kiełbaski. Ale mój najstarszy brat Nicu w Mediaszu bardzo będzie nad tym ubolewał. Był majorem kawalerii.

Mijają dni. Nie, nie mijają, bo czas przyczaja się, staje nam na drodze. Rosmarin i major mają rację: kiedy ktoś chce się stąd wyrwać, musi zabić czas. Albo czas zabije jego.

Mój towarzysz rozwodzi się o spektakularnych polowaniach z nagonką. Opowieści trwają tak samo długo jak polowanie i podchody w lesie i na łąkach. Często do wieczora. Ma na to dość czasu, otaczają nas worki wypełnione czasem.

Po śniadaniu myśliwi i psy zbierają się w naszej celi. Vlad Ursescu szeptem wydaje komendę. I rusza dzika pogoń z innego czasu. Do tego stopnia poddaję się iluzji, że cela stapia się ze otoczeniem zewnętrznym. Choć ciągle przebiega mi przez głowę, że jesteśmy odcięci od świata. Igdy myśliwy w zielonym lesie strzela do zwierzyny, jak tylko zapragnie, nasuwa mi się strofa z *Lenory*: „Skoczyła gawiedz i już gna, i chrzęści wśród

gałęzi, a wiatr w leszczynie śwista, gra, i w zeschniętych liściach rzezi”*. W końcu śmiertelny strzał: myśliwy unosi wymagowaną strzelbę i celuje we mnie. Naciska! Przychodzi koniec, przebudzenie. I zamiast radosnego biesiadowania, które przechodzi w upojenie i sen aż do porannej jutrzenki, polowanie znika w krwawej dali.

Obaj zgadzamy się w jednym, że chcemy jak najszybciej się stąd wydostać. On do żony i dzieci. A ja? Dziesiąta rocznica republiki nie przyniosła amnestii. Dlatego do akcji musi wkroczyć ów legendarny generał, którego ma każda rumuńska rodzina, jako przyjaciela, ojca chrzestnego czy dalekiego kuzyna.

Przyjaciół jego ojca z młodości, mówi pan Vlad, został generałem Securitate. On zacznie działać. Ma do tego liczne powody: po pierwsze, sama niesprawiedliwość, która spotkała myśliwego, dalej, straty dla kraju, kiedy więzi się tak wybornego strzelca. No i są jeszcze wspomnienia z młodości... Obaj, ojciec Vlady i jego anonimowy przyjaciel, rozpoczęli militarną karierę w stopniu chorążego. Ale Ursescu senior nie pojął obiektywnych praw, które według Stalina wyznaczają bieg historii. Dlatego został królewskim kapelmistrzem i w randze kapitana przeszedł na służbę przy dworze, jeszcze zanim przepędzono jego najjaśniejszego chlebobawcę, króla Karola II. Natomiast przyjaciel poszedł do wojskowej służby wywiadowczej, on wiedział już wcześniej i z wyprzedzeniem, w którą stronę trzeba podążać i o co w tym wszystkim chodzi. Gdy został awansowany na generała tajnych służb, nie występował już otwarcie jako przyjaciel rodziny. Nawet na pogrzebie ojca Vlady na próżno go oczekiwano. Podczas stypy honorowe miejsce obok popa pozostało puste. Jednak

* Wszystkie fragmenty *Lenory Gottfrieda Augusta Bürgera* (1747–1794) w przekładzie Jadwigi Gamskiej-Łempickiej.

przyjaciel za pośrednictwem członka Związku Hodowców Kur Karłowatych w Mediaszu przesłał wyrazy współczucia pogrążonej w bólu rodzinie.

Wysoko postawiony towarzysz pokazywał się często na imprezach myśliwskich w okręgu Mediasz, uzbrojony i ubrany jak wszyscy inni. I słuchał każdego słowa myśliwego Vlada Ursescu. Podczas pewnej nagonki Vlad ustawił wszystko tak zręcznie, że szacowny gość z Bukaresztu ustrzelił trzy dziki naraz, odyńca i dwie lochy. W ramach rewanzu za udane polowanie kilka dni później specjalny kurier z Bukaresztu przywiózł pod drzwi zasłużonego myśliwego kosz z dwunastoma butelkami krymskiego szampana. A że jedyny pokój, w którym mieszkał Vlad z żoną i córkami, był za ciasny, musiał odkorkowywać wybuchowe butelki na podwórku. Odgłos strzelających korków niósł się aż do wieży kościoła saskiego. Była to huczna biesiada zbratania wszystkich mieszkańców domu. — Nawet Cyganie pili szampana, aż im się pieniało z nosa i uszu!

Generał przyzwyczał się, że myśliwy regularnie na święto Dziadka Mroza wysyłał mu najlepsze kawałki świeżo ustrzelonego dzika przesyłką ekspresową, jako zawartość podawał: karma dla ptaków. Nadawca: Związek Hodowców Kur Karłowatych. Nazwiska generała myśliwy nie znał. Pozostało ono tajemnicą państwową. Ale adres w Bukareszcie na pewno ma w głowie człowiek odpowiedzialny za kury karłowate z Mediaszu.

— Na pewno znajdzie się ktoś, kto powiadomi generała o moim nieszczęściu. Są w tym domu siły, które chcą to udaremnić. — Unosi grożąco palec i pokazuje na piętra nad nami. Jesienią, kilka tygodni po jego aresztowaniu, rzeczony generał był tu na inspekcji i przeszedł przez wszystkie cele, tylko kwaterę myśliwego ominął szerokim łukiem. — Jasne, że tamci z góry nie chcieli dopuścić do jego spotkania ze mną.

To dla mnie wystarczający dowód, że generał ma dość władzy, by mnie stąd wyciągnąć.

— A skąd pan wie, że to był tamten generał, przecież nie zna pan jego nazwiska.

Myśliwy odpowiada zaraz:

— Coś takiego zawsze się wie. Wszystko w więzieniu zawsze się wydaje. I ciebie nasz generał też wyciągnie. Twoja sytuacja nie wygląda tak źle.

Mam się cieszyć? Czy raczej dziwić? Widzę oczyma duszy, jak żelazne drzwi się otwierają, generał cały błyszczący i po-brzękujący wchodzi do naszej celi, bierze w ramiona myśliwego, całuje go, nawet do mnie wyciąga rękę. I rozgląda się do-koła poirytowany: „To przykra sprawa!”, potem pogardliwym ruchem każe strażnikowi zabrać tobolek myśliwego. Widzę, jak wychodzą przez otwarte drzwi celi. A ja za nimi!

Szczękają rygle. Ale wchodzi nie generał, tylko zwykły strażnik. Zabiera mnie na przesłuchanie.

— Musi się pan skoncentrować — mówi major. Skoncentrować? Jestem jeszcze zaniepokojony faktem, że przy otwieraniu drzwi celi poderwałem się i przepisowo ustawiłem twarzą do ściany, po raz pierwszy, odkąd tutaj jestem. — Dzisiaj musi pan być bardzo uważny i skupiony. Chodzi o drażliwe sprawy.

— Mam z tym coraz większe trudności. Prześladowają mnie natrętne myśli, słyszę głosy. Osaczają mnie potworne wizje.

— Na przykład?

— Na przykład *Lenora* — mówię głuchym głosem. — *Lenora* Augusta Bürgera — imię Gottfried przemilczam, jest zbyt bogobojne. — Straszny to wiersz, wciska się w zakamarki mojego mózgu, rozgrzewa go do białości. — Ochładzam moją rozgorączkowaną głowę, przeczesując wychudzonymi palcami włosy.

Major odzywa się z naganą:

— Mistyczny wiersz, liryka feudalna. Nie nadaje się dla czytającego robotnika. Ale został po mistrzowsku przełożony na rumuński.

— Przez Stefana Octaviana Josifa. Rumuńska poezja nie czerpała inspiracji tylko z Francji, wsłuchiwała się również w niemieckie głosy. Największy liryk rumuński Eminescu, panie majorze, mieszkał w Berlinie i Wiedniu. A komediopisarz Caragiale? Ten przecież umarł w Berlinie.

Major upomina mnie:

— Rosjanie, to Rosjanie są wielkimi wzorcami w historii i terażniejszości!

— Rosjanie, panie majorze! Nic nie przerażało nas bardziej, gdy byliśmy dziećmi, niż przestroga: „Kiedy przyjdą Rosjanie!”. I przyszli. Byłem pewien, że nas od razu zmasakrują.

— Strach jest złym doradcą — mówi major bezdźwięcznie.

— Na pewno. Ale jeśli pan, panie majorze, chce pozyskać nas, Sasów, dla sprawy socjalizmu, musi pan wziąć ten strach pod uwagę. Wszystko, co zdarzyło się u nas od jesieni 1944 roku, wryło się głęboko w pamięć. Straszliwe obrazy. To była śmierć. Nie zaraz, na miejscu, czego obawiałem się jako chłopiec, ale śmierć na raty. Poza tym każda prawdziwa filozofia zaczyna się od rozmyślań o śmierci.

Na masce jego twarzy widać poruszenie. Pyta prowokująco:

— A więc materializm dialektyczny nie jest filozofią? — I odpowiada sobie z namysłem: — Ma pan rację, w naszym światopoglądzie nie ma miejsca na śmierć.

Odzywam się uprzejmie:

— Może stąd się bierze ta pogarda dla śmierci u komunistów, mężczyzn i kobiet, działających w podziemiu, ich niewiarygodna odwaga.

— Nie, nie — protestuje — pan tego nie zrozumie. My po prostu nie lubimy myśleć o śmierci.

— Widać to w radzieckich filmach — wrywa mi się — przy umieraniu, śmierci czy pogrzebie reżyseria zawodzi. — Spoglądam ukradkiem w jego stronę. Major milczy. Więc mówię dalej, nagle coś gna mnie naprzód: — Ale niech pan posłucha, *domnule maior*, co się z nami działo po wojnie. Zrozumie pan wtedy, dlaczego jesteśmy tacy, jacy jesteśmy. — Oczy majora spoglądają na mnie nieporuszenie z żółtawej twarzy. A ja opowiadam, co nam zgotowano, uznając nas kolektywnie za współwinnych wojny. Wyrzucam to z siebie, te wszystkie niedole, bez namysłu, nie przejmując się Marksem ani Leninem, nie biorąc pod uwagę, co powie Securitate, nie odmieniając prawdy przez przypadki według reguł materialistycznej dialektyki. Powstaje z tego ogromne blaszane drzewo, obwieszane nieszczęściami i grozą. — Mojego ojca zesłano do Rosji w 1945 roku, chociaż przekroczył już odpowiedni wiek i zaciągnął się do rumuńskiej armii. Mężczyzn i kobiety spędzano na kupę, jak bydło, i przy siarczystym mrozie transportowano w bydłowych wagonach. Wszyscy zostali deportowani do Rosji, *pardon*, do Związku Radzieckiego, bez różnicy, czy ktoś był biednym komornikiem, czy fabrykantem, przyłączył się do Hitlera, tylko się przyglądał, czy był przeciwko.

Dlaczego nie mówi: wiem to wszystko? Nie mówi tego. Pośpiesznie ciągnę więc dalej:

— Kiedy moja matka na dworcu w Fogaraszu głośno wyraziła oburzenie, że ludzi traktuje się jak bydło, radziecki oficer zaraz kazał wepchnąć ją do następnego wagonu. Odciągnąłem ją stamtąd, ochronili nas żandarmi. I jak na ironię, matka miała w ręce dokument zwalniający mojego ojca, wystawiony przez pułkownika Rudenko, rosyjskiego komendanta w Fogaraszu. Na tyle się przydał ten papier, że matka mogła nim pomachać za odjeżdżającym pociągiem. A ojciec, z gorzką satysfakcją, że mógłbyć wolny, został powieszony do Rosji, gdzie prawie umarł z głodu i zimna. Co więc mogłem myśleć na

temat Sowietów jako dorastający chłopak? Wyzwoliciele ludzkości, obrońcy człowieczeństwa?

Jestem rozgorączkowany i mam tylko nadzieję, że oficer nie przerwie mi jednym krótkim mocnym słowem, zanim wypowiem wszystko, co mam na sercu.

— Po masowych deportacjach w styczniu zostali jedynie dziadkowie z wnukami. A następnej wiosny zabrano naszym chłopom ziemię, wygnano ich z gospodarstw, i to nie w ramach nowej równości klasowej, ale jako kolaborantów Hitlera, wszystko jedno, czy nimi byli, czy też nie.

Czy major mnie słucha? Wpatruje się w ścianę.

— Mam panu opowiedzieć, co spotkało moją ciotkę Adelę z Frecku, samotną starą pannę? Nowi właściciele jej domu nie mieli ochoty pracować, ale chcieli wygodnie żyć. Cała rodzina, mąż, żona, dzieci i reszta, od pradziadka do niemowlęcia, myśleli tylko o jednym: wyczyścić wszystko w domu. Kiedy wyjedli zapasy z piwnicy i spiżarni, zaczęli sprzedawać albo palić meble, jak i wszystko inne, co nie było przymocowane na stałe. W kuchni położyli na podłodze kawałek blachy i tam palili ogień; żeby zrobić ujście dla dymu, wybili dziurę w suficie. Ogień podtrzymywali wszystkim, co tylko dało się spalić, od barokowej komody ciotki aż po kalosze dziadka. Nawet okiennice porąbali, choć było to wbrew zdrowemu rozsądkowi, bo w ten sposób mróz bez przeszkód przenikał do domu. Potem ze ścian poodrywali boazerię i także spalili. W bawialni nad piwnicą wycięli w podłodze dziurę, do której załatwiali swoje potrzeby naturalne. Kiedy już nie było nic do jedzenia, nic do spalenia, kiedy ich łajno cuchnęło aż na ulicę, wynieśli się stamtąd. W butach, które też zresztą ukradli. Tak samo jak słomkowy kapelusz z Triestu, teatralną lornetkę z Budapesztu i parasolkę słoneczną z wysp Fidzi. Wszystko jest zapisane na ostatnich stronach naszej rodzinnej Biblii.

Major słucha dalej nieporuszony.

— Po takich doświadczeniach nie możecie od nas oczekiwać, że będziemy wznosić okrzyki radości, mówić o wyzwoleniu i angażować się w socjalizm. Wiele musiałyby się zdarzyć, żebyśmy mogli o tym zapomnieć. Nie tylko uświadamianie ideologiczne będzie tu konieczne. Trzeba będzie starać się odbudować zaufanie, żeby każdy człowiek poczuł: ja też tutaj należę.

Major milczy, a ja mówię dalej:

— Tymczasem jest wprost przeciwnie: czy chcieliśmy, czy nie, zniemacka zostaliśmy Niemcami, ze stygmatem i w duchu lat trzydziestych. Dlatego nie powinno pana dziwić, majorze, że podstawowe teksty narodowego socjalizmu przeczytałem dopiero po roku 1945: *Mein Kampf* i *Mit XX wieku* Rosenberga. Dopiero potem, pod wpływem pastora Wortmanna, zwróciłem się ku literaturze socjalistycznej. I zrozumiałem, że nie jesteśmy Niemcami, tylko naszym językiem ojczystym jest język niemiecki, tak samo jak u Austriaków i Szwajcarów. Pytam więc pana: co się teraz z nami stanie w tym kraju, w którym od dzieciństwa leżeliśmy w złej kołysce albo byliśmy niewłaściwie przewijani?

Mężczyzna sprawujący tu władzę nie odpowiada, nie pozwala mi ze sobą porozmawiać.

— Żydzi w Rzeszy doświadczyli podobnego losu: pewnego ranka obudzili się i musieli być żydowskimi Żydami. I przeważnie nie wiedzieli, czego się od nich wymaga. Zostali zmuszeni, żeby być bardziej Żydami, niż byli w swoim własnym pojmowaniu siebie, niż kiedykolwiek.

Major przerywa mi ostro:

— A potem ich zagazowano! Wymieniać obok siebie jednym tchem Żydów i Niemców, których losy są nieporównywalne, to bluźnierstwo. Wy, Sasi, wiedzieliście dokładnie, o co chodzi, kiedy obudziła się w was niemieckość.

— Pan wybaczy — mówię. — Będę więc mówił tylko o nas. Byliśmy prześladowani na każdym kroku. Kiedyś na sankach zerwano mi czapkę z głowy, bo przypominała komuś czapki strzelców alpejskich, z mojego brata zdarto sweter z norweskim wzorem, bo wyglądał za bardzo germańsko. Nawet chciano nam zabronić noszenia krótkich spodni.

Ledwie to powiedziałem, a już wiem, co mógłby mi odpowiedzieć oficer z za swojego biurka: cóż to znaczy wobec prześladowań Żydów? On zaś nieporuszony przysłuchuje się dalej:

— A teraz ostatnia rzecz, która spotkała moją rodzinę i którą sam przeżyłem. Wybieram dla pana same najlepsze kęski, same rodzynki z ciasta, panie majorze! To było w listopadzie 1948 roku, siedzieliśmy przy kolacji, mój ojciec, który dopiero co wrócił z Rosji, moja matka, my, trzej chłopcy i nasza siostrzyczka, kiedy do pokoju wpadła służąca: Są tutaj!

Tak, mieliśmy jeszcze służącą. Rudowłosa burmistrz Fogaraszu otworzył zamaskowane tapetą drzwi, bez pozdrowienia wszedł do środka i wrzasnął: „Dlaczego jeszcze nie opróżniście domu? Tutaj przenosi się szkoła kadr partyjnych!”. Za nim tłoczyło się czterech łobuzów. Moja matka powiedziała: „*Bună seara*”. My, dzieci, pozdrowiliśmy go: „Niech będzie pochwalony”.

Nie wstając z miejsca, matka odezwała się: „Nie zaproponował nam pan, *domnule primar*, żadnego mieszkania zastępczego”.

„Ależ tak — krzyknął tamten — bardzo blisko, w magazynie naprzeciwko, bardzo wygodnie, nie będziecie potrzebowali furmanki do przeprowadzki na drugą stronę ulicy”.

„Nie — odpowiedziała matka. To było ogromna hala z betonową posadzką, niemożliwa do ogrzania. — Nie jesteśmy żadnymi wyrzutkami społeczeństwa. Ani przestępcami wojennymi. Poza tym chodzi tu o czwórkę niedorośliwych dzieci.

Nie ruszymy się stąd, dopóki nie zaoferuje nam pan czegoś godnego ludzi, gdzie będzie można przeżyć”.

„To w takim razie my was stąd ruszymy. I to od razu, natychmiast”. Dwóch osiłeków podeszło do mnie i mojej siostrzyczki, odsunęli nas razem z krzesłami od stołu, potem chwycili obrus i podnieśli go do góry ze wszystkim, co na nim stało; powstał worek pełen naczyń przemieszanych z potrawami. *Primar* otworzył okno i wszystko wyleciało na zewnątrz, z trzaskiem i brzękiem. A meble poszły zaraz potem!

— Tak to wyglądało. W dosłownym znaczeniu tego słowa zostaliśmy wyrzuceni z domu. Najtrudniej było z fortepianem. Żeby ten ogromny instrument wyrzucić przez okno, pomocnicy burmistrza musieli łomem wyrwać futryny okienne ze ścian, a moja rodzina przyglądała się temu ze zgrozą...

— Biedacy — mówi major półgłosem. Nic nie zanotował, wpatruje się tylko w wiszący na ścianie portret Pierwszego Sekretarza, towarzysza Gheorghe Gheorghiu-Deja. Czy major rzeczywiście powiedział to pełne współczucia słowo? Niemal robi mi się ciepło na sercu.

Gdy opowiadam, co zdarzyło się tamtej listopadowej nocy, widzę przed sobą moją młodszą siostrę: nie wydając z siebie ani jednego dźwięku, pozbierała przy świetle ulicznych latarni swoje lalki, których włosy były mokre od deszczu, a sukienki ociekały błotem. Dopiero kiedy potknęła się o rozbity wózek dla lalek, który był tak duży, że sama się w nim mieściła, zaczęła płakać, cicho, jak pada nocny deszcz. Tak, biedacy to my, myślę.

— Biedne chłopaki — mówi major. — Mogli to prościej załatwić, zamiast się tak męczyć. Powinni najpierw odkręcić trzy nogi fortepianu, a potem przechylić go tylko przez parapet, łatwo i elegancko. Ale skąd proletariackie dzieci mają się znać na fortepianach?

Przerywam moją opowieść. A potem coś mnie nachodzi: zaczynam deklamować. *Lenorę*, po niemiecku i po rumuńsku, nauczyłem się tej ballady na pamięć w Szkole imienia Brunkenthala w Hermannstadt i w Liceu Radu Negru Vodă w Fogaraszu.

Lenorę ciężkie trawią sny —
zerwała się przed świtem...

Major spogląda jeszcze przez chwilę na swojego przełożonego na ścianie. Potem odwraca do mnie głowę z przedziałkiem w czarnych włosach. Wstaje, wkłada szare zamszowe rękawiczki i podchodzi powoli do mojego stolika, przy którym siedzę z rękami grzecznie na blacie i przywołuję obrazy z wiersza, rwane i kalekie:

On zginął, matko! Zginął on!
Straciłam go! Straciłam!
Śmierć tylko dla mnie, jeden zgon...
Na cóżeś mnie rodziła?

Major zatrzymuje się przede mną. Ale mnie nie uderza. Za to przysuwa sobie krzesło i siada naprzeciwko, jak przy naszym pierwszym spotkaniu, kiedy to gawędziliśmy o chorobach psychicznych i *Czarodziejskiej górze*. Śledzi tekst ballady, jej makabryczne zwroty, spoglądając na moje usta.

A wtem na dworze — słysz! Trap-trap,
jak gdyby podkóweczki.
Dzwoniąc orężem rajtar zsiadł,
Przed samym zsiadł ganeczkiem.

Czy mężczyzna przede mną coś powiedział? Czy rozkazał: przestać? Natychmiast przestać! Powiedział to. Rozkazał:

— *Termină! Termină imediat!*

Hurra! Umarli jeżdżą w cwał!
Czy boisz się umarłych?

Major woła władczym głosem, nie ruszając się z miejsca:

— *Gardianul!* — Nie klaszcze na strażnika, jak zwykle, ale woła piskliwym głosem; pierwszy raz ktoś przełamuje to konspiracyjne wyciszenie: — Straż, do mnie! — Skończyć wreszcie z tą śmiercią! Ale sam nie robi nic: nie bije mnie ani nie policzkuje. Nawet nie opuszcza miejsca naprzeciwko mnie. Z twarzą blisko mojej wysłuchuje ostatnich wersów, które z siebie wyrzucam:

Kamienie lśnią grobowe,
lśnią w blasku księżycowym.
Umarli jeżdżą śpiesznie!
Już meta — już jesteśmy.

Czy powiedział coś do strażnika, czy dał mu jakiś znak, nie zauważyłem tego. Żołnierz odwraca się i wychodzi. Kiedy wraca, trzyma w ręce dzbanek pełen wody. Major krzyczy na mnie:

— Natychmiast przestań! — a ja dalej wypluwam z siebie wers za wersem. Żołnierz już nachyla gardziel dzbanka w moją stronę, kiedy major zdejmuje rękawiczki i wrywa mu naczynie z ręki. Udaje mi się jeszcze powiedzieć ostatnią zwrotkę:

Ha! Teraz spójrz! Straszliwy czar!
W kawały sukno pęka,
Kolet rajtara spada z bark
Jak łach w zetlałych strzępach,
Zlatuje z głowy harcap, czub,
I nagą czaszką świeci trup.
Już szkielet się wyłonił,
Klepsydra, kosa w dłoni.

W tym momencie major wylewa zawartość dzbanka na moją głowę, własnoręcznie, a drugim machnięciem chlusta mi resztką wody w rozpaloną twarz.

Mówię nieobecny duchem:

— Tak właśnie żyliśmy przez te lata po wyzwoleniu. — I powtarzam po rumuńsku: — *Dela eliberare*. — I zdmuchuję sobie z twarzy krople wody.

Major odpowiada:

— Tu nie chodzi o poezję, ale o zdradę stanu, *trădare de patrie*. — A do żołnierza: — Zabierz go na dół.

8

Woda jeszcze nie zdążyła na mnie obeschnąć, a już zabierają mnie znowu. Właśnie zjadłem zupę kapuścianą, fasolę muszę zostawić. Na oślepotykam się prowadzony za rękę przez strażnika korytarzami i schodami, gdzie stoi zatęchłe powietrze.

Major już nie jest po cywilnemu jak dziś rano. Gwiazdka na pagonach jego munduru Securitate pobłyskuje niebezpiecznym blaskiem. Szybkim ruchem ręki każe mi zająć miejsce. Na parkiecie przed moim stolikiem widać brzydkie szare plamy po wodzie.

Od razu zabiera się do pracy. Bez ogródek wyjaśnia mi po rumuńsku:

— Ponieważ tak pozytywnie oceniłeś Enzia Putera, nasuwa się podejrzenie, że coś przed nami ukrywasz. Dlaczego ten tajny agent nie miałby cię zwerbować dla swoich antypaństwowych planów, jak zrobił to z innymi, do których się zbliżył? — Nie czekając na odpowiedź, mówi dalej: — Razem z Annemarie Schönmund, *pardon*, od czterech miesięcy *doamna* Puter, wy-

konał całą pracę. W ciągu kilku dni we dwoje utworzyli konspiracyjną siatkę. Nawiązali kontakty: w Bukareszcie z grupą młodych rumuńskich intelektualistów o burżuazyjnym pochodzeniu, którzy opowiadają się za zjednoczoną Europą, a tu, w Stalinstadt, z wywrotową organizacją młodzieży saskiej, niewykształconej wprawdzie, ale tym bardziej niebezpiecznej. I wreszcie ze związkami studentów w Klużu. Tych właśnie studentów zamierzano wystawić na czele ataku przeciwko ludowo-demokratycznemu porządkowi w kraju.

Jeśli oni tutaj w to wierzą, to znaczy, że trzystu członków mojego kółka literackiego nie ma żadnych szans. Loch i łańcuchy.

— A łącznikiem z Klużem byłeś ty! Całą noc rozmawiałeś z agentem Puterem. O czym by innym, jeśli nie o tej sprawie? — Patrzy na mnie ostrym wzrokiem. Zbieram się w sobie, nie cofam się przed jego spojrzeniem. Major uzupełnia: — Kto ma po swojej stronie studentów, inteligencję jutra, ten posiada bombę z opóźnionym zapłonem, do niego należy przyszłość.

Przewyciężam się i mówię dobitnie:

— Właśnie, to jest, panie majorze, cel, który miałem przed oczami: dzięki Saskiemu Kółku Literackiemu imienia Josepha Marlina chciałem stworzyć warunki, klimat ideologiczny, w którym studenci mogliby zostać przekształceni w nowych ludzi. Oni mieli przekonać naród saski do socjalizmu: w pewnym sensie jako bomby z opóźnionym zapłonem, jak pan to ujął, oddziały uderzeniowe...

Major przerywa mi:

— Pastor Konrad Möckel ze Stalinstadt użył tego samego słowa, kiedy w drugą niedzielę adwentu wygłaszał w Klużu kazanie dla studentów i mówił, żebyście utworzyli oddziały uderzeniowe. Ale w innym sensie niż ty to przedstawiłeś. Mia-nowicie w celu zniszczenia naszego ludowo-demokratycznego państwa. A może sobie nie przypominasz?

Przypominam sobie.

I major dodaje z wyrzutem:

— To wszędzie te same grupy studenckie: z jednej strony dają się omotać reakcyjnym pastorom, zbierają się w zakrystii na uroczystości adwentowe. A z drugiej strony na uniwersytecie udają partyjnego ducha i wierność wytycznym. To są jedni i ci sami, którzy tłoczą się w środę na twoim kółku literackim w Komunistycznym Związku Studentów, a następnego wieczora śpiewają mistyczne pieśni w chórze kościelnym, ze świecami w dłoniach. Co tu jest maską, a co jest szczere? Zapamiętaj sobie jedno, młody człowieku: kto nie jest z nami, jest przeciwko nam. To powiedział już wasz Hitler.

— I Paweł Apostoł — dodaję odważnie.

Major pomija apostoła milczeniem.

— Z chwilą kiedy zaczniesz chronić takie niebezpieczne figury jak Puter i Möckel czy innych konspiratorów, szpiegów i bandytów, kiedy składasz na ich temat upiększające zeznania, ty sam zaczniesz się jawić jako jednostka wysoce podejrzana. Uważaj: pociąg odjeżdża! Kto do niego nie wskoczy, wpadnie pod koła. Wiesz, kto to powiedział?

— Pewnie również Hitler.

— W rzeczy samej — potwierdza mój pan i władca. — Ale to także odnosi się do naszej sytuacji: kto nie wsiądzie do pociągu, skończy pod kołami. A swoją drogą dlaczego to jest „saskie”, a nie „niemieckie” kółko literackie? Oficjalne określenie dla ciebie, *mon cher*, i takich jak ty brzmi: obywatel rumuńskiej narodowości niemieckiej w Rumuńskiej Republice Ludowej.

— Chcieliśmy w ten sposób podkreślić, że chodzi nam o kontynuowanie naszych saskich demokratycznych tradycji. Teza pastora Wortmanna brzmi: przez ostatnie sto lat identyfikowanie się z Niemcami sprowadzało na Sasów tylko nieszczęścia. Kiedy Habsburgowie w 1867 roku wydali nas Węgrom, którzy chcieli nas za wszelką cenę zmadziaryzować,

uczepiliśmy się poły płaszcz niemieckiego cesarstwa. Ówczesne pokolenie widziało najwyraźniej tylko taką alternatywę: albo przestaniemy istnieć jako siedmiogrodzcy Sasi, albo staniemy się bardziej niemieccy niż dotąd.

Major notuje, ale nic nie mówi, ciągnę więc dalej w moim języku ojczystym:

— Stworzenie nowego człowieka, jak zalecał to Marks, a wykonał Lenin, myślącego i działającego socjalistycznie, takie właśnie zadanie ma do spełnienia nasze pokolenie, twierdzi pastor Wortmann. Dla naszej młodzieży, która niezdecydowana stoi pośrodku, jak pan to przedtem opisał, panie majorze, oznacza to, że przede wszystkim należy nawiązać do naszej historii sprzed lat trzydziestych, do socjalizmu z czasów, kiedy tu przywędrowaliśmy przed ośmiuset laty. Do dzisiaj kultywujemy tamten wspólnotowy styl życia. Jak powiedział Stephan Ludwig Roth: wspólnota niesie człowieka od kołyski do trumny. Nikt się nie zagubi, nikt się nie musi bać, że zostanie sam. To jest jedna sprawa.

Major wpada mi w słowo:

— To dotyczy tylko was, Sasów z Transylwanii. Wy zawsze uważaliście się za coś lepszego, naród panów, a w końcu zostaliście faszystami.

— Narodem panów byliśmy dlatego, że byliśmy wolnymi ludźmi. Poza tym Saski Uniwersytet Ludowy w Hermannstadt już w 1848 roku ogłosił na terenie królestwa równouprawnienie Rumunów z Sasami. I zniósł pańszczyznę. A czy wasz nowy porządek, panie majorze, nie ma na celu tego samego? Zagwarantowane w konstytucji równouprawnienie wszystkich, bez względu na różnice. Jest i druga sprawa: w moim opowiadaniu *Czysty kruszec* starałem się udowodnić, że cele, które stawia sobie socjalizm, są zgodne z naszymi tradycjami i sposobem życia. Chcieliśmy o tym przekonać naszych ludzi, mimo wszystkich sprzecznych i gorzkich doświadczeń z no-

wym ustrojem, tego chcieliśmy spróbować w Klausenburgu. Jest to trudne, może nawet niewykonalne, ale próbowaliśmy. — Jestem tak poruszony, że zaczynam potrząsać stolikiem. Do oczu napływają mi łzy.

— Jest przyśrubowany — wyjaśnia major. I dodaje: — Tego saskiego socjalizmu chcieliście wyłącznie dla siebie. Los innych mało was obchodzi. Jest to socjalizm, ale nie marksistowski, tylko nacjonalistyczny. I taki, który nie działa bez błogosławieństwa Kościoła. To znaczy: Bóg tylko dla Sasów. W saskim stroju ludowym spaceruje sobie po niebie, jak jeden z waszych starostów: czapka z futra wydry, haftowany odświętny serdak, lniana narzutka w tulipany i margerytki, sznurowane trzewiki. My nie chcemy mieć nic wspólnego z takim Bogiem, który tu i ówdzie wybiera sobie jakiś naród, przez pewien czas go rozpieszcza, a potem porzuca, tak, nawet mści się na nim w swej zranionej próżności, jak na narodzie Izraela. — Czy on teraz nie wymienia jednym tchem Żydów i Sasów? Mnie tego zabronił. Wyraźnie zadowolony z siebie mówi dalej: — A teraz ten okrutny Bóg ma was w garści. Wiesz dlaczego?

— Nie. Nawet nie wiem, czy on istnieje.

— Bo w latach trzydziestych zwróciliście się ku innym bogom. — To jest teza naszego obecnego biskupa Müllera. Skąd major to wszystko wie, myślę przerażony. — Ku takim ponurym bóstwom, jak Odyn, Thor i ten łotr, jak on się nazywał, ten, co zamordował skrytobójczo boga światła, jakżeż się ci dwaj nazywali?

— Loki i Baldur — mówię odruchowo. I zaraz gryzę się w język.

Major zapisuje coś, a potem ciągnie dalej:

— Jak to mówi wasz Bóg: ja jestem twym panem, twym Bogiem. Nie będziesz miał bogów cudzych przede mną. Przez setki lat stosowaliście się do tego. Dlatego wasz biskup twier-

dzi, że jesteście narodem wybranym przez Boga w Nowym Przymierzu.

Podjęmę próbę sprowadzenia oficera z powrotem na grunt materializmu historycznego i przedwcześnie wyciągam z rękawa ostatniego asa:

— O naszych demokratycznych rządach i wspólnotowej konstytucji pochwalnie wypowiadali się w swych dziełach społeczno-politycznych Engels i Lenin.

Nie zwracając uwagi na Engelsa i Lenina, major dopowiada swą myśl do końca:

— Ale my chcemy królestwa niebieskiego na ziemi. Dla robotników wszystkich narodów. Tylko bez Boga. Do tego wasi ludzie się nie przyłączają. Na przykład: wasi starzy naziści okopali się przy Kościele, ale nie po to, żeby być lepszymi chrześcijanami, ale żeby podżegać przeciwko nowemu porządkowi.

Milknę na chwilę, uprzejmie słucham, ale nie dają się zbić z tropu.

— Nam, siedmiogrodzkim Sasom, brakuje w strukturze społecznej świadomego proletariatu. Według reguł materializmu historycznego wyzwolenie przyszło do nas za wcześnie.

Major chce najpierw coś powiedzieć, ale potem wybiera notowanie.

— W 1944 roku nie było u nas jeszcze wyraźniejszych różnic społecznych między górą i dołem, nie było rozpadu wspólnoty narodowej na zantagonizowane klasy. Nie mieliśmy wielkich posiadaczy ziemskich ani żadnej szlachty. Ale tak samo brakowało nam bojowo nastawionej klasy robotniczej. U nas żaden wyzyskiwany robotnik nie umierał na suchoty, nie było biedaków, którzy wołaliby w ostatecznym zwątpieniu: musi nadejść nowy porządek społeczny, nawet za cenę zniszczenia własnego mieszczaństwa! — Ja mówię, a major słucha, zapisuje: — U nas nawet ci, którym powodziło się gorzej, chcieli tylko jednego: własną pracą coś osiągnąć, dorobić się

majątku. — Spoglądam na niego, zmienia kartkę, a ja mówię dalej: — Może ta rozbieżność za kilkaset lat doprowadziłyby zgodnie z ewolucją do powstania z jednej strony grup saskich proletariuszy, którzy odłączyliby się od wspólnoty narodowej i skierowali broń przeciwko własnym rodakom, a z drugiej bogatych wyzyskiwaczy, którzy każą strzelać do robotników. Ale żeby ktoś zmieniał fronty, tego u nas nie ma, do dzisiaj. Świadomość klasowa, która podzieliłaby naród saski, tego brakuje; zamiast tego mamy świadomość historycznej wspólnoty losów, na dobre i na złe. Indywidualność siedmiogrodzkiego Sasa opiera się na jego przynależności do kolektywu.

— A więc Sowietci przyszli za wcześnie?

Przechodzę na rumuński:

— Nie Sowietci, ale rok 1944. — I doprowadzam pośpiesznie myśl do końca: — Jeśli partia, rząd i wy, pańska instytucja, będziecie nas tak bezwzględnie sądzić według żelaznych zasad walki klasowej, wtedy jako logiczna konsekwencja pozostanie wam tylko jedno: pozabijanie nas, wybicie co do nogi. *Exterminare*. Na obecnym etapie nie wytworzyliśmy jeszcze proletariatu. Patrząc od tej strony, nie ma dla nas miejsca pod waszym słońcem. Pozostaje nam tylko czarne słońce.

— Które wschodzi nad głównym bohaterem na końcu *Cichego Donu* Szołochowa. Wie pan, dlaczego? Bo on się nie mógł zdecydować na socjalizm.

Przez plecionkę kraty wzrok mój wyrывa się na wolność i rozróżnia barwne kształty na śniegu w czarną kratkę: ludzie w ciepłych kurtkach albo jakieś bajkowe stworzenia, które poruszają się na zboczach Zinnebergu. Jestem śmiertelnie zmęczony i chcę tylko znaleźć się z powrotem w moim lochu.

— Za klausenburskich studentów jestem gotów włożyć rękę w ogień. Ręczę za ich lojalne nastawienie.

Dla mnie ta rozmowa jest zakończona.

Major nie klaszcze w dłoń. Jego ciemne włosy połyskują w świetle słońca, które nieśmiało zagląda przez zakratowane okno.

Czyżby zamierzał zmienić temat?

— Zna pan takie obrazy, portrety ludzi, których oczy podążają za patrzącym, gdziekolwiek by się znajdował.

— Tak — potwierdzam z ożywieniem. Rozmowa o malarstwie byłaby przyjemnym urozmaiceniem. — Mamy w domu taki obraz, bardzo baliśmy się go jako dzieci. Nie było ucieczki przed spojrzeniem tego złego człowieka.

— A kogo on przedstawiał?

— Ach — mówię ogólnikowo — to stary portret, przypuszczalnie jakiegoś przodka, rzemieślnika albo kogoś w tym rodzaju. Wszyscy przodkowie mojego ojca byli rzemieślnikami w Birthälm. Na przykład szewcami albo garbarzami...

— A przodkowie pańskiej matki? Jest pan zbyt skromny, *mon cher*. Przecież to jest portret mężczyzny z Orderem Złotego Runa na szyi, a do tego to autentyczny Martin van Meytens. Pańscy rodzice chowają go w sypialni, za szafą. — Oni wiedzą wszystko. — Pańskie opowiadanie. Ono też ma w sobie coś z takiego obrazu.

— Jak to? — pytam, choć to nie ja mogę tu stawiać pytania. — Ideologicznie jest w porządku. Sprawdzały je dwie komisje aktywistów partyjnych, zanim zostało nagrodzone.

— Istnieje literatura z podwójnym dnem, gdzie autor mówi jedno, a ma na myśli drugie. Ten niebezpieczny prąd nazywamy inwersjonizmem. Nasze wydawnictwa muszą z tym walczyć. Pański tekst mógłby się do tego zaliczać. Jak i inne! Właśnie to prześwietlamy. Odczytał pan to opowiadanie grupce młodzieży w lecie 1956 roku u swojej babki w Tannenau. Potem ci postrzeleńcy chcieli wysadzić w powietrze fabrykę amunicji. Jest to ta sama banda, która podjęła kontakty z agentem Enziem Puterem i konspirowała z pastorem Möckelem.

— Nie wierzę w to! — wyrywa mi się okrzyk.

— W pańskim opowiadaniu saska młodzież z małego miasteczka spotyka się, by rozważyć swoją sytuację tu i teraz. A przewijający się leitmotiv brzmi: coś się musi stać! Te łotry dokładnie wszystkiego wysłuchały i wzięły pana dosłownie.

— Ależ nie to miałem na myśli — protestuję. — Moje stwierdzenia są jasne jak słońce. Chodzi o przyłączenie się do socjalizmu.

— Nic w pańskim opowiadaniu nie jest jasne jak słońce. — Podchodzi do mojego stolika i rozkłada przede mną zeszyt: — Tu są notatki jednego z tych chłopaków, nazwijmy go Folkmar, stratega bandy. Pana, *mon cher*, wymienia jako głównego ideologa tego tajnego stowarzyszenia, tak, a w gabinecie cieni widzi pana na stanowisku ministra kultury. I niech pan zobaczy, jaką dumną nazwę sobie nadało to kółko, wiele mówiącą nazwę: Wielcy Sasi. Trudno uwierzyć, że są to młodzi komuniści wierni linii partii, budujący socjalizm. — Nieznany mi pismem to wszystko jest tam rzeczywiście napisane. I jeszcze więcej. Ale tego major już nie pozwala mi przeczytać. Zabiera zeszyt. — I co pan na to powie? — pyta, siadając przy swoim biurku.

— Określenie Wielcy Sasi słyszę tu po raz pierwszy, nigdy przedtem. A tego Folkmara w życiu nie widziałem na oczy. — I dodaję na zakończenie tonem urażonej godności: — Moje opowiadanie czytałem także innym młodym ludziom, a nikt z nich nie chciał później wysadzać w powietrze fabryk. Poza tym nie należy poważnie traktować tego, co mówią te samochwały. Bo jeśliby wierzyć we wszystko, co plecie się u nas w kółkach i na spotkaniach towarzyskich, to trzeba by przy każdym postawić strażnika. Albo wszystkich zamknąć. To tylko głupia gadanina.

— Głupia gadanina? Może raczej: powiedziane bez ogródek? Tak właśnie dotychczas sądzono u nas, na wyższych

szczeblach — mówi major, z niezwykłą ostrością. — Ale teraz okazuje się, że chodzi tu o masowe, a przy tym sprytnie zamaskowane akcje nacjonalistyczne. W których udział biorą wszyscy, od młodzieży do Kościoła, od starych nazistów aż po wywłaszczonych fabrykantów, od pionierów w niemieckich szkołach, tych młodych przebierańców, aż do was, studentów, którzy pod płaszczykiem kultury i literatury nie tylko zaprzędaliście się Zachodowi, ale dajecie się wykorzystywać imperialistycznym agentom dla ich antypaństwowych celów. I wygląda na to, że ty też uprawiałeś podwójną grę! Nie jest tak? — Już drugi raz bezpośrednio mnie oskarża. — Musimy wszystko to sprawdzić. Także pan, *mon cher*, powinien się nad tym zastanowić. Dam panu radę: po pierwsze, żeby sobie pan wreszcie przypomniał to, co za wszelką cenę chce pan zapomnieć. Jest dużo czasu, by rzucić trochę światła na te ciemne sprawy. Mamy także dość środków, by pokrzyżować szyki tym, którzy paktują z ciemnymi mocami. Ciekaw jestem, jak pan udowodni, że ten Puter jest nieszkodliwy, ba, że jest przyjacielem naszej ludowej demokracji. Kiedy wszyscy są nadzy, śmiejemy się z tego w koszuli. Jak to się mówi na waszych balach karnawałowych: czas zdjąć maski, kto nie zdejmie, staje się podejrzany. Niech pan pomyśli o zasadzie korelacji.

Major klaszcze w dłonie i wychodzi z pokoju, jeszcze zanim pojawił się strażnik.

W hydrologii zasada korelacji brzmi następująco: kiedy na pewnym określonym obszarze pada deszcz, poziom wody w strumieniach podnosi się, co musi wpłynąć na wyniki obserwacji wszystkich stacji pomiarowych. W ten sposób można sprawdzić, czy dozorca wodowskazu rzeczywiście odczytuje wyniki z łat mierniczych w rzece, czy wpisuje wyniki w domu, wedle własnego uznania. Major ma rację: jeśli inni, Folkmar i jego kompania, przedstawiają Enzia Putera jako wroga państwa i arcyszpiega, co całkowicie rozmija się z moimi zezna-

niami, wtedy ja jestem niewiarygodny, jak ten dozorca, który wyniki pomiarów odczytuje w domu przed spaniem z gołego brzucha swojej żony. Jestem w pułapce.

Moje spotkanie z Enziem Puterem — planowane wprowadzenie w obowiązki spiskowca... Jak mam udowodnić, że było inaczej? Uratować mogłaby mnie Annemarie. Dzięki niej mógłbym udowodnić majorowi, że spotkanie z Puterem było tylko przypadkiem.

Ależ była wściekła, kiedy wymogłem na niej to spotkanie, zabrałem jej ostatnią wspólną noc z nim!

Jedenastego listopada 1956 roku przyjechałem do Kronstadt. Nakłoniłem Annemarie, żeby czekała na mnie na Dworcu Bartolomejskim, gdyż chciałem uniknąć konfrontacji z całą trójką naraz: matką, córką i jej korespondencyjnym przyjacielem. Przy spotkaniu z nim upierałem się wbrew jej woli, przede wszystkim dlatego, że chciałem usłyszeć prawdę. No i nasłuchałem się jej aż do przesyty.

Było wczesne popołudnie, kiedy dotarliśmy do domu jej matki. Podczas niekończącej się drogi do Skei, dalekiego przedmieścia — szliśmy piechotą, bo chciałem jak najdłużej mieć Annemarie dla siebie — paplała z zapamiętaniem, była to przerażająca, obca u niej cecha. Jak wytwornie było w hotelu Ambasador w Bukareszcie, dokąd Enzo Puter ją zaprosił, bo jako zachodniemiecki turysta nie mógł opuszczać stolicy.

— Mój przyjaciel podarował mi jedwabną suknię w kolorze ochry, z dużym dekoltem i marszczonymi rękawami. Cała obsługa hotelu kłaniała się, kiedy schodziłam po schodach. Dyrektor za każdym razem całował mnie w obie ręce, a raz nawet w zgięcie łokcia. — Zaprowadziła go do naszych rumuńskich przyjaciół, Vintili, Florina, Adriana. — Tam mu się najbardziej podobało. Oni chcą zjednoczonej Europy

z Amerykanami na czele. Rozmawiali po angielsku i francusku. Wszystkie te języki mój przyjaciel zna. A my nawet nie znamy rosyjskiego. Te dni minęły jak we śnie. I ciągle jacyś obcy ludzie zabierają nam cenny czas, który moglibyśmy spędzić razem. — Nie uznałem, żeby to była aluzja do mnie. — Tu w Kronstadt chcieliśmy pójść do kina. To musiało być wieczorem, bo przecież on wcale nie mógł tu przyjechać. Ledwie wyszliśmy z bramy, a tu Peter Töpfer rzuca się na mojego przyjaciela, ciągnie nas do siebie na podwórko: „Chodźcie, jeszcze nigdy nie odwiedził nas prawdziwy Niemiec z Zachodu! Jesteśmy robotniczym kółkiem czytelniczym, spotykamy się u mnie w każdą środę i zastanawiamy się nad naszym saskim losem, dyskutujemy o kolejach świata, a od trzech tygodni także nad tym, jak możemy pomóc rewolucji w Budapeszcie. Niech pan nam udzieli rady!”

Kiedy wszedłem do pokoju, który był zarówno sypialnią, jak i pokojem dziennym, a teraz wyjątkowo, z powodu zaszczytnej wizyty, służył także jako jadalnia, przepełniła mnie radość: ten raczej nie może mi zagrozić. Zrobiło mi się go żal: był tak odrażająco brzydki, biedaczysko. Podszedłem do Enzia Putera, chcąc go uściskać. Wyraźnie zaniepokojony zdjął okulary o grubych szklach i zaczął je czyścić irchową ściereczką. Mój śmiały odruch zawisł w powietrzu jako pusty gest. Usiadłem na drewnianej ławie przy piecu. Dopiero teraz mnie pozdrowił. Mimo radosnego oszołomienia, które mnie opanowało i przytępiło moje zmysły, zauważyłem, że przy mówieniu odstania rząd krzywych, żółtawych zębów, że sięgał mojej przyjaciółce ledwie do podbródka, że jego piegowata dłoń porośnięta była rzadkimi, jasnymi włosami, na głowie sterczała mu ruda, szcnotkowata czupryna, a jego oczy, powiększone przez okulary, rozplýwały się w trzech kolorach. Tak, i że mierzył mnie przyjaznym spojrzeniem i próbował nawiązać rozmowę. Ale o czym właściwie?

I gdy tak siedzę, gapiąc się na stolik przede mną, i obaj ze strażnikami czekamy na majora, przypominają mi się rzeczy, o których za wszelką cenę wolałbym nie pamiętać. Ze spokojnym uśmiechem Puter powiedział, że Związek Radziecki wcale nie jest monolitycznym tworem, mocnym niczym granitowa skała, jak się twierdzi w bloku wschodnim. Na przykład na brzegach zaczyna się już kruszyć. Są napięcia między republikami islamskimi a centrum w Moskwie. Nam, młodym Sasom, radził zapisywać się do komunistycznych organizacji młodzieżowych, żeby je infiltrować. I o ile dobrze zrozumiał swoją przyjaciółkę, to klausenburskie kółko studentów ma podobne intencje: w ramach kawałka saskiej samodzielności i demokratycznych tradycji odcinać się od uniformistycznych tendencji państwa.

Jego wywody wydawały mi się tak absurdalne, że nie zaszczyliłem ich ani słowem komentarza, poza tym pochłonięty byłem tylko jedną myślą: Annemarie zostanie ze mną!

Czy uda mi się przekonać majora, że w radosnym opętaniu zapomniałem na chwilę o politycznej czujności i nie brałem gadaniny Putera poważnie? Nawet teraz wydaje mi się ona naiwnością i dyletanctwem. Choć w uszach Securitate mogło to wcale nie brzmieć nieszkodliwie. Tyle się już nauczyłem.

Major wraca. Nic nie mówię.

Jest w świetnym humorze. Może zjadł kremówkę. Mówi:

— Ależ oczywiście, oczywiście, nie wąpimy w czystość intencji pańskiego opowiadania i w pańskie szczerze zamiary. Ale wystarczy kropla trucizny w dzbanie wody, by wszystko popsuć. Kim są ci truciście? Właśnie po to was tutaj zebraliśmy, żeby to wyjaśnić.

Klaszcze. Żołnierz bierze mnie pod ramię i ruszamy w drogę.

Myśliwy zachował resztkę mojego obiadu, wszystko jest zimne i kleiste, ale jem mimo to. Zaczął się głód.

— Długo cię nie było — mówi mój towarzysz, gdy siadam na skraju łóżka. — Na pewno czujesz się jak dzik z rozplątanim brzuchem. — Tak się czuję; jak dzik, który wpadł w sidła. Wnętrznosci wylewają się ze mnie. Opisuję mojego oficera. Myśliwy jest zorientowany: — To major Blau.

Major Blau? Niebieski? Siedmiogrodzki Sas? Wśród naszych ludzi zdarzają się co prawda nazwiska oznaczające kolory, na przykład Roth, przede wszystkim Roth i Grau, trafiają się też Schwarz i Braun, tak, nawet Grün, Uwe Grün, i Gelb, Erika Gelb. Ale Blau...

Jeszcze nie zdążyłem przełknąć ostatniego kęsa, gdy drzwi znowu się otwierają. Nie usłyszałem nadejścia strażnika. Wbrew własnej woli zrywam się i staję twarzą do ściany.

Na górze przyjmuje mnie inny major. Jak twierdził Romarin, to główny śledczy Alexandrescu, rozpoznaję go po żółtych, nastroszonych brwiach. Wciska mi do ręki ołówek i kilka arkuszy papieru.

— Zapisze pan wszystko, co pan dotychczas powiedział o historii siedmiogrodzkich Sasów. Jest to pierwsza marksistowska analiza waszej historii przeprowadzona metodami marksizmu historycznego i dialektycznego, jaką słyszeliśmy. Ale proszę bez tych kwiecistych przykładów o pańskiej rodzinie i krewnych. Ściśle naukowo. Pan jest nie tylko poetą, lecz także człowiekiem uczonym. — To ma stworzyć punkt odniesienia pozwalający właściwie zinterpretować polityczne przewiny moich rodaków. — Nasze ludowo-demokratyczne państwo w żadnym razie nie zamierza zniszczyć Sasów, ale musimy rzucić światło na tę pełną niejasności sprawę. *Facem lumină!* — I nie można niemieckiej młodzieży tego kraju uczynić tego raz jeszcze: użyć jej jako mięsa armatniego. Wystarczy, że pokolenie rodziców poszło *la SS* i przelewało krew na najtrudniejszych odcinkach frontu, kiedy wojna już była przegrana. A w tym samym czasie żołnierze z Rzeszy,

soldații Reichului, w Paryżu zabawiali się z Francuzkami. To się nie może powtórzyć. Ma rację, myślę: my w tarapatkach, a inni w tym czasie przechadzają się po Paryżu? Nigdy więcej! — Wyświadczy pan przysługę nie tylko państwu i partii, lecz także swojemu narodowi. Jeżeli pan się sprawdzi, może pan zostać nowym przywódcą Sasów, od dawna już czekają na kogoś takiego w Bukareszcie.

Piszę, pilnowany przez strażnika, który musi stać. To będzie długie opracowanie, na wiele stron. Kiedy mój nadzorca już ma dość stania, zajmuje miejsce na jedynym krześle za masywnym biurkiem i prosi mnie, żebym udawał, że tego nie widzę; z lękiem spogląda na drzwi, które w każdej chwili mogą się otworzyć. Ze mnie opada wszelki strach. Jak w upojeniu rzucam się na historię siedmiogrodzkich Sasów z całym instrumentarium marksistowskiej teorii społecznej — powstaje obrona mojego narodu, jego początków i jego obecnej kondycji. Jest już noc, kiedy wchodzi oficer dyżurny i zabiera papiery. Strażnik stoi na swoim miejscu. Ledwie przełożony zniknął, obaj ziewamy szeroko, z całego serca. Ale potem regulamin nas rozdziela: ja chowam się w ciemność blaszanych okularów, on puszcza siarczyste pierdnięcie.

Myśliwy leży w łóżku: ręce na kocu, twarz zwrócona w stronę żarówki, na oczach chusteczka. Jest po dziesiątej. Przegapiłem kolację.

Następnego ranka *la program*, a potem myśliwy chce przeanalizować wszystko, co się ostatnio nazbierało. Każe sobie wszystko opowiadać, ze szczegółami, od pierwszego przesłuchania, od majora Blau, i komentuje każde zdanie. Zatrzymujemy się na tej bzdurnej sprawie z ulicą w Aradzie, przy której się urodziłem. Wzdycham:

— Gdybym tylko odpowiedział, że nie pamiętam nic z tamtych czasów. Przecież miałem zaledwie trzy lata, kiedy się wprowadziliśmy.

Myśliwy mówi:

— To w inny sposób dowiedziałby się tego, czego chciał się dowiedzieć. Nie ulega wątpliwości, że każde, nawet bezsensowne pytanie stawia w jakimś określonym celu. Może chciał wiedzieć, gdy cię tak maglował o tego doktora Rusu-Şirianu, jak dobrze działa twoja pamięć. Albo z jakich kręgów pochodzisz. Albo coś innego. — Zamyśla się. — Ależ z niego musiał byćkameleon, że przetrwał wszystkie reżimy. — I zaczyna wyliczać, a słycać w tym wyraźne echa partyjnych szkoleń: — Burżuazyjne rządy lat trzydziestych; jedynowładztwo króla Karola II. Byłem wtedy chłopcem i widziałem w Mediaszu, jak ostrzeliwano pociąg, którym we wrześniu 1940 roku uciekał z kraju ze swoją nałożnicą Lupescu. Potem koszmar faszystów, zielonych koszul; potem wojskowa dyktatura marszałka Antonescu — na nim wykonano wyrok w czterdziestym szóstym, jeszcze komuniści nie byli u steru. I do roku 1947 monarchia konstytucyjna młodego króla Michała — byłem skoczkiem spadochronowym w jego gwardii przybocznej. I wreszcie dyktatura proletariatu, kiedy króla zmuszono do ustąpienia. Kto to wszystko przetrwa, jest podejrzany.

— Ależ ten Rusu-Şirianu na pewno od dawna nie żyje. Pozostała po nim jedynie tabliczka z nazwiskiem.

— To nie ma znaczenia. Tutaj żywi i umarli są tak samo podejrzani.

— Ileż oni czasu tracą na takie drobiazgi — mówię.

Myśliwy rzuca przekleństwo, spluwa, co nie jest tu zabronione:

— To nie jest ich czas, tylko nasz.

Ciągle to samo: przeczesujemy wydarzenia w poszukiwaniu tropu, który wskazywałby wolność, i zatrzymujemy się uwiłkani w cierniowy gąszcz.

Po śniadaniu zostają wezwany na górę. Major Alexandrescu nie jest sam. Przy maszynie do pisania siedzi młoda kobieta. Omija mnie spojrzeniem i patrzy w pustkę. Jest zadbana, usta ma lekko uszminekowane, jedwabiste brwi delikatnie podkreślone, włosy blond w typowym dla Rumunek odcieniu mosiądzu rozdzielone przedziałkiem jak u Madonny. Mam jej dyktować to, co wczoraj zapisałem. Postanowiono wysłać mój komentarz do Komitetu Centralnego do Bukaresztu. Major jeszcze raz powtarza:

— Powinien pan wybić sobie z głowy te obawy, że chcemy wytrzebić Sasów, bo nie pasują do społeczno-politycznej koncepcji naszego państwa. To mechanistyczny sposób rozwiązywania spraw. Nie obawiaj się więc *catastrofă națională*. Wszystkie zjawiska trzeba zbadać w kontekście.

— *Interdependența fenomenelor*, współzależność zjawisk — mówię ucieszony. — Pierwsza zasada dialektyki.

— *Exact!* — Chodzi o to, żeby ludzi na nowo wychować. Jeśli nie gdzie indziej, to tutaj. — Poza tym to wy, Niemcy, nawarzyliście tego piwa. Hegel, Feuerbach, Engels i Marks są twoimi rodakami. I teraz musicie to piwo wypić. — Śmieje się, jego żółte brwi się jeżą. Ja dostaję gęsiej skórki. Wreszcie przykazuje mi: — Ani słowa do towarzyszki. Ale patrzeć na nią ci wolno. — Uśmiecha się, to okrutne, i bezszelestnie wychodzi.

Zaczynam dyktować, towarzyszka stuka na maszynie. Piśze, nie podnosząc wzroku, nie gubiąc ani jednego słowa, jakby była częścią maszyny. Czasami powstają krótkie przerwy, wtedy wpada strażnik:

— Gotowe?

— Nie — odpowiadam, gdyż ona milczy.

Po ostatnim zdaniu mówię *punct* i *gata*. Kobieta wstaje automatycznie. Po raz pierwszy widzę całą jej postać o delikatności kwiatu. Spina papiery, robi to powolnymi ruchami, nie śpieszy się. Z korytarza zagląda strażnik:

— *Gata?*

— *Nu* — odpowiada bezdźwięcznym głosem dziewczyna. Jest to jej pierwsze i ostatnie słowo. Strażnik zamyka drzwi.

Towarzyszka nie wychodzi prostą drogą, ale zbacza do kąta, gdzie siedzę za swoim stolikiem i czekam, z rękami na pulpicie. Zwalnia kroku, pochyla się ku mnie, całuje mnie w czoło, całuje mnie w usta, jej piersi kołyszą się pod bluzką, a srebrny łańcuszek z krzyżykiem uwalnia się ze swego ukrycia. Potem kobieta prostuje się, lewą ręką dotyka łańcuszka, chowa go pod bluzkę.

Myśliwy nigdy się o tym nie dowiaduje.

9

Kiedy uświadamiam sobie, że jestem tu zamknięty, ogarnia mnie szal: siedem żelaznych bram musi się natychmiast otworzyć. Chcę stąd uciec! Uciec stąd!

W Fogaraszu w wielkim ogrodzie mojego dzieciństwa przyłapałem kiedyś małego ulicznika na kradzieży jabłek. Kiedy zwinny jak łasica próbował uciec przez płot do kościoła Franciszkanów, sposobem Toma Mixa złapałem go na lasso i zamknąłem w naszym schronie z masywnymi drzwiami. Chłopak zachowywał się jak szalowiec, walił na oślep rękami i nogami. Zamknięcie go kosztowało mnie dużo wysiłku. Dochodzące spod ziemi bębnienie pięści wzbudzało litość. Krzyczał o wodę. Poszedłem po nią do domu. Tyle miała trwać kara. Kiedy wróciłem, w schronie było cicho. Czyżby uciekł? Gdy otworzyłem drzwi z ciężkich drewnianych bali, chłopak leżał na podłodze, nieprzytomny, z ustami przy szczelinie drzwi. Twarz i głowę miał zakrwawione. Minęło zaledwie parę minut.

Major mnie nie wzywa. Ciągające się w nieskończoność białe ściany, a we wnętrzościach tykanie każdej sekundy. Czas staje się zagrożeniem. Wytrzymać, a jednak uciec, jak to możliwe? Urządzić się w tym wielkim, złym czasie, jak tego próbowała moja matka?

Jeszcze mieszkaliśmy w domu z kamiennymi lwami. I choć komuniści musieli dzielić się władzą z królem, baliśmy się ich przez cały czas. Ale za mało, zbyt powierzchownie. Pozwaliśmy sobie na rzeczy, które mogły nas kosztować życie, teraz to rozumiem. Po przewrocie w 1944 roku mieliśmy zakaz posiadania odbiorników radiowych. Nie przejmując się tym, kiedy zaczęto rekwirować radia, moja matka zatrzymała dwa odbiorniki, bez wiedzy ojca. Małe, prawie owalne radio Philipsa z dwoma zakresami fal trzymała w szafie, w podłużnym koszu z robótkami.

Przy nocnej rewizji w naszym domu, jesienią 1946 roku, kiedy ludzie królewskiej Siguranły w towarzystwie czerwonoarmistów chodzili z pokoju do pokoju i z ponurymi minami wywracali wszystko do góry nogami, znaleźli ten kosz. Nam, dzieciom, kazali siedzieć prosto w łóżkach, z rękami na kołdrze. Nie mogliśmy się odezwać ani słowem. Płakać też nam nie było wolno. Nasza siostrzyczka dzielnie trzymała się tego zakazu, choć łzy spływały jej po policzkach, aż do kącików ust, gdzie wyłapywała je koniuszkiem języka, na przemian z lewej i prawej strony.

Kiedy mężczyźni otworzyli szafę z ubraniami mojej matki, a było to jedyne miejsce w domu, do którego dzieciom nie było wolno zaglądać, tylko czasami uchylaliśmy jej drzwi, by rozkoszować się pięknym zapachem, zobaczyli fatalny kosz. Zanim jeszcze po niego sięgnęli, matka schyliła się szybko, wzięła kosz, postawiła na podłodze i powiedziała: „To tylko dziecięce pończochy do cerowania”. I przyglądała się, jak mężczyźni wybebeszają jej szafę, wyrzucają wszystkie rzeczy, nie kładąc

niczego na swoje miejsce. A potem, gdy ponure typy sobie poszły, postawiła ukryte radio z powrotem na miejsce.

Drugie radio matka schowała w rogu sofy, zamaskowała je ozdobną poduszką: duży odbiornik marki Telefunken, z magicznym okiem, które teraz w ukryciu świeciło na zielono. Przewód anteny matka poprowadziła przez komin i na górze przymocowała na podkładce z siatki. Muzyka dobywająca się z haftowanej poduszki potrafiła wyczarować nastrój minionych czasów. A wiadomości dalekich rozgłośni z koszyka z robótkami zabierały nas w nierealną rzeczywistość.

Czy można to odnieść do tutejszej sytuacji? Odtworzenie czasu? Nie.

A jednak: czy nie istnieją nisze czasu, w których mógłbym się schować przed zagrożeniami dnia?

Jesteśmy budzeni o piątej. Za każdym razem pojawia się ten pierwotny strach, który rozpada się na pojedyncze lęki, kiedy dzień spada na mnie ze swymi siedemnastoma ołowianymi godzinami.

W jednej chwili wyglądam siennik; z nocy na noc robi się coraz cieńszy, pokruszona słoma wysypuje się z niego jako pył. Błyskawicznie nakrywam łóżko derką i wstrząsam wypełnioną wiórami poduszkę.

Ubierać się! Ja mam dobrze, wśród moich rzeczy z kliniki była piżama, z której przebieram się w ubranie dzienne. Gotowy! A teraz nasłuchiwać. Czekać.

Drzwi się otwierają. Do celi wsuwa się szufelka, za nią podają miotłę. Siwe włosy, ciemne włosy, brązowa nitka, skrawek pergaminu, szminka na niedopałku.

Raz w tygodniu ścierka do wytarcia podłogi. Robię to, niechętnie. Na kamiennej posadzce wilgoć ulatnia się, zanim jeszcze zdążę przetrzeć wszystkie kąty. Ale za to mój towarzysz każdego ranka zamiata nasze pomieszczenie z nerwowym zapachem. Gotowe. Czekać.

Wreszcie: — *La program!* — Idziemy do toalety. Szybkie opróżnianie jelit, równocześnie trzeba sikać, w pośpiechu opłukać tyłek. Dalej! Następny proszę! Biada, jeśli z odbytu wychodzą ci krwawe hemoroidy albo męczy cię sraczka. — *Repede, repede!* — My, zdrowi, gramy na zwłokę, żeby cierpiący mógł w mękach załatwić swą potrzebę naturalną. Źle jest, kiedy wychudzone łydki nie są w stanie go unieść, kiedy nie utrzymuje pozycji kucznej nad kloaczną otchłanią. Ale wtedy silniejszy towarzysz niedoli pomaga: jedną ręką daje chwijającemu się oparcie, a drugą płucze sobie usta. Klawisz bębni pękiem żelaznych okularów w drzwi: kończyć już! Zbierasz spodnie w garść, bierzesz śmierdzący kibel. Gęsiego z powrotem do celi. Czekać. Nasłuchiwać. Wreszcie śniadanie.

Pomiędzy tym odkrywam niszę czasu. Już Rosmarin zauważył: „Do śniadania mamy spokój”. Chowam się pod stolikiem ściennym. W tym piekle nikogo do siebie nie dopuszczę. Czasami strażnik krzyczy, ale nie przegania mnie. Strach milczy. Myśli milczą.

Ale potem zaczynają się przesłuchania. Sztynno drepczę przez korytarz. Drzwi łaskoczą, ludzie są odprowadzani, jedenaście stopni w górę, znowu jedenaście. Siedzimy jak w schronie, jakbyśmy odliczali z drzeniem: „nadlatuje kula, leci do mnie czy do ciebie...”.

Wreszcie zbawienna wyspa obiadu. Rozgotowane jedzenie o smaku blachy. Kto ma za sobą przesłuchanie, nie jest w stanie stłumić wyniszczającego podniecenia, z trudem się uspokaja. Rzeczy normalne i naturalne w życiu codziennym tutaj otrzymują straszliwe nazwy: sprzysiężenie, zdrada stanu, szpiegostwo.

Zagłębiam się w rachunek różniczkowy, by uciec obsesjom takiego przedpołudnia, paznokciem bazgrzę na kocu wzory mechaniki ciał niebieskich, projektuję wóz terenowy napędzany śmigłem, który może przebyć nawet bagno. Nigdy

przedtem, nigdy potem i nigdzie indziej niż tutaj nie udawały mi się takie wyczyny intelektualnej koncentracji.

We wtorki i piątki po jedzeniu zapada przytłumiony spokój. Śledczy zabierają się do dzieła, zmuszają ludzi do mówienia. W pozostałe dni po południu panuje spokój, urzędowo nakazany. Nisza popołudnia staje się nieskończenie długim korytarzem. Umysł ogarnia mrok. Niespodziewanie mój współmieszkaniec na łóżku naprzeciwko odzywa się wesoło: — Przypominasz sobie, jak ja tu przyszedłem? — Pokazuje w górę i mówi: — Przez sufit. — I przysłuchuje się dzwonom w przytłaczającej ciszy. Albo zrywa się z łóżka i pędzi na ścianę głową naprzód, aż krew tryska mu z nosa i uszu.

A dozorca karceru na korytarzu? Według Rosmarina jest w jeszcze gorszej sytuacji niż my: jest sam. Śmiertelnie się nudzi. Robi się zazdrosny, kiedy w celach coś się dzieje. Zdarza się, że aresztanci opowiadają sobie szeptem kawały, anegdoty z dawnego życia, i śmieją się, co według regulaminu jest zabronione. Tak, nawet czasami z rozbawienia klepią się po udach, co nie jest zabronione, ale jednak źle widziane, tak samo jak gimnastyka czy tańce. Nadzorujący jest uwięziony, nawet on. Drzwi na klatkę schodową są zamknięte od zewnątrz. Czas daje mu się we znaki. Nie wolno mu z nami rozmawiać. Czytać nie potrafi. Nie śpiewa. A tańczyć, na służbie? Raczej nie. Opowiadanie kawałów sobie samemu też specjalnie nie bawi. Przemyka się po korytarzach, zagląda przez judasza do cel, aż łzawi mu oko — praca i urozmaicenie w jednym.

Ale czasami człowiek z korytarza potrafi zapewnić sobie trochę rozrywki, kiedy palącym podaje do celi ogień. Ile cel może obsłużyć jedną płonąca zapałką? Biega od jednego judasza do drugiego, trzaska klapą i podsuwa płomień tam, gdzie więzień już czyha: — *Repede, repede!* — Uzależniony od nikotyny stoi przed judaszem z papierosem w ustach. I jednym haustem wciąga swoją część płomienia, przyczynia się do

rekordu. Papieros dymi. Uszczęśliwionemu palaczowi kręci się w głowie. Wypala papierosa do końca, aż osmala sobie wargi. A strażnik biegnie z zapaloną zapałką dalej. My liczymy cele.

Może się zdarzyć, że kłapa zostaje otwarta i więzień z papierosem ustawia się w gotowości. Ale nie pojawia się płomień, choć odgłosy i zapach mogłyby to sugerować. Tymczasem w otworze ukazuje się oko strażnika, który na palcach skrada się od drzwi do drzwi i obserwuje nas, aż tu nagle w oku ląduje mu papieros. Ale niewidzialny musi pozostać niewidziany i nie może, mimo tytoniu w oku, odezwać się ani słowem.

Na takiego właśnie trafiłem, kiedy myśliwy zaczął mnie przyuczać. Wetknął mi do ust papierosa, ustawiłem się z nim przy judaszu. Kiedy krzyknął: — A teraz szybko podstaw go do dziury! Bo inaczej zostaniemy do wieczora bez ognia! — wysunąłem skręta przez judasza. Ale nie było tam pełgającego płomienia, zamiast tego dał się słyszeć stłumiony jęk bólu, potem wściekłe pomrukiwanie. Otworzyła się kłapa, okienko wypełnił mięsisty nos. „*Idiotule!*” Myśliwy rozpoznał naramienniki kapitana. Potem do wieczora miętolił w ustach niezapalonego papierosa. Ja musiałem stać w kącie.

Ale także po południu, jak zawsze i wszędzie tutaj: czekać, nasłuchiwać, mieć nadzieję. Czy teraz otworzą się drzwi, by już nigdy za nami się nie zamknąć?

W sobotę po południu bierzemy prysznic w otwartej podwójnej kabinie. Nie jest to czysta przyjemność, gdyż poza umyciem siebie, musimy także uprać swoją bieliznę, a wszystko to za pomocą kawałka szarego mydła o wielkości pudełka zapałek. Ja podchodzę do tego dość spokojnie: u koszuli szoruję tylko mankiety i kołnierz, u gatek jeszcze mniej. Skarpetki piorą się same, leżą na kratce ściekowej.

Po kąpieli golą nam brodę, robi to prawdziwy fryzjer. Goli nas, jakbyśmy byli panami: na początku zgodnie z zasadami sztuki, używając piany i brzytwy. Pewnego razu więzień

wyrwał mu brzytwę i przeciął sobie żyły. Buchająca krew splamiła śnieżnobiały kitel mistrza. Od tego czasu gołą nas maszynką do strzyżenia włosów. Ręce mamy przywiązane do oparcia fotela.

Włosy obcinają nam raz w miesiącu, nie na łysą pałę, ale krótko, po wojskowemu. Jeszcze nie jesteśmy skazanymi zło-
czyńcami, więźniami bez imienia i godności, znajdujemy się w areszcie śledczym. Także raz w miesiącu dwaj żołnierze roz-
pylają ostro pachnący proszek w naszej pościeli i na naszym
ciele: opuścić spodnie, podnieść koszulę. Jeden z żołnierzy ob-
sługuje miech, a drugi przesuwam końcem rurki po skórze. Upudrowane na białą podbrzusze wygląda jak figura gipsowa.

W nieregularnych odstępach cele odwiedza lekarz, szpako-
waty major, którego sztuka medyczna polega na odróżnianiu
symulantów od naprawdę chorych. Choroba się tu nie liczy.

Wieczór należy do nas. Zmierzch w celi rozjaśnia słaba
żarówka za kratą. Z ostatnim kęsem kolacji zaczyna się tęsk-
nić za schronieniem nocy. Ale przedtem słyszymy jeszcze
raz: — *La program!*

O dziesiątej wieczorem capstrzyk, odpoczynek. Za pomocą
chusteczek do nosa, które kładziemy na oczach, stwarzamy
sobie sztuczną ciemność. Teraz przydałyby się zaciemnione
okulary. Sen... Nawet on do nich należy.

Kiedy po kilku dniach major Blau wzywa mnie znowu, nie
wspomina ani słowem o Annemarie Schönmund, Enziu Pu-
terze czy kółku studentów. Ani też nie próbuje mnie wciągać
w intelektualną rozmowę. Wygląda przez okno, gdy zaczyna
do mnie mówić:

— Wywierał pan nacisk na saską studentkę Friedę Bengel,
by nie wychodziła za mąż za swojego chłopaka, bo jest Ru-
munem. A z drugiej strony udaje pan przed nami, że jest za
porozumieniem między narodami i za socjalizmem. Jak pan

wy tłumaczy tę sprzeczność? — Wypowiadanie się przeciwko małżeństwom mieszanym jest uznawane za nacjonalistyczną agitację, jest karalne. — Czyż nie nasuwa się tu wniosek, że z nieczystych pobudek chciał się pan wkraść w szeregi partii? — Gdy to mówi, jego głos nie brzmi surowo, raczej jakby był znudzony, jakby już nie chciał mieć ze mną do czynienia. Jest dziś w mundurze. Nie zdjął niebieskiej czapki z daszkiem ani zamszowych rękawiczek, co sprawia, że jego obecność tutaj wydaje się przelotna. Jestem zaniepokojony, prawie urażony.

— To proste. Jak twierdzi Lenin, istnienie narodów ma sens tak długo, jak długo istnieje naród tworzący państwo. Jeśli chce się nas zachować w Rumuńskiej Republice Ludowej jako siedmiogrodzkich Sasów, musimy przetrwać. Przed wojną mieszkało w Rumunii w sumie osiemset tysięcy Niemców i, nawiasem mówiąc, taka sama liczba Żydów. Teraz jest nas o ponad połowę mniej, przy tendencji malejącej. Chodzi tu o zwykłą statystykę. Małżeństwa mieszane niszczą substancję narodową.

Major klaszcze w ręce, inaczej niż zwykle. Wchodzi podporucznik, przyjmuje postawę zasadniczą. Bez słowa major podsuwa mu karteczkę. Pół godziny później dostaje odpowiedź.

— Nie uda się panu wywieść nas w pole. Proszę, oto najświeższe dane statystyczne: małżeństwa mieszane nie odgrywają żadnej roli. W liczbie trzydziestu tysięcy pańskich rodaków udział małżeństw mieszanych jest znikomy, *quantité négligeable*. — Mówi dalej: — Nawet jeśli dał się pan zaślepić rasowym przesądom w stopniu niepodlegającym karze, takim stanowiskiem wspierał pan reakcyjną propagandę swoich rodaków. Jako *vigilant* marksista powinien się pan zabezpieczyć od strony faktów.

— To właśnie zrobiłem. Pastor Wortmann, którego niedawno o to pytałem, przytoczył podobne dane. Małżeństwa mieszane nie stanowią zagrożenia dla naszego przetrwania.

— A jednak dalej postępował pan tak samo.

— Ależ nie. W przypadku innej studentki próbowałem przekonać rodziców do małżeństwa, tym bardziej że byłem pewien, iż ta miłość jest wystarczająco silna na podjęcie niełatwego wyzwania małżeństwa. Rodzice mnie wyprosili z domu, a córka w tym czasie płakała w spiżarni.

— Czyżby był pan saskim Panem Bogiem? — pyta major, odwraca się i ogląda mnie uważnie ze wszystkich stron.

— Nie — odpowiadam.

Chce wiedzieć, która to rodzina nie zgadzała się wydać swojej córki za Rumuna.

— Tego nie powiem. Dowie się pan i beze mnie.

Major wpatruje się w godło państwowe na ścianie, mówi:

— Niech pan sobie nie myśli, że jesteśmy zachwyceni, kiedy obcy wżenają się do naszych rodzin, zwłaszcza Niemcy. Bynajmniej!

Wstaje, poprawia na głowie oficerską czapkę, skubie kurtkę munduru, zdejmuje rękawiczki, żeby się wysmarkać. I nie zaszczycając mnie spojrzeniem, zabiera się do wyjścia. Już przy drzwiach podchodzi do mnie, rzuca zamszowe rękawiczki na mój stolik i bez słowa wychodzi z pokoju.

Czekamy na śniadanie. Na korytarzu odbywa się zwykły poranny spektakl. Myśliwy siedzi na łożku i węża łupinę jabłka swoich córeczek. Ja kulę się pod stolikiem ściennym, w swoim schronieniu, i próbuję nie myśleć o tym, co chcę zapomnieć. Ale tam znosi moje myśli, jak owady trzepoczące się w strumieniu.

Kończyła się właśnie jedna z większych imprez kółka literackiego w środowiu wieczór. Elisa Kroner miała wystąpienie na temat *Doktora Faustusa*. Niewiele osób zabrało głos. Żadnych podchwytliwych pytań. Odetchnąłem z ulgą.

Elisa wyciągnęła mnie za rękę, jeszcze zanim masa słuchaczy przez dwoje drzwi zaczęła się przeciskać na korytarz.

— Bądź tak dobry i odprowadź mnie. Rób wszystko, o co cię proszę. I niczemu się nie dziw. — Rozejrzała się ostrożnie dookoła. — Taki jeden śledzi mnie od kilku dni. To ich człowiek, bo nosi strasznie drogie buty. Chcę sprawdzić, czy wszędzie za mną pójdzie. A jeśli tak, to chcę mu w elegancki sposób wybić z głowy tę psią wierność. — Odesłała Ljubena, który wyrósł koło nas jak dzinn z butelki. — Idź i pociesz Paulę Mathäi, ja jestem w dobrych rękach.

Biegliśmy jednym z słabo oświetlonych korytarzy, obok głównych schodów. Rzeczywiście, podążał za nami cień.

— Tak — rzuciła szybko, kiedy byliśmy za zakrętem — to on. Pójdę teraz do damskiej ubikacji i zostanę tam tak długo, aż mu pęknie pęcherz. Na pewno wypił przedtem jedno czy dwa piwa. Trzy godziny siedział u nas w sali, na pół schowany za trzecią kolumną od prawej. Kiedyś w końcu musi iść za potrzebą. A wtedy zawołaj mnie albo lepiej wejdz po cichu do środka, będę przecież sama, i mu uciekniemy. Ale najpierw ty idź do ubikacji, bo inaczej ciebie dopadnie przed nim.

O wszystkim pomyślała Elisa Kroner. Kiedy szedłem do ubikacji, człowiek cienia ukryty za gazetą stał pod lampą, która oświetlała obydwaj wejścia do toalet, ze skrótem „To” dla *tovaräscha*, „Ta” dla *tovaräscha*. Jakże niesłychanie wytrenowany pęcherz musiał mieć ten bezgłowy mężczyzna! Nie poddał się, nie przelał, wytrzymywał napór. Ale potem, po nieskończeniu długim czasie, zaczął jednak przestępować z nogi na nogę w swoich drogich butach. Nagle wcisnął mi gazetę do ręki i powiedział, odwracając się, żebym nie mógł zobaczyć jego twarzy:

— Potrzymaj mi gazetę, póki nie wrócę!

Był to stary numer studenckiego pisma „Viață studentescă”. Ściskając pośladki, podreptał do drzwi toalety, dzięki Bogu do

tych z napisem „To”. Włożyłem jego gazetę za klamkę drzwi „To” i rzuciłem się w opatrzone napisem „Ta”, rozejrzałem się szybko — u kobiet było prawie tak samo jak u nas, brakowało tylko pisuarów — i wyskoczyliśmy razem z Elisą, pobieглиśmy schodami w dół do holu i na zewnątrz, na wolność.

Przed portalem uniwersytetu, pod żeliwną latarnią z dawnych czasów, ukryty za gazetą „Viața studentescă” czekał już na nas człowiek, który nie miał twarzy.

Zaskoczeni zwolniliśmy kroku. Co mamy zrobić?

— Pójdiesz na noc do mnie — zdecydowałem.

— Dobrze — zgodziła się. — Ale choćbyśmy się schowali nie wiadomo gdzie, nigdy nie uda się nam uciec przed tymi ciemnymi typami. — Nigdy, pomyślałem tak samo. — Niedawno Ljuben wyrwał pewnego wieczora takiemu facetowi gazetę i nadepnął mu mocno swoimi ciężkimi zimowymi trzewikami na czubek buta. Tamten od razu się odwrócił, ale najpierw powiedział: „*Dumnezeule*, na Boga, moje drogie buty!”. Ale nie cofnął się.

— Ljuben, książę Bałkanów, może sobie na wiele pozwolić. Ale obiecuję ci: tym razem ten upiór nauczy się, co to strach. A ty będziesz mogła spać spokojnie.

Poszliśmy okrężną drogą przez Centralny Cmentarz, położony na zboczu góry w środku miasta. Śnieg skrzypiał pod nogami. Już po kilku nagrobkach mężczyzna za nami schował swoją gazetę. Wyjął latarkę i posługując się nią, na próżno nas szukał, gdyż nie ruszaliśmy się z miejsca. Nagle snop światła zawrócił i zaczął chwiejnie oddalać się w kierunku bramy. Elisa powiedziała:

— Oni boją się duchów zmarłych.

Wybrałem drogę przez prawosławną część cmentarza, gdzie na każdym grobie wieczna lampka rozaczała światło pobożności. Elisa chętnie pozwoliła mi prowadzić się za rękę.

— Zawsze myślałam, że to zabobony. Wstyd mi teraz. Tak niezwykle wygląda ta alejka w iluminacji girlandy wiecznych lampek, w kolorze zieleni, szkarłatnej czerwieni. Czuję się jak podczas ucieczki do Egiptu, kiedy anioły z gwiazdami we włosach oświetlały drogę świętej rodzinie.

Dom hrabiny Apori znajdował się na stoku góry. Parter, na w pół zakopany w ziemi, obsuwał się razem ze wzgórzem. Przez piwnicę weszliśmy do dusznego pomieszczenia, gdzie mieszkałem w lecie, minęliśmy je i znaleźliśmy się w pokoju pani domu. W ścianie ziały pęknięcia. Choć regularnie zatykałem je gałganami, bezlitośnie od nich ciągnęło.

— Stąpaj uważnie, w podłodze jest pełno dziur i pęknięć.

By zaoszczędzić na opale, koczowałem tu w zimie. Za pomocą kaszmirowego dywanu oddzieliłem dla siebie kąt pokoju. Elisa szepnęła:

— Jak dziwnie, tutaj też jest wieczna lampa, ale rubinowoczerwona. — Pływający knot głęboko wpadł do wnętrza zabarwionego na czerwono szkła.

Hrabina Clotilde Apori leżała na swoim łożu, przykryta wytartymi pledami, a w nogach futrem swojego męża. W dzień leżała w drewnianym korycie. W środku miało gipsowy odlew, dopasowany do powykręcane go ciała staruszki.

— Późno przychodzisz, mój kochany Chlorodencie — upomniała mnie hrabina. — Trzeba dolać oliwy do wiecznej lampki i dołożyć do pieca. — Do Elisy zwróciła się: — Niech się pani nie dziwi, panienko, że tak na niego mówię; jego imię jest zbyt dziwaczne, żeby go można było używać. Proszę usiąść, wszystko jedno gdzie, wszędzie jest tak samo zimno. To jest jedna z zalet bycia sparaliżowanym, że mniej się czuje. Widzę tylko wydychane powietrze.

Przyniosłem drewna, na nowo roznieciłem ogień. Clotilde Apori właśnie wysłuchiwała wiadomości Głosu Ameryki. Opowiedziała, że kardynał Mindszenty przez cały dzień stukał

w ścianę swojego pokoju w amerykańskiej ambasadzie. Przed kilkoma miesiącami węgierski powstaniec uwolnił dostojnika po ośmioletnim więzieniu i posadził na ławce na dziedzińcu ambasady amerykańskiej.

Na jej małym odbiorniku marki „Pionier” figurowały tylko nazwy rozgłośni bloku wschodniego. Zachodnie stacje można było rozpoznać po wyciu zagłuszaczy. Hrabina mimo to jednak słyszała to, co chciała usłyszeć.

— My, arystokraci, mamy słuch wyostrzony przez stulecia. Zawsze musieliśmy mieć się na baczności, nie tylko przed ludem, ale przed każdym. To oznaczało: nastawiać uszu i słuchać, wsłuchiwać się, co mówią służące i parobcy, co szepczą pokojówki, co knują chłopci, co pastor naprawdę chce wyrazić w swoim kwiecistym kazaniu, co nam nakłamał rządca. — Jednym ruchem podniosła się, aż zatrzeszczały stawy. Podłożyłem jej poduszkę pod plecy, Elisa usiadła na stołku koło łóżka hrabiny. — Dziękuję, ale jeszcze nie skończyłam: musieliśmy słyszeć, co kryje się pod słowami sąsiada, co planuje skłócony brat, co szwagierki plotkują za plecami i jakież to intrygi knuje cała szeroko rozgałęziona rodzina. Bo wiecie chyba: wszyscy arystokraci są ze sobą spokrewnieni lub spowinowaceni. Być arystokratą to być podwójnie samotnym: jako jednostka oraz jako zawsze zagrożona mniejszość. — Poprosiła o jogurt i sucharki. — Po tej wycieczce *pro domo* muszę się trochę posilić. — Elisa włożyła kubek z jogurtem między powykręcane palce hrabiny i pokruszyła cienkiego sucharka. — A jednak zapamiętajcie sobie na całe życie: bezpieczeństwo i ochronę zapewnia tylko własny stan. — Przez słomkę wypija jogurt z kubka, innej pomocy nie chciała. — Dziękuję, sama robię wszystko, dopóki jeszcze mogę. A poza tym, drogi Chlorodencie, przygotuj może małą kolacyjkę. Na pewno oboje jesteście głodni. Marmolada, jogurt, margaryna, trzy ząbki czosnku i tymianek dla smaku, no i arcyzdrowe sucharki, tym

mogę służyć. — I mówiła dalej: — Z czasem nauczyliśmy się też czytać w myślach. Na przykład czytam teraz, mój drogi Chlorodencie, że nosisz się z zamiarem zatrzymania tu na noc tej ślicznej panienci. Szlachetna to myśl. Pewnie dlatego popędziłeś po drewno jak strzała. Normalnie nigdy ci się tak nie śpieszyło. W naszym zamku w Szent-Márton, kiedy nocowali u nas goście, robiliśmy tak: pary kochanków razem, pary małżeńskie osobno. Żeby każdy miał jakąś przyjemność, swoją małą *plaisir*.

Elisa wzięła od niej tacę.

— Postaw ją w przedpokoju — powiedziałem — żeby i myśy coś z tego miały.

— No, mój Chlorodencie, a teraz kilka kropli atropiny do oczu, żebym was mogła lepiej widzieć. — Rozszerzonymi, ogromnymi źrenicami dama przyjrzała się Elisie. — Teraz możemy zawrzeć znajomość. — Elisa dygnęła. — Z pewnością masz na imię Klára. Tak jasne oczy, pełne dobroci i mądrości. Szlachetnie ukształtowane członki, sylwetka może trochę zbyt drobna. Ale do dwudziestego piątego roku życia jeszcze się rośnie.

Niespodziewanie Elisa uklękła i ucałowała artretyczne palce starej kobiety.

Ogień trzaskał. Okna pokryły się parą. Zrobiło się ciepło. Zmieniłem pościel.

— Tu będziesz spała, Eliso, to jest moje łóżko. Musisz się zadowolić siennikiem, ale bez siana, tylko z liśćmi kukurydzy. Ja położę się na sofie. Umyć możesz się za hiszpańskim parawanem, tam koło pieca.

Hrabina odezwała się:

— Japońskim. Ten parawan z pelikanami przywieźliśmy z Japonii. Mój mąż i ja mieszkaliśmy tam w latach czterdziestych. Proszę cię, mój Chlorodencie, daj panience jedną z moich nocnych koszul. A potem bądź tak dobry i natrzyj mi

brzuch esencją spirytusową. Mam migrenę, bóle aż do karku. Chyba nie przestraszy się pani nagiego brzucha starej kobiety, Kláro.

— Nie — powiedziała Elisa. Nawet ja już nie byłem tym przestraszony.

Z podróznego kufra, służącego także jako ława do siedzenia, wyjąłem ozdobioną koronką jedwabną koszulę nocną o wyblakłym przepychu, którą Elisa narzuciła na siebie. Koszula pachniała naftaliną i ledwie wyczuwalną nutą *Magie Noire*. Elisa wyglądała tak zabawnie, że musiałem ją przycisnąć do siebie. Czubkiem głowy sięgała mi do podbródka. Słyszałem bicie jej serca. Szepnęła:

— Ależ intensywna jest czerwień wiecznej lampki w szklanym kielichu! Zostaw ją tak, nie dolewaj oliwy.

Aromatycznym alkoholem natarłem mojej gospodyni brzuch, który wyglądał dość szczególnie. Na skutek częstego masowania pępek przesunął się aż do mostka. I wisiał tam, obcy i smutny.

I nagle stanęło mi przed oczami, jak wtedy, w nagim jeszcze lesie, na łożu z gnijących liści, pępek Annemarie zniknął pod fałdą skóry i widać było tylko wielki, gładki brzuch, a ona leżała tam niby jakiś straszny stwór z bajki. Przypomniałem też sobie, a esencja alkoholowa szczypała mnie w nos, jak jedliśmy nasze kanapki. Moja była grubo posmarowana musztardą: „Wzmacnia męskość!”, a jej posypana wściekle czerwoną papryką: „Rozgrzewa temperament kochanki!”. Taki właśnie efekt naszego posiłku zagwarantował jej wujek ze wsi. Usłyszałem, jak Annemarie mówi z pełnymi ustami, wargi i podbródek mając upudrowane papryką: „Chcę mieć na piśmie, że się ze mną ożenisz”. Teraz już była mężatką, miała to na piśmie.

W środku nocy budzi mnie cichy głos Elisy:

— Coś szeleści w sienniku.

Rozżarzona szklana kula rzucała czerwone światło, które gasło dopiero w kątach pokoju. Hrabina pochrapywała spokojnie.

— To tylko myszy.

— Puch! — zrobiła Elisa, ale nie krzyknęła, jak się należało spodziewać. Odchyliłem orientalny dywan i usiadłem obok niej na łóżku. Trzepotanie malutkiego płomienia w oliwnej lampce malowało na suficie najdziwniejsze senne figury. Minęło dziewięćdziesiąt dziewięć dni, odkąd powiedziałem Annemarie *adieu* na zawsze. Gunther szepnął mi niedawno, że nie zdała egzaminu państwowego i wyjechała.

— Myszy mają bardzo miękkie futerko — powiedziałem i chciałem się wyciągnąć obok Elisy.

— Lepiej nie — zaprotestowała łagodnie. — Jeszcze za wcześnie. — Dalej leżała zwinięta w kłębek. — Przepędzę je własnym sposobem. — I zaczęła gwizdać mysią polkę.

Rzeczywiście, myszy powyskakiwały z siennika, pospadały niezdarnie na drewnianą podłogę i zaczęły kręcić się w tańcu. Elisa zaśpiewała im piosenkę ze Szwabii: „Za miasteczkiem hen u wody, tam świętuje żebrak gody. I zwierzęta w kolejności sprosił na wesele w gości. Piszczy myszka, skacze pchła, a jeź na bębenku gra. Wiatr wiruje, przytupuje, a nam skrzypka w tan wtóruje”. I zniknęły myszki ogoniaste. W izbie i w sieniuku ucichło.

— Wiesz, dlaczego hrabina się nie obudziła? — zapytała Elisa. — Bo się nas nie boi. A teraz opowiem ci historię, której nikt jeszcze nie słyszał, nawet moja ukochana siostra.

Pewnego dnia, a szłam właśnie do domu, ktoś na ulicy łagodnie otoczył mnie ramieniem. Odwracam się zaskoczona i spoglądam w twarz mężczyzny, z której śmieją się do mnie oslepiająco białe zęby. Wiem od razu: to jest Rumun z górskiej wioski. Oni mają nieskazitelne zęby. Miał także piękne brązowe oczy.

Mówi do mnie: „*Domnișoară*, czy wolno mi odprowadzić panią do domu? — I zaraz mówi dalej: — Nie, wtedy stracę panią z oczu już po kilku krokach. Może mieszka pani całkiem blisko i zniknie bez śladu za rogiem. Zapraszam panią do najbliższej cukierni, Czerwony Sierp, co za zabawna nazwa, nie sądzi pani? Niech pani zamówi, co najbardziej lubi. Moje serce nie zniesie tego dłużej, że mogę tylko oglądać panią z oddali. Jeszcze nigdy nie spotkałem tak uroczej i pięknej Saksonki”.

Elisa poruszyła się na łożu, deski zatrzęszczały, podparła się.

— A przecież wydaje mi się, że jestem taka brzydka. Zobacz tylko! — Wzięła moją rękę i przyłożyła sobie do policzka. — Te kości policzkowe, takie wystające. I oczy za szeroko rozstawione, a usta od ucha do ucha!

— Ale tylko wtedy, gdy się śmiejesz — pociesyłem ją.

— Tamten młody człowiek patrzył na mnie tak niewinnie. Dlaczego nie, pomyślałam sobie. Tacy jak my znają Rumunów tylko z ulicy. Oni są tą groźną masą, to są ci inni, obcy, których języka nauczyliśmy się z trudem. Ale wróćmy do Decebala Traiana Popescu. Spotkaliśmy się kilka razy. Otworzył się przede mną nowy świat. On pochodzi z wielkiej wsi owczarzy Reschinar. Tam mężczyźni w swoich futrzanych czapach i z włosami do ramion naprawdę wyglądają jak Dakowie z kolumny Trajana w Rzymie. Reschinar sąsiaduje z wioską Heltau, skąd pochodzi moja rodzina, Kronerowie. Zna naszą fabrykę, chwali trwającą od stuleci szczęśliwą symbiozę rumuńskich hodowców owiec i saskich tkaczy, daje do zrozumienia, że dużo słyszał o mojej rodzinie, żałuje, że tak surowo potraktowano Sasów po wojnie. Zawsze grzeczny i sympatyczny, gdy jesteśmy razem, a w jego oczach widać radość, kiedy się spotykamy. Rumuńscy mężczyźni mają taki chłopięcy urok, potrafią zachwycać się kobietą jak dziecko prezentem bożonarodzeniowym i są bardzo szarmanccy;

całują po rękach nawet na ulicy. Krótko mówiąc: jest czarujący, bardzo dbający, zainteresowany i żądny wiedzy. Czasami rozmawiamy po angielsku. Jest pracownikiem naukowym w Instytucie Agronomii, to, jak wiesz, daleko za miastem, koło Monostoru. I mieszka ze swoją starą matką w jednym z tych nowych bloków.

Poczułem zimno pełzające po nogach jak żaby. Przeciąg drobnymi igiełkami przesunął mi się po twarzy. Dołożyłem dwa kawałki drewna, powoli zajęły się ogniem, płomień huczał w piecu, hrabina cicho chrapała. Usiadłem obok Elisy na skraju łóżka.

— A teraz się zaczyna: po kilku tygodniach zaprasza mnie do siebie do domu. Jego matka, o której mówi z czcią i miłością, chciałaby mnie poznać.

Potwierdziłem:

— Rumuni zwracają się do swoich rodziców przez wy, w liczbie mnogiej. Tak samo nasi sascy rodacy.

— Właśnie — zgodziła się Elisa. — A rumuńskie dzieci witają starszych, całując ich w rękę! Nawet mężczyźni.

— U nas tego nie robią — powiedziałem.

— Przez te kilka tygodni dużo się nauczyłam. O tym i innych sprawcach. — Zamilkła na chwilę i zaraz mówiła dalej: — Waham się. On ponawia swoje zaproszenie. Nie naciśka. Myślę sobie, co się takiego może stać? I zgadzam się. Wieżowiec. Jedziemy windą. On jest śmiertelnie poważny. Unika mojego spojrzenia. Myślę: pewnie się denerwuje, nie wie, jak jego matka mnie przyjmie, Saksonkę, obcą. Czuję się nieswojo, upokorzona. Dlaczego? Zastanawiam się. Bo mam być pokazana jak zwierzę hodowlane.

Drzwi bez tabliczki z nazwiskiem. On otwiera. Nie mogę się wycofać, wchodzę pierwsza, on depta mi po piętach. Zamyka drzwi na klucz, wyjmuje go z zamka. Powietrze jest stęchłe, jak tu u was w piwnicy. Martwa cisza. Prosi mnie, bym usiad-

ła w kiczowato urządzonym pokoju. Jest bardzo stanowczy we wszystkim, co mówi, właściwie rozkazuje. Wszędzie leży gruba na palec warstwa kurzu. On parzy herbatę. W filiżance zdychają muchy. Mówi: „Moja matka zaraz przyjdzie”. Ja mówię: „Ona nie przyjdzie”. „Dlaczego?”, pyta. „Bo mnie pan oszukał!”. Jestem bliska łez. Nie dlatego, że ujawnił się jako kapitan Securitate, że trzyma mnie tam zamkniętą godzinami, ale dlatego, że on mnie... rozumiesz.

Wylewam herbatę na zeschnięte kwiatki w plastikowych doniczkach. On mówi: „Niech pani siedzi. Niech się pani nie rusza!”. Chce mnie zwerbować jako agentkę. Mówię: „Nie, nie i nie!”. „To wyróżnienie, kiedy uznajemy, że ktoś jest godzien, by dla nas pracować”. Mówię: „Nie, nie i nie!”. Ale i on nie rezygnuje tak łatwo: „Będzie pani w dobrym towarzystwie: inżynierowie, profesorowie, dyrektorzy, nawet biskupi i pastorzy wypełniają swój patriotyczny obowiązek i informują nas o wszystkim, co mogłoby zaszkodzić naszemu państwu. Każda, nawet najdrobniejsza informacja jest ważna. Zło trzeba zdusić w zarodku. — I nagle mówi po niemiecku: — Ze słomianego ognia może powstać ogromny pożar! Od czasu rewolucji na Węgrzech biega tu dosyć szaleńców. Co by pani zrobiła, gdyby ktoś z pani przyjaciół zaproponował, żeby wysadzić w powietrze dworzec? Widzi pani? Już się pani zastanawia. — Znowu przechodzi na rumuński: — Pani, jako córka fabrykanta, cieszy się pełnym zaufaniem reakcyjnych elementów. To idealna sytuacja dla informatora”. Mówię: „Nie, nie i nie!”.

On wcale tego nie słucha, nie traktuje mnie poważnie, jestem bliska rozpacz. „Poza tym mówi pani trzema językami. No i niech pani nie zapomina: wobec naszego ludowo-demokratycznego państwa ma pani dług do spłacenia. Pozwoliliśmy pani studiować, mimo niezdrowego pochodzenia społecznego. — I nagle rzuca cicho, ale zjadliwym tonem: — Jako córka wyzyskiwacza powinna pani stać w fabryce przy

maszynie! Albo za kratkami, jeśli nie dacie sobie spokoju z tą farsą, z tym kółkiem literackim, to podejrzane kręgi. Już ten wasz zarząd jest podejrzany: pani, córka fabrykanta, potem wasz tak zwany przewodniczący, syn kupca, posiadającego własną firmę, a jeszcze ten Reissenfels, wesołek, syn cesarsko-królewskiego oficera”.

Późnym wieczorem pozwala mi iść. Patrzy na mnie zimnymi oczami i mówi bezdźwięcznie: „Jeszcze się spotkamy, uparta Saksonko”. Od tamtego czasu jestem śledzona.

Nagle zadrżałem z zimna.

— Nadal robić swoje w kółku literackim, aż oni zobaczą, że niczego nie wskórają! — I dorzucam: — A jak biorą kogoś w kleszcze, mówić „nie”, zawsze mówić „nie”. Kiedyś w końcu im się to znudzi i wtedy cię puszcza. Nawet jak cię zamkną, kiedyś muszą cię puścić. Mówić „nie”, jak ty, Eliso, zdecydowanie.

— Albo mówić „tak” — uzupełnia ona. — Mówić „tak”, jeśli jest się na tyle przesiąkniętym ideą, że jest się w stanie ponosić konsekwencje do końca. Pomyśl o ich ludziach, komunistach działających nielegalnie, którzy ryzykowali życie i wolność, kobiety także. Ale nikt z nas nie posunął się tak daleko. A więc śpijmy spokojnie. Dziękuję ci za wszystko.

Odsunęła się na bok, zaszeleściły suche liście kukurydzy. Mogłem położyć się obok niej. Ale poszedłem po omacku na moją sofę. Po chwili Elisa powiedziała, usłyszałem przy tym, jak znowu zwija się w kłębek:

— Jutro rano mamy pierwszy podwójny wykład: historia komunistycznej partii bolszewików. — Powiedziała to dokładnie tak, nie używając przyjętych skrótów. — Dlatego skreślili nam historię Anglii. Anglia? Czysty feudalizm. Reakcyjna banda rozbójników do dzisiaj, z królową na tronie.

Zajęczała pode mną sprężyna. Hrabina obudziła się.

— Co się dzieje, drogi Chlorodencie?

— To sofa...

— Tak, jęczy i wzdycha, za żadne skarby nie chce przyzwyczaić się do nowych czasów. Ale dlaczego śpisz na tej marnej sofie, a nie w twoim łóżku?

— Tam śpi Klára — odpowiedziałem szeptem, sam zdziwiony, że nazwałem ją Klará.

— No właśnie — powiedziała gospodyni. — Powinieneś spać przy niej, żeby ją ogrzewać, żeby ją chronić, to biedne, przestraszone dziecko. — I poprosiła mnie cicho: — Chodź tu, mój synu, obróć mnie. Obróć mnie na lewą stronę. Moje serce jest ciężkie. Może znajdzie spokój.

Rano wszystko odbyło się bardzo sprawnie. Zanim jeszcze roznieciłem ogień, słyszałem, jak za japońskim parawanem Elisa rozbija lód w miednicy i zaczyna się pluskać. Rozpaliłem w piecu kaflowym. Potem umyłem się w zimnej wodzie, pod prysznicem, który urządziłem w pralni. Razem z Elisą zaprowadziliśmy hrabinę na ubikację w pokoju. — Dobrze, a teraz idźcie. Ja już sobie poradzę. Resztę załatwi Klára Pálffy. — Przed wyjściem napełniłem jeszcze piec drewnianymi polanami.

— Powinno wystarczyć na kilka godzin.

— Dziękuję, Chlorodencie. Dziękuję, Kláro. Jaka piękna para! — Posyłała za nami całusy palcami w poobcinanych rękawiczkach.

Poszliśmy w dół, na uniwersytet. Nie przez cmentarz, który przeorywał zbocze wzgórza, ale jak porządni ludzie, chodnikiem.

— Mam dla ciebie dobrą wiadomość, Eliso. Ten typ wczoraj pod uniwersytetem to był ktoś inny, nie ten z góry. Wszyscy noszą takie same buty i chowają się za taką samą gazetą. Sprytne, nie? W ten sposób sprawiają wrażenie, że jeden i ten sam człowiek jest wszechobecny. Ale ja wyliczyłem, że nawet gdyby

załatwił swój interes z ponaddźwiękową prędkością i z szybkością światła popędził do wyjścia, i tak by nie zdążył.

— To dobra wiadomość — powiedziała Elisa z powątpiewaniem w głosie. Zegar nad portalem pokazywał wpół do ósmej. — Jest za wcześnie. Uważaj, żebyś się nie przeliczył, bo kiedyś będzie za późno. — Pożegnaliśmy się. Każde poszło w swoją stronę.

Na korytarz znowu wróciła cisza. Mamy za sobą *la program*. Wycofuję się do mojej porannej jaskini. Z przerażeniem stwierdzam, że trzymam się zaleceń majora: „Po pierwsze, niech pan sobie przypomni o tym, o czym za wszelką cenę chce pan zapomnieć”.

Życie studenckie pod sztandarem partii. Jak niewinne, a zarazem jak podejrzone było to wszystko? Gdyż po wydarzeniach w Budapeszcie słowo „student” nabrało negatywnego wydźwięku, drażniło partię i rząd.

Niewinne było nasze spotkanie na początku semestru, na górze Feleac, przy bukowym zagajniku pod barwnym lasem. Utworzył się krąg prawie trzystu młodych ludzi, złożony z wielu pierścieni, w ich centrum co chwilę stawał jakiś nowicjusz i z rozpalonymi policzkami drżącym głosem wymieniał swoje nazwisko, kierunek studiów i rodzinną miejscowość. Większość pochodziła z Siedmiogrodu, z różnych wiosek pomiędzy Broos i Draas, punktami granicznymi królewskich ziem saskich. Pochodzili z Schässburga i Agnetheln, Sächsisch-Reen i Deutsch-Kreutz, z wiosek o tak zabawnych nazwach jak Wurmloch i Zeppling albo też Katzendorf i Leblang*.

Niewinnie i radośnie przebiegały zabawy, które zaczęły się po prezentacji studentów pierwszego roku. Graliśmy w dwa ognie, króla i wojaków albo przy dźwiękach akordeonu wywi-

* Norka Robaka, Kocia Wieś, Żyj Długo.

jaliśmy walczyka na trawie wśród krecich kopców. A na zakończenie uroczystości, odśpiewaliśmy *Siedmiogrodzie, kraju błogosławiony*. Nawet partia i Securitate mogliby z nami zatańczyć, mogli z całego serca przyłączyć się do zwrotki „A wszystkich twych synów łączy jedności więź”. albo ganiać się z nami na wyścigi i wyłamywać sobie stawy przy zabawie w cesarza. Ale trochę nieswojo zrobiło się nam, organizatorom, kiedy zaczęły rozbrzmiewać piosenki o niemieckim lesie albo gdy w drodze powrotnej, już na ulicach miasta, młodzież szła równym krokiem marszowym. A atmosfera stała się nerwowa, gdy zapał do śpiewu przeniósł się do miasta i oprócz piosenek *U studni wedle bramy* czy *Marianno, moja Marianno, masz serce me na sznurku, moja panno* pojawiły się pieśni żołnierskie z wielu przegranych wojen. Wcale nie był tak bardzo odległy ów czas, kiedy w naszych miastach w dniu urodzin króla rumuński generał odbierał parady kompanii Wehrmachtu, maszerujących krokiem defiladowym z taką precyzją, że frenetycznie okłaskująca publiczność myślała, iż muszą to być oddziały tresowanych fantomów, rumuńskie damy z towarzystwa, osłaniane przez służące parasolkami od słońca, omdlewały z zachwytu, zaś my, uczniaki, krzyczeliśmy aż do ochrypnięcia: *Sieg Heil! Sieg Heil!*

A teraz, odpowiedzialni za tę uroczystość, szliśmy na czele akademickiej kolumny i czuli, jak z ukrycia śledzą nas niechętnie oczy i uszy. Lecz nie umieliśmy wyzwolić się z magii śpiewu.

Kółko literackie, dziecko niekochane przez władze... Musieliśmy obchodzić się z nimi jak z jajkiem. Co środę na każdy wieczorek literacki musieliśmy za pomocą różnych zabiegów załatwiać pozwolenie komitetu partii i władz rektorskich. Zdarzało się, że jeszcze atrament ostatniego podpisu nie zdążył wyschnąć, gdy tłumy zainteresowanych literaturą blokowały wejście do budynku uniwersytetu.

Ale czy rzeczywiście kółko było tak zdecydowanie postępowe, jak przedstawiałem to majorowi? Patrząc na nie oczami Securitate, życzyłbym sobie, żeby oczy Securitate tego czy owego nie dostrzegły.

W tamtą środę wieczorem, kiedy po spotkaniu Elisa Kroner wyszła ze mną, wszystko przeszło gładko. Jej refleksje na temat *Doktora Faustusa* były tak wyrafinowane i zawile, że padło tylko parę nieśmiałych komentarzy na marginesie, bez kłopotliwych pytań. Paula Mathäi i Elisa na zmianę pisały protokół. Następnego dnia musieliśmy oddać w rektoracie szczegółowy raport o wszystkim, co zostało powiedziane, odczytane i omówione. Elisa spokojnie przyjmowała wszystkie uwagi.

Michel Seifert alias Basarabeau zauważył z naganą:

— Przecież to nie ma nic wspólnego z naszym saskim losem, ta historia z Adrianem i Faustem, to nas, Sasów, nie obchodzi.

— Nie tak całkiem — zaprotestowała Elisa i uśmiechnęła się rozbijającą. — Mówiąc w uproszczeniu: w powieści chodzi o zastępczy życiorys, zainspirowany wprawdzie biografią Nietzschego...

Wtrącił się przyszyły lekarz weterynarii:

— Nietzsche? Przecież to on powiedział: Idziesz do kobiet? Weź ze sobą bicz!

Elisa sprostowała z powagą:

— Nie zapomnij bicza. Ale to może także znaczyć, że i one mogą cię obić.

Studenci weterynarii słuchali tylko jednym uchem. Oni tworzyli własne kółko literackie, półgłosem debatowali właśnie nad chorobami płciowymi muchy plujki. Ja także nie byłem szczególnie skoncentrowany, wysilałem swój mózg: jak to było? Thomas Mann powiedział coś trafnego o komunizmie.

Z uprzejmości wobec Elisy przeczytałem *Faustusa* do połowy. Drugą połowę zostawiłem sobie na jesień życia.

Elisa nie dawała zbić się z tropu:

— ...ale w taki sposób, że czasy i los tego kompozytora zdecydowanie nas obchodzą, drogi Michelu. Mówiąc w uproszczeniu: Thomas Mann rozprawia się z całokształtem procesów społecznych tamtych czasów, jest to obrachunek z nowoczesnym burżuazyjnym społeczeństwem i historią Niemców od Lutra do Hitlera.

Skinąłem głową w kierunku portretu Gheorghiu-Deja na frontowej ścianie sali: na pewno chętnie tego słuchał!

Tu i ówdzie w amfiteatralnej sali odezwały się różne głosy. Jakiś student medycyny skrytykował autora, który podobno zapomniał, że już wtedy syfilis był uleczalny.

— Thomas Mann o tym nie zapomniał — odparł jakiś psycholog. — Ale główny bohater, Adrian Leverkühn, chce umrzeć. To samobójstwo na raty. Człowiek jest jedyną istotą, która świadomie może się wykończyć, czyli dobrowolnie zadać sobie śmierć.

— Nieprawda — zaprotestował student biologii. — Wśród zwierząt obserwowano podobne zjawiska. Lemingi rzucają się stadami do morza, zbiorowe samobójstwo. Także suseł potrafi całkiem spokojnie pozbawić się życia, wiesz się na rozwidlanej gałęzi.

Pewna dziewczyna zapytała, skąd bierze się takie nadludzkie siły, by dobrowolnie zakończyć życie.

Studentka ostatniego roku, którą długoletni narzeczony zostawił z dnia na dzień, a zaraz potem ożenił się z młodą węgierską lekarką, wykrzyknęła:

— Są takie sytuacje graniczne, kiedy trzeba nadludzkich sił, żeby pozostać przy życiu. — I wybuchnęła szlochem. Gunther Reissfels, odpowiedzialny za sprawy porządkowe, podszedł ze

szklanką wody, otrzeźwił nieszczęsną dziewczynę i w towarzystwie jej przyjaciółki łagodnie wyprowadził z sali.

Student teologii, Theobald Wortmann, mój kolega z ławki ze szkoły Honterusa, powiedział głucho:

— Freudowski popęd śmierci!

Trochę za daleko to zaszło, przestraszyłem się. Muszę interweniować. Coś takiego nie spodoba się portretowi na ścianie. Powiedziałem:

— Śmierć jest naturalnym procesem życiowym. W śmierci wszyscy jesteście równi. Od *amoeba viridis* aż do króla Thule, dotyka wszystkich i każdego z osobna.

— Wszystkich i każdego z osobna. Czyli nie tylko pantofelka i koronowane głowy, ale także tyranów — dodał Theobald. — Lecz to, jak umieramy, bracia i siostry, nie wygląda zawsze tak samo. Każdego wieczoru modlimy się: O Panie, daj nam łaskawą śmierć. Nie znaczy to, że chcemy zostać zabrani stąd bez bólu, oznacza to raczej, żebyśmy uwolnieni od ziemskich win i z perspektywą zaświatowych nadziei mogli przejść do życia wiecznego.

Nawet nie musiałem dawać Guntherowi znaku oczami, podszedł od razu do kleryka, wziął go pod ramię, powiedział:

— Chodź, towarzyszu, przewietrzysz się trochę — i wyprowadził z sali. Tamten zdążył jeszcze zawołać do zebranych:

— A co z wolnością wypowiedzi, zagwarantowaną w konstytucji? Bóg nie pozwala z siebie kpić i każdego letniego, niezdecydowanego wypluje ze swych boskich ust.

Na co pewien przyszedł prawnik wytłumaczył wszystkim, jak to jest z wolnością wypowiedzi w demokracji ludowej:

— Wolność słowa i wypowiedzi, tak. Ale ograniczona do pewnych obszarów. Propaganda mistyczna jest dopuszczana w soboty i niedziele w kościele, ale już w poniedziałek nie, a już na pewno nie tutaj, na państwowym uniwersytecie.

— Każdemu, co do niego należy — stwierdził historyk — dewiza Hohenzollernów.

Puściłem to mimo uszu, mając nadzieję, że portret na ścianie i szpicle na sali zrobią to samo.

Wreszcie przypomniałem sobie słowa Thomasa Manna, bardzo były potrzebne po tych wszystkich wycieczkach w bok od prostej linii partii.

— Antykomunizm jest głównym szaleństwem naszych czasów, powiedział wielki Thomas Mann — oświadczyłem i nikt nie był odmiennego zdania.

Achim Bierstock powściągliwie wypowiedział się na temat śmierci i wolności, jak zwykle w trybie przypuszczającym:

— Należałoby wziąć pod uwagę, że materializm dialektyczny w żadnym wypadku nie neguje roli osobowości, a więc można by mówić o indywidualnej śmierci, w tym momencie kiedy ktoś zadaje ją samemu sobie. Jeżeli wolność jest rozumieniem konieczności, jak mówił Lenin, to nasuwałoby się, żeby samowolną śmierć z własnej ręki, o ile okazałaby się ona konieczna i zrozumiała, traktować jako akt wolności.

Michel Seifert chciał natychmiast odczytać wiersz o śmierci i diable, ale ubiegła go Paula Mathäi i zacytowała Rilkego. Słowo „Panie“ zastąpiła, wykazując się politycznym wyczuciem:

Każdemu daj śmierć jego własną, Losie.

Daj umieranie, co wynika z życia,

gdzie miał swą miłość, cel i biedowanie*.

— Aha, miłość! Nigdy nie jest na nią za wcześnie i nigdy nie można mieć dość — rozległo się z tylnych rzędów. — Ona osładza nie tylko życie, ale nawet śmierć, jak właśnie usłyszeliśmy. A więc chodźmy radośnie umierać!

* Przełożył Mieczysław Jastrun.

— W prawosławnym klasztorze żeńskim — rozmarzył się Notger.

Włączył się Gunther Reissenfels, medyk:

— Każdy umiera inaczej i strasznie. Ale potem to wszystko jedno, czy się rozpuścisz w formalinie i studenci pokroją cię na kawałki, czy cię zjedzą robaki, czy ulotnisz się przez komin krematorium.

Veronika Flecker, Żydówka, która chodziła z nami do liceum Honterusa w Kronstadt, a teraz studiowała rosyjski, wstała i powiedziała:

— Czy rzeczywiście jest bez znaczenia, co się z tobą stanie potem? Czy twoje ostatnie miejsce spoczynku rozplynie się w powietrzu, rozmyje w morzu? Czy zostaniesz z miłością złożony do grobu, na który ktoś będzie mógł położyć kwiaty? Dla nas, Żydów, to coś najgorszego, kiedy w modlitwie za zmarłych mówi się: i nikt nie zna miejsca ich spoczynku. — Potem spokojnie usiadła.

— Na tym kończymy temat — ogłosił Notger zza czerwonego stołu prezydialnego.

Zapowiedziałem przerwę.

Paula Mathäi miała odczytać opowiadanie Thomasa Manna *Szafa*. Po tym ciężkostrawnym daniu, jakie zaserwowała słuchaczom Elisa, coś lżejszego. Ale przy scenie, kiedy gość hotelowy van der Qualen znajduje w szafie nagą dziewczynę, zaczęła się zacinać, robiła pauzy, wreszcie przerwała czytanie. Im ciekawsza stawała się historia, tym mniej mogliśmy słyszeć. Paula przestała panować nad sobą, zamknęła książkę i powiedziała rozkojarzona:

— Nago ukrywać się w hotelowej szafie! Że też dziewczyna może tak nisko upaść, opuszczona, zrozpaczona!

Sala zareagowała wyrazami szczerego współczucia, pomieszanymi pół na pół z tłumioną wesołością.

Frieda Bengel, dziewczyna o rozjarzonych błękitnych oczach, której rodzice wyperswadowali rumuńskiego narzeczonego, wstała i powiedziała wzburzona:

— Nie śmiecie się! — Choć nikt się nie śmiał. — Nie śmiecie się! Porzucona dziewczyna to stary motyw w literaturze ludowej, także u Sasów: „Wyruszam ja dziś w drogę, czule żegnam mą niebogę — mówi chłopiec, a potem dalej: — A kiedy wrócić zamierzam? Jak czarny kruk białym porośnie pierzem”. Ale powiem wam jedno, chłopcy: karta się odwróci. Do końca tego stulecia jeszcze zobaczycie: to my, dziewczyny, będziemy was porzucać, a wy będziecie przelewać gorzkie łzy. Wtedy będzie się śpiewało: „Najdroższa moja, ukochana, a kiedyż to wrócisz? — a najdroższa odpowie: — Jak z nieba będą krowy leciały, a konie świętowały Wielkanoc!”.

— Kto przeczyta opowiadanie do końca? — Rozejrzałem się dokoła: nikt. — Kto pomoże Pauli?

Ljuben wstał ze swego miejsca w drugim rzędzie, z ponurą miną wszedł na podium, słycać było, jak cmokał nerwowo w zepsutych zębach. A potem wszyscy zobaczyli, jak odsunął Pauli pasmo włosów z czoła, na chwilę przybliżył twarz do jej przedziałka, a potem powiedział:

— Pokaż mi, droga Paulo, gdzie skończyłaś.

Ljuben Taew czytał, czytał Thomasa Manna po niemiecku, ale bułgarskim tembrem głosu i z węgierskim akcentem. I wszyscy wreszcie uwierzyli, że jest Bułgarem, a nie szpiclem. Z szacunkiem przyjęli do wiadomości, że wiele miłosnych cierpień może powstać również wskutek układów linearnych, nie tylko przez trójkąty, gdyż sprawa wyglądała tak: Ljuben kocha Paulę, Paula kocha jakiegoś nieznajomego, którego wszyscy byliśmy ciekawi, nieznajomy kocha inną, a tamta jeszcze innego, i tak dalej w nieskończoność.

Podziękowałem Ljubenowi i serdecznie uścisnąłem mu dłoń, ucieszony, że to nie Elisa była źródłem jego cierpień i zgryzot.

Dietrich Fall, student konserwatorium, wykrzyknął na całą salę:

— Nie zapomnijcie, jutro wieczorem zbiera się chór w zakrystii kościoła ewangelickiego. Ćwiczymy śpiewy wielkopostne. Na początek *Stabat mater*.

10

Tydzień szybko mija. Ale dzień przytłacza człowieka. A godzina cię zabija. Jest wczesnie rano. Kulę się pod stolikiem, zatracam się we wspomnieniach, które chcę zapamiętać.

Lato 1955 roku. Hydrolodzy nad rzeką. Było nas dwadzieścia sześć osób, w tym sześć dziewczyn. Odbywaliśmy praktykę nad Małym Samoszem, we wsi Gyelu, znanej z feudalnego kasztelu Kinizsi. Mieszkaliśmy w maleńkiej rumuńskiej szkole. Jedna sala szkolna została przeznaczona na sypialnię dla chłopców. Poustawialiśmy ławki w kącie, spiętrzone jedna na drugiej. Z kołchozu przywieziono dwa wozy świeżego siana, jednym z zaprzęgów powoził sam przewodniczący, Węgier o podkreconych do góry wąsach. Czuł się zaszczycony obecnością wykształconych ludzi. Nieporadnie posługując się rumuńskim, zaofiarował nam swoje usługi: „Mówcie do mnie wujek András, *András-bácsi*”. Dał nam pościel: końskie derki. A do tego adamszkowe prześcieradła z koroną o dziewięciu pałkach. Siano rozrzučiliśmy pod ścianami. Jako poduszki służyły nam plecaki wypchane słomą. Zająłem kąt między zamkniętymi drzwiami do bocznego pomieszczenia i żeliwnym piecem,

dzięki czemu nie miałem sąsiadów. Aby stłumić przenikliwy zapach ropy, którą nasycona była podłoga, odkręciłem ze ściany tablicę i na niej urządziłem sobie legowisko. Annemarie Schönmund podarowała mi poduszkę pachnącą lawendą i bazylią. Jej pokrycie wyhaftowała własnoręcznie. Dwie sarenki brykały nad początkiem mojej sentencji z konfirmacji: *Bądź wierny aż do śmierci*. „Niech te słowa przypominają ci o mnie: przynajmniej w nocy!”

W drugiej sali urządziliśmy sobie pracownię. Wciśnięci w szkolne ławki na wąskich pulpitych robiliśmy szkice i rysunki, zestawialiśmy tabele pomiarów. Następnie przedstawialiśmy je w formie graficznej, nanosiliśmy na kalkę i sporządzali kopie, z wykorzystaniem oparów amoniaku i światła słonecznego. Mocno cuchnęło przy tym uryną.

W ozdobnej poduszce od Annemarie chowałem swój dziennik. Do czytania wziąłem ze sobą *Historię siedmiogrodzkich Sasów dla narodu saskiego*, tom pierwszy, do roku 1699, napisaną przez biskupa Georga Daniela Teutscha. Tutaj, z dala od ziem rodzinnych, chciałem zająć się historią mojego narodu. Pastor Wortmann już dawno polecał mi tę lekturę: „Powinniście czerpać z tego odwagę, wy, młodzi ludzie. Nie było stulecia, żeby niebezpieczeństwo nie zagrażało naszemu zdrowiu i życiu. To wznieca nadzieję, uskrzydla fantazję. Tej wiedzy nam potrzeba, żeby w groźnej teraźniejszości zarysowała się przed nami wyraźna przyszłość. A pan, młody przyjacielu — zwracał się do mnie — niech się pan uwolni od nastrojów schyłkowych. Thomas Mann i Tonio Kröger to nie są odpowiedni nauczyciele duchowi, a tym bardziej nie są to wzorce na dzisiejsze czasy!”. Z ciężkim sercem odrzuciłem więc Thomasa i Tonio i zdecydowałem się poświęcić saskiej historii. Wziąłem także bliższą naszych czasów książkę *Umarli pozostają młodzi* Anny Seghers.

Studentki miały lepsze zakwaterowanie: dla nich kołchoz dostarczył sienniki. Dziewczyny dzieliły niewielki pokój nauczycielski. Na stole rozłożył się doktor Julian Hilarie, wykładowca w Katedrze Hydrologii i sekretarz partii na wydziale. Wszyscy na ogół omijali go szerokim łukiem, nie zbliżali się zbyt do niego. Wykładał oceanografię i geodezję.

— Zaraz go stąd wykurzymy — odgrażała się jasnowłosa Ruxanda Stoica. Właśnie przez niego musiała znieść wiele przykrości, kiedy z czcią podniosła filcowy kapelusz naszego profesora marksizmu Raula Volcinskiego, który podczas brutalnego aresztowania spadł mu z głowy. Za sprawą doktora Hilarie na jeden semestr wykreślono ją ze studiów za „solidaryzowanie się z wrogiem państwa”. Niedawno Hilarie przeszedł operację żołądka. Ale pozostał mu skwaszony wyraz twarzy, typowy dla chorych na żołądek. W samym środku ćwiczeń praktycznych, a nawet czasem w trakcie wykładu, rozpinął koszulę i zasępiony oglądał swoją kolczastą bliznę, którą wszyscy znaliśmy. Dziewczyny starały się dowiedzieć, czy ma żonę, jest kawalerem czy też kimś innym. Już drugiej nocy przyszedł zmieszany do naszej sali, w piżamie i z siennikiem na plecach. Młode damy ciągle musiały omawiać jakieś intymne sprawy, przy świeczkach i akompaniamencie chichotów lub płaczu. A gdy on wyszedł z pokoju, zamknęły się przed nim. Ale także wśród mężczyzn zdarzają się uciążliwe intymności, choć nieco bardziej wątpliwej natury. Pozostało mu więc tylko wycofać się do pracowni, gdzie spędzał noce na stole nauczycielskim i podczas bezsennych godzin przypatrywał się swemu pępkowi lub sprawdzał nasze pomiary terenów nadrzecznych.

Zgodnie z regulaminem przed rozpoczęciem ćwiczeń praktycznych odbyliśmy zebranie. Doktor Hilarie, tym razem w roli sekretarza partii, wygłosił przemówienie zza czerwono przykrytego stołu, na którym tylko okopcona lampa naftowa przypominała o tym, że tu się także nocuje.

— Skoro klasa robotnicza ponosząc ofiary pozwala sobie na ten luksus, by umożliwić wam studia, mylicie się głęboko, jeśli wam się wydaje, że przyjechaliście tu na lotnisko, będące wszak wynalazkiem pasożytniczej burżuazji, która przez codzienne nieróbstwo i lenistwo śmiertelnie się nudziła. I ponieważ partia i rząd umożliwiała wam praktykę w jak najlepszych warunkach — cztery tygodnie bezpłatnie was karmi...

— Tylko śniadaniem i obiadem — wtrąciła Maria Bora.

— ...jest więc słuszne i uzasadnione, że na najwyższych szczeblach oczekuje się, że nie będziecie bezczynnie i bezproduktywnie włączyć się po polach i nad rzeką, w autystycznej manierze błaznów hołdujących *l'art pour l'art* — zająknął się — owych niegdysiejszych narcystycznych hezychastów, tylko weźmiecie się ostro do pracy dla dobra naszego ludu i pomysłności naszej ojczyzny. Przypada wam zadanie przeprowadzenia pomiarów przy nieużywanej od 1944 roku drodze do mostu, który został przez niemieckich hitlerowców zdradziecko wysadzony w powietrze podczas ucieczki przed zwycięską Armią Czerwoną i tego lata jest odbudowywany przez naszą klasę robotniczą — Ruxanda i ja czekaliśmy w napięciu, jak też uda mu się doprowadzić do końca to monstrualne zdanie, kiedy trzeba będzie zacząć klaskać — a więc sporządzenia pomiarów i obliczeń, żeby można było znaleźć najtańszy i najlepszy technicznie sposób poprowadzenia drogi, w miarę możliwości przy zachowaniu obecnego podłoża i dopasowaniu ukształtowania terenu, czyli przy zminimalizowaniu robót ziemnych, a więc ekonomicznie, przy czym także i my walczyliśmy o zrealizowanie planu pięcioletniego rok wcześniej, a nie tylko miesiąc przed terminem, jak to w swej prawdziwie proletariackiej skromności zalecił nasz mądry i wielki przywódca Gheorghe Gheorghiu-Dej.

— Brawo! — szepnęła do mnie Ruxanda. — Ideologia, technika i kult jednostki w jednym zdaniu...

W grupie rzucało się w oczy kilku starszych studentów, którzy dziwnie zwietrzali i obcy błakali się między nami. Byli robotnicy. Partia odkomenderowała ich — z kotłowni, kopalni wapnia, od rozwożenia gnoju — do szkół wyższych. Wcześniej przez dwa lata w ramach „fakultetu robotniczego”, nazywanego potocznie „szkołą baletową”, nadrabiali liceum. Czcigodni patriarchowie siedzieli w salach wykładowych ze zmarszczonymi czołami, rozglądali się za wykształconymi narzeczonymi i pili piwo. Uprzejmie szmuglowano ich przez egzaminy, by na koniec wcisnąć im do ręki dyplom, żeby wyczerpani po trudach nauki mogli wreszcie zająć miejsca w dyrektorskich fotelach. I żeby partia mogła powiedzieć z westchnieniem ulgi: „Nareszcie mamy własną inteligencję”.

Ruxanda prosiła o wyjaśnienie słowa „hezychasta”, którego użył pan profesor. Hilarie poczerwieniał, powiedział, że jeszcze nie skończył przemówienia, może później. Ale dodał mimo to:

— Reakcyjna sekta religijna, której członkowie uprawiali oglądanie pępków, nazywano ich także oglądaczami pępków. Poza tym powinnaś zwracać się do mnie „towarzyszu”. Tak mówi ustawa.

— Towarzyszu? Pan moim towarzyszem? Nigdy! — odparła Ruxanda wzburzona. Wydostała się z ciasnej ławki — To dobrze robi ściśniętemu brzuchowi — usiadła na pulpicie pierwszego rzędu, tuż przed nosem jednego z patriarchów, Aurela Buty, i zawołała: — Wstańcie, dziewczyny! — Podniosła bluzkę i z powagą zaczęła oglądać swój pępek, tę ozdobę jednoczącą obie płcie. Dziewczyny naśladowały ją chichocząc. Jasne brzuchy oślepiły sekretarza partii.

— Proszę was! — protestował. — Wiecie przecież, że nagość jest dla partii odrażająca!

— My tylko pana naśladujemy, towarzyszu profesorze, pan ciągle przegląda się w swoim brzuchu jak hezychasta! —

zawołała Maria Bora, córka nieżyjącego zasłużonego komunisty. A w stronę sali krzyknęła: — Dziś wieczorem nad rzeką wybieramy Miss Pępka, będzie taniec brzucha *à la* rumba! A wy, drodzy lubieżni staruszkowie o sprytnych oczkach, wy zasiądziecie w jury!

Doktor Hilarie dokończył w pośpiechu:

— Ale jako że nowy most będzie klejnotem naszego ludowo-demokratycznego państwa i trzeba będzie na niego uważać jak na nietkniętą dziewicę, partia i rząd chcą wiedzieć, z jakim wzrostem poziomu wód i zagrożeniem powodziowym należy się liczyć przez następne pięćset lat. Właściwie jest to prognoza prawie niewykonalna, gdyż reżim burżujów i posiadaczy ziemskich nie pozostawił nam niemal żadnych danych.

— To najprostsza sprawa — rzucił Ion Posea, jeden z patriarchów — napiszemy byle co, liczby wysrane z palca. Cokolwiek podamy, i tak będzie dobrze. Za pięćset lat — a kto to sprawdzi! Ale oglądanie pępków dziś wieczorem, o tak! — I oblizał swoje grube wargi.

— Bzdura — przerwała mu Maria Bora. — Nikt nie chce wiedzieć, jaki będzie poziom wody za pięćset lat, staruszku. Chodzi raczej o to, kiedy w ciągu następnych pięciuset lat należy się liczyć z wylewami rzeki. Czyli już od jutra, a więc będzie to do sprawdzenia, bo jeszcze za naszego życia, a może nawet i życia partii.

— Kiedyś wznoszono słupy dla upamiętnienia klęski powodzi czy głodu — powiedziałem do Ruxandy. — Takie katastrofy głęboko zapadają w pamięć ludu.

Ion Posea rozwścieczony podszedł do Marii Bory, która siedziała obok Ruxandy na pulpicie pierwszej ławki. Jego wyduńczone wargi drżały. Nie zwracając uwagi na czerwony stół przydzielony, złapał dziewczynę za ramiona i zaczął ją potrząsać.

— Nie myśl, że jako córka nieżyjącego działacza komunistycznego możesz sobie na wszystko pozwalać! Wyśmiewasz

się ze mnie, nazywasz mnie staruszkiem, mnie, odznaczonego stachanowca! Poza tym słyszałem, co powiedziałaś: kiedy my będziemy żyć, a może też partia. Partia będzie żyła i za pięćset lat, jak już zdechną robaki, które ciebie zeżarły, ty diablico! Następnym razem skręcę ci kark! — I już teraz położył ręce na jej szyi. Dziewczyna mierzyła go spojrzeniem wąskich oczu, nie drgnęła jej nawet rzęsa. Nagle Posea wpił się gąbczastymi wargami w jej usta.

Doktor Hilarie zawołał zbolalym głosem:

— Dajcie spokój tym publicznym umizgom, partia niechętnie na to patrzy. I bądźcie uprzejmi dla Marii! Jest córką komunistycznego męczennika.

A co zrobiła córka komunistycznego męczennika napadnięta przez rozgdakanego koguta? Nie odepchnęła go, nie splunęła mu pod nogi, tylko wyciągnęła z rękawa batystową chusteczkę, zwilżyła ją śliną i dokładnie wytarła sobie usta. Potem z woreczka wyjęła puderniczkę i szminekę i zaczęła doprowadzać się do porządku.

— Od rana do wieczora będziemy zajęci wspaniałym programem partii — zakończył partyjny sekretarz.

Ruxanda przerwała oglądanie pępka.

— Podaj mi moją teczkę — poprosiła Aurela Butę. Przytrzymując spódnicę kolanami, odczytała fragment zarządzenia ministerstwa: — Na praktykach studenckich obowiązuje sześć godzin pracy. Na godziny nadliczbowe potrzeba specjalnego zezwolenia ministra. Czy pan słyszał, *domnule doctor*?

Domnule doctor stał przy oknie, rozpiął koszulę i zaczął oglądać swoją bliznę nad pępkiem, która wyglądała jak olbrzymia rdzawa gąsienica. Ruxanda powiedziała:

— Po sześciu godzinach rzucam wszystko. Jak Charlie Chaplin. Wie pan, *domnule doctor*, co on robił, jak syrena oznajmiała koniec zmiany, kiedy pracował na budowie wieżowca? Na dźwięk syreny od razu otwierał dłonie i wypuszczał młotek

i dłuto, które spadały sto pięter w dół na Broadway. Mój Boże, ta Ameryka, tyle tam wolności! Jak masz ochotę, stajesz sobie na drapaczu chmur i odlatujesz jak ptak. — Zamknęła w zachwycie oczy.

— A teraz wróćmy do pięciuset lat partii i rządu... Wypytamy wszystkich starych ludzi znad rzeki, jakie mają doświadczenia z powodziami i suszami. Na pewno uda się zebrać dość danych, żeby za pomocą statystyki i rachunku prawdopodobieństwa stworzyć orientacyjny obraz tego, co czeka nasz wspañiały most.

— Niezła myśl — odezwał się Aurel Buta. — Podzielimy bieg rzeki na odcinki i będziemy chodzić od wsi do wsi. Dwójkami. *Camion* musi nas porozwozić, a potem następnego dnia zebrać.

— Możemy tak zrobić — powiedział doktor Hilarie. — Trzeba by najpierw opracować ankietę. A przy tej okazji możecie ludziom przemówić do rozsądku, żeby wstępowali do kołchozu. To na pewno ucieszyłoby partię. — Wyraźnie podobała mu się ta propozycja, gdyż skwaszony wyraz jego twarzy ustąpił miejsca uśmiechowi.

— A dziewczyny będziemy losować — uzupełnił Buta, którego studentki unikały, nikt nie wiedział dlaczego. Był przedtem górnikiem. Z powodu pyłu węglowego, który wżarł mu się w skórę, nazywano go *maurul*, Maur. — Żeby choć co drugi, co trzeci z nas mógł przechadzać się po błoniach z partnerką.

— Mylisz się — powiedziały Maria i Ruxanda jednocześnie — to my sobie będziemy wybierać obrońców.

Menu wymyślone dla nas przez partię i rząd składało się z rogała i kubka jogurtu na śniadanie. Obiad dostawaliśmy w stołówce robotniczej przy moście, tanio, co odpowiadało także smakowi i ilości potraw: najczęściej *ciorbă*, gęsta zupa jarzynowa. Na drugie danie konina, raz z kapustą, raz z zeszłorocznymi kartoflami, kaszą albo białą fasolą. Czasami

bywały też kluski z marmoladą. Zamiast chleba dostawaliśmy kawałek ziarnistego, szarżółtego *palukes*. Wieczorem każdy żywił się własnymi zapasami: boczek z cebulą, chleb ze smalcem i czosnkiem, ser z pomidorami, czasem piwo, często *palukes* — gdzie indziej nazywane polentą — patriarchowie świetnie je przyrządzali, do tego mleko krowie albo ostry ser. Smaczne to było.

Z powodu obiadów już trzeciego dnia doszło do awantury. Posea zerwał się po pierwszej łyżce zupy, cisnął blaszaną miskę z brązową cieczą, tym razem była to zupa pomidorowa, o ścianę baraku i ryknął:

— Możliwe, że to żarcie służy prostym robotnikom, ale dla nas to obraza, znieważanie pracowników umysłowych, inteligencji jutra! — I krzyknął, żeby przyprowadzić szefa stołówki, tego oszusta, który na pewno naszym kosztem napycha sobie kieszeń.

Od razu dwóch kompanów pobiegło i wyciągnęło odpowiedzialnego, byłego oficera, z komórki służącej mu za biuro, i policyjnym chwytem przyprowadziło go do nas. Zanim jeszcze ktoś zdążył zareagować, Posea wylał mu resztę zupy na kark. Mężczyzna, który do spłowiełej bluzy munduru miał przypięty królewski order *Bene merenti* z dewizą *Forti et Devoto Servatori*, zasłaniał się tylko, kładąc ręce na czubku głowy. Robotnicy przyglądali się temu ospale, niektórzy otoczyli swoje blaszane miski ramionami i dla pewności bliżej przysunęli do siebie. Maria i Ruxanda wyzwoliły mężczyznę, któremu zupa spływała z nogawek spodni, aż zaczął lamentować:

— Moje jedyne spodnie! Co na to powie moja żona!

Teraz Maria Bora rzuciła się na Poseę, złapała go za koszulę, aż posypały się guziki, i wykrzyknęła rozwścieczona:

— Wy podłe nicponie, kradniecie tylko panu Bogu czas i marnujecie państwowe pieniądze! Nazywacie się pracownikami umysłowymi? Inteligencją jutra? Wasze głowy są puste

jak beczka po gnoju. Nawet słomy tam nie ma. Udajecie Bóg wie co, bo nauczyliście się wycierać swoje smarki chustką. Ledwie zdążyliście wypełznąć z ziemianek, a już oburzacie się na tutejsze jedzenie, po którym ci ludzie muszą dziesięć godzin ciężko pracować! A my, z porządnymi domów, jesteśmy ze wszystkiego zadowoleni. Zdajesz sobie sprawę, stary pierniku, że obraziłeś tych robotników? Natychmiast masz ich przeprosić, ty dziadzie.

Ale Posea nie przeprosił robotników, zadowolonych, że mogą zjeść swoją zupę do końca; zamiast tego zamachnął się i wymierzył dziewczynie siarczasty policzek. Doktor Hilarie, który ciągle grzebał w swojej zupie, powiedział zaniepokojony:

— Co ja słyszę, co ja widzę? Bić kobietę na oczach wszystkich, to nie po myśli partii.

Maria Bora usiadła z powrotem na swoim miejscu i dokończyła zupę. My, pozostali, poszliśmy jej śladem. Tylko klub patriarchów nie miał co jeść. Ich zupa spływała po ścianie.

Wieczorem w szkole zjawił się obcy mężczyzna w okularach. Z ożywieniem rozmawiał z doktorem Hilarie. Ci dwaj musieli się szybko zbliżyć, gdyż nasz wykładowca podniósł koszulę i pokazał obcemu brzydko zagojoną bliznę. Gość miał kilka słów do grupy: najwyższe szczeble partii pokładają wielkie nadzieje w sprawie drogi dojazdowej do mostu i czekają niecierpliwie na gotowy projekt. Nie przedstawił się. Przypuszczalnie towarzysz z okręgu, inspektor świeżego powietrza, jak Ruxanda nazywała takie egzemplarze.

Schludny pan usiadł obok Marii Bory i zaczął wychwalać, jak precyzyjnie i dokładnie przenosi wyniki pomiarów na arkusze kalki. Zabrał jej kartkę i poprosił, by wyszła z nim na zewnątrz, gdzie w świetle wieczoru będzie można lepiej obejrzeć szkic. Wyszli. I zniknęli, oboje.

Po kolacji Ruxanda wzięła mnie za rękę.

— Chodź, mamy sobie dużo do powiedzenia.

Usiedliśmy, jak w poprzednie wieczory, na kamiennej ławce przy południowym murze kasztelu. Pod liściastym dachem rozłożystego klonu tworzyło się ciepłe zacisze, dokąd nie dochodził chłodny powiew od rzeki. Stare mury przyjemnie grzały w plecy.

— Zobaczysz — powiedziała Ruxanda i wsunęła rękę pod moje obnażone ramię — oni się pobiorą.

— Kto? — zapytałem z roztargnieniem.

— Maria Bora i Posea.

— Nigdy w życiu. Przecież on ją uderzył w twarz. A swoją drogą ciekawe, dlaczego nikt nie zerwał się i jej nie zastronił.

— A dlaczego nie ty?

— Ja? Ja nie mam z tym nic wspólnego. Nie dotyczy mnie. Ja nie należę do was.

— Twoje tłumaczenie jest fałszywe. Ale prawdą jest, że gdybyś się na to odważył, wtedy oboje zwróciliby się przeciwko tobie i cię sprali. Mój drogi: lanie to dla kobiety niezaprzeczalny dowód, że mężczyzna naprawdę ją kocha.

— Nie dla każdej. W naszych kręgach bicie kobiety uważane jest za wielką obrazę, nawet poniżenie.

— No dobra, w takim razie tylko u nas, u Rumunów.

— I Węgrów — przypomniało mi się. — Kiedy węgierski student teologii, z którym byłem na jednym roku, sprzął swoją ukochaną na kwaśne jabłko, a potem debatował nad tym senat uniwersytetu, wtedy obecny przy tym zreformowany biskup Vásárházi uciął wszelkie dyscyplinarne za i przeciw jednym zdaniem: „Nie jest prawdziwym Węgrem ten, kto od czasu do czasu porządnie nie wymłóci swojej wybranki, żeby udowodnić jej swoją miłość”.

— No proszę — powiedziała Ruxanda — tylko wy, Niemcy, znowu musicie udawać coś lepszego. Jesteście dla

nas zagadką. Z jednej strony podziwiamy i szanujemy was, wprawdzie trochę jak istoty pozaziemskie, ale jednak. Ale wróćmy do miłości: nigdy nie zniosłabym, żeby mężczyzna był ze mną tylko ze względu na wierność, wbrew swoim uczuciom i żądzom, żeby został ze mną tylko z przyzwoitości, z powodu moralności.

— Wierność to podstawa honoru.

— Gówno prawda. To rodzaj zakłamania. Miłość jest wszystkim! Jeśli mnie kocha, jest wolny. Może też zadawać się z innymi. I kiedy my, kobiety, akurat nie możemy służyć naszym mężczyznom w łóżku...

— A kiedyż to? Kiedy się boczycie albo chcecie nas ukarać?

— Kobiety prawosławne obowiązują biblijne reguły czystości, kiedy to tygodniami musimy się wzbraniać...

— Na przykład sześć tygodni po porodzie — powiedziałem.

— I tylko gdy pop nas zwolni, możemy znowu się oddawać... — przeżegnała się. — Ale pozwól mi skończyć. Kiedy mężczyzna z tych czy innych względów za długo jest z dala od łoża małżeńskiego, na przykład gdy wyjeżdża służbowo na kilka miesięcy, wtedy to my, kobiety, wysyłamy go do innej, żeby jego męska siła nie ucierpiała, nie zwiędła, nie zanikła.

— I nie jesteście zazdrosne?

— Tylko gdybym widziała, że on mnie już nie kocha. Mam kuzyna, nasz wspólny dziadek jest protopopem pięć doliń stąd, w Ribitzy. Łączy nas wielka miłość od czasów szkolnych. Jesteśmy praktycznie zaręczeni. Ale od bardzo dawna go nie widziałam — zadrżała. — Straciłam go z oczu, ale nie z serca. I wiesz, wszystko mi jedno, czy i z kim idzie do łóżka, tak, wprost przeciwnie nawet...

— To niemożliwe.

— Ależ tak, bo wiem, że on mnie kocha. Co jakiś czas przysyła mi znaki swojej miłości. Ale sytuacja wyglądałaby

inaczej, gdybym się dowiedziała, że mój ukochany oddał się ciałem i duszą innej kobiecie, że chce mnie porzucić albo tylko odgrywa przede mną nieszczerze uczucia. Jeśli tamta wredna dziwka tak by go opętała, to nasypałabym mu do kawy tłuczonego szkła, a jej oblała witriolem twarz! — Ruxanda była bardzo wzburzona. Zerwała się i zaczęła bębnić pięściami w mur. — Biada mu, biada im obojgu!

— Mówiłaś o Posei i Marii — spróbowałem zmienić temat.

— Bo to jest tak — zaczęła — u was, Niemców, jest tak, że poznajecie się naprawdę dopiero w noc poślubną.

— Są wyjątki — odparłem. — Ale Posea i Maria?

— Posea już od dawna się w niej kocha. Nie zauważyłeś, jak ją pożera wzrokiem i oblizuje swoje grube wargi, niczym na widok pieczonej kury? Zresztą ten policzek, który jej wymierzył, był dość delikatny, taki z uczuciem. Powiedz, czy ty nie zauważasz nic z tego, co się dzieje w naszej grupie?

— Niestety za dużo, przecież muszę być razem z tymi ludźmi dzień i noc — odpowiedziałem zły. — Gdyby to ode mnie zależało, chodziłbym cały dzień z zamkniętymi oczami.

— Dlatego podwędzają ci różne rzeczy.

— Kradną, na to się mówi kraść — poprawiłem ją pełen złości.

— Przestań. Każdego, kto cię o coś prosi, zbywasz tak zarozumiale, nawet jeśli chodzi tylko o gumkę do mazania, że tylko ciągle ich zrażasz. Te kradzieże są tylko subtelną formą zemsty. Przez ten twój indywidualizm zawsze musisz po egzaminach semestralnych wysłuchiwać zarzutów partii, że wprawdzie masz dobre wyniki w nauce, ale to nie wystarcza, kolektyw nie może przyznać ci wyróżnienia, bo nie dzielisz swojej wiedzy ze słabszymi.

— To jest moja własność, od gumki aż po wiedzę. Gdzie ty tu widzisz zarozumiałość? — zapytałem z niechęcią.

— W tym lekceważeniu, jakie okazujesz innym na każdym kroku. Nic bardziej nie uraża ludzi, niż kiedy się ich nie zauważa, nie szanuje.

— Ciebie bardzo szanuję — odpowiedziałem poważnie. — Tak, bardzo cię lubię. Mamy za sobą tę samą kindersztubę.

— Tylko dlatego? — zapytała i przysunęła się bliżej do mnie.

Przez chwilę byłem zakłopotany, potem mówiłem dalej:

— Pokazywaliśmy sobie kiedyś zdjęcia naszych rodziców z ich młodości, zaraz po ślubie. Pamiętasz? Panie miały podobne kapelusze i fryzury, panowie byli ubrani w garnitury skrojone według ówczesnej mody. Ale o innych ludziach z naszej grupy nic nie wiem. — Westchnąłem. — My nie jesteśmy wychowani do przebywania w towarzystwie tego rodzaju osób. Już sam fakt, że te chłopaki nie mają żadnych manier... To jest przecież podstawowa sprawa w kontaktach międzyludzkich. Zanim Posea uderzył Marię i ją pocałował, obtarł sobie usta wierzchem dłoni, a potem wytarł rękę w spodnie.

— Brawo! — zawołała Ruxanda. — Jednak zauważasz co nieco. *À propos*, czy zwróciłeś uwagę, jak wypielegnowane paznokcie ma Hilarie? I nieskazitelne maniery. On na pewno nie pochodzi z ziemianki. — Zwróciłem na to uwagę. Na przykład nakładał jedzenie tylko na wypukłą stronę widelca, nawet kaszę, nigdy nie piętrzył kąsków w zagłębieniu sztućca. A podczas przeżuwania zamykał usta. — Poza tym za bardzo trzyma się linii. Żaden komunista nie powoływałby się ciągle na partię, nie przytaczałby sloganów.

Jakiś cień pojawił się obok nas. Maria dosiadła się z westchnieniem ulgi.

— Czy ktoś nas słyszy?

— Tylko zamkowy duch — odpowiedziała Ruxanda. — Dobrze, że jesteś.

— Zapalcie zapałkę. Muszę się doprowadzić do porządku.

Z kosmetyczki wyjęła szminekę i puderniczkę. W migającym świetle zapadki rysy jej twarzy zdawały się rozbiegać na wszystkie strony, oczy spoglądały nerwowo.

— Teraz wiem, co miał na myśli mój ojciec, kiedy wracał do domu z królewskiej Siguranty i mówił: czuję się jak żywcem oskubana kura. — I opowiedziała nam, co się zdarzyło: mężczyzna w okularach schwycił ją pod ramię, „jakbyśmy byli parą narzeczonych”, i popychał naprzód, jak manekina z wystawy, ciągle się uśmiechając: „Mały spacerek”. Gdy przyszedli do budynku milicji, z jego twarzy opadła maska.

— Czego to się musiałam nasłuchać, mój Boże! Że wszystkie studentki z Klużu to dziwki, że prawdziwe ladacznice na jesieni, kiedy zaczyna się semestr, pytają zatroskane: Co teraz mamy zrobić, dziewczyny, przyjeżdżają studentki. Że prawdziwymi studentami z klasy robotniczej nie są ci, którzy pochodzą z robotniczych rodzin, ale tacy, którzy wcześniej sami musieli zakasać rękawy, jak Posea i jemu podobni, robotnicy i pracownicy umysłowi w jednej osobie. To jest inteligencja jutra, na której partia będzie mogła polegać. I zapytał zniecacka: „Co ty masz przeciwko ziemiankom, ty nadęta gąsko?”. „Przeciwko ziemiankom jako takim nic. Tylko przeciwko zachowaniu”. „A co rozumiesz pod pojęciem porządny dom?”. „Dom, w którym stoi biurko”. „Co? Biurko? To są czysto burżuazyjne fanaberie. A obok biurka pewnie jeszcze fortepian”. „Bez fortepianu”. „Czy u was w domu było biurko?”. „Oczywiście”. „A gdzie stało?”. „W kuchni”. „Twój ojciec, bojownik i męczennik klasy robotniczej, kolejarz, on przecież był awangardą rewolucji, miał w kuchni biurko? Jak to? Po co?”. „Z szacunku dla Marksa i Engelsa, Lenina i Stalina. Gdzie miałyby studiować pisma klasyków? Na stole kuchennym mojej matki, między zmywaniem i zasranymi pieluchami?”.

Maria Bora prawie się rozplakała.

— Stał tak blisko mnie, że widziałam, jak pot zaczął przesiąkać przez jego marynarkę. Poza tym ciągle szarpał mnie za ubranie. Potem odsunął się, spojrział na mnie bezradnie przez te swoje okulary i powiedział: „Twój ojciec przewróciłby się w grobie, gdyby zobaczył, jakie ziółko z ciebie wyrosło. Obrażasz pracowników umysłowych klasy robotniczej!”. W tym momencie moja ręka sama się poderwała i uderzyłam go w twarz, aż eleganckie okularki spadły mu z nosa i rozbiły się na podłodze. Kiedy się schyliłam, żeby pozbierać ich resztki, bo tak zostałam wychowana, co zobaczyłam? Odłamki zwykłej szyby. Gapiłam się na niego zaskoczona, a on wyjaśnił zmieszany: „Właściwie ich nie potrzebuję. Ale w okularach na nosie bardziej wygląda się na inteligenta”. Wysyczałam w odpowiedzi: „Gdyby mój biedny ojciec wiedział, za jakich to towarzyszy spędził tyle lat w więzieniu Doftana, a potem umarł na suchoty, toby powstał z grobu i żelazną miotłą zrobił tu porządek!”. Wtedy on powiedział, że także pochodzi z ziemianki, a ja na to, że chcę wyjść. Otworzył mi drzwi, rozwarł je przede mną na oścież i zawołał: „*La revedere!*”. Wtedy ja: „Niech Bóg bronii!”. On się już na to nie odezwał.

Naprzeciwno w chłopskiej chacie, która leżała nieco poniżej nasypu drogi, otworzyły się drzwi do izby. Weszła kobieta z lampą naftową w dłoni, za nią mężczyzna, w rozpiętej lnianej koszuli. Kobieta postawiła lampę na stole i zaczęła rozplatać włosy. Oboje ziewali z całego serca.

Ruxanda i ja wstaliśmy, jakbyśmy się przedtem umówili.

— Jak w kinie — powiedziała Maria. — Zostańmy jeszcze.

— Chodźcie, dzieci — nalegała Ruxanda — jutro też jest dzień.

Ta scena powtarzała się przed naszymi oczami co wieczór, ale Ruxanda i ja chcieliśmy zachować ją dla siebie. Młode małżeństwo rozbierało się powoli. On starannie wieszał koszulę na oparciu krzesła. Potem pochylał się kilka razy, jego ręce

znikały pod parapetem. Wreszcie stał tam całkiem nagi, jak się domyślaliśmy, i czekał. Jego skóra od szyi w dół była biała, piersi pokrywał gęszcz rudawych włosów, kark i twarz miał opalone na brązowo, czoło różowe, w dzień chronione kapeluszem przed promieniami słońca.

Kobieta rozluźniała marszczoną, lnianą bluzkę, ściągała ją przez głowę i odrzucała na bok. Widać było jej pełne białe piersi, lekko drżące. Przez kilka chwil pocierała je z lubością. Potem rozpięła spódnicę i pozwalała jej po prostu opaść na podłogę. Wtedy z tyłu podchodził do niej mężczyzna, przywierał piersiami i brzuchem do jej pleców. Prawą dłonią dotykał delikatnie jej piersi, z czułością unosił je do góry. I tak trwali dłuższą chwilę. Następnie pochyłali się nad lampą naftową, oboje naraz, i zdmuchiwali płomień. Zapadała ciemność.

Nazajutrz wieczorem Maria Bora znowu przysiadła się do nas, ale nie wzięliśmy jej między siebie.

— Czy nie ma jakiejś trzeciej drogi — westchnęła — między kapitalizmem a tym socjalizmem? Ciągłe muszę myśleć o moim biednym ojcu. I wstydę się.

Ruxanda opowiedziała o swoim dziadku z Ribitzy, który twierdził, że monarchia cka była właśnie takim organizmem państwowym, w którym każdy z wielu narodów czuł się u siebie w domu.

— Na każdym banknocie wszystkie dane były wydrukowane w jedenastu językach, po rumuńsku też. Jako żołnierz mogłeś we własnym języku składać przysięgę na wierność cesarzowi, którego postać nabierała niemal nadziemskich cech. A kiedy on zwracał się do swoich poddanych, mówił: do Moich Narodów, przez majestatycznie duże M.

— Nie tak jak wasz król Michał, który w swojej proklamacji z 23 sierpnia w każdym akapicie zwracał się tylko do Rumunów: *Români!*

— Poważny błąd — stwierdziła Ruxanda. — Bo po pierwszej wojnie było tu wielu Rumunów, którzy sprzeciwiali się przyłączeniu do Starej Rumunii i z Transylwanii chcieli zrobić Szwajcarię na Wschodzie. Ci z Bukaresztu oskarżyli naszego wielkiego prozaika Jona Slavici o zdradę stanu i zamknęli do więzienia. Tutejsi Rumuni słusznie obawiali się bałkanizacji tej części kraju.

Maria zaprotestowała jakby od niechcienia:

— Skoro było tak cudownie, to dlaczego cesarstwo habsburskie nazywano więzieniem narodów i dlaczego po 1918 roku wszystkie ludy wybrały niepodległość? A do tego jeszcze te wołające o pomstę do nieba różnice społeczne, nie zapominajcie o tym. Feudalne stosunki w środku Europy.

Maria marzła. Zmieniliśmy miejsca. Ogrzewaliśmy ją z obu stron. Jakże inna niż u Ruxandy była zmysłowość jej bioder i ud... Niepostrzeżenie odsunąłem się trochę, oparłem się o mur kasztelu.

Obiecałem mojej gospodyni Clotilde Apori, że zabiorę ją do Gyelu. Kiedy usłyszała, gdzie mnie kierują na praktykę, zaczęła pochlipywać: — Weź mnie ze sobą, kochany Chlorodencie! Tam, u mojej ciotki Krisztiny przeżyłam najszczęśliwsze chwile w życiu, zanim wyszłam za mąż. — Sformułowanie pozostawiało sprawę otwartą, czy zawarcie małżeństwa wyczerpało to szczęście, czy wprost przeciwnie, zwiększyło. Siedząc na kamiennej ławie pod murami warowni, naradzałem się z Ruxandą, jak najlepiej przeprowadzić tę akcję. W Klausenburgu wszystko miała zorganizować księżna Pálffy, razem z Annemarie, która obiecywała sobie po tym szczególnego rodzaju obserwacje socjologiczne. Najtańszym i najprostszym sposobem, jak twierdziła księżna, było przewiezienie obłożnie chorej na wózku zaprzężonym w osła na dworzec. Dokończyłem:

— Gdy hrabina wieczorem wróci do Klausenburga, odbiorą ją jej kuzyni. Ja muszę tylko wysłać telegram, a ona zjedzie tu popołudniowym pociągami. Ale co potem?

— *Laşă pe mine*, zdaj się na mnie. — powiedziała Ruxanda. W domu naprzeciwko zobaczyliśmy przez okno rękę z lampą naftową, wsuwającą się do pokoju. Ukazała się kobieta. Postawiła lampę na stole. Za nią wszedł mężczyzna. Oboje z radością zaczęli się rozbierać. Ruxanda szepnęła: — Zobacz, jak wspaniale owłosiona jest pierś tego mężczyzny. A piersi kobiety, pełne radości życia, sama je gładzi jako przedsmak jego objęć. — Ruxanda siadła mi na kolanach. — Dlaczego serce bije ci tak głośno? — szepnęła z policzkiem na mojej piersi.

— Nie wiem — odpowiedziałem, głos uwiązł mi w zaschniętym gardle.

Mężczyzna powoli zbliżał się do żony. Przytulił się do niej całym ciałem. Ona wygięła się lekko do tyłu, żeby jeszcze bardziej poczuć jego dotyk, a on objął jej ciało ramionami. Pozwoliła swym piersiom schować się w jego dłoniach. Długo tak stali. Płomień lampy naftowej oświetlał od dołu ich zastygłe w spokoju twarze, oczy ginęły w cienistych jamach. Pomiędzy gałęziami klonu, które zwisały nad murem kasztelu, przesuwały się gwiazdy. Wreszcie tamtych dwoje zdmuchnęło lampę. Chata pogrzyżyła się w ciemnościach.

Kilka dni później wysłałem do Klausenburga telegram: „Akcja Clotilde pojutrze, Chlorodont”. A że telegram musiał być podpisany, pod Chlorodontem podałem moje nazwisko.

Księżna Pálffy właśnie mieszała swoim buzdyanem ciasto na chleb, a jej dawna pokojówka, obecnie dziewczyna do wszystkiego, usiłowała utrzymać w równowadze mosiężny kocioł, kiedy do pałacowej piwnicy zszedł, potykając się na schodach, posłaniec. Wezwał damę do odebrania na Poczcie Głównej telegramu z Gyelu.

— Czyż nie mówiłam, moja droga Julio: proletariat postawił świat na głowie. Kto słyszał, żeby samemu trzeba było chodzić po telegrafy? Niech pani ze mną pójdzie, ja przecież nie znam rumuńskiego. Kto wie, czego będą ode mnie chcieli.

Julia obmyła i wypolerowała buźdygan, który księżna zarzuciła sobie na ramię, i obie kobiety udały się w drogę.

W urządzonym z feudalnym przepychem gabinecie dyrektorskim na najwyższym piętrze pałacu poczty z czasów królestwa węgierskiego oczekiwało na nie dwóch panów. Zapomnieli zaproponować zdyszanydamom, by usiadły. Ozdobiony lampasami dyrektor poczty podał księżnej depeşe, którą ta przebiegła wzrokiem.

— Dobrze, bardzo dobrze; Clotilde się ucieszy. Spędziła w tamtym zamku swoje najpiękniejsze wakacje.

Drugi towarzysz wyrwał jej arkusik z ręki i krzyknął:

— Niech pani mówi po rumuńsku i wyjaśni mi, co się ukrywa za akcją Clotilde i tajnym hasłem Chlorodont! A jeszcze do tego po niemiecku, w przeklętym języku hitlerowców! A kto jest nadawcą o tym nieczytelnym nazwisku?

Tymczasem księżna zasiadła w jednym z foteli i poprosiła swą pokojówkę, by zajęła miejsce w drugim. Damy siedziały, towarzysze stali. Julia wyjaśniła:

— Jaśnie oświecona księżna Pálffy słabo rozumie rumuński.

— Towarzyszko księżno — odezwał się dyrektor poczty, mówił po węgiersku, co brzmiało już o wiele przyjaźniej — jest pani oskarżona o utrzymywanie kontaktów z bandytami z gór.

— Ja z bandytami? Nigdy w życiu! Znam ich tylko z pism ilustrowanych: Chicago, Al Capone i tak dalej...

— Łaskawa pani: bandyci to elementy kryminalne burżuazyjno-ziemiańskiego pochodzenia, którzy w górach prowadzą zbrojne operacje przeciwko władzy ludowo-demokratycznej.

— Ach, panie dyrektorze, chodzi panu o tych dzielnych partyzantów.

— Dość tego gadania! Zabieram obie barysznie ze sobą. U nas wszystko się wyjaśni, albo zaraz, albo w swoim czasie.

— Powoli, towarzyszu! — I do księżnej: — Wasza wysockość, jest pani w wielkim niebezpieczeństwie. Ten zaszyfrowany telegram...

Teraz dopiero dama wszystko zrozumiała: fatalnym, prowokującym słowem, co trudno było pojąć, okazało się „Chlorodont”. Roześmiała się głośno i wreszcie powiedziała:

— Ależ to zabawne. Dlatego nas tu panowie fatygowali! Ostatnim życzeniem mojej schorowanej kuzynki Clotildy Apori jest umyć przed śmiercią zęby starą dobrą pastą chlorodont. Mój bratanek, który w Gyelu jest na pracach letnich, odkrył w tamtejszym sklepie kilka tubelek. W środę ma się odbyć akcja Clotilde.

— A więc to jest ta akcja, zakup pasty do zębów?

— W dzisiejszych czasach wszystko stało się akcją — odparła księżna z godnością. — Nawet zapałek nie można dostać. A jak się je kupi, oczywiście po znajomości, to nie chcą się palić.

— To są przejściowe bolączki początków socjalizmu — załagodził sprawę dyrektor poczty.

— Wasza kuzynka? Czy ona w ogóle ma jeszcze zęby? Ile? — zapytał podejrzliwie towarzysz po cywilnemu.

— Wystarczająco dużo, żeby trzeba było je myć — odpowiedziała chłodno księżna.

— Wszystko sprawdzimy: zęby, pastę też! A telegram zostaje u nas.

Towarzysz obok dyrektora poczty zwrócił się znowu do księżnej:

— To narzędzie, które trzyma pani w dłoni, czy można nim zabić człowieka?

— *Nu.* — To było jedyne rumuńskie słowo, jakie znała, choć w ostatnim czasie nie na wiele jej się przydało. Mimo powtarzania *Nu! Nu!* wylądowała w piwnicy pałacu.

— Musimy to żelazo skonfiskować. — Julia przetłumaczyła. Księżna schowała swą straszliwą broń za plecami. *Nu!* I powiedziała po węgiersku:

— To nie jest to, co on myśli, już nie.

Julia przetłumaczyła:

— To nie służy do zabijania.

— A do czego? — niestrudzenie drążył sprawę towarzysz.

— My się z tego utrzymujemy — wytłumaczyła Julia. — To jest miesadło do ciasta, którym przygotowujemy ciasto na wypieki.

— Jakie wypieki? — zapytał dyrektor poczty.

— Na chrupkie pieczywo — odpowiedziała księżna. Wy-powiedziała to po niemiecku. — Dobre dla tego pana tam. — Wskazała na towarzysza. — Tak nieuprzejmie i niedelikatnie zachowuje się tylko człowiek, który cierpi na zatwardzenie. — Z haftowanego perłami woreczka wyjęła paczuszkę sucharków i podała mężczyźnie.

— Mnie pani nie zamydli oczu — zagroził towarzysz i scho-wał sucharki. — Jeszcze się spotkamy! Kto wie, co wy, bojarzy, knujecie tam w swoich piwnicach.

Kobiety opuściły gabinet. Już na klatce schodowej pokojów-ka rozpięta parasolkę od słońca, malowaną w latające ryby, z rubinową rączką.

Przed budynkiem poczty księżna zatrzymała wózek zaprzę-żony w osła.

— Pewna chora dama musi być na dworcu za piętnaście piąta. — Wymieniła adres. — Przed końcem Mátyás Király utca w prawo koło cmentarza...

— To już się nie nazywa ulica Króla Macieja, tylko Boulevard

Molotow — burknął poganiacz osłów. — Czy ta dama musi leżeć? To rozłóżę koc na sianie.

— A pani, Julio, szybko, szybko, niech pani sprzeda kilka paczek sucharków, żebyśmy mogły zapłacić za bilety.

Popołudniowy pociąg przywiózł hrabinę Clotilde zdrową i całą do Gyelu, gdzie dwóch robotników z największym szankiem wyniosło kruchy ładunek z pociągu.

Nasze dziewczyny wręczyły jej bukiety polnych kwiatów, a Ruxanda krzyż z kwiatów, upleciony z żółto połyskującego dziurawca, któremu dodano purpurowe polne goździki. Takie plecionki z kwiatów w kształcie krzyży zdobiły bramy rumuńskich obojczy we wsi. Były to właśnie owe magiczne noce między świętym Janem a Piotra i Pawła, kiedy to Sânziene, córki króla elfów, za pomocą czarów siały niepokój w sercach młodych, niezamężnych dziewcząt, podsyłając im ukryte znaki w sprawie przyszłego szczęścia. Bardzo zmieszał moje koleżanki wieszczący okrzyk hrabiny:

— Pamiętajcie, dziewczęta: wielkie szczęście — ono zawsze już było.

Posea i Buta zaoferowali się zanieść hrabinę na „krzeselku” z rąk do zamku: dama usiadła na ich splecionych dłoniach jak na tronie. Nigdy nie widzieli jeszcze arystokratki, a tym bardziej nie mieli okazji jej dotknąć. Ze szkoleń politycznych wiedzieli jedynie, że są to wyjątkowo nieprzyjemne zjawiska, krwiopijcy i jeszcze gorsze rzeczy. Cała ideologiczna konstrukcja w ich głowach zachwiała się, gdy nieśli na rękach tę filigranową, pokurczoną staruszkę.

— Wygląda jak moja babka — powiedział Posea. — Ależ na starość narzekwała, że już nie może chodzić w pole, pracować w ogrodzie, doglądać kur! I tak zawsze znalazła sobie jakieś zajęcie dla rąk. Na końcu, kiedy już nic nie mogła robić,

opowiadała swoim prawnuczętom historie z Biblii. Bardzo ją martwiło, że już nie uczy się religii w szkołach.

— Tak, tak jest, zawsze można robić coś pożytecznego — skomentowała hrabina, płynąca w skrzyżowanych ramionach patriarchów jak w lektyce. — Na przykład: modlić się za innych, do ostatniego tchnienia.

— To samo mówiła moja cioteczna babka Amalia — wtrącił się Buta. — Siedziała pod lipą, co miała liście czarne od pyłu węglowego, robiła dywaniki z gałganków, pruć stare wełniane swetry, nigdy się nie uskarżała, a na końcu powiedziała: „Teraz, kiedy nie mogę już ruszyć palcem, będę robiła najważniejszą rzecz w moim życiu. Będę się za was modliła dzień i noc, bo wy w nic nie wierzycie”.

Na dziedzińcu zamku, który był czymś pomiędzy pałacem i kasztelem, o pustych oczodołach okien i wyłamanych drzwiach, obecnie siedziby nowo założonego kołchozu, oczekiwał przewodniczący w niedzielnym ubraniu. Powitał hrabinę ucałowaniem ręki i przemową:

— Jako dziewczę jak świeżo rozkwitła róża, a teraz jasnie oświecona hrabina ciągle jeszcze piękna jak kwiat tytoniu. — Mówił po węgiersku. Najpierw nastąpił hymn pochwalny na cześć zmarłego hrabiego Kinizsi: jak ojciec troszczył się o swoich chłopów, nauczył ich nowoczesnego gospodarowania, zawsze darowywał im długi za dzierżawę i obchodził imieniny wszystkich katolickich świętych razem z całą wioską, dostojny pan. — Oby żył wiecznie, gdziekolwiek się znajduje! — Starą hrabinę Krisztinę również wychwalał pod niebiosa, gdzie zapewne lata sobie na chmurce, wyniesiona ponad zamęt życia wioski. Ona nie tylko troszczyła się o chorych we wsi, a w ciężkich przypadkach nawet posyłała po lekarza z miasteczka, lecz także okazywała serce upadłym dziewczynom i ich nieślubnym dzieciom, z którymi nikt nie chciał mieć do czynienia. — Na zamku wyglądało czasami jak w przedszkolu.

A jakież to było wspaniałe dla tych młodych dziewczyn: kiedy w letnich miesiącach nasza je zachcianka na miłosne igraszki, mogły sobie pofolgować. Ależ to były czasy!

Nie zapomniał także o towarzyszu Gheorghe Gheorghiu-Deju w Bukareszcie.

— Nasz świątły przywódca w Bukareszcie obiecał chłopom jasną przyszłość. Jako posiadacze, gospodarze i użytkownicy ziemi jesteśmy panami pracy naszych rąk. Wszystko należy teraz do wszystkich. Ale tych wszystkich jest tak dużo, aż do samego zarządu okręgu Koloszwár i Komitetu Centralnego w Bukareszcie, a nawet do nowego ojczulka Stalina w Moskwie, jak też on się nazywa? A, Chruszczow. Tak ich dużo, a wszyscy są równi i musimy się z nimi dzielić, że nam tu w Gyelu prawie nic nie zostaje. To tak jak z krową: my karmimy ją z przodu, a z tyłu doją ją inni. — Zatroskany zapytał: — Wy jesteście uczeni, towarzysze, czy to prawda, że przyszłość to coś, czego jeszcze nie ma, zawsze tylko ma nadejść, a więc nigdy nie będzie? I dopiero wtedy ma być lepiej. Czyli nigdy.

Uprowadził hrabinę Clotilde, żeby się nie przestraszyła. Zamek musi służyć na razie wszystkim potrzebom: jako stajnia, magazyny, biuro. Jeszcze trochę potrwa, zanim będzie można zbudować własną farmę, całkiem nowoczesną, na wzór wielkiego Związku Radzieckiego.

Z ogromnego salonu wyszła rozkołysanym krokiem krowa, wypróżniła się z plaśnięciem na ozdobny parkiet i przystanęła w bramie zamku, z obliczem zwróconym na dziedziniec, z dostojeństwem i powagą.

Przewodniczący pośpieszył z usprawiedliwieniem:

— Nie zerwaliśmy jeszcze parkietów, bo w ten sposób łatwiej się sprząta krowie łajno. To przyjemność przejeżdżać łopatą po gładkiej jak lustro powierzchni i wymiatać gówna.

Przybyli mieszkańcy wsi i po kolei całowali ręce hrabiny. Schludnie ubrane dziewczynki dygały, dawały jej kwiaty. Sześć

naszych koleżanek odbierało od staruszki bukiety, wśród nich wiele róż, i oddawały je doktorowi Hilarie.

Hrabina pozwoliła obnieść się po pokojach, jak dziecko zarzuciwszy ramiona na szyje obu drągali. W północnych pokojach przechowywano pszenicę.

— Nasze drugie zbiory od założenia kołchozu — pochwalił się prezes. — Składowane w najlepszych warunkach. Partia nas pochwaliła.

Hrabina przypomniała sobie:

— Tutaj miałyśmy sypialnie, ja i moja kuzynka Antonia. — Teraz na ogromnych hakach w pokrytych boazerią ścianach wisały końskie uprzęże. — Ależ tu razem dokazywałyśmy! Pamiętam, jaka byłam przejęta, kiedy moja kuzynka pokazywała mi nowe podwiązki z Paryża. Wcześniej umarła na zgryzoty sercowe.

— Jak to? — zdziwił się Posea — arystokratka umiera na zgryzoty sercowe?

— Właśnie, my także mamy serca — odparła hrabina. — Matka Antonii, moja ciotka, nie chciała pozwolić, by poślubiła wiejskiego nauczyciela.

— Tak było — powiedział przewodniczący. — A teraz była-by wielką komunistyczną damą. Nauczyciel mieszka w Koloszwárze w pałacu. Jest jedną z najważniejszych osób w partii.

— Gdyby się z nią ożenił — szepnęła Ruxanda — nigdy by tak daleko nie zaszedł.

Doktor Hilarie, obwieszony kwiatami jak maharadża, uśmiechnął się kwaśno:

— Podwiązki z Paryża. Na takie coś chłop musiał trzy dni odrabiać pańszczyznę.

Posea i Buta posadzili starą damę na parapecie, podpierając jej plecy. Zapatrzyła się w widok za oknem, nadrzeczne błonia porośnięte wierzbnami i olchami aż do łagodnych linii Gór Zachodnich.

— Jej pierwszą wielką miłością był pewien podporucznik, nasz daleki kuzyn. Musiałam dostarczać mu liściki. Gdyż moja surowa ciotka nigdy nie pozwalała im zostać sam na sam. W ogóle ciągle byliśmy pod kontrolą. Od dwunastego roku życia dziewczynki nie mogły się kąpać nago w wannie. Nadzorowały nas guwernantki i pokojówka. Kiedy się rozbie-
rałyśmy, musiałyśmy zamykać oczy. A zanim weszłyśmy do wanny, służąca narzucała na nas okropną szatę kąpielową. Wyglądałyśmy jak pokutnice...

— A dlaczego? — zapytał Posea. — Czy mam się wstydzić sam siebie?

— Tak było w naszych kręgach. Nagość była wyklęta. Nawet własna.

— A kiedy się było po ślubie? Jak to było z mężem? — zapytała Maria.

— Jeszcze gorzej. Oprócz pępka nic nie widziałam z mojego świętej pamięci męża. A i to nie było nic sensacyjnego. Ale na czym to ja stanęłam? A, raz schowałam *billet d'amour* w deserze. Ojciec Antonii, który był po naszej stronie, wziął przez pomyłkę do ust kawałek ciasta z karteczką. Mrugnął do nas, a potem przełknął wszystko. Pewnej nocy odkryłam, że *adoré* Antonii wymyka się z pokoiku służącej. Czy opowiedziałybyście o tym, czy zachowały tę wiedzę dla siebie, powiedzcie, moje panny? I zgadnijcie, co ja zrobiłam? — Żadna nie odpowiedziała, ale potem jeszcze przez kilka dni rozprawiły o tym.

W pokoju śniadaniowym rezydowały kury. Serowarnia mieściła się w buduarze pani domu, ozdobne sztukaterie na suficie harmonizowały z dekoracyjnymi formami serów. Świnie bardzo mądrze zakwaterowano w palarni.

— Niestety zabudowania gospodarcze zostały podpalone, kiedy przyszli Rosjanie, *pardon*, kiedy Niemcy się wycofali.

Nagrobki w parku pod sosnami były zrujnowane, grobowiec otwarty, kawałki dębowych trumien powyciągane ze swoich nisz. Przewodniczący wyjaśnił:

— Przechodził tędy front.

— Od tamtego czasu minęło dobre dziesięć lat — odparła hrabina Clotilde. — A co się stało ze szczątkami? Czy pochowaliście je na waszym cmentarzu?

— Szczątki — powiedział prezes zmieszany. — Nie bardzo wiem... Wprowadziliśmy się tu dopiero trzy lata temu.

Jedna z chłopek zaczęła szlochać, przyłączyły się do niej inne, lament stawał się coraz głośniejszy, niósł się aż do nieba. Stara kobieta w czarnej chustce na głowie podeszła do przewodniczącego, schwyciła go za krawat i krzyknęła:

— Ty bezbożny bolszewiku, ty podły kłamco! Nie wiesz? Żeby tak z tobą stało się to samo co z naszym państwem, kiedy wyzioniesz ducha. Psy rozwlekły kości...

Zapadła martwa cisza. Potem odezwał się przewodniczący.

— Nie psy. To były dzikie zwierzęta z lasu.

Hrabina stwierdziła:

— Tak, to się podobno zdarza.

Z powrotem pojechała wieczornym pociągiem.

— Dziękuję ci, mój drogi Chlorodencie. Ale może jednak nie powinnam była przyjeżdżać. — Na dworcu w Klausenburgu, jeszcze zanim delegacja arystokratów zdążyła powitać hrabinę, zatrzymali ją ludzie Securitate. Przeszukano jej torebkę. „Ach, rzeczywiście chlorodont!”. Dzięki Bogu w sklepie spółdzielczym udało mi się kupić kilka tubek zeschniętej pasty tej marki, mieli tam nawet lep na muchy z nadrukiem D.R.P. Deutsches Reichspatent.

Następnie zawieziono hrabinę do domu samochodem Securitate. Szofer i sierżant wnieśli ją do piwnicy i ułożyli na szezlongu. W tym czasie oficer przeprowadzał inspekcję pokoju i mojego kąta w przedpokoju, w którym mieszkałem w lecie.

Kiedy wróciłem, brakowało dwóch książek: *Świętości* Rudolfa Otto i *Głodującego pastora* Raabego.

II

Siedzę po turecku w swojej porannej jaskini i robię to, co mi polecił major, a przed czym się wzbraniałem: myślę o dzielnych dziewczynach, o kobietach działających w podziemiu, i ciągle przypomina mi się Annemarie. Rygle szcękają. Rzeka, wieczór pod klonem, wzruszona dziewczyna u mego boku, koniec! Zrywam się i uderzam głową w pulpit stolika nade mną. O tej godzinie jeszcze mnie nie niepokojono. Twarzą do ściany. — W lewo zwrot! — Żołnierz wskazuje na mnie. Ja? Czy major Blau chce o tak wczesnej porze pogawędzić sobie ze mną? Mam nadzieję, że tylko o Freudzie i Adlerze, Gaussie i Bernouillim. A może mnie wypuszczą. Od razu opada mnie lęk: gdzie mam pójść... Żołnierz z nocnej służby niechętnie popycha mnie naprzód. — Uważaj! Jedenaście stopni w górę!

Nieprzyjemny głos rozkazuje:

— Zdejmij okulary! — Zdejmuję okulary. Z kąta, gdzie stoi biurko, zalewa mnie fala światła. Złego światła... Zastłaniam twarz ręką. Bezcielesny głos grzmi: — Na co ty sobie pozwalasz? Już ważysz się podnosić na mnie rękę? Siadaj za drzwiami. I nie patrz tak głupio.

Oślepiony idę po omacku do swojego kąta. Kontury stolika i krzesła z niezwykłą ostrością odcinają się od zalewu światła.

— Spójrz na mnie! — Próbuję zlokalizować pana tego głosu, wpatruję się w oślepiające potoki. Głos pozostaje niewidzialny.

Wpatrzony w światło zaczynam się uskarżać:

— Tak długo się mną tu nie zajmowano. Czuję się bardzo źle i muszę wrócić do kliniki. Przede wszystkim chciałbym pomówić z majorem z pierwszego przesłuchania, on zna mój stan. — Jego nazwisko zachowuję dla siebie.

Głos z tła przemawia ostro:

— Od dzisiaj będziesz miał ze mną do czynienia. Podłe się czujesz, mówisz? Możesz być pewny: postaram się, żebyś czuł się gorzej niż pies. Nie jesteś tu po to, żeby zażywać przyjemności jak burżuj na lotnisku, jak twoja rodzina swego czasu w Rohrbacher Bad, ale żeby się przyznać, co wy, ty i twoi bandyci, knuliście przeciwko ludowo-demokratycznym władzom.

Mówię do kłujących promieni światła:

— Obwinia mnie pan niesłusznie. O niczym nie wiem.

— Wprost przeciwnie! Wiesz o wiele za dużo. I to wszystko my także chcemy wiedzieć. I będziemy wiedzieć.

— Zabrano mnie tu z kliniki. Na mnie nie może pan liczyć.

— To była tylko taka sztuczka, żeby nas wyprowadzić w pole. W niedzielę, następnego dnia po tym, jak cię zabraliśmy, miałaś zamiar iść do kina z uczennicą konserwatorium Gerlinde Herter. — Mówi „Dżerlinde”. To straszne, że tak wymawia jej imię. Ale straszniejsze jest, że w ogóle je wymawia. Głos stwierdza: — Kto jest chory, powinien zostać w łóżku. Zresztą zbada cię psychiatra, sławny doktor Scheditan. Na tym kończymy te daremne rozważania. My już sobie ciebie przyuważymy, aż usłyszysz krzyki aniołów.

Słyszę klaśnięcia, którymi przywołuje dyżurnego strażnika. Wśród potoków światła poruszają się dwie odcięte dłonie, pokryte białą płonącymi włoskami.

Żołnierz otwiera drzwi. Automatycznie nasuwa czapkę z daszkiem na czoło. Bierze mnie za ramię i ciągnie do wyjścia, ledwie zdążyłem założyć okulary. Ciemność spowija moje pokłute oczy jak kojący okład. Po głowie kołaczą mi się słowa z Biblii, o Bogu, który mieszka w świetle i nikt nie może się

do niego zbliżyć. Dochodzę do siebie w mroku stojącej kabiny. Kiedy wracam do celi, na stole czeka obiad.

Do myśliwego mówię:

— Za kilka dni zbada mnie lekarz specjalista i potem będę wolny. — Czepiam się tej myśli. Doktor Scheditan ma wielki autorytet i dość charakteru, żeby wywalczyć moje zwolnienie. Ale mam złe przeczucia: ta inscenizacja dziś rano nie wróży nic dobrego. Te efekty świetlne, ten ostry ton...

Przechadzam się tam i z powrotem, a myśliwy siedzi na łóżku. Jego oczy są zaczerwienione, jakby przy wietrznej i deszczowej pogodzie był na szlaku.

Gdy mnie nie było w celi, przyszli po niego. Oficer śledczy poinformował go, że oskarżenie w jego sprawie zostało wniesione, grozi mu kara od pięciu do siedmiu lat więzienia. Miał łzy w oczach.

— To znaczy, że zobaczę moje dziewczynki dopiero wtedy, jak już będą duże i pyskate.

Podporucznik zrugął go:

— Ty, byłeś członek partii, a płaczesz jak stara baba, wstydz się! Zobacz, na tym samym krześle siedziała wczoraj osiemnastoletnia legionistka*. Jak jej powiedziałem, że musi liczyć się z karą śmierci, to roześmiała się i splunęła mi w twarz.

Myśliwy nie może tego pojąć.

— *A fi legionar este moarte sigură!* A jednak, teraz następne pokolenie, młodzi *combatanți* *Legiune Arhanghelul Mihai*, nawet kobiety!

Kilka dni później spotykam się z dyrektorem kronstadzkiego zakładu psychiatrycznego, wcześniej dyżurny oficer za

* Legioniści — członkowie założonej w 1927 roku w rumuńskich środowiskach studenckich skrajnie nacjonalistycznej organizacji Legion Archaniola Michała, której zbrojnym ramieniem stała się później Żelazna Gwardia.

pomocą życzliwych gróźb poucza mnie, jak mam się zachowywać.

Poznałem doktora Eusebiu Scheditana ostatniego lata. Odwiedziłem wtedy jego zakład razem z moją ciotką Pauline z Niemiec. Przyjął nas osobiście. Zmęczone, lekko zaczerwienione oczy nadawały jego twarzy wyraz głębokiej melancholii. Skronie doktora pokrywały kędzierzawe, szpakowate włosy, wyżej osłonięte białą czapeczką lekarską. W mieście różnie o nim mówiono: jedni wierzyli w jego charyzmę psychagoga, inni zaś przeklinali go, jak podpowiadało jego nazwisko: szatan, diabeł, książę piekieł.

Ciotka Pauline, która dożyła stu lat, zapragnęła jeszcze raz odwiedzić swój dawny dom na zboczu Góry Zamkowej, Villę Tubirosi, gdzie niezbyt wygodnie pomieszczono teraz kronstadzką klinikę psychiatryczną. Tylko tam była szczęśliwa w swoim długim życiu, jako trzecia żona mojego stryjecznego dziadka Franza Karla Hieronymusa. Kilka lat małżeństwa było jednym wielkim radosnym świętem, choć mąż w krótkim czasie przepuścił cały jej posag. Poza tym dama z Niemiec ciągle tęskniła za Cyganami i włóczęgami, żebrakami i domokrażcami, starymi kobietami palącymi fajkę i węgierskimi służącymi, które ze swoimi żołnierzami tańczyły czardasza na Klostergasse. Ciotka Paulina boleśnie odczuwała brak tego wszystkiego na ulicach miasteczka Gaunting, gdzie obecnie mieszkała w żeńskim klasztorze, z wido-kiem na jezioro.

Towarzyszyłem jej do miejsca osobliwych wspomnień rodzinnych. Lekka jak dmuchawiec płynęła serpentyną drogi na Górę Zamkową, w szarej jedwabnej sukni i kapelusiku z żółtymi pomponami. W prawej dłoni trzymała rozłożoną parasolkę słoneczną, która co chwilę drżała w jej dłoni jak chory motyl. Palce drugiej dłoni rytmicznie zaciskały się w zakrzywione szpony.

Doktor rozmawiał z nami po niemiecku. Będąc dobrze wychowanym człowiekiem, unikał przepisowego „towarzyszko” i zwracał się do ciotki Pauline „łaskawa pani”. Dwa razy powiedział nawet: „Pani von Zilah”. Mnie ciotka nie przedstawiła jako swojego bratanka, ale powiedziała dosłownie: „wnuk brata mojego kochanego, rozwiedzionego i niestety nieżyjącego męża”.

Lekarz zapytał, czy mógłby zbadać leciwą damę. Co prawda chorzy psychicznie zwykle cieszą się długim życiem, ale nie spotkał jeszcze takiego zjawiska: stuletnia kobieta, która piechotą weszła na Górę Zamkową i jeszcze pamięta, że na nią weszła.

— Bo kto wycofuje się do klatki już to z urojonych idei, już to z rzeczywistych żelaznych prętów, ha, ha, ten jest chroniony przed niedogodnościami tego świata i żyje długo, ale w ogłupieniu. — I zapytał: — Czy łaskawa pani uskarża się na jakieś dolegliwości?

— O tak — odpowiedziała ciotka Pauline.

— A co takiego mianowicie? — zapytał dociekliwie lekarz.

— W tej chwili ból zęba.

— Ból zęba? Czy łaskawa pani ma jeszcze jakieś zęby?

— Jeden. I on mnie boli.

Lekarz natarł delikatnie unikatowy egzemplarz alkoholem.

— A poza tym?

— Poza tym zaziewam się niedługo na śmierć. Śmiertelna nuda to choroba leciwych ludzi. Nie mam nikogo w swoim wieku, z kim mogłabym poplotkować, porządnie się pokłócić. Albo przynajmniej powymieniać wspomnienia.

Doktor poprosił, by dama obnażyła klatkę piersiową.

— Niestety, muszę pana rozczarować, doktorze: naprawdę nic mi nie dolega. Często pytam się ze strachem, czy w ogóle uda mi się umrzeć.

— Z całą pewnością, łaskawa pani. To pewne jak śmierć.

Ciotka kazała mi wyjść za drzwi:

— Nagie kobiety są zbyt podniecające dla młodych chłopców.

Potem lekarz potwierdził:

— To fenomen! Refleksy nerwowe i sprawność intelektualna jak u sześćdziesięcioletniej kobiety.

Z dumą powiedziałem:

— Kiedy pastor w Niemczech cytował ciotce psalm na jej setne urodziny, zapomniał słów. Moja ciotka musiała mu szepciem podpowiadać.

Ciotka Paulina wyjaśniła:

— Ten głupiec wybrał dla mnie, bezdzietnej, psalm 128, który poza tym poświęcony jest mężczyźnie. — I zaczęła recytować: — „Szczęśliwy każdy, kto boi się Pana, który chodzi jego drogami. Bo z pracy rąk swoich będziesz pożywał, będziesz szczęśliwy i dobrze ci będzie...” — zatrzymała się, powtórzyła sama do siebie: — „Będziesz szczęśliwy i dobrze ci będzie”, miejmy nadzieję! — I ciągnęła dalej: — Mój mąż chodził tylko ciemnymi ścieżkami; możliwe, że takie były drogi Pana. Ale: z pracy rąk swoich? Nigdy w życiu nie ruszył palcem. Nawet nasze pieniądze rozpląnęły mu się w rękach, rozeszły się po ludziach. A sznurowadła musiała mu zawiązywać służąca. Tylko mnie jedną nosił na rękach. Tak, i to do rozkosznego końca naszego małżeństwa. A jakim był wybornym tancerzem! Miał tyle uroku co żaden inny. Prawdziwy węgierski szlachcic od czubka głowy do pięt. — Ciotka Pauline prosto jak świeca siedziała na biało obitym stołku, a ja zapinałem jej z tyłu sukienkę.

Doktor Scheditan nie omieszkał oprowadzić nas po swoim królestwie. W jednym z pokoi z zakratowanym widokiem na wschód, w stronę Honigbergu, ciotka stanęła jak wryta, podniosła brwi, wyjęła ze swego woreczka teatralną lornetkę. Obejrzała ścianę i powiedziała głucho:

— Ciągłe jeszcze ta krew! — I usiadła na łóżku ogolonej na łyso kobiety, która błyskawicznie zabrała się do rozpinania jej sukni.

— A kysz, a kysz — zawołał doktor — *kuschtinje!* — Chora nagle oderwała się od pleców ciotki, podniosła swoją koszulę nocną i pokazała lekarzowi wychudzone piersi. Doktor Scheditan powiedział: — Nie możemy sobie wybierać czasów, w których przyszło nam żyć, ale za to możemy wybrać czas, w którym chcemy żyć. — Wskazał na obłąkaną, która natychmiast przykryła się kocem i zaczęła w spokoju wpatrywać się w białoną ścianę.

Ciotka powiedziała:

— Po dziesiątkach lat ciągle jeszcze krew!

— Tak, to dziwne — przyznał doktor. — Zmywamy ją, zamalowujemy to miejsce, zdrapujemy tynk, ale plamy zawsze ukazują się na nowo. Krew musi być w środku. Już zastanawiałem się, czyby nie zburzyć tej ściany. Ale moim podopiecznym to nie przeszkadza. Sama pani widzi... — Zrezygnowany ruch ręki. — A pielęgniarki to twarde sztuki.

Lekarz nie zapytał, skąd te kurcze rąk ciotki. Do mnie zwrócił się półgłosem:

— Próba samobójcza przez otwarcie tętnicy. Zszyta przez rzeźnika.

I rzeczywiście tak było, choć brzmi to jak bulwarowa historyjka: dawno temu w karnawałowej gazecie kupców i przemysłowców kronstadzkich ukazało się dziwne ogłoszenie, podpisane „Pierrot i Pierrette”. Wszyscy wiedzieli, kto się za tym kryje. „Rozstaniemy się, nie rozdzielając się. Co to znaczy? Kto odgadnie rozwiązanie do poniedziałku zapustnego i wyśle odpowiedź na *poste restante*, w środę popielcową dostanie w nagrodę pięknie położony dom jednorodzinny”.

Kiedy w środę popielcową koło południa służąca zaniepokojona odgłosem chlupania i pluskania w sypialni zakradła się

przez łaźienkę — państwo wrócili bardzo późno z ostatniego w tym sezonie bału maskowego w Reducie — ciotka i wuj w strojach pierrota i pierrette leżeli w łóżu małżeńskim, ze skrzyżowanymi rękami. Krew falami chlustała na ścianę. Najwyraźniej służyli sobie nawzajem pomocą w tej ostatniej posłudze miłości.

Dziewczyna wypadła przerażona w aleję, krzycząc przeraźliwie: „Bycza krew płynie z kranu!”. Na szczęście wpadła w ramiona cudotwórcy Marca Soteriusa, który wtedy stał jeszcze u progu kariery. „Kochany sąsiedzie — szlochala służąca — krew leci ze ściany! Chcę do domu, do matki. Jestem tu dopiero od przedwczoraj”. „Chodź ze mną. — W kuchni z płaczem usiadła na drewnianej skrzyni. — Napij się wody. Uspokój się”. Trzy razy zakołysał nad jej głową złotym wahadełkiem. Nieszczęsna dziewczyna od razu zasnęła. Lecz mimo jak najmocniejszego kołysania wahadełkiem rysującym w powietrzu najpiękniejsze wzory Orientu nie udało się mistrzowi zamknąć żył. Obudził więc dziewczynę: „Biegnij po doktora Flechtenmachera, pierwszy dom za rogiem po lewej stronie”. Dziewczyna pomyliła lewą stronę z prawą i przyprowadziła weterynarza Bullingera. „Szanowny panie, niech pan szybko idzie ze mną! Krew leci ze ściany. Szybko, doktorze!”.

Gdy weterynarz zobaczył, co się dzieje, zrozumiał, że nie ma ani sekundy do stracenia. Z pudełka do robótek wybrał najdłuższą igłę do cerowania, wygiął ją, wydezynfekował w płomieniu świecy i na chybił trafił pozszywał żyły, ścięgna i sploty nerwowe, najlepiej, jak umiał. W tym czasie mistrz Marco dalej zawzięcie kołysał wahadełkiem, z takim rezultatem, że plamy krwi na ścianie nie zniknęły nawet po kilkudziesięciu latach.

Pozszywana para rozstała się, Villa Tubirosi poszła pod młotek. W 1948 roku przejęło ją państwo. Długie lata stała pusta. Choć takie eleganckie mieszczańskie domy cieszyły

się powodzeniem wśród prominentów proletariatu, nikt nie chciał w niej zamieszkać, mimo romantycznego widoku na centrum miasta z Czarnym Kościołem, mimo wspaniałej panoramy zalesionego Zinnenbergu; nawet komendant Securitate, skądinąd człowiek bez lęku i skazy, nie chciał się tam osiedlić.

Partia podarowała Villę Tubiroși wariatom, przez co upiekła dwie pieczenie na jednym ogniu: pozbyła się domu o złej sławie, a że był to dom jednorodzinny, ograniczało to z góry liczbę pacjentów, zgodnie z doktryną: skoro socjalizm oznacza szczęście ludzi, a szczęśliwy człowiek nie ma powodu, by tracić rozum lub ponosić uszczerbek na duszy, te kilka niedozwolonych wyjątków nie potrzebowało więcej miejsca, niż oferowała willa.

Z byłej Villi Tubiroși wezwali tu więc doktora Scheditana. Czy przypomni sobie to nasze spotkanie w wąskim gronie z poprzedniego lata? Urojone idee, rzeczywiste pręty żelazne oznaczają ochronę... Zatem według niego jest to miejsce podwójnie dobre dla mnie.

Pokój przesłuchań jest pełen oficerów, jak pierwszej niedzieli, w dzień po moim aresztowaniu. Tak samo skrzy się śnieg za zakratowanym oknem. Ale ja przymrużam oczy, są jeszcze wrażliwe na rażące światło. Zjawił się nawet komendant Crăciun — gdy siedzi, splata dłonie na brzuchu jak pop, gdy wstaje z miejsca, prezentuje pod pachą teczkę, na której wielkimi literami jest napisane: *MINISTERUL DE SECURITATE*.

Podchodzi do mojego stolika, nachyla się nade mną, prawie przydusza mnie swoją cielesnością. Poucza, żebym dokładnie odpowiadał na pytania lekarza, albo i nie:

— Nie gadaj nic! To jest najlepsze. *Domnule doctor* wie wszystko. Tak, on już od początku zna rezultat końcowy. Taki z niego fachowiec. — I dodaje ze śmiechem: — Zna się

nie tylko na wariatach, ale też na normalnych, nasz *domn' doctor*.

Do mojego stolika przysuwają jeszcze jedno krzesło, przede mną stawiają szklankę z wodą. Tymczasem ja przyglądam się oficerom, szukając odciętych rąk pokrytych białymi włoskami lub rąk w zamszowych rękawiczkach.

Gdy wchodzi dyrektor kliniki w towarzystwie głównego śledczego, majora Alexandrescu, kilku oficerów podnosi się z ociąganiem. Zrywam się, choć tego nie chciałem, i kłaniam się. Wszyscy gapią się na mnie. Nikt nie mówi ani słowa. Lekarz w białym kitlu i płóciennej czapce podchodzi do mojego stolika i podaje mi rękę. Pułkownik Crăciun, który nie ruszył się od biurka, pokazuje mu, by usiadł przy mnie.

— Tam, towarzyszu doktorze.

Po pytaniach lekarza orientuję się, że mój przypadek jest mu znany. Odpowiadam na nie krótko i zwięźle, więc rozmowa wkrótce się kończy, ku wyraźnemu zadowoleniu naszej asysty. Doktor ma jeszcze tylko zbadać moje odruchy. Żeby bliżej do mnie podejść, próbuje przesunąć stolik. Ten się nie porusza.

— *Lăsați, domnule doctor*, niech pan da spokój, doktorze — rzuca niegrzecznie pułkownik. A więc ja mam wysunąć się do przodu ze swoim krzesłem. Ono też jest przyśrubowane. — Krzesło! — rozkazuje pułkownik. Jakiś podporucznik zrywa się. — Siadaj tam — szorstko zwraca się do mnie pułkownik. Podciągam spodnie, przyciskam je do ciała. Siadam między oficerami i zakładam nogę na nogę, tak samo jak moi sąsiedzi.

Lekarz pochyla się przede mną, szybko opuszcza gumowy młoteczek. Moja prawa noga z takim rozmachem wyskakuje w powietrze, że doktor nie jest w stanie się uchylić. Czubkiem stopy trafiam w płócienną czapeczkę, która przekrzywia mi się na głowie i zabawnie sterczy na bakier. Nikt się nie śmieje. On nie poprawia nakrycia głowy.

— Odruchy są nieco przesadne.

Doktor Scheditan znowu siada przed moim stolikiem. Pułkownik beszta mnie:

— Wracaj na swoje miejsce! Na co jeszcze czekasz!

Psychiatra odwraca się do komendanta Securitate: jego misja jest zakończona. Wnioski spisze w diagnozie, którą wkrótce przedłoży, oczywiście jako dokument tajny. Kiedy doktor Scheditan jest w moim pobliżu, żadnym gestem nie zdradza, że sobie mnie przypomina. Mógłbym lekko poprawić jego przekrzywioną czapkę. Ale moje ręce grzecznie leżą na płycie stolika.

Colonel Crăciun wstaje zza biurka, swoją ważną teczkę trzyma pod pachą. Świta oficerów zrywa się jak na komendę. Także doktor Scheditan zbiera się do wyjścia. Przy drzwiach odwraca się do mnie, przygląda mi się smutno zaczerwienionymi oczyma i mówi:

— *Lux ex oriente!* — Dyżurny oficer otwiera drzwi, gość musi cofnąć się o mały krok, dotyka przy tym lekko brzucha komendanta, który cofa się z sapnięciem. Eusebiu Scheditan mówi po niemiecku w głąb korytarza: — Czasów nie, ale twój czas tak. — Nieznacznie kiwa do mnie głową: — *La revedere.*

Rzuca się do mnie oficer w stopniu kapitana. Zapamiętałem jego mięsisty nos: kiedy uczyłem się brać ogień przez judasza, trafiłem mu papierosem w oko. A jego ręce? Są normalnie owłosione.

— Co ci szepnął ten stary lis? Mów!

— Marksistowskie hasło. „Światło przychodzi ze wschodu”.

— W jakim języku?

— Po łacinie.

— Po łacinie. W języku rzymskich posiadaczy niewolników. — W swoim czasie także języku rumuńskiego narodu, myślę. — A to drugie, co to było? W jakim języku? Mów!

— Po niemiecku. Ale to były bezsensowne słowa: czasy, czas. Po rumuńsku *timpul, timpurile...* — Nagle rozjaśnia mi

się w głowie, widzę wyschnięte piersi wariatki, kiedyś, przedtem: „Nie możemy sobie wybierać czasów, w których przyszło nam żyć, ale za to możemy wybrać czas, w którym chcemy żyć”, powiedział wtedy doktor.

— Po niemiecku. W języku Hitlera...

— Ale również Goethego i Engelsa.

— Zamknij swoją parszywą gębę. To było tajne hasło. Poczekaj tylko, kochany doktorku, tobie też jeszcze dobierzemy się do skóry. — A do mnie: — No! Skończyły się już te wygłupy z twoją chorobą, teraz możemy zaczynać. Tego, co nastąpi, nie widzieli nawet w Paryżu!

Paryż... Siedzę na krawędzi łóżka i nasłuchuję odgłosów z korytarza. Jeszcze jest ciemny ranek, ale ci z góry mogą tu wtargnąć w każdej chwili. Próbuję uciec od wspomnień, które mnie nie chronią, lecz pchają w inne niebezpieczeństwo. I nieodwołalnie wciąga mnie zatopiona przeszłość, którą powinienem zapomnieć. Lato nad rzeką jeszcze się nie skończyło.

Wieczór. Siedzieliśmy pod klonem, Ruxanda i ja, opierając się o ciepły mur. Na bosaka przyszedł tu po piaszczystej drodze.

— Już nie wytrzymam dłużej w tym kraju — powiedziała Ruxanda ze łzami.

— Ty, Rumunka? Przecież to twoja ojczyzna. My, Sasi, jesteśmy ledwie tolerowanymi obcymi, ale ty?

— To już nie jest moja ojczyzna. Ja też stałam się tu obca, obca sama sobie. Zawsze maska na duszy. — I dodała: — Albo wkrótce przyjdą Amerykanie... — Od końca wojny słyszałem to zdanie: jak przyjdą Amerykanie! Wielu zmarło z tego powodu. — Ale czy oni kiedykolwiek przyjdą? — zapytała żałościwie. — Partyzanci w górach czekają na to od dziesięciu lat. Jeżeli to nie nastąpi wkrótce, to... to wtedy ja popłynę do Ame-

ryki. Tak, dobrze słyszałeś. Myślisz, że mi się nie uda? Z Vama Veche na południu przy bułgarskiej granicy aż do Istambułu. Co noc można płynąć wzdłuż brzegu albo biec, sześć, siedem godzin. A w dzień się ukrywać. W Bułgarii jest ponoć wiele zalesionych brzegów.

— A jak przeżyjesz? Jedzenie, woda pitna?

— Tak jak tutaj chłopci i pastorki wspierają partyzantów z gór, tam też na pewno są dobrzy i odważni ludzie.

— A straż przybrzeżna?

— Dla nich jestem mrówką. A teraz zdradzę ci wielką tajemnicę. Wiesz, to są ostatnie dni nad rzeką. Nigdy więcej nie będziemy razem tak jak teraz, ja z tobą. Czuję to. Ale będziemy o tym pamiętać. I będę tęsknić do tego miejsca i do ciebie tutaj. Jak to mówi twoja hrabina Clotilde: „Wielkie szczęście — ono zawsze już było”. — Objęła mnie ramionami, pocałowała i pogładziła po twarzy. I wróciła na swoje miejsce. — Ten mój kuzyn Mircea, o którym ci już opowiadałam, którego kocham z całej duszy, choć od lat go nie widziałam — ściszyła głos do szeptu: — Odkąd król musiał odejść, mój kuzyn jest u partyzantów, w osławionej grupie Szuszmana, która działa w Karpatach Zachodnich. Nawet specjalne oddziały Securitate nie dały rady ich schwycić.

— Tutaj też są partyzanci? Myślałem, że tylko u nas, w Masywie Fogaraskim. Tam strzelają ostrymi nabojami.

— Oni strzelają tylko w ostatecznych sytuacjach, w obronie własnej.

W naszym dawnym sklepie, obitym w całości czerwonym płótnem, ułożono go na katafalku, podporucznika Securitate, który został trafiony przy wodospadzie Bulea. My, licealiści, pełniliśmy przy nim wartę honorową. Już to, że ten straszny człowiek leżał tam tak spokojnie, jakby odbywał sjęstę, nadało mu jakąś niesamowitą niewinność. Niepokoiło mnie, jakbym sam był temu winny, że ta ponura postać w biały dzień

wystawia się na spojrzenia wszystkich. A jeszcze fakt, że tego człowieka tak opłakiwano, tak rozdzierająco, jak każdego... Wzburzony stałem na bacność przy jego trumnie, a kobiety z lamentami rzucały się na zwłoki, całowały zielonkawą twarz i przyciskały usta do zaklejonego plastrem otworu po kuli w czole.

Nazywano ich partyzantami: byłych oficerów, wiernych królowi chłopów. Byli wśród nich także wiejscy nauczyciele i popi, rzemieślnicy i synowie fabrykantów, dumne chłopki. Narazali swoje życie studenci i młodzi lekarze, nawet uczniowie.

— Zabrali pół mojej klasy z męskiego Liceu Radu Negru Vodă w Fogaraszu. Dobrze, że rok wcześniej poszedłem do szkoły Honterusa do Kronstadt. Tamci uczniowie zaopatrywali partyzantów w żywność, broń i amunicję. Zostali skazani na bardzo wysokie kary. Jeśli wrócą, będą starcami.

— Jeśli wrócą... A gdyby mieli powyżej osiemnastu lat, od razu wykonano by na nich wyrok śmierci.

— Należy się szacunek tym dzielnym chłopcom i mężczyznom, ale...

— I kobietom — przerwała mi Ruxanda płomiennie. — Wyobraź sobie tylko: w wężozach i na połoninach rodzą się dzieci, a nasi popi nocami chrzczą i chowają ludzi, wysłuchują spowiedzi, rozdają komunię, narażają siebie i swoje rodziny na najwyższe niebezpieczeństwo.

— Ale czego właściwie partyzanci chcą?

— Czego chcą? — W jej głosie słychać było zdziwienie. — Nad tym się nigdy nie zastanawiałam. Co mogę powiedzieć? Może dać upust swojej nienawiści. Stworzyć ludziom trochę nadziei. Nastraszyć tę arogancką, zarozumiałą bandę w Bukareszcie. Trzymać w szachu lokalnych kacyków. Zaznaczyć swoje stanowisko! Przecież to najnormalniejsza rzecz, wystąpić przeciwko reżimowi, który jest wbrew naturze, jakoś się

sprzeciwić, jakimś gestem. Nawet tak jak my, kiedy zatajamy fakt, że umiemy pływać.

Oboje byliśmy jednymi osobami w grupie, które według wszelkich reguł sztuki nauczyły się w dzieciństwie pływać. Ale żeby to nie wyglądało podejrzanie — a może z przekory? — zachowywaliśmy się tak nieporadnie, że Posea, z podwiniętymi nogawkami stojący po kolana w wodzie, wołał szyderczo: „Wy, mieszcuchy, pływacie jak siekiera!”.

— Lud nazywa partyzantów naszą ostatnią nadzieją.

Powiedziałem z namysłem:

— Naszą nadzieją nie są. Niewiele się spodziewamy po śmiałych akcjach. My, Sasi, zawsze podporządkowywaliśmy się każdemu rodzajowi zwierzchności. *Circumspecti*, rozważni, tak od dawien dawna mówiono na nas w Siedmiogrodzie i tak nazywaliśmy się aż do Wysokiej Porty i do samego Wiednia.

— To może się przekształcić w tchórzostwo — rzuciła Ruxanda.

— Kochana, podziwiam bez reszty tych partyzanckich bojowników — przyznałem — ale to, co robią, wydaje mi się bez perspektyw. I straszne. Nie mogę sobie wyobrazić, żebym się zaangażował w opór przeciwko reżimowi, w jakiegokolwiek formie. Chociażby z tego powodu, że jestem zbyt wielkim tchórzem.

— Mój malutki tchórz — powiedziała Ruxanda z czułością. — Jak to ładnie brzmi po rumuńsku. — Położyła obie ręce na moich kolanach. — Ojej, tyle skóry! Wy i te wasze tyrolskie spodnie. Nie można cię pod nimi wyczuć dotykiem. Ale co proponujesz? Czy jest jakaś alternatywa dla kraju, dla narodu?

Powiedziałem jedynie:

— To jest wasz naród, to jest wasz kraj.

Milczała. Długo. Przetoczył się koło nas Mały Wóz. Nagle powiedziała coś zastanawiającego:

— Po czterdziestym czwartym roku wszyscy straciliśmy niewinność. — I dodała: — Oprócz króla.

Naprzeciwko rozjaśniło się okno. Do izby weszła kobieta, włosy miała już rozpuszczone, co nadawało jej wygląd luntaczki. Jej mąż też już rozpiął swoją haftowaną koszulę bez kołnierzyka. Szybko pozbyli się ubrań, rozrzucając je bez troski na wszystkie strony. W jednej chwili byli obnażeni i nadzy. Nie przejmowali się lampą, którą postawili na krzesło, odwrócili się do siebie i padli sobie w ramiona. Mężczyzna tak mocno przycisnął ukochaną do siebie, że jej biust zniknął w gęstwinie jego owłosionej piersi. Ona zaczęła czubkami palców gładzić jego lędźwie.

— Chodźmy — powiedziała Ruxanda i pociągnęła mnie za sobą. Ale zostaliśmy jeszcze. Przy jakimś ognistym ruchu młodej pary krzesło z lampą naftową przewróciło się. — O mój Boże, oni się tam żywcem spalą! — W tej samej sekundzie za oknem zrobiło się ciemno.

Przewodniczący porozwoził nas w górę rzeki ciężarówką na szerokich oponach. Siedzieliśmy przykucnięci na platformie. Każde z nas miało na głowie rozcięty worek po cukrze z napisem „Cuba”. Nieprzemakalny materiał chronił nas przed wiatrem i deszczem. Chłopi przerywali na chwilę sianokosy i ze zdziwieniem przyglądali się grupie białych krasnali ogrodowych.

Ruxanda i ja pierwsi ruszyliśmy dalej na piechotę, tuż przed nami znajdowały się góry. *Camion* zawrócił i ruszył z warkotem w dół doliny. Co kilka kilometrów dwóch pasażerów zsiadało, żeby do jutra obejrzeć nadrzeczne błonia i wypytać ludzi. Mieliśmy nocować u chłopów. Nasz odcinek przypadł nam w drodze losowania. Sięgał tam, gdzie Ciepły i Zimny Samosz łączą się w jedno koryto u stóp stromych skał.

Wędrowaliśmy powoli, wypytywaliśmy ludzi, którzy na łąkach grabili siano, zatrzymywaliśmy się w zagrodach zbudowanych na nadrzecznych terasach. Ruxanda mówiła:

— Nie zapisujcie się do kołchozu, Amerykanie przyjdą. A może chcecie waszą ziemię i dobytek, odziedziczone po ojcach, wypracowane w pocie czoła, oddać na pożarcie tamtym złodziejom?

Ja nie mówiłem nic.

Państwo tyle im zabiera ze zbiorów, skarżyli się chłopci, że jesienią zostają z pustymi rękami, nie mają nawet ziarna na siew. Władze nieubłaganie windowały kontyngenty. Niektórzy musieli nawet dokupować owoce, żeby nie wylądować w więzieniu.

— Odwagi i cierpliwości. To już długo nie potrwa.

I ciągle powodzie i wylewy. Starzy ludzie nie byli w stanie podać dat, musieli więc powiązać katastrofę z innymi wydarzeniami: kiedy cesarz Franz Joseph zastrzelił swojego syna Rudolfa, kiedy tamten nędzny komunista zadźgał pilnikiem piękną cesarżową Elisavetę, kiedy wybuchła wielka wojna, kiedy potem grasowała hiszpanka, kiedy umarł rumuński król Ferdynand, bo tak zmarniał ze zgryzoty przez swojego syna Karola, który związał się z Żydówką, że razem z orderami ważył nie więcej niż trzydzieści dziewięć kilo.

Ale im bardziej zbliżaliśmy się do naszych czasów, tym mniej skłaniały ludzi do wspomnień powodzie i niepogody. Teraz były to burze historii: niemieccy żołnierze, choć się wycofywali, oddawali swoje kwatery wysprzątane na wysoki połysk, łóżka były pościelone, podłoga zamieciona. I dobrze płacili, nawet za ostatni litr mleka, jaki wypili na śniadanie, kiedy już słychać było pierwsze salwy radzieckiej artylerii. „I zawsze czyści, ogoleni i wyperfumowani ci Niemcy, jakby szykowali się na potańcówkę”.

Ale za to Rosjanie... Tu ludzie czynili znak krzyża.

Musieliśmy zejść do piwnicy. Stały tam beczki na wino pełne otworów po kulach, bo Rosjanom nie chciało się wybijać szpuntów; niektórzy potopili się w winie. Musieliśmy wspinać się na dach, dokąd nie dostali się pijani Rosjanie, żeby obejrzeć schowki dla żon i córek, w dymniku lub w wędzarni. Niejeden barbarzyńca połamał sobie tutaj kark albo nogi, ha ha. Wobec takich kataklizmów każda powódź to uprzejmość ze strony Boga.

Na obiad jedliśmy nasz prowiant: ser z cebulą, chleb z marmoladą. Posługując się szkłem powiększającym i garścią siana, roznieciłem ogień. Ruxanda ugotowała w blaszanej puszcze dwa jajka, które dała nam pewna chłopka. Smażyliśmy młode kartofle, które wykopywaliśmy z ich gniazd. Pstryknięciami ciskałem w ogień wstrętne żuczki kolorado, stonkę — zrzucaną przez Amerykanów z samolotów, by opóźnić kolektywizację rolnictwa, jak brzmiała wersja oficjalna — która zjadała ziemniaczane liście.

— Przecież tu nie ma skolektywizowanych gospodarstw — tłumaczyłem Ruxandzie, która cieszyła się z amerykańskich szkodników:

— Każdy środek jest dobry, żeby zaszkodzić temu reżimowi!

— Każdy? To w takim razie mogliby od razu zrzucić bombę atomową.

— Boże, uchwaj nas! — zawołała.

Wodę piliśmy z kryształowo czystej rzeki. I kąpaliśmy się. Wynaleźliśmy głębokie miejsce przy stromym zboczu i pływaliliśmy, ile dusza zapagnie, jakby nie istniała republika ludowa. Na wyścigi chwaliliśmy się, co potrafimy, płynęliśmy kraulem pod prąd. Ruxanda pokazała mi nowinkę z Ameryki: motylka, *butterfly*. Wyskakiwała z wody i wyrzucała ramiona pod prąd, przy co drugim wymachu skrzydeł unosiła pokrytą pianą i kroplami twarz nad wodę, jednym haustem nabierała powie-

trza i znowu się zanurzała. Cał po calu przesuwiała się w górę doliny. A potem delfin: ślizgiem wynurzała się z wody i zanurzała z powrotem, jej ciało połyskiwało. Leżeliśmy w słońcu i liczyliśmy przelatujące motyle.

Pod wieczór dotarliśmy do miejsca, gdzie łączyły się dwa strumienie. Na cyplu, z obu stron otoczony wartkim nurtem, stał nieczynny młyn. Częściowo był spalony. Zwęglone pale sterczały w niebo. Okna budynku mieszkalnego wyglądały na ślepe. Koło nie poruszało się w swym wyschniętym korycie. Bezczynny mechanizm nadawał temu miejscu jakiś zaczarowany urok. Z tyłu wznosiła się ściana skalna z wielkim nawisem, jakby jakiś olbrzym powygiął granitowe masy. Stromizna zamykała cypel od strony lądu, a powyżej skał zaczynał się mieszany las. Nie było żadnego wiszącego pomostu ani drewnianej kładki. Przypięliśmy mocniej plecaki i ruszyliśmy przez spienioną wodę, pomiędzy ogromnymi okrągłymi głazami.

W pewnej chwili Ruxanda krzyknęła i zatrzymaliśmy się. W jednym z maleńkich okien ukazało się dwoje oczu, wyglądały przez dłuższą chwilę. Potem otworzyły się drewniane drzwi, wyszła z nich kobieta, spojrzała na nas podejrzliwie i zapytała, czego chcemy. Czy moglibyśmy tu przenocować? Wyszła krok przed dom i wzięła słoik z kiszonymi ogórkami, które fermentowały na słońcu, przykryte razowym chlebem. Nie udzieliwszy nam odpowiedzi, zamknęła za sobą drzwi. Czekaliśmy, a w tym czasie słońce zaplątywało się w szczyty jodeł.

Wyszedł do nas mężczyzna z zarośniętymi policzkami, usiadł na kamieniu przed stodołą i zaczął zadawać pytania. Ruxanda cierpliwie na nie odpowiadała. Gdy wyznała, że jest wnuczką protopopa z Ribitzy, lody zostały przełamane.

— Wszystko wiemy: jeden syn padł na froncie wschodnim w krucjacie przeciwko bolszewikom, drugi nie wrócił

z sowieckiej niewoli. Jak już Ruscy na czymś położą łapę, to trzymają, o ile od razu nie rozwalą albo nie spalą. A jego wnuk jest tam wysoko! — pokazał na skalną ścianę i wznoszący się ponad nią wysoki las. — A co to za młody człowiek? — wycełował we mnie palec.

— Mój kolega ze studiów.

— To dobrze. Ale muszę wiedzieć o nim więcej.

— Jest siedmiogrodzkim Sasem.

— Sas z Siedmiogrodu? To w takim razie swój człowiek.

Weszliśmy do kuchni skąpo oświetlonej lampą naftową. Przy stole siedziała kobieta, którą widzieliśmy przedtem. Jej haftowana bluzka miała brązowe plamy. Czytała Biblię. Na drewnianej pryczy leżała stara kobieta.

— Kto to jest? — wychrypiała i spojrzała na nas zmętniałymi oczami.

— To wnuczka ojca Stoicy z Ribitzy i *un neamț*.

Kobieta podniosła się nagłym ruchem.

— Niemiec? — Cienkie białe warkoczyki zwisały jej do ramion. — Kiedy wreszcie przyjdą Niemcy i zrobią u nas porządek? — zapytała, a jej żółtawe oczy się ożywiły. Potem położyła się z powrotem.

Mężczyzna powiedział:

— Gdyby Niemcy zostali, koło młyńskie kręciłoby się do dzisiaj. Wszystko nam zabrali ci komunistyczni bandyci: najpierw przyszli Ruscy, podpalili młyn. Chcieli udowodnić, że młyn wodny także potrafi się palić. Teraz komuniści tylko wykorzystują wszystkich. Zaduszają nas tymi kontyngentami. A od czasu do czasu pojawia się jeszcze Securitate i się szarogęsi. Podejrzewają mnie, że wspieram partyzantów. Ale pozbyliśmy się tych z Securitate. — I opowiedział nam, jak im się udało przed nimi obronić: najpierw zniszczył kładkę nad strumieniem, potem, kiedy zarekwirowano mu konia i wóz, rozebrał też drewniany most. Ale i to by pewnie nie

wystarczyło, gdyby na pomoc nie pośpieszył *Sfântu Ilie*, Eliasz w ognistym wozie. Kiedy 23 lipca, w dniu jego imienin, dwaj ludzie z Securitate przechodzili po kamieniach na drugą stronę strumienia, opryskani wodą od stóp do głów, rozpętała się burza. Jednego z nich trafił piorun i zaraz porwał go bystry nurt. — Nie wiem, czy uszedł z życiem. Ale kapitanowi piorun owinął się wokół ciała. Urwał mu pas z pistoletem, zdarł mu nawet spodnie koloru khaki, tak że oficer z gołą dupą i przyrodzeniem na wierzchu, z przeproszeniem panienki, stał w ulew- nym deszczu na środku wzburzonego strumienia. — Ubrany tylko w oficerki i płaską czapkę z daszkiem pobiegł z głośnym krzykiem do pobliskiego żeńskiego klasztoru. Tam zakonnice spryskały półnagię mężczyznę wodą święconą i zaraz tak spowiły w opary kadzidła, że jego nagość i męskość stały się prawie nierozpoznawalne. Potem w zakonnym habicie wysła- ły go do domu. W taki oto cudowny sposób święty Eliasz uratował ten dom przed dalszym bezprawiem. Tak, a w dodatku szlachetnym mateczkom, pobożnym oblubienicom niebios, wyzarował przed oczami męskie intymności, ho ho!, które dopiero w życiu wiecznym miały dla nich zakwitnąć. — *Slava lui Sfântu Ilie!*

Czy nie boją się mieszkać w tej dzicy i pustkowiu, zapytała Ruxanda. Odpowiedziała kobieta, nie patrząc na nią:

— Ja i tylko Ja jestem twym pocieszycielem. Kimże ty jesteś, że drżysz przed człowiekiem śmiertelnym i przed synem czło- wieczym, z którym się obejdą jak z trawą? Izajasz.

Mężczyzna dodał:

— Nie boimy się. Securitate nigdy tu nie zaglądała od tam- tego czasu.

Kolację zjedliśmy przy wyszorowanym stole, mąż i żona z jednej blaszanej miski. W zupie kminkowej maczaliśmy chrupiącą skórkę czarnego chleba. Do tego kozi ser przypra- wiony szczypiorkiem i koprem oraz ogórki kiszone. Starą

matkę trzeba było karmić. Córka moczyła kawałki chleba w zupie i wsuwała staruszce do bezzębnych ust. Na deser były jagody. Kobieta rozdrabniała je zębami na papkę, którą podawała matce z ust do ust.

Przed jedzeniem kobieta podała gospodarzowi Biblię. Przeczytał psalm 23: „Pan jest pasterzem moim, niczego mi nie braknie... Zastawiasz przede mną stół wobec nieprzyjaciół moich”, te słowa powtórzył dwa razy. Po skończonym posiłku wstaliśmy i odmówiliśmy Ojciec nasz, każde w swoim języku. Mężczyzna uczynił znak krzyża na czole i na piersiach. Zwrócił się do czarnej ściany skalnej i prosił dobre anioły nocy, żeby czuwały nad domem, zagrodą i wszystkimi, którzy do niej wchodzą i wychodzą.

— Będziecie spali w stodole, nad stajnią. W stajni zostało nam jeszcze parę kóz.

Położyliśmy się spać, nasze zmysły oszołomił zapach siana, ukołysał nas głośny szum potoków.

Nagle coś nas obudziło. Wyjrzelśmy znad dachu stajni na klepisko i naszym oczom ukazała się niesamowita scena. Pop w czerwono-złotym ornacie celebrował liturgię przy małym stolczku. Dwie świece rzucały łagodne światło. Mały ołtarzyk przykryty był płótnem tkanym w barwne wzory. Na nim stał kielich, obok którego leżał złoty krzyż wysadzany drogimi kamieniami. Przed kapłanem klęczał człowiek w moro. Głowę i plecy przykrywała mu szeroka stuła ze złotym obramowaniem, pod którą pop wysłuchiwał jego spowiedzi.

Dwie inne postacie, podobnie ubrane, z karabinami w pogotowiu opierały się wyczerpane o wrota stodoły. Ich oczy nieustannie przeszukiwały otoczenie. Wszyscy nosili spodnie. Ich twarze były ogorzałe, wychudzone i podobne do siebie, sprawiały wrażenie masek. Jedna z tych osób mogła być kobietą. Choć trzymała pistolet maszynowy, jej ręce miały w sobie coś delikatnego.

— To oni — szepnęła Ruxanda i chciała się podnieść. — To jest godzina, którą wybrał Bóg. Idę z nimi.

Leżeliśmy na brzuchu i spoglądali w dół. Podniosłem cicho ramię i przycisnąłem ją mocniej do siana. Miała na sobie tylko halkę.

— Tak nie możesz iść.

Pop tymczasem półgłosem wyśpiewał swoją litanię do końca. Podniósł do góry stulę, natarł twarz klęczącego święconą maścią, by złe duchy nie miały nad nim władzy. Potem uwolnił grzesznika, ogłosił go wolnym od grzechów na mocy polecenia Chrystusa dla jego Kościoła, by wiązać i uwalniać, jako w niebie, tak i na ziemi. Ze srebrnego kielicha zaczerpnął łyżeczką odrobinę chleba zmieszanego z winem i wsunął mężczyźnie do ust. Trzy razy uczynił nad nim znak krzyża. Mężczyzna wstał chwiejnie, jakby dopiero się obudził, jakby wracał z innego świata. Ucałował dłoń popa, ten zaś go uściskał.

— Idę z nimi! Zobacz, wśród nich jest nawet jedna kobieta, pójdę z nimi — szeptała Ruxanda, choć tak przyciskałem jej głowę do siana, że prawie nie mogła oddychać.

Z niezemską powolnością cały rytuał powtórzył się jeszcze dwa razy. Nie poddając się napięciu sytuacji, pop z pokorą odprawiał liturgię tej godziny. Poprzez swoje śpiewy i modły zaprzeczał tym straszliwym czasom, przywoływał kawałek wieczności, która odczyniała wszystko, co złe, brała wszystkich w opiekę.

— Idę razem z nimi! Do mojego kuzyna Mircei, moje serce i ciało usychają z tęsknoty za nim.

Duchowny zgasił jedną świecę, zrolował stulę, podał całej trójce rękę, kobiecie i obu mężczyznom, odczekał cierpliwie, aż owiną się w swoje brezentowe okrycia, pod którymi ukryli pistolety. Ukląkł pogrążony w modlitwie, czekając, by tamci rozplłynęli się w nocy. Potem zgasił drugą świecę i wyszedł.

Teraz usłyszeliśmy, jak szumią oba potoki, każdy trochę inaczej, słyszeliśmy, jak pienią się ich wody, te z zimnych i te z ciepłych źródeł, zanim się połączą.

Z powrotem położyliśmy się na naszych workach po cukrze z napisem „Cuba”. Ruxanda wtuliła się pod moje ramię, jej łzy kapały na moją koszulę, zwilżały mi pierś. Zapach siana zamknął się nad nami.

— Weź mnie! Niech wreszcie przemówi twoje serce. Jesteście zbyt dumni. Weź mnie!

Wojskowe buty stukają na korytarzu. Szczękają zasuw. Znowu przychodzą po mnie, o tak wczesnej godzinie. Jej powieki, tak delikatne jak jej wargi... Pozwalam się wyprowadzić. Jedenaście stopni w górę i jeszcze raz jedenaście.

Nadchodzi chwila, kiedy ci z góry wyganiają mnie ze wszystkich dających pociechę nisz dnia. Jeszcze się nie obudziłem, a już w mroku poranka wzywają mnie na przesłuchanie. W porze obiadu, nawet nie zdążyłem jeszcze opróżnić blaszanej miski, gdy słyszę: — Masz tu okulary, idziemy! — Wieczorem łoskot rygli: — Jak się nazywasz? Naprzód marsz! — Nie mam już własnego czasu. Pędzą mnie przez dzień od wczesnej szarówki do wieczornego dzwonu. Uciekam w najdalszy kąt celi, siadam na wiadrze z uryną. Lękliwie nasłuchuję, czy w szuranie i tupot z korytarza, gdzie odbywa się poranny rytuał, nie wplata się stukot wojskowych butów, zmierzający do mnie. Czekałam na zbawienną noc.

Musi nadejść czas ratunku! Jeśli nie inaczej, to ze złotych nozdrzy Boga, ze złotych klamer jego butów z krokodylej skóry. Musi nadejść nowy czas!

Zaczynam od nowa, skulony, nasłuchujący. Czasów, w których żyjemy, nie możemy sobie wybrać. Ale własny czas tak. Gdzie mam zacząć?

Ręka w rękę siedzieliśmy na ławce w Parku Stalina. Annemarie Schönmund czytała *Księgę godzin* Rilkego. Zziębniętymi palcami przytrzymałem jej książkę, a obłoki mgły spowijały nagą Wenus. „Dojrzewają czerwone berebrysy...”. Musiałem uczyć się na pamięć rzeczy, które poruszały duszę Annemarie. I nauczyłem się: „Czas jest moim najgłębszym bólem...”. Zapamiętałem także to:

Godzina się zniża, dotyka mi czoła
metałem swych czystych brzmień..
i drżą moje zmysły. I czuję: podołam —
i chwytam plastyczny dzień*.

Godzina, która się zniża, czy to nie mogłoby oznaczać: z innych obszarów i sfer spływa czas, który chroni? Mgła i Wenus. „Dotyka mi czoła”, jak tutaj w noc sylwestrową. Czas cudów, wszystkie dwanaście świętych nocy między Bożym Narodzeniem a świętem Trzech Króli, kiedy to w naszych wioskach zwierzęta domowe rozmawiają po sasku ze szczęśliwymi dziećmi i czeladzią.

Wyśmiewałem takie rzeczy na wykładach z historii religii. Profesor Albert Sontag, który czerwieniał, kiedy na nas patrzył, i dlatego wykładał, mrużąc w swoją brodę, podniósł wreszcie głowę i zrugął materialistycznie płaską młodzież, że traci wyczucie dla boskości. Spojrzał gorliwie na gipsowego Lutra, stojącego w kącie twarzą do ściany. Ktoś wytrącił mu z ręki Biblię.

Choć wydawało mi się to niegrzeczne i bardzo współczułem profesorowi, nie dawałem za wygraną. Kwestią sumienia stało się dla mnie udowodnienie, że Biblia to kłamstwa i zmyślenia. Ta cała boskość to wyrafinowana konstrukcja myślowa,

* Przełożył Mieczysław Jastrun.

wykoncypana tylko po to, żeby namieszać ludziom w głowach, według Marksa opium dla ludu.

— Na przykład arka przymierza — kondensator elektryczny! To wyjaśnia, dlaczego śmiałkowie padali martwi po dotknięciu zaczarowanej skrzyni. Wszystko jest jasne jak słońce: złoto, kość słoniowa, złoto, tak jest napisane w Biblii. W języku elektrostatyki: metal, izolator, metal. Butelka lejdejska naładowana elektrycznością, w żadnym razie gniewem bożym. Zresztą cóż to za podejrzany i odrażający Bóg — szydziłem — który zabija ludzi, bo dotykają jego własności? Kondensator elektryczny, to owszem, zbudowany przez cwanego Mojżesza, ucznia egipskich kapłanów. — Nie pozwoliłem, by silny rumieniec na twarzy profesora zbił mnie z tropu. — Dzisiaj wiadomo, jak ci świętoszkowaci obłudnicy wykorzystywali swoje odkrycia, żeby wprawiać ludność nad Nilem w paniczny strach i zaspokajać swoją potrzebę władzy.

Było nas sześciu dziewiętnastolatków, zebrani wokół profesora siedzieliśmy w piwnicy Protestantckiego Instytutu Teologicznego w Klausenburgu przy stole do ping-ponga, otumanieni zapachem perfum, który nadal ciężko wisiał w powietrzu tego byłego magazynu drogerijnego. W owym pomieszczeniu, zwanym Hadesem, będącym magazynem starych mebli i innych rupieci, gdzie tylko nasze rowery były sprawne, profesor przeprowadzał nas przez pustynie Starego Testamentu i religii starożytnych, podczas gdy my pożądliwie spoglądaliśmy na łydki kobiet i dziewcząt przechodzących chodnikiem obok piwnicznych okienek.

Na przerwach wskakiwaliśmy na rowery i urządzaliśmy gonitwy. Czasem ktoś wyjmował harmonię i rozciągał jęczący instrument, aż trzeszczał miech.

Po roku pokazałem plecy teologii i Hadesowi, nienawrócony i zarozumiały.

Ale teraz łaknę tej ulotnej wiedzy. Wpatruję się w bieloną ścianę i maltretuję swój mózg. Wszystko, co wtedy wyśmiewałem i wykpiwałem, próbuję przywołać na powierzchnię. Poświęcam odrobinę pasty do zębów i rozsmarowuję na ścianie. Zapach esencji i olejków eterycznych łaskocze w nos, wywołuje w mózgu sygnały: dawne zapachy, rzeczy wyuczone, słyszane, wyśmiane. Wszystko wraca z głębin pamięci, z kurzu Hadesu, przechodzi mnie dreszcz! Dostarczam mózgowi bodźców i on reaguje: przypominam sobie, jeszcze jak! W przeblyskach wiedzy czuję zadowolenie z siebie. Święty czas przychodzi jak burza z piorunami, otwiera się niebo. Jak to było z uciekającym Jakubem, który na środku pustyni ułożył się na spoczynek z kamieniem pod głową? Rilke czuł to, napisał, że każda rzecz jest strzeżona przez lotną dobroć... Ale Biblia mówi, że niebo otworzyło się i Jakub ujrzał aniołów na drabinie, jak wstępują i zstępują po niej. A następnego ranka, klęcząc na kolanach i wznosząc ręce do góry, drżący jak osika, powiedział, że jest to święte miejsce.

Ale aż tak wysoko nie mierzę. To dla mnie za blisko biblijnego Boga, na którego gorącej świętości poparzyłem sobie palce. Lotna dobroć na ziemi wystarczy. Odkąd tu siedzę uwięziony, nie wypowiedziałem słowa Bóg. Nie modliłem się też i nie błagałem.

Nie daje mi to spokoju: czy ten dziwny czas, który spada na pobożnych jak deszcz gwiazd, nie nazywa się hierofanią? Pojęcie, z którego się wtedy natrzęsałem, ale jednak żądny wiedzy przyswoiłem je sobie: hierofania — objawienie się świętości, boskości w powszednim świecie.

Pobudzony zapachem pasty do zębów przypominam sobie to, co słyszałem w Hadesie, że wtajemniczeni rozróżniają czas święty i czas powszedni. Przy czym obie te kategorie wykluczają się wzajemnie, potem znów uzupełniają się, a nawet przenikają. Profesor Sontag twierdził, że czas religijny

napływa do świata, spływa z zaświatów i odbiera ludziom czas powszedni.

Przypominam sobie, wdychając aromaty, że każdy dowolny punkt w czasie i każdy przedmiot może zostaćznaczony *sacrum*. W każdym momencie niebo może się otworzyć i po drabinie możesz uciec od spraw ziemskich. Miejsce, w którym jesteś więziony, może stać się przejściem do sakralnej osi świata.

Ale jak to się odbywa? Jak mogę to przywołać, wyczarować, ten czas z wysokich sfer, który uniesie mnie stąd, jak Henocha i Eliasza? Gdyż jako wykształcony luteranin wiem aż do obrzydzenia, że Bóg despotycznie odmawia pomocy. Nawet Lutrowi nie udało się go do tego skłonić, przecież to Bóg bezwzględny i nieobliczalny.

Należy się uczyć od ludów prymitywnych, skromnie trzymać się ziemi, tak. Uczyć się od nich, że w ciągu dnia każda godzina ma swoje własne przeznaczenie i charakter, że każda godzina oznacza ochronę, ale także pewien element zagrożenia. Dajakowie...? Moja pamięć staje się przezroczysta jak stopiony kryształ. Rekonstruuje pięć pór dnia, jakie rozróżniają, pory łaskawe i niełaskawe.

Przy wschodzie słońca jest korzystny czas na podejmowanie przedsięwzięć. Nie należy tylko wychodzić na polowanie lub połów ryb. Tego trzeba się wystrzegać. Ale także nie należy wyruszać w podróż. Mam nadzieję, że nie odeślą mnie stąd właśnie wtedy, kiedy wschodzi słońce.

Okolo dziewiątej rano: ten okres zaczyna się nieszczęśliwie. To prawda, właśnie wtedy ci z góry zwykle wzywają na przesłuchanie. Ale ta pora oznacza również: jeśli wyrusza się w drogę, jest się strzeżonym przed rozbójnikami. Także i to się zgadza: tutaj rozbójnicy nie mogą nam nic zrobić, kiedy pod strażą wyruszamy w drogę, jedenaście stopni w górę i jeszcze raz jedenaście.

Południe: jest to szczególnie szczęśliwy czas. Rzeczywiście można tak powiedzieć.

Trzy godziny po południu: czas dobry dla wrogów. Warto wiedzieć. Popołudniowe przesłuchania: trzeba mieć się na baczności.

Czas zachodu słońca: krótka szczęśliwa pora. Z pewnością, jeśli ma się szczęście.

To jest już jakiś porządek. Gdyż tylko tam na świecie, gdzie działa świętość, wykładał nam profesor Albert Sontag, istnieje realna rzeczywistość. Patrząc w ten sposób, żyjemy poza rzeczywistością. Ale jak mam przywołać świętość?

Jednak istnieje wyjście, które od początku przychodziło mi do głowy, na miarę wielkiego czasu! Zakończenie.

Realność śmierci dotknęła mnie wcześniej. Miałem siedemnaście i pół roku, kiedy pewnej niedzieli na podwórku szczyrzego zamku napadła mnie śmierć. Ciemne uderzenie trafiło mnie w oczy. Słońce przygasło. Po raz pierwszy uświadomiłem sobie, że muszę umrzeć. Nagle poczułem się tak, jakby moje ciało było zwłokami w trumnie, widziałem, jak zjadają mnie robaki.

W szkole, w Liceu Radu Negru Vodă, podczas pisania spóźnionych egzaminów czułem, jak ciało odchodzi mi od kości palców. Gdy podnosiłem wzrok na nauczycieli, szczyrzyły się do mnie czaszki. Na lekcji fizyki wykrzykiwałem: „Nie! Nigdy! *Nu vreau!*”. Krzyczałem tak, że zakłóciłem doświadczenie z wahadłem, i nauczyciel kazał mi wyjść. Z rękami przyciśniętymi do skroni biegłem przez korytarze i skrzydła budynku, gdzie echo odbijało się od ścian.

Ostatnie rżężenie — koniec! Moje ciało jest tylko bezwładną kukłą z ruchomymi członkami. Teraz zajmą się mną ponure postacie: czopy z formaliny do wszystkich otworów ciała, a potem maskarada z ubieraniem: ciemny garnitur, rozcięty

na plecach, na stopach czarne skarpetki, przez które przebijają się potem rosnące paznokcie, nie wkładają mi żadnych butów, taki jest zwyczaj u oszczędnych Sasów. Później, zanim wieko trumny zostanie przybite, rozwiązanie spętanych rąk i nóg, żebym lekkim krokiem mógł wejść w życie wieczne, a na końcu dudnienie kawałków darni przy zasypywaniu grobu.

W nocy obudziłem całą rodzinę w naszym jedynym pomieszczeniu, które służyło jako pokój dzienny, sypialnia i pokój dziecienny. Matka wspięła się do mnie na górę piętrowego łóżka. Pocieszała mnie szeptem, mówiła, że rozumie mój smutek, że dawno temu przeżywała coś podobnego, prosiła o wybaczenie, że nie ma czasu na inne rzeczy, tylko musi pracować dzień i noc i łamać sobie głowę, jak zapewnić nam codzienny chleb. Przedtem, kiedy czas jeszcze należał do niej i mogła sobie pozwolić na smutki — „wtedy, w domu z kamiennymi lwami, jak wy to nazywacie; mój Boże, jakby to się nigdy nie zdarzyło!” — miała na to wypróbowany środek: wyobrażała sobie podróże do niezwykłych krajów: San Marino, Andora, Liechtenstein. Marzyła o spacerach przez stolice o skomplikowanych nazwach, na przykład Tananariwa, Abidżan albo Monrowia.

Rezydowaliśmy w rozpadającym się budynku, który partia zaofiarowała nam jako mieszkanie po wypędzeniu nas z domu z kamiennymi lwami i zimie spędzonej w składzie mebli. Budynek stał pusty, bo miał zostać zburzony. Nazywaliśmy go szczurzym zamkiem. Szczury były wszędzie. Nawet w ustępie sięgały człowiekowi do gołego tyłka. Mój brat Kurt Feliks nigdy nie szedł tam bez swojego sztyletu. Często wracał z trofeum w postaci szczurzego ogona, przy którym wisały jeszcze krwawe strzępy.

Oba pomieszczenia tej rudery były zapchane spiętrzonymi meblami. Klubowe fotele górowały na szafach jak potwory, piętrowe łóżka tworzyły sarkofagi. Szczury pchały się do pokoju,

w którym spaliśmy w szóstkę, każdy na osobnym pościaniu — pozostałość burżuazyjnego życia. Moja matka przymocowała nad łózkami małżeńskimi, które już nie stały obok siebie — bo po co? — po jednym legowisku. Na dolnych piętrach spali ojciec i matka, na górze leżeliśmy my, starsi chłopcy. Uwe związał się w kłębek na kanapie.

Siostrzyczka spała na stole. Pewnej nocy zaatakował ją szczur, który ugryzł ją w skrzydełko nosa. Ze strachu zabrakło jej powietrza, nie mogła krzyknąć, sapała tylko, jakby się dusiła. Dopiero kiedy matka chochlą zaczęła tłuc szczura i dziecko, ten zostawił dziewczynkę, która wybuchnęła zbawczym szlochem.

Tam, w szczurzym zamku, spadła na mnie śmierć.

A potem włamują się w noc, dotąd moją jedyną ucieczkę w czasie. Płonące anioły, czerwone szczury. Potrząsają mną, żebym się obudził: — Ubierać się! *Repede!* — Wykurzyli mnie z moich skrytek i nisz. Choćbym nie wiem jak się bronił i wyrywał, cokolwiek bym robił, nie ma godziny bez szantażu. Nie ma minuty, która nie należałaby do diabła. Pragnę śmierci.

Kiedy pierwszy raz przychodzą po mnie w nocy, jestem tak przerażony, że nie mogę włożyć ubrania, aż tak trzęsą mi się ręce. Rozespany strażnik w kapciach pomaga mi, podczas gdy posłaniec nocy wywija blaszanymi okularami. — *Repede, repede!*

W korytarzach panuje grobowa cisza. Nawet żołnierz przy moim boku mówi szeptem: — Jedenaście schodów w górę, trzy kroki... — Moja ostatnia nadzieja lęka się przekształcenia w myśl: a może jednak doktorowi Scheditnowi udało się uzyskać dla mnie zwolnienie.

Kapitan, który przed kilkoma dniami groził mi Paryżem, nie zwraca na mnie uwagi. Przez słoneczne okulary wpatruje się w noc, płaską czapkę wojskową ma naciągniętą na czoło, nagle pyta:

— Jakich lekarzy znasz w Stalinstadt?

— Doktora Scheditana? — wyczekująco patrzę w jego stronę.

— Niemieckich lekarzy! — prycha.

Niemieckich lekarzy? Żeby zyskać na czasie, mówię:

— Znam tylko saskich lekarzy.

Oficer odwraca się do mnie:

— Zapisz to sobie raz na zawsze za swoimi niemytymi uszami: Sasi to Niemcy. A teraz gadaj, bo jak nie, to ci

przypiekę zadek! — Przypiec zadek? To coś nowego, tego jeszcze tu nie słyszałem. Przestraszony mówię:

— Doktor Paul Scheeser. — Czarna owca wśród socjalistycznych lekarzy. Ponieważ wypisywał recepty zielonym atramentem, partia zarzucała mu, że żywi sympatię dla zielonych koszul*. Bardzo był tym zdziwiony. Co Sas mógł mieć wspólnego z takimi ludźmi? Zachwycaliśmy się przyjemną zielenią ich koszul, dziwiliśmy się, że po trzykroć wznosząc ręce w rzymskim pozdrowieniu, wyrzucając je z wysokości piersi z okrzykiem: *I numele Tatălui și a Fiului și a Sfântului Duș*. W imię Trójcy Świętej strzelali do swoich wrogów. To, że doktor Scheeser pośpiesznie przeszedł na czerwony atrament, nic nie pomogło. Wysłali go do obozu pracy nad kanał Dunaj–Morze Czarne.

— A w Klausenburgu? — Ziewa. To dobrze czy źle?

— Doktor Klaus Schmidt. — Okulista cieszący się dużym wzięciem. Wysłano go na wieś, gdzie kurował czkawkę i ból brzucha u chłopów, a funkcjonariuszom partyjnym zapisywał okulary ze zwykłego szkła.

— W Hermannstadt?

— Doktor Gunther Hart. — Ten Hart powinien pasować. Był publicznie szykanowany przez nazistów. Zamiast maszerować z grupą albo męczyć się na biegach terenowych, siedział sobie w Rzymskim Cesarzu, w półcyldrze, palił cygaro i czytał „Peszteńskiego Lloyd’a”. Kiedy raz kelner ze swastyką w klapie podał mu gazetę „Völkischer Beobachter”, doktor Hart podpalił ją zapalniczką, aż spłonęła razem z bambusowym uchwytem. Kawa i woda sodowa nie zdołały ugasić ognia.

— Kogo jeszcze?

* Zielone koszule — tradycyjny strój Żelaznej Gwardii, faszystowskiej organizacji bojowej działającej w Rumunii w latach 1931–1941.

— Doktora Meedta. — Jest z nami spowinowacony, ożenił się z moją ciotką.

— Imię? — Ma na imię Adolf, chciałem to zataić.

— Doktor Meedt, pediatra. Więcej nie wiem.

Człowiek nocy otwiera czarny zeszyt. Widzę go z profilu: daszek czapki i okulary słoneczne zasłaniają górną część twarzy. Jego oblicze wygląda więc, jakby składało się tylko z nosa, który, węsząc, nagle wyrasta nad górną wargą. Palcem wskazującym przejeżdża w dół strony i mówi:

— Aha! Adolf mu na imię. A więc kryjesz hitlerowca.

— Doktor jest urodzony przed rokiem 1889 — mówię z ulgą.

— Ach tak, więc nawet zapamiętałeś, kiedy urodził się Hitler. — Zapisuje coś. — Dalej: lekarze w Fogaraszu?

— Doktor Feder.

— Co o nim wiesz? — Niejedno, myślę. Blizna na lewym policzku. Bractwo studenckie. Cięcie szablą w pojedynku. Niedobrze! Choć złe języki mówiły, że kiedyś po pijanemu wpadł do studzienki kanalizacyjnej. Studzienka kanalizacyjna tutaj brzmi chyba lepiej niż cięcie szablą. Mówię:

— Jest lekarzem w klinice.

— Ktoś jeszcze?

— Doktor Schul. Nasz były lekarz domowy. Jest Żydem. — Dodaję to z przekorą.

— Nie interesuje nas. Nim zajmą się inni. Dalej!

Doktora Mike'a Schilferta, przyjaciela domu, pomijam. Przełykam nerwowo ślinę. Pora herbaty. Przytulny kącik pod stojącą lampą. Jest listopad. Mży... Muszę uratować dla siebie obszary wspomnień.

Matka, siedząc na sofie, nawlekała perły. Doktor Schilfert siedział w fotelu z wysokim oparciem. Z radia schowanego pod poduszką rozbrzmiewała muzyka. Pozwolono mi zostać, siedziałem z książką na kolanach: Zane Grey, *Prawa mormonów*.

Może doktor nawet powiedział coś do mnie. Podano herbatę z dzikiej róży. Drzwi do domu były zabarykadowane. Na naszej cichej uliczce nocowali rosyjscy żołnierze ze swoimi wożami konnymi. Chodziliśmy na paluszkach. Nagle otworzyły się zamaskowane tapetą drzwi, do pokoju wszedł żołnierz, za nim nasza gospodyni blada jak kreda. Ręka żołnierza krwawiła. „Wracz! — zawołał. Krew lała się na dywan. Doktor Schilfert zabrał go do łazienki i opatrzył ranę. W podzięcie żołnierz wyciągnął spod bluzy munduru przerażonego królika. — *Błagodariu!*”. I wyszedł, zniknął we mgle. Pachniało wilgocią i potem. Doktor Schilfert sięgnął po skrzypce, zagrał fragment *Melodii cygańskich* Sarasatego, matka z pewnym wysiłkiem akompaniowała mu na fortepianie. Wszystko prawie tak samo jak kiedyś, choć *con sordino*. A jednak: wojna nie była jeszcze przegrana, Budapeszt trzymał się, w każdej chwili mogła spaść z nieba Wunderwaffe.

— W Mediaszu?

— Nikogo.

Oficer ziewa i klaszcze w dłonie. Przysłuchanie trwało niecałe pół godziny.

Jestem oszołomiony, w ubraniu wślizguję się pod derkę. Ten szorstki język, a jeszcze w środku nocy. I w ogóle... Czuję się jak Dajakowie: kiedy dopada ich zły czas, musi trochę potrwać, aż dusza nadąży. Myśliwy szepcze:

— Niedługo nas obudzą. Słyszałem pianie koguta. I jeleni ryczał na dziedzińcu.

Następnego dnia komendant aresztu wpada do naszej celi, z nim porucznik o nieznanym nazwisku, zwany tancerzem solowym, z listą moich przedmiotów wartościowych w dłoni. A są to: wieczne pióro Parkera od wujka Fritza, zegarek na rękę marki Moskwa, zakupiony za honoraria za artykuły w gazetach, książeczka oszczędnościowa z pierwszą ratą mojego honorarium za opowiadanie *Czysty kruszec*. Cienka książeczka

powinna już chyba być w księgarniach. Pieniądze przekazano w dzień mojego aresztowaniem.

Oficer intendentury, z delikatną bródką i w butach na podwyższanych obcasach, staje na palcach, odwraca się w prawo, w lewo. Te rzeczy trzeba odesłać. — Do kogo? — Podaję adres mojego ojca w Fogaraszu. Listę podpisuję własnym piórem. Palce, jak sople lodu, nie chcą mnie słuchać. Nieporadnie piszę swoje nazwisko, jakbym dopiero uczył się liter. — *Bystro! Bystro!* Szybko, szybko! — pogania oficer. *Bystro!* Jakby Stalin jeszcze żył. Zabiera książki, które przysłał mi do celi major Blau: *Bunt powieszonych*, *Przyroda*, w wydaniu VEB-Verlag Enzyklopädie Leipzig, oraz pismo „La Littérature Soviétique”. Z lękiem pytam o mojego majora. Nie odpowiedziawszy mi słowem, niski mężczyzna wychodzi z celi. Za nim żołnierz niesie w łapach książki.

Następnego ranka zdejmują mi odciski palców. Fotografują mnie *en face* i z profilu, w bluzie od piżamy, tak wcześnie wyrwali mnie z łóżka. Moje złudzenie, że siedem bram żelaznych otworzy się jak w bajce, już się rozwiało.

Kiedy odprowadzają mnie z powrotem do celi, jest jasno. Przez pancerne szkło przebija się odblask śniegu, który myśliwy wyczuwa. Jest za jasno na smutek. Nachylam się nad stolikiem i ukrywam twarz w dłoniach. Innej ucieczki nie ma. Ale strażnik chce widzieć moją twarz. Pokazuję mu.

I po raz pierwszy, odkąd tu jestem, spoglądam faktem prosto w oczy. Nie ma nadziei na wyjście. Zostanę tutaj! Nie uratuje mnie psychiatra ani też nie uwolni osławiony towarzysz generał. Nawet moja przyjaciółka śmierć mnie stąd nie wyciągnie, tak, żaden anioł nie wyważy drzwi z zawiasów. Modlitwy matki, lamenty ciotek i babek, rozpacзлиwa miłość mojej siostrzyczki — niczego nie zmieniają. A przebić mur głową, zapomnij o tym! Ale hierofanicznego czasu nie można przywołać kłaśnięciem. Tylko ja sam mogę to zrobić. Mówię więc głośno

i uroczyście: — Te siedem metrów kwadratowych to wolność. A czas jest jej materiałem. Uważaj, co z tego zrobisz! — Ogar-
nia mnie zuchwała ciekawość. Trzy i pół kroku w tę, trzy we
w tę. Liczy się tylko terażniejszość. Tęsknota za nikim. Żad-
nych wspomnień. Żadnych marzeń, żadnych życzeń. Ściągnąć
tu do środka świat zewnętrzny, jakby dział się tu i teraz, chwila
po chwili. Przebieg dnia — plan zajęć. Ale przede wszystkim:
zapomnieć o śmierci.

Zabieram się do dzieła, zaczynam przewijać program numer
jeden. Dzień studenta. Przechadzając się tam i z powrotem,
odliczam dwa tysiące dwieście kroków. To jest mniej więcej
droga od Wału Tureckiego, gdzie mieszkałem, na uniwersytet.
Pierwszy wykład: hydrobiologia. Chodzę po celi i wygłaszam
wykład o sposobach poruszania się owadów wodnych, po ru-
muńsku. Spośród nich najdziwniej zachowuje się chrząszcz
gyrimus natator. Macha swoim wiosłowym odnóżem i obra-
cając się wokół własnej osi, porusza się po powierzchni wody.
W ten sposób na każdym prostym odcinku pokonuje drogę pi-
razy dwa, czyli prawie sześć razy dłuższą. I dociera do celu.

— Jak tancerz solowy — rzuca myśliwy ze swojego łóżka,
wodząc za mną głową: prawo, lewo... Po dwóch tysiącach
czterystu dziewięćdziesięciu słowach kończy się pięćdziesię-
ciominutowy wykład.

— Przerwa — mówię.

Myśliwy wstaje otumaniony:

— Kręci mi się w głowie. — Obraca się wkoło, zaczyna tań-
czyć, od drzwi do stolika i z powrotem do drzwi.

— Czyś ty stracił rozum? — syczy strażnik.

— Chyba tak. Ale na pewno go odzyskam!

Jednak już przeciągam tę pierwszą przerwę. Przeszłość wci-
ska się z całą siłą w zaprogramowany czas, zatracam się w kra-
inie zakazanych wspomnień. Odblaski na wodzie. Pływający
chrząszcz... Posea nabijał się z nas na brzegu, że tak słabo

pływamy, Ruxanda i ja. Poczciwy Posea, przy pożegnaniu na dworcu szastnął nogą przed hrabiną. Ale nasze dziewczyny nie mogły odzwyczaić go od paskudnego zwyczaju kładzenia stóp na stole nauczycielskim, pod nosem doktora Hilarie, żeby nożyczkami do papieru obcinać sobie paznokcie, które sterczały mu z ogromnych dziur w skarpetach.

Zbieram się do następnej godziny zajęć: hydrometria. Pomiary pośrednie. Metody statystyczne i analityczne.

Próbuję przypomnieć sobie niemieckie terminy, brzmią obco i dziwnie, muszę je ciągle zestawiać z rumuńskimi nazwami, żeby zrozumieć, co oznaczają. Ale wkrótce terminy poddają się swojej matematycznej ścisłości i niezwykle słowa przywołują wspomnienia: obwód zwilżony, moduł spływu, odcięte koryto, kolebka rzeki, starorzecze. Wątpliwe właściwości wody napływają do mojej pamięci, niosąc ze sobą nieprzyjemny posmak: jej zmienna forma, która zawsze dopasowuje się do okoliczności, a w ruchu zasada najmniejszego oporu.

Obwód zwilżony, to określenie unosi mnie ze sobą... Wtedy nad rzeką, kiedy tropiliśmy powódzie, Ruxanda pływała delfinem, usiadła potem drżąc z zimna w pełnym słońcu. Kontury jej ciała zacierały się pośród kropel wody, które otaczały ją jak welon. Kropelki jeszcze trwały w stanie zawieszenia między słońcem a ciężkością, błyszczały wszystkimi kolorami tęczy, kiedy dziewczyna brała oddech. Wilgoć wyparowała, linie jej ciała stały się wyraźne.

— Zasada najmniejszego oporu, to jest twoja dewiza — fuknęła na mnie przed południem, podczas naszej wędrówki, kiedy nie chciałem odradzać węgierskim chłopom mieszkającym nad rzeką wstępowania do kołchozu. — Mówisz przecież po węgiersku. Oświeć ich.

Moduł spływu, zmuszam się do myślenia o tym. To jest ilość wody, podana w litrach, która wypływa z czynnego źródła w ciągu sekundy. Mówię:

— Ty, Ruxando, tryskasz jak zimne ognie, aż nic z ciebie nie zostanie. Ale ją zachowuję się jak źródło, które daje tylko tyle, ile dostaje. Nigdy nie wydostaje się więcej, niż napływa z głębi.

— Tacy jesteście, wy, Sasi: księgowość musi się zgadzać, nawet w sprawach uczuć albo wyższych celów: ile się dostaje, tyle się oddaje, raczej mniej niż więcej. — Popchnęła mnie tak, że spadłem ze stromego brzegu w dół.

Siedzieliśmy na wysokiej skarpie, machając nogami nad głębią, i patrzyliśmy na kotłującą się pod nami wodę. Z wirów wyłoniła się zdechła świnia, niebieskawa i wzdęta, obracała się nieśpiesznie, potem bezgłośnie zniknęła. Uspokoiliśmy się i zaczęli rozmawiać o Tannenau, gdzie Ruxanda kiedyś spędziła ferie u kuzynek Diany i Steffi Rusu. Wywieziono wtedy ich rodziców. Znałem zbudowany w szwajcarskim stylu dom, należący do tej rodziny. Był położony niedaleko posiadłości wujka Fritza i wyróżniał się dzięki grupie poobijanych kamiennych rzeźb otaczających wejście. Babcia często posyłała tam ciotkę Mały z torbą pełną warzyw: „Biedne robaczki, całym samem z niedołączną babką”.

Ruxanda powiedziała:

— Wiem, gdzie mieszka twoja babka. Wasz ogród jest taki ogromny, że jak szliśmy we trzy z kuzynkami, potrzebowa-
liśmy ponad godzinę, żeby go obejść. Zresztą chyba wiesz, że twoja rodzina ukrywała mojego wuja Rusu, siedział u was w spichrze, w pokoiku Johanna. — Spichlerz zbożowy, budynek o wielu zakamarkach, do tego tajemnicza komórka biednego parobka Johanna... Nagle poczułem, jak bardzo jestem zagubiony, tu nad rzeką, bez mojej przeszłości. Nawet motyle jarzyły się obcymi kolorami i wzorami.

Moja rodzina ukrywała... Nie wiedziałem o tym. Ryzykowali wolność i życie dla kogoś, kto nazywa się Rusu. A przecież mój wujek Fritz ciągle jeszcze przechowywał trzech wielkich

Niemców: starego cesarza Fritza, żelaznego kanclerza i fùhlera. Portrety, które kiedyś jako trójca wisiały na ścianie nad jego biurkiem, po 23 sierpnia pocięte w kawałki — jako pierwszy poszedł Hitler, po nim Bismarck, a po 8 maja 1945 roku także pruski król — znalazły swoje miejsce w spichlerzu, w najciemniejszym kącie, obwieszone pułapkami na myszy i szczury.

Ukrywali go, doktora Rusu... Ciotka Mały, która co wieczór, kiedy ułożyła się już w łozu małżeńskim obok swojej matki, a u ich stóp chrapał jej mąż, intonowała *Deutschland, Deutschland über alles*, pod kołdrą!

Czy babcia też w tym uczestniczyła? Moja babcia, która w swoim czasie dziergała na drutach dla mnie, jedyne go członka Hitlerjugend w rodzinie, masy białych podkolanówek z wrabianym motywem swastyki? I tak ciężko przy tym wzdychała, gdyż wzór ten wymagał nader wielkiej zręczności?

— Mój wujek sam się zgłosił, kiedy ludzie Securitate zaczęli przeszukiwać Tannenau. Żeby nie sprowadzać nieszczęścia na twoją rodzinę — powiedziała Ruxanda.

— Czy jego żona dalej jest w więzieniu? — zapytałem. Właściwie nie chciałem usłyszeć odpowiedzi.

— W więzieniu? Harowała cztery lata na polach ryżowych Aradu, po kolana w wodzie. Niedawno wróciła do domu. A teraz jest wyrobnicą w wytwórni szamotu. Wujek odsiaduje dożywocie. Z powodu partyzantów. Wykańczają go w kopalni ołowiu w Baia Sprie.

— Tacy mądrzy ludzie — odezwałem się ze współczuciem — on jest prawnikiem, ona nauczycielką, a muszą znosić coś takiego. Ale popatrz, jakie niezwykle są tutaj motyle.

— Zasada najmniejszego oporu — powiedziała Ruxanda ironicznie.

— Są inne niż u nas, te motyle — ciągnąłem.

— Mnie wydają się bardzo swojskie — odparła dziewczyna. Śledziliśmy niewielkiego czerwończyka, który migotał przed

nami jak błędny ogień. Zaprowadził nas do koryta wyschniętego strumienia, gdzie trawa i dzikie zioła zarastały żwirowe dno. Długo tam leżeliśmy, w cieniu łopianu, na jedwabście miękkiej trawie i gładkich kamieniach, nad nami martwa cisza południa — słyszeliśmy szum skrzydeł kruka.

Zbliżający się stukot butów zatrzymuje się przy sąsiedniej celi, zgrzytają zasuw. Teraz słysząc śmiertelnie zmęczone szuranie nogami, któremu towarzyszy niecierpliwe dreptanie wojskowych butów. Nagle robi mi się gorąco. Czy to może być moja babcia? Ciągną ją na przesłuchanie, wyduszają informacje o uciekinierze w spichrzu, stanowiącym zagrożenie dla państwa? Cała trójka tutaj... Ciotka Mały: „Bądźcie pozdrowieni, niemieccy wojowie!”. Wuj Fritz: mimo czeskiej kokardy, z fryzurą führera? Nawet Griso, mój Boże.

Odcięte koryto, przechodzi mi przez myśl, gdy nasłuchuję skupiony. Wymuszam na sobie definicję: czy chodzi o to, że kiedy rzeka przebija się wstecz, przesuwają dział wodny i odcina strugę płynącą w przeciwnym kierunku? Widzę troje ludzi w spalonym młynie. Młynarz i jego żona z opuszczonymi głowami. Tamtego wieczoru mężczyzna podniósł raz głowę i spojrzał na nas z pustych oczodołów, kiedy Ruxanda zapytała:

— Jak ma na imię pana żona?

— Dlaczego?

— Bo jedynie Bóg zna imiona ludzi.

— To Bóg. Ale dlaczego ty chcesz znać jej imię?

— Co wieczór modłę się za ludzi, których spotkałam.

— Za twojego wroga Hilarie też? — zapytałem szeptem.

— Za niego też. Ale tylko za Juliana w nim.

Oczy młynarza rozjarzyły się nieznacznie:

— W tygodniu mówię na nią Stana, na tym padole łez. Ale w niedzielę nazywam ją Maria Magdalena.

Jego żona, z głową pochyloną nad blaszaną miską, lekko skinęła na słowo Stana. To był piątek.

Staruszka usiadła na swoim posłaniu i wychrypiała:

— Odrąbali krukowi głowę, ale on im wydrapie oczy. Wszystkim swoim oprawcom martwy kruk wydrapie oczy. Niech będą przeklęci. — I przeżegnała się.

Partyzanci podczas nocnej mszy w stodole: jeden z mężczyzn klęczał pod osłoną złoto haftowanej stuły, podeszwy jego butów były schodzone od ucieczek i skał. Pod baldachimem błogosławiących dłoni nie było widać jego głowy. I tamte dwie postacie pod drzwiami, z bronią w pogotowiu, ale z powodu mszy z odsłoniętymi głowami. Ich twarze były podobne do siebie, jak twarze powieszonych.

Nie biegam już bez końca tam i z powrotem, gotów do skoku siadam na skraju łózka.

Kolebka rzeki... Tak czasami określa się sączące się drobne strumyczki u źródeł rzeki.

— Całe twoje późniejsze życie decyduje się w kolebce, w pokoju dziecinnym. — Annemarie wygłaszała mi wykład na ten temat na wyspie na środku rzeki. Wymknęliśmy się tam, żeby побыć sam na sam, gdy pewnej soboty odwiedziła mnie w Gye-lu. — Nie uciekniesz przed nim. On cię zdradza. Nie ochroni cię żadna maska. Wiesz, dlaczego wczoraj wieczorem ten facet o gąbczastych ustach, ten starszawy student, co chwilę ciągnął mnie do tańca, aż mnie wszystko bolało?

— Bo mu się podobałaś. On się zresztą nazywa Posea. A jego przyjaciel Buta. To są studenci-robotnicy.

Wioskowa młodzież zebrała się na tańce, osobno Rumuni i Węgrzy, jedni i drudzy przed swoim własnym kościołem, pod swoim kasztanem: u prawosławnych przy świergocie skrzypiec, u protestantów przy dźwiękach akordeonu. My, choć studiowaliśmy na rumuńskim uniwersytecie, wprosililiśmy się do Węgrów. „Jak prowokująco wyglądają czerwone

trzewiki dziewczyn — zauważył Posea. — A kiedy kręcą się w czardaszu, spódnice im się podnoszą i są gołe aż do pępka!”. Ale żadna Węgierka nie dała się obcym poprosić do tańca: „Nie wiemy, o co wam chodzi. Nie mówimy po rumuńsku!”.

— No właśnie. Sam powiedziałeś: student-robotnik! — zawołała Annemarie, odwróciła się do mnie, oparła głowę na rękę i podciągnęła nogi. Kolanami dotykała moich bioder. — On i ja mamy za sobą podobny pokój dziecienny, tę samą kindersztubę, on to od razu wyczuł. Ludzie dobierają się na zasadzie podobieństw. — Na jej skórze błyszczały ziarenka piasku.

— Nie tylko — odparłem speszony. — Dzięki Bogu mówi się też, że przeciwieństwa się przyciągają. — Chciałem pocieszyć nas oboje, siebie i ją. — Popatrz na naszą elitę proletariatu, Butę i Poseę. Odkąd nosili na rękach hrabinę, nie przestają wychwalać arystokracji.

— Zapominasz o wpływach środowiska. To modyfikuje. Gdy tamci dwaj zostaną kiedyś inżynierami, już nie będą smarkać tak, jak nauczyli się w dzieciństwie.

— Zatykając jedną dziurkę u nosa, a drugą wydmuchując gluty — dodałem, żeby pokazać, jak dobrze ją rozumiem. Annemarie przeciągała się z rozkoszą na słońcu, przysunęła się bliżej do mnie.

— Właśnie — przyznała i położyła rękę na moim biodrze. — Jak ten Posea czy Buta wczoraj wieczorem, zanim poprosił mnie do tańca. — Pomyślałem cicho w duchu: a jednak pokój dziecienny to nie wszystko. I jeszcze ciszej: jak cudownie wyrzeźbiony jest jej pępek. Annemarie zgarniała ręką ziarenka piasku z mojej skóry. Głowę miała osłoniętą ogromnym liściem. — A wiesz, dlaczego ten wasz zrzędlawy profesor nie poprosił mnie ani razu, tylko tańczył z twoją Ruxandą? — Rzeczywiście, Ruxanda była jedyną wybranką doktora Hilarie. Przez sekundę wahała się, ale potem z kamiennym wyrazem twarzy pozwoliła mu poprowadzić się do tańca.

— Z moją Ruxandą? — zapytałem, przeciągając głoski.

— Córką byłego dyrektora generalnego firmy Deruciment, niemiecko-rumuńskiej spółki akcyjnej podczas wojny. Wy oboje raczej nie macie wspólnego pokoju dzieciennego.

— Skąd wiesz to wszystko?

— My wiemy takie rzeczy, jeśli chodzi o ludzi wyżej postawionych. Z pewnością twoja Ruxanda już jako dziecko miała prawdziwe podwiązki. My musiałyśmy się zadawać gumowymi opaskami, jak służące. To bardzo niezdrowe. Tamuje przepływ krwi w udach.

Zagadnąłem o coś innego:

— A jak myślisz, dlaczego Hilarie, człowiek z manierami, nie poprosił ciebie, gościa, do tańca?

— Tu nie chodzi o maniery, decydujące jest, że on pochodzi z innego pokoju dzieciennego.

— Możliwe, że masz rację. — Czyż pan Hilarie nie ucałował na peronie czubków palców hrabiny Apori, choć przedtem wypominał, że na jedną jej podwiązkę z Paryża chłopci muszą pracować trzy dni? — Możliwe... — powtórzyłem.

— Przyjrzyj się jego wypolerowanym paznokciom — dorzuciła Annemarie.

Słońce stało w zenicie. Z liści paproci przygotowałem nam łożo. Tej niedzieli wyspa należała tylko do nas i do kilku kóz. Annemarie leżała na plecach, ja przy niej, z podpartą głową, odwrócony w jej stronę. Słuchałem jednym uchem i pożerałem ją wzrokiem. Palcem wskazującym odrysowywałem wzór jej żył, które na piersi rozgałęziały się w ornament z fioletowobłękitnych linii.

Annemarie mówiła dalej:

— Model twojej biografii powstaje już w dzieciństwie, w procesie współdziałania bodźców i reakcji. Na przykład: dla dziecka nieskończenie ważne są stosunki między ojcem i matką: pocałunki, tak, nie, albo nawet bicie po twarzy, albo

jeszcze gorzej: nic. I dalej: stosunki między rodzicami i dziećmi. Czy twój ojciec cię głaskał, brał na kolana, czy tylko wymierzał policzki? Albo po prostu cię nie zauważał? A może był całkiem nieobecny? Inaczej wygląda twój późniejszy los, jeśli rodzice mieli osobne sypialnie, a zupełnie inaczej, gdy wszystko rozgrywało się w jednym pomieszczeniu. — Połaskotałem ją w pępek. Zaprotestowała: — Przestań! Popatrz lepiej, jakie piękne są liście wierzby. Pod spodem są srebrzyste. A tak poza tym: z wierzby robi się aspirynę. To chyba wiesz. — Słyszałem o tym.

Zamachnęła się na komara, który przyssał się do jej nagiej skóry.

— Au! Co za cholerna bestia.

— Nie przeklinaj. To właśnie dziedzictwo pokoju dziecinnego...

— To będzie los tego komara. — Trafiła go, przykleił się do jej śnieżnobiałej piersi jako drgający kłębek otoczony wianuszkiem krwi.

— Rzeka szumi — powiedziała Annemarie. Starorzecze, pomyślałem.

Następnej nocy słyszę:

— Na jednym z poprzednich przesłuchań zeznałeś, że znasz doktora Harta w Sibiu. Co możesz powiedzieć o tym łotrzyku?

— Nic. — Wiem, że to za mało.

— Jak to nic?

— Prawie go nie znam.

— Byłeś u niego w domu?

— Nie. — Kapitan jest dziś po cywilnemu, ubrany z przesadną elegancją, na nosie ma ciemne okulary. Wychodzi z pokoju. Przy mnie ustawia się zaspany strażnik. Po kilku minutach kapitan wraca. — Kłamiesz, ty draniu. Trzy razy byłeś

u niego w mieszkaniu. O czym rozmawialiście? — Czy mam rozumieć, że doktor Hart też tu jest?

— Tak ogólnie. To powierzchowna znajomość.

— Zostałeś zaproszony na obiad?

— Raz, wieczorem.

— No proszę. A więc wasza znajomość nie mogła być aż tak powierzchowna. Jeżeli zatrzymuje się kogoś na wspólny posiłek, jest się z nim blisko. To oznaczałoby zażyłe kontakty. Natury politycznej! A może jest jeszcze gorzej, przecież on interesuje się młodymi chłopcami.

— Nic się za tym nie kryje. Doktor wie, że studenci zawsze są głodni.

— Jak ci nie wstyd obrażać partię i państwo! I to ktoś taki jak ty, kto przez pięć lat pobierał stypendium. Jakie jest polityczne nastawienie tego łachudry?

— Doktor Hart jest socjalistą.

— Czyś ty zwariował? Ten zażarty reakcjonista socjalistą! Nawet nie narodowym socjalistą. Hitlerowców też zwalczał.

— *Bine*. No to jest komunistą.

— Kpiny sobie z nas urządzasz. — Podchodzi do mnie i wymierza mi podwójny policzek. Na tę samą stronę. Przy pierwszym uchylam się, przy drugim siedzę spokojnie.

— Na nocnym stoliku doktora Harta leżą tezy KC Rumuńskiej Partii Robotniczej — mówię zdławionym głosem — które on pilnie studiuje.

— Byłeś w jego sypialni?

— Sypialni? Zostawiono mu tylko jeden pokój.

— Jakie tezy? Wiemy wszystko. Mów!

— O rozwiązaniu kwestii narodowościowej i prawach mniejszości.

— Studiuje partyjne dokumenty, żeby nas zwalczać. A was, studentów, chce użyć jako grup uderzeniowych w północnym Siedmiogrodzie, żebyście tych zgnuśniętych Szwabów

z Szatmar nawracali na niemieckość, podjudzali przeciwko państwu. Dlatego chce zakładać tam niemieckie szkoły. Ale ci ludzie mają tego po dziurki w nosie, cieszą się, że mogą być Węgrami.

— To są gwarantowane prawa każdej mniejszości.

— Ty straciłeś prawo, żeby mówić o prawach. — Uderza mnie w głowę pięciem kluczy. Nie pojawia się krew, ale boli. — A dlaczego zataiłeś przed nami doktora Schilferta? Gadaj! — Milczę. On wwierca mi każdy klucz osobno w skórę głowy: — Skorumpowany doktor, ordynator z Fogaraszu! Wyślemy go do zapadłej dziury. Ten nędzny skrzypek jeszcze zatańczy tak, jak my mu zagramy. — Kapitan odwraca się do okna, drapie się w kroku, klaszcze. Noc się kończy.

Rano myśliwy zimną wodą z blaszanej miski zwilża moje rany i opuchlizny na głowie, potem lekko je masuje:

— To pewny znak, że twoje dni tutaj są policzone. On wie, że będziesz wolny, więc się mści. I chce ci dać nauczkę na życie na wolności.

— Pedagogika zapobiegawcza — mówię z powątpiewaniem.

Choć nocami jestem zajęty, budzą mnie o piątej rano razem z innymi, jakby wszystko było normalnie. Już czasem nie wiem, gdzie góra, a gdzie dół. Co chwilę głowa opada mi na stolik. Oficer powolnym ruchem chwyta mnie za włosy i podciąga moją głowę do góry.

Pytania o wysoko postawionych towarzyszy z Bukaresztu mają tak samo pogardliwą formę, jak te o niewątpliwych reakcjonistów: kim jest ten nędzny drań i co knuł przeciwko ludowo-demokratycznemu państwu? Nawet wielce szanowany przez wszystkich towarzyszy Anton Breitenhofer, który każdego gościa żegnał hasłem: „Bądźcie wierni idei!”, nie zostaje oszczędzony.

— To stary komunista — odpowiadam i wyliczam wszystkie jego zasługi. Lecz mimo to muszę znosić policzki. — Ten towarzysz to dawny bojownik z podziemia. — Dwa uderzenia linijką za uszami.

— Wiesz, dlaczego klepnałem cię dwa razy?

— Nie wiem.

— Po pierwsze, na samym początku zakazano ci tytułowania tutaj kogokolwiek towarzyszem. A po drugie, w tym miejscu nie wolno mówić dobrze o nikim.

— Jest redaktorem naczelnym gazety „Nowa Droga”. — Linijka ze świstem opada kantem w dół. — Członkiem Komitetu Centralnego Rumuńskiej Partii Robotniczej. — Ostrze trafia precyzyjnie jak nóż. — To postępowy pisarz klasy robotniczej, wszystkie jego książki są drukowane. — Skończyłem. Mam szum w uszach.

Oficer uzupełnia:

— I nikt ich nie czyta. Twierdzisz, że jesteś komunistą. A czy ty w ogóle czytałeś jakąś jego książkę?

— Jeszcze nie.

— Albo miałeś w ręce?

— Widziałem tylko na wystawie.

— Przynajmniej tyle. Pięknie. Chwalebnie. Dalej: Ernst Breitenstein? Co ten nędzny łotr próbował zdziałać przeciwko ludowo-demokratycznym rządóm?

— To jest druga osoba w redakcji gazety, komunista wierny linii partii, bardzo obeznany w sprawach ideologicznych.

Może dlatego, że był drugą osobą, oprawca uderza mnie tylko kluczami. Oficer chce wiedzieć o kontrrewolucyjnych machinacjach Breitensteina.

— Ten kłamliwy łotr opowiadał się na przykład za zgłoszonym przez ciebie projektem niemieckojęzycznej szkoły wyższej. To przecież szowinistyczne zagranie.

— Tak jak Węgrzy w Klausenburgu, my też mamy prawo do uniwersytetu z językiem ojczystym. Konstytucja gwarantuje to wszystkim mniejszościom narodowym.

— Stul pysk! Słowo „konstytucja” nie ma czego szukać w twojej śmierdzącej gębie. — Wrzeszczy, cisza drętwieje w przerażeniu: — Redakcja „Nowej Drogi” to czyste ugrupowanie narodowe w nowym wydaniu. Ci oszuści uprawiają nie politykę partii, ale kontynuują grę starych nazistów i hitlerowców.

— Jak to? — pytam osłupiały — przecież towarzysz Breitenstein jest Żydem, a więc stoi poza wszelkim podejrzeniem.

— Tak ci się wydaje! Poza tym jest tylko pół-Żydem. Trocki był całym Żydem, za to podwójnym zdrajcą. — Potrząsa pięciem kluczy, ziewa z szeroko otwartymi ustami, błyszczą obramowane złotem zęby. — Dalej: Enric Tuchel? Mów wszystko, co wiesz o tym oszuście, który namalował sobie na krawacie niemieckich lotników.

— Pochodzi z Banatu, z tamtejszego ruchu robotniczego. Bergland. Reschitz. Walczył w Hiszpanii. — Enric Tuchel jest dla kapitana wart trzy policzki. Jak blisko się do mnie przysunął! Ostro zapach wody kolońskiej drażni moje błony śluzowe. I jakie wstrętne jest dla mnie zetknięcie z jego cuchnącym ciałem. Dlatego nie chcę już następnego policzka, staram się być grzeczny.

— Ha! Bojownicy z Hiszpanii. Kiedy wracali do domu, król Karol II razem ze swoją dziwką, Magdą Lupescu, przywitał ich na prywatnym królewskim dworcu ze wszystkimi honorami.

— To byli ci drudzy, którzy walczyli po stronie generała Franco. A bojowników komunistycznych królewska Siguranta wywlekła z pociągu i wsadziła do więzienia Doftana.

— Nawet i to wiesz. Wiesz za dużo. Ale mnie nie musisz pouczać. My wiemy wszystko. I każdego dnia więcej. Dalej! Kontrrewolucyjne intrygi tego Enrica, to nas interesuje.

— Pan Enric jest towarzyszem walki pana Breitenhofera. — Mówię „pan”, żeby uniknąć kontaktu z jego ciałem. — I jest wyrobionym ideologiem. Coś jak Żdanow niemieckiej literatury mniejszościowej. Wszyscy nasi pisarze chylą czoło przed marksistowską prawością pana Tuchela. Jest redaktorem naczelnym pisma „Nowa Literatura”.

Mężczyzna podnosi rękę, ale zaraz ziewa i zapomina, co chciał z nią zrobić. Odchodzi ode mnie i opada na krzesło przy biurku, gładzi swoje ciemnobrązowe włosy, zaczesane do tyłu i lśniące od brylantyny. Na blacie jego biurka leżą ołówki i długopisy, kilka linijek i ekierok, przybory do pisania, ułożone ściśle według planu. Przesuwa je szybko w tę i we w tę, tworzy nowe geometryczne figury.

— To są przebiegli reakcyoniści, ci wszyscy twoi literaci. Na koszt państwa produkują literaturę z podwójnym dnem. Ten Enric Tichel też prowadzi podwójną księgowość. — Nic mi o tym nie wiadomo.

Po rozdaniu nagród w lecie 1956 roku towarzysz Enric Tichel poprosił mnie do siebie — był członkiem jury. W jego biurze wisiała reprodukcja ogromnego obrazu Picassa *Guernica*. Każdego, kto tylko wchodził do jego biura, nawet damy, sprzątaczkę czy kominiarzy, a tym bardziej funkcjonariuszy partyjnych, towarzysz Tichel witał pytaniem: „*Campesino*, czy wy przypadkiem też nie walczyliście w brygadach międzynarodowych w Hiszpanii?” — I zaraz sam sobie odpowiadał: — „Nie, nie, ktoś taki jak wy nie ma po co wybierać się do Hiszpanii. Bo wy i wam podobni jesteście na to zbyt letni. A u Franco trzeba było płonać jak pochodnia!”. Nosił błękitny krawat. Rzeczywiście był pomalowany w niemieckie sztukasy, można je było rozpoznać po czarnych krzyżach. „Wykończyli nas! Wysiekli bezbronnych cywilów, matki z dziećmi. Kwiecień 1937 roku, Legion Condor, lecą tuż nad ziemią, ogień z pistoletów maszynowych!” — Z tyłu kolorowego sztukasa

wydobywał się dym, strzelały płomienie. — „To moje wnuki namalowały. Tak właśnie zginęło państwo Hitlera, wśród dymu i płomieni”.

Zapytawszy mnie na wstępie: „Był pan w Hiszpanii? Nie, nie, jesteś na to za młody” — oświadczył, że moje opowiadanie zasłużyło na więcej niż nagroda pocieszenia. Jurorzy przeczytali je dwa razy. Ale on musiał z ideologicznych względów zgłosić *veto* . Brakowało walki klas. — „Saska burżuazja, ta arcyreakcyjna klasa, za dobrze tu wypada. A wie pan, dlaczego? Bo ich wcale nie ma w pańskim dziele, burżujów. Gdzie są? Przecież nie siedzą pochowani w mysich dziurach. Przecież dawni naziści i hitlerowcy muszą coś knuć przeciwko nowemu porządkowi. Jeśli nic panu nie przychodzi do głowy, dam panu radę: sympatyczne, malutkie podpalonko. Nie musi pan od razu wysadzać w powietrze fabryki dynamitu w Fogaraszu, to byłoby nieszczęście, jak Guernica, biedni ludzie! Ale niewielki pożar w nowo zbudowanym domu kultury, to by całkiem nieźle wyglądało, jak na autora początkującego w dziedzinie realizmu socjalistycznego. Musiałby pan coś takiego wpleść w opowiadanie, żebyśmy mogli je wydrukować”. — Podeszliśmy do straszliwego obrazu, na którym pokazał mi, jaki rodzaj ognia sobie wyobraża. — „Nie muszą to być wielkie, strzelające płomienie. Może się tylko żarzyć. Wystarczająco, żeby panów wyzyskiwaczy można było posłać do więzienia. Do licha z pedagogiką, to dla ich dobra. Wychowanie od nowa!” — Towarzysz Tuchel kazał sekretarce przynieść sobie kawę, ze śmietanką. — „Pan, młody *campesino* , nie pije kawy, prawda? A śmietana tylko szkodzi młodym ludziom. Rozleniwia krew. *Buenos dias, compañero* ”.

Oficer rozkazuje:

— Podpisz. — Oprócz godzin: początek o 23.35, koniec 3.45, kartka jest pusta. Podpisuję na samym dole, jak mi nakazał, formułą: „Przez nikogo niezmuszany mówiłem

prawdę i tylko prawdę”. I żeby to się zgadzało, przekreślam pustą stronę.

Myszę: jeśli tak obchodzą się z czołowym działaczem, to czego my możemy się spodziewać? Pewnej śmierci.

— *Moarte sigură!* — mówię znieca. Moja głowa opada na blat stolika. Oficer podnosi ją za włosy. Drze na kawałki podpisaną kartkę. Nagle nie chcę już żyć. I mówię mu to: — *Nu mai vreau să trăiesc.*

— Jeszcze jak będziesz żył! Dopiero kiedy wyciśniemy cię jak cytrynę, będziesz mógł pójść na tamten świat. Wy, Sasi, zwykle się wieszacie. Osobiście namydlę ci pętlę. — Klaszcze w dłoń.

Następne trzy noce to ciągłe próby i powtarzanie tego samego. Biada innym, nie-towarzyszom!

Pastor Konrad Möckel z Kronstadt, jakże *căpitan* szydzi z niego w ordynarnych słowach. Nazywa go bigoteryjnym szarlatanem, mistycznym trucicielem dusz, nacjonalistycznym uwodzicielem młodzieży. Z powodu tego duchownego oficer przez trzy noce pędzi mnie przez cierniowe zarośla podchwytliwych pytań. — Wszyscy chrześcijanie to komuniści — powtarzam stereotypową formułkę. Ale to za mało informacji. Klucze spadają na mnie raz po raz, garbują mi skórę głowy.

Na koniec kapitan wykrzykuje:

— Sprawa z kółkiem studenckim jest jasna. Wiemy wszystko. Ale chcemy jeszcze znać okoliczności towarzyszące. To dopiero będzie proces, *mamă, mamă!* Trzystu twoich studentów przed sądem. Chłopaki skute łańcuchami, a studentki w kajdankach na rękach. Obejrzyj sobie tę listę, spisana cyrylicą przez tego uwielbiającego tajemnice Notgera. Nawet wasz zaspany Pan Bóg się obudzi i będzie się dziwił. A amerykański prezydent z wściekłości i strachu zatopi w morzu wszystkie bomby atomowe.

Potem, szczerząc zęby w uśmiechu, kładzie mi na stoliku kartkę papieru, diagnozę doktora Scheditana: umysłowo i psychicznie normalny.

Żelazne bramy zamykają się.

13

Słyszę krzyki płomienistych aniołów, tak bardzo jestem udręczony. Nie ma minuty, by nie wyciągali po mnie rąk. Siedzę w najdalszym kącie celi na kiblu i obserwuję pułapkę na szczury w mojej głowie. Kłębi się tam od szczurzych ciał, ich szyje wykrwawiają się w żelaznym uchwycie, a odwłoki oddalają się w podrygach.

Nawet w sobotę po południu wyciągają mnie spod prysznic. Po tygodniach przesłuchań, po deszczu sypiących się na mnie przekleństw i ciosów odczuwam po raz pierwszy przytłumione wrażenie błogości. Czuję się chroniony przez klatkę z wodnych strumieni. Ciepła wilgoć opada na moją głowę, myśliwy masuje mi napięte mięśnie karku. Nagle drzwi otwierają się, przez parę wodną słyszymy głos: — Odwróć się! — Nadzy i ociekający wodą stajemy na baczność, wystawiając na spojrzenia twarze i przyrodzenia. Z mokrymi, posklejanymi włosami, ubranego byle jak, z oślizłymi okularami na obrzmiałej twarzy, żołnierz pędzi mnie na górę: jedenaście stopni, tak, i znowu jedenaście. Idę jak we śnie. Moje nogi same odnajdują tę przeklętą drogę.

W nocy wloką mnie na przesłuchanie. Kiedy dyżurny strażnik chodzi od celi do celi i przez judasza woła: — Pogasić światła! — których nikt nie gasi, kładę się do łóżka, z rękami na brzegu koca, jak nakazano. I gdy przez cały czas jestem gotów się zerwać, wszystkie moje myśli skupiają się na jednym

punkcie: oni przyjdą, nie zasypiaj, zabiorą cię. Nie śpij! Nie myśleć o niczym innym, oni przyjdą! Zakazali mi kładzenia chusteczki na oczy jako osłony przed światłem. Gorączkowa jasność utrzymuje się pod moimi powiekami, którym nie udaje się przemienić okratowanego migotania w ciemność. Ledwie zdążył opaść na mnie ołowiany sen, oni już tu są, loch rozbrzmiewa łoskotem rygli i stukaniem wojskowych butów. — *Repede!* — Senny i oślepiiony zataczam się u boku żołnierza, który popycha mnie przed sobą albo w policyjnym uchwycie prowadzi na górę. Ledwie jestem w stanie utrzymać spodnie, które ze mnie opadają.

Był koniec stycznia, kiedy przyszli po mnie znowu, po kilku nieskończeniu długich dniach przerwy. Prowadzą mnie nie do mojego majora, ale do zjadliwego głosu za białą ścianą światła. Głos należy do kapitana z długim nochem. Po werdykcie doktora Scheditana, że mój stan umożliwia przesłuchania, nic już nie hamuje tego oprawcy.

Zła godzina, nie można jej oszukać. Przebrzmiały już subtelne flirty z pamięcią. Muszę zaniechać owych rozrywkowych spekulacji na temat czasu i zamknięcia. Sztuczny świat zbudowany z kroków i wymaginowanych celów rozpadł się. Pozostała tylko nęcza w obliczu sędziego.

Noc nie wydaje dźwięków. Mężczyzna z długim nosem zrywa się, podchodzi do mnie i uderza mnie pięciem kluczy w głowę, którą z pokorą pochylam. Cały jestem w guzach i ranach, z wczoraj, z przedwczoraj. Oficer krzyczy:

— Spójrz na mnie, ty bestio! Podnieś głowę! — Chwyta mnie za włosy i szarpnięciem podrywa moją głowę ku sobie. — Otwórz oczy, uparciuchu! — Otwieram. Zdjął wojskową czapkę, widać teraz całą jego dziko wykrzywioną twarz. — Jesteś gorszy od legionisty! Będziesz mówił czy nie?

Jestem całkowicie przytomny. Wewnętrzna czujność wobec niebezpieczeństwa opanowuje mnie jak euforia, zapala

w mózgu światełka, tłumy strach, którym nabrzmiewa każde włókno.

— Przecież mówię.

— Ale nie to, co chcemy wiedzieć. Bo nikt nie wie tyle co ty. — Moja głowa zawisa w jego rękach, muszę więc oglądać z bliska jego twarz, śliniące się usta, sterczące z nosa włosy. To, że on przeze mnie do tego stopnia traci opanowanie, że staje się tak odrażający, zawstydzają mnie, niemal sprawia przykrość.

— Czy wreszcie powiesz, co wiesz, czy będziemy musieli wydusić z ciebie prawdę? Zdechniesz w więzieniu, jak tamci przekłęci bandyci z gór.

Mówię cicho:

— Chcę umrzeć.

— Skądże, wprost przeciwnie — krzyczy mój oprawca — za wszelką cenę będziemy cię utrzymywać przy życiu, ale co to będzie za życie... — Szuka odpowiednich słów. — Piekło przy tym będzie wydawało się cudowne jak Paryż. Będziemy cię tak długo obrabiać, aż zobaczysz czerwone szczury! — Bębni kluczami w moją czaszkę. Opuszczam głowę. Rękawem bluzy przejeżdżam po twarzy, żeby wytrzeć łzy. Mówię:

— O życiu człowieka może pan decydować według własnego widzimisię, *domnule căpitan*. Nóż i chleb znajdują się w pańskich rękach. Ale o swojej śmierci człowiek decyduje sam, to jego wolność. Nie może pan odebrać mu prawa do własnej śmierci.

— My wszystko możemy! Tutaj ktoś taki jak ty stracił prawa do jakiegokolwiek wolności. — Odstępuje ode mnie i siada na krześle przy biurku, gładzi się po ciemnobrązowych włosach, które, zaczesane do tyłu, błyszczą oleścicie. Rzucam mu ukradkowe spojrzenie. Co zamierza? Na biurku leżą ołówki i długopisy, kilka linijek i ekierok. Nerwowymi ruchami zaczyna je przesuwac, układa nowe figury geometryczne.

Proporcje mogłyby odpowiadać złotemu środkowi. Ustalona harmonia?

— Sprawa z kółkiem studenckim jest jasna. Musisz jeszcze tylko spisać, jakie wywrotowe zadania powierzył ci ten szpieg i agent, Enzo Puter. Wtedy wszystko będzie pasowało. *Armonie perfectä!*

— Nigdy nie powiem niczego przeciwko studentom. — Podnoszę głowę i spoglądam na niego. — Prędzej dam się rozstrzelać.

— A więc tego byś chciał? — szydzi kapitan. — Dobrze, że wiemy, czym ci możemy dopiec. Będziemy cię dręczyć twoim własnym życiem, męczyć tak, że paryskie szczury zaczną tańczyć kankana. A teraz idziemy dalej: kim jest ten łotr?

Inaczej niż dotychczas, kapitan wymienia teraz najpierw nazwisko osoby, o której chce się czegoś dowiedzieć. I o wszystkich pyta za pomocą tej samej formuły: „Kim jest ten łotr i co wiesz o jego kontrrewolucyjnych poczynaniach, co knuł przeciwko ludowo-demokratycznemu ustrojowi?”

Gdy tutaj pada czyjeś nazwisko, człowiek ten od razu jest przeklęty i splugawiony. A dla mnie stracony. Jest to dla mnie do tego stopnia bolesne, że zabraniam sobie wspomnień o wymienionej osobie. I czuję, że temu, którego nazwisko tu padło, już nigdy nie będę w stanie spojrzeć w oczy, potem.

Na stałe pytania ułożyłem sobie stereotypowe odpowiedzi: on jest komunistą, to lojalny obywatel, ten i ten są za socjalizmem... A oprócz tego same dobre rzeczy. Mocno w to wierzę: kiedy wypowiadam tylko dobre rzeczy, istnieją one w rzeczywistości. Pocieszam się przy tym, że nikt nie byłby tak bezrozumny czy lekkomyślny, żeby sprzeciwiać się obiektywnym prawom historii, w takim ustroju społecznym jak nasz, który przedstawia się jako najwyższą fazę rozwoju ludzkości. Na pustej kartce papieru rysuję schemat rozwoju społecznego. Poczynając od wspólnoty pierwotnej, linie określające siły

wytwórcze i stosunki własności pną się w górę w ciągłej sprzeczności, aż do epoki socjalizmu, kiedy to zaczynają biec równolegle, by w nieskończoności podać sobie ręce. Panuje niczym niezmacona harmonia: sprzeczności antagonistyczne zostały przewyciężone, człowiek produktywny, wytwórca, posiadacz i użytkownik dóbr w jednej osobie jest wolny na zawsze.

Wściekły oficer stojący nade mną ogląda rysunek i ostrzega mnie:

— Jesteś wprawdzie sprytnym marksistą, ale to cię nie uratuje.

Odpowiadam przygnębiony:

— Ja nie chcę być uratowany. Czy tutaj nikt tego jeszcze nie zrozumiał?

— Masz gadać, a nie rysować. — Ale nie drze mojego wykresu, tylko chowa kartkę do szuflady, jak przedtem major Blau, dla którego także sporządziłem rysunek. — Jesteś tu po to, żeby demaskować wrogów państwa.

Kapitan chce usłyszeć coś innego, niż mówię, co oznacza dla mnie ból i cierpienie. Kiedy mówię: to komunista, jestem policzkowany. Odpowiadam: to lojalny obywatel republiki ludowej, jego klucze tańczą na mojej głowie. Gdy ogólnikowo stwierdzam, że ten człowiek jest za socjalizmem, oficer chwyta mnie za włosy, a czasami uderza moją głowę w ścianę. Wkrótce jestem w stanie przewidzieć, jakiej reakcji mogę się spodziewać na każdą moją odpowiedź. Najczęściej trzymam się lojalnego obywatela, bo wtedy unikam zetknięcia z jego odrażającym ciałem.

I pragnę z całej duszy, żeby wymieniony człowiek taki był: przynajmniej lojalny, jeśli już nie komunista. A najgoręcej chciałbym tego w przypadku osób, przy których muszę zapomnieć o związanych z nimi niekorzystnych okolicznościach. Na przykład, gdy mężczyzna z lubieżnym nosem pyta

o Ruxandę Stoicę lub, zgrzytając zębami, wypytuje o księżnę Pálffy.

Nieskończona jest liczba obwinionych. Wśród nich są także dziewczyny, nawet czternastoletnia uczennica konserwatorium, Gerlinde Herter, z którą w dniu mojego aresztowania zamierzałem iść do kina. Brakuje jeszcze Annemarie Schön-mund, z lękiem oczekuję, kiedy się pojawi.

Przestępstwa przeciwko ustrojowi państwa ograniczają się do dwóch rodzajów. Zdrada stanu, gdy jakieś obce mocarstwo pociąga za sznurki. Cała reszta to spisek.

Także wzór, w jaki wtłoczeni zostają naznaczeni ludzie, prawie nie zawiera urozmaiceń. Oficer wylicza z groźnie zmarszczonym nosem:

— Jeśli ktoś nie jest proletariuszem ani komunistą, a takich mamy bardzo niewiele, to jest burżujem, należy do warstwy średniej albo drobnomieszczaństwa, czyli jest reakcjonistą, a tym samym albo nacjonalistą, albo kosmopolitą, w czym mieszczą się podgrupy: faszysta, hitlerowiec czy imperialista. A już na pewno jest kapitalistą, bo napędza go żądza pieniądza i posiadania. Tymczasem nawet najmniejsza akumulacja dóbr prowadzi do kapitalizmu. Dlatego będziemy budować mieszkania bez spiżarni — kończy triumfująco mój oprawca. — Wtedy nie będzie można chomikować. I szpitale bez gabinetów do badania. Lekarze wszystko będą załatwiali przy łóżku chorego. Wtedy nie będzie można dawać im łąpówek. — Ponosi go zapał. Wszędzie roi się od wrogów i zdrajców. — Nawet ci wszyscy apolityczni, ci mistycy, którzy pochowali się w swoich dziurach, oni także stanowią zagrożenie.

— Ale dlaczego? — wyrывa mi się, choć nie wolno mi zadawać pytań. — Przecież to są nieszkodliwi wariaci.

Przyglądam się mężczyźnie przede mną. Dzisiaj jest po cywilnemu, jak zwykle elegancki i wymuskany: marynarka w fioletowo-zielony deseń, czarne sztruksowe spodnie, zimowe

buty z żółtej cielęcej skóry. Spod prawej nogawki wyglądają troczki kalesonów. Rozdrażniony wyjaśnia mi:

— Nieprawda. Należy ich ukarać tak samo, jak uciekinierów z kraju. Owi podstępni osobnicy próbują wymknąć się z klasowej konstrukcji naszego społeczeństwa. Na przykład niektórzy wasi szanowani autorzy: siedzą apolityczni w swoich wieżach z kości słoniowej. I tylko czyhają, żeby nas zaatakować od tyłu. A mistycy to wariaci, ale niebezpieczni. Na przykład ten szarlatan Marco Soterius albo pastor Möckel ze swoimi wiecznie złożonymi rękami. Machają wahadełkami i modlą się potajemnie do złych sił, a my nie możemy im niczego udowodnić. Jeden tylko Bóg wie wszystko. Ale i jego zmusimy do mówienia.

Nikt się nie ostaje. Pojawiają się nazwiska autorów takich, jak Getz Schräg i Hugo Hügel, ludzi bez wątplenia oddanych reżimowi, ich dzieła były nagradzane przez państwo i partię, chwalone przez marksistowską krytykę literacką. Pod pręgierzem staje Peter Töpfner, pochodzący z saskiej rodziny robotniczej, niemal unikat socjologiczny. I Michel Seifert, półsierota, choć z wyboru cały Sas. Obaj są młodymi komunistami. Rzucam wszystko na jedną szalę. Nagrodą jest grad ciosów i policzków.

Posea i Buta, prawdziwi proletariusze z ziemianek, robotnicy pracujący rękami i głową równocześnie, traktowani są z szyderstwem i kpinią. Obrzucana wyzwiskami jest Maria Bora, córka prawdziwego komunisty, prześladowanego za czasów króla. — Zdrajczyni, niech wraca do cuchnącego łona swojej matki! — I za każdym razem pojawiają się pytania o Hugo Hügela, na którego zawsze spoglądałem z trwożnym podziwem. Niczego nie zmienia fakt, że z czystym sumieniem mogę odpowiedzieć: — On jest komunistą. — Zaraz następuje rytuał ciosów.

Nawet towarzysz Anton Breitenhofer, w czasach reżimu burżuazyjno-ziemiańskiego gnijący w więzieniu, jest nikczemnie oskarżany. Nie zostawiają suchej nitki na biskupie Friedrichu Müllerze, sierocie z pobożnej parafii. Na mojego uwielbianego mentora, pastora Wortmanna z czerwonym sztandarem, także są wściekli, gdyż w styczniu 1945 roku, mając prawie sześćdziesiąt lat, dobrowolnie poszedł ze swoją parafią do Rosji, ale nie po to, żeby tam zgłębiać socjalizm, tylko żeby swoim ludziom służyć pociechą, Biblią i Słowem Bożym. A ostatnio także dlatego, że pali zielone virginie zamiast czerwonych. U każdego coś wynajdą.

Nikt się nie ostaje. Cała ludowo-demokratyczna republika to banda najgorszych odszczepieńców i wywrotowców! A na samym przodzie jesteśmy my, Sasi. Już nie nadążam z zapewnieniami o naszej patriotycznej prawomyślności.

Wszystkich, którzy tutaj stawiani są pod pręgierzem, chciałbym ustrzec od złego. Kocham ich. Nawet nad takim człowiekiem jak towarzysz Breitenhofer chciałbym móc rozpostrzeć swoją ochronną dłoń. Chciałbym też wziąć pod swoje skrzydła pocziwego Pana Boga, gdyż i jemu zagrożono, że zostanie tutaj zmuszony do mówienia. Choć nie mogę mu wybaczyć, że zasłonił swe oblicze i odepchnął podnózek spod stóp, a mógłby przecież zakończyć to wszystko jednym jedynym kopnięciem swych butów z krokodylej skóry, jednym prychnięciem z ognistych nozdrzy.

Pytają nawet o moją babcię z Tannenau, Griso. Oficer z wścibskim nosem chce wiedzieć, czy należała do narodowo-socjalistycznego ugrupowania kobiecego. Czy to dowodzi, że i ona tu jest?

— Ona wtedy miała ponad siedemdziesiąt lat.

— Mołdawska księżna Ghika miała dziewięćdziesiąt lat i maszerowała z zielonymi koszulami w pierwszym szeregu. Nie była też za stara, żeby się tu znaleźć.

— Moja babcia cierpi na żylaki i ma zawsze spuchnięte stopy.

— Na pewno była za Hitlerem, jak wy wszyscy. Stara hitlerówka, jak odpowiadała, kiedy ją pozdrawiałeś zawołaniem *Heil Hitler*?

— Wcale nie odpowiadała. Ona niedosłyszy. — Ale z dreszczem przypominam sobie podkolanówki ze swastykami. Już z tego mogliby ukręcić dla niej stryczek. A całkiem źle wygląda doktor Rusu ukrywany w spichlerzu... Pośpiesznie dorzucam: — Ona jest komunistką. — Choć za to będę bity po twarzy, dla Griso chętnie to zniosę. I jestem nieco rozczarowany, że dla niego babcia warta jest tylko jeden policzek. Wujek Fritz i ciotka Maly komunistami? Ze śmiechu kapitan zapomina mnie uderzyć.

A może ich los już jest przypieczętowany? Czy dziś rano też nie słyszałem starczego szurania stopami w korytarzu? Niewidomi drepczą gęsiego, popychani przez strażnika: wuj Fritz z wiadrem pełnym uryny w ręce, ciotka Maly z rozpuszczonymi włosami, Griso nucąca pod nosem poranny chorał: *Przyjdź światło poranka, nastał nowy dzień*.

Nie liczy się, że wujek razem z byłym Ortsgruppenleiterem zapisał się do czeskiego klubu i nosił w butonierce niebiesko-biało-czerwoną kokardę. Nie pomaga także fakt, że zmienił swój przedziałek Hitlera z prawej na lewą stronę, bo mimo to nadal jest tak podobny do führera, że niektórzy czasami zapominają się i z przerażeniem krzyczą: *Heil Hitler, Herr Hitler!* A ciotka Maly, ze swą wspaniałą, germańską koroną z włosów — któż mógłby zapomnieć ten obraz, gdy w roku czterdziestym na ulicy Klostergasse witała oddziały Wehrmachtu okrzykami radości: „Chwała wam, niemieccy wojowie, witajcie wielkoniemieccy bracia!”. I to tak przekonywająco, że tłum przyłączył się do wiwatów, załopotwały flagi i proporce ze swastykami!

— Gadaj! Patrz na mnie! Twoja rodzina w Tannenau? —
Odpowiadam zgodnie z prawdą:

— Wszyscy moi krewni zawsze byli lojalnymi obywatelami.

— Twój ojciec też? Kapitalista o podwójnym języku! Wprowadzie pozdrowia ludzi na ulicy w kilku językach, ale to dla zmylenia. Bo w głębi duszy nienawidzi naszego państwa.

— Nienawidzi państwa?

— Po nacjonalizacji z 11 lipca 1948 roku straciliście swój sklep. Kim więc jest? Zagorzałym hitlerowcem czy liberałem bez charakteru? W każdym razie jest oszustem. Jak wszyscy spekulanci i ludzie uprawiający interesy. Spójrz na mnie, łotrze. Co masz do powiedzenia? — Nie mam nic do powiedzenia i nie patrzę na niego. Chwyta mnie za włosy, chce podciągnąć moją głowę do góry. Ale tym razem wyslizguję się z jego ręki. — Niech to diabli! Masz za krótkie włosy! Od dzisiaj nie będą cię strzygli. — I rozwścieczony ciągnie dalej: — Was, Sasów, należałoby wszystkich przesiedlić na Syberię, albo do Băragănu, jak waszych współników, Szwabów z Banatu, albo do delty Dunaju. — No właśnie, przelatuje mi przez głowę: kogo tutaj nie ma, tego na pewno wywieźli, a ja o tym nie wiem; wywieźli gdzieś między Dunaj a Jenisej, za kolczasty drut. — Patrz na mnie i mów! Jakim rodzajem reakcjonisty jest twój ojciec?

Nie patrzę na niego, ale mówię:

— Jest moim ojcem.

— A Posea, dla którego partia poniosła takie ofiary i wysłała go ze stolarni na szkolną ławę, co możesz powiedzieć o tym łobuzie?

— On jest komunistą — mówię dźwięcznym głosem, z pełnym przekonaniem. I dostaję policzek.

— Tak ci się wydaje! Już nabiera burżuazyjnych manier: nożyczkami obcina sobie paznokcie u rąk i nóg. — A czymże

innym, myślę. — Arystokracja robotnicza jest gorsza niż ta prawdziwa zdebronizowana. Kto nas o tym poucza? No, gadaj! — Któż by inny, jeśli nie Lenin. Ale nie mówię tego. — Posea i ten drugi facet, Buta, ci dwaj zdrajcy ludu, publicznie nosili na rękach przez Gyelu prawdziwą hrabinę, reprezentantkę feudalnego wyzysku. — Krzyczy na mnie: — Wiejski lud buntowaliście przeciwko kolektywizacji, chcieliście ideologicznie zwieść studentów. Bo ta demonstracja przeciwko państwu i partii była ukartowana przez ciebie, razem z tą narwaną księżną Pálffy! To cię będzie kosztowało kilka lat więcej, a tę starą wariatkę czeka spokojny koniec życia za kratkami.

— To była przysługa miłości wobec ciężko chorej kobiety.

— Czegoś takiego nie ma w słowniku komunisty. A teraz kółko studenckie. — Oficer drapie się między nogami, mruczy: — Moja biedna żona — i kładzie przede mną nową kartkę papieru. Z doświadczenia wiem: kiedy drapie się w tamtym miejscu, noc zbliża się ku końcowi. — Napisz, jak zachodnoniemiecki agent Enzo Puter zwerbował cię w charakterze agenta w celu wywołania w Klużu rebelii, według modelu budapeszteńskiego kontrrewolucyjnego koła Alexandra Petöfięgo. Własnoręcznie masz to opisać.

— On się nazywa Sándor Petöfi — mówię i zapisuję to na kartce.

— Znowu pusty papier. Dlaczego?

— Nie jestem imperialistycznym agentem, a nasi studenci nie są spiskowcami.

— Nawet bez ciebie mamy dość materiału dowodowego, żeby ich wysłać na szubienicę. To będzie zabawny widok, kiedy trzysta dziewcząt i chłopców będzie się kołysało jak chorągiewki powiewające na wietrze w majowe święto.

— Może — mówię.

— Przecież wiesz, że przywróciliśmy karę śmierci. — Nie wiedziałem o tym. Bo skąd? — Jak w czasach

reżimu ziemiańsko-burżuazyjnego. Chodzi o to, żeby z poprzednich epok przejmować to, co przydatne. Kto nas tego nauczył? — Lenin. Ale nie odzywam się. Spogląda na zegarek i mówi: — Moja biedna żona, co ona sobie o mnie pomyśli, zostałem nocnym markiem. — Patrzy na mnie ze złością i mruży: — A wszystko przez ciebie, ty diable o siedmiu ogonach. — Przywołuje kłaśnięciem żołnierza, rozkazuje: — Odprowadź go na dół!

Oddycham z ulgą. Dokądkolwiek, jak głęboko się da, nawet do lochu Securitate. Byle tylko stąd iść. Ale tak głęboko nie docieram. Do porannej kawy trzymają mnie zamkniętego w stojącej skrzyni. Tak też jest dobrze.

Pewnej nocy oficer dość wcześnie drapie się między nogami. Wściekły mówi:

— Zmarnowany czas, czas, który nam ukradłeś. Zapłacisz za to. — Potem nocne przesłuchania stają się rzadsze. Nie można już polegać nawet na niegodziwości Securitate.

Przesłuchania stają się za każdym razem coraz dłuższe. Teraz są bardziej pomysłowi. Dialogi nie mają już tej rutynowej zwięzłości co kiedyś, gdy na przykład słyszałem: — Doktor Hilarie? Co ten łotr...? — Jest komunistą i jest lojalny. — Po czym zwykle następowało policzkowanie i uderzenia kluczami. I kolejna osoba: — A kim jest ten szubrawiec...? — To już się przeżyło.

Nazwiska, o których myślałem, że na zawsze przepadły w mojej pamięci, pojawiają się znowu. Mężczyzna z wężącym nosem kładzie przede mną dokumenty, w świetle których moje przyjazne szkice portretowe okazują się kłamstwami. Wpadam w otchłanie strachu. I domyślam się: zbyt wiele wymazałem z pamięci, żeby wizerunek dobrego człowieka mógł pasować do oryginału. Ale obciążające materiały o tych ludziach, które mi podsuwają, są dla mnie szokująco nowe.

To przecież nie może być prawda! Kawałek po kawałku tracę wiarę w patriotyczne cnoty moich rodaków. Z triumfem wypisanym na nosie kapitan każe mi udowodnić, że ten to komunista, tamten jest za socjalizmem, a wszyscy są lojalnymi obywatelami.

Coraz bardziej muszę się wysilać i gimnastykować, żeby przedstawić ich w ten sposób. Wynajduję zaślugi, zmyślam uczucia, wreszcie potrafię z zaangażowaniem kłamać. I wierzę w to, co mówię. I chcę, żeby mi uwierzono. Oficer trzęsie się ze śmiechu:

— Tylu zaangażowanych komunistów co wśród Sasów nie ma nawet u nas. Dotychczas przez setki lat szczylicie się, że jesteście narodem szlacheckim. A teraz chcesz udowodnić, że jesteście na wskroś demokratami.

— Jesteśmy jednym i drugim — odpowiadam. — Już w czasach feudalnych byliśmy demokracją, ale to był przywilej królewski. Wszystkich przywódców wybierał lud, nawet katolickich kapłanów. Zresztą to nie były narody w sensie etnicznym, raczej krainy Siedmiogrodu.

— Zamknij tę przekłętą gębę! Nie musisz mnie pouczać. Sojusz węgierskiej i szeklerskiej szlachty oraz bogatych, tłustych Sasów, skierowany przeciwko chłopom. A przede wszystkim przeciwko nam, Rumunom, którym to wy, Sasi i Węgrzy, przybłądy bez ojczyzny, odebraliście wszystkie prawa. I ty chcesz pokazać, że jesteście demokratami i komunistami? Popatrz tylko, to są dowody, jak kłamiesz: listy i dzienniki twoich kompanów, zeznania twoich współników, czego ci trzeba więcej? — Podsuwa mi pod nos zapisaną kartkę. Ale zawsze pozwala mi uchwycić tylko jedno zdanie, które pokazuje swoim zaostrzonym paznokciem. U Töpfnera w Skei w każdą środę zebranie. Wielcy Sasi debatują nad losem swojego narodu. Podczas powstania na Węgrzech uczestniczy w zebraniu także Enzo Puter z Annemarie. Koniec. Mężczyzna zabiera kartkę.

Siedzę na wiadrze z uryną i pozwalam rzeczom się dziać. Nasłuchuję, czekam, łamię sobie głowę. Prawie nie widzę celi aresztu. Wyraźnie zauważalny jest jedynie myśliwy, który pielęgnuje mnie z oddaniem. Ledwie wszedłem, rzucił się na mnie i obwąchuje moją czaszkę, jakbym na tacy przeniósł mu ciastka z cukierni, torciki ischlerskie i ponczowe savariny. Wprawnymi palcami oczyszcza rany z kępek włosów, zwilża delikatnie mokrym rękawem guzy, które rozkwitły pod żelaznymi ząbkami kluczy. I pociesza mnie na swój sposób:

— Jelenie i sarny na rykowisku robią sobie to samo.

— Może. — Nie zagłębiając się w to, myśliwy dalej opatruje moje rany.

Wtedy nagle uświadamiam sobie: oni wszyscy tu są. Nie tylko moja rodzina. Inni także. Czyż jeden ze strażników, Cygan o błyszczących, mysich oczkach, nie szepnął mi kiedyś: „Pełno tu twojej rodziny i przyjaciół!”. Wszyscy... Od mojej babci, której zawsze cieknie z oczu, nawet jeśli nie płacze, do Elisy. Dziś rano — to przecież ona płakała, nieprawdaż? Znam jej płacz, z tamtej nocy w Ogrodzie Botanicznym. A już na pewno Ruxanda, po niej mogę się spodziewać, że napłuła oficerowi w twarz — czyż *capitan* nie pociera sobie ciągle jednego policzka? I Maria Bora: niezłomna w swojej świadomości córki prawdziwego komunisty, krzyczy na naszego oficera intendentury, tancerza solowego, aż słysząc ją z daleka.

Myśliwy opatruje mi głowę. I gada do siebie:

— To z kluczami jest stosunkowo łagodnym środkiem z arsenału tortur, potem sposoby stają się bardziej wyrafinowane, aż do... ho ho! — Unosi rękę i zaznacza szczeble drabiny aż do brzegu nieba. — Biją cię do nieprzytomności i potem cucą, polewając wodą.

— Może — powtarzam.

Czyje nazwisko tutaj padnie, ten jest nieodwołalnie w niebezpieczeństwie. Ale najbardziej ci, którzy są ci bliscy. O nich

wiesz dużo, czasem wszystko. Już z tego powodu najlepiej byłoby być martwym. Pragnienia i chłodne kalkulacje idą ręką w rękę.

— Na śmierć cię nie skazą. Wybij sobie to z głowy. Nie dostaniesz też dożywocia, jak na to za dużo z tobą rozmawiają.

— Ale mniej niż dwadzieścia pięć chyba nie dostanę.

— Choćby to, że porównują cię z legionistami, pokazuje, jak bardzo są rozwścieczeni. — Marszczy czoło i po chwili mówi pogodnie: — Jak będziesz miał szczęście i wylądujesz w kopalni ołowiu Baia Sprie albo uranu w Baița, wtedy może to być piętnaście albo tylko dziesięć lat.

Na korytarzu widzę drepzczący pochód zamaskowanych, z oczodołami zanitowanymi kawałkami blachy. I czuję, jak na głowie jeżą mi się włosy, którym kapitan kazał urosnąć. Myśliwy odstępuje ode mnie i woła zaskoczony:

— Co ty wyprawiasz? Włosy ci stanęły jak na dziku, gdy zwietrzy wilka. Cała moja lekarska i fryzjerska robota zmarowana.

Tygodnie stają się miesiącami. Pewnego razu w sali przesłuchań zauważam przez kraty, że śnieg zniknął ze zboczy Zinnebergu. Zielona mgiełka, lekka poświata unosi się nad pożółkłą trawą. Dzieci mówią na to po rumuńsku: „Wróżka zmyła rdzę zimy. *Vine primăvara!*”.

Nie wystarcza dnia, znowu muszą korzystać z nocy. Kątem oka śledzę, co robi mężczyzna w mundurze. Przesuwa linijki i ołówki, tworząc nowy wzór. Wreszcie kładzie na moim stole listę nazwisk:

— To wasi autorzy, oszuści albo faszyści. — Mam uprządkować pisarzy i ich dzieła według stopnia niebezpieczeństwa. — Wśród krajowych grasuje inwersjonizm, wśród uciekinierów antykomunizm. — Lista zaczyna się od Aichelburga, *Andrasz krzyczy w studni*, siedem lat więzienia, obóz

pracy i w międzyczasie przymusowy pobyt na naddunajskich stepach, a kończy na Zillichu, *Między granicami i czasami*, od lat Trzeciej Rzeszy mieszka w Niemczech, nad Jeziorem Starnberskim, z widokiem na wodę.

Wśród nich jest także Herwald Schönmund, brat Annemarie, pastor w Eisenstadt, na użytek domowy składający sonety, na przykład o nagiej Wenus, fioletowej z zimna w ośnieżonym parku w Klausenburgu.

W jednej chwili jestem gotów. Emigrantów zostawiam z lewej strony. Przy tutejszych najważniejszą regułą jest: wszyscy opowiadają się za reżimem, stosują jednak pewną gradację. Przy Getzu Schrägu, autorze pierwszej saskiej powieści socjalistycznej *Gdzie nikt panem i nikt służą*, a także *Ody do Stalina*, piszę bez namysłu: komunista. Przy Hugo Hügelu podobnie, biorąc pod uwagę jego nagrodzoną nowelę *Król szczurów i flectista*. Choć tu z pewnym ociąganiem. Obok pastora Oinza Erlera, mimo iż on także jest odznaczony, zapisuję tylko: lojalny.

Ale tym razem rytuał zostaje zakłócony: prychając nosem, mężczyzna chwyta mnie za włosy, podrywa mi głowę do góry i obiema rękami obraca ją w lewo, aż trzeszczą kręgi szyjne.

— Słuchaj, chłopcze, od dzisiaj będziesz musiał postarać się o nowe spojrzenie, bo inaczej skręcimy ci kark. Mamy już dość twoich kłamliwych historyjek. — Czapka z daszkiem zlatuje mu z głowy, spada na mój stolik. Mówię, ledwo dysząc:

— To są uznani przez partię autorzy, przefiltrowani i sprawdzeni.

Przez rozdęte nozdrza kapitan wydmuchuje mi w twarz cały swój gniew:

— To są oszuści i krętacze. Kasowali od państwa i partii dużo pieniędzy, a mimo to wciskali naszym robotnikom lewy towar.

Otwierają się drzwi. Wpada major Alexandrescu, przyjmuje postawę, ma na sobie galowy mundur z orderami i medalami, w środku nocy. Kapitan staje na baczność. Ja przyglądam sobie włosy.

Gość wrzeszczy na mnie:

— Dobrze wiemy, dlaczego od miesięcy wodzisz nas za nos, wszystko mylisz, bezwstydnie łżesz i przedstawiasz ewidentnych wrogów państwa jako rzekomych socjalistów. — *Căpitan* włożył z powrotem czapkę i przytakuje goriwie. — Boisz się, że wytepiemy twoich Sasów, co do jednego. Ale my tego nie zrobimy. Wy sami siebie wykończycie. Patrz na mnie! — Powoli podnosi mój podbródek do góry. — Mimo waszej hitlerowskiej przeszłości włączyliśmy was w szeregi wolnych narodów. — Odchodzi na trzy kroki. — A wy od samego początku nadużywaliście naszego zaufania. Więc zapamiętaj sobie: z tobą czy bez ciebie, i tak jesteście załatwieni. Historia was potępi. — Na nowo zbliża się do mnie, skrząc się i błyszcząc. — Ale ty mógłbyś być pierwszym Sasem, który odrzuca swoje burżuazyjne pochodzenie. Pomyśl o Aleksym Tołstoj... — Ja jednak myślę tylko o jednym: a więc nie wszyscy zostali wywiezieni, czyli jeszcze trochę nas zostało po tej stronie Dunaju i Dniestru. — Tołstoj był hrabią. W trylogii *Droga przez mękę* opisuje, jak podczas Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej rodziny z najwyższych sfer odnajdują drogę do słusznej walki mas ludowych. Pomyśl o Ilii Erenburgu, tym żydowskim burżuju; w swojej powieści *Dziwiąta fala* gloryfikuje Wielką Wojnę Ojczyźnianą narodów Związku Radzieckiego. Przypomnij sobie Szołochowa, który w swojej epopei *Cichy Don* wspaniale ukazuje, jak arcyreakcyjny naród kozacki, jeszcze gorszy pod tym względem od was, Sasów, przyłącza się do sił nowego porządku. Przeżywamy ważne czasy. Albo należysz do wrogów socjalizmu, albo...

— Nie jestem wrogiem socjalizmu! — wpadam mu w słowo.

— Musisz to udowodnić czynem. Możemy ci darować dużą część kary. — Jego ręka stopniami schodzi z góry na dół. — Zdecyduj się. Znacznie możemy zmniejszyć twoją karę. *Considerabil!* Rozważ to!

— Chcę umrzeć — mówię głucho.

Major wybucha śmiechem.

— Z latami ci to przejdzie. — Każe kapitanowi, by podał mu listę nazwisk. — Ha, Schräg. Powinien pozostać synem dorożkarza. Ale nie, on daje się adoptować obrzydliwie bogatym fabrykantom. W ten sposób zdradził swoje pochodzenie społeczne. Wszystko to mówi samo za siebie. Byt określa świadomość.

— Bogaty może sobie wszystko kupić, nawet dzieci — komentuje mądrze kapitan.

— *Oda do Stalina* — czyta dalej major.

— Musieliśmy się jej uczyć na pamięć w szkole.

— Nie uratuje go. A jego powieść? No dobrze, przynajmniej jeden przyznaje, że także u was są panowie i słudzy.

— Ale bez walki klas.

Major udaje, że tego nie dosłyszał.

— Najporządniejszy jest ten baron-poeta von Pottenhof. Apolityczny na wskroś. Nigdy ani słowa przeciwko ustrojowi państwa, nigdy ani słowa za, żadnych ód na cześć Stalina, żadnych przeciwko niemu. Wiersze o greckich drzewach i rzymskich studniach. I za każdym razem z uprzejmym uśmiechem idzie do więzienia, a wychodzi z nową kantatą. *Noblesse oblige*. — I mówi dalej: — Niedobrze, teraz nawet wasi popi zaczynają pisać wiersze, pchają się na arenę publiczną. I to od razu dwaj: Erler i Schönmund. Kształceni w wypaczaniu słów. Im szczególnie trzeba patrzeć na ręce.

— Herwald Schönmund nigdy niczego nie opublikował — rzucam.

— To jeszcze gorzej. Pisanie do szuflady. W ogóle z wami, Sasami, same kłopoty. Każdy stajenny czy parobek umie czytać i pisać, więc czuje się w obowiązku przenosić swoje myśli i uczucia na papier.

Kapitan potrząsa głową zafrasowany. Odpowiadam:

— U nas w każdej wiosce była szkoła. Już sto lat po przybyciu na te ziemie. Pierwsze wzmianki pojawiają się około 1300 roku.

— I to jest wasz pech. Analfabecie trudno jest coś udowodnić. Hugo Hügel? Ten zażarty nazista, wieczny Hitlerjugend, ten literat o podwójnym języku ma być komunistą? Koń by się uśmieł. — Rzuca mi ostre spojrzenie: — Poddaj się, głupcze. To, co ci się wydaje, to jedna rzecz, a to, co wiesz, to co innego. — I zwraca się do nas obu, do kapitana i do mnie: — Sprawa z kółkiem studenckim jest już wyjaśniona. Przecież podpisał, czyż nie? — Obaj nie mówimy nic. — Cała reszta to drobiazgi, bo informacje już mamy. Tu chodzi tylko o ciebie, młody człowieku. Zdecyduj się! Jesteś za, jesteś przeciw. — Jak zawierucha wychodzi z pokoju, jego żółte brwi są nastroszone. Na piersi podzwaniają mu gwiazdy i krzyże.

Pewnego popołudnia słyhać człapanie ciężkich kroków po celach. Przybliża się rytmiczny trzask otwieranych drzwi. Kto to idzie? Lekarz, komisja zwalnająca, a może nowy rzut senników? Przychodzi *colonel* Cräciun.

Myśliwy i ja stajemy twarzą do ściany. Drzwi się otwierają.

— W lewo zwrot! — Odwracamy się w lewo.

Komendant we własnej osobie. Jego obfite ciało wypełnia pomieszczenie, z trudem znajduje miejsce między łózkami.

— Ależ tu ciasno — zauważa z naganą. — I prawie nie ma powietrza! — Potężny mężczyzna z taką mocą wciąga powie-

trze, że nam aż brakuje oddechu. Towarzyszy mu chmara umundurowanych pod wodzą majora Alexandrescu.

Małym palcem, na którym wśród wałków tłuszczu ginie obrączka, *colonel* pokazuje na myśliwego:

— Jak się nazywasz? Czy chciałbyś coś zgłosić? — Tak, chciałby.

— Jako więźniowie polityczni mamy zgodnie z międzynarodowymi konwencjami prawo do prasy. Życzyłbym sobie chociaż jedną gazetę codzienną. Jak tylko pan, *domnule colonel*, łaskawie wyda rozkaz. — Stuka obcasami.

— Ależ oczywiście — mówi tamten przyjaźnie i próbuje odwrócić swój masywny tułów w stronę majora Alexandrescu, żeby mrugnąć do niego okiem. Udaje mu się to połowicznie. Mruga więc w kąt, do śmierzącego wiadra, i rozkazuje: — Codzienne „Le Monde” dla *domnu* Vlada! I do tego kawka, ze śmietanką na wierzchu, o stałej porze, *la ora fixă*!

Mnie wysoko postawiony pan nie pyta o nazwisko. Ostrzegawczo podnosi palec wskazujący i mówi:

— Człowieku! Na darmo chcesz przebić głową mur! Mury tutaj są grube. — Wyciąga lewą rękę i puka obrączką w ścianę. — Bądź wreszcie rozsądny. Bo inaczej czeka cię bolesne przebudzenie.

Zostajemy sami i powoli wracamy do siebie. Myśliwy uważa:

— Kiedy taki jak on zna twoje nazwisko, i do tego podnosi jeszcze palec, to oznacza lata.

Odpowiadam mu:

— Wiecie, *domnule* Vlad, kto jest potężniejszy od tego człowieka? Bóg, nasz pan!

Myśliwy, który dawno temu o tym słyszał, mówi zdziwiony:

— *Dumnezeul?*

Pewnej nocy *căpitan* Gavrioiu, tak nazywa się mój prześladowca, wzywa mnie do swego ponurego gabinetu. Jest w mundurze.

Po raz pierwszy próbuje się uśmiechnąć. Siada naprzeciwko mnie przy stoliku, którego nie mogę odsunąć. Odchylam się więc do tyłu, to jedyne, na co mogę sobie pozwolić. Kapitan stara się, by jego głos i mina sprawiały przyjazne wrażenie. Nie zwraca się do mnie przez „ty”, ale używa najwyższej w potocznym rumuńskim formy grzecznościowej: *dumneata*. I zaczyna. Mówi, co sądzi na mój temat: młody, obiecujący, przymioty ducha, cechy charakteru i tak dalej. Jeden z niewielu Sasów, którzy zrozumieli, dokąd zmierza historia ludzkości.

— Posłaliśmy pańską marksistowską analizę sytuacji siedmiogrodzkich Sasów do Komitetu Centralnego. Wierzymy, że popiera pan ideologię i system społeczny naszej wspólnej ojczyzny. W ten sposób ma pan przed sobą otwartą przyszłość. Jedyne, czego od pana oczekuje państwo i partia, to żeby pan mówił prawdę i tylko prawdę. Ani słowa ponadto. — Uporczywie wpatruję się w zakratowane okno. — Ta przyszłość zaczyna się już teraz. Na przykład są dla pana przygotowane papierosy. Najlepszy gatunek virginii, z zielonym paskiem, które pan chętnie pali.

— Ja nie palę.

Wstaje, bierze swoje krzesło, idzie do biurka, jego buty skrzypią.

— Całymi dniami i miesiącami okazywaliśmy cierpliwość, byliśmy wyrozumiali. Chcemy pańskiej odpowiedzi teraz: tak, nie. — Milczę, noc mija. Ja milczę. — Jak będziesz tak postępował dalej, to połkną cię więzienia. Kiedy po dziesiątkach lat cię wypuszczą, będziesz starym, złamanym człowiekiem. Ale bardziej prawdopodobne jest, że twoje kości wtedy będą się gdzieś rozsypywały w proch.

— Oby jak najprędzej!

Oficer prostuje się na całą swoją wysokość. Piskliwym głosem woła:

— *Garda!* — Zakłóca ciszę w domu pogrzebanych dusz. — *Repede!* Zabierzcie go stąd!

Tej samej nocy dwa razy jestem zrywany ze słomianego pośłania. Tego jeszcze nigdy nie było. Z ufnością i bez marzeń zapadłem w sen.

— Niech pan zdejmie okulary! — Zdejmuję i czekam na jego rozkazy. — Jaki dzień dzisiaj mamy?

— To zależy. Jeśli nie było jeszcze północy, to siósmu kwietnia.

Pan Gavrioliu stoi przy oknie. To ciężka noc. Przebrał się. Zamszowa kurtka — ciotka Herta podarowała taką swojemu mężowi na gwiazdkę. Mokasyny i skarpety w paski — jak mój dziadek na zdjęciu z Budapesztu, z 1913 roku. Jedwabny krawat z węzłem windsorskim, popelinowa koszula z usztywnionym kołnierzykiem — mój ojciec miał pudełko na kołnierzyki obciążone jedwabiem, matka pomalowała je w kolibry i dzikie róże.

Modny mężczyzna pociera sobie nos palcem, na którym nagle zauważam sygnet. Chcesz wiedzieć, jakie wrażenie robi sygnet, słyszę słowa mojej matki, podnieś serdeczny palec do nosa. I nagle myślę przerażony: czyżby ona też tu była?

Wreszcie odwraca się w moją stronę, podchodzi do mnie. Boję się, że zechce mi podać rękę. Jowialnym gestem pokazuje, bym usiadł w kącie, sam siada bokiem przy biurku. Podparty ręką, zegarek na nadgarstku odwrócił do środka, nie widzę godziny, odzywa się słodkim głosem:

— Czy nigdy sobie nie wyobrażasz wolności, nie myślisz o tym, jaka jest cudowna?

— Nie.

— Czekają na ciebie namiętne kobiety, ich bujne piersi są nabrzmięte, a gorące łona gotowe, by ci się oddać. I taka wolność już wkrótce może być twoim udziałem. Musisz tylko mówić.

— Pozwólcie mi umrzeć.

— A cierpienie twojej matki nic dla ciebie nie znaczy? Jak możesz być taki okrutny? Przy tak wysokich karach, jakie będziesz musiał odsiedzieć, ona na pewno straci rozum. Już nigdy cię nie zobaczy, swojego ulubieńca, swego pierworodnego. W końcu umrze ze złamanym sercem. — Jego nos opada na dół, tragicznie zwieszony. — A ty będziesz ją miał na sumieniu! Nie możesz jej tego zrobić. Matka, jak słodko brzmi to słowo!

— Nie chcę dłużej żyć.

Ale on nie daje się zmylić.

— Tu nie chodzi o nic innego, tylko o to, żebyś poważnie potraktował swoje zaangażowanie w sprawę socjalizmu i wreszcie przeszedł do czynów. Tylko tyle i nic więcej. — Milczę. — I nawet nie pomyślisz o swojej siostrzyczce, która cię tak ubóstwia. Tym bardziej że wasz najstarszy brat, ten — wyciąga jakąś karteczkę i sprawdza — ten zagadkowy Engelbert, umarł tak młodo i tak bezsensownie, on też jest ofiarą wojny hitlerowskiej. Teraz ty jesteś najstarszy, a twoja siostrzyczka gorzkimi łzami oplakuje twój los. Jak wyjdiesz z więzienia, będzie już starą kobietą.

— Chcę umrzeć — mówię.

— A jej zdjęcie, czy pamiętasz? Przypomnij sobie siostrę.

Widzę ją na zdjęciu, które odebrali mi przy aresztowaniu. Widzę moją siostrzyczkę w lecie na podwórku, z pieskiem i kociakiem przytulonymi do piersi, która delikatnie zaczyna się zaokrąglać.

— Twoja siostra czeka na ciebie — odzywa się straszny człowiek. Podchodzi do mnie i pokazuje mi jej zdjęcie.

Nie mówię nic. Ale krzyczę:
— O, ty straszliwy Boże!

14

O co im chodzi z tym Hugo Hügelem? Z jego powodu znowu zaczynają się nocne przesłuchania ze wszystkimi konsekwencjami. Z jego powodu mój oprawca bije mnie po twarzy. Po kilka razy w każdy policzek.

Do pierwszych uderzeń dochodzi w ten sposób: na pytanie — Kim jest ten niebezpieczny typ nazwiskiem Hugo Hügel? — moja odpowiedź pada szybko i z pewną dozą *schadenfreude* — Obywatelem, z którego nasza republika jest dumna. — Tego oficer najwyraźniej się nie spodziewał. Po chwili bezradności podrywa się i podbiega do mnie, podzwaniają klucze. Z pokorą schylam głowę. Ale on chwyta mnie za podbródek, podnosi moją twarz na swoją wysokość i uderza, z prawej i z lewej, z prawej strony wnętrzem dłoni, a z lewej jej grzbietem. Potem perfumowaną chusteczką wyciera sobie rękę, każdy palec osobno. I wrzeszczy:

— Na taką bezczelność nie pozwalają sobie nawet ci wykojejeni legioniści. Dumny z kogoś takiego jak ten Hugo Hügel! To przecież nikt, i my mamy być z niego dumni? Ważysz się powiedzieć coś takiego, kiedy całe miasto wie, że jest zamaskowanym hitlerowcem, pochodzi z rodziny nazistów? *Lup tot lup našte!* Wilk może spłodzić tylko wilka. Co to, nie wiesz nawet, że jego ojciec był Ortsgruppenleiterem w Schnakendorfie koło Rosenau, taki z ciebie nędzny matacz? Młodziutkich chłopaków i ojców rodzin tak naciskał, aż zapisali się do Waffen SS. A kiedy ich krewni wybili mu okna i krzyczeli, żeby sam wreszcie poszedł na front, razem ze swoim synem,

wiesz, co ten bezwstydy człowiek odpowiedział? Co też tym ludziom przychodzi do głowy! Jego żona, biedna Zini, jest chora na serce i nie przeżyłaby, gdyby miała męża i syna na wojnie. I że będą musieli zapłacić za szyby, bo jak nie, to zawoła niemiecką policję. — Odpina górny guzik munduru. Ale nie wygląda przez to mniej groźnie niż przedtem. — Jak tylko zwycięska armia sowiecka przy wsparciu Rumuńskiej Partii Komunistycznej wymiotła hitlerowskie hordy ze świętej ziemi rumuńskiej, cała rodzina zaraz zmieniła obóz. Należą do tej niewielkiej liczby Sasów — jego głos brzmi szyderczo — która się zromanizowała. Muntenel się teraz nazywa, stary nazista. Wilk zmienia futro, ale jego podstępny charakter zostaje. My wiemy o wszystkim.

Te nowości nie są w stanie mnie zastraszyć.

— Możliwe, że wtedy tak było. Ale teraz napisali w gazecie: republika ludowa jest z niego dumna, spośród wszystkich Sasów akurat z Hugo Hügela. Byt określa świadomość, tego nauczyłem się na lekcjach marksizmu.

— *Exact* — mówi oficer, wycofuje się i chowa za swoim biurkiem. — W gazecie? W jakiej gazecie?

— W gazecie „Nowa Droga” z dwudziestego grudnia 1957 roku, osiem dni przed moim aresztowaniem. — Mówię „aresztowaniem”, już nie zwracam na to uwagi. — Ogromnymi literami było tam napisane: *Dla uczczenia dziesiątej rocznicy republiki — obywatele, z których jesteśmy dumni*. Pod spodem portrety wielu tutejszych niemieckich aktywistów, na przykład dojarcki Kathariny Minges, kobiety stachanowca. Całkiem udane rysunki piórkiem, autorstwa Nicolasa Sturma. Zresztą pan Sturm to kolejny wymowny przykład, że nieodpowiednia przeszłość człowieka może zostać wymazana, przecież według Marksa jednostka daje się formować. Jej istota dopasowuje się do okoliczności.

Mężczyzna za biurkiem burczy:

— Właśnie. Niebezpiecznie jest szczać na ścianę. — I na tym samym oddechu ruga mnie: — Zamknij tę swoją brudną gębę! Mnie nie musisz pouczać. Pytałem cię o Hugo Hügela. A nie o Marksa, tym bardziej nie o Nicolasa Sturma. Z niego wielki Związek Radziecki w rzeczy samej zrobił nowego człowieka.

— Tak, a w samym środku galerii bohaterów republiki ludowej: Hugo Hügel. Więcej nie mogę powiedzieć. Jeśli gazeta kłamie, to kłamię i ja.

Tamten mruczy:

— Wiemy wszystko, a z każdą godziną wiemy więcej. Przede wszystkim wiemy, że kłamiesz.

— Poza tym jest redaktorem działu kultury „Gazety Narodowej”, niemieckojęzycznego organu partii w Stalinstadt, czyli sprawdzonym aktywistą partyjnym. Za swoją książkę dostał nagrodę literacką. To opowieść historyczna zainspirowana duchem rewolucyjnym. Ukazała się w Wydawnictwie Młodzieży Robotniczej.

— O tej zakłamaney szmirze nie będziemy tu rozmawiać — syczy oficer i pozbywa się mnie kłaśnięciem.

Ale następnej nocy każe sprowadzić mnie znowu.

Siedzę w kącie pokoju przestłuchań i milczę. Sytuacja nie wygląda dobrze, drzę na całym ciele.

— Bohater republiki? Ha! Przeczytaj to. — Komisarz z szyderczym uśmieszkiem podsuwa mi list Hugo Hügela, skierowany do mnie. Muszę go przetłumaczyć, choć mężczyzna już wie, co zawiera. Rozpoznaję charakter pisma przyjaciela. Używa cieniutkich stalówek, jego litery mają w sobie coś z akrobacji. Opowiada o ogromnych sukcesach podczas wieczorów autorskich w wioskach Burzenlandu. Wszędzie wrze wśród chłopów, odkąd zdradził im klucz do swojego opowiadania: król szczurów to najwyższy przywódca partii Gheorghie Gheorghiu-Dej w Bukareszcie. A flecista, który gnije w lochu

i przygrywa do tańca czerwonym szczirom, to on sam, Hugo Hügel. Ogarnia mnie przerażenie: ten list będzie go kosztował głowę. Jest zgubiony.

— Czy teraz masz wystarczający dowód — pyta mnie mój pan i władca — że ów bandyta takimi akcjami i działaniami zawinił wobec partii, *agitatie antipartinică*, a także przeciwko państwu, *contra statului*, że są to sprawy kryminalne? Ten list mówi sam za siebie!

— Nie — mówię uparcie. — To w żaden sposób nie zostało udowodnione. Nic w tym liście nie jest *antipartinic*, najwyżej *nepartinic*, nie przeciwko partii, tylko rozmija się z linią partii. I w żadnym razie przeciwko państwu, przecież państwu nie może zagrozić bajka o zwierzętach. — Następuje kilka policzków, potem mówię dalej: — Nie należy traktować tego szczególnie poważnie. Może są tam pewne zmańczenia świadomości, które w ciągu ostatnich kilku lat na pewno udało mu się przezwyciężyć dzięki działalności w partii. — Cała noc schodzi na to, by zacięty oficer zapisał kilka zdań.

Ale fakt, że Hugo już wcześniej poinformował mnie o podwójnym dniu noweli, w czerwcu 1956 roku w Bukareszcie, przemilczam.

Właśnie obudziłem się w hotelu Union, obok niego, w tym samym łóżku, on zaraz pochylił się nade mną, w koszuli nocnej, i zaczął mówić: o sobie i swoich dziełach. To była niedziela, dzień uroczystego wręczenia nagród. Hugo Hügel dostał trzecią nagrodę. Pościel miała kolor zielony.

Nagrodę pierwszą i drugą dostali Pitz Schindler i Oinz Erler. Pierwszy, syn producenta kiełbas z ulicy Lohmühlgasse w Hermannstadt; publicznie odciął się od swojego saskiego pochodzenia i ojca-fabrykanta. Najwyższe kręgi partyjne w Bukareszcie pokładały w nim uzasadnione nadzieje, bo naciskał, żeby zburzyć ponadnaturalnej wielkości pomnik

saskiego biskupa Georga Daniela Teutscha przed ewangelickim kościołem w Hermannstadt. Tytuł nagrodzonej powieści brzmiał *Siedem litrów wina*.

Oinz Erler był pastorem, starszym człowiekiem, który przed wojną wydawał książki w Niemczech, a teraz po dwunastu latach pisania do szuflady odważył się wyciągnąć na światło dzienne swoje opowiadanie *Pierwiosnki*, wyrafinowane literacko, napisane w duchu Knuta Hamsuna, z ukrytym przesłaniem: „Chciałem udowodnić, że można pisać o byłym esesmanie, nawet tu, w tym kraju i w tym czasie. I że zostanie to wydrukowane”.

Gazeta „Nowa Droga”, która opłacała nam noclegi, przydzieliła Hugo Hügelowi i mnie ten sam pokój. Był on wyposażony w zwykłe podwójne łóżko, po rumuńsku trafnie nazywane *studio*, zaprojektowane dla robotniczych małżeństw w blokach. Nigdy wcześniej się nie widzieliśmy. A teraz musieliśmy spać w jednym łóżku.

Ledwie otworzyłem oczy i zobaczyłem obok siebie obcego mężczyznę, który wrócił do pokoju późno w nocy i bezszelestnie wsunął się do mnie pod podwójną kołdrę, a już musiałem słuchać jego nieustającej mowy. Opowiedział mi nie tylko o elementach składowych swego opowiadania, zygzakowatymi gestami naszkicował przebieg akcji, spowity w zielone poszwy wskazał retardacje przed momentami kulminacyjnymi, ale oprócz techniki i aspektów artystycznych ujawnił także tło polityczne utworu.

Przyznanie nagrody było dla niego nie tylko sukcesem literackim, lecz także triumfem politycznym. Hugo Hügel siedział nade mną na półce u wezglowia łóżka, przeznaczonej na bibeloty, po rumuńsku *bibelouri*. W rozcięciach jego koszuli widziałem męskie owłosienie. Wprawdzie towarzysze z Państwowego Wydawnictwa Literatury i Sztuki — sami cwani Żydzi! — przejrzeni go na wylot i odrzucili rękopis

z komentarzem, że mają jasność na temat dwuznaczności tego opowiadania; ale jemu, Hugo Hügelowi, udało się zainteresować Wydawnictwo Młodzieży Robotniczej, które wyda nowelę — tam siedzą tylko proletariackie głupki od kultury. Tak, a teraz udało mu się jeszcze wyprowadzić w pole jury konkursu.

Byłem przytłoczony jego wywodami, bez reszty go podziwiałem i postanowiłem już nigdy w życiu nie napisać ani linijki.

Faworyzował mnie, czasami nazywał mnie nawet przyjacielem. Uwielbiałem go z zawistnym szacunkiem osoby innego gatunku. I z nieśmiałością debiutanta wznosiłem ku niemu spojrzenie. Hugo Hügel był ambitny i waleczny, stawiał czoło niebezpieczeństwu, chwycił byka za rogi. Zacytował Logaua: „Odważni mężczyźni powinni mieć w sobie coś z lisa, coś z lwa”.

Lew i lis, to było mi obce. Najprędzej rozpoznałbym się w zającu. Zamiast głośno rycząc przechadzać się z wygiętym groźnie ogonem czy zakradać się do kurników, ja szukałem ratunku w ucieczce, najchętniej się ukrywałem. Już w ogrodzie mojego dzieciństwa było mnóstwo kryjówek. Pod ogromnymi irysami urządziłem sobie schowek, o którym wiedziała tylko córka dozorczy, Irenke. Wśród konarów lipy wisiał hamak, dla innych nieosiągalny; raz wspięła się do niego nasza matka. W domku do zabawy przy starej altanie miałem własny malutki pokoik do czytania, z którego nie wolno było korzystać rodzeństwu. A kiedy bawiliśmy się w policjantów i złodziei, należałem do policjantów.

Hugo Hügel, smagły jak Sycylijczyk, z błyszczącymi czarnymi oczami, na balach maskowych przebierał się zwykle za diabła z prawdziwym końskim kopytem. Kruczoczarne włosy zaczesywał do góry w formie rogów. Ja wkładałem ślubny frak

mojego ojca, obwieszałem go cesarsko-królewskimi orderami dziadka, na głowie miałem fez, który wuj Franz Hieronymus jako jedyną część garderoby uratował z katastrofy morskiej na morzu Marmara.

Z wykształcenia Hugo Hügel był nauczycielem ludowym, tak samo jak jego przodkowie. A z powołania sportowcem, mistrzem w biegach zjazdowych. Niewielkiej postury, pędził po lodowcach jak strzała, rzucał się w dół najbardziej stromych zboczy, aż konkurentom zapierało oddech i sami zatrzymywali się w biegu. Jako pierwszy przecinał linię mety. Ja zaś telepałem się na dół szerokimi, przemyślanymi łukami w stylu norweskim.

Uwielbiał wielkie gesty i męskie słowa, w czym bardzo chciałem go naśladować. W hotelu Continental w Klausenburgu nacisnął kiedyś w pokoju wszystkie trzy dzwonki naraz, żeby sprawdzić, kto się pojawi. Przybiegła pokojówka, potem kelner, a kiedy Hugo ich odesłał, przyszedł niepozorny, uprzejmy mężczyzna w drogich butach, który nie pozwalał się odesłać. „Jego właśnie chciałem zobaczyć”.

Publicznie pokazywał się najczęściej w towarzystwie pięknych dziewcząt, najchętniej studentek, wyższych od niego o głowę, blondynek z długimi warkoczami zwieszającymi się nad kształtną piersią.

Fakt, że akceptował mnie z całą moją innością, uznawałem za coś dziwnego, prawie niepokojącego, gdyż ciągle obawiałem się, że mogę popaść w niełaskę. A jednak czułem, że jego sympatia utwierdza mnie. A jego męskość chroni.

Właśnie do Hugo Hügela uciekłem po tej nocy z Enziem Puterem, kiedy to daremnie próbowałem go prosić, żeby nie zabierał mi Annemarie Schönmund. Kilka dni wcześniej stało zdławione powstanie w Budapeszcie.

Tej nocy Enzo Puter i ja spaliśmy w pokoju, Annemarie z matką ułożyły się w kuchni. Annemarie, która poza tym

milczała, pochłonięta rozmyślaniami, krzątała się jeszcze koło nas. Na chwilę usiadła przy stole i powiedziała:

— Marco Soterius to przecież szarlatan! — potem poszła do kuchni, przyniosła trochę drewna i rozpałała ogień w piecu kaflowym. Podeszła do mnie, oparła się o krzesło, objęła moje ramiona i odezwała się do Enzia Putera: — Parapsychologia to humbug. Ja w to nie wierzę.

Puter wstał i podszedł do pieca. Jedną stopę w podróżnym bucie oparł na łóżku. Spojrzał na nas ojcowskim wzrokiem i powiedział:

— Sowietci porządnie się przestraszyli węgierskiej rewolucji. Trzęsą się ze strachu, aż do samego Kremla.

— Oficjalnie to się nazywa kontrrewolucja — sprostowałem. I dodałem: — Niektórzy twierdzą, że wieża Eiffla jest nie tylko wysoka, ale także niezwykle szeroka u podstawy.

— Rządy krajów bloku wschodniego oczekują jeszcze rok, będą chciały się upewnić, że mocno siedzą w siodle. A potem uderzą. Wtedy zaczną się masowe aresztowania.

Odezwałem się znowu:

— Czy wie pan, jaki jest najdłuższy most świata? — Nie wiedział, więc poinformowałem go: — Most w Cernavodă nad rumuńską częścią Dunaju.

W odpowiedzi ziewnął, na co Annemarie zwróciła się do mnie z wyrzutem:

— Enzo musi się położyć. Ostatniej nocy mało spaliśmy. — Pocałowała mnie w usta, jej wargi były gorące, ale suche i spękane. Jemu podała rękę, którą uściśnęła i przytrzymała, a po chwili puściła.

Zrobiło się cicho. Czasami tylko jakiś pijak zataczający się na wąskiej uliczce opierał się o front domu.

Tamtej nocy pojąłem w pewnym momencie coś, co tamtych dwoje już dawno wiedziało, co chyba nawet nie uszło uwagi roztargnionej matki Annemarie: oni są parą.

— Panie Puter, niech pan mi jej nie zabiera — błagałem. Dopiero następnego dnia zauważyłem, że to było niewłaściwe sformułowanie: on nie mógł tego zrobić. To nie zależało od niego. — Widzi pan, jestem ofiarą psychicznego wypadku. Musiałem spędzić wiele miesięcy w szpitalu, przeszedłem czterdzieści sześć szoków insulinowych. Moje zmysły były jak obumarłe. Świat odpłynął. Żyłem jak w czarnej kuli. Moja rozpacz była ogromna. To Annemarie uratowała mnie przed krokiem ostatecznym. Przychodziła do mnie codziennie do kliniki. Poświęciła mi dużo czasu. A mieć dla kogoś czas to wyraz miłości. Nieprawdaż?

Enzio Puter nie słyszał wszystkiego, bo czasami zapadał w drzemkę; dolatywało mnie jego lekkie pochrapywanie. Dziwnie się z tym czułem: gdy jego chrapanie ustawało, wiedziałem, że nie śpi, i zaczynałem się bać.

— Na nowo nauczyła mnie odczuwania. Jest dla mnie całym i jedynym światem. Niech mi ją pan zostawi. Poza tym ona należy tutaj, do Siedmiogrodu, do krainy swego dzieciństwa.

Pochrapywał spokojnie. Gdy budził się, chrząkał uprzejmie, ale prawie się nie odzywał. Mówił tylko: — Mroźna noc, miejmy nadzieję, że nas tu nie zasypie. — Albo: — Niestychane! Tutaj słyhać jeszcze, jak pieją koguty! — Lub też: — Cóż to za tolerancyjny kraj, ta republika komunistyczna: w oknie prawdziwy święty obrazek z wieczną lampką, jak u nas, w Bawarii. — A kiedy jakiś bezański pies zaszczekał przed domem, powiedział: — Gdzie psy mają jeszcze tyle wolności co w tym kraju!

Ale nie powiedział tego, co się nasuwało: Niech się pan cieszy, że ją panu zabieram. W ten sposób uchronię pana przed zgubnym regresem. Pan nie kochał tej biednej dziewczyny, nie tak, jak mężczyzna kocha kobietę, tylko trzymał się jej kurczowo jak pacjent swojej pielęgniarki albo jak infantylny dorosły matki. Teraz stanie się pan wreszcie dorosły. I będzie

mi wdzięczny. Nie, tego nie powiedział, choć jako dyplomowany psycholog miał do tego odpowiednie kwalifikacje. Chrapał. A raz powiedział: — Wieża Eiffla nie ma wspomnień. Psy też nie mają.

Ale ja miałem wspomnienia.

Nad ranem Enzo Puter powiedział, poziewując, a było jeszcze całkiem ciemno, na ulicy słyszałem tupot robotników śpieszących do fabryk:

— Ożenię się z Annemarie, porozumieliśmy się w tej sprawie. Mam nadzieję, że wkrótce do mnie przyjedzie. Skontaktuję się natychmiast z naszym ministrem spraw zagranicznych, panem von Brentano, żeby pocztą zwrotną wysłał jej paszport.

Powiedział to i zasnął.

W moim bólu powtarzało się jedno zdanie, powtarzało aż do szaleństwa: a ty myślałeś, że on nie może ci zagrozić. Myślałeś, że nie może... Myślałeś, że on...

Na pożegnanie spojrział na mnie swoimi trójbarwnymi oczami, wyciągnął porośniętą rudawym włosem rękę, w dotyku była jak aksamitna rękawiczka, i powiedział dobrodusznie:

— Do widzenia. — I już na kuchennym progu, jedną nogą na podwórzu, obok Annemarie, która niosła jego pokrytą nalepkami hotelowymi walizkę, zawołał do jej matki i do mnie: — Wytrzymajcie! To już długo nie potrwa.

Kiedy Annemarie wróciła, od razu weszła do pokoju. Ja siedziałem zwinięty na sofie koło pieca, przyciskając kolana do zimnych kafli. Stała przede mną, jej usta były rozpalone, oczy zezowały bardziej niż zwykle. Pogłaskała mnie po włosach i powiedziała:

— Ja cię jeszcze kocham, ale nie wiem, czy cię nie opuszczę. Ale ja już wiedziałem. I zacząłem gorzko płakać.

Włożyłem swój trencz, cienki, jasny płaszcz po zaginionym wujku, i opuściłem domek przy Sichelgasse 8. Przed bramą

droga się rozwidłała. Było zimno jak w środku zimy. Na rozdrożu pobożni Rumuni zawsze stawiają krzyż. Przed blaszanym Chrystusem paliło się czerwone światełko. Z jego ran wypływała brązowa rdza.

Dokąd miałem skierować kroki? Skierowałem je donikąd i znalazłem się u Hugo Hügela na ulicy Obere Sandgasse. Na powitanie powiedziałem tylko:

— Przychodzę jako duchowy uciekinier. — Nie chciałem zdjąć płaszcza.

Nie tracąc na darmo słów, posadził mnie w fotelu, wyjął z regału cieką książeczkę oprawioną w niebieskie płótno lniane, potem jeszcze jedną.

Powiedział:

— Znasz tego natchnionego poetę? Który ogarnięty był przez świętego ducha języka niemieckiego?

Oczywiście. Z zamkniętymi oczami widziałem te tytuły: *Późna korona* oraz *Szlachta i upadek*. Kiedy otwierałem oczy, świat rozpadał się na rzeczy, z których każda sprawiała mi ból. I gdy pan domu w szlafroku i pantoflach piętrzył nade mną kamienie słów:

Z tarczą ku ziemi opuszczoną i stępionym mieczem,
złamany, nagi, bez świętego hełmu,
pozbawiony świetlistej ochrony czoła,
cienia nad pięknymi oczami:
tak padł...

ujrzałem dziecko siedzące w wiklinowym krzeselku, ukryte w niszy obok pieca kaflowego. Dziewczynka troskliwie obejmowała lalkę, jakby chciała ochronić ją przed tymi ciężkimi wersami. Nie spuszczała przy tym spojrzenia ze mnie, nie dając się zmylić temu, że ciągle zamykałem oczy.

* Chodzi o austriackiego poetę Josefa Weinhebera (1892–1945).

Kiedy przyjaciel skończył czytać, ciężko się podniosłem, ale on mnie zatrzymał:

— Zostań jeszcze, jest za wcześnie, żebyś szedł. — Bez słowa pozwoliłem zdjąć z siebie płaszcz i usiadłem z powrotem. Gdy znowu zamknąłem oczy, Hugo powiedział: — Popatrz na te obrazy na ścianie. Wszystkie namalowała moja żona. Wyszukaj sobie jeden, w którym odnajdzie się twoja dusza. — Rozejrzałem się. Każde pociągnięcie pędzla wypalało ślad w mojej głowie, każdy kolor krzyczał. Ale nie znalazłem tam obrazu, w którym odnalazłaby się moja dusza. Prześladowało mnie echo zdania z wiersza: „pozbawiona cienia nad pięknymi oczami, ukochana, tak padłaś”.

Czy przez pokój nie przeszła przed chwilą kobieta? Najwyraźniej. Na stole stały dwie filiżanki herbaty, obok nich srebrna cukiernica z monogramem SSCH i kluczykiem dla ochrony przed łakomymi służącymi oraz taca z kanapkami: kawałki bułki paryskiej z masłem i serem, ozdobione szczypiorkiem.

Na stole rozpoznałem *Mit XX wieku* Rosenberga. Dziewczynka w kącie odłożyła swoją lalkę do czerwono-niebieskiej kołyski, pomalowanej w saskie motywy tulipanów. Przysunęła swoje krzeselko do stołu, weszła na nie i obiema rękami chwyciła książkę. Krzeselko przewróciło się, ale dziecko nie upadło. Wyniosło ciężką książkę za drzwi, trzymając ją w górze nad głową. Potem dziewczynka spokojnie usiadła w swoim kąciku. I nie odzywała się. Przytulała lalkę, jakby właśnie uniknęła niebezpieczeństwa.

Piłem herbatę tak gorącą, że parzyła usta. Dobrze mi to zrobiło. Dziecko znowu przydreptało do nas, chciało, żeby ojciec wziął je na kolana. On usadowił dziewczynkę przy stole, dał jej kredki i papier.

— Narysuj coś ładnego!

— Dla wujka?

— Tak.

— A czy on jest biedny?

— On marznie.

Dziewczynka narysowała bałwana.

— On marznie jeszcze bardziej.

Potem dołożyła mu jeszcze czerwony płaszcz, obramowany futrem. To wyglądało pocieszająco. Teraz bałwan przypominał świętego Mikołaja.

Nie reflektowałem na kanapki. Przyjaciół nie namawiał.

Pożegnałem się. Dziewczynka nie przerwała rysowania. Jego żona się nie pokazała. Powiedziałem: — Dziękuję za wszystko. — I wyszedłem przez ogródek z długimi rabatami astrów przypudrowanych mrozem. Pozostało mi w głowie zdanie, w które jednak nie chciałem wierzyć: „Nieszczęście przegranej można znieść”.

Przy furtce jeszcze odwróciłem się oszołomiony. Czy popełniłem jakiś błąd? W oknie rozpoznałem dziewczynkę, wyglądała za mną z głową podpartą na rękach, głęboko pogrążona w myślach. Nad nią jak biała maska unosiła się twarz żony Hugo Hügela. On sam stał przy drzwiach, w pantoflach z purpurowymi pomponami i w szlafroku o bladoniebieskich jedwabnych klapach. Nie machał za mną. Ale zawołał:

— Nie zapomnij, że zamierzam wkrótce zaszczyścić wasze kółko literackie!

Ale ja wielkimi susami gnałem jak najdalej stamtąd. Dzieci, które jeździły na łyżwach po oblodzonej ulicy, rozbiegły się przede mną. Byłem zdjęty przerażeniem. Tyle domowego szczęścia, co za śmiałość! To się nie mogło dobrze skończyć.

Przez Langgasse doszedłem do Dworca Bartolomejskiego, gdzie wczoraj o tej samej porze wysiadłem z pociągu i nie odważyłem się wziąć Annemarie w ramiona. Dokąd teraz?

W samym środku nocy komisarz chce wiedzieć:

— Co robiłeś w dniu 12 listopada 1956 roku przed południem, między godziną jedenastą i pierwszą, w domu Hugo Hügela przy Sandgasse? O czym rozmawialiście, jakie snuliście plany przeciwko państwu i partii? Dwaj sprytni przeciwnicy naszego systemu!

Raczej nie oczekuje żadnej konkretnej odpowiedzi, domyślam się tego, kiedy staje przy mnie, zamiast ze zmarszczonym czołem siedzieć przy biurku z piórem w gotowości, by zapisać moje słowa. Zgodnie z prawdą odpowiadam:

— Nic.

— Jak to nic? O niczym nie rozmawialiście, niczego nie knuli, po tej nocy, kiedy to zachodnioniemiecki szpieg zwerbował cię jako agenta, *pentru acte de diversiune*? Zlecił ci przekształcenie klausenburskiego kółka studentów w straż przednią agresji imperialistycznej? My przecież wiemy wszystko! I codziennie wiemy więcej. A więc o czym mówiliście, coście knuli?

— O niczym — powtarzam powoli — zupełnie niczym. Nic nie robiliśmy, nic nie mówiliśmy. On czytał mi wiersze.

— Dlaczego?

— Żeby mnie pocieszyć.

— Wiersze, żeby pocieszyć? To niemożliwe. Czyje wiersze? Zastanawiam się szybko, mówię:

— Majakowskiego.

— Łzesz! — krzyczy rozwścieczony mężczyzna. — Łzesz! Wy nie czytacie wierszy Majakowskiego. Ale jeszcze to sprawdzimy. A jak Majakowski może cię pocieszyć?

— Może, może — odpowiadam. — Słynny biały wiersz na śmierć Lenina. I ten o rewolucji październikowej. Opisuje nadejście wiosny ludów w środku listopada, *primavăra popoarelor*. To dodaje otuchy.

— A dlaczego trzeba było cię pocieszać? — pyta oficer. I sam sobie odpowiada, ponieważ ja milczę. — Tak, tak, wiem, to taka sztuczka, żeby zamaskować wasze konspiracyjne machinacje: nie chcesz mieć z Enziem Puterem nic do czynienia, bo odebrał ci dziewczynę. Sprawdzę to wszystko. Biada ci, jeśli mnie okłamujesz. Twoje kości zostaną tam. — Kciukiem pokazuje na dół. — A teraz gadaj: o czym wy, bandyci, rozmawialiście w hotelu Union w Bukareszcie, w czerwcu 1956 roku, kiedy mieszkaliście w jednym pokoju?

— O niczym — odpowiadam. — Nie mieliśmy czasu. Hugo Hügel przyszedł do hotelu dość późno, ja już spałem. Następnego ranka musieliśmy o dziesiątej rano być na uroczystości. A w dodatku słóczono nas razem na podwójnym tapczanie, *un studio*.

— Jeszcze naśmiewasz się teraz ze sposobu spania klasy robotniczej.

— O niczym nie rozmawialiśmy. Byłem niewyspany i mrukliwy. I nie znaliśmy się przecież. O czym mielibyśmy rozmawiać? — Pohamowuję się: im więcej mówisz, tym bardziej podejrzliwy staje się śledczy. Dość! Ale na koniec dodaję jeszcze jedną informację: — Pościel była zielona.

Podsuwa mi skąpo zapisaną kartkę papieru:

— Podpisz! *Repede, repede!*

— Najpierw chcę przeczytać.

— Co chcesz przeczytać? To, czego nie powiedziałeś?

— Nie — odpowiadam — to, co pan zapisał.

Zjawia się strażnik, człapię z nim do celi. Nadchodzi świt.

Podczas kolejnej nocy wreszcie odbywa się porządne przesłuchanie. Starszy, łysawy oficer z jedną jedyną gwiazdką na naramienniku, która identyfikuje go jako pomijanego przy awansach chorążego, zaczyna wypytywanie według wszelkich reguł, do jakich jestem już przyzwyczajony.

Czy posiadam rower?

— Tak.

— A skąd pieniądze?

— Ostatniego lata pracowałem przy bieleniu chlewów.

— A ten rower, jaka to marka?

— Mifa, enerdowski. — Do czego go używałem? — Do jeżdżenia. — Mam mu wyliczyć wszystkie moje wycieczki rowerowe, od roku 1953. Z kim, dokąd. Wymieniam wszystkie, na których byłem sam.

— A w lecie 1957, zanim tu trafiłeś? — Nagle staję się czujny. Odbyłem dwie wycieczki: jedną sam po Starym Kraju i jedną z Elisą do Burzenlandu.

— Zrobiłem jedną wycieczkę.

— Z kim?

— Sam.

— Dokąd?

— Do skolektywizowanych gospodarstw rolnych.

— Po co?

— Żeby napisać reportaż.

— Po co?

— Bo zażyczyła sobie tego gazeta „Nowa Droga”.

Czy napisałem ten reportaż.

— Oczywiście. — Nie pyta, czy został potem opublikowany.

— Jakie znasz dziewczyny o imieniu Bettina?

Jeszcze nie minęła chwila strachu, gdy odpowiadam:

— Żadnej.

Niezadowolony przegląda protokół, drapie się w łysinę, daje mi go do podpisania, a potem klaszcze i każe mnie odprowadzić.

W roku, w którym straciłem Annemarie Schönmund, odbyłem wycieczkę rowerową po Starym Kraju między Alutą a Kokelem. Odwiedziłem kołchozy, które były prowadzone głównie przez naszych ludzi i cieszyły się dobrą opinią. Mnie wydawało się, że są to modele nowego początku według niegdysiejszych spółdzielczych struktur saskiej gospodarki.

Gdy było to możliwe, odbywałem wieczory autorskie, na których czytałem moje opowiadanie *Czysty kruszec*. Wozilem je, wraz z innym opowiadaniem, pod tytułem *Oddech*, w plecaku. Razem z rękopisami zapakowałem białą koszulę, krawat i spinki do mankietów oraz czarne spodnie, które pożyczyłem od Theobalda Wortmanna. Wszystko jak przystoi literatowi na występach.

Valentin Stamp, przewodniczący kołchozu w wiosce Mortestal, od razu się zapalił — trochę kultury nie zaszkodzi! — i chciał zorganizować spotkanie w pomieszczeniu, gdzie było najwięcej miejsca, żeby cała wieś mogła być obecna: na krytym wybiegu stajni. Jeszcze niedawno była to najświeższa nowinka z Bukaresztu, jak wyjaśnił mi nauczyciel wiejski Tumes Schuller, zwany Tytoniowym Bidokiem, gdyż jego dziadek przez uprawę tytoniu popadł „w bidę”. Nauczyciel umieścił na korycie przykrytą czymś czerwonym beczkę wina w charakterze pulpitu, a obok postawił stołek dojarski. To było innowacja: nie trzymać krów zimną na łańcuchach w boksach, ale pozwolić im swobodnie chodzić.

— Zwariowany pomysł niedowarzonych ludzi z Bukaresztu, którzy w życiu nie widzieli na oczy krowy! Boimy się, co tam jeszcze nowego dla nas wymyślą.

— Co roku pojawia się nowe czarodziejskie słowo — dodał przewodniczący Stamp. — *Stabulație liberă*, wyzwolenie bydła. — Krowy chodziły wolno po stajni, mogły odwiedzać swe dalekie sąsiadki i bez ograniczeń ocierać się o siebie. Karmę wrzucano po prostu przez okna. Krowy jadły, srały i kładły się, gdzie tylko im się podobało. W końcu zaczynały tonąć we własnych odchodach, bo nikt, „nawet sekretarz partii”, nie umiał przewidzieć, gdzie spadną. Prawie nie dało się tych krowów doić. Trzeba było podnosić ich wymiona ze śmierdzącego gnoju i doić mleko w górę. — To wbrew naturze. Ciężkie czasy nastały dla naszych chłopów! — Oni zaś z powagą i zaangażowaniem wzięli się do walki z gnojem. — Sprzątali, aż podostawali garbów, jak ten olbrzym Herkules. — Dopiero przewodniczący wpadł na pomysł, który uratował sytuację: kazał przerobić podłogę stajni na zapadnię, a pod spodem poprowadzić betonowe kanały i za pomocą kompresorów przesyłać łajno do gnojownika. Powiedziane, zrobione. Kiedy wszystko było gotowe, koncepcja krytych wybiegów stała się już nieaktualna. — Ale nasz kolektyw zdążył jeszcze dostać Order Pracy! — zakończył triumfalnie przewodniczący. Order, dobrze strzeżony, wisiał w jego biurze w przeszklonej szafce na sakramenty z czasów sprzed reformacji, pod portretem pierwszego sekretarza partii. Zachwycony napisałem w moim artykule dla gazety: „Przy świadomym wykorzystaniu sprawdzonych elementów z przeszłości odbywa się produktywnie kształtowanie obecnej rzeczywistości oraz podejmowane są twórcze, pełne fantazji wycieczki w przyszłość”. Artykuł nie został opublikowany, ale honorarium mi zapłacono.

Spotkanie przeniesiono jednak do auli dawnej szkoły ewangelickiej. Tak zarządził lokalny sekretarz partii, *tovarășch* Nicări, Cygan, który od razu wyczuł, że lepiej obchodzić się ostrożnie z człowiekiem wykształconym, a do tego jeszcze z gazety z Bukaresztu. który poza tym nie chciał złożyć wizyty

u swojego własnego pastora. *Popa saşilor* został przez niego pominięty. To prawda, omijałem plebanie. Wyjaśniłem mu dlaczego, powiedziałem: — Jestem młodym komunistą. — Na co towarzyszy Nicări odrzekł zmieszany: — Ja też! — I szybko się przeżegnał.

Przesłanie moich wystąpień brzmiało: Dla nas, Sasów, tu i teraz zaczęło się kolejne osiemset lat historii. Choć w wyniku rozmów po spotkaniu stwierdziłem, że ludzi tak bardzo nie interesują następne setki lat, nurtują ich raczej inne sprawy: czy za kilka dni spadnie deszcz, czy partia znowu zarządzi czyn społeczny w niedzielę, czy może wreszcie będą mogli z czystym sumieniem pójść do kościoła. Również przy wieczornym poczęstunku, młodym winie, które dla podniebienia gospodarza było najlepszym napojem świata, to nie świetlana socjalistyczna przyszłość najbardziej zajmowała ludzi, lecz przegrana wojna i frontowe przykłady odwagi, od Narwiku do Tobruku, od Cherbourga po Odessę. I zamiast z należną uwagą dyskutować politykę narodowościową partii wobec mniejszości niemieckiej, rozweseleni alkoholem biesiadnicy, siedząc pod gruszą, woleli narzekać na pastora i jego żonę, jak przed setkami lat. Specjalnym zainteresowaniem nie cieszyło się też koło historii, o którym wiedziano, że nie da się cofnąć jego biegu, niestety. O wiele ważniejsze okazywało się, czy do zniw uda się wyposażyć prywatne wozy drabiniaste w gumowe koła: skąd brać wycofane opony po „luksusowych autach”?

I kiedy wyraziłem zdziwienie: — Przecież macie w kołchozie traktory! Po co wam wozy? — otrzymałem zwięzłą odpowiedź: — Taki jak wy tego nie zrozumie. W kołchozie nie obowiązuje siódme przykazanie.

Zamiast zgodnie ze starym protestanckim zwyczajem zająć na nocleg do pastora, przyjąłem zaproszenie przewodniczącego kołchozu. Najczęściej kwaterowano mnie w paradnej izbie od ulicy, zresztą wkrótce pojąłem, że tam po prostu najmniej

przeszkadzałem. „Frontowego pokoju używamy teraz tylko wtedy, gdy ktoś umiera”. Dlatego lustra między oknami zasłonięte były czarnymi płachtami. Sypiałem na sofach z wysokim oparciem. A na pięknie zaścielonych łóżkach piętrzyły się poduszki i pierzyny obleczone w płótno tkane z własnoręcznie robionej przędzy. Zaraz po powrocie do swych splądrowanych domostw nasi ludzie splunęli w dłonie, wszystko odbudowali i urządzili na nowo. Tak, zdarzało się nawet, że w mgnieniu oka stawiali całe domy, od fundamentów, przy sąsiedzkiej pomocy, tak jak przed wiekami po przybyciu na te ziemie. Jak to mówią Rumuni: „Kiedy Sas się nudzi, burzy swój dom i buduje nowy”.

W Mortestalu nocowałem u przewodniczącego Stampa. Jego żona była w szpitalu w Schässburgu, „przez pastorową zółć ją zalała”. Przed kościołem „pani matka” podała rękę wszystkim kobietom, ale pominęła żonę Stampa, bo ta właśnie przed chwilą wytarła sobie nos. Mój gospodarz w czasie wojny był rumuńskim żołnierzem, mógł więc zatrzymać dom i gospodarstwo. Zanim zaprowadził mnie do pokoju, pokazał mi schowek, coś takiego znajduje się w każdym saskim obejściu: nad stajnią, stanowiącą część stodoły, była komórka z desek, w której można było wygodnie leżeć, a nawet prosto usiąść. Skrytkę urządził dziadek gospodarza, w 1918 roku, „kiedy napadli na nas Wołosi z Regatu, ze starego królestwa”. Wiedziano, że są „wielkimi rabusiami”. Schowek zamaskowany był spiętrzonym sianem. Z dołu dochodziło przyjemne, syte ciepło.

Jesienią 1944 roku wuj przewodniczącego, który teraz leżał umierający w letniej kuchni, ukrywał tam przez kilka dni niemieckiego oficera. „Przecież Niemcy w Rzeszy to nasi bracia”. W styczniu 1945 roku w skrytce ponad miesiąc siedziała schowana dwunastoletnia córka miejscowego Ortsgruppenleiters, była na liście do Rosji. Jej rodzice tuż po wkroczeniu

Rosjan zostali jako hitlerowcy zesłani do obozu w Caracalu nad Dunajem, a brat walczył w Waffen SS.

Ale najbardziej szanownym gościem, który też najdłużej tam wytrzymał, był rumuński partyzant. Aż pięć zim spędził w ziemiance ze swoimi towarzyszami walki, między Negoii a Urleą. Ale potem, wytropiony przez Securitate, odważył się wycofać w głąb kraju i zapukał kiedyś do ich drzwi. „Uczony człowiek, wołoski baron”. Doktor Cornelius Mircea Șerban de Voila. Syn byłego prefekta Fogaraszu, nauczyciel gimnazjalny. Ciężka to była zima. Bo człowiek nie tylko musi jeść, ale „robi też co swoje, tak samo jak bydełko”. Sikać można było bezpośrednio do stodoły. Tu nie ma wielkiej różnicy między krową a człowiekiem. „Ale ze sranie to dopiero był kłopot!”. I nikt nie mógł nic widzieć, słyszeć ani czuć. Gdyż raz w tygodniu szpicel Securitate chodził od domu do domu i wypytywał ludzi, czy nie pokazali się bandyci.

— Dla nas otwiera się nowa droga — powiedziałem.

— „Nowa Droga” — podjął przewodniczący Stamp. — Mam prenumeratę tej gazety. Ale dostaję ją trzy dni później albo wcale. Bo często zdarza się, że listonosz pijany spada z konia albo gubi worek z pocztą, kiedy wjeżdża tu do nas na górę od stacji w Hendorfie.

Drugiego dnia wczesnie rano obudziło mnie pukanie. Dwaj mężczyźni stojący przed drzwiami mojej izby prosili o wybaczenie, że wyrwali mnie „ze słodkiego snu młodości”: stary wuj umarł dziś rano, akurat kiedy pastuch strzelił z bicza. Niech młody pan wybaczy, ale śmierć nie zna pardonu. — Ile dni Pan komu da, tyle można żyć. I ani dnia dłużej. — Na następne dwie noce zejdą się na czuwanie ludzie, krewni i sąsiedzi. Siedzi się w milczeniu wokół zmarłego, a potem można się wzmocnić gorzałką i białym chlebem. — Takie u nas są zwyczaje. W niektórych parafiach całują zmarłego w rękę i głośno zawodzą, jak to robią Wołosi. Ale u nas nie ma takich komedii.

Stary człowiek postanowił zakończyć swoje dni w letniej kuchni, wybudowanej bezpośrednio na ziemi. Ze swojego legowiska mógł przez otwarte drzwi oglądać krzątanie na podwórku. Rano obie krowy wychodziły na pastwisko, późnym wieczorem wracały. W nocy śmiertelnie chory starzec po odgłosach przeżuwania dochodzących z pobliskiej stajni oceniał, czy w dzień pasły się na dobrej trawie. Błogie pochrząkiwanie świń mówiło mu, czy zwierzęta zostały porządnie nakarmione.

W dzień do jego łóżka podchodziły kury i dziobały kukurydzę, którą im sypał na glinianą podłogę. Gęsi z gęganiem stawały w progu, chwiejnie wchodziły do środka i odpędzały kury od karmy. Wczesnym rankiem kogut oznajmiał, że skończyła się ciężka noc. Ostatniego tygodnia starzec kazał sobie do łóżka przynieść trumnę, żeby sękatymi palcami sprawdzić jakość i wytrzymałość drewna. Na myśl, że dane mu jest umierać w domu, na gospodarstwie swoich kochanych rodziców, a nie w nędzy, miał łzy w oczach. — To wielka łaska ze strony Pana Naszego.

Umierający zażyczył sobie pastora, by udzielił mu komunii. Wcześniej zgodnie ze starym zwyczajem pogodził się z krewnymi i sąsiadami. Ci z kolei poprosili go, by przekazał pozdrowienia ich bliskim w niebie.

Nie było łatwo zająć się wszystkim, gdy wczesnym rankiem umierał wuj, akurat o tej godzinie, kiedy wyprawiało się krowy na pastwisko, żona była w szpitalu w Schässburgu, a w dodatku gość zajmował paradną izbę. Gospodarz biegał tam i powrotem między stajnią i łóżem umierającego. Doił krowy, odmawiając przy tym psalm 23. W przerwach pędził do wuja i szeptał mu do ucha, że krowy wkrótce będą gotowe, by je popędzić na pastwisko. Stary kiwał głową. Wróciwszy do stajni, przewodniczący opierał głowę o szorstkie ciała krów i płakał.

Potem otworzył okno w letniej kuchni, by wuj przed śmiercią mógł zobaczyć wyjście krów, no i żeby dusza miała okazję ulotnić się, jak to miała w zwyczaju. I gdy wiejski pastuch, Cygan Subtirelu, strzelił przed bramą z bata, a krowy powolnym krokiem ruszyły do furtki, dusza wraz z oddechem opuściła ciało starca, który umarł z uśmiechem na ustach, jak wszyscy mogli zauważyć.

Teraz w letniej kuchni panowała cisza. Kury stały niezdecydowane, obskakiwały nogi łóżka i mrugając, oglądały pustą pościel. Gęsi z surowymi minami i wysoko wzniesionymi głowami przemaszerowały przed trumną, którą na chwilę wystawiono na podwórko. Skłoniłem się przed zmarłym w otwartej trumnie, zanim sąsiedzi wnieśli go do frontowej izby ze słowami „Niech Bóg da pociechę jego duszy w życiu wiecznym!” i z zawstydzeniem uświadomiłem sobie: Marks, Engels, Lenin i Stalin nie mieli tu czego szukać.

Zanim wsiałem na rower i odjechałem, pożegnałem się z paradną izbą, w której spędziłem dwie noce. Na opatrzonej datą 1828 ławce leżał zmarły w trumnie, wytworny i bezbronny, w futrzanej czapce na głowie. Na ścianach wisiały ozdobne makatki z zamkami i rycerzami oraz kunsztownie wyhaftowanymi sentencjami: „Nasz Bóg jest naszą twierdzą” i „Tu nie umiera Niemiec, bądźcie ufni”.

W Forkeschdorfie na ostrym zakręcie rower rozleciał się pode mną, złamała się kierownica. Wylądowałem w rozgrzanym kurzu wiejskiej drogi, nad sobą zobaczyłem niebo, niepojmujące tej ciszy. Po chwili podniosłem się i usiadłem na środku drogi, przede mną na horyzoncie widać było wzgórze i lasy, a gdzieś za plecami ukryta była wioska.

Doleciały mnie cienkie głosiki, mówiące nieznanym mi językiem. To były cygańskie dzieci, które paplały podniecone po swojemu i zaraz otoczyły mnie jak roztańczone, barwne

motyle. Chłopiec bez słowa wzięł na plecy mój zepsuty rower. Dziewczynka rąbkiem spódnicy starła kurz z moich nóg, odkryła obtarcia. Splunęła na dłoń, zmieszała ślinę z piaskiem i tą wilgotną masą obłożyła krwawiące miejsca. Ochłodziło to rany. Potem wzięła mnie za rękę, na imię miała Rozalia, i pociągnęła za sobą, śladem chłopca, który szedł z wrakiem roweru na plecach. Za przecinającym łąkę strumieniem, w którym na chwilę uklęknąłem, nad ogniskami wiły się smużki dymu.

W ziemiankach mieszkały tu dwie cygańskie rodziny. „Poza tym w wiosce są tylko Sasi — wyjaśniono mi. — Dzięki Bogu nie mamy tu żadnych Rumunów”. Kobiety w niezliczonych spódnicach na ciężkich biodrach siedziały na stołkach, paliły fajki i mieszały w żeliwnym garnku. Mężczyźni, z brodami do pępka i szerokimi pasami na biodrach, kucali na ziemi pod dachem kuźni polowej. Jedno z dzieci poruszało miechem, wytwarzając podmuch powietrza. Kowale poprosili, żebym się do nich dosiadł. Jeden lutował garnek do pędzenia bimbru, choć pędzenie bimbru było zakazane, drugi wyrabiał ozdobne miski z miedzi, choć państwo trzymało miedź pod kluczem. Chętnie przerwali pracę i uświadomili mnie:

— Wie pan, jak to z nami jest, młody panie? My mamy swoje własne prawa. Nasz cygański król, bulibasza, chciał wyjechać na zjazd Cyganów we Francji, gdzie 15 sierpnia, w dniu świętej Maryi Panny, spotykają się Cyganie z całego świata. Kiedy *la Sibiu* złożył wniosek o wizę wyjazdową, najpierw powiedzieli: Nie. Potem: Musimy wszystko sprawdzić. I jak w połowie września wezwali go do Securitate w Hermannstadt i wręczyli paszport, to nasz bulibasza powiedział: Dziękuję, właśnie wróciłem!

Kowal ocenił, że na naprawę roweru potrzebuje dwu do trzech dni. Musi objechać kilka okolicznych wiosek, żeby się poradzić. A gdzie ja się podzieję? W tej miejscowości nie było kołchozu.

— *Slava Domnului*, chwała Bogu, zapomnieli o nas!

Ruxanda mówiła mi, że nad takimi wypadkami nie należy przechodzić do porządku dziennego, trzeba je przeanalizować, zastanowić się, jakie jest ich ukryte przesłanie. Jadłem kukurydzę moczoną w słodzonym mleku, którą w blaszanej misce podała mi Rozalia, i zastanawiałem się, co wspólnego mają niezwykle wydarzenia dzisiejszego dnia, poczynając od tablicy z pisaną gotyckimi literami nazwą miejscowości, a kończąc na słodzonej kukurydzy i cygańskiej dziewczynce, która nie odstępowała mnie na ani krok. Myślałem i myślałem: czy wspólnym mianownikiem wszystkich tych wydarzeń nie był — wyjątek? Zdecydowałem się zapukać do drzwi plebanii.

Otworzył mi chłopiec.

— Chciałbym rozmawiać z pastorem. — Z wahaniem dodałem: — Niewykluczone, że będę musiał zostać u was kilka dni. — Przypomniałem sobie, że po rozwiązaniu klasztorów Luter apelował do mieszkających na plebaniach, by przejęli tradycję udzielania gościny. — Proszę — dorzuciłem.

— Tu nie ma pastora — odparł chłopiec i zamknął drzwi. Okazało się, że opuszczoną plebanię zajmował nauczyciel z rodziną. Przyjęli mnie na nocleg. „Tak długo, jak się panu będzie podobało”.

Rodzina składała się z nauczyciela, Carusa Spielhauptera, posiadającego bawolicę o imieniu Florica, jego żony Cecylii, czterech synów: Abrahama, Alberta, Armina i Adolfa, dwóch najstarszych pracowało w kopalni węgla w Petroszanach. Między chłopcami były dwie córki, Beate i Bettina. W domu pomagały dwie babki, które w wolnych chwilach recytowały długie ballady. Wszystkimi nieustannie dyrygował pradziadek, który w tygodniu nosił niebieski fartuch roboczy, a w niedzielę chodził obwieszony austriackimi orderami, choć nigdy nie był na wojnie.

Dobudowany do wieży obronnej dom pastora górował nad doliną. Wraz z warownym kościołem i szkołą wieńczył szczyt pagórka. W dole, u stóp cmentarza, ciągnęły się rzędy domów o czterospadowych dachach. Położony przed bramą cmentarza plac, na którym urządzano potańcówki, był zarośnięty chwastami. Oprócz dwóch córek nauczyciela, w wieku szesnastu i osiemnastu lat, i niezdarne go syna kościelnego nie było tu żadnej młodzieży. Państwo i partia zapomniały najwyraźniej o tej miejscowości, Forkeschdorfie nad Harbachem. Wymalowane gotyckimi literami napisy zachowały się jeszcze sprzed roku 1944. Była to wioska, w której nauczyciel nieniekpokojony przez nikogo mógł w niedzielę grać na kościelnych organach, kiedy raz w miesiącu przyjeżdżał tu pastor Ernst Hell ze Spiegelbergu, by odprawić nabożeństwo. Żaden kołchoz nie zakłócał spokoju mieszkańców, których zapomniano wywłaszczyć.

Mała szkoła z klasami od jeden do cztery znajdowała się na kościelnym wzgórzu. W tym samym pomieszczeniu uczyło się równocześnie dziesięcioro dzieci, z czego trójka dzieci nauczyciela. W ten sposób każdy uczeń po cztery razy powtarzał ten sam materiał.

Nauczyciel Spielhaupter znał się nie tylko na hodowli bydła, „jako że bawoły są czarne, muszą nosić imiona cygańskie: Florica, Rozalia, Crina, natomiast krowy nazywają się Berta lub Adela”. Był także świetnie zorientowany w filozofii. Upodobał sobie zwłaszcza Schopenhauera. Nauczyciel Spielhaupter żywił przekonanie, że kiedyś uda mu się uwolnić od zobowiązań wobec świata i będzie mógł uniknąć tyranii woli i całkowicie zanurzyć się w „nicwiecejniemusiećchcie”. Najczęściej zdarzało mu się oddawać wywodom filozoficznym przy dojeniu krów, wtedy także mogłem się mu przysłuchiwać. Siedział w stajni skulony przy zadzie bawolicy, sprytnie przebrany w kobiece stroje, gdyż tylko w ten sposób bestia pozwalała odebrać sobie mleko. I gdy obfity biały strumień spływał do skopka, dowia-

dywałem się, że filozofowie idealiści wcale nie byli tacy głupi, jak przedstawiają to ideologowie materializmu filozoficznego, i można sobie nawet wyobrazić świat jako projekcję własnego ja, kiedy wszystko wokół nas może być naszym wyobrażeniem, a mimo to jest realne.

— Cudowna parada rzeczy, dzięki której można ustrzec się przed przykrościami tego świata. Na przykład — powiedział akurat w momencie, kiedy bawolica chlasnęła go brudnym ogonem po twarzy — w tej chwili mówię sobie, że to jest tylko iluzja. — Troskliwie odłożył ogon z powrotem między ubrudzoną gnojem uda zwierzęcia. — Albo kiedy ktoś mi zagraża, myślę: to wszystko jest tylko wyobrażeniem. Całkiem niezły ten Fichte.

— I tak, i nie — odparłem. — Iluzje nie ustrzegą człowieka przed złem świata. Kiedyś trzeba spojrzeć faktom w oczy, chwycić zło za rogi.

— A więc niech pan chwyta, młody człowieku! Na przykład sprawa z gumowymi kołami u wozów wygląda tak: nasi ludzie żywią przekonanie, że muszą sobie odebrać choć trochę z tego, co im zrabowano w roku 1945 i później. A że to jest także ich wola, w porze żniw jadą w nocy swoimi furmankami na cichych gumowych kołach na pola, z których ich wywłaszczono, tak, i sami wymierzają sprawiedliwość.

— Ale to przecież pola kolektywu. W ten sposób sami siebie okradają. Czy naprawdę potrzebują tego, co zabierają?

— I tak, i nie. Nie potrzebują, bo nie muszą się już martwić o codzienny kawałek chleba. Ale tym, czego potrzebują, jest sprawiedliwość, chleb dla duszy.

Przed każdym posiłkiem jedno z dzieci odmawiało modlitwę. Zawsze tę samą:

Za Twe dary, Ojcze, dziękujemy,
które dla Twej chwały spożyjemy.

Od głodu, rabunku, zesłania i wojny
Strzeż nas, o Panie, daj żywot spokojny.
Nie żałuj też naszym bliskim chleba,
Kiedy przyjdzie na nich potrzeba.

Kolację podawano wczesnym wieczorem, a czas po posiłku wszyscy spędzali razem. Światło lampy naftowej na stole w pokoju dziennym skupiało całą rodzinę w swym magicznym kręgu. Każdy miał coś do powiedzenia: chłopcy relacjonowali swój dzień pracy, dziewczęta opowiadały nowinki ze wsi. Dyskutowano na temat wakacyjnych lektur. Rodzice także zabierali głos. Czas się cofał. Cały świat ginął w mrocznej oddali. Ostatnia wojna, wywózki w styczniu 1945 roku: szesnastoletnia córka, której imienia nikt nie miał odwagi wymówić, zamarzyła w bydłym wagonie w transporcie do Rosji. Choć była o dwa lata młodsza niż ustalona granica wieku, zabrano ją, bo inni zdążyli się poukrywać. Od tego czasu imię córki nie zagościło na wargach matki. Spaliła także wszystkie jej zdjęcia. „W sercu! W sercu!”

Babka Anna, z siateczką na włosach, deklamowała ballady, przy *Pieśni o dzwonie* zająknęła się, matka, Maria Sophia, musiała jej pomóc. Ale już z *Rękopismą* poszło jej jak z płatka. Obie szydełkowały bez okularów, w łagodnym świetle lampy. Pradziadek, z fajką w ustach, też włączał się do rozmów i cieniem głosem opowiadał o swych huzarskich wyczynach podczas zajmowania Bośni i Hercegowiny w 1908 roku, o tym, jak trudno było spojrzeć w oczy zakwefionym muzułmańskim kobietom. O wielkich mówiono czasach. Ale już nic nie było w stanie wyprowadzić dziadka z równowagi. Podczas swojej służby wojskowej składał przysięgę dwóm austriackim cesarzom i trzem rumuńskim królom, i udało mu się przeżyć. „A potem te dwie wielkie wojny, mój Boże!”. Kobiety sekundowały westchnieniami.

Potem kładziono się spać, wszyscy rozpierzchali się po domu, ginęli w najdalszych kątach. Dzieci odnajdywały drogę do swych łóżek po ciemku, dorośli korzystali ze świeczek w mosiężnych lichtarzach. Dla mnie posłano w wieży, na najwyższym podeście, za ustawioną w poprzek szafą. Jako drzwi służył tam czerwony koc. Drewniane łóżko z siennikiem stało przy oknie, ku któremu skłaniał się czubek lipy. Wśród jej gałęzi nocny wiatr szeleścił inaczej niż zwykle, od liści bił obcy zapach, mocny i cierpki, a nad koroną drzewa połyskiwało niebo. Czułem tęsknotę za nikim.

Kiedy zawitałem do tego domu, nauczyciel odłożył fartuch i zaprosił mnie na pogawędkę do swego gabinetu. Zwołano wszystkie dzieci, by mi je przedstawić. Chłopcy kłaniali się przepisowo i mruzcili coś niezrozumiale, starsza córka sztywno podała mi dłoń i ze spojrzeniem skierowanym w dół powiedziała „Beate”, ale przy młodszej stało się coś, co zdołało mnie poruszyć w mojej melancholii. Otworzyła szeroko oczy i patrzyła na mnie promiennie, nie spuszczać wzroku z mojej twarzy. Rękę także podała mi inaczej niż siostra, z godną damy elegancją i pewną czułością. Głośno i wesoło powiedziała „Bettina”, po czym dygnęła jak mała dziewczynka. Po raz pierwszy od gwałtownego rozstania z Annemarie poczułem przyspieszone bicie serca. I tak staliśmy, trzymając się za ręce, aż ojciec upomniał ją: — No idź już, moje dziecko! Nie bądź niegrzeczna. — Obie dziewczyny były uczennicami, jedna u sióstr w Hermannstadt, druga w Gimnazjum imienia Stephana Ludwiga Rotha w Mediaszu.

Pewnego deszczowego wieczoru odczytałem fragmenty mojego opowiadania *Oddech*, smutną historię, ciągnącą się przez wiele stron. Młody, chory na płuca proletariusz imieniem Gernot zjeżdża na skradzionych nartach ze skoczni, chce pokazać dziewczynie, Elisabeth, która wśród starych mebli grywa na skrzypcach, że jest mężczyzną. Ale chłopak dusi się przy tym.

Dusi się otoczony morzem powietrza.

Wszyscy cierpliwie siedzieli i słuchali. Chwilami dziadek zaczynał pochrapywać. Kiedy budzono go poszturchiwaniem, mówił za każdym razem: „Ha, ha, tracę oddech”.

Po lekturze, kiedy cała rodzina kładła się spać, Bettina wzięła mnie za rękę, wyprowadziła z domu i pociągnęła dalej do altany. Wtulona pod moje ramię zaczęła płakać bez opamiętania, aż wzięłem ją na kolana, gdzie, ciągle lejąc łzy, zasnęła. Kiedy nad ranem nagle przyszedł chłód, zaniósłem ją do domu i postawiłem w ciemnej kuchni. Całowałem jej oczy i uszy, a ona niezdarnie przyciskała wargi do mojego policzka. Potem klepnąłem ją w ramię i wysłałem do łóżka. Wspiąłem się do mojego kukułczego gniazda w chmurach, sam zaskoczony, że byłem niemal gotów zapomnieć o swym cierpieniu.

Szczególnym zbiegiem okoliczności w następną niedzielę pastor Hell wygłaszał kazanie na temat mojego opowiadania i zwrócił się w nim do ludzi z pytaniem, czy Kościół także nie ponosi winy za to, że młody Gernot, syn wdowy i zabitego w wypadku kolejarza, musiał umrzeć tak niepotrzebnie. Kobiety skinęły twierdząco. Pastor pozostawił pytanie bez odpowiedzi. I zakończył:

— To przecież cud, udusić się w morzu powietrza, jak ryba wyjęta z wody. Ale dla Boga nie ma rzeczy niemożliwych. Amen.

Wydawało mi się, że powinienem omijać kościoły szerokim łukiem, zwłaszcza odkąd zaliczałem się do postępowych pisarzy. A teraz siedziałem tu ze wszystkimi, śpiewałem i modliłem się ze starymi kobietami i mężczyznami. I tak jak oni patrzyłem prosto przed siebie na bolesną postać, która wyginała się na krzyżu w centrum ołtarza. Po wejściu do kościoła myślałem jeszcze: im dłużej trwa ukazywanie cierpienia, tym mniejsze wrażenie robi, lecz teraz, przy dźwiękach organów

i celebrowanej przez pastora liturgii, cierpiące oblicze ukrzyżowanego zmieniało się przed moimi oczami w wyzwoloną twarz umarłego z Mortestalu, aż wyparło brodate profile cze-rech klasyków socjalizmu.

Choć wioskowy kowal szybko naprawił mój rower, zostałem w gościnie dłużej, niż planowałem i chciałem. Codziennie przed południem chodziliśmy nad słone jezioro ukryte w gęstej trzcinie, oddalone około godzinę drogi. Podłużne jezioro, właściwie staw, było zasilane ze studni, znad jej krawędzi wystawały drewniane rury odprowadzające wodę na cztery strony. Urządzenie to pochodziło sprzed 1918 roku, z czasów węgierskich, kiedy to sól była rzadkim towarem, więc kobiety w wiadrach nosiły słoną wodę do domu, gotowały z niej zupę lub kisiły ogórki.

Chłopców uczyłem pływać kraulem, dziewczyny pływania na plecach. Ciągle jeszcze nie wiedziałem, jaki kolor mają oczy Beate. Raz, kiedy ćwiczyła pływanie na plecach, podtrzymałem ją tylko kantem prawej dłoni i instruowałem: — Wyprostuj się! Odważnie zanurz głowę i całe ciało, woda cię utrzyma, a słona woda tym bardziej. — Dziewczyna z zamkniętymi oczami unosiła się na powierzchni, ja cofnąłem dłoń, a ona nagle złożyła się na pół, straciła grunt pod nogami i objęła mnie za szyję. Wyniosłem ją na brzeg, czułem jej wilgotne drżące ciało tuż przy moim. Miała gęsią skórkę. Jej ramiona nadal obejmowały moją szyję.

Każdego dnia odbywaliśmy wędrówki do stawu. Dzieci bardzo przy tym dokazywały. Jeden z chłopców, Abraham, został kiedyś natarty przez rodzeństwo błotem. Innym razem podczas pikniku na trawie okazało się, że zapomnieliśmy soli, ale dzieciom nauczyciela to nie przeszkadzało. Zręcznymi językami bracia i siostry zlizywali sobie nawzajem sól ze skóry. W tak przyprawione pomidory wgrzali się potem, aż sok

tryśkał na boki. Ja pozostałem przy niesłonym jedzeniu. Kiedyś nałożyłem na grzebień trzciny liść i przygrywałem im. Bettina i jej bracia tańczyli wokół słonej studni, a ich ciemna siostra cicho wybijała takt.

W ciepłe wieczory Bettina i ja spotykaliśmy się w altanie, za cichym przyzwoleniem rodziny. Nie mieliśmy nic do ukrycia, lecz wiele rzeczy lepiej było przemilczeć. Szybko uczyła się tego, co powinna wiedzieć szesnastoletnia córka saskiego nauczyciela z Forkeschdorfu za siedmioma górami, kiedy była zakochana. Pewnej nocy stanęła przed moim łóżkiem, bosa, tylko w koszuli nocnej i drżąca jak liść osiki. W dłoni trzymała świecę, którą szybko zdmuchnęła. Jej rudawe włosy połyskiwały w ciemnościach, a w oczach lśniły łzy. Oszołomiony powiewami wiatru w gałęziach lipy wymruczałem:

— Chodź do mnie.

Jej ręce i stopy były zimne. Przestała dygotać. Czas mijął. Nagle niespodziewanie zrzuciła z siebie koszulę nocną i pocałowała mnie. Jakże delikatne były jej piersi, a pod nimi serce — czułem jego bicie. Gąszcz włosów pod jej pachami łaskotał mnie w ręce. Brzuch miała gładki i chłodny, moje palce napotkały rozetkę jej pępka, nim ręka zeszła jeszcze niżej. Jedwabisty dotyk porośniętego kędzierzawo wzgórka łonowego. Jej skóra miała słony smak po kąpielach w zarośniętym trzciną jezioru.

— Nie każ mi odejść — szeptała w momentach oprzytomnienia, pomiędzy całkowitym oddaniem. Nie chciała zasnąć, choć prosiłem ją o to. — Nie, te chwile są zbyt cenne!

Przy pierwszym pianiu koguta zarzuciłem jej na ramiona koszulę, uniosłem ją delikatnie z łóżka z rozkopanym materacem, postawiłem na podłodze, zimnej jak kamień, i uchyliłem czerwona zasłonę. Schody w wieży trzeszczały.

Następnego dnia spakowałem swoje drobiazgi i zasznurowałem plecak. Pożegnałem się z ludźmi, ze wspólnymi wieczorami i zagadkową ciemnością i pojechałem w nieznane.

Pewnego dnia pod koniec kwietnia otwierają się drzwi. Dwóch żołnierzy wpycha do celi żelazne łóżko, które ustawiamy nad moim posłaniem. Wkrótce potem znowu słysząc zgrzyt zamków, ktoś zostaje wepchnięty do celi. Swoją węzełkę rzuca niedbale na podłogę obok kibla z uryną. Mężczyzna ten przez dwa dni wypełnia naszą celę gadaniem i pozostawia po sobie nie tylko trzęsienie łóżka, lecz także wiele mądrości życiowych oraz swój własny styl obchodzenia się ze strażnikami. Jego metoda jest prosta: natychmiast wszystkiemu się sprzeciwia, broni się słowami i zwraca się przez ty do wszystkich, którzy także do niego tak mówią. Kiedy strażnik go upomina, ten łaje go, protestuje i grozi, że poskarży się u komendanta.

— Nie wolno ci leżeć! — rzuca strażnik przez judasza w drzwiach.

— Jak to? — pyta leżący, nie podnosząc się. — To ty nie wiesz, że mam specjalne pozwolenie? Poczekaj tylko, kolego, ja cię znam, złożę na ciebie skargę u komendanta Crăciuna. Wyślą cię do Periprawy. A wiesz, gdzie leży Periprava? — Nie słysząc odpowiedzi. — Nad północną odnogą delty, pod ruską granicą. Stamtąd tylko diabeł albo śmierć mogą cię wyciągnąć. Twojej rodzinie na pewno bardzo się spodoba na wyspie. Wieczne wczasy. *Excuse eterna!* Nie ma światła, nie ma kina, nie ma szkół. Tylko przyroda. Woda pitna z rzeki. Wypijasz przy okazji wszystkie kible Europy. Komary żywcem zjedzą twoje dzieci. I wszyscy skończycie na cholere. — Mężczyzna za drzwiami bezgłośnie zamyka kłapę.

— Doktor Ghiosdan — odzywa się człowiek leżący na łóżku i wyciąga rękę. Siedzimy naprzeciwko niego i patrzymy jak na jeden z cudów świata. — Doktor praw, do 1947 roku sędzia. — Po wypędzeniu króla był tragarzem w składzie mebli, major w stanie spoczynku. I kawaler Zakonu Świętego Michała. — Wiecie, co to takiego?

Przypominam sobie. W klasztorze Sâmbăta koło Fogaraszu, po prawej stronie przy wejściu, na eksponowanym miejscu stoi nadnaturalnej wielkości figura fundatora, młody król rumuński Michał I w stroju rycerzy Michałowych, w białym płaszczu i z niebieskim emaliowym krzyżem na piersi.

Myśliwy wzrusza ramionami. Jest i pozostanie komunistą.

— Widzisz, ten młody Sas wie, a ty — sędzia zwraca się do myśliwego, nie odwracając wzroku od sufitu — dlaczego ty nie wiesz?

— Jestem tylko prostym robotnikiem.

— To dlaczego się tu znalazłeś? Przecież to wy jesteście u steru. Podejrzewam, że byłeś w partii.

— *Sigur, domnule doctor* — odpowiada krótko myśliwy.

Doktor podskakuje na łóżku, parska ze złością:

— Banda łotrów! Sprzedaliście ten kraj Roskom. Jeszcze za to zapłacicie. Będziecie wisieć! Głową na dół, jak to w zeszłym roku Węgrzy zrobili ze swoimi komunistami!

Z zachwytem opowiada o niemieckich żołnierzach. Nawet muły, które wieźli w ciężarówkach na Kaukaz, miały okulary dla ochrony przed kurzem.

Pytam go, czy jest tu wielu naszych ludzi.

— W każdej celi po jednym.

— Studenci z Klausenburga? — Tego nie wie. Siedział w jednej celi z młodym Sasem, który nazywał się Guntar Folkmar i wszystkich denerwował. Wchodził na wystający ze ściany pulpit, żeby dosięgnąć okienka pod sufitem, a w tym czasie pozostali musieli zasłaniać judasza w drzwiach. I za każdym

razem szeptał w panice: „Widzę dymy z krematorium! Tam palą naszych ludzi! Wszyscy Sasi z tego aresztu zostaną zagazowani, jako zemsta za Żydów, potem przyjdzie kolej na Kronstadt, aż w końcu na wszystkich!”

— To niemożliwe — mówię.

— Zgadza się — uspokaja mnie nasz gość. — Na takie akcje nasi Rumuni są za mało uzdolnieni technicznie, poza tym zbyt ospali. W żadnym innym kraju na świecie ludzie nie poruszają się z taką opieszałością, nie snują się tak gnuśnie jak u nas. Nie, nie. Do czegoś takiego potrzeba niemieckiej perfekcji. Zresztą czego można się spodziewać po narodzie, który od początku swojej historii musiał być posłuszny, od dwóch tysięcy lat we władaniu obcych? Ale Rumun przeżyje. *Palukes* nie wybucha. Nieliczni bronią się, jak na przykład partyzanci w górach. Przed nimi czapki z głów! Najwyższy szacunek! Nawet jeśli są potencjalnymi samobójcami. Ale ta masa... Prosty Rumun powtarza sobie: oby tylko nie było gorzej. Jeśli ktoś go wytarga za uszy, cieszy się, że kości ma całe, a kiedy połamiesz mu kości, zostaje mu jeszcze szpik. I cieszy się, że nie stało się nic gorszego.

Nad wiadrem sędzia przemywa sobie hemoroidy, czego strażnik w grubiańskich słowach próbuje mu zabronić.

— To w takim razie ty mi umyj dupę! — I podsuwa mu tylną część ciała pod sam nos. Nam zapiera dech. Strażnik ucieka.

— Tak się rozmawia z motłochem! Poza wiarą istnieją trzy sposoby radzenia sobie w więzieniu. — Poprawia sobie położenie krwawych guzków w odbytnicy i zaczyna wyliczać: — Po pierwsze, jak cię złapią, mówisz sobie: to jest śmierć. W tym momencie umarłem. Koniec wolności. Nie będzie już wina, kobiet i śpiewu — mówi to po niemiecku. — Koniec na zawsze. Kto tak myśli, tak mówi i według tego postępuje, jest nie do pokonania. I jest uratowany. Bo oni nie są w stanie mu za-

szkodzić. Po drugie, udajesz głupiego. Zachowujesz się jak wariat, któremu nie zależy na świecie. Jesteś jak bezdomny. Kiedy ktoś nie ma nic własnego, nie ma też nic do stracenia. Taki ktoś nigdzie nie jest w domu i dlatego jest wolny, nawet zamknięty w lochu. Ci, którzy chcą cię złamać lub szantażować — pokazuje groźnie ręką do góry — mają zadanie praktycznie niewykonalne. Po trzecie, wobec śmiertelnego niebezpieczeństwa nie upadasz na duchu, wprost przeciwnie: ogarnia cię szalona chęć, żeby walczyć, żeby spróbować wszystkiego, co w ludzkiej mocy. Churchill w 1939 roku wyznał kiedyś przy herbacie rumuńskiej księżnej Bibescu, że zdaje sobie sprawę, iż wojna oznacza śmierć i katastrofę dla Anglii i całego imperium, ale czuje się o dwadzieścia lat młodszy. Im większa przewaga przeciwnika, tym przemyślniej należy walczyć, nawet jeśli walka zdaje się nie mieć szans. A morał tej historii — dodaje swoją nieporadną niemczyznę — rozpalić im ogień pod tyłkiem! Albo parafrazując Freuda: nad swoim ego nie tolerować żadnego superego.

Kulawo opowiadam mu po francusku — dlaczego męczę się w tym języku, sam dokładnie nie wiem, nie chcę sprawić przykrości myśliwemu — o pierwszych czterech miesiącach więzienia i o tym, że dochodzenie osiągnęło taki punkt, z którego nie potrafię ruszyć dalej. Coś musi się stać, ale co? Z wysiłkiem opowiadam mu to wszystko, a on, leżąc na boku, patrzy na mnie czarnymi, kłującymi oczami. Nie przerywa mi dodatkowymi pytaniami, nie pomaga, kiedy szukam jakiegoś słówka. — Czasem wydaje mi się, że wszyscy grzęźniemy w bagnie. — *Marécage* nie przychodzi mi do głowy. Używam rumuńskiego słowa, *mlaștină*.

Myśliwy, który zazdrośnym okiem śledził nasze pogaduszki po francusku, zaraz zabiera głos. Musi koniecznie opowiedzieć pewną historię. Słuchamy więc. Czasu mamy pod dostatkiem. Kiedyś zabłądził na bagnach, był wtedy jeszcze kłusownikiem.

Zgubił ścieżkę na mokradłach i musiał się bezsilnie przyglądać, jak jego stopy coraz bardziej zapadają się w podłoże, a on pogrąża się w bulgoczącej wodzie. W potrzebie zaczął strzelać z nielegalnie posiadanej broni. Już lepiej iść do więzienia, niż zginąć. Zlitował się nad nim dzik, który akurat w pobliżu koryzstał w popołudniowym cieple z kąpieli błotnej. Resztką sił myśliwy złapał dzika, wpił się palcami w jego szczecinę, chwycił za ogon, a zwierzę wyciągnęło go na brzeg. Był uratowany, ale miał problem: czy ma teraz zabić dzika, czy pozwolić mu uciec? Żaden z nas nie pyta myśliwego, na co się zdecydował.

Doktor milczy, teraz znowu leży na plecach. W zamyśleniu mówi: O ile dobrze zrozumiał, zaliczyłem już pierwsze dwa warunki *survivre*, przetrwania w więzieniu: pragnienie śmierci i odgrywanie głupca.

— *Maitenant essayez-vous la troisième manière. Agir avec fermeté et courage.* — Jak to zrobić, tego nie mówi.

— *Mais que faire vraiment?* — pytam nieśmiało.

— *Seulement l'homme lui même est le maître de son destin**.

Jestem rozzarowany. Chcę bardziej rozumiałyh rad. Mój los? Zapomniałem.

— *Destinul meu?* — pytam.

Znowu staje się to hasłem dla myśliwego, którego cierpliwość jest już na wyczerpaniu.

— Jeśli istnieje jakiś los, to są nim kobiety — prycha. I zabiera się do opowiadania łózkowych historii z towarzyszkami, jego repertuar jest niewyczerpany. Pozwalamy mu się wygadać.

Prawdziwe diabllice to Węgierki, zwłaszcza rudowłose, całe w piegach aż do kości łonowej. Ich dzikość jest akurat do zniesienia, a spanie z nimi to przyjemność. Ale są męczące

* A teraz czas na trzeci sposób. Postępować z uporem i odwagą [...]. Ale co mam zrobić? [...] Człowiek sam jest panem swojego losu.

i nienasycone. Tak! Pełne humorów i szalonych pomysłów. Cudowne jako kobiety dla serca i do łóżka.

— Ale jako kochanki, obok żony, stają się niebezpieczne: po pierwsze, nie można się z nimi nigdzie spotkać w tajemnicy, bo kiedy się z nimi kochasz, wydają z siebie odgłosy jak syberyjski tygrys, widać od razu, że pochodzą z Azji, ich przodkami byli Hunowie. I dalej: biją na oślep, wpijają się pazurami w twoją skórę, drapią, gryzą. Nigdy nie wzmówisz żonie, że tych zadrapań nabawiłeś się, kiedy zbierałeś grzyby w kolczastych krzakach. A Rumunki — tu oczy myśliwego się rozjaśniają — o tak! Urocze, przymilne, namiętne i bardzo uczuciowe. Wystarczająco czyste. I ledwie taką zdeflorowałeś, a ona już od razu wie, co powinna robić, one rozumieją, o co w tym wszystkim chodzi. Jak sarnię, dopiero co urodzone. Od pierwszego oddechu wie wszystko, co ma robić. — Myśliwy wzdycha i mówi dalej: — No i wreszcie Saksonki. Ładne, eleganckie, ponętne, z wspaniale sterczącymi cyckami, białe jak kwiat jabłoni, wykształcone dziewczyny i kobiety, *cu educatje distinsä*, wyższe istoty! Utrzymują się w czystości. Pachną wszędzie dobrym mydłem i świeżą wodą. — Wciąga głęboko powietrze i mlaska językiem. — Ale nieporadne, jeśli chodzi o te sprawy, *viața sexuala*. A co najsmutniejsze: nie chcą się niczego nowego nauczyć. Leżą płasko jak naleśnik, pogodzone z sytuacją, a kiedy ty dajesz z siebie wszystko, one w tym czasie liczą muchy na ścianie. — Kończy ze smutkiem: — Nie ma w nich pożądanja. Nic nie rozumieją z *amor fati*.

— *Ars amandi* — mówi doktor Ghiosdan, dając w ten sposób do zrozumienia, że może jednak się przysłuchiwał. I opowiada o pewnym gatunku Rumunek, które myśliwy może znać najwyżej z pism ilustrowanych: *domnițe romane*, córki wyższej arystokracji i zamożnego mieszczaństwa, które po rozpoczęciu wojny w 1941 roku od razu zgłosiły się na front do służby w lazaretach pod dowództwem księżnej Ghiki.

Opowiada, jak dzieliły chłód i głód z żołnierzami frontowymi i każdym zranionym szeregowcem zajmowały się z taką samą czułością, jakby był oficerem sztabowym. Ależ doktor był skrzępowany, jako młodziutki podporucznik w lazarecie pod Charkowem, kiedy przy jego łóżku znalazła się księżniczka Caragea! — Prawdziwa pielęgniarka, jak z obrazka. — Nie chciał odkryć koca i pokazać rany, tak bardzo się wstydził, bo postrzał był akurat w tym miejscu... — *Maica Domnului*, Matko Święta, gdzież te podstępne kule potrafią zbłądzić! W najbardziej ukryte zakamarki mojej męskości...

Ale księżniczka zdecydowanie, choć z najwytworniejszą delikatnością, swoimi rozpieszczonymi paluszkami, jak gdyby w bukareszteńskim salonie grała nokturn Chopina, nawet bez rumieńca, wręcz z szelmowskim uśmieszkiem jak wiejska dziewczyna, zabrała się do niego, kiedy tak leżał na łóżku obłany pąsem, i swoimi cudownymi paluszkami...

Szczęk zasuwamy. I już go nie ma!

16

Pokój przesłuchań tonie w neonowym świetle. Nie ma cieni. Każdy kąt jest oświetlony. Trzech mężczyzn w cywilu. Ich wojskowe twarze mają lekko fioletowy odcień. Panuje śmiertelna cisza.

Jest ich trzech. To coś nowego. Kapitan Gavriloiu usiadł za biurkiem. Pozostali stoją. Jeden opiera się o parapet, drugi o ścianę. Siedzę przy swoim stoliku, ręce kładę na pulpicie. I trochę się wstydzę: moje wystrzępione paznokcie sterczą do góry. Zapomniałem je obgryźć. Zwijam więc dłonie w pięści. Jasne światło sprawia mi ból. Kolory są nierzeczywiste. Zaciskam powieki. Kapitan krzyczy na mnie:

— Otwórz oczy! Spójrz na nas! — I zaczyna zwykłe narzekania, że uprzykrzam im życie. Gdybym był skłonny się przyznać, nie musieliby tu marnować ze mną kolejnych nocy. Aż w samym Bukareszcie wiedzą o moim uporze. — Powiedz wreszcie prawdę! Wtedy nie tylko szybciej wrócisz na dół i będziesz mógł się wyspać, ale też o całe lata wcześniej znajdziesz się na wolności. *In libertate!* — Wszyscy trzej podnoszą dłonie, jakby się umówili, potem schodkami opuszczają je w dół. Lata wcześniej...

— Ale i tak mamy cię w garści — mówi mężczyzna stojący przy zakratowanym oknie — moglibyśmy cię zgnieść jak wesz. Wiemy o tobie wszystko. W jednej chwili możesz zostać skazany na dożywocie. — Robi pauzę. — Albo na więcej, *mai mult.*

— *Foarte bine*, bardzo dobrze — odpowiadam obojętnie.

— Tak łatwo chciałbyś się z tego wykić — mówi mężczyzna pod ścianą. Nad jego głową w zwodniczym świetle neonówek jarzy się godło państwowe: w otoczeniu wieńca z kłosów, wpadającego w szarość, nad górami i lasami w kolorze brązowym wstaje blade słońce. Na jego promieniach wisi pięcioramienna gwiazda, czerwona jak skrzepła krew. W samym środku sterczy samotny szyb wiertniczy. A w dole szumi fioletowa rzeka. Rzeka...

— Załatwmy tę sprawę krótko. Dla nas wszystko jest jasne. Twoje kółko puczystów w Klużu jest organizacją podziemną, czego dowiedziono, zamaskowaną jako postępowe stowarzyszenie. Jest to szczyt wyrafinowania: oficjalne i wywrotowe zarazem. W dodatku sterowane z zagranicy: Enzo Puter. A ty jesteś przywódcą tej bandy. To tylko jedna z wielu rzeczy, którymi możemy cię obciążyć. Trzystu studentów oskarżonych o zdradę stanu — proces stulecia. Towarzysz Chruszczow z radości zatańczy hopaka, ale waszemu Adenauerowi jodłowanie utknie w gardle.

Zanim jeszcze zdążyłem sobie to wszystko wyobrazić, Chruszczowa tańczącego na Kremlu i Adenauera w tyrolskim stroju, mężczyzna przy oknie krzyczy:

— A teraz wstań i odwróć się do ściany. Ręce na kark! I nastaw uszu! Mała próba tego, co cię czeka, aperitif.

Stoję z twarzą do ściany. Moje ręce splecione na karku drżą, czuję, że spodnie zjeżdżają mi w dół. Za nimi gatki. Jestem wychudzony. Pasek i gumkę mi odebrano.

Inny głos podejmuje ostatnie słowo:

— Aperitif! Próbowałeś utrudniać działania państwa i partii. Całe Liceum Niemieckie niedaleko stąd, kilka domów dalej ulicą w dół, podburzyłeś i postawiłeś na nogi, kiedy zapadła decyzja o ewakuowaniu burżujów ze Stalinstadt, w celu ich unieszkodliwienia. Kilka lat temu w maju. Na pewno pamiętasz. — Czy to jest pytanie? Nie. A więc milczę. — Ty byłeś prowodyrem.

— Ja? Jeden to za mało na taką akcję.

— Zapłacisz nam za to. Wszyscy za to odpowiecie. Bo wszyscy jesteście bandą reakcjonistów, *dela Licelul German*. Uczniowie i nauczyciele. To był błąd, że partia przyznała wam prawo do własnej szkoły średniej. Zrobiliście z niej gniazdo spiskowców i hitlerowców: szkoła Honterusa!

— Nasi nauczyciele nie mieli nic wspólnego z tamtymi wydarzeniami z maja. Są lojalnymi obywatelami republiki ludowej. — Mówię to do ściany i czekam, aż kapitan jak zwykle przejdzie do rękoczynów. Nic się nie dzieje.

— Tak się tobie wydaje. Ale partia była pobłażliwa. Odwołano tylko waszego dyrektora. Jak on się nazywa?

Czy mogę twierdzić, że nie wiem?

— Franz Killyen.

— I co się z nim stało?

— Pracuje na budowie — mówię opornie.

— Zbyt łagodnie to się zakończyło. Ale teraz wyrównamy ten rachunek.

Ze spodniami ciągle opadającymi z tyłka mówię:

— Utrudnianie działań państwa, kto by się na to odważył? My, Sasi, jesteśmy wychowani na lojalnych obywateli, posłusznych każdej władzy. Tak jest, odkąd przybyliśmy do tego kraju. I dzisiaj jest nie inaczej. Podburzanie? Buntowanie? Ja jedynie poprosiłem kilku kolegów szkolnych, żeby pomogli rodzinom dotkniętym przez los.

— Los, tak to podstępnie nazywasz. A masz na myśli nas! Ale dobrze: każda rodzina wyzyskiwaczy dostała na swoje graty wagon bydłocy, tak obszerny, że można w nim było tańczyć walca.

Pośpiesznie mówię dalej:

— Dziewczęta chodziły do domów pomagać przy pakowaniu, a chłopcy przenosili meble. Nie da się opisać, jakie to było nieszczęście, jakie zagubienie. Niektórzy byli jak sparaliżowani, inni nie wiedzieli, w co mają włożyć ręce. Trudno sobie wyobrazić, co się musi dziać, kiedy w ciągu kilku godzin trzeba spakować cały dom, pełen rzeczy gromadzonych od pokoleń.

— To właśnie jest to — przerywa mi z naciskiem jeden z mężczyzn — w czym przeszkodziłeś: żeby dobytek, który wy, sascy wyzyskiwacze, od pokoleń zabieraliście klasie robotniczej, wrócił w jej posiadanie. Własność to kradzież, przecież wiesz o tym. Dlatego było tak mało czasu, partia wszystko bierze pod uwagę i nigdy się nie myli: żeby ci bogacze mogli jak najmniej wywieźć. I żeby w mieszkaniach jak najwięcej pozostało dla rodzin robotniczych, które miały się wprowadzić. W marksizmie to się nazywa: *exproprierea expropriarilor*, wywłaszczenie wywłaszczonych.

Tak, marksizm tak to określa. Ale to było co innego. Kiedy wynosiliśmy ostatnią komódkę z drewna różanego z mieszkania Alexa von Boora i stawialiśmy ją na chodniku, na wieży

Czarnego Kościoła właśnie biła szósta. Minął wyznaczony termin. Ekspropriatorzy ekspropriatorów wpadli do mieszkania, mężczyzna, kobieta i dziecko, a za nimi babka w rzemiennych sandałach i w czarnej chuście otulającej głowę i ramiona. Przebiegli szybko całe opustoszałe mieszkanie. Z nosami na kwintę usiedli na parkiecie i zaczęli gorzko płakać, a stara podniosła lament. Potem wszyscy wysmarkali się w jej fartuch i poszli sobie. Przed drzwiami czekała komisja z lakowymi pieczęciami i płonącymi świecami.

— Ty byłeś przywódcą, ty zorganizowałeś akcję pomocy. — Sam jeden? Ale nie protestuję. — U doktora Scheesera, którego skreśliśmy z listy i musiał całować ziemię, urządziłeś dyżur telefoniczny. To był twój pomysł, żeby w domu architekta Deixlera, któremu pozwoliliśmy zostać, gotować jedzenie. Potem z połowym kociołkiem na plecach jeździłeś rowerem po mieście i rozdelałeś jedzenie po domach wrogów ludu. Wszystko to są działania kryminalne. Paktowanie z wrogiem klasowym to twoje najmniejsze wykroczenie. — Gorący blaszany pojemnik w plecaku... Czuję, jak parzy mi skórę. — Na stacji rozrządowej przy wagonach z meblami zorganizowałeś straż złożoną z uczniów. — Tylko ja? — I tak nasi robotnicy zostali pozbawieni sprzętów domowych. Ty...

Niespodziewanie jeden z przesłuchujących podchodzi do mnie, szybkim ruchem odwraca mnie ku sobie; to mój kapitan.

— Zakryj swoją nagość, co tak stoisz z gołą dupą! Nie masz za grosz poczucia wstydu! — Chcę się schylić, żeby podciągnąć spodnie. Ale on rozkazuje: — Baczność! — I krzyczy mi do ucha: — Ty sam tego nie uknułeś! Kim są pozostali? Mów, bezwstydniku. My wiemy wszystko! Ale chcemy wiedzieć więcej!

— To był tylko mój pomysł. — Odzywam się do ściany. Nie bez pewnej godności, choć z gołym tyłkiem, mówię: — Nie może w tym być nic złego. Chciałem tylko pomóc ludziom

w potrzebie. — Mam zamiar dodać: a to chyba wolno? Ale kończę z prostotą: — Nigdy nie słyszałem, żeby pomaganie było zabronione w republice ludowej.

— W republice ludowej nie, ale u wroga klasowego tak.

— Odwróć się! — Ziewają. Jeden zaraża się od drugiego. Mężczyzna stojący pod godłem zasłania ręką usta. Klaszczą w dłonie, wszyscy naraz, ale każdy w inny sposób. Trzech żołnierzy wpada do środka, wymachując blaszanymi okularami. Pierwszy z nich zabiera się do mnie. Pozwalają mi podciągnąć spodnie. Drepczę na dół do mojej celi.

Architekt Arnold Deixler na ulicy Rochusgasse... Jego najstarsza córka Armgard chodziła z nami do jednej klasy. Zaprosiła nas do siebie na popołudnie 2 maja: Annemarie Schönmund, Gunthera Reissenfelsa i mnie. Nasza trójka była tuż przed maturą. Za namową Annemarie zaprosiła także Achima Bierstocka, Notgera Nussbeckera i Paulę Mathäi. „Oni są wprawdzie młodszy, ale wyrobieni intelektualnie tak samo jak my”.

Na jej prośbę wszyscy przeczytaliśmy nowelę Conrada Muschlera *Nieznamoma*. O niej mieliśmy rozmawiać, przy sucharkach, słonych paluszkach i herbacie z pokrzyw. *L'inconnue de la Seine*... Kiedy wyłowiono tę młodą kobietę z Sekwany, na jej ustach gościł błogi uśmiech. Zdjęcie zmarłej stało się znane na całym świecie. Muschler opisał jej historię, nadał jej nawet imię: Madeleine Lavin. Każdy z nas, jak proponowała Annemarie, miał wymyślić własną opowieść na ten temat: „Przedstawianie życia z perspektywy śmierci”.

Usiedliśmy w przeszklonej zimowej altanie. Annemarie oświadczyła:

— Ja już obmyśliłam sobie pewną historię, która na pewno bardziej tu pasuje niż ta stworzona przez Muschlera. Dziewczyna z takiego środowiska nie ulega tak raz dwa pokusom hoteli i lordów. Ja się na tym znam. — Nikt nie śmiał zaprze-

czyć, przecież jako jedyna z nas skończyła dwadzieścia lat. Z powodu choroby oczu miała trochę opóźnienia. Dla większości osób z klasy, do której trafiła na ostatni rok, pozostała „istotą wyższego gatunku, złożoną z ducha i pozłotki — jak to określił Gunther — choć paradoksalnie obdarzoną ponętym kobiecym ciałem”.

Altanę otaczały bezlistne łądygi barszczu. Także drzewa owocowe były nagie, choć pączki ich kwiatów niemal już pękały. Wszystko czekało na pierwszy ciepły podmuch. W dolinie u stóp Zinnebergu wiosna przychodzi późno. Jeszcze w czerwcu pada śnieg.

Paula spóźniła się. Notger zauważył:

— Mathäi zawsze na końcu. *Comme d'habitude*, jak zwykle — Był to jedyny francuski zwrot, jaki pamiętał.

— Nie dokuczaj jej ciągle! — upomniała go Annemarie. — Jesteś jej kolegą z klasy i powinieneś wiedzieć, jak się męczy, ucząc rumuńskie dzieci niemieckiego. Jej rodzina praktycznie utrzymuje się z tych prywatnych lekcji. Nie mają ojca.

— A gdzie on jest? — zapytał Gunther.

— Tam, gdzie wszyscy nasi ojcowie, jeśli ich nie ma.

Nagle poczuliśmy ciepło, które owiało nam stopy.

— Czy macie pralnię w piwnicy? — spytał Gunther.

Majowe słońce rozgrzało powietrze nad Skałą Salomona po drugiej stronie Zinnebergu. Ciepłe powiewy napływały wąwozami do doliny, rozdzielały się w stromych uliczkach, kładły się w ogródkach jak miękkie dywany. Wyszliśmy z altany, zdjęliśmy swetry, wymościłiśmy nimi ogrodowe krzesła, na których ułożyliśmy się wygodnie. Popodwijaliśmy rękawy, wstydząc się trochę błości naszej skóry, swędzącej na słońcu. Przyszła wiosna. Armgard rozpięła bluzkę, zamknęła oczy, odchyliła się do tyłu i wymruczała:

— Biedna Madeleine, może w tę ostatnią noc rzeczywiście poszła z lordem do jęgo pokoju. Życzyłabym jej tego. — Prawy

rękaw zsunął się jej z ramienia, można było dostrzec zarysy piersi. Zauważyłem znamię.

Przydreptała do nas mieszkająca z rodziną ciotka. Takie ciotki były w każdej porządnej mieszczańskiej rodzinie: niezamężne, klasycznie wykształcone. Ciotka Armgard nazywała się Melania Julia Ingeburg Konst von Knobloch. Ostrożnie stawiała drobne krocзки, ścieżka była świeżo wysypana żwirem. Na jej głowie kołysał się gąszcz wałków i papilotów, wymachiwała trzymanym w ręce pogrzebaczem.

Ciotka Melania mieszkała na mansardzie, otoczona kotami, z którymi rozmawiała po łacinie. Koty nosiły wprawdzie zakonne imiona, od A do Z, ale mimo to rozmnażały się niepowstrzymanie. Zapach kocich sików starsza dama tłumiła za pomocą kadzidła i dymu z jałowca lub wybornych herbat.

Kiedy Armgard i ja czasami przesiadywaliśmy u niej, by ćwiczyć się w starożytnym języku lub też z jakiegoś innego powodu, wpadaliśmy wtedy w stan jakiegoś dziwnego upojenia, tak bardzo ostre zapachy oszałamiały nasze zmysły. Zdarzało się, że Armgard zasłaniała nos końcem warkocza, żeby filtrować powietrze. Koty krążyły wokół nas w niekończącym się korowodzie, tworzyły wijące się kręgi i spirale, wciągały nas w swoje węzowe ruchy. Głowa Armgard opadała bezwładnie na moje ramię. Albo kładła mi ją na kolanach. Czasami uciekała z rękami do kieszeni moich skórzanych spodni albo krzyżowała je u mnie na kolanach. I siedząc tak pod ukośnymi sufitami, przysłuchiwaliśmy się historiom ciotki.

Drewniane ściany pokryte były zdjęciami krajobrazów wzdłuż południków, od Archipelagu Bismarcka na morzach południowych, do Ziemi Franciszka Józefa na Morzu Arktycznym. Ciotka orientowała się nie tylko w geografii, lecz także doskonale znała biografie członków domu arcyksiążęcego. Jediną murowaną ścianę zdobił kolorowy oleodruk: cesarz Franz Joseph we łzach rzuca się na katafalk swojej małżonki,

jest ubrany w mundur generalski, a mnisi kapucyni stoją obok jak krasnale ogrodowe, odmawiają różaniec i czekają na wyniesienie trumny.

W ostatnim czasie ciotka intensywnie zajmowała się prawami człowieka.

— Wszyscy ludzie są równi... To słuszne i chwalebne, że komuniści zlikwidowali służbę. Dzięki temu nie musimy już mieć wyrzutów sumienia. Poza tym wszyscy jesteśmy równi, to znaczy równie biedni i potrzebujący. To mi przypomina czasy po przybyciu na te ziemie. Pierwsze pokolenie: śmierć, to już mamy za sobą. Drugie pokolenie: bieda, właśnie jesteśmy w samym środku. Miejmy nadzieję, że jeszcze za naszego życia nadejdzie pokolenie trzecie: chleb!

Przed kilkoma laty próbowała piechotą przejść zieloną granicę w drodze do Jugosławii, w biały dzień. Wściekle czerwona parasolka miała ją osłaniać i zapewnić ochronę. „Czerwony to wprowadzie kolor plebsu, ale czego się nie robi, żeby przyjaźnie usposobić komunistów”. Złapali ją w polu kukurydzy pod Hatzfeld/Jimbolią. Na pytanie o paszport wyciągnęła Deklarację Praw Człowieka i łamanym rumuńskim oświadczyła: „Każdy człowiek ma prawo swobodnie wybierać miejsce osiedlenia na ziemi”. „*Fii seriosă, doamnă*. Niech pani nie żartuje”, odparł podpułkownik, zakładając jej kajdanki. Gdy zapytali ją: „Dokąd się pani wybiera?”, odpowiedziała: „Do kraju Franza Josepha. Tutaj zrobiło się dla mnie za gorąco”.

Piątek: siedzieliśmy u ciotki i pili zieloną herbatę z filiżanek ozdobionych portretami czterech monarchów, którzy przegrali pierwszą wojnę światową, a trzech z nich straciło przy okazji tron. Ciotka monologowała z zapalem:

— Pokojowe i praworządne współzycie między narodami! Cesarstwo austriackie jest tu niedościgłym wzorem. — I zakończyła: — Tego nie pojmie żaden republikanin: monarchia

jest oknem do nieba. — Westchnęła. — To okno wybili nam komuniści, kiedy wygnali króla Michała. Tym narazili się Bogu. Poniosą klęskę, przy całym swoim zapale i zaangażowaniu w poprawę świata. Bóg nie tylko rozświetla swoją twarz, może ją także zasłonić. — Pani von Knobloch głąskała naraz trzy koty, które walczyły o miejsce na jej podołku.

Armgard położyła głowę na moich kolanach:

— Jak przyjemnie! Pachnie skórą i mchem. — Głąskałem ją po policzku. Jej warkocze łaskotały mnie lekko po nogach. Ujęła moją rękę, poprowadziła ją po swojej odsłoniętej skórze i powiedziała: — Dotknij, tu mam znamię. — Wyczułem je dotykem.

— Idźcie już! Wystarczą mi głosy z przeszłości. — Wyszliśmy. Nie wiedząc, kim jesteśmy ani czego pragną nasze serca. Na schodach zatrzymaliśmy się na chwilę i pocałowali. Później na zewnątrz zachowywaliśmy się jak cała reszta.

Żwir zachrząścił. Pani Melania, ciężko dysząc, oparła się o gruszę. — *Salvete, iuventus!* — Chłopcy zerwali się i wykrzyknęli: — *Salve, pia anima!* — Nowy w tym gronie Notger wyjąkał zaskoczony: — *Gummi arabicum!* — Mnie zaś wyrwał się lapsus: — *Ave, domina, morituri te salutant!* — Ale na tym wyczerpywała się nasza elokwencja. Achim powiedział po prostu: — Pochwalony. — Zaś Annemarie przywitała się z umiarem: — Dzień dobry.

Zaproponowaliśmy damie nasze krzesła. Młodszy chcieli się przedstawić. Machnęła ręką:

— Zachowajcie swoje nazwiska dla siebie. Po pierwsze, na pewno ich nie zapamiętam, po drugie: w tych zwariowanych czasach lepiej jest nikogo nie znać. *Nomen est omen*. Nazwisko staje się przekleństwem. — Opierając się na pogrzebaczu, ciotka odwróciła się plecami do słońca. — Strzeżcie się wiosennego słońca. Może poparzyć! — Rozchyliła swą jedwabną

bluzkę, przejechała pogrzebaczem kilka razy po krzyżu, żeby się podrapać. — Zima była za długa. Skóra jest wysuszona. Swędzi. — Zauważyła książeczkę z opowiadaniem: — Ach, Muschler! Pierwszy zachwyty słabnie, coraz bardziej w miarę czytania.

Annemarie powiedziała:

— Przedstawianie życia z perspektywy śmierci.

— Z perspektywy śmierci? To lepiej przeczytajcie tragiczne biografie członków domu arcyksiążęcego: cesarz Maksymilian z Meksyku, rozstrzelany po wyroku sądu wojskowego, następca tronu Rudolf, śmierć z miłości, cesarzowa Elżbieta, skrytobójstwo. Śmierć, nic tylko śmierć. *Sic transit gloria mundi!* I każde z nich wiedziało o tym od najwcześniejszego dzieciństwa. Ale Muschler? Romansidła z pretensjami, w dodatku w złym guście.

— Proszę to udowodnić. Przykłady! — odezwała się Annemarie.

— Przykłady? W jednym z tych dwóch romansów, *Bianca* albo *Diana*, niedzielną kochanką wskakuje nago do łóżka lekarza. Ale co robi przedtem? Rozbiera się.

— To logiczne — stwierdziła Annemarie.

— I chowa *dessous* pod spódnicę i bluzkę. A potem jeszcze specjalnie składa w kostkę to biedne odzienie. To śmieszne!

Odważnie zauważyłem:

— Mój dziadek od małego uczył nas, żebyśmy przed pójściem do łóżka porządnie poskładali ubrania. W nocy mógłby na przykład wybuchnąć pożar, a wtedy wszystko powinno być pod ręką.

Ale ciotka nie dała się zbić z tropu:

— Specjalnie jest podkreślone, że ta kochanka nie szczędzi czasu, żeby starannie ułożyć swoje ubrania na krześle. Na potem, jak jest napisane... — potrząsnęła głową, jej wątki zadzwięczały. — Gdyby mnie się coś takiego zdarzyło, że

prawdziwy mężczyzna, a do tego najprawdziwszy lekarz... — urwała na chwilę. — Na mą duszę, rozrzuciłabym ubrania, halki i inne części garderoby na wszystkie strony świata, a później cisnęła je do rzeki, żeby już nie było żadnego „potem”! Ale widocznie miało być inaczej.

Od furtki wychodzącej na ulicę ogrodową alejką szedł ku nam mężczyzna w zimowym płaszczu, pod pachą niósł aktówkę, za nim podążał milicjant w mundurze. Miał rewolwer przy pasku i białe płócienne rękawiczki; jadł kanapkę z kiełbasą.

Mężczyzna w cywilu przywitał się:

— Dzień dobry! — i usiadł na krześle, które stało przygotowane dla Pauli. Milicjant okrążył dom, zajrzał we wszystkie piwniczne okienka. Nie przedstawivszy się, mężczyzna w zimowym płaszczu zapytał o towarzysza architekta. Armgard odpowiedziała:

— Zawołam ojca.

— Nie trzeba. — Pokazał palcem na niebieską kartkę, którą miał przed sobą. Były na niej nazwiska siedmiu osób: rodzice, Armgard i czworo jej rodzeństwa. — Czy wszyscy tu mieszkają?

— *Da.*

Mężczyzna podał Armgard ołówek i kazał podpisać, upewniwszy się przedtem:

— Ty umiesz pisać? — Potem powiedział: — Do jutra wieczorem, do godziny szóstej, musicie opróżnić cały dom i zabrać swoje rzeczy. Kolej podstawii wam wagon towarowy. Ciężarówki możecie zamawiać w zarządzie miasta.

Teraz do akcji wkroczyła ciotka Melanie:

— Jak to, a mnie nie ma na liście?

— Tylko tych siedmioro — odparł mężczyzna.

— Od dwudziestu lat mieszkam w tym domu i czekam, aż coś się stanie, a teraz chcecie mnie tu zostawić. Niech mnie pan natychmiast wpisze na listę!

— Nie mogę.

— *Cum nu?* — Przecież tak samo jest Saksonką, jak wszyscy pozostali mieszkańcy domu.

Annemarie próbowała pośredniczyć:

— Patrząc socjologicznie i psychologicznie, *doamnă* ma rację. Ona należy do rodziny.

— A ty kim jesteś, że się mieszasz w nie swoje sprawy?

— Córką robotnicy dela Fabrica Tractorul Roșu.

— A ta reszta, czego oni tu szukają? *Un club conspirativ?*

— Ależ skąd — odparła Annemarie. — *Colegi de clasă.*

— I co tu robicie?

— Rozmawiamy o śmierci pewnej młodej dziewczyny.

— Ach! — zdjął kapelusz i przeżegnał się. — To nie jest przeciwko Sasom. Tu chodzi o walkę klasową. To dotyczy wszystkich wyzyskiwaczy. Nawet Żydów, na liście mamy także obie ormiańskie rodziny. — Mężczyzna w zimowym płaszczu dyszał z gorąca. Ale nie zdejmował go.

— On ma pistolet — szepnął Gunther.

— Atamian i Ceghergian. To miło — odezwała się ciotka Melania do Armgard. — Miejmy nadzieję, że trafią do tej samej dziury co my. Wtedy nie będę się musiała bać, że mi zabraknie różnych herbat. — A do mężczyzny z ołówkiem rzuciła: — Walka klas? *Foarte bine! Una nobilă sunt.* Nawet jeśli będę biedna jak mysz kościelna, jak to się mówi po rumuńsku?, to pozostanę arystokratką. A teraz dopiszcie mnie na listę.

— *Nu se poate* — bronił się zagadnięty.

— Jeszcze jak się da! — Zakrzywionym końcem pogrzebacza zahaczyła jego dziurkę od guzika i zaczęła nim potrząsać, aż kapelusz spadł mu z głowy. — Zapisać! I wszystkie moje koty też! — Do nas powiedziała: — Choćby dlatego, że *pro toto* nie mam ochoty zakończyć życia w tym domu razem z proletariuszami i motłochem. Już dla moich kotów byłoby to obrazą.

Muszę jechać z nimi! — Mężczyzna przerażony zapisał jej nazwisko na kartce niebieskiego papieru i kazał podyktować sobie imiona kotów, od Annuncjaty do Zenobii. — *Alea iacta est!*

— Przegońcie stąd tę przeklętą wiedźmę — prychnął cywil, kiedy milicjant podał mu kapelusz. Dama siedziała dalej.

Przy bramie ogrodowej ukazała się Paula. Już z daleka wołała płaczliwym głosem:

— Straszne rzeczy dzieją się w mieście. Moich chlebodawców, rodzinę Vestemean z Postwiese właśnie... — ukradkiem dawaliśmy jej znaki. Zrozumiała. Przeszła obok nas i pobiegła do domu. Armgard zawołała za nią:

— Poproś mojego ojca. Nie, lepiej matkę. — Mężczyzna w zimowym płaszczu podniósł głowę:

— *Cine este?*

— Koleżanka. Zawoła moją matkę — odpowiedziała Armgard.

Przyszła matka, kobieta średniego wzrostu, o jasnych oczach i spokojnych ruchach. Włosy miała gładko zaczesane do tyłu i na karku spięte w kok. Jej twarz była lekko zaróżowiona od jazdy na nartach i biegów po lesie. Trochę piegów przypominało dziewczęce lata. Obaj posłańcy chcieli się wycofać, ale pani Deixler zatrzymała ich:

— Niech panowie zostaną — powiedziała. — Może napiją się panowie herbaty? Z młodych pokrzyw, bardzo zdrowa.

Panowie podziękowali, nie mieli ochoty na herbatę pokrzywową.

— Śpieszymy się. — Mężczyzna w płaszczu westchnął.

— Właśnie, ten pośpiech nas dziwi. Co się stanie, jeśli na przykład komuś nie uda się dotrzymać terminu?

Jutro punktualnie o osiemnastej mieszkanie zostanie zabezpieczone.

— Co będzie w środku, już zostanie w środku. — Spojrzał ciepłym wzrokiem na swój zegarek: — Godzina osiemnasta. To szósta po południu? — I dodał: — Całkiem nowy zegarek. Marka Moskwa, siedemnaście kamieni.

— A dokąd mamy jechać?

Mężczyzna zawahał się. Nie tak daleko, do Rupei, około siedemdziesiąt kilometrów stąd. Jest tam pod dostatkiem mieszkań i miejsc pracy. Ludność woli lżejszą pracę w mieście.

— Tamtejsze osady pustoszeją, podczas gdy my dusimy się w naszym ukochanym Stalinstadt. — Zdjął kapelusz i zaczął nim wachlować w naszą stronę, jakby chciał nas zdmuchnąć.

— A jakiej to pracy jest tam pod dostatkiem?

Mężczyzna zdenerwował się w końcu:

— Nie słyszała pani o słynnych kamieniołomach Rupea? Najczystszy wapień. Biały jak cnota dziewicy.

— Aha — powiedzieliśmy wszyscy. — Aha.

Pani domu zamyśliła się. Zamknęła oczy. Jej twarz ze zmarszczką u nasady nosa nie przypominała w najmniejszym stopniu pośmiertnej maski nieznanym z Sekwany, której zdjęcie zdobiło okładkę książki. Nikt nie odezwał się ani słowem. W pewnej chwili matka Armgard usiadła, wzięła do ręki książkę, przyjrzała się uśmiechniętej martwej dziewczynie i powiedziała w naszym języku, nie zwracając uwagi na obcych mężczyzn, którzy właśnie się żegnali:

— Dzieci, nie poradzimy sobie. To przecież niemożliwe, żeby do jutra wieczorem wynieść wszystko z domu. Zbudowaliśmy go jako młode małżeństwo, zanim nasza Armgard przyszła na świat.

— Z moją pomocą — dorzuciła ciotka Melania.

— Ależ oczywiście. Oczywiście. Jesteśmy ci za to na zawsze wdzięczni. Jak powiedziałam, mieszkamy tu od ponad dwudziestu lat. Meble zaprojektował mój mąż, a niektóre nawet sam wykonał. Nie będą pasowały do żadnego innego

mieszkania. Nie, zrobimy inaczej. Ty, Armgard, zbierzesz rodzeństwo. I obudzisz ojca. Sjesta i tak już się skończyła. Każdy spakuje dwie walizki. Do jednej włoży swoje najbardziej ukochane rzeczy, co tylko będzie chciał. A do drugiej to, co najmniej niezbędne. Wtedy będziemy gotowi przed wieczorem i potem możemy spokojnie czekać na rozwój wydarzeń.

Staliśmy wkoło bezradni i przerażeni, nie wiedząc, co mamy zrobić. Najchętniej po prostu pouciekalibyśmy stamtąd. Ale jednak nie wypadało tak po prostu pożegnać się i pójść.

Pomysł z dwiema walizkami okazał się prawie niewykonalny. Trudno było nawet ustalić, co należy do rzeczy niezbędnych. A jeszcze trudniejszy okazał się wybór rzeczy do drugiej walizki, tych najcenniejszych, najukochańszych. Oznaczało to, że trzeba z bólem i w rozterkach decydować, co musi zostać.

Najmłodszy syn, Arnulf, wywiercił dziury w swojej walizce. Najpierw włożył do niej dwa żółwie, potem jednak zmienił zdanie, stwierdził: — Przecież one żyją sto lat, więc na pewno je tu znaję, kiedy wrócimy. — Zdecydował się na parę królików, ale potem je także wypuścił i zaczął łapać gołębie, które tym razem jednak nie chciały jeść mu z ręki.

Drugi w kolejności brat, Horst, przytaszczył dwa porządnie oprawione roczniki berlińskiej „Gazety Olimpijskiej” z 1936 roku, które ojciec bez słowa mu odebrał. Chłopiec także nie odezwał się przy tym ani słowem.

Młodsza siostra Armgard, Gerhild, jako pierwsza uwinęła się z pakowaniem. Postawiła na schodach domu swoje skrzypce w futerał. Potem wskoczyła na huśtawkę zwieszającą się z orzecha, zaczęła się huścić i śpiewać dziecinne piosenki. Przy każdym wychyleniu huśtawki do przodu spódniczka odsłaniała jej nogi wysoko ponad kolanami.

Armgard wyciągnęła swoje książeczki o Puckim, które czytała jeszcze jej matka, dołożyła do nich opowieści o zwie-

rzętach Idy Bohatty. W róg walizki wcisnęła lalkę z powyłamowanymi kończynami oraz jej łóżeczko. Pod lalczyną kołderką ukryła swój dziennik, oprawiony w safianową skórę, który dostała od ciotki Melanii na konfirmację. A na sam wierzch położyła nie *Nieznajomą*, ale książkę Anny Seghers, *Wycieczka martwych dziewcząt*. Ze złością zamknęła walizkę i nogą odepchnęła na bok pozostałe rzeczy, wśród nich kasetkę z biżuterią, której wieczko odskoczyło. Zawartość kasetki rozsypała się na wszystkie strony.

— Tych rzeczy już nie będę potrzebowała! — Objęła duży stojący zegar, który cichutko zadzwieczał. Szepnęła: — Tutaj w środku się chowałam, jak byłam małą dziewczynką.

Annemarie powiedziała:

— W sytuacjach skrajnych dusza szuka ratunku w ucieczce w czas dzieciństwa. Regres. Według Pawłowa życie jest ciągiem wyższych odruchów, które pojawiają się i odchodzą. Wyćwiczcie sobie nowe i wszystko będzie w porządku!

W pokoju dzieciennym za kulisami teatru dla lalek odnalazłem najmłodsze dziecko, Magdalenę, urodzoną już po wojnie i deportacjach. Mała siedziała na swoim wiklinowym krzesełku, obok niej leżały puste walizki, jej ręce splecione na kolanach także były puste. Po policzkach dziewczynki spływały łzy, które wyłapywała koniuszkiem języka. Nie próbowałem jej pocieszać. Zobaczyłem nagle moją siostrzyczkę, jak tamtej deszczowej nocy w listopadzie przed kilku laty zbiera w błocie szczątki swojego wózka dla lalek, kiedy po wyrzuceniu przez okno naszego fortepianu na uliczkę powróciła nocna cisza.

Co do jednego wszyscy byli zgodni: narty muszą zabrać ze sobą. Czekały oparte o ścianę domu, od największych do najmniejszych. Obok stały, wyprostowane jak łaciate kolumny, tureckie dywany z Anatolii.

Achim Bierstock stanął przed matką Armgard, odpoczywającą w fotelu. Po lewej i po prawej leżały jej walizki, spakowane

na podróż. Nikt nie wiedział, co zawierała druga walizka. W fotelu obok siedział pan domu. Pan Deixler włożył już swoje górskie buty, jakby się przygotował na długą wędrówkę. Ciężkie powieki zakrywały jego oczy, zostawiając tylko wąską szparę. Patrzył ukośnie do góry, przez ściany swojego domu spoglądał w dal. Nie mówił nic. Nic nie mówił. W trzecim fotelu rozsiadła się ciotka.

Achim skłonił się:

— Łaskawa pani — zaczął — tutaj dzieje się bezprawie, jak widzę, ale nikt się nie oburza, jak mi się wydaje. Pierwsze i trzecie zdanie to Bertold Brecht. Chodzi mi o to, że nie należy za wcześnie wyrzucać flinty. Bo potem trzeba niejednej finty, żeby ją odzyskać. To z fintą napisał Eugen Roth. Moja babcia zawsze radziła: lepiej działać niż gadać! I: śpiesz się powoli. Więc będziemy działać, ale bez pośpiechu. — Zwrócił się do pani von Knobloch: — Łaskawa pani pozwoli.

— Proszę bardzo — odpowiedziała ciotka Melania, nie podnosząc się z fotela. — Mnie też możecie od razu zabrać. — Achim i Gunther wzięli fotel i wynieśli go z domu razem z ciotką. Potem ustawili go pod gruszą. Wróciwszy do pokoju, Achim powiedział do pani Deixler:

— Jeżeli pani sobie życzy, odniesiemy mebel z powrotem, z panią Konst von Knobloch lub bez.

Czego życzyła sobie pani Deixler, trudno było się zorientować. Milczała.

Do wieczora wynieśliśmy większą część mebli do ogrodu i przygotowali je do transportu. Niesporo szło nam pakowanie sprzętów domowych, dużo było przy tym pracy.

— Tym się muszą zająć dziewczyny — stwierdziła Annette. — Wy, chłopcy, możecie się tylko przyglądać.

Tymczasem do domu Deixlerów dotarła wiadomość, że była to rzeczywiście masowa akcja wymierzona w burżuazję, obejmująca wszystkie grupy narodowościowe w mieście. Z naszej

klasy, oktawy, dotkniętych nią było siedem osób, wśród nich Veronika Flechter z rodziny żydowskiej.

W nocy trzymaliśmy straż w ogrodzie. Dołączyła do nas Armgard. Zanim położyliśmy się spać, Magdalena przywlokła jakiś worek i pod ogrodową latarnią wysypała jego zawartość: potoczyły się zabawne nakrycia głowy z ostatniej maskarady, z minionych czasów i wojen.

— Cudownie — ucieszyła się Armgard. — Dzieci, zabawmy się trochę. Najpiękniejsze są zawsze chwile. A wiecie dlaczego? — Nie wiedzieliśmy, ale domyślaliśmy się. Zawołała: — Przebieranki! — i włożyła każdemu jakąś śmieszna czapkę, przez siebie wybraną. — A poza tym będą was grzały w nocy.

Achim dostał fez jej dziadka: — Jesteś chodzącym Dywanem Wschodu i Zachodu. — Notgerowi dała austriacki hełm żołnierski z 1866 roku: — Jeśli kiedyś stracisz głowę albo przy tradycyjnych otrzęsinach upadniesz na głowę. — Dla mnie przeznaczyła piuskę: — Może kiedyś zostaniesz biskupem! — Guntherowi włożyła florentyński kapelusz: — Wyglądasz jak prawdziwa dama z epoki. — Bez wyjaśnienia zachowała dla siebie kapelusz ortodoksyjnego Żyda. I tak samo bez słów nałożyła na głowę Annemarie błazeńską czapkę z dzwoneczkami.

Ledwie Armgard usiadła na jednym z orientalnych dywanów, które rozwinięte w altanie miały służyć nam za posłania, osunęła się i zaraz zapadła w sen, zasnęła na krwistoczerwonej łące wśród palmowych liści i arabesek. Ostrożnie owinęliśmy ją w ciężki dywan. Spała dalej, w kapeluszu rabina na głowie i z pluszowym misiem przytulonym do marszczonej bluzki.

Potem pozawijaliśmy się nawzajem w dywany, których włosie miękko nas otuliło.

— Jak mumie z wyszukanym nakryciem głowy — stwierdził Gunther i wygłosił krótki wykład na temat balsamowania i konserwacji zwłok. — Ciało ludzkie składa się właściwie

z otworów i dziur, z których wydostają się wydzieliny. A kobieta ma o jeden otwór więcej niż normalny człowiek.

— Jak to? — zapytała Annemarie podnosząc głowę, dzwoneczki na jej czapce cicho zabrzęczały.

— To pochwa.

— Ach tak, bardzo ciekawe. Czyli poród to też wydzielina?

Ale nasze myśli już poszybowały gdzie indziej, krążyły wokół tylko jednej sprawy. Achim zadeklamował:

— Szlachetny jest człowiek, pomocny i dobry. Goethe. Ale: co robić? Lenin.

— Nie otrzesz wszystkich łez, otrzymaj choć jedną — wiedziałem i przypomniałem sobie obrazek-wycinankę mojej babci: tancerka trzyma w wyciągniętych do góry rękach misę, do której spadają łzy, a u jej stóp strumień łez nieprzerwanie płynie dalej.

— Bzdura. To taki burżuazyjny listek figowy — odparła Annemarie.

— Jak sobie wyobrażasz ten listek?

— Wcale sobie nie wyobrażam. Dewiza drugiej połowy tego stulecia brzmi: wszystkie łzy mają zostać osuszone. Zastanówcie się nad tym. Przecież jesteście chłopcami. Ja chcę już spać, żebym nie musiała tyle myśleć. A tak na marginesie, czy zauważyliście: kiedy upadają systemy, padają także mężczyźni. Gdy zagraża niebezpieczeństwo, jest to najlepszy czas dla kobiet. Matka Armgard, ciotka, one są wspaniałe. Ale może istnieje coś takiego jak postawa bez podstawy. — Jeszcze się nad tym zastanowi. I zasnęła.

— Na Sądzie Ostatecznym Bóg zrobi to własnoręcznie — powiedział Notger i potrząsnął swoim egzotycznym posłaniem. Hełm zsunął mu się z głowy i z hałasem potoczył się po ogrodowej dróżce.

— Co? — zapytałem.

— Otrze łzy.

— Nie możemy czekać do tego czasu — powiedział Gunther. — Dzisiaj to wypróbowaliśmy: chłopcy do noszenia mebli, dziewczyny do pakowania. Jest dosyć rąk. I w ten sposób wszystkim pomożemy. Trzeba to tylko zorganizować.

— Musimy gdzieś założyć centralę, żeby nadzorować wszystko i kierować pracami — zaproponowałem. — Tak zwany dyżur dyspozytorski.

Notger rzucił ostrzegawczo:

— Może nie nadawajmy nazwy temu, co robimy. Nazwy są bardziej niebezpieczne od faktów.

Kiedy ostatni z kolegów zaczął chrapać, uwolniłem się ze swojego dywanu, spojrzałem z ukosa na Annemarie — ale spała głęboko i nie zwracała na mnie uwagi, rzadko odzywały się błazeńskie dzwoneczki — po czym podszedłem do posłania Armgard. Żydowski kapelusz zsunął się jej z głowy. Pocałowałem ją w płatki uszu, były zimne. Zdjąłem więc moją biskupią czapkę i przykryłem jej uszy. Nie wydała żadnego dźwięku.

Nocą w sąsiedztwie szlachtowano świnie. I choć zawiązano jej ryj, charczenie zwierzęcia zbudziło wrony śpiące na drzewie. Gwiazdy w eterze drżały z zimna, po północy oddech zaczął zamarzać nam na wargach, a my spaliliśmy do świtu.

Rano rozbiegliśmy się w różne strony. Każdemu zostało przydzielone zadanie, do którego najlepiej się nadawał.

Annemarie chciała ująć się za ofiarami bezprawia:

— Musimy stać po stronie poszkodowanych. Moja matka jest robotnicą. W partii muszą mnie potraktować poważnie.

Notger pobiegł na Zwirnwurstgasse do Marca Soteriusa. Chciał przy jego pomocy przywołać wahadełkiem ducha świata, żeby uchronił nasze przedsięwzięcie przed promieniowaniem tellurycznych mocy.

Achim i Gunther mieli próbować zwerbować ochotników do naszej akcji w Niemieckiej Wyższej Szkole Handlowej.

A ja chodziłem w naszej szkole od klasy do klasy, od kwinty w górę, i opowiadałem o tym, co widziałem na własne oczy wczoraj po południu i dziś w nocy. Od razu udało się utworzyć kilka lotnych grup dziewcząt i chłopców. W kancelarii dyrektora urządziliśmy dyżur telefoniczny. Dziewczyny zwolnione z wychowania fizycznego oraz zbyt otyli chłopcy siedzieli przy telefonie na trzy zmiany. Kto tylko potrzebował pomocy, dzwonił: od zaraz czterech chłopców do ładowania, ciężarówka już stoi na podwórzu! Proszę na jutro rano dziewczyny do pakowania, właśnie dostaliśmy niebieski list! Grupy, które akurat były wolne, także się tam zgłaszały.

Przez trzy dni nie odbywały się lekcje. Klasy opustoszały. Naszego dyrektora Franza von Killyena natychmiast skierowano do mieszania betonu. Zmieniliśmy więc sposób działania: z każdej klasy wybraliśmy po kilku uczniów, codziennie innych, którzy chodzili na lekcje, żeby na nich spać. Nauczyciele przymykali oboje oczu.

Centralę telefoniczną przenieśliśmy do doktora Scheesera. W ostatniej chwili skreślono z listy lekarzy i inżynierów, którym pozwolono zostać w mieście. Młoda republika rozumiała, że na początku nie może rezygnować z takich fachowców. U Deixlerów już we wtorek wnieśliśmy wszystkie meble z powrotem do domu. Sprawiał wrażenie, jakby się skurczył. I zrobiona na miarę narożna ława nie mieściła się już w dawnym miejscu. Pani von Knobloch nie przyjmowała nikogo. Gdzieś z góry głucho dochodziło *de profundis*. Armgard i ja minęliśmy się, jakbyśmy się nie znali.

Theobald Wortmann, mój sąsiad z ławki, rzadko pokazywał się w tych gorączkowych dniach majowych. Tylko raz zatrzymał się na chwilę u Deixlerów, wziął na ramię zwinięty dywan i zaniósł do domu. Rzucił przy tym kilka uwag na temat przesunięcia czerwieni w widmie optycznym: „Im dalej obserwator oddala się od rzeczywistego komunizmu, tym

czerwieńsza staje się jego świadomość. Pomyślcie tylko o tych salonowych komunistach z Paryża”. Potem zniknął z miasta. „Jestem synem pastora: choć mam we wszystko wgląd, muszę się zawsze trzymać z daleka. Wprawdzie Bóg jest wszędzie, ale także ponad wszystkim. Kiedy się go potrzebuje, nigdy go nie ma. A mój ojciec, nawet jeśli wymachuje czerwonym sztandarem, nie chroni mnie”.

Chodził z Armgard od piątej klasy do ósmej, wytrwale i całkowicie niewinnie: „Po konfirmacji tak się należy, żeby mieć odpowiednie wspomnienia ze szkoły. A jeśli chłopak stał się już mężczyzną i nie może się powstrzymać, to może zdobyć pierwsze ostrogi ze starszymi wdowami lub rumuńskimi uczennicami. Wdowy znają się na rzeczy, a dla Rumunek jest to zaszczyt i przyjemność zarazem. W ten sposób można chronić swoje dziewczyny, a potem jako doświadczony mężczyzna wstąpić w stan małżeński”. Theobald był wybitnym teoretykiem.

Dwa i pół tygodnia trwała operacja oczyszczania miasta z wyzyskiwaczy. Dzień i noc śmigaliśmy przez uliczki i zaułki, chłopcy w krótkich spodniach i podkolanówkach, dziewczyny w roboczych sukienkach, wszyscy obciążeni koszami, paczkami, z walizkami na ramionach lub ciągnący za sobą drewniane wózki. Zawsze na miejscu, gdzie byliśmy potrzebni. Nazywaliśmy się wózkowymi tatarami, meblowandalami, jeźdźcami fortepianów.

Co też wynosiliśmy ze wszystkich tych domów, składali na ciężarówkach, pakowali do wagonów bydłowych: wysokie jak wieże przeszklone szafki w stylu Marii Teresy i najukochańsze toaletki, barokowe lustra w złożonych ramach, które pękały przy przetaczaniu wagonów. Całe masy gipsowych Lutrów i Honterusów. Kosze pełne Biblii i wieszaków na ubrania. Wórki Goethego, Schillera i butów narciarskich. Walizy wypchane tyrolskimi spodniami i haftowanymi paskami do spodni.

Skrzynie konserw mięsnych z zapasów Wehrmachtu. Nocniki i srebrne sztucce. Przerażone świnki morskie i kanarki. W piwnicach odkopywaliśmy butelki szampana marki Mott, rocznik 1911, i wina sprzed pierwszej wojny światowej. Buszowaliśmy po strychach, odkrywali pokojowe ubikacje wyścielane aksamitem, porcelanowe baseny dla chorych firmy Villeroy & Boch i stuletnie warkocze z włosów z jedwabną siateczką.

Tak przeładowywaliśmy jeden dom za drugim. I wyprowadziliśmy milczących ludzi w drogę do miejsca przymusowego osiedlenia. Tam, gdzie mieli przesiedzieć długie lata w chatkach i barakach, zarabiając na chleb w cegielniach lub kamieniołomach. Jakże płonęły nasze serca!

17

Czekam, a moje zmysły wybiegają na zewnątrz, na cichy korytarz. I dzielę czas na kawałki, godzina za godziną.

Myśliwy, mój towarzysz z celi, cierpi z powodu mojego milczenia. Zwięźle referuję mu więc akcję z 2 maja i dni następnych. Teraz staje się rozmowny. O cokolwiek zahaczę, on zaraz ma na ten temat własną historię.

— Jeśli chodzi o ewakuację burżuazji ze Stalinstadt, to powiem tylko tyle, że w Mediaszu nic podobnego się nie zdarzyło, niestety. Bo wtedy i moja rodzina dostałaby mieszkanie po jakimś Sasie. Choć tak bardzo ich skubano, tych waszych Sasów, to wciąż im się u nas lepiej powodzi. Ale do nas należy przyszłość. Ja jeszcze złapię złotą rybkę. No i zapomniałeś powiedzieć, że po latach oni mogli wrócić do swojego rodzinnego miasta.

— Tylko nie do swoich mieszkań, które były pozajmowane. Musieli się gnieździć w garażach, piwnicach, w pralniach.

— Ale takich warunków jak moje nie życzyłbym żadnemu z waszych burżujów. To, co się tam dzieje, jest niegodne człowieka, nie mówiąc już o godności proletariusza.

Rzeczywiście, trudno musiało mu się żyć w mikroskopijnym pokoiku z drzwiami wychodzącymi bezpośrednio na podwórze, który przydzielił mu wydział mieszkaniowy. Brakowało miejsca i w dzień, i w nocy. Koło pieca stała rozkładana sofa, gdzie mąż z żoną z największą ostrożnością spędzali noc. Pod spodem, w skrzyni na pościel, przechowywane były strzelby myśliwskie i amunicja. Ubrania, niepotrzebne w danej porze roku, też były tam poupychane, a obok nich w ciemnościach fermentowały słoiki z marmoladą. Zrolowana pościel leżała na sofie. U stóp rodziców spała starsza dziewczynka. Młodsza spędzała noc w podłużnym koszu wiklinowym, zawieszonym nad kuchenką. Później większa przeniosła się do kosza na bieliznę pod stołem, a druga córka zwijała się w kłębek w nogach sofy rodziców. Szafy nie mieli. Kilka ubrań wisiało w niszy drzwi prowadzących do sąsiada. Dolna część niszy drzwiowej służyła jako spiżarnia. Resztę pomieszczenia zajmował stół i cztery składane krzesła. Na ścianie wisiały półki z naczyniami. Obok przyklejony był obrazek Matki Boskiej z Dzieciątkiem.

— No i wreszcie *viața sexuala!* Słuchasz mnie? — pyta myśliwy.

— *Aude* — odpowiadam. — Półki na naczynia, Matka Boska, *viața sexuala*. — W biały dzień musiał się męczyć z żoną, na podłodze w pokoju, na rozłożonej skórze dzika. Żeby zrobić więcej miejsca dla miłosnych igraszek, musieli za każdym razem wystawiać stół za drzwi, co było powodem wielkiej uciechy wśród sąsiadów, którzy zaraz wołali: „A ten znowu zabawia się ze swoją żoną. Cóż to za facet!”. Ale nie była to czysta przyjemność, przyznaje markotnie myśliwy. Żona nie umiała docenić jego zręczności. Gdy on męczył się z nią na dzikowej skórze, ona liczyła na suficie kropki po muchach i upominała:

„Tylko nie zapomnij kupić lepu na muchy”. Albo skarżyła się, że cena masła wzrosła.

— Takie są te Saksonki — skarży się myśliwy. — Gnuśne i niewdzięczne.

Teraz mój towarzysz rozgadał się na dobre. Chłopcę niewinność stracił w wieku szesnastu lat. Od tamtego czasu pożądały go kobiety różnych narodowości, raz nawet Rosjanka z pistoletem, grożąca mu bronią. Rozegrało się to późną porą w kwaterze głównej Sowietów w Mediaszu, w zarekwirowanej willi senatora Folbertha, dokąd 7 listopada, dla uczczenia Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej, kazano myśliwemu zanieść ustrzelonego zająca.

Najpierw kobieta o żołnierskich manierach, pełniąca obowiązki oficera dyżurnego, obwieszona pobrzękującymi orderami i medalami, wyrwała zająca z ręki zaskoczonego myśliwego, a potem zaczęła zdierać z niego ubranie. Części swego munduru rozrzucała na boki jak granaty ręczne. I zaraz była całkiem naga, gdyż nie nosiła wcale bielizny. Kilowymi piersiami i brzuchem pełnym najeżonych włosów natarła na mężczyznę, popychając go kolosalnym ciałem przez cały pokój. Zachwycona jego młodzieńczą postacią wykrzykiwała: „*Moj rumanskij giejroj! Mój rumuński bohater!*”

Na stojąco schwyciła go pod uda, usiadła na stołku przy pianinie i zaczęła kołysać się tam i z powrotem, aż myśliwy przestał widzieć i słyszeć cokolwiek. Rozbuchana kobieta klaskała nim o swe nieogarnione ciało lub okręcała się razem z nim na stołku jak w zapasach. Kiedy odchyliła się do tyłu, jej łokcie opadały na klawisze pianina. Instrument wydawał z siebie jęk. Pistoletem drażniła jego przyrodzenie, jeszcze raz i jeszcze raz, i tak bez końca. Groziła, że wysadzi mu genitalia w powietrze, jeśli jego gotowość miałyby się wyczerpać.

W pewnej chwili oślepiąca pożądaniem i rycząca z rozkoszy kobieta z pistoletem potknęła się o stojak do map i upadła na

podłogę. Na jej tyłku rozpostarła się mapa imperium sowieckiego. Pochłonął ją ten ogromny kraj. Upadek imperium okazał się ratunkiem dla młodego myśliwego: mógł uciec. Ubrania zostały na podłodze. Ale w ostatniej chwili złapał jeszcze za uszy zająca. Ze zmarzniętym tyłkiem i opróżnionymi do cna lędźwiami przebiegł obok posterunku, gdzie w nagim greckim bogu nie rozpoznano gościa, który niedawno wchodził. Nie pomógł nawet zając, którego myśliwy podstawił wartownikowi pod nos jak przepustkę. Mimo krzyków *Stoj! Stoj!* uciekinier się nie zatrzymał, biegł dalej zygzakiem, a kule gwizdały mu koło uszu. — Tobył piękny czas! — Nigdy więcej nie spotkał kobiety takiego kalibru.

A potem jednak po mnie przychodzą. Zaraz po kolacji, niezwykle wcześnie. Ledwie zdążyłem przełknąć ostatni kęs kapścianej papki, otwierają się drzwi i strażnik w ekspresowym tempie pędzi mnie po schodach.

Mój kapitan wraz z dwoma oficerami już na mnie czekają. Ich twarze, jakby woskowe, połyskują fioletowo w neonowym świetle. Czy to są ci sami dwaj co ostatnim razem, tego nie jestem w stanie dociec. Ich twarze? Czy mają jakieś cechy szczególne, zwracające uwagę, które by ich wyróżniały? Wąsy, złote zęby, farbowane brwi, brodawki? Albo zmęczenie wokół oczu, niepohamowane ziewanie, a może któremuś po ludzku się odbija? Nic nie dostrzegam.

Gdy znowu muszę ustawić się na baczność, moje spodnie obsuwają się na podłogę. Wreszcie mówią:

— Siadaj. Spodnie zostaw tam, gdzie są. U nas się przewietrzysz. — Zostawiam je tam, gdzie są. — Dlaczego tu śmierdzi środkiem na mole? — Panowie marszczą nosy. Milczę. Spryskano nas proszkiem naftalinowym. Od stóp do głów. A w okolicy krocza szczególnie intensywnie. Przeciwno pluskwom.

Jeszcze nie zdążyłem się przyzwycząić do jaskrawego światła, gdy od razu zaczynają:

— Kto ci powiedział, że kółko Töpfnera, Wielcy Sasi, chce się uzbroić? Uzbroić, by w razie konieczności zaatakować strategicznie ważne cele w Stalinstadt? Podnieś głowę! Patrz na nas!

— Nikt — odpowiadam — nikt. Pierwszy raz usłyszałem o tej absurdalnej sprawie tutaj. *Domnule maior* na początku dał mi do czytania notatki. Sporządzone przez niejakiego Folkmara, którego zresztą nigdy nie widziałem. Tam były takie historie.

— Podnieś wzrok, spójrz na nas! Kto ci to powiedział, zdradził pod przysięgą milczenia, szeptał ci do ucha, jak to zwykle robią spiskowcy? Tego chcemy się dowiedzieć. — Wszyscy trzej na mnie ujadają. Nie wiem, na kogo mam skierować wzrok. Dwóch stoi w pewnej odległości od siebie, *căpitan* Gavrioliu siedzi przy biurku.

— Wiemy kto, wiemy gdzie, wiemy wszystko. Chodzi o ciebie. Dziś w nocy wybije godzina prawdy. — Podchodzą do mnie i uderzają pięściami w mój stolik: — Godzina prawdy! — Odchylam się do tyłu, głową dotykam ściany. — Już dosyć pozwalaliśmy ci się wodzić za nos przez te cztery miesiące. Nasza cierpliwość się wyczerpała.

Mówi jeden, mówi drugi, mówią wszyscy trzej.

Zasłaniam twarz, ale oni odrywają moje ręce. Jeden z nich krzyczy:

— Wstań! Siadaj! Wstań! Twarzą do ściany! Ręce na kark! — Z trudem nadażam z wypełnianiem padających *stacato* rozkazów.

Drugi z oficerów stwierdza:

— Kiedy stąd wyjdiesz, będziesz nowym człowiekiem. Przecież tego chcesz: stać się człowiekiem nowego ustroju,

jak z książki. Ale taki jak ty musi się nauczyć bezwzględności w stosunku do siebie i swoich bliskich.

Teraz znowu pałeczkę przejmuje jego kolega:

— A ty, co ty robisz? Kryjesz kryminalne sprawy tych ciemnych typów. W prawdziwej walce o sprawę Sasów nic nie znaczy ojciec czy matka, żona, przyjaciel. Dzisiejszy przyjaciel jest jutrzejszym wrogiem, towarzysz u twojego boku to ukryty zdrajca. Z miłości do partii towarzysz musi zdławić w sobie wszelkie sentymenty, w razie potrzeby nawet być gotowym zabić swych najbliższych.

Kolejna zmiana.

— Nawet dla takich jak ty jest miejsce w naszym świecie. Mógłbyś zostać przywódcą Sasów! O ile nas nie okłamałeś, to znasz powieść *Piotr Pierwszy*. — Podarowałem tę książkę mojej siostrze na confirmację. — Napisał ją Aleksy Tołstoj, prawdziwy hrabia. Zerwał ze swoją przeszłością i stał się pisarzem socjalistycznym. Ty byłeś już na dobrej drodze. Ale tutaj opanowało cię drobnomieszczańskie współczucie. Kto nie jest z nami, jest przeciwko nam. Albo-albo! — Mają rację. Jeszcze jaką rację! Odkąd tu jestem, czuję wobec nich wyrzuty sumienia. Byłem na dobrej drodze. Rozmiękczyła mnie drobnomieszczańska mentalność.

Jeden z mężczyzn ścisza głos i podchodzi do mojego kąta, za plecami słyszę jego szept:

— Czytałem w jednej książce, że sowiecki bohater spuścił prochy swojej matki w WC, bo za życia zadawała się z białogwardzistą. To są prawdziwi komuniści!

To są prawdziwi komuniści... A jednak boję się ich słów. Wszystko wymawiają tak wyraźnie.

— Siadaj, wstań! Siadaj! Wstawaj! A teraz spójrz nam w oczy jak człowiek honoru. — Robię, co mi nakazali: siadam, wstaję. Ale nie patrzę im w oczy jak człowiek honoru.

— To było w nocnym pociągu. *Acceleratul Cluj* — *Orașul Stalin*. Staliście na korytarzu, ty i jeszcze jedna osoba. No i tak się gada o wszystkim, kiedy noc się dłuży. Wy, Sasi, jesteście jedną wielką rozplenioną rodziną, w której ciągle się papple i plotkuje.

Następny oficer podejmuje myśl:

— Z cyniczną otwartością tworzyście jedną wielką klikę spiskowców. To naprawdę genialne zagranie: my? My nie mamy nic do ukrycia! Towarzysz Stalin krótko się rozprawił z takimi jak wy. W mgnieniu oka Niemcy znad Wołgi zostali rozproszeni po całej Syberii. Macie szczęście, że ten wielki towarzysz już nie żyje.

Drugi dodaje:

— Nawet Wielcy Sasi... — ta nazwa z trudem przechodzi mu przez gardło — nawet Wielcy Sasi z tajnego stowarzyszenia Töpfnera nie potrafili utrzymać języka za zębami.

Poprzedni przerywa mu szybko:

— Gdzie i kiedy słyszałeś po raz pierwszy nazwę Wielcy Sasi?

— Tutaj — wyrywa mi się. — Po raz pierwszy i ostatni.

— Gdzie tu, bezczelny kłamco? Na dole w kiblu? W pomieszczeniu klubowym? Albo przy kawie w waszych pokojach? Przecież tu u nas żyjecie sobie jak w pensjonacie.

— Od pana majora.

— On znowu wszystko przekręca — włącza się kapitan. — Towarzysz major dał mu do przeczytania dzienniki z kręgu Töpfnera. Tam pojawia się ta nazwa.

Teraz wszyscy trzej krzyczą naraz:

— No gadaj wreszcie! Kto to był? Przypomnij sobie! Inaczej zarzucimy ci stryczek na szyję. — Naciskają: — *Repede, repede!* — Próbują pomagać: — To osoba, która jest ci bliska.

Staram się i wysilam, maltretuję swój mózg, stoję sztywno, jakbym był ołowianym żołnierzkiem. Jest środek kwietnia.

Na zewnątrz musi już być wiosna. Ale my w celi tego nie widzimy. A podczas nocnych przesłuchań rozległy kraj za oknem jest czarny.

Znowu warczą:

— Przecież to wiesz! W pociągu! Pod koniec listopada 1956 roku, kiedy zdławiliśmy powstanie na Węgrzech. Wiesz dobrze. Ale nie chcesz powiedzieć.

To prawda. Wiem. I już od dawna wiem, że o tym wiem. Ale ten plan wydawał mi się tak idiotyczny, że o nim zapomniałem: młodzi Sasi mieli się uczyć prowadzenia samochodu, taki plan rozważano w kręgu Töpfnera, żeby w razie czego umieli kierować czołgami. Zalecano zapisywanie się do sekcji strzeleckich klubów sportowych, by z bronią w ręku wystąpić przeciwko reżimowi; rozmyślano, jak zdobyć materiały wybuchowe, żeby wysadzić w powietrze fabrykę maszyn Czerwony Sztandar. Ktoś mi o tym opowiadał. W pociągu. Przerwałem wtedy temu chłopakowi. A może była to dziewczyna? „Mnie w to nie mieszajcie, nie chcę nawet słuchać o takich wariactwach”, broniłem się. A głośno mówię:

— Nie przypominam sobie.

Jeden z oficerów podchodzi całkiem blisko. Żaden z nich jeszcze mnie nie dotknął. Rozkazuje:

— Siadaj! Wstawaj! Siadaj! Twarz do ściany! Ręce na kark! Nie ruszaj się! — Mechanicznie wypełniając rozkazy, zastanawiam się intensywnie: kto to był? Drżenie karku rozchodzi się dalej, biegnie w dół po krzyżu. Spodnie płaczą mi się wokół kostek. Ze wstydu do oczu napływają mi łzy. Z rękami na karku muszę pozwolić im płynąć. Kroki tamtych stają się niecierpliwe, ton coraz ostrzejszy: — Kto to był? Gadasz wreszcie? *Acceleratui de noapte*. — Nie dają mi spokoju.

W pociągu pośpiesznym... Obraz przed moimi oczami nabiera konturów. Na korytarzu staliśmy oparci o okno, było

wilgotne i zimne. Ale kim była ta druga osoba, kto stał obok mnie? Kto, kto, kto?

— Nie wiem — mówię bezradnie. Omal nie poprosiłem: pomóżcie mi!

— Siadaj! Wstawaj! Siadaj! Nie ruszaj się! Zostaw spodnie tam, gdzie są. Wytrząśniemy ci to nazwisko z dupy, z jaj, jeśli głowa ci nie pomoże. — Ledwie siadłem, już jeden z nich krzyczy: — Wstawaj, ty leniu śmierdzący! Ręce na kark!

Nagle za moimi plecami robi się cicho. Żadnych głosów, żadnych szmerów. Teraz rzucą się na mnie! Zimny pot występuje mi pod pachami, powoli spływa po skórze w dół, do łędźwi, nieprzyjemnie łaskocząc. Ściana przede mną gaśnie.

Jakaś ręka potrząsa mną brutalnie:

— Tutaj się nie leniuchuje! — Otwieram oczy. Półnagi siedzę na podłodze w swoim kącie. — Siadaj na dupie! Musimy wreszcie z tym skończyć. Kto to był?

Kto to był? Kto szeptał do mnie w pociągu, jesienią półtora roku temu, wkrótce po stłumieniu powstania na Węgrzech? U nas w kraju nikt nie miał odwagi mówić głośno. Wszyscy tylko szepotali.

Teraz, teraz widzę spowitą cieniem postać w pociągu.

Kiedy ten ktoś obok mnie zaczął szeptać, spojrzałem szybko, czy oficer artylerii, stojący z papierosem na korytarzu przy oknie kilka kroków dalej, nie nadstawia uszu. Chwiejnym krokiem przeszła koło nas jakaś kobieta. Szła do ubikacji, jej kolczyki podzwaniały. Ciało miała tak wzdęte, że przycisnęła nas do ściany, choć już przedtem powciągnęliśmy brzuchy. To było koło Blasendorfu. Gdy szła z powrotem, mijaliśmy właśnie Schässburg. Siedziała tam przez kilkadziesiąt kilometrów. Po wypróżnieniu wyraźnie jej ulżyło. Teraz ledwie musnęła nas swoim lodenowym płaszczem.

Trzech mężczyzn oblega mój stolik.

— Gadaj! Gadaj! *Vorbește, vorbește!* — Wywijam się, drapię pamięć do krwi, nieostra postać z pociągu nadal nie ma twarzy. — Powiemy ci, a potem wszyscy pójdziemy spać.

Przerwa.

— No, a teraz koniec na dzisiaj. To jest to nazwisko, które bardzo dobrze znasz...

Ale zanim oni zdążą je wypowiedzieć, pytam przerażony:

— Czy to był mój brat? Kurt Feliks?

Uśmiechają się, mówią bełkotliwie:

— No właśnie. Twój brat, *fratele* Feliks!

— Nigdy w życiu, nie i jeszcze raz nie — wzdrygam się — to nie mógł być mój brat. Jesienią 1956 roku miał operację ślepej kiszki. Ale na pewno słyszałem to w pociągu. I wtedy, ale od kogoś innego. — Za późno!

— To był twój brat. Ślepa kiszka? Zeskakujesz ze stołu operacyjnego i zaraz możesz się przechadzać. — Zalewają mnie potokami wymowy, siedzimy twarzą w twarz, czuję drobinki ich śliny, ich oddechy dymią, języki pokrywają się pianą. — Nie chcesz tego przyznać, bo to twój brat.

— Niczego nie muszę przyznawać. On jest moim bratem!

— *Sigur, sigur!* Ale właśnie zeznałeś, że ktoś ci o tym szepotał. Któż by inny, jeśli nie kochany Feliks, *dragul de* Feliks! Uciekł z domu, z Fogaraszu, a ten Töpfner załatwił mu pracę odlewnika w kombinacie Czerwony Sztandar, tu w Stalinstadt. I tamtego lata zaferował mu też mieszkanie, właśnie w tym pokoju, w którym co srode spotykali się *conspiratori*. A może kłamiemy?

Nie, nie kłamię. To musiał być on.

I nagle obraz się rozjaśnia. To on! Bezimienna postać z pociągu otrzymuje twarz. Rozpoznaję ją dokładnie: twarz mojego brata. Tak blisko jak wtedy, kiedy się biliśmy, on leżał przede mną, w rękach trzymał swoje buty, którymi w bezsilnej złości próbował mnie uderzyć.

To on szeptał mi te niebezpieczne wiadomości. Czubek jego długiego, szlachetnie ukształtowanego nosa kołysał się, jak zawsze, gdy opowiadał coś zabawnego. Zaraz mu przerwałem: „Milcz!”. Jego twarz wykrzywiła się, nabrała tego wyrazu złości, jaki pojawiał się na niej, kiedy wydawało mu się, że traktuję go jak dziecko. Tylko on jeden z mojego otoczenia wiedział o planach Töpfnera.

— *Este fratele meu* — mówię niemal z ulgą.

— No proszę — cieszą się trzej panowie, odsuwają krzesła, likwidują blokadę. — Musisz tylko podpisać i protokół będzie gotowy. — Obejmuje zaledwie jedną stronę. A więc wystarczy jeden podpis, który składam drżącymi palcami. I na ich polecenie uzupełniam o frazę: Przez nikogo niezmuszany mówiłem prawdę i tylko prawdę. Tak jest!

— A teraz jeszcze jedno pytanie, dla sprawdzenia twojej prawdomówności. Powiedz nam, powiedz nam wszystko, co wiesz o... — jeden z oficerów wertuje czarny zeszyt na biurku — na przykład o tej osobie, o Melanii Julii Ingeburg Konst... Knobloch. Co knuła przeciwko naszemu ustrojowi, czym się zajmuje. Bywasz przecież w tym domu.

— Jest lojalną obywatelką ludowej republiki, zajmuje się prawami człowieka — odpowiadam mechanicznie.

— Kocia królowa i prawa człowieka? Jest rojalistką, buntowniczką i starą wariatką. *S-o ia dracu!* — Śmieją się. Śmieją się tak, że mogą tym śmiechem napędzić stracha.

Za oknem szarzeje poranek. Czy już jest jasno? „Jasno jest, kiedy w obcej twarzy rozpoznasz brata”. Tak jasno nie jest.

I nagle wszystko tonie w polarnym świetle. Trzęsę się z zima. Zdecydowanym ruchem podciągam spodnie, obcieram łzy i pot, siadam przy swoim stoliku. Nikt mnie nie zatrzymuje. Trzej panowie rozsiadają się w miękkich fotelach. Każą sobie przynieść kawę. Jeden z nich kiwa na kelnerkę, która stawia przede mną maleńką filiżankę, granatową, z księżycem

i gwiazdami złotego koloru, jak z kredensu babci... Pijemy kawę. Jej zapach ma w sobie coś melancholijnego. Kawiarniany nastrój w Fogaraszu, w znanej cukierni Embachera. Embacher, dostawca dworu; królewski herb zdobił każdą pralinę. Elegancki strój dziewczyny z Securitate, która przynosi kawę do mojego kąta, dobrze by tam pasował. Przytulne kąciaki z fotelami, dużo gości, gwar pozdrowień i rozmów, jak to zwykle w małym miasteczku.

Mój kapitan rozwija pralinę. Paznokciem kciuka wygładza fioletowy staniol. I objaśnia swym kolegom herb królestwa Rumunii: płaszcz z czerwonego aksamitu, podbity w środku gronostajami, zwieńczony żelazną koroną, wykutą ze zdobyczej tureckiej armaty. Dwa lwy z wyciągniętymi językami i podniesionymi ogonami trzymają tarczę. Z łapy do łapy wije się błękitna jedwabna wstęga z napisem: *Nihil sine Deo*. Na wstędze wisi Order Świętego Michała. Tarcza zawiera herby pięciu historycznych krain, po 1918 roku rumuńskich prowincji: Wołoszczyzny, Mołdawii, Banatu, Dobrudży, a w lewym dolnym rogu tradycyjne godło Transylwanii, na którym występują tylko trzy narody: Szeklerzy ze słońcem i księżycem — jako naród przygraniczny, dzień i noc na straży, Węgrzy z orłem, który nie może wzbić się w niebo, i my, Sasi, z naszymi siedmioma twierdzami. Nie ma żadnej wzmianki heraldycznej o Rumunach, narodzie najliczniejszym.

Kapitan cmoka i zwraca się do pozostałych oficerów:

— Towarzysze, heraldyka to szlachetna nauka, naprawdę bardzo wytworna sztuka. Spójrzcie, oto tarcza w kształcie serca, herb rodziny panującej Hohenzollern-Sigmaringen. — Pan Gavrioiu odwraca się do mnie i dopomina się, żebym potwierdził jego słowa. — To przecież wasz herb? — I objaśnia swoim towarzyszom: — *Transilvania* nazywa się u Sasów Siedmiogrodem. — Potem wyciąga słuszny wniosek i wypowiada go po niemiecku: — Siedmiogród pochodzi od siedmiu grodów

warownych. — Życzy sobie, abym je wyliczył. Właśnie chcę odpowiedzieć, że tego nikt na pewno nie wie, ale w tej chwili lodowate światło nade mną gaśnie. Robi się ciemno.

Nie wiem, jak wróciłem do celi.

Spałem jak umarły. Pozwolili mi spać. Kiedy obudziłem się późnym popołudniem, przypomniałem sobie, jak się wszystko rozegrało. To nie mój brat, ale Michel Seifert-Basarabeau opowiedział mi tamte bzdury. I nie w pociągu, ale na mojej studenckiej kwaterze. Wyśmiewałem się z niego, kiedy najpierw rozglądał się po pokoju jak detektyw, zajrzał pod łóżko, za szafy i zaciągnął zasłony. A ja zaraz mu przerwałem: „Milcz! Nie chcę tego słuchać”.

Odwołuję moje zeznanie. Ciągłe na nowo. Za późno.

Wieczór. Siedzę w swoim kącie i rozmyślam. Brat, brat... Myśliwy niemal ubawiony opowiada, jak mnie przywleczono z powrotem dziś rano. Dwaj strażnicy, wśród przekleństw i pośtekiwań, zwalili mnie na łóżko jak worek cementu. Nie wydałem żadnego dźwięku, leżałem jak bez życia. Nieprzytomny? Śpiący? Szokujące było, że brzuch i lędźwie miałem obnażone. Strażnicy byle jak rzucili na mnie buty, skarpety i spodnie, nie zakrywając nawet mojej nagości.

— Pozwól mu spać — burknął oficer, który towarzyszył całej procesji.

Myśliwemu nic innego nie przyszło do głowy, jak tylko że mnie torturowano. Zbadał mnie umiejętnie, jak człowiek lasu, i ku swemu zaskoczeniu stwierdził: żadnych zadrapań, żadnych siniaków, skóra chłodna, nie tylko na czubku nosa, ale także okolica odbytu, a nawet *bãrbãtje*, męskość, wszystko wyziębione. Zimny pot pod pachami. Nie mógł się doczekać, kiedy się obudzę. Do szaleństwa doprowadzał go strażnik, który co chwilę otwierał klapę, by się dowiedzieć o mój stan.

Tym razem nie jestem w stanie odmalować przed myślącym obrazu minionej nocy. Pogrążam się w milczeniu.

To był sierpniowy wieczór 1955 roku, kiedy po uroczystej rodzinnej kolacji w szturzym zamku pobiłem się z bratem. Wyjątkowy posiłek odbywał się dla uczczenia faktu, że cała nasza szóstka zebrała się w domu. Nawet na wakacjach nieczęsto się to zdarzało.

Po południu matka skorzystała z okazji i zaciągnęła nas do fotografa. Każdy miał na sobie najlepsze ubranie: ja byłem w zaręczynowym garniturze ojca, Kurt Feliks w zaręczynowym garniturze dziadka, Uwe, z głową ogoloną na łyso, bo niedawno na obozie pionierskim pomylił nowy hymn z hymnem królewskim, w moim garniturze maturalnym, nasza siostrzyczka w barchanowej sukience, którą zostawiła u nas jakaś służąca. Matka uśmiechała się jak Marylin Monroe, nawet ojciec, który musiał zasłaniać spuchnięty policzek, też się uśmiechał — na swój sposób.

Dla uczczenia tego dnia zamiast *palukes* były „dachówki” maczane w oliwie. Była to specjalność ojca: kromki chleba nacierał obficie czosnkiem i po obu stronach smarował lekko smalcem. Potem wkładał je do piekarnika. Na drugie danie naleśniki. Kurt Feliks rozrobił ciasto z jaj, mąki i wody zamiast mleka, potem smażył je na patelni z rączką. Tak umiejętnie podrzucał do góry na pół surowy placek, że ten obracał się w powietrzu i nieusmażoną stroną lądował z powrotem na patelni. Nagradzaliśmy go oklaskami.

Do stołu nakryliśmy pod drzewem morwowym. Siostra przyozdobiła odświętnie jego gałęzie, zawiesiła na nich mośiężnego anioła i zdjęcie ojczulka Stalina, na którym właśnie zapalał fajkę.

Na ciasnym podwórku była jeszcze ubikacja i chlew. Ten ostatni ojciec zbudował według wszelkich reguł mieszczańskiej

sztuki budowlanej: pokój dzienny, sypialnia, jadalnia, ustęp, przy czym świnie często myliły jedno z drugim. Ale ojciec skrupulatnie pilnował czystości. Świnie czuły się więc pewnie trochę nieswojo, co zauważaliśmy, kiedy na polecenie ojca czasami musieliśmy sprzątać chlew. Każdego wieczoru brał latarnię, siadał na stołku przy chlewie i rozmawiał ze świniami. Po sasku. Ze zwierzętami domowymi i służbą mówiło się dialektem. Służby już nie było. Zniknęła razem z panami. Zostały świnie.

Wreszcie wszyscy byliśmy w domu i razem przy stole. Rodzice przedtem przeprowadzili rozmowę o finansach.

— Gdzie znów podziały się pieniądze, Gertrud?

— To ja cię pytam, Feliksie: co się stało z twoją wypłatą?

— Przecież wiesz, kupiłem karmę dla świń.

— Za wszystkie pieniądze? A dzieci? A ja?

— Te świnie są przecież dla dzieci. Po co ja się tak męczę? Dwie na sprzedaż, żeby chłopcy mogli studiować, a my kupić sobie nieco opału na zimę, trzecia dla nas do zjedzenia. Przecież wiesz, przy Altbach uprawiam kawałek ziemi. Codziennie idę tam prosto z biura i haruję, aż dudni. W przyszłym roku będzie plon.

— Dobrze, Feliksie, wiem, ale to nam nie wystarczy.

— Chcesz, żebym zaczął kraść? Już nie wiem, co mam robić, żebyśmy mogli jako tako przeżyć. Czy któryś z chłopców mi pomaga? Trzech wyrosniętych obiboków... Noszą moje spodnie, zabierają mi skarpetki, moje koszule, bieliznę, chodzą w moich butach. Ale czy któryś z nich pomyślał, żeby mi pomóc? Wywiozłem sto dwadzieścia taczek kamieni, przeladowałem całe fury żwiru. I rozrzuciłem kosze żyznej ziemi. A jeszcze trzeba radlić! Oni nawet nie wiedzą, co to słowo znaczy. Zajmują się tylko swoimi figlami. I ciągle by jeździli na rowerach. To się jeszcze źle skończy!

— Mówisz, jakbyś chciał wywołać wilka z lasu, Feliksie. To potrafisz najlepiej. Narzekać na chłopców. Dlatego ciągle uciekają z domu, u obcych ludzi czują się lepiej.

— A co wy wiecie? W wieku osiemnastu lat miałem za sobą jedenaście bitew nad Isonzo.

— Każdego lata chłopcy zarabiają własne pieniądze. Pomagają na budowach, bielał stajnie, kopią torf, pasą bydło.

— No właśnie. A ty co im wkładasz do kanapek, Gertrud? Najlepsze kąski ze świni.

Cały posiłek przebiegał w spokojnej atmosferze. Każdy starał się, jak mógł. Delikatny wieczorny wietrzyk, który złagodził przygniatający upał dnia, dawał możliwość wymiany myśli, nawet pochwał czy wyrazów uznania. Drzewo morwo-
we także się przyłączyło. Coś spadło z góry na stół.

— Gąsienica! — krzyknęła siostrzyczka i upuściła kawałek chleba.

— Ależ skąd — powiedział Uwe — to morwa. — Nadział niebieskawy, podobny do robaczka owoc na widelec, włożył sobie do ust i połknął, choć przez chwilę wyglądał, jakby się przy tym wzdrygnął. Wszystko dla spokoju w rodzinie.

Ledwie zdążyliśmy wytrzeć talerze, ojciec powiedział „dziękujemy za posiłek” i wszyscy się rozbiegli. Matka zdążyła jeszcze dać każdemu z nas po jakiejś rzeczy ze stołu, żebyśmy odnieśli je do domu.

Kiedy wszedłem do przedpokoju z tacą pełną naczyń, zderyżłem się z bratem Kurtem Feliksem. Wściekły pokazał mi swoje nowe buty.

— Tata rzucił swoje robocze buciory na moje nowiutkie buty! — Zamachnął się i cisnął oblepione błotem gumofilce ojca na podwórko. — Moje romarty! Kosztowały mnie majątek. Całe wakacje musiałem na nie pracować. Twój ojciec wcale tego nie docenia! — Mówił zwykle „twój ojciec”, kiedy nie chciał zaliczać się do rodziny. Z gniewu jego oczy lśniły

niebiesko. Nałożył buty na zwinięte dłonie, jak rękawice bok-serskie. — Twój ojciec jest zawsze przeciwko mnie, choćbym się najbardziej starał...

— Uspokój się, taki piękny wieczór, przestań się wściekać, może to wcale nie był on, nie psuj nam nastroju. — Jednak nic nie pomogło, nie dało się go powstrzymać. Gdyby teraz zaskoczył nas ojciec, mogłoby to źle się skończyć. Przemocą wepchnąłem go do pokoju dziennego. — Milcz — wysyczałem. Niechcący przewróciłem go przy tym. Tyłem głowy uderzył w worki pełne śruty dla świń, które stały oparte o regał z książkami. Z półek posypały się na nas tomy. Klęczałem na klatce piersiowej brata, jedną ręką broniłem się przed jego ciosami, drugą zasłaniałem mu usta, przed oczami miałem *Wymarzone dziecko* Iny Seidel i *Afrkańskie gry* Jüngera.

Za późno. Pojawił się ojciec.

— Oczywiście znowu ten chłopak! — I chciał mnie odepchnąć na bok. Gdy mu się to nie udało, schwycił ilustrowaną Biblię, próbując nade mną dosięgnąć Kurta Feliaksa. Starałem się równocześnie utrzymać brata na podłodze i okiełznać szalejącego za moimi plecami ojca. Tymczasem do pokoju wpadła matka i bez słowa osunęła się na sofę. Uwe i siostrzyczka uzupełnili skład publiczności.

— Wynoście się — krzyknąłem — to sprawa między mężczyznami!

Ojciec, któremu nie udawało się dosięgnąć brata, wrzeszczał na matkę:

— To twoje wychowanie, Gertrud! — Choć ona milczała, grzmiał: — Ani słowa! — I gdy milczała dalej, krzyczał jeszcze: — Nie ruszaj się, Gertrud, zabraniam ci drzeć!

Brat ustąpił pola. Jeszcze tej samej nocy wyszedł z domu, szczęką miał obłożoną zakwaszoną glinką. Opatrunek zrobiła mu siostra.

Na początku Kurt Feliks mieszkał razem z robotnikami budowlanymi w piwnicy niewykończonego bloku mieszkalnego w pobliżu dworca w Fogaraszu. Matka i ja odwiedziliśmy go w niedzielę około jedenastej. Chciałem go przeprosić. Wizyta trwała zaledwie kwadrans.

Piwnica była pełna dymu papierosowego. Prawie nie można było dostrzec umeblowania. Składało się głównie z piętrowych żelaznych łóżek. Przewrócone taczki na środku sali służyły za stół. Na nim mężczyźni grali w karty, klęcząc na betonowej posadzce. Krzesel nie było. Kiedy weszliśmy, zdusili papierosy i bez słowa opuścili pomieszczenie.

Kurt Feliks jeszcze leżał. Był w piżamie. Na krawędzi łóżka siedziało dwóch małych uliczników o brudnych stopach i błyszczących oczach, których mój brat karmił herbatnikami. Kiedy nas rozpoznał, uprzejmie podniósł się w łóżku. Siennik zaszeleścił.

— Usiądźcie! — powiedział z pańskim gestem. Ale gdzie? Dzieci siedziały dalej z otwartymi ustami o łapczywych wargach. — Zróbcie miejsce — polecił chłopcom. Nie ruszyli się jednak.

Staliśmy. Rozmowa zamierała co chwilę. Dym i zapach niewietrzonej pościeli bardzo męczyły matkę. Rozglądaliśmy się na boki. W nogach łóżka stała walizka z jego rzeczami, utrzymanymi w nienagannym porządku. — On jest po prostu pedantem — powiedziała potem matka. — Ma to po moim ojcu. — Brat dalej wtykał kawałki herbatników *petit beurre*, zanurzanych w powidłach śliwkowych, w usta cygańskich dzieci. Matka postawiła mu obok poduszki słoik kompotu jabłkowego i ciasto z kruszonką. Podziękował uprzejmie. Poszliśmy. Kurt Feliks nie wyprowadził nas po schodach na światło dzienne. Położył się z powrotem, splótł ręce na karku i zaczął gapić się w sufit.

Codziennie w południe przychodził do szczyrzego zamku, gdzie w tajemnicy przed matką dokarmiała go nasza siostrzyczka.

Kiedy wyjechał do Kronstadt, wpadł od razu w ramiona Petera Töpfnera. Pojechał o jeden przystanek za daleko. „Chodź do mnie — powiedział kolega — oszczędź swoją ciotkę. Mają ciasno jak króliki w klatce. Możesz u mnie mieszkać. Załatwię ci posadę. A ojca, chwała Bogu, nie mam”.

Od Töpfnera wyprowadził się po kilku miesiącach, kiedy do tamtego zaczęła przychodzić dziewczyna, która była też dziewczyną mojego brata.

Potem w ogrodzie Deixlerów, pod oknami nowej damy swego serca, Gerhild, studentki konserwatorium, zbudował sobie chatkę z desek. Małeńki barak, w którym na leżąco mieściło się zaledwie półtorej osoby. Lub para zakochanych. Przeżywali idylliczne noce, kiedy rodzice Gerhild byli na urlopie: dziewczyna stała przy oknie i grała mu na skrzypkach swoje ulubione utwory, rumuńskie tańce w szaleńczym tempie lub rozwlekłe romanse. I zawsze *Dwie gitary nad morzem*, którą to piosenkę znaleźliśmy dzięki naszej matce. Kiedy od tej muzyki koty ciotki Melanii dostały melancholii, ta zeszła ze swojej mansardy na dół i nie myśląc wiele, podpaliła fidybusem chatkę z desek i kartonów. — Wreszcie trochę nastrojów Nerona! — Nad głowami zakochanych, którzy najspokojniej w świecie spali, zaczęło się palić. Mój brat z trudem zdołał uratować swój skromny dobytek. Gerhild uszła jedynie z życiem. A stara dama w szarpanej wiatrem koszuli nocnej, otoczona płomieniami, jasno wyraziła swoje zdanie: — Nasza Gerhild jest jeszcze za młoda na brudne sprawy nocy.

Następnego ranka, o wpół do piątej, mój brat pukaniem wywołał mnie z domu Annemarie Schönmund, miał spalone brwi i osmaloną twarz. Matka Annemarie właśnie poszła do fabryki. Ona sama spała. Brat zawołał do mnie: — Co to

znaczy: *Timor domini initium sapientiae*? — Były to słowa, które otoczona płomieniami ciotka posłała za nim, kiedy wielkimi susami uciekał z ogrodu, pozostawiając po sobie kupkę popiołu.

Siedzieliśmy pod obcą bramą, w blasku wiecznej lampki z przydrożnego krzyża, która rzucała ku nam swoje rubinowe światło, i czuliśmy się jak bezdomni. Jak mogłem mu pomóc, ja, sam tolerowany jako gość w łóżku stojącym w kuchni? I powiedzieliśmy sobie po raz kolejny, że nie mamy już domu, odkąd tamtej listopadowej nocy wyrzucono nas z domu z kamiennymi lwami.

Gdzie miał się podziąć mój brat? Zawsze w drodze, nigdzie u siebie. Nie chciał mieszkać u babci w Tannenau. Kurt Feliks rzucił kiedyś wujkowi Fritzowi w twarz, że jest wasserpolakiem, człowiekiem wynarodowionym i bez kręgosłupa moralnego. Co nie było prawdą: kiedy w lecie 1944 roku oddziały niemieckie wycofały się, wujek zapisał się do Klubu Czeskiego, a przedtem zrobił to, co zrobili wszyscy porządni Niemcy w Kronstadt i całej Rumunii: portret Hitlera dali wędrownemu Cyganowi, wrzucili do ustępu lub ukryli w piwnicy — na razie. Od tego czasu spacerował po Tannenau z kokardą w czeskich barwach w klapie. Czyli określenie wasserpolak było nie na miejscu, przez co dla brata nie było miejsca u wujka Dworaka, ciotki Mały i Griso.

Kurt Feliks wstał, żeby dokonać porannej toalety pod pompą przy bramie. Z kieszeni spodni wyjął szczoteczkę do zębów, w plecaku miał mydło i przybory do golenia. Pompowałem wodę cienkim strumyczkiem, a on zmywał z siebie ślady nocy. Potem zarzucił plecak na ramię i rozkołysanym krokiem odszedł ulicą w dół. Zanim zniknął mi z oczu, zawołałem jeszcze:

— Przyślij mi wiadomość, gdzie się zatrzymałeś!

Wróciłem do domu, wkradłem się do pokoju i wśliznąłem się do łóżka do Annemarie. Wymruczała coś, zapytała:

— Co się stało?

— *Timor domini initium sapientiae* — odpowiedziałem.

— To są grzyby trujące — powiedziała przez sen Annemarie. Uliczką obok domu przemykały robotnice śpieszące do fabryki. Ale my byliśmy studentami i mieliśmy wakacje.

18

Na dnie rozpaczy — cóż za dziwny zwrot. Co byłoby tu przeciwieństwem? Wzlatujący pod niebiosa? Siedzę w celi na cementowej podłodze, która wrze, i czekam, aż po mnie przyjdą.

Podczas każdego przesłuchania powtarzam z uporem, żeby wykreślono zeznanie o moim bracie. Ostatnio w dzień dołączył jeszcze jakiś podporucznik. Myśliwy go zna. Nazywa się Scaiete. Mniej wymuskany niż kapitan Gavriloiu. Ma też zakłócony stosunek do dopełniacza.

Oni jednak nie drą tamtej kartki na moich oczach; chcą wiedzieć, skąd miałem te informacje.

— Wiesz o tej sprawie, to zeznałeś. Od kogo więc? — I dalej wyciągają wnioski: — Kto wie o spiskowcach Töpfnera, ten musi do nich należeć. A więc należysz do nich. Tak samo jak należysz do kółka w Klausenburgu. Dowiedzione zostało, że jest to organizacja kryminalna. Czyż nie? Raz jesteś bandytą, a innym razem rewolucjonistą. Jesteś oszustem, a równocześnie człowiekiem honoru. Co na to powiesz?

O ile na początku jeszcze gorąco zapewniałem ich: „To pomyłka, nie jesteśmy organizacją konspiracyjną, to absurd, żeby porównywać nas z budapeszteńskim kołem Petöfięgo!”, teraz mój głos staje się ostry, powtarzam tylko mechanicznie:

— To nieprawda, tak nie było!

U studenta historii, Notgera Nussbeckera, który pełnił funkcję naszego sekretarza i specjalizował się w archeologii i paleogeografii, znaleźli kartotekę z nazwiskami i danymi wszystkich członków, spisaną cyrylicą. Nie dość tego. Oficerowie rozkładają przede mną na stole cztery zeszyty jego dzienników. Nie czytam ich. Z zawstydzenia. Również z powodu alfabetu, ale wiem też, o czym on tam pisał: o nieodwzajemnionej miłości do swojej kuzynki Emilii.

— W ten sposób Nussbecker okazuje się kluczową postacią waszego tajnego stowarzyszenia.

— On nie skrzywdziłby nawet muchy, żyje w czasach prahistorycznych, nawet nie ma pojęcia, jaki jest dzisiaj dzień. A używał cyrylicy, żeby się ćwiczyć w staro-cerkiewno-słowiańskim.

— Bardzo szlachetnie! Chcesz osłaniać wszystkich. Jakbyś był saskim Panem Bogiem. Ale widzisz, wasz Pan Bóg ma was gdzieś.

— Właśnie — odpowiadam. — Dlatego ja nie jestem Panem Bogiem.

Następnej nocy kapitan Gavriloiu zasypuje mnie kaskadą nazwisk: Achim Bierstock, Notger Nussbecker, Gunther Reisenfels, Armgard Deixler, Paula Mathäi, Theobald Wortmann. Co mogę powiedzieć o ich antypaństwowych knowaniach. Skóra na głowie mi płonie, więc decyduję się na bicie po twarzy.

— Wszyscy są młodymi komunistami.

I gdy jeden z nich bije mnie raz za razem, odczuwam pod gradem uderzeń dawną bliskość moich przyjaciół; w pulsującym bólu czuję pojawiającą się nagle falę szczęścia, ciepło skóry Armgard, jak wtedy, gdy poprowadziła moje palce do ukrytych miejsc swego ciała. Ale człowiek nocy jest zmęczony. Odpuszcza mi ostatni policzek. Poziewując, klaszcze w dłonie

i każe mnie odprowadzić. Wymienił wszystkich, myślę, którzy pomagali wtedy Deixlerom — oprócz Annemarie.

Pokazują mi list, którego nadawcą jest Vintilă Săvescu, bukareszteński przyjaciel z kółka, do którego Annemarie najpierw wprowadziła Putera. Vintilă pisze, że 12 listopada w pociągu z Kronstadt do Bukaresztu spotkał doktora Putera i że świetnie im się rozmawiało o zjednoczonej Europie. Podporucznik Scaiete zauważa z obrzydzeniem:

— Ten gad wszędzie rozłożył swoje macki, ten groźny agent imperializmu.

Odzywam się:

— Celem historii świata jest zjednoczona socjalistyczna Europa.

— Ale nie pod hegemonią Ameryki.

— Jak twierdzi Marks, Ameryka, kraj wybitnie kapitalistyczny, może upaść pierwsza. I przejdzie na socjalizm jeszcze przed Europą.

— Czy to możliwe? — podporucznik zwraca się z pytaniem do kapitana.

— Wtedy my już nie będziemy żyć! — I ostro mnie upomina: — Nie jesteś tu po to, żeby nas pouczać! — Ale mnie nie bije.

Gdybym złożył zeznanie, że byłem skrzynką kontaktową Enzia Putera, wtedy w łańcuchu dowodów nie brakowałoby żadnego ogniwa. Ale nie tym mnie teraz zamęczają.

— Dosyć się naczytałeś kryminałów, nocą w łóżku, z latarką pod kołdrą — wiedzą to z moich dzienników, które prowadzę od dzieciństwa — więc wiesz, że twoich studentów można skazać na podstawie zeznań świadków. Bez problemu będą się nawzajem denuncjować. Sasi zawsze byli tchórzami. Nie potrzebujemy przyznania się do winy. Ale ty poprawiłbyś swoje położenie. — Szydzą: — Potem będziecie sobie mogli odprawiać te swoje wieczorki, posiedzenia literackie, całe

to postępowe zawracanie głowy, i te wasze reakcyjne chóry kościelne i oratoria, w obozie Periprava w delcie Dunaju, przez resztę życia. Chcieliście jedną dupą zatańczyć na dwóch weselach.

Następnego dnia, bo teraz nocami dają mi spokój, wyciągają kolejnego asa z rękawa:

— Mamy wypowiedź twojej Annemarie. Oświadcza — kapitan Gavriolou wymachuje kartką papieru z jej charakterem pisma — że Enzo Puter zwerbował cię jako agenta w Klausenburgu.

— Nie było jej przy tamtej rozmowie w nocy.

— Słuchała przez szybę w drzwiach z kuchni do pokoju. A może zaprzeczysz, że są tam przeszklone drzwi? — Nie zaprzeczam, że tam są przeszklone drzwi. — Czyli znowu nas wpuściłeś w maliny: w nocy z 11 na 12 listopada 1956 nie rozmawiałeś z tym zachodniemieckim szpiegiem o waszych sprawach uczuciowych, tylko knuliście niebezpieczne plany. Musiało chodzić o wielkie rzeczy, żeby szaleńczo zakochana kobieta zechciała zrezygnować z ostatniej nocy z ukochanym, ostatniej na długo, a może na zawsze! Dalej: już samo twoje zaprzeczanie, że wiedziałeś o zamiarach bandy Töpfnera, tej drugiej po Bukareszcie filii zachodniej agentury, jest wystarczającym świadectwem o charakterze kółka klausenburskiego. — Co mam na to do powiedzenia? Nie mam nic do powiedzenia.

Elisa Kroner? Jej listy... Nie chcę tutaj brać ich do ręki. Obaj panowie nie mogą sobie darować kilku złośliwości:

— Spotykają się przecież codziennie, a piszą do siebie co drugi dzień listy *dela Cluj la Cluj*. A jakie głupoty wypisuje ta kobieta: że nie należy przyglądać się kwiatom, gdy otwierają płatki. Albo: mówienie prawdy może być sprawką diabła. *La dracu!* Jeśli prawda to diabelska sprawa, kłamstwo musi być święte. Czy to słuszny wniosek, towarzyszu pod-

poruczniku? — Zwraca się do mnie: — Kiedy czytałeś *W stalowych burzach*? — Poprzedniego lata, przypominam sobie. I odpowiadam:

— Zanim weszli Rosjanie. — Patrzą na mnie bez słowa.

Prowadzę z Elisą Kroner niekończące się rozmowy, skierowane w pustkę lub do jednej z cel obok. Przeplatane piekielnymi wizjami. Widzę, jak jej alabastrowa skóra schodzi płatami pod prażącym słońcem naddunajskich stepów, gdzie haruje na państwowych plantacjach, jak nadzorca dźga lufą karabinu jej pasiasty fartuch albo uderza łańcuchem od roweru, bo w burczanym polu przeoczyła oset. Raz po raz przesuwa mi się przed oczami. Naga. Major Vinereanu papierosem wypala jej wzory na skórze — to jego ulubione zajęcie — nad lewą pierśią serce przebite strzałą, jakie zakochani rzeźbią na pniach drzew. Przypomina mi się, że żar papierosa ma temperaturę powierzchni słońca. Dlatego szłocha w sąsiedniej celi! Czasami papierosem myśliwego piszę na kocu jej imię. I czepiam się faktu, że samogłoski w słowie Elisa są takie same jak w moim imieniu. Może to chroni nas oboje? Ale już w to nie wierzę.

1 Maja, międzynarodowe święto pracy, w tym roku przypada we czwartek. Następnny dzień jest oficjalnie wolny. Może to będzie chwila oddechu. Dni świąteczne są czasem aresztowań. Wtedy lochy wypełniają się mężczyznami i kobietami, uczniami i dziewczętami. Myśliwy jest pełen oczekiwań: może dostaniemy kogoś nowego do celi, z najświeższymi nowinkami z miasta! Na obiad podają przez klapę świąteczny posiłek, słodkawe końskie mięso i szkliste kartofle. Na śniadanie zamiast *palukes* dostajemy kawałek chleba. Wieczorem strażnicy nakładają do blaszanych misek czubate porcje krup.

Czas pełza. Na korytarzu czasami słychać szuranie, przed południem, po południu, nawet w nocy, ale zawsze omija nasze drzwi. Myśliwy jest niepokieszony. Łapie myszy i topi

je w wiadrze z uryną. Nic się nie dzieje, więc wspina się na stolik w ścianie i przez otwór w drucianej siatce przeciska mysz na gzymś pod okienkiem. Uchwytem łyżki poszerzył oczko siatki, wepchnął w nie mysz, potem zatarł ślady. Teraz stuka zdecydowanie w drzwi:

— Tam na górze jest mysz!

Zwierzątko miota się, piszczy, boi się skoczyć w przepaść. Przychodzi oficer intendenty, dołącza się oficer dyżurny. Obaj przestępują z nogi na nogę.

— Jak to się stało? Przecież to ty jesteś myśliwym?

— Ale na dziki, a nie myszy — odpowiada z dumą. — Trzysta trzydzieści sześć dzików. Z czego pięć z towarzyszem Drăghicim, *Ministru de Interne*.

Oficerowie nie są w nastroju do wysłuchiwanie opowieści o polowaniach. Wychodzą z tupotem. Strażacy uwalniają mysz od zewnątrz.

Wreszcie, wczesnym popołudniem — po drugiej stronie murów przebrzmiały już wiwaty mas i ucichła muzyka marszowa — słychać szcęk rygli. Myśliwy nie może się opanować z ciekawości, kiedy ustawiamy się twarzami do ściany. Ale drzwi się zamykają i nikt nie rozkazuje: — Odwróć się! — Zamiast tego płaczliwy głos prosi, żebyśmy doradzili i pomogli. Głos należy do nerwowego smagłego strażnika, pseudonim Mysie Oczka. Czubek jego nosa ledwiesięga do kłapy. Czasami jak troskliwy ojciec rodziny ukrywa dwa kawałki szarego więziennego mydła nad drzwiami koło lampy.

Między łózkami stoi — któż to taki? — kręcąc z niezadowolaniem swą wspaniałą głową i rozglądając się rozgorączkowanymi oczami, z mordą ociekającą śluzem? Ni mniej, ni więcej, tylko jelen. Ulubieniec komendanta Crăciuna. Jest chory, szlachetne zwierzę cierpi na katar i sraczkę. Ostatnia jego szansa to myśliwy. W przeciwnym razie „szef” wyżyje się na strażniku. Jego ciemne oczy toczą się z przestraczem

z jednej strony na drugą. Ale myśliwy rozplywa się ze szczęścia. Obejmuje zwierzę, które nawet nie jest w stanie utrzymać prosto poroża, całuje je w usmarowaną mordę, przemawia z czułością. I zapewnia, że wszystko się dobrze skończy. Najpierw drogi pacjent musi napić się wody z rozpuszczonymi tabletkami penicyliny. Strażnik pośpiesznie odchodzi na paluszkach, drzwi celi zostawia otwarte na oścież. Zaraz przybiega z powrotem i przynosi dwa wiadra wody. Ma ze sobą wszystko, co potrzebne. Jeleń wypija pełne wiadro. Potem myśliwy chusteczką strażnika obciera śluz i nieczystości z pyska i odbytu zwierzęcia. Z umytą mordą, przedmuchiwanymi nozdrzami i wypucowanym tyłkiem niespodziewany gość zamierza wygodnie się ułożyć. Robimy mu miejsce. Wyczerpany kładzie się na podłodze, głowę składa ceremonialnie między przednie nogi, a swe królewskie poroże podnosi na pełną wysokość. I zapada w sen.

Sraczka z jelenia przeszła na myśliwego. Teraz strażnik musi z nim pędzić do ustępu. Zmęczony mężczyzna w kapturach zaraz się odwraca, chce zamknąć drzwi celi, przypomina sobie: — *Cerbul*, jeleń! — Wchodzi do środka, obraca się skołowany wokół własnej osi, z rękami na skroniach. Potem siada koło mnie na łóżku. Wspólnie czuwamy nad snem chorego zwierzęcia. Strażnik sprawia wrażenie, jakby także chciał się zadomowić w naszej celi. Opiera się o ścianę, zamyka oczy, wzdycha głęboko i mówi:

— Wy to macie dobrze. Jedzenie, picie, spanie, a nikt nie musi kiwnąć palcem. Żadnego wysiłku, *nici un effort*. Nawet do kibla jesteście prowadzeni, nie musicie sami szukać drogi, tylko stawiacie jedną nogę przed drugą. A my... — Wzdryga się, nasłuchuje odgłosów z korytarza, zrywa się z łóżka. Kładę uspokajająco rękę na jego ramieniu, poprawiam mu bluzę munduru i kiwam dla zachęty głową:

— *Totul este bine!* — I proszę, żeby znowu usiadł.

— *Zeu*, na Boga — szepcze strażnik, siedzi teraz na skraju łóżka, jakby należał do tego miejsca. Chciałbym się dowiedzieć od niego pewnej rzeczy, nie sprowadzając na niego zagrożenia. Przez otwarte drzwi pokazuję cele naprzeciwko i pytam:

— Kluz? — Zastanawia się chwilę. Potem potrząsa głową. Z korytarza słychać pukanie myśliwego. Strażnik od razu wybiega z celi. W jednej chwili wprowadza go z powrotem, obaj są zdyszani. Zdiera mu z głowy blaszane okulary: — *Repede, repede!* — Gdyby ktoś przyszedł... Ale jelen się nie rusza. Na próżno uprzejmie wypraszamy go na zewnątrz. Potrząsa głową, poróżem zahacza o łóżka. Żołnierz musi wyciągać go z celi za ogon. Ostatnią rzeczą, jaką widzimy, zanim zatrzasną się żelazne drzwi, są jego pełne melancholii oczy.

Myśliwy zalewa się łzami:

— Mysz, jelen... Co za Pierwszy Maja!

Siadam na podłodze, jeszcze cieplej od gorączkującego ciała zwierzęcia. Święto klasy robotniczej.

Noc z 30 kwietnia na 1 maja w Fogaraszu przed czterema laty... Budy z pojmanymi ludźmi zawracały przed szturzym zamkiem. Czyli za każdym razem zatrzymywały się przed naszą bramą, nieznośnie długo, włączały wsteczny bieg, tam i z powrotem, potem odjeżdżały. Podczas tych manewrów światło reflektorów wpadało do pokoju, gdzie leżeliśmy, nie śpiąc. Wybici ze snu, cała rodzina, nawet najmłodsza siostrzyczka. Przeniosła się do łóżka matki, ale nie chowała twarzy. Nasłuchiwała ku bramie, jak my wszyscy, i spoglądała w okno oczami, w których za każdym razem, gdy snopy światła przeszukiwały pokój, zapalał się strach. Nikt się nie ruszał. Nikt nie mówił ani słowa. My, dzieci, wiedzieliśmy, że ojciec i matka nie będą mogli ochronić nikogo z nas, nawet siebie samych, gdyby drzwi nagle się otworzyły i ludzie w mundurach wtargnęli do środka, wskazali gumową pałką na osobę, którą chcą zabrać: — *Repede, repede!*

A ja? Miałem za sobą teologię i pobyt w klinice. Oraz semestr nielubianej matematyki. Teraz byłem studentem hydrologii. A co było przede mną? Strach. Za każdym razem, gdy więzienne auta hamowały przed naszym domem, czekałem bezbronny na to, że wyważą drzwi i mnie zabiorą. Tak po prostu. Zwijąłem się w kłębek na łóżku, które stało się tak ogromne, jakbym całkiem sam unosił się we wszechświecie. Choć w pokoju spaliśmy w szóstkę, czułem się nieskończenie odległy od reszty rodziny. Dziesięć lat, tak długo już przebywaliśmy w jaskiniach strachu. I zawsze słyszeliśmy tylko: Trzeba to znosić. Trzeba znosić.

Siedzę na kamiennej podłodze celi i wpatruję się w bieloną ścianę, na której załamuje się moje spojrzenie. Nagle opanowuje mnie ślepa nienawiść. Niczego nie będę znosił! Zemszczę się: chcę umrzeć na ich oczach, tutaj, zdechnąć w całej tej brzydocie, przed ich oczami. Oficerki, mundury, przenikliwe rozkazy, przekleństwa, białe fartuchy... Z mściwą satysfakcją będę się przyglądał, jak lekarz męczy się nade mną, na kocu błyszczące przyrządy, jak pogania swojego pomocnika, dotyka mojego policzka i mówi, że wszystko będzie dobrze. Drzwi celi są już otwarte, z zewnątrz słychać tupot żołnierskich butów, skrzywienie eleganckich trzewików, szuranie kapci. Będę się napawał ich głupim wyrazem twarzy, ich bezsilną złością, że jednak udaje mi się uciec, że potrafię ich zmusić do otwarcia zatrzaśniętych i zaryglowanych drzwi. Na darmo cały pośpiech i bieganina w korytarzu, klakson karetki na dziedzińcu, jednak udaje mi się wymknąć. Jestem w ich mocy, ale już nie mają nade mną władzy. Jako pusta czaszka będę szczerzył się im prosto w twarz po ich wstrętnych pytaniach: „Wybierzcie sobie, co chcecie wiedzieć, pincetą wydłubcie spośród ścierwa, którym stał się mój mózg i myśli! A jeśli chcecie mnie wywieźć, zamknąć w lochu, zesłać, pozostanie wam tylko garść robaków, nad którymi będziecie mogli się pastwić!”. Chcę iść

do piekła, popłynąć w ognistej rzece, dręczony przez diabły z rozżarzonymi widłami, chcę w mroku wreszcie przestać istnieć.

Myśliwy wylewa na mnie wiadro wody, którego zapomnieli jeleni ze strażnikami, ja otrząsam się, aż krople rozpryskują się na wszystkie strony, i wracam do siebie. Towarzysz wyciera wodę moją bluzą od piżamy. I powtarza te słowa:

— *Ce un Mai! Ce un Mai!*

W wieczór poprzedzający 1 Maja przed czterema laty, kiedy ciężarówka z więźniami zawracała przed szturwym zamkiem, by wreszcie odjechać, tak samo jak w poprzednich latach, w przypływie paniki chciałem wymknąć się z Fogaraszu na rowerze. W krótkich spodniach, gdyż było niezwykle ciepło, bez bagażu, żeby nie rzucać się w oczy. Mnie nie dostaną! Ale dokąd miałbym się udać?

Do Annemarie na ulicę Sichelgasse do Kronstadt, nie chciałem. Kilka dni wolnych od zajęć na uniwersytecie zamierzała wykorzystać na studiowanie konfliktu między psem Bullim a swoją matką, kiedy sama jako trzecia dołączyła do tego układu. A w Tannenau? Miałbym siedzieć w ukrytej komórce parobka Johanna?

Przyszła mi do głowy Armgard, której skóra wiosną miała zapach dzikiego bzu, kiedy całowałem jej zimne uszy tamtej majowej nocy, przed śpiącymi oczami Annemarie. Nie widzieliśmy się od dawna, od balu końcowego, zwanego *exitus*, uroczystego pożegnania po oktawie. Wtedy właśnie z zachowaniem wszelkich form porzucił ją Theobald Wortmann. Kiwnął na mnie, bym podszedł, jakby potrzebował świadka: „Jesteśmy już dorośli, moja droga Armgard, mamy wystarczająco dużo pięknych wspomnień z lat młodości. Elektryony na zewnętrznej stronie atomu też czasami zmieniają tory i wchodzą w nowe związki. *Adieu*”. Dziewczyna zaczęła płakać, nagle została

sama w kręgu tańczących par, który tworzył nowe figury do dźwięków walca *Wiedeńska krew*. Wiedziony pierwszym impulsem chciałem wziąć ją za rękę i wyprowadzić w letnią noc, pod sosny otaczające Basztę Tkaczy, albo jeszcze dalej, przez ukwiecone błonia aż do Schneckenbergu, może nawet do Tannenau, gdzie moglibyśmy schować się w spichlerzu. Jednak nie zrobiłem tego. Ani tego, co się samo nasuwało: nie poprosiłem jej do tańca, by po takim upokorzeniu zamknąć dziewczynę w ramionach, ukryć przed oczami pozostałych. Zerknąłem na Annemarie, która w błękitnej sukni mojej matki wyglądała jak dama. Już wirowała w rytmie walca z Theobaldem, ale spoglądała w moją stronę. I ręką dała mi znak, żebym nic nie robił. A więc powiedziałem tylko: „No to serwus!”. I pozostawiłem sprawę własnemu biegowi.

Armgard pracowała teraz jako przedszkolanka w Kronstadt, mieszkała w domu rodziców przy Rochusgasse. Tam chciałem uciec i zamieszkać na poddaszu ciotki Melanii. Ciotka zaparzyłaby kawę, herbaty już nie było, odkąd Atamianowie zostali wywiezieni do Rupei. Rondelek z zielonymi ziarnami kawy przesuwiała tam i z powrotem po kuchennej płycie, aż przypalone na brązowo zaczynały oszałamiająco pachnieć. Ja miałem później jeszcze gorące ziarenka, ściskając kanciasty młynek między nagimi udami, a przy każdym obrocie korbką czułem szczypanie na skórze. Ciotka zalewała kawowy proszek wodą, nazywała to gaszeniem, i własnoręcznie podawała. Na dnie złożonych filiżanek było tyle fusów, że łyżeczka z pięciopałkową koroną mogła w niej stanąć pionowo. Potem gospodyni odczytywała z fusów cudowne wizje przyszłości. Nauczyła się tego w Bukareszcie, kiedy przez rok chodziła tam do klasztornej szkoły Angielskich Panien.

A Armgard? Położyłaby głowę na mojej piersi i nasłuchiwała, jak bije mi serce. Ja mógłbym jej wyjaśnić, dlaczego wtedy na balu zostawiłem ją z krótkim „serwus”. Gdyby wytropili

mnie tam moi prześladowcy, ciotka Melania z pogrzebaczem w dłoni wypuściłaby na nich swoje koty. To byłoby dobre miejsce. Zwłaszcza że tamtejszy ogród dochodził do parowów, którymi mogłem uciec do Schulerau. A stamtąd bieć dalej do lasów karpackich, które rozciągały się aż do Tatr albo rozgałęziały do samego Bosforu. Może Armgard poszłaby ze mną.

Przedzierałem się przez dzikie ogrody, tajnymi ścieżkami próbując opuścić Fogarasz, chciałem przebić się do starorzecza Aluty, by potem koło wioski Mândra pe Olt dostać się na drogę. Szerokim łukiem ominąłem otoczony fosą zamek, gdzie za wodą i metrowej grubości murami po cichu cierpieli więźniowie polityczni. To małe miasteczko mogło doprowadzić człowieka do rozpacz! Wszędzie sięgały macki Securitate. Jeśli zabłądzisz na wieczornym spacerze w zamkowym parku, od razu schwytają cię reflektory, które z otworów strzelniczych śledzą wszystko dokoła. Albo wpadniesz w ręce patrolu, który cię razem z damą twego serca odstawi na noc na posterunek milicji.

Ale moja ucieczka się nie udała. Pękła mi dętka, potem druga, w końcu złamały się szprychy w tylnym kole, obręcz się wygięła. Podałem się jeszcze przed rogatekami miasta.

Prowadziłem zdezelowany wehikuł do kombinatu chemicznego po drugiej stronie torów, za papiernię. Tam w kolonii baraków mieszkał mój znajomy, młody robotnik. Podczas wakacji zeszłego roku przepracowałem dwa miesiące w fabryce przy montażu kotłów. Wtedy właśnie się zaprzyjaźniliśmy. Często oddawał mi lżejsze prace. Pęcherze na wewnętrznych stronach moich dłoni popękały na trzeci dzień, pod spodem widać było czerwone mięso, które piekielnie paliło.

Kotły były tak ogromne, że ustawiało się je na fundamentach pod gołym niebem, a potem wznosiło dokoła nich ściany. Robiliśmy to za pomocą bloków i wyciągów, dwudziestu, trzydziestu mężczyzn pod kierunkiem majstra, który tak zręcznie

wszystkim dowodził, że nikomu nie oberwało palców u rąk ani nie zmiażdżyło stóp. Ziemia, nasycona żelaznym pyłem, płonęła pod podszwami naszych butów, musieliśmy więc podnosić stopy jak tańczący niedźwiedź w miejskim parku. Żeby wygiąć doprowadzające rury grubości ramienia, napełnialiśmy je piaskiem, stawiali w pionie, zatykaliśmy dolny koniec, a potem waliliśmy żelaznymi prętami w ich ścianki, aż piasek wewnątrz stawał się dostatecznie zbity, czyli póki majster nie krzyknął „Ho!”. Potem rozgrzewaliśmy oznaczone miejsce nad ogniem i wyginali rurę w kolanko o idealnie okrągłym przekroju. Zawsze gdzieś obok stał towarzysz z komitetu partii i pilnował, czy wszystko odbywa się jak należy, on także się pocił — ubrany był w garnitur z krawatem i kapelusz. Czasami śpiewał *Międzynarodówkę*, a my musieliśmy uderzać w rytm jego śpiewu.

Nicolae Magda, tak nazywał się mój kolega z pracy, pochodził z Gór Zachodnich, gdzie mieszkańcy zwykle bywają bednarzami, drwalami i gonciarzami. Nie umiał czytać ani pisać, ale pojmował świat dzięki bajkom i baśniom swojej krainy oraz artykułom redakcyjnym, które jego żona Maria czytała mu z gazety partyjnej „Scînteia”. W czasie przerw obiadowych dzieliliśmy się swoim prowiantem. Moja zielona papryka nadziewana marmoladą była dla niego *extraordinar*. Tylko w bajkach występują tak niezwykle potrawy. Mnie z kolei bardzo smakowało to, co przynosił on: ostry ser owczy i zielona cebulka. Niedawno się ożenił i mieszkał w jednym z baraków. Właśnie budowano pierwsze bloki na miejscu targu świeżego.

Barak Zoja Kosmodemjanska, barak Róża Luksemburg, czytałem w blasku gwiazd. Wreszcie: barak Elena Pavel. Szedłem korytarzem, pełnym ciężkich zapachów smażenia na oleju, wzdłuż drzwi, spoza których dochodził żywy gwar głosów, kobiece śmiechy, i wszędzie rozbrzmiewała ta sama muzyka

z miejskiego radiowęzła: rytmiczne pieśni bojowe i zawrotnie szybkie rumuńskie tańce ludowe.

Numer 9. Zapukałem. Gdy otworzyłem drzwi i wprowadziłem do pokoju rower, śmiech ucichł. Zaskoczona para małżonków spoglądała na mnie z niedowierzaniem. Ojciec rodziny siedział na drewnianym stołku, ubrany tylko w długie kalessony, na kolanach podrzucał malutką córeczkę. Przy każdym podskoku sukieneczka dziewczynki podnosiła się i odsłaniała różową pupę i brzuszek. Dziecko krzyczało ze strachu i radości, chwytając się porośniętej czarnym włosom piersi ojca. Kobieta w sukience z drukowanej bawełny, która pękała w szwach i z trudem okrywała wydęty brzuch oraz pełne piersi, robiła coś przy kuchni. Nad płytą kuchenną wisiał pierwszy człowiek partii, Gheorghe Gheorghiu-Dej, jako pożółkły i osmalony wycinek z gazety. W pokoju znajdowało się żelazne łóżko, metalowa szafka, stół i trzy stołki. Spod belkowanego sufitu rzucała światło słaba żarówka. Było bardzo gorąco. Specjalnie nie zostawiłem mojego roweru na zewnątrz, z powodu sąsiadów. I tak stałem pod świętym Mikołajem z trzema złotymi jabłkami i przyciskałem do siebie rower. Z głośnika dudniła muzyka. Obok mnie buczała lodówka, wielka jak kontrabas.

Kobieta otworzyła szafkę i przebrała się za jej wąskimi drzwiami. W bluzce i spódnicy wyglądała odświętnie i obco. Spódnica opinała się na brzuchu i odsłaniała kolana. Mężowi rzuciła koszulę i spodnie. Włożył koszulę, ale został w kalessonach, zawiązał tylko troczki przy nogawkach. Córeczka dostała majteczki i rajtuzki. Wreszcie mogłem powiedzieć, z czym przychodzę. Pani domu wyłączyła radio. Ta sama melodia, *Towarzysze z hut i kopalń*, nadal wlewała się do pokoju przez ściany z desek, z lewej i prawej strony.

— Czy mógłbym prosić o przenocowanie mnie do jutra?

Na chwilę zapadło pełne zakłopotania milczenie. Potem pan domu wstał, postawił dziecko na podłodze i odezwał się z godnością:

— *Foarte bine!* — Jegolewabrew zadrgała kilka razy. — Witamy cię, towarzyszu. To dla nas zaszczyt. — I usiadł, a dziecko z powrotem wspięło mu się na kolana. Młody robotnik mówił dalej: — Może pan spać w naszym łóżku. Moja żona i nasza królewna, Alba Zăpada, położą się na podłodze, na baranim futrze od mojego dziadka. A kiedy na jesieni dostaniemy dwupokojowe mieszkanie w blokach, możemy panu odstąpić jeden pokój, gdy tylko zechce pan do nas zawitać. Nie potrzebujemy drugiego pokoju. Nie będziemy przecież rozdzielać naszej małej rodziny, właśnie teraz, kiedy oczekujemy jeszcze jednego ukochanego dzieciątka. — Poglądził żonę po brzuchu, a ona przytrzymała jego rękę i pochyliła głowę. — A jeśli babcia chciałaby narazić się na niewygody i przenieść tutaj ze wsi, nie będziemy jej sprawiać przykrości i zamykać samej w osobnym pokoju.

Kobieta uzupełniła zawstydzona:

— Na moich rodziców nie możemy liczyć. Mieszkają wprawdzie tylko jedną stację koleją stąd, w Mândra pe Olt, ojciec jest tam dróżnikiem, ale on mnie przeklął.

— Dlaczego? — Kobieta milczała. Odpowiedział jej mąż, a czarne włosy na jego piersi dumnie się najeżyły:

— Porwałem ją, jak miała siedemnaście lat. Ale teraz musi pan coś zjeść i napić się. I ja też. — Usiadłem więc przy stole.

Zatłuszczona gazeta, „Scînteia” z czerwoną obwódką, służąca jako obrus została zastąpiona ceratą. Do tego papierowe serwetki z napisem: „Przed jedzeniem i po ustępie każdy ochoczo myje ręce!”. Stół uginał się od jedzenia.

— Najpierw zjemy to, co ugotowała moja kobieta. — Jedliśmy we dwóch jajecznicę ze zrumienionym boczkiem, przyprawioną pieprzem i papryką, aż tłuszcz spływał nam z łąci-

ków ust. Żona nie jadła z nami, usługiwała przy stole. Nicolae mówił o sytuacji w kraju: przed świętem robotników robi się tak, jak w bajce *Stoliczku, nakryj się*. — Nagle w sklepach można wszystko kupić. A do tego premię dają w terminie. Dołożymy jeszcze premię na 23 sierpnia i kupimy sobie za to *studio*.

— Na którym będziemy spać wszyscy czworo — dodała kobieta. — A może nawet radio „Pionier”. — Do sierpnia spłacają jeszcze raty za lodówkę „Fram”.

— A zegarek „Pobieda” kosztował mnie dwie miesięczne wypłaty, wyłożyłem gotówkę na stół. Rosjanie zawsze chcą mieć wszystko naraz.

Potem jedliśmy boczek i młodą cebulę. Do tego kobieta po każdym łyku napełniała nasze szklanki piwem. Na koniec dostaliśmy słodki ser i konfitury.

— A teraz, dla uczczenia święta, nie ta byle jaka marmolada za pięć lei dwadzieścia, o której się mówi, że dodają do niej bu raków cukrowych, ale pyszna konfitura, nazywa się *gem* i jest odpowiednio droga, po siedem lei dwadzieścia. — I dodała rozradowana: — Jak w Ameryce! A zamiast czarnego chleba na kartki, leja czterdzieści za podwójny bochenek, tym razem mamy białą bułkę! Bardzo droga, pięćset gramów kosztuje dwie leje dwadzieścia, ale jest biała i puszysta jak majowe kwiecie. — Wyjęła zachwalane pieczywo z worka i zaczęła nim wymachiwać jak cennym trofeum. — Żyjemy sobie jak bojarzy! Tak, i wreszcie znowu jest masło! I wcale nie droższe niż na Boże Narodzenie, kostka po pięć lei czterdzieści.

Przeżuwający powoli męzczyzna, który co jakiś czas wkładał dziecku do buzi najlepsze kąski, wyjaśnił, że można sobie na to pozwolić, kiedy dwoje pracuje. Jego żona ze swoimi czterema klasami ma wysoką pozycję, pracuje w biurze przy spisywaniu list. On na razie jest robotnikiem niewykwalifikowanym. Ale chodzi na kurs alfabetyzacji. Potrafi już napisać imiona swoich najdroższych, a tabliczkę mnożenia umie na pamięć od dawna.

Na zegarku też się zna: pełna godzina, pół godziny. W dobrym miesiącu z godzinami nadliczbowymi mogą z żoną zarobić równy tysiąc lei.

— Za obiad w stołówce zakładowej robotnik płaci jedną leję pięćdziesiąt. Dyrekcja dokłada drugie tyle. Całodzienny żłobek dla naszego elfika jest za darmo. — Nie użył papierowej serwetki, wytarł sobie usta wierzchem dłoni. Z dobrodusznym uśmiechem przyjął naganę żony, powiedział: — Serwetki są przecież dla gościa! — O mało tego nie przeoczyłem.

Fakt, że ja, czcigodny gość, właśnie dzisiaj chcę spędzić u nich noc, bardzo mu pasuje. Na pewno zawdzięcza to bajkowej wróżce Ileanie Cosânsean, która towarzyszy mu aż tutaj z rodzinnych stron, zawsze go ochrania i czuwa nad jego bliskimi. Muszę mu wybaczyć, ale wzywają go obowiązki. Dzisiaj jest niebezpieczna noc, kiedy to wróg klasowy podnosi jadowitą głowę. I zatroskany ściągnął swe czarne brwi. Jednym ruchem wstał od stołu, wstawił córeczkę do odwróconego do góry nogami w charakterze prostego kojca taboretu i wyciągnął spod łóżka jakiś worek. Na posłanie posypały się części munduru w kolorze granatowym.

— Securitate prosiła kilku z nas, ze straży robotniczej, zaufanych ludzi, o wsparcie. Mamy dzisiaj pomagać towarzyszom. — Więcej nie powiedział. Pełnymi namaszczenia ruchami zaczął się ubierać.

Podał mi rękę w skórzanej rękawiczce, żonę i córeczkę uściskał, jak się należało. U paska dyndała mu gumowa pałka. Żona przeżegnała go znakiem krzyża, zdjął czapkę, na której błyskała kokarda z sierpem i młotem. Gotowy do służby wymaszerował z pokoju.

Ledwie jego plecy znikły, ja wyniosłem się stamtąd, uciekłem. Kobieta bez słowa pozwoliła mi odejść. Gdy brałem rower na plecy, ona już zwiżała baranią skórę.

Cmentarz, pomyślałem. Oni się go boją, zwłaszcza nocą. Były tam cztery groby naszej rodziny: Engelberta, mojego najstarszego brata o niejasnym pochodzeniu. Grób wujka Ericha, starannie pielęgnowany — o tym, że jest pusty, wiedzieli tylko wtajemniczeni, no i może jeszcze Securitate. A obok groby ciotecznych babek Hermine i Helene. Przepędziły kiedyś rosyjskiego żołnierza, który wtargnął do ich domu w Wildgarten, a potem żyły jeszcze przez jakiś czas. I wreszcie zmarły, ziewając z nudów i przesytu. W odstępie kilku dni. Dwa razy z rzędu te same twarze zebrały się na cmentarzu, pastor odczytał dwa razy to samo kazanie. Obie panie Goldschmidt zostały pochowane w swoich robionych na miarę trumnach, które przez dziesięciolecia stały się jednak trochę za duże. Ale i dla tego zbędnego miejsca znalazło się zastosowanie. Wszyscy, którzy w inny sposób nie mogli pozbyć się flag ze swastykami, kładli je do zmarłych ciotek. I w ten sposób ostatnie skrawki i strzępy hitlerowskich czasów z naszego miasteczka zostały uroczyście pochowane przy dźwiękach pieśni *Santa Lucia* i *La Paloma*. Wiele osób nie mogło ukryć wzruszenia.

Siedziałem przez chwilę na niewielkiej ławeczce, którą ciotki zapobiegliwie ustawiły dla potomnych, była pomalowana na zielono, w kolorze nadziei, mało kto z niej korzystał. Potem zebrałem się w sobie i wróciłem ukradkiem do domu, przygotowany na wszystko, wróciłem do swoich. Trzeba to znosić! Trzeba znosić! Nadeszła noc, co chwilę dziurawiona światłem reflektorów sięgającym do naszej sypialni. Leżeliśmy, nie śpiąc i czekaliśmy.

Siedzę na betonie i wpatruję się w ścianę. Przed nimi nie ma ucieczki, nawet jeśli wrócisz do łona matki. Siedzę i wpatruję się w ścianę, która odpycha moje spojrzenie, biała i twarda. A potem nadchodzi godzina prawdy, czuję, jak łuski opadają

mi z oczu. Pojmuję nagle i sam nie wiem, jak do tego doszedłem: wina jest po mojej stronie.

Prawdę mówiąc, nie chcę socjalizmu.

Tak samo jak nie chce go nikt z mojego środowiska. I ja nie jestem od nich lepszy. Choć w myślach uważam tę ideę za słuszną, w głębi duszy nie chcę socjalizmu. Wina leży po mojej stronie. Ci z góry mają rację, że mi nie wierzą. Ale to się zmieni!

Oddycham z ulgą, rozpalona skóra staje się chłodna i gładka. I czekam, aż dusza nadąży. Przez dwa następne dni siedzę na skraju łóżka, jak nakazuje regulamin. Już nigdy w życiu nie chcę się ukrywać. Spokojne dni, mimo zamieszania i podniecenia na korytarzu: jęki i tupot, czasem szloch, często przekleństwa, którym towarzyszy syk strażników: — Stul pysk! — I ciągle na nowo zgrzyt rygli. Dopiero teraz zaczyna się na dobre.

Trzeciego dnia wprowadzają nam do celi młodego człowieka, tokarza z zakładów Tractorul. Jest podejrzany o to, że w ubikacji pobił na śmierć kolegę, który żądał zwiększenia norm.

— Co za czaszka — dziwi się młodzieniec. — Obcęgami do rur. Na miejscu padł martwy, towarzysz stachanowiec. Ale czaszka została cała! — Nasz nowy towarzysz ma oryginalny sposób wycierania sobie tyłka: to, co mu tam przeszkadza, palcem wskazującym rozsmarowuje po ścianie. Myśliwy, choć bardzo ucieszony z powodu wizyty, wymierza mu dwa silne ciosy, aż echo idzie od ścian. Chłopak nieporuszony stwierdza: — To nic wobec lania, jakie tu już dostawałem. — Jest nawet gotów przyswoić sobie nowe zwyczaje higieniczne. Ale zabierają go w poniedziałek rano.

Myśli spokojnie płyną przed siebie, zatrzymują się tam, gdzie to konieczne. W głowie kołacze się sentencja, którą Griso wpisała mi do Biblii, prezentu na konfirmację: „Żyjemy nie

po to, żeby dążyć do szczęścia, ale żeby wypełniać nasze obowiązki”. Czy wobec tego właściwe motto działania nie mogłoby brzmieć: chcę, żeby wszyscy ludzie osiągnęli szczęście? I każdy człowiek pod przysięgą powinien uznać to za swoją powinność: postępować tak, żeby nikt na świecie nie musiał głodować i marznąć, znosić poniżenia, wykorzystywania i upokorzenia, i żeby wszyscy ludzie mogli cieszyć się swoim życiem? Żyjemy po to, aby wypełniać nasze obowiązki dla szczęścia wszystkich ludzi.

Walczyć, działać.

Muszę działać.

W poniedziałek 5 maja 1958 stukam w drzwi celi i po raz pierwszy dobrowolnie zgłaszam się na przesłuchanie. Dyżurny żołnierz natychmiast się zjawia. Ja drzę na całym ciecie.

Căpitan Gavrioliu siedzi przy swoim biurku. Jest w cywilu. Napływa ku mnie słodkawa woń perfum. Na jego polecenie zdejmuję blaszane okulary, pozdrawiam go, zgodnie z rozkazem, i chcę usiąść przy swoim stoliku za drzwiami. Ale on każe mi usiąść przy oknie, na krzesła, które stoi tam przygotowane. Nie pyta jak zwykle „Jaką dzisiaj mamy datę, jaki to dzień tygodnia?”. Kiedy zaczynam mówić, czuję pulsowanie tętnicy aż w gardle. Mówię:

— Chciałbym złożyć oświadczenie, o *declarație*. Ale tylko przed moim majorem.

— Nie ma go tu.

— To niech mnie wysłucha komendant.

— Jest zajęty. — Oficer układa przybory na biurku w nowe figury geometryczne, których nie potrafię odcyfrować. Moje oczy zasłania żałobny woal. Ponieważ milczę, kapitan pyta, nie podnosząc wzroku: — Jakie oświadczenie chce pan złożyć? — Nie mogę wydobyć z siebie ani słowa. Moje spojrzenie błądzi w głąb ogrodu Securitate, gdzie biegają sarny i jelen ma-jestatycznie obnosi swe poroże, wyleczony z biegunki i grypy,

i gdzie jarzy się obsypany zielenią krzak tawuły. Na pewno już zrobiła się wiosna.

Mówię powoli i dobitnie, słowami, które dokładnie sobie obmyśliłem:

— Od tej chwili możecie liczyć na moją szczerość. Na wszystkie pytania będę odpowiadał zgodnie z prawdą i będę trzymał się faktów, mam tylko dwa zastrzeżenia — staram się uniknąć słowa „warunki” — że na samym końcu odbędzie się targi o los klausenburskich studentów i że nie będę pytany o kobiety i dziewczyny. — Patrzę w podłogę, nie mam odwagi spojrzeć jeszcze raz do rajskiego ogrodu. — Jeżeli partia i rząd chcą, by Niemcy tego kraju brali udział w budowie socjalizmu, to przede wszystkim potrzebni są studenci, którzy wcześniej poznali ducha marksizmu-leninizmu. Wykluczenie ich byłoby niepowetowaną stratą dla kraju. I dla siedmiogrodzkich Sasów.

Kapitan nie mówi tak ani nie. Za to podsuwa mi kompot brzoskwinowy, otwarty słoik, który wyjął z lewej szuflady biurka i teraz własnoręcznie podaje mi na tacy. Jestem tak głodny, że zjadam wszystko naraz. Oficer klaszcze w dłonie. Strażnik nakłada mi okulary na oczy, sprawdza, czy dobrze leżą, i prowadzi mnie przez ciemność do mojego lochu.

W obcych językach

19

Wszystko jest jasnozielone. Nigdy jeszcze nie było tak jasno. Na wysokości moich oczu napotykam wzrokiem na oficerki zwieńczone u góry bielą fartuchów. W powietrzu słyszę mruczenie głosów. Co to jest? Czy to anioły sprawiły, że jest tyle światła?

Jakiś mężczyzna rozchyła mi powieki, jakbym był martwy. Jest w białej szacie, na głowie ma czepek lekarski. Bada mi puls, wkłada łyżkę do ust. Muszę głośno powiedzieć „a”. Drugi mężczyzna siada obok mnie, siennik chrząści. Patrzę przed siebie, omijając wzrokiem podobną do ikony twarz. Tamten odwija mi rękaw, zawiązuje na ramieniu gumową rurkę, oczyszcza miejsce nad nabrzmiałą żyłą i wbija igłę. Szczypiące ciepło rozlewa się w moim ciele, rozchodzi się gwiazdźście do wszystkich członków. Zamykam oczy. Ale oni z łagodną stanowczością sadzają mnie. Znowu ktoś podnosi mi powieki. Są mocno zaciśnięte. — Pilnuj go, żeby jeszcze przez chwilę nie spał. Daj mu jeść, powinien dobrze jeść. Postaraj się, żeby przeszedł kilka kroków — słyszę dochodzący z góry głos. Ale do kogo skierowany jest ten rozkaz, tyle par butów zaludnia naszą celę? Niebiańscy goście wycofują się, odlatują białe fartuchy. Żelazne drzwi zamykają się bezgłośnie, nie słychać piekielnego łoskotu jak zwykle.

A gdzie jest myśliwy? Czyżby zabrali go pozaziemscy przybysze? Ależ nie, przecież klęczy przy moim pośłaniu, w rękach trzyma tacę.

— Nie bój się: to był lekarz wojskowy z felczerem, w towarzystwie oficerów, wszyscy w fartuchach. Nie zasypiaj, proszę cię, *întretimp!* — Czasami z miasta przychodzi jeszcze jeden doktor, *psihiatru important.*

— Skąd tyle zielonego światła? — bełkoczę.

— Jest lato. Zobacz, tam wysoko na ścianie, promień słońca. *Vară plină.* — Podnosi moją głowę. Nie rozpoznaję go, słonecznego promienia. Rzeczy, które myśliwy podaje mi do jedzenia, wyglądają w porównaniu z szarą szarością kartofli, krup, fasoli i kapusty jak diabelskie czary lub cuda z tysiąca i jednej nocy. Czuję zapachy i smaki i na moment wszystko pojmuję. Ale trudno mi zapanować nad moim członkami. Ręce odmawiają posłuszeństwa. Głowa się chwieje. Ołowiane zmęczenie przygniata mnie do podłoża. A jednak myśliwemu udaje się nakarmić mnie tymi nowymi potrawami.

Brązowa zupa, wymagający wiele zachodu przysmak siedmiogrodzkiej kuchni. Na wierzchu pływają prawdziwe oka tłuszczu otoczone szczypiorkiem. W środku kość ze szpikiem. Można wydmuchać ten szpik, jeszcze gorący, prosto z zupy, potem rozsmarowuje się go na kawałku białego chleba, soli i pieprzy, jest to bardzo lubiana przystawka. Przy tym *hors d'œuvre*, które myśliwy wlewa mi łyżką do ust, robi mi się czarno przed oczami. Łakomie siorbię zupę. Na drugie danie jest pieczeń Stefanii, u nas, w domu z kamiennymi lwami, była tradycyjnie podawana w drugi dzień Bożego Narodzenia: cienko rozbity kawałek mięsa wykłada się kawałkami boczku, potem zawija się w to jajka na twardo i związuje nitką. My, dzieci, nie przepadaliliśmy za tym szczególnie, bo między zębami zawsze zostawały nam kawałki szpagatu. Ta szlachetna pieczeń, przypominająca o nieszczęsnej następczyni tronu

Stefanii, podawana jest tu ze smażonymi ziemniakami i duszonymi warzywami. Coś mi przeszkadza w tym wytwornym menu, ale teraz składam się tylko z żołądka. Bez noża i widelca trudno jeść te specjały. Jednak myśliwy umie sobie poradzić: rozrywa pieczeń Stefanii na kawałki, ostrymi paznokciami rozdrabnia mięso, miesza je w misce z dodatkami i łyżką podaje mi to wszystko do ust. Do tego karmi mnie angielską sałatą. On sam też przy tym podjada, częstuje się bez skrępowania, nie przejmując się, że jest to zakazane.

— To z kantyny oficerskiej — szepcze — ale nikt z twojego powodu tam nie głoduje, możesz mi wierzyć.

Tak lukullusowych posiłków jak ten tutaj za kratami nie pamiętam, odkąd weszli Rosjanie, od kiedy przepędzili króla. Mówiąc poprawnie w obcych językach, w których zaczynam się wprawiać, powinno to brzmieć: odkąd zwycięska Armia Czerwona uwolniła naszą ojczyznę spod faszystowskiego jarzma, a jeszcze dokładniej: od upadku monarchii, nie poczuliśmy nawet zapachu pieczeni, nie mówiąc już o jej zjedzeniu. A może jednak?

Uwaga! Tutaj wymagana jest niebezpieczna precyzja. Zapomniana kropka nad i może mieć fatalny wpływ na resztę życia. A więc ściśle rzecz biorąc, *precis, exact*, jak według życzeń Securitate należy przedstawiać wydarzenia, było tak: po proklamowaniu republiki ludowej w 1947 roku już nie jedliśmy pieczeni z niezmaconą przyjemnością i bez wyrzutów sumienia. Gdyż kilka razy nasza rodzina mimo wszystko pozwalała sobie na małą ucztę: kiedy matka sprzedała coś z biżuterii, a ojcu udało się potajemnie dostać wieprzowe żeberka lub nóżki cielęce. Te pyszne rzeczy musieliśmy jednak spożywać w pośpiechu, przy zasłoniętych oknach i zamkniętych drzwiach. Na pieczoną gęś i potrawkę z kury byliśmy zapraszani do Tannenau. Ale zaraz przechodził nam apetyt, kiedy Griso i ciotka Mały jak jeden mąż mówiły przy powitaniu: „Jedno powinniście wiedzieć:

żeby móc wam podać to jedzenie, głodowaliśmy, aż nam się robiło czarno przed oczami. Nieprawdaż, Fritzusiu?”. „Czarno”, potwierdzał wujek Fritz. „No to smacznego! I nic nie mówcie! Motłoch wszędzie węszy. Wróg podsłuchuje!”.

Siedzę otępiąły na krawędzi łóżka, mlaskam głośno, niczym się nie przejmując. Przy ostatnim przełkniętym kąsku robi się za dużo dobrego, jedzenie się cofa. Wycieram grzbietem dłoni lepkie usta. I bekam z lubością jak furman.

Strażnik natychmiast otwiera klapę.

— *Terminant!* A teraz tabletki na sen! — Myśliwy układa różnokolorowe tabletki na moim wyciągniętym języku. Splukuję je wodą, którą powoli popijam z blaszanego garnuszka.

— *Pace bunǎ!* — życzy strażnik. Spokojnego odpoczynku aż do wieczora. Następnego ranka wpadam znowu w normalny rozkład dnia, z jedzeniem, piciem, potem *la program*.

Zapadam się w zielone przepaście snu, pomiędzy czasem...

Do tradycji Bożego Narodzenia należała nie tylko pieczeń Stefanii. Drugiego dnia świąt wujek Herbert zamawiał dwoje sań, które zajeżdżały rano, ale nie za wcześnie, ostatni raz zdarzyło się to w 1943 roku. Rodzina stała już przed bramą, gotowa do wyjazdu. Każdy z nas miał na sobie coś nowego, co dostał pod choinkę, i wyglądał dla innych uroczyście i obco. Zza okien, stojąc przy choince, obserwowali nasz odjazd dziadkowie. Czarne nauszники dziadka i wełniane ocieplacze babci wskazywały, że starsi państwo też chcieli posmakować zimy. „Wracajcie, zanim zrobi się ciemno” — czytaliśmy z ruchu ich warg.

Brzęczenie siedmiu dzwonek przy dyszlu zwabiło do okien naszych rumuńskich sąsiadów, którzy życzyli nam *la mulți ani*, wielu pomyślnych lat. I ostrzegali przed rosyjskimi wilkami. Konie parowały pod derkami, którymi woźnice okryli ich grzbiety. Mężczyźni w granatowych płaszczach ze

złotymi guzikami i ogromnych futrzanych czapach człapali w swych filcowych cholewach przez śnieg, pod pachą trzymając bat.

— Wyglądają jak pomocnicy świętego Mikołaja — zawołała nasza siostrzyczka.

Dozorca Attila Szabo odgarniał śnieg. Celowo niedbałymi ruchami odpychał na boki śniegowe masy szeroką drewnianą szuflą. Jego dorosła córka, Irenke, w samej bluzce, posypywała zmarznięte ścieżki popiołem, aż syczało. Wiadro z popiołem, z którego strzelały iskry, obejmowała gołymi ramionami. Jej oczy błyszczały. Kiedy przechodziła koło mnie, uszczypnęła mnie w policzek. Tylko żona dozorczy, która ogromną wiklinową miotłą odmiatała śnieg z drogi, życzyła nam uniżonym głosem pięknego poranka:

— *Jó reggelt!*

Odpowiedzieliśmy jej po węgiersku:

— *Szczęśliwych świąt!*

Dokąd jechaliśmy? Dwie górskie doliny dalej, do Sâmbäty, do przyklasztornej oberży. Niecałe dwie godziny drogi na kłusującym mrozie. Z łysiny wujka Herberta, która stawiała się coraz bardziej czerwona, mogliśmy odczytać, jak bardzo jest zimno. Będąc pełnokrwistym mężczyzną, jak mawiała ciotka Mały, nie nosił czapki.

Usadowiliśmy się w wyściełanych czerwonym pluszem saniach. Siedziałem naprzeciwko ciotki Herty. Wuj Herbert, jej mąż, dosiadł się, kiedy sanie już ruszały. Pani Sárközi, nasza gospodyni, wojenna wdowa, wsadziła do sań siostrzyczkę razem z jej lalką Nele i usadowiła ją obok mnie. Synowie gospodyni, Nori i Hansi, w lecie i zimie zawsze w pasiastych skarpetach i tak krótkich spodniach, że widać im było podwiązki, stali w bramie z hardymi minami. W rękach trzymali pororce ze swastykami. Pani Sárközi porozdzielała termofory i gorące cegły pod nasze stopy. Każda cegła była zawinięta

w gazety z ostro pachnącymi doniesieniami o zwycięstwach i zdjęciami führera. Dobra kobieta, nie wiedząc, co robi, użyła do tego celu gazety „Völkischer Beobachter” wujka Ericha.

Uwe i Kurt Feliks siedzieli naprzeciwko rodziców w drugich saniach. Uwe trzymał na kolanach mufkę matki, uśmiechając się sztucznie jak podstarzała panna. Kurt Feliks miał jak zwykle na wycieczkach swój łuk ze strzałami. A brat Engelbert? Czy on też tam był? Tak. Choć nigdzie nie mogę go przyporządkować, co odpowiada jego zagadkowej naturze.

Dzieci wśliznęły się do podbitych futrem worków. Podłożyłem sobie gorącą cegłę pod śniegowce. Elke Adele obok mnie schowała się w swoim worku aż po sam nos. Na pledy na naszych nogach woźnice położyli końskie derki, pachnące sianem i nawozem, ich zapach przypominał stajenkę, żłobek i Betlejem.

Druga pomoc domowa stała przed bramą z nabzdyczoną miną. Przed laty zatrudniona po prostu jako służąca Liso, z czasem została Elisabeth, niemal córką w naszym domu. Była szefową narodowo-socjalistycznej grupy kobiecej Fogarasz, teraz także miała na sobie mundur organizacji. A więc nie chciała ruszyć palcem. Prezentowała za to przerażająco nagą twarz: zamiast brwi miała dwa wypukłe ognistoczerwone paski. Brwi opaliła sobie podczas zabawy świątecznej na Hexenbergu pod Felmern. Nasz wuj Erich, trzymający ją za rękę, zahamował tuż przed skokiem przez ognisko. Ona mimo to z okrzykiem radości skoczyła w ogień. Kiedy później wyciągnięto ją z morza płomieni, skwierczała jak kula śniegowa na kuchennej płycie, bardzo zmieniony był też jej wygląd.

W chwili kiedy konie szarpnęły i jednym ruchem poderwały przymarznięte sanie, Elisabeth stanęła na baczność, uniosła rękę i z godnością pożegnała nas gromkim *Heil Hitler*. Także obaj chłopcy w skarpetach i wystrzępionych swetrach podnieśli ręce, ale nie w hitlerowskim pozdrowieniu, tylko żeby cis-

nać za nami śnieżki. W jednym z pocisków musiał być ukryty kamień. Stuknął o tył sań.

Popędziliśmy przed siebie, krzesząc skry. Rohrbacher Strasse pojechaliśmy w dół do miasta. Za Voilą skręciliśmy na południe do klasztoru u stóp gór. Obłoki pary i oddechów nad saniami stawały się coraz gęstsze, mróz przybierał na sile. Kobiety grzały sobie ręce w mufkach. Wujek Herbert rozcierał zmarzniętą łysinę. My kuliliśmy się pod futrami i kocami. Zza zasłon lodowatych oddechów błyszcząły oczy.

Gdy dotarliśmy do Sâmbăty, było południe. W przyklasztornej oberży brodaci mnisi w poplamionych habitach przemykali się pomiędzy dębowymi stołami, pod szczerzącymi się na ścianach dziczymi głowami i porożami czarnych kozic.

Zeszliśmy do piwnicy, gdzie zimne powietrze z dworu otoczyło nas jak peleryna niewidka. Mimo to pierwszy skrzypek cygańskiej orkiestry Dionisie Macavei rozpoznał nas, jego skrzypce na chwilę ucichły. Piosenka *Pij, braciszku, pij* urwała się bulgotliwym dźwiękiem. Dionisie Macavei rzucił się do mojego ojca, jakby na niego przez cały czas czekał, uklonił się, schwycił jego dłoń i złożył na niej pocałunek. Jego twarz perliła się kropelkami potu, na czole miał przyklejoną połówkę banknotu tysiąclejowego. Ojciec oderwał mu ten kawałek papieru, podarł na kawałeczki. Wetknął skrzypkowi do kieszeni kamizelki banknot i powiedział:

— Węgierskie melodie cygańskie dla dam!

Dostaliśmy oddzielony od reszty sali jadalnej stół w niszy przy oknie, przez które było widać Fereastră Mare. Obok chaty szumiał strumień, lodowa pokrywa nie zdołała go uwięzić. Od stołu w odległym, ciemnym kącie dały się słyszeć niechętnie pomruki. Ktoś krzyknął po rumuńsku:

— Graj dalej, niemyty Cyganie, bo inaczej się z tobą policzymy! Zapłaciliśmy. Przecież dostałeś już połowę, ty śmierdzący leniu!

— Co za ciemne typy — szepnęła ciotka Herta.

Spojrzeliśmy w mrok sali. Siedzieli tam mężczyźni w brązowych koszulach z rozluźnionymi krawatami i w świetnych humorach. Byli to członkowie Niemieckiej Drużyny, wojskowo-sportowego ugrupowania narodowych socjalistów. Wśród nich wuj Erich, najmłodszy brat ojca i wspólnik w jego firmie. Ojciec podszedł do nich, pozdrowił:

— Wesołych świąt wszystkim panom! — Na co w odpowiedzi rozległo się niepewne *Heil Hitler*. Nachylił się ku piwoszom i powiedział z łagodną naganą, jak należy przemawiać do młodszego brata i wspólnika: — Przenieś się do naszego stołu, jesteśmy tu całą rodziną. I tak już udało ci się ominąć Wigilię i prezenty. Włóż sweter, żebyś wyglądał przyzwoicie i mógł złożyć uszanowanie damom. — Wuj Erich bez sprzeciwu wziął sweter, kufel piwa i podążył za ojcem. Na swoich grubych podeszwach podszedł chwiejnie do naszego stołu i powiedział przyjaźnie:

— Niech was Bóg błogosławi wszystkich, wszystkich tutaj. Wesołych świąt!

Przyjechaliśmy tu na pstrągi. W drugi dzień świąt kończył się okres ochronny. Żadna ryba nie mogła być świeższa.

Mnich w białym fartuchu i czapce kucharskiej, z kudłatą brodą dla higieny schowaną w lnianym worku, zaprowadził nas na dziedziniec do basenu, wuja Herberta, Engelberta i mnie. Za naszymi plecami skradał się Kurt Feliks z łukiem na plecach. Pod drewnianym zadaszeniem koło klasztornej studni ze święconą wodą tryskało źródło. W nim kotłowały się pstrągi. W krystalicznie przejrzystej wodzie ciała ryb z niebieskimi kropkami na grzbiecie wyglądały jak w kalejdoskopie. Ale ich minuty były już policzone.

— Wszystko ma swój czas — powiedział Engelbert.

Wuj Herbert sięgnął do basenu nagłym ruchem, który mnie przestraszył. Jak wtedy, gdy w parku miejskim żołnierz

znieńska sięgnęła węgierskiej służącej pod czerwone spódnice. Ale śliskie ryby wymknęły się wujowi. Zbliżył się Kurt Feliks z łukiem w pogotowiu, świsnęła strzała, trafił. Pstrąg kręcił się na metalowej osi jak śmigło. Woda się zabarwiła.

— Nie tak, *domnișorule, pentru numele lui Dumnezeu!* — zakrzyknął mnich. — Na litość boską, nie tak, młody panie! Pstrągi muszą żywe pójść do kuchni. — Włożył szeroki rękaw habitu głęboko do wody. — Hople, mamy nasze rybki! — W zgięciu rękawa, z którego tryskała woda, trzepotały się bezsilne ryby.

Mnich szybko pobiegł do kuchni, my za nim. Tam wrzucił ryby do koryta. Zabijał je po kolei uderzeniami trzonka kuchennego noża w głowę. Potem każdą odwracał brzuchem do góry i wbijał kciuk i palec wskazujący w falujące skrzela. Następnie ryby były patroszone w zimnej wodzie. Dla uzyskania pożądanego kształtu rogalika kucharczący mnich związywał nitką głowę i ogon ryby.

Wystarczająco się napatrzyłem, jak niewinne ryby wrywanym z ich żywiołu i uśmiercano, postanowiłem więc zamówić knedle z serem. — Poważnie chcesz zrezygnować? — pytali mnie wszyscy, potrząsając głowami, co miało oznaczać: po co w takim razie tu przyjechałeś? Engelbert zjadł dwa pstrągi na niebiesko, pachnące octem winnym i ozdobione pietruszką. Zjadł też moją rybę, której oczy spoglądały na mnie jak dwie perły z zaświatów. — Nie wiadomo, czy to nie ostatnie!

Tak było: mnisi podawali, co kuchnia i piwnica miały do zaoferowania. Spożywano pstrągi na niebiesko, do tego popijano białe wino: Königsast i Mädchentraube. Skrzypek rzępolił damom do ucha melodie z puszczy, przy czym moja matka zaśmiewała się z całego serca, a ciotka Herta zaślaniała sobie uszy. Kiedy muzycy znieńska przeszli do ognistego czardasza, matka podskoczyła, schwyciła w pasie wujka Ericha, gdyż ojciec uprzejmie, lecz zdecydowanie powiedział „nie”,

i zaczęła wirować jak prawdziwa Węgierka, trzymając prawą dłoń za uchem. Wszyscy klaskali, nawet prawosławni mnisi i członkowie Niemieckiej Drużyny.

Wtedy jeszcze Cyganowi Dionisiemu Macavei nawet się nie śniło, że kiedyś zostanie dyrektorem łaźni parowej w Fogaraszu i sekretarzem partii dla wszystkich fryzjerów damskich i męskich, odpowiedzialnym oprócz tego za stowarzyszenia muzyczne i literackie w mieście, nawet za ewangelicki chór kościelny, który właściwie powinien być rozwiązany, czyli że będzie ważnym działaczem kulturalnym, a my, dzieci, będziemy musieli go pozdrawiać „Całuję rączki, towarzyszu dyrektorze”.

Poza Engelbertem i mną nikt nie posłuchał wezwania ciotki Herty, by opuścić zadymiony lokal i dla rozprostowania nóg przejść się do klasztoru.

Tak, mój najstarszy brat był z nami, wtedy, podczas tamtej przejażdżki saniami, choć nie całkiem był obecny. Najczęściej mknął na łyżwach, uczepiony sań, w otoczeniu małych uliczników, którzy uwielbiali sunąć w tempie kłusa po oblodzonych drogach. Albo wspinał się na kozioł koło woźnicy. Jechał z nami, ale zawsze był gdzie indziej.

Engelbert i ja ostrożnie prowadziliśmy ciotkę pod ramię. Poszliśmy drogą, którą podczas świąt wydeptało w śniegu tysiące stóp śpieszących na msze. Pod okapem dachu cerkwi płonęły w blaszanych kadziach żółte świece, po prawej stronie za żywych, po lewej za zmarłych, świeca obok świecy. Przyglądaliśmy się wspaniałemu i straszliwemu zarazem freskowi przedstawiającemu Sąd Ostateczny: w strumieniu ognia z ust Zbawiciela spływały do piekieł nagie postacie potępionych, a diabły wbijały rozżarzone widły w ciała nieszczęśników. Większość tych potępionych na wieki nosiła turbany i czerwone buty do kolan. Engelbert pierwszy zrozumiał, że nie byli

to wrogowie chrześcijan, ale odwieczni wrogowie Rumunów: Turcy i Węgrzy. Powiedział:

— Biedny Bóg! — I dodał: — Co też się temu biednemu Bogu przypisuje! — Potem zapytał: — A wy kogo byście posłali do piekła? — Ciotka Herta nie dosłyszała pytania, a ja stwierdziłem, że nie mam siły na aż taką nienawiść. Brat zakończył rozmowę grą słów, której obie części zdawały się identyczne, lecz ich różnego znaczenia mieliśmy ze strachem doświadczać przez długie lata: — Sąd nie przychodzi wtedy, kiedy jest koniec świata, ale koniec świata jest wtedy, kiedy przychodzi sąd.

Jest lato, zapewnia mnie myśliwy, kiedy pogrążam się w zielonym śnie. Międzyczas...

20

Dni po 5 maja, kiedy to widziałem kwitnący krzew tawuły... Wreszcie jestem po właściwej stronie. Choć w niewłaściwym miejscu. Przechadzam się tam i z powrotem między stolikiem a drzwiami, trzy kroki w tę, trzy i pół we w tę, kolosalna ulga dla ciała. Mogę się zaliczać do większości na ziemi, choć od urodzenia zawsze w pewien sposób należałem do mniejszości. Wreszcie mogę śpiewać na całe gardło *Międzynarodówkę*. Rozgorączkowany chciałem już od zaraz demaskować, zwalczać, niszczyć wszystkich, którzy są przeciwko. Łaknę przestrzeni i ruchu, chcę być z nimi, jako jeden z nich. Przyszłość świata określają żelazne zasady materializmu. Dla mnie ta przyszłość nie ma jeszcze twarzy, ma tylko jednoznaczną ideologię. Ale sumiennie szukam ról i miejsc dla siebie. Po raz pierwszy,

odkąd zawitałem do więzienia Securitate w Stalinstadt, mam odwagę myśleć o życiu potem.

Chcę ciężko pracować ramię w ramię z mężczyznami, których widziałem na dworcu w Fogaraszu, w drodze na place budowy w całym kraju. Chcę mieszać beton przy budowie zapory w Bicaz, a wieczorem śmiertelnie zmęczony padać na pryczę, pod osłoną proletariackiej pięści młodego robotnika obok mnie, towarzysza i przyjaciela. Albo jako robotnik za dniówkę kosić łąki w państwowym kombinacie rolniczym Czerwone Zwycięstwo, kiedyś dobrach pana Bindera von Hasensprunga, gdzie jako dzieci bawiliśmy się z córkami właściciela w chowanego w sianie, usypiani przez dalekie nokturny fortepianowe matki i podrywani strzałami, które dziadek oddawał ze swojej drewnianej wieży do dzikich kaczek. Chcę kopać pola kukurydzy dla ludu, a wieczorem splukać pot w Alucie i przespać noc pod wierzbą z młodą sekretarką organizacji młodzieżowej, z głową przytuloną do jej piersi, utwardzonej i uzbrojonej entuzjazmem dla gorących posiedzeń i ognistych przemówień. Tego chcę. Pełen oczekiwania przyciskam się do ściany, staję na palcach i usiłuję zaczerpnąć powietrza z okienka, wysoko w górze, za którym spodziewam się wolności.

Dokształcanie polityczne, do tego bym się nadawał, po przeszkoleniu tutaj. Mogę sobie wyobrazić, gdzie w Fogaraszu mogłoby się odbywać ideologiczne formowanie nowego człowieka: w lokalu naszego byłego sklepu.

W magazynie na tyłach sklepu partia utworzyła bibliotekę na użytek niewielkich imprez dydaktycznych. A w samych pomieszczeniach sklepowych, z oknami wychodzącymi na rynek, urządziła salę konferencyjną, całą w czerwieni od góry do dołu. Motywujące hasła otaczały kolorowe portrety klasyków marksizmu: Marksa, Engelsa, Lenina (Stalina już nie było), i ogromne zdjęcia siedmiu krajowych przywódców partii

z towarzyszem Gheorghe Gheorghiu-Dejem na czele. Oprócz niego pozostali z tej siódemki musieli być często wymieniani. Zbaczały z prostej drogi partii, na lewo albo na prawo.

Pierwszy wieczorek polityczno-literacki, który sam urządziłem w lecie 1957 roku, okazał się fiaskiem. Poprzez letnie imprezy literackie chciałem zachęcić moich rodaków do nowych idei — jako student społecznie zajmowałem się działalnością kulturalną. Na drugi wieczorek nikt już się nie stawił. Ale na spotkanie inauguracyjne przybyli: współnicy mojego ojca, jego byli klienci, towarzysze niedoli z Rosji i kompani z pierwszej wojny światowej. Dlaczego przyszli, pytałem sam siebie zaniepokojony, choć z drugiej strony się cieszyłem. Z lojalności czy podejrzliwej ciekawości: że też jego syn robi mu coś takiego! Przyjaciółki matki ze spotkań przy kawie przyszły raczej z solidarności lub z litości: został bolszewikiem, co za nieudany syn! Żony dwóch saskich lekarzy wcale się nie pojawiły.

Zjawiała się za to nasza ostatnia służąca, Jino Bertleff, która usługiwała nam aż do zamieszkania w szczyrym zamku. Jako uświadomiona klasowo robotnica siedziała w pierwszym rzędzie, teraz była kucharką z stołówce zakładowej w fabryce Dynamita Poporului. Twarz miała usianą fioletowymi bliznami, nos podziurawiony. Do państwowego oleju domieszano wody, po rozgrzaniu opryskał jej twarz.

Jako nieproszony gość pojawiła się Irenke, córka naszego byłego dozorca. Daleko zaszła, została przewodniczącą Komunistycznego Związku Kobiet na okręg Fogarasz. W dodatku była żoną Antála Simona, budzącego powszechny lęk szefa urzędu mieszkaniowego. Mówiono, że ich apartament w bloku przy świńskim targu był pełen cennych mebli, kiedyś należących do kilku saskich rodzin, które przykazywały sobie te przedmioty z pokolenia na pokolenie, a potem musiały opuścić swoje domy w ciągu jednej nocy. Czy to ona za tym stała, ta elegancka kobieta w modnym płaszczu ortalionowym, ta

złośliwa niegdyś dziewczyna, z głową pełną psikusów? Którą oglądałem z zachwytem i obawą, kiedy byłem chłopcem, potem podrostkiem? Nie wstydziła się swojej urody. Opalała się nago na naszych rabatach kwiatowych, najchętniej za szpalerem irysów. Gdy zbliżał się ktoś dorosły, leniwie narzucała na siebie lnianą chustę. Nam, chłopcom, pozwalała oglądać wszystko, gdy podkradaliśmy się bliżej. Tak samo nad Alutą, gdzie latem codziennie chodziła się z nami kąpać, niechętnie przysłaniała swą olśniewającą nagość, jej włosy łonowe i piersi nie dawały się okiełznać żadnemu bikini. A niczego innego nie nosiła, choć nasza matka powtarzała jej, że prawdziwa elegancja pozostaje zawsze o jeden krok w tyle za najnowszą modą.

Teraz na wieczorku literackim usiadła w najdalszym kącie sali na ladzie, już nie towarzyszka, ale wystylizowana na damę. Zielona peleryna — z Niemiec Zachodnich, jak szeptały kobiety — była jeszcze pokryta kropelkami deszczu i stanowiła dekoracyjną ramę dla intensywnie żółtej bluzki. Skórzaną spódnicę obciągnęła na kolanach, pod nią można było domyślać się podwiązek przy nylonowych pończochach z Ameryki. Paliła papierosy. I to nie czerwone, ale zielone virginie. Nasze kobiety nieśmiało spoglądały do tyłu na tę niebezpieczną osobę. Żadna z nich nie należała do jej związku kobiet. Ale mężczyźni podchodzili do towarzyszki, by się przywitać i podawać ręce, które ona ścisnęła. Z takim oddaniem potrząsała tymi męskimi dłońmi wyciąganymi w wątpliwych zamiarach, że jej luźno zapięta jedwabna bluzka rozchyliła się, ukazując koronkowy brzeg niebieskiego biustonosza. Przy czym paliła dalej. Gdy powitałem zebranych, zgasiła papierosa na ladzie. Zapachniało czerwonym płótnem.

Niedaleko Irenke stanął mój ojciec. Opierał się o gablotę ze szklaną płytą, pod którą kiedyś wystawione były kasetki z nierdzewnymi sztuczkami marki Solingen. Teraz leżały tam broszury polityczne w językach narodowości zamieszkujących

miasteczko. Ojciec miał na sobie trencz ze splewiałej skóry, pozostałość po samochodzie „Renault”, który kiedyś posiadał.

Spora część obecnych większą część życia spędziła pod rządami burżuazyjno-ziemiańskiego reżimu. Niektórych mężczyzn wojna zawiodła w odległe kraje. Kto na obcej ziemi nie poszedł do piachu lub w podzielonych na cztery części Niemczech nie zbierał okruszków ze stołu zwycięzców, ten odważył się potajemnie ruszyć w drogę powrotną do domu. Powracających, oznaczonych na przedramieniu atramentowo-niebieskim symbolem Waffen SS, oczekiwało przyjęcie poniżej wszelkich reguł gościnności. W lochach służby bezpieczeństwa, koloniach karnych i obozach pracy stworzono im okazję do przystosowania się do nowych czasów. Inni przetrwali pobyt w Rosji. Kto stamtąd uszedł z życiem, nauczył się milczeć i być posłusznym. Kiedyś byli to ludzie średniego stanu, rzemieślnicy, kupcy, biuraliści, kilku wyższych urzędników, rzadko przedsiębiorcy, teraz stali się natomiast bardzo mali: robotnicy zatrudnieni przez upaństwowione państwo.

Siedzieli i omijali mnie wzrokiem. Ze ścian spoglądali brodaci ideolodzy marksizmu i uśmiechnięci przywódcy naszej republiki ludowej. Nad zebranymi unosiła się w swojej jaskrawej bluzce Irenke Simon, jak cytrynowożółty motyl. Wszyscy myśleliśmy to samo: to Securitate przysłała ją tu na przespiegi!

Mimo wszystko nie odważyłem się zwrócić do moich słuchaczy „towarzysze i towarzyszki”. Może dlatego, że z tyłu stał mój ojciec, w znoszonym trenczu, a w samym środku siedziała matka, z uśmiechem jak u dentysty. Powiedziałem:

— Drodzy przyjaciele i... — „przyjaciółki” nie pasowało, „panie” brzmiało jeszcze gorzej. Więc zacząłem tak: — Drodzy przyjaciele i kobiety! — I z ukłonem ku ostatnim rzędom: — Szanowna towarzyszko przewodnicząca Związku Kobiet! Witam was wszystkich serdecznie. — Jeśli chce się

wzbudzić zainteresowanie, zdobyć sympatię ludzi, należy zacząć od czegoś znanego. Przedstawiłem więc przyjaciółom i kobietom saskiego poetę-chłopa, Michaela Königesa: — To nasz człowiek. Pochodzi z Zeiden, pięćdziesiąt kilometrów stąd. Przecież go znacie. — Milczenie, potrząsanie głowami. Chłopski poeta Königes z Zeiden występował na początku wieku z ostrą krytyką nierówności społecznych. Wszystkich wyżej postawionych brał na cel i strzelał. Najpierw został ośmieszony pastor, który stał się stałym celem jego ataków. Potem zdarł notablom i bogatym chłopom z twarzy maski prawości. Bezlitośnie rozprawiał się ze wszystkimi mitami i legendami o równości i sprawiedliwości w saskiej wspólnocie — były to nigdy niesłyszane, ostre tony!

Na próbę przeczytałem opowiadanie *Strzelcy polowi z Wolkendorfu*. Bogaty chłop Kasper kradnie własne siano i zmusza czterech strzelców do płacenia za nie, są to zapijaczeni, ale obowiązkowi ludzie. Urządzają zasadzkę na oszusta i łapią go na gorącym uczynku, gdy zaprzężonym w czwórkę koni wozem kradnie pszenicę u sąsiada.

Ledwie zacząłem czytać, a już musiałem przerwać: od wewnątrz ktoś poruszał klamką u drzwi wejściowych, które po chwili się otworzyły. Do środka wkroczył błękitny kot angorski, rozejrzał się dokoła siarkowożółtymi oczami, podszedł do pierwszego rzędu krzeseł, gdzie samotnie siedziała Jino, i zajął tam miejsce. Potem, jak się wszyscy spodziewali, weszła jego pani, Thusnelda Weinbrandt, moja była nauczycielka ze szkoły ewangelickiej. Skinęła majestatycznie głową ze spiętrzonymi białymi włosami i powiedziała:

— Niech będzie pochwalony! — Wzięła kota na kolana i usiadła na ogrzonym przez niego krześle. — Czytaj dalej — zwróciła się do mnie — niech usłyszę, czego się nauczyłeś! — Czytałem więc, czego się nauczyłem. Im dłużej czytałem to nieprzyjemne opowiadanie, tym bardziej robiło

mi się gorąco. Słyszałem, jak publiczność miele niechętnie myśli: nie tak! To hańba, żeby tak źle o sobie pisać, kalać własne gniazdo, do diabła! Dwaj zdrajcy swojego narodu, ten tak zwany chłopski poeta, mściwy ponurak, i przemądrzały student, który nagle stał się komunistycznym pisarczykiem. Słyszałem też coś, co sprawiało, że przed oczami miałem płomienną czerwień: słyszałem, jak pod moimi palcami, którymi przesuwałem wzdłuż linijek tekstu, czego kiedyś nauczyła mnie nauczycielka Weinbrandt, bije serce Irenke Simon, osłonięte dwiema wspaniałymi piersiami, które gorzały pod jej żółtą bluzką. Przewodnicząca związku kobiet siedziała na swoim eksponowanym miejscu i spoglądała obok mnie na prawe ucho Lenina. Jej spódnica podjechała do góry, rzucając trójkątny cień między uda. Irenke była podparta rękami tuż obok pośladków. Sprawiała wrażenie, jakby jednym skokiem z lady chciała rzucić się mężczyznom na kark, by pogalopować na nich w dal. Kiedy na nią spoglądałem, udawała, że mnie nie widzi. Ale jej bluzka jarzyła się w półmroku.

Przy ostatnim słowie moja nauczycielka wstała, kot zeskoczył jej z kolan, jednym susem znalazł się przy klamce, drzwi się otworzyły. Panna Weinbrandt powiedziała:

— To było niesmaczne! — Rzuciła jeszcze: — Bóg z wami! — i wyszła z szelestem. Moja matka poszła jej śladem, otoczona przez swoje przyjaciółki. Pobiegłem za nauczycielką. W sieni odwróciła się do mnie, z kotem w ramionach, i w obecności dam wymierzyła mi policzek.

Podczas dyskusji tylko Jino zabrała głos. Bogaci zawsze dbali wyłącznie o swój interes, a panowie źle traktowali służbę. I dzisiaj też nie jest inaczej. Kiedy państwowy olej poparzył jej twarz, kierownictwo fabryki stwierdziło, że to jej wina.

— Prosty człowiek nigdy nie ma racji! — Potem zapytała mojego ojca, jak mu się wiedzie. Na pożegnanie łaskawie podała mu rękę. Mnie nie podała ręki nikt.

Trzy kroki w tę, trzy i pół we w tę. Mruczę ponuro do siebie:

— Następnym razem inaczej się do tego weźmiesz. Czy widzicie to hasło, drodzy towarzysze i towarzyszki, drodzy rodacy? Czarno na białym, nie, biało na czerwonym jest napisane: Kto nie jest z nami, jest przeciwko nam! — Pokazuję ręką na pustą ścianę i mówię głośno: — Albo-albo! Każdy musi zdecydować! — I dostrzegam rabatę płonących irysów, czuję w dłoni drżenie piersi Irenke. I przysięgam sobie: — Inaczej się do tego weźmiesz następnym razem!

Myśliwy, który siedzi w nogach łóżka, chce wiedzieć, dlaczego człapię tam i z powrotem jak niedźwiedź w klatce, przez piętnaście godzin dziennie. Już naciągnął sobie mięśnie karku i oczy wychodzą mu z orbit. Jest ciekawy, jak knur lochy dzika. Mam wreszcie wszystko opowiedzieć o poniedziałku, 5 maja. Niczego się nie dowiedział poza tym, że jeleni jest zdrowy. A tego, co mruczę sam do siebie w obcych językach, nie rozumie.

Ale ja zbywam go machnięciem ręki. Minęło tyle dni. Jestem pełen zniecierpliwienia: kiedy towarzysze z góry przyślą po mnie? Już choćby po to, żeby niebezpiecznie spiętrzony czas znowu zaczął płynąć, poniósł mnie jak najdalej od tego, co było, daleko od mojego świata.

Zawsze wycofywałem się przed wyborem albo-albo, jak podczas tamtego wieczorku literackiego, z ukrytym ostrzem walki klas, które wszystkich zraniło, ale nikogo nie nawróciło. A „towarzyszko” potrafiłem się zwrócić jedynie do Irenke Simon, i to pod przymusem.

Choć mimo to byłem z nią potem w kinie.

Radziecki bohater Matrosow własnym ciałem zastania gniazdo niemieckich karabinów maszynowych i ratuje swoją kompanię. Piękna śmierć dla wyższych celów. Zazdrościłem mu, gdyż w kinie nie przychodziło mi do głowy nic, przed

czym mógłbym się ustawić, żebym podziurawiony strzałami jak sito mógł wyzionąć ducha dla wyższych celów. Nie nasuwało się nic, dla czego chciałbym ponieść bohaterską śmierć. Z tego powodu ogarnął mnie bezbrzeżny smutek. Położyłem lewą rękę na kolanie Irenke, co nie było trudne: jej skórzana spódnica podjechała do góry, odsłaniając brzeg pończoch, gdzie w nerwowym migocie kinowych świateł drżały jej uda. Wyżej nie odważyłem się sięgnąć, gdyż Irenke Simon nosiła się wprawdzie jak wielka dama, ale równocześnie była potężną towarzyszką. I nie pragnąłem tego aż tak bardzo, z ogrodu mojego dzieciństwa miałem jeszcze przed oczami, jakie podniety czekają na mnie wyżej i głębiej.

Siedzę na podłodze i czekam na posłańców z góry, jak gdybym obawiał się recydywy. Ale moi panowie i władcy milczą.

Niebezpiecznie uwodzicielska staje się przeszłość. Jeśli porzucam burżuazyjne fragmenty wspomnień, co mi tutaj zostanie? Prawie nic. A z myślami jest jeszcze gorzej: ich nie można posegregować, one po prostu są w głowie.

Nie, nie, to życiowa decyzja, raz na zawsze, nie ma powrotu. Czy stanie się historią, którą będzie się opowiadać jako wzorcowy proces, czy też będzie przemilczana jako straszna tajemnica, stanie się mitem. Mit mówi o czymś, co oprócz „jest” zawiera także „nie ma”. O czymś, co dlatego jedynie, że się zdarzyło, nie jest już tym, czym jest.

Próbuję podejść do tego od drugiej strony. Z rodzinnej biografii wyciągam wydarzenia, dzięki którym, mimo naszego burżuazyjnego stylu życia, mógłbym tutaj, w tym miejscu, przetrwać. Wzorcowe historie, na najlepszej drodze, by stać się mitem, które wyglądały tak, a może nie tak.

Poczynając od rzeczy małych: nigdy nie miałem problemu z tym, że niektórym kolegom szkolnym powodziło się gorzej

niż nam. Nie zauważałem tego. Widziałem tylko, że mieszkają i żyją inaczej niż my. Co czasami trochę przeszkadzało.

Przeszkadzało na przykład, że u Gebharta, syna szewca Schüsslera, kuchnia była ciemna i tak mała, że nie mogliśmy dokończyć naszego ogromnego latawca, stelaż dotykał sufitu, a ogon wylewał się przez drzwi na wąskie podwórko. A lampa w kącie przy stole kuchennym była tak słaba, że musieliśmy zapalić świecę. To było denerwujące. „Chodźcie, idziemy do nas, w sali do ping-ponga mamy dość miejsca i jest jasno”.

Ale to, że u mojego najlepszego przyjaciela, Johanna Adolfa Bedinera, którego ojciec pracował jako kominiarz, było tylko jedno pomieszczenie kuchenne-mieszkalne, wydawało mi się czymś wspaniałym. Już po przekroczeniu progu mogłem jednym spojrzeniem ogarnąć wszystko, co chciałem widzieć. Choć byłem trochę zawstydzony, że w bibliotece Bedinerów oprócz dwudziestu czerwonych kryminałów z serii wydawnictwa Ullstein nie było innych książek. Zawsze przerażał mnie widok ojca Johanna, kiedy otwierałem kuchenne drzwi i widziałem go siedzącego przy stole. Wynikało to stąd, że ten na co dzień czarny mężczyzna nosił śnieżnobiałe koszule, miał czyste ręce i taki sam kolor twarzy jak wszyscy. Pił herbatę miętową z wódką, co, choć raczej niezwykle, w pewien sposób działało na mnie uspokajająco. Byłem mu też wdzięczny, że nigdy nie odezwał się do mnie ani słowem.

Dopiero Annemarie Schönmund, której spojrzenie bezlitośnie wyłapywało wszelkie nierówności społeczne, otworzyła mi oczy. Czyniła to w sposób szyderczy, triumfująco, bezwzględnie i tak oskarżycielskim tonem, że wstydziłem się swoich zabawek, naszych balów w domu, a czasem nawet matki i ojca.

Lecz mimo to przeszedł mi apetyt, kiedy w wagonie restauracyjnym przejeżdżaliśmy obok kopalni w Rupei, w drodze

do Kronstadt na wakacje. Wujek Annemarie, Schorsch Untch, przewodniczący kołchozu w Kreuzbach, zabrał nas z Klausenburga, Annemarie, mnie, jej brata Herwalda i jego narzeczoną, Piroską Kiss. Dzielny ten człowiek korzystał z kilku dni urlopu przed letnim sezonem prac polowych. I zawsze był bardzo hojny: fundował operetkę i restauracje, podróż pociągiem pierwszą klasą i posiłek w wagonie restauracyjnym. Kiedy pociąg opuszczał stację, a my musieliśmy zasłaniać oczy przed nieznośną jasnością kamieniołomów, na wysokości okien zobaczyliśmy ludzi, kobiety i mężczyzn, znanych nam z Kronstadt, którzy zagłądali do środka. Łomami usiłowali przesunąć blok wapienia. Zatrzymali się na chwilę, pełnym niedowierzania wzrokiem spoglądając na nasz bogato zastawiony stół, który przesunął się obok nich. Przestraszony chciałem się ukryć, żeby tylko mnie nie rozpoznali. Na Boga, przecież to fabrykant doktor Schmutzler i hurtownik Ceghergianian z żonami! I pan von Schobel z Tannenau. Powiedziałem:

— To przecież nieludzkie, że oni tak tu muszą harować!

— Nieludzkie? — powtórzyła Annemarie przeciągle, z zaciekawieniem przyglądając się scenerii. — Sprawiedliwości stało się zadość! Wreszcie pojęli, co to znaczy pracować.

Wuj Schorsch westchnął:

— Ależ z nich byli panowie. Już dwa lata tu są. Tak, tak, czasy się zmieniają.

Herwald, student teologii i poeta, zauważył:

— Jak dzieci Izraela w egipskiej niewoli. — I zwrócił się do Piroski, swojej węgierskiej narzeczonej, też studentki teologii: — Co myślisz o tej opalonej na brązowo łysinie?

— Błyszczący jak czekoladowe jajo wielkanocne.

— Ach tak? Dla mnie to raczej obraz tragizmu: łysina i łom, okulary i kamieniołom.

Annemarie zakończyła tę rozmowę, a w tym czasie czekoladowa głowa pana von Schobela zniknęła w wapiennym pyłe:

— Teraz ich kolej. To sprawiedliwość wyrównawcza. Ale ona nie spada z nieba. Musi zostać wywalczona przez poniżonych i wykorzystywanych. Mnie córki tych ludzi nigdy nie zapraszały na swoje przyjęcia urodzinowe, bo byliśmy za biedni i nędznie mieszkaliśmy.

U nas, kiedy w domu z lwami wyprawialiśmy urodziny, tak nie było. Zapraszaliśmy wszystkich kolegów i koleżanki ze szkoły, bez względu na pochodzenie społeczne, przynależność narodową, rasę i religię, jak to dziś jest jasno wyrażone w konstytucji.

Renata Sigrid, jak ją czule nazywałem: z biciem serca czekałem, aż się pojawi. Kiedy przyjeżdżała ze swego majątku w kolasie albo klekoczącym wózkiem mleczarza, z daleka słyszeliśmy w naszych wąskich uliczkach podzwanianie baniek na mleko. Wiedzieliśmy o swojej niepojętej miłości, która mnie prawie kosztowała życie. Niemieccy lotnicy ostrzelali nasz ogród podczas klasowej potańcówki 23 sierpnia 1944 roku. Drasnęła mnie kula i upadłem. Zanim straciłem przytomność, zobaczyłem nad sobą czyjeś oczy. Czy to one uratowały mnie przed ostatecznym, ściągnęły z powrotem, tuż przed ósmym niebem? Alfa Renata Sigrid Marie Jeanne Binder von Hasensprung zu Neustift. Potem bez Hasensprung, tylko von Neustift, a w końcu, zanim rodzinę rozwiąło po świecie, po wejściu Rosjan, po prostu Binder.

Binder, jak miejski hycel i śmieciarz Adam Binder, który swą kaleką ręką perfekcyjnie opanował jedno i drugie: umiał powozić końmi i zarzucać psom pętlę na szyję. Jego córki, Amalie i Malvine, także należały do zaproszonych gości, choć nigdy nie było wiadomo, czy nie przyjdą ogolone na tyso i pachnące naftą — najlepszy sposób na pozbycie się wszy. Nie zabrakło także Karliego Feichtera, syna stolarza wyrabiającego trumny, którego przy białym walcu poprosiła do tańca

Henriette Kontesveller, córka aptekarza, choć była od niego o głowę wyższa.

Przyszli wszyscy: trzy rumuńskie koleżanki i jedna Ormianka, Ksenia Atamian, była też Żydówka, Judith Glückselig, choć już musiała opuścić niemiecką szkołę. Przyszła też Tatar-ka, Tatiana Sorokin. Związek Radziecki w miniaturze, można by powiedzieć.

Ale nie mogę pominąć faktu, że dla takich przyjęć zgromadzeni przy płocie gapie stanowili zagrożenie i trzeba ich było przeganiać. Mój brat Kurt Feliks strzelał do nich z łuku, wujek Erich usiłował dosięgnąć ołowianą gałką swojej spacerowej laski czarnych głów cygańskich dzieci, roześmianych twarzy małych uliczników. Zapraszało się jednak wszystkie dzieci, obojętne, czy przychodziły z kupionym na jarmarku grzebykiem, czy z jedwabnym krawatem w prezencie.

Myśliwy zatrzymuje mnie w nieustannych wędrówkach po celi, chce, żebym opowiedział mu jakąś historię. Pomaga mi ciałniej zawiązać spodnie na biodrach. Schudłem. Nie ma tutaj igieł ani nici, można by je wykorzystać jako broń. Nie opowiadam mu jednak historii z Irenke.

Pomogła mi kiedyś wygrać zakład z innymi dziećmi, po moich przechwałkach: „Schowam się tak, że nikt z was mnie nie znajdzie. Jeśli przegram zakład, możecie mnie przywiązać do pala męczeńskiego i wysmagać pokrzywami. Jeśli wygram, każdy z was stawia mi torcik ischlerski u Embachera”. Jako kryjówkę obrałem sobie położone w tylnej części ogrodu wyjście awaryjne z naszego schronu, o którym wiedzieli tylko mieszkańcy domu. Zawołałem:

— Idźcie do piwnicy i odliczajcie do stu. A potem mnie szukajcie!

Gdy dzieci się rozbiegły, nagle jakaś ręka schwyciła mnie za stopę i pociągnęła na trawnik za kępą irysów: delikatne kwiaty

z liśćmi o ostrych kantach od strony ogrodu stały wyprostowane jak sztachety w płocie, a z drugiej strony pochylały się nad sadzawką, na której brzegu opalała się nagusieńka Irenke.

— Szybko, mój chłopczyku. Tutaj nikt cię nie znajdzie, nawet twoja urocza matka! Jest tu dość miejsca dla nas obojga. — Ułożyła mnie przy swoim ciele. Leżałem tam na boku, ściśnięty. Brzuchem przywarłem do jej krągłego tyłka, w plecy drapały mnie liście irysów. — Siedź spokojnie! — nakazała. Po chwili ofuknęła mnie: — Przestać bębnić sercem w moje plecy, *urfi!* To mnie denerwuje. Twoje serce bije tak głośno, że słyszać je w całym ogrodzie. Weź się w garść.

Czyż mogłem bardziej wziąć się w garść, kiedy tak leżałem skulony w sobie, starając się panować nad rękami i nogami, zadowolony, że moje biodra opasują sztywne skórzane spodnie? Gdyż ze strachem i zachwytem odkryłem, że kobiety także z tyłu, choć są tam zbudowane podobnie jak my, są inne niż my, kiedy leży się tak blisko.

Gdy grupka młodzieży niebezpiecznie zbliżyła się do naszej kryjówki, Irenke usiadła, obnażona po samą pępek, i z godnością rozejrzała się na boki. Efekt tego był nader spektakularny: dziewczęta rozbiegły się z krzykiem na wszystkie strony, a chłopcy po cichu pochowali się w paprociach. Potem Irenke położyła się z powrotem, tym razem na plecach, wystawiając piersi i brzuch do góry, i powiedziała:

— To prezent urodzinowy dla ciebie. — Gdy mój podbródek na jej ramieniu zaczął drżeć, rzuciła: — Nie trzęś się tak! Przecież nie jest z ciebie żadna stara baba, tylko szykowny kawaler. Zagryź zęby! — Zagryzłem zęby. — Po dłuższej chwili Irenke odezwała się znowu: — A teraz wstań, przyjrzyj mi się i odejź, *urfi!* — Pozbierałem się i wstałem. Przyjrzałem się jej, jak chciała. I zgodnie z poleceniem odszedłem.

Zbieram punkty i dokładam do nich tę historię, choć z pewnym wahaniem. Ale to jednak coś znaczy, że ja, pański syn,

jak grzecznie nazywała mnie Irenke, wczłgałem się do niej, córki dozorczy, pod irysy, i że ona, wróg klasowy, uratowała mnie przed prześladowcami. I zaraz dodaję sobie jeszcze jeden punkt: przyjaźń z przedstawicielką proletariatu, Annemarie Schönmund, choć skończyła się dla mnie źle i jeszcze teraz może mieć fatalne konsekwencje.

A czy nie powinno liczyć się i to, że mój stryjeczny pradziadek Franz Hieronymus de Zilah, arystokrata ze starego węgierskiego rodu, umarł w przytułku dla ubogich, w gorszym położeniu niż ostatni proletariusz?

Dalej jednak szukam w pamięci. Przypomina mi się tamta historia z czeladnikiem, którego mój ojciec postanowił przyjąć i który miał zamieszkać u nas w domu. Młodzieniec dostał najlepszy pokój z oknami na południe i towarzyszył nam w jadalni przy wszystkich posiłkach. Miał na imię Emilian, Emilian Manda. Przychodził do stołu w czarnej siatce na głowie, pod którą lśniły włosy posmarowane zjełczałym olejem. Na nogach miał tylko skarpetki, jak każe rumuński zwyczaj, kiedy wchodzi się do eleganckich pomieszczeń. Jego stopy otaczał zapach potu. Z uśmiechem tłumaczył się, że ma śmierdzące stopy, bo takie dał mu Pan Bóg, *să fie cu pardon*. *Pardon* to było jedyne słowo, które rozumieliśmy wszyscy, gdyż dobrze mówić po rumuńsku potrafił tylko ojciec. Babcia kazała sobie podawać posiłki w pokoju ogrodowym. Nasza matka rozpyliła kiedyś perfumy, na co nasza siostrzyczka Elke Adele zwymiotowała. Zachowanie intruza przy jedzeniu też było nie do zniesienia: siorbał głośno, co jeszcze można było zrozumieć, bo zupa często była za gorąca i my też chętnie poszlibyśmy w jego ślady. Ale kiedy oblizywał nóż językiem, wycierał talerz kawałkami chleba i tłustym widelcem drapał się za uchem, i to przy każdym posiłku, wtedy uciekała nawet nasza matka. Kurt Feliks i ja nie chcieliśmy siadać z nim do stołu po tym, jak Emilian pewnego razu bez cienia wstydu i zażenowania pokazał nam

w swoim pokoju, jakież to przyjemne rzeczy dojrzewający młody mężczyzna może wyczyniać ze swoim przyrodzeniem, i to w biały dzień. Nawet u ojca odezwał się wrzód żołądka. Tylko Uwe — on zawsze miał strusi żołądek — wytrzymał. I Engelbert. Ten radził nam, żebyśmy traktowali Emiliana jako przywidzenie.

Pewnego dnia postrach zniknął. Babcia zdezynfekowała jego pokój, Jino zmyła podłogi, pani Sárkozi pod gołym niebem spaliła jego pościel. Świat znowu był w porządku. Eksperyment okazał się nieudany. Ale jako podjęta z dobrej woli próba przekroczenia barier klasowych powinien zostać umieszczony na mojej liście.

Również tamta historia z końca lat trzydziestych, kiedy byliśmy w Szentkeresztbánya, po niemiecku Karlshütte, na Szeklerszczyźnie, mogłaby odegrać tu jakąś rolę: nasza matka dzięki najzwyczajszemu samarytańskiemu uczynkowi zdobyła sobie wtedy dozgonną wdzięczność bulibaszy, cygańskiego barona, mieszkającego nad potokiem.

Mała cygańska dziewczynka wpadła pod koła jedynej ciężarówki w okolicy. I choć moja matka zdążyła złapać około dziesięcioletnie dziecko za kołnierz, dosięgnął je błotnik. Samochód potoczył się dalej w ślimaczym tempie, kierowca przypuszczalnie zasnął. Śliczna dziewczynka leżała na poboczu jak martwa. Mariska, nasza węgierska służąca, musiała zanieść ją do domu, burcząc przy tym: — Tyle zachodu z jednym cygańskim bachorem. Przecież oni mnożą się jak pchły. — Matka ocuciła dziewczynkę solami trzeźwiącymi, zdjęła jej biedny przyodziewek i wsadziła dziecko do wanny. Z jaką przyjemnością mała Cyganka przeciągała się w ciepłej wodzie! Potem ubrana w nasze chłopięce rzeczy, spodnie, kurteczkę, koszulę i podkolanówki, bez słowa podreptała do siebie. Towarzyszyliśmy jej do nabrzeżnych błoń. Potem z bezpiecznej odległości obserwowaliśmy cygański obóz.

Kilka dni później Mariska wpadła do pracowni matki, opowiadając nieskładnie, że jakiś wielmożny pan, wprawdzie żaden *grofur*, ale mężczyzna władczy jak książę i czarny jak zbójnicki herszt, chce rozmawiać z matką. I już zapowiedziany gość jednym krokiem znalazł się w pokoju, jego bujne ciało niemal przyparło wszystkich do ściany. Szastnął przed matką nogą: — *Csokolom a kezét, nagyságasszony*, całuję rączki łaskawej pani! — Rozejrzał się wkoło bystrym, fachowym spojrzeniem, zatrzymał nogą koło garncarskie i usiadł na stołku, który zniknął pod nim całkowicie. Posługując się szerokimi gestami i dźwięcznym głosem, rósł od słowa do słowa. Przyszedł, żeby podziękować. Ma ze sobą także prezent, stoi za drzwiami. Poza tym zaprasza łaskawą panią do odwiedzenia obozu cygańskiego nad strumieniem, kiedy tylko będzie miała ochotę, obu młodych panów także. Każdy zostanie przyjęty z najwyższą czcią. Również przez psy i świnie, które biegają sobie tam swobodnie jako wolne stworzenia boskie. Z zadowoleniem zauważył także, że nasz domowy pies nie jest przywiązany łańcuchem. I że nazywa się jak wielki bolszewicki minister spraw zagranicznych, Litwinow.

Cyganie i Sasi mają wiele wspólnego, jedni i drudzy są rzemieślnikami i rękodzielnikami, handlarzami i kupcami. Niepojęte jest, dlaczego pan Hitler wygnał Cyganów z Rzeszy, choć doskonale mówili po niemiecku i jako domokrażcy dostarczali wszystko swoim szanownym klientom do domu. I taka ich za to spotkała wdzięczność!

Jednym kopniakiem znowu wprawił w ruch koło garncarskie, przyłożył swój długi paznokciec do bezkształtnego naczynia glinianego i wyrzeźbił wzorek, nad którym nasza matka bezskutecznie się męczyła. Zło wisi w powietrzu, on to czuje, w moczu za przeproszeniem, ale nie tylko tam: ma też swoje źródła informacji. On się nie da wpuścić w maliny. Pan Antonescu, *conducător* w Bukareszcie, ma złe zamiary. Chce

wyłapać Cyganów i ich deportować. Ale oni przeżyją. Łaskawy Bóg obdarza ich dziećmi, całymi gromadami dzieci. Poza tym miłują bliźniego, jak nakazał Jezus Chrystus — tu przeżegnał się zamasyście trzy razy. Dbają o swych starych i chorych, póki nie wyzioną ducha. Dzieci swe kochają i hołubią, nawet te nienormalne czy głupie, bo Bóg najlepszy wszystkie dzieci bez różnicy zsyła jako błogosławieństwo dla rodziców. No i niewiele Cyganom trzeba, jak liliom na polu, jak ptakom na niebie. Zadowolają się tym, co Bóg miłosierny daje im jako chleb codzienny. I nie muszą się martwić o jutro. Kiedy zostaną wywiezieni, będą potrzebowali tylko strumienia z czystą wodą, dla człowieka i bydłęcia. I żeby dziewczice mogły się w nim kąpać przy pełni księżyca, aby były piękne i płodne. Do tego kawałek łąki dla kóz i koni, czasami zwalone drzewo na opał, żeby rozpalić wieczorne ognisko, nadbrzeżne wierzby z długimi, giętkimi wtkami, by pleść z nich kosze, i brzozowy zagajnik w pobliżu, by z jego gałęzi wyrabiać miotły. No i wioska z zamożnymi chłopami niezbyt daleko. Tak, i wtedy może ich zagnać, gdzie tylko Bóg miłosierny postanowi. Bo nawet włos nie spada człowiekowi z głowy bez jego woli! Wyrwał sobie garść włosów, żeby potwierdzić wszechwładzę Boga. I z zadumą ciągnął dalej:

— Ojczyzną to my jesteśmy dla siebie, jeden dla drugiego, a gwiazdy Pana Boga wszędzie są tak samo piękne. — Bulibasa wstał, sprawiając wrażenie jeszcze potężniejszego. Mówił szybko, jakby bał się pominąć coś ważnego: — Lekceważy się nas. RzUCA na nas oszczerstwa. ObrzUCA wyzwiskami. Ale czy jest las bez uschłych drzew? — Nie, nie ma takiego lasu. — A gdy my kogoś kochamy, to nie robimy mu krzywdy. Gdy mamy kogoś w naszym sercu, pójdziemy dla niego nawet w ogień. — Wysmarkał się, zatykając jedną dziurkę, a drugą wydmuchując smarki. Odchrząknął i splunął na podłogę, zaraz potem uprzejmie roztarł ślinę butem.

Na pożegnanie po ojcowsku położył mi na głowie rękę, aż masywny złoty pierścień na jego palcu zostawił ślad. Mojej matce ucałował z cmoknięciem dłoń. Potem władca wszystkich Cyganów z łąki nad rzeką podszedł do drzwi i sięgnął po prezent. Postawił przed nami małą Cyganeczkę Natalię, była na bosaka, ale schludnie ubrana w bluzkę i spódniczkę, pod pachą trzymała węzełek z naszymi chłopięcymi ubraniami. Uśmiechała się.

— To będzie wasza siostrzyczka. Bo dwoje dzieci to nie tylko za mało, to wręcz obraza Wszehmocnego i Miłosiernego. Tylko dwóch chłopców...

— Trzech, trzech chłopców — sprostowała matka, ale mężczyzna nie dał się zmylić.

— Ach, najstarszy syn Engelbert, no tak. — O nim wiadomo nad strumieniem, że nie jest rodzonym synem tego domu. Poza tym nigdy go nie ma, zawsze przebywa gdzie indziej, gdzieś w świecie. Tak, wiadomo nawet więcej...

— *Adieu* — rzuciła matka.

No właśnie! Czy nie liczy się też to, że moi rodzice wzięli na wychowanie całkiem obcego chłopca o nieznanym pochodzeniu? Dopiero gdy go zabrakło, naszego najstarszego brata Engelberta, dowiedzieliśmy się, że znaleźli go podczas spaceru w zasypanym śniegiem lesie. Ciepło opatulony leżał w krzakach, w które mój ojciec dla żartu uderzył laską: „Nigdy nie wiadomo, czy z krzaków nie wyskoczy zajac”. Wyskoczyło kwilenie noworodka. Moi rodzice wzięli go na wychowanie. Kim mógłbyć ten chłopiec, któremu matka nadała imię Engelbert? Synem zrozapczonej służącej? Wnukiem księcia Sárkány z Sommerburga? Może kimś innym? Ale moi rodzice wkrótce przestali szukać odpowiedzi na to pytanie. Gdy tylko obcy chłopiec pojawił się w domu, zaraz ustały wizyty lekarskie i wszelkie kuracje, i pani, kiedy nadszedł czas, urodziła swego najstarszego syna.

Engelbert zszedł ze świata tak, jak się na nim pojawił: podczas ćwiczeń oddziałów Instrukcja Premilitarä, w spokojnym okresie między odejściem Niemców a nadejściem Rosjan jesienią 1944 roku, wpadł do leśnego wąwozu. Niektórzy twierdzili, że szukał śmierci. Półbohater. Nic tam nie było jednoznaczne, pozostało wiele otwartych pytań. Wszyscy go ostrzegali, nawet *căpitan*, kiedy Engelbert bez wyraźnego rozkazu wszedł na kładkę nad wodospadem i zaczął na niej balansować, w drodze donikąd, wymachując ramionami, lekki i uśmiechnięty: „Przybądź, złocista radości...”. Jego ostatnie słowa brzmiały: „Nie martwcie się, wierzę w inteligencję materii”. Deska się złamała i pochłonęła go przepaść.

A na koniec najgorsze i najlepsze zarazem. Szewc Szész, który mieszkał na końcu wsi, był pijakiem. Rok po roku robił swojej żonie dziecko, które ona, gdy nadchodził czas, w mękach musiała wydawać na świat ze swego zmaltretowanego łona. Aż wreszcie uciekła przed tym w straszny sposób. Pewnego razu, karmiąc właśnie najmłodszego pędraka, odchyliła głowę do tyłu i umarła. Dziecko dalej ssało pierś, a jej mąż nie przestawał się awanturować. Stało się to akurat w chwili, kiedy przyszliśmy tam z matką, żeby przynieść jedzenie dla dzieci. Dopiero gdy zawinięte w gałgany niemowlę wypadło z objęć martwej kobiety, moja matka zrozumiała, co się stało. Zasłoniła mi oczy i wyprowadziła z domu szewca do sąsiadów, a potem sama wróciła do nieszczęsnej rodziny.

Moja matka wykarmiła to dziecko butelką ze smoczką, codziennie chodziła do niego po kilka razy. Nawet kiedy u nas zbierały się panie z towarzystwa, matka biegła do szewca, czego damy nie mogły pojąć. Potem szewc sam przychodził, żeby odbierać kleik owsiany i przecieraną zupkę jarzynową, zawsze punktualny i pokorny. Jednak gdy matka dowiedziała się, że wyrodny ojciec sam wszystko pożera, wysyłała z jedzeniem mnie. Chłopczyk witał mnie uśmiechem, kiedy pochylałem się

nad jego cuchnącym koszykiem. Podczas karmienia rodzeństwo chłopca ciasno nas otaczało, wszyscy milczący i głodni. Tylko stary mruczał ze swojego stołka:

— Jeszcze jednego głodomora mi tu hodujecie! Dla bogatych ludzi dobre uczynki to sport, jak gra w tenisa. Jak im przejdzie ochota, to przestają. A biedak może tylko być zły albo zdechnąć!

21

Uwodzicielska przeszłość... Nigdy już nie będzie Sarasatego, kołacze mi się po głowie. Nigdy więcej muzyki Sarasatego w salonie z matką przy fortepianie i doktorem Schilfertem grającym na skrzypcach... Siadam przy myśliwym, co jest zakazane, obejmuję go za szyję, czego też tu zabraniają, i zapewniam nas obu:

— Drogi towarzyszu Władzie, czy to nie jest cudowne, że budujemy świat, w którym nikt już nie będzie musiał głodować, w którym każdy będzie mógł mieć wszystko?

— To jest prawda! — krzyczy myśliwy. Muszę zasłonić mu ręką usta. Krzyk jest zabroniony.

— Jaka prawda? — pytam szeptem.

— To jest prawda — słycać bełkotliwie spod mojej dłoni. Odpycha ją i szepcze: — Jakbym nie zdradzał mojej Mini z innymi babami, toby mnie tutaj nie było. Biada temu, kto nie słucha partii! Biada, biada...

O mały włos nie dosłyszelibyśmy odgłosu rygli. Ledwie ustawiliśmy się twarzami do ściany, otwierają się drzwi. Czekamy w napięciu, co teraz nastąpi. Po dłuższej chwili słyszymy lekko zakłopotany ton. Głos, który wydaje mi się znajomy, mówi: — Odwróćcie się do mnie. — W samym

środku aresztanckiej celi widzimy wciśniętego między łożka *căpitana* Gavriiloiu. Zamiast eleganckiego ubrania cywilnego ma na sobie mundur. Na nogach ciężkie buty wojskowe, jakby wybierał się w długą drogę. Nie zdejmuje czapki z daszkiem o płaskim jak talerz denku w kolorze błękitu Securitate, choć wszedł do obcego mieszkania. Nie pozdrawia nas także. Jego wizyta przypomina trochę tamtego jelenia: wspaniały wygląd, lecz przy tym sraczka i katar. My również nie potrafimy się odpowiednio znaleźć, nawet nie mówimy: Niech pan usiądzie.

Oficer trzyma w dłoni trzy książki, które podaje mi bez słowa. To trylogia *Droga przez mękę*, po rumuńsku. Razem z myśliwym stoimy pod tylną ścianą i nie spuszcza my oka z marsowego mężczyzny. Ten zaś rozgląda się na boki, choć tylko jego oczy pod sterzącym daszkiem czapki wykonują koliste ruchy. Prawie niepostrzeżenie kapitan przysuwa do siebie czubki butów i ze skierowanymi do środka stopami przypomina zawstydzone dziecko z przedszkola. Rozumiemy, że nie czuje się tu dobrze, ale nie umiając tego ukryć, popełnia błąd. Drzwi są otwarte. Na zewnątrz stoi strażnik w kapciach i pilnuje. Na skinienie wchodzi z człapaniem do środka, pod pachą ma stos broszur. Nie może podejść do stołu, gdyż stoimy mu na drodze, rzuca je więc na moje łożko. *Munca de Partid*. Robota partyjna. Kapitan mówi zagadkowo:

— *Pentru a te familiariza*, czuj się jak u siebie w domu. — Czy muszę podziękować? Nie wiem. W końcu pyta, czy dobrze się czuję w tej pustelni.

— *Extraordinar* — odpowiadam.

Jeszcze raz rozgląda się po celi, poprawia pasek i biegnący ukośnie przez pierś rzemień, palcami dotyka brzegu czapki. Czyżby chciał zaszalutować? Tylko poprawia czapkę tak, że się nieco przekrzywia. Z krzywo siedzącym nakryciem głowy, lecz w nienagannie leżącym mundurze wychodzi z pomieszczenia, bez słowa pożegnania, tak samo jak przyszedł.

Calvarul, Droga przez mękę, wszystkie trzy tomy połykam w ciągu następných kilku dni, ku wielkiemu niezadowoleniu myśliwego, który gada cały dzień, a jednak nie może porozmawiać. Nie jestem w stanie do nikogo się odezwać. Aleksy Tołstoj: jak trafnie przedstawia burżuazyjne środowisko i dwie rozpieszczone siostry pędzące próżniacze życie, póki rewolucja w 1917 roku krwawo nie kładzie temu kresu. Siostry i ich mężowie, którzy na początku walczą w przeciwnych obozach, białogwardzistów i czerwonych, przeżywają niezwykle losy. W końcu odnajdują się po wielu bolesnych doświadczeniach, uwolnione od burżuazyjnych tęsknot i mnóstwa niewygodnych pamiątek. Na końcu książki słuchają Stalina we własnej osobie, gdy z wysokiej trybuny przemawia do mas, ogarnia je przy tym dreszcz zachwytu i uwielbienia. Młodsza, Daria, ma przy tym wizję: daleko na Uralu widzi drewnianą chatkę zbudowaną ze świeżych żywicznych bali. Tam chce mieszkać ze swym mężem Tieleginem i pracować dla nowego porządku, wychować dużo dzieci w duchu socjalizmu i umrzeć w poczuciu szczęścia, żegnana przez pogrążonych w smutku towarzyszy i kompanów, opłakiwana przez synów i córki oraz liczne wnuki w czerwonych krawatach.

Opuszczam książkę, przechodzę ze smugi skąpego światła, płynącej z góry, do szarości celi. Dopada mnie dojmująca tęsknota za takim drewnianym domem, gdzieś w mojej ojczyźnie. Może w Górach Zachodnich? Już od dawna myśliwy powtarza, że powinno się tam zbudować linię kolejową, a jako aktywista partyjny i agitator dobrze się orientuje. Mieszkańcy Gór Zachodnich, jak twierdzi, to najbiedniejsi z biednych: Maria Teresa i jej córki sprowadziły na nich epidemię syfilisu, potem Węgrzy zabrali im język ojczysty. A rumuński król Ferdynand? On wprowadził koronował się w Alba Julia w 1922 roku, ale poza tym nie kiwnął nawet palcem. „Linia kolejowa jest konieczna!”. Powody są niejasne, ale pomysł wydaje się interesujący.

Widzę przed sobą tę drewnianą chatę, wysoko na zboczu góry, w środku zimy, w dziczy, obok wijących się torów kolejowych. Pnie świerkowe są tak świeże, że przy wieczornym ogniu wypływa z nich żywica. Czuję zapach i smak, mogę dotknąć wszystkiego, tylko niczego nie słyszę. Po skończonej pracy wchodzimy do wyziębionego domu, ona i ja, najpierw ogarnia nas słodki zapach gnicia. To aromat starych jabłek, woń rozkładu, która odurza nasze zmysły. Jabłka leżą na drewnianych półkach w ścianie, aż po sam sufit. Dopiero po rozpaleniu ognia izbę wypełnia zapach żywicy. Ale w powietrzu pozostaje lekka nuta fermentacji i wczesnej śmierci. W tej mieszance narkotycznych zapachów spędzamy nocę w obszernym chłopskim łożu, świeżo pomalowanym na kolor czerwony i brązowy. Otwarty bok łóżka przysunąłem do ceglanego pieca. Jeśli ona, dla której muszę jeszcze wymyślić imię, marznie w kolana czy ma zimne stopy, przykładam je do rozgrzanych cegieł. A z tyłu ja ją grzeję całym ciałem. Pograżona we śnie oddycha powietrzem gęstym od rozkosznych aromatów. Głowę złożyła w zgięciu mojego prawego ramienia, jej policzek jest rozgrzany z emocji i ze snu. Ale ja czuwam, nie chcę spać, gdy noc pełna jest takiej zmysłowości. Twarz schowałem w jej włosach, rozkosznie rozrzuconych na poduszce. Lewą dłońią pieszczę jej pierś, która łagodnie poddaje się czulej grze moich palców. Czasami gładzę całe jej ciało, dotykam wszystkich wypukłości i zagłębień i zatrzymuję się na dłużej w puszystym labiryncie łona. Wokół chaty szaleje burza śnieżna, wilki nieprzerwanie wyją swoje lamenty, a my budzimy się i zasypiamy. A jutro znowu czeka nas dzień pracy, w cieniu kolejnej nocy...

Mniej podniecające dla rojeń i fantazji okazują się broszury pod tytułem *Munca de Partid*. Ich język przypomina monotonne ogrodzenia z betonowych prefabrykatów wznoszone wokół fabryk i kołchozów. Ale jako człowiek, który ma się tu

zadomowić — *pentru a te familiariza* — staram się to sobie wytłumaczyć: w społeczeństwie bezklasowym, gdzie stosunki własności i relacje między ludźmi są uregulowane, język odgrywa coraz mniejszą rolę. Dlatego jego zredukowanie może stać się miernikiem postępów na drodze do komunizmu. A jeżeli komunizm jest stanem, w którym człowiek ma wszystko, czego mu potrzeba, a ponadto czego sobie życzy, nieporozumienia i sprzeczności rozwiązują się same z siebie, milkną wszelkie dialogi. Ludzie nie mają już nic do powiedzenia, bo nie ma czego omawiać — całkowity zanik słów. Ale to przecież oznacza śmierć, prawdziwą dehumanizację. Jak to? Komunizm, w konsekwencji... Zrywam się gwałtownie z łóżka, zaraz robi mi się czarno przed oczami. Przykładam głowę do zimnej ściany, żeby ochłodzić czoło. Znowu powracają wszystkie myśli, także te, których nie chcę i nie powinienem myśleć. Chciałbym w tej chwili spacerować po miejskim parku, pogrążony w rozmowie z — no właśnie, z kim? Wygadać się na temat tego zabójczego milczenia. Odkąd tu jesteśmy, nikt z nas nie został wyprowadzony na powietrze, na słońce. Tylko sarnom i jeleniom дано tę możliwość, mogą spacerować po rozległym terenie należącym do Securitate, pod ochroną murów i przywilejów.

Dość rozmyślań i lamentowania! Stalin zadał kiedyś Gorkiemu pytanie, czy jest możliwa miłość bliźniego w tak niesłychanie dzikiej bitwie. Gdzie jest miejsce na dobroć serca i wspaniałomyślność?

Strażnik otwiera klapę w drzwiach, kiwa na mnie, żebym podszedł, i wciska mi do ręki jakieś pisma, szczyrzy zęby — to coś nowego i wiele mówiącego — i znika bezszelestnie. Kilka numerów „Temps Nouveaux”, sowieckiego tygodnika. I po niemiecku: „Interna der Komintern” numer V/1938. Jako że w tym miejscu nic nie dzieje się bez wyraźnego powodu, przeczesuję gazety w poszukiwaniu zakodowanej wiadomości.

„Nowe Czasy” pochodzą sprzed dziesięciu lat. Nic, co by mi coś mówiło.

W „Internie” natrafiam na artykuł, który mógłby być przeznaczony dla mnie, sugerujący, jak powinien postępować pisarz komunista pochodzenia burżuazyjnego.

Od 4 do 9 września 1936 roku obradował w Moskwie zamknięty zjazd partii na wzór inkwizycji. Czytam relację z posiedzenia niemieckiej komisji sowieckiego związku pisarzy. Jakąż przyjemność ludzie rangi Friedricha Wolfa i Ericha Weinerta znajdowali w kompromitowaniu innych, ujawniali wszystko, co wiedzieli o przyjaciółach i ich żonach, kto z kim spał, kto był nieszczęśliwie zakochany — niedyskrecje i intymne szczegóły, które nie miały nic wspólnego z losami rewolucji światowej! Także Johannes R. Becher odżegnał się od swego burżuazyjnego wychowania, które przecież nie tylko pozwala przyswoić sobie maniery, ale też uczy, że plotki i obmowy są zakazane. Całe to donosicielstwo odbywało się nie pod groźbą okrutnych przesłuchań, ale raczej z potrzeby serca: „Mamy nie tylko prawo, ale także obowiązek, powiedzieć wszystko, co wiemy”.

Fakt, że owe dostojne osoby z taką łatwością przez swą plotkarską gadatliwość potrafiły stawiać pod pręgierzem kolegów i damy, wbijać im nóż w plecy, że ludzie ci do tego stopnia mogli oddalić się od siebie samych, być tak radykalnie inni, wyjaśnia się, kiedy czytam wypowiedź Stalina, że komuniści są szczególnym gatunkiem człowieka, armią wybrańców. Czyli można wysnuć z tego wniosek: ta szczególność wybrańców polega zapewne na tym, że komunista musi wyartykułować każdą swoją myśl, żadnej nie może zachować dla siebie.

Oświecenie i ratunek przychodzi wraz z niemal heretyckim zdaniem, które Friedrich Wolf odważył się wypowiedzieć przed gremium sędziowskim za czerwono nakrytym stołem, wiedząc, że może się w ten sposób pogрузić. Sens tego zdania

rozumiem dopiero po dwukrotnym przeczytaniu i trzykrotnym przemyśleniu: „Każdy człowiek, który działa dialektycznie, ma w głowie wszystkie myśli. Powstaje tylko pytanie, którą myśl ujawni”. Dość niebezpieczne są te zabawy myślowe dialektycznie działających ludzi. Nagle przez moją głowę przelatują najbardziej niedorzeczne kombinacje, na przykład: Lenin powiedział, że Bóg nie napełni wszystkich naczyń. Takie są myśli w mojej głowie.

Ale idę dalej. By zrozumieć pokrętne słowa Friedricha Wolfa, którymi tłumaczył w Moskwie swoją doktrynę, muszę rozłożyć jego wywód na części pierwsze i głośno sobie powtórzyć:

„To oczywiste, że człowiek jest winny”. To byłaby teza. Brzmi niemal biblijnie: człowiek jest zdecydowanie zły.

„Obok tego powstaje myśl, że człowiek jest niewinny”. Antyteza: człowiek jest dobry — idealistyczna reminiscencja.

„Ale przecież ta myśl, ona gdzieś tam jest... Tylko się nie ujawnia, jak ta natrętna myśl w obecności noworodka, żeby mocno nacisnąć jego czaszkę, wiedząc, że jest bardzo miękka. To jest normalne...”. Czy fakt, że potworne może być normalne, jest normalny? Może jako synteza w trójcy dialektyki.

„Myśl jest nienormalna tylko wtedy, gdy człowiek jej ulegnie”, kończy pisarz doktor Wolf.

Kiedy po dziesięciu dniach czekania i lektury stoję przed komisarzem w pokoju przesłuchań — tym razem cały ubrany jest na czarno, z krawatem włącznie — na jego biurku leżą teczki i zeszyty. Oślepiiony mruję oczy, tak bezlitośnie mają trwoni swe światło za zakratowanym oknem. Na zewnątrz ludzie wylegają się na zboczach Zinne, zanurzeni w zieleń trawy. Mężczyźni mają obnażone torsy, dziewczyny i kobiety podciągają bluzki i zawijają spódnice. Nie wiedzą, co nam przez to robią.

Po prawej stronie biurka rozpoznaję moje dzienniki, chronologicznie ułożone w stos. Na samym dole zeszyt w zielonej oprawie z czasów, kiedy jako dwunastolatek mieszkałem u babci, bo przez rok byłem uczniem szkoły Brunkenhala w Hermannstadt. Codziennie zapisywałem tajemnice mojego życia: co babcia podawała do jedzenia — potrawy według przepisów sprzed pierwszej wojny światowej, wspaniale pachnące i proste w smaku. Urażony notowałem, jak zawsze przed jedzeniem szczoteczką do paznokci szorowała moje „kłykie”, aż wszystkie bakcyle pouciekały w popłochu. Zapisywałem swoje oceny, coraz lepsze, kiedy już nikt więcej nie próbował nazywać mnie głupkiem z Fogaraszu. Spowiadałem się białym stronicom, że za plecami dziadków lub pod kołdrą czytałem książki *Polska krew* Nataly von Eschstruth i *Głos śnieżnych szczytów* Heinza Grabeina. Drżącą ręką opisałem też, jak zjeżdżając na sankach ku koszarom Kempela, o mały włos w bramie murów miejskich nie przejechałem dziewczynki, nie większej ode mnie, która spokojnie zatrzymała się i długą chwilę patrzyła na mnie w bardzo szczególny sposób swoimi szarymi oczami, a ja też się jej przyglądałem. To wszystko leży wyciągnięte na światło dzienne na biurku Securitate.

Lata szkolne w Fogaraszu: dwa grube zeszyty z okładkami w kratkę. Historia z najlepszym przyjacielem Johannem Adolfem Bedinerem i jej dziwne zakończenie. I Renata Sigrid.

Wyżej rzuca się w oczy okazały zeszyt, który babcia podarowała mi na confirmację: skórzany grzbiet, okładki z bordowego aksamitu i zameczek, teraz wyłamany. W nim utrwalone są złe lata po wejściu Rosjan, doświadczenie wywózek, samotności i śmierci. I niezwykle lata w rumuńskim Liceu Radu Negru Vodă.

Ostatnie klasy przed maturą w Kronstadt, szkoła Hontersa: zeszyt oprawiony w niebieskie woskowane płótno. Od Armgard.

Wreszcie zapiski studenta, zeszyt za zeszytem, przeważnie samodzielnie wykonane ze starego papieru firmowego.

Pytanie o odpowiednią przeszłość staje się zbędne. Tutaj wspomnienia będą sortowane według innych kryteriów, sumiennie i bez sentymentów.

Po lewej stronie biurka leżą teczki z otrzymanymi przeze mnie listami, również uporządkowane według roczników. Ostatni list, zawierający podziękowania za moje wysiłki w sprawie stworzenia projektu niemieckojęzycznego uniwersytetu w Klużu, dostałem krótko przed aresztowaniem, od towarzysza Antona Breitenhofera z Bukaresztu, członka Komitetu Centralnego Rumuńskiej Partii Robotniczej.

Mężczyzna w czerni pokazuje stosy zeszytów i teczek i mówi zmęczonym głosem:

— Czeka nas dużo pracy. — Podnosi wysoko notes w czarnej oprawie i wymachuje nim nad stertą papierów: — Widzi pan, tu mamy wszystkie nazwiska z tej pańskiej bazgrani-ny! — Potem pogrąża się w milczeniu. Wszystkie nazwiska... To są bliscy mi ludzie, którzy z pewnością nie do końca potrafili rozdzielić pomyślane i wypowiedziane.

Wszystko można pomyśleć, nie wszystko powiedzieć. Te słowa powtarzałem sobie, idąc tu po schodach. Ale jak pogodzić tę dialektyczną dewizę z moją propozycją, że będę mówił wszystko, o co zostaną zapytany? Nie chodzi tu, uspokajam się, o mówienie wszystkiego, co myślę, tylko tego, co wiem. Choć pożądane byłoby, żebym wiedział tylko tyle, ile tu już wiedzą, i żebym myślał tylko to, co można tu bez problemów wypowiedzieć.

— Pan wzdycha? — pyta komisarz, nie podnosząc wzroku. I wzdycha. Wreszcie odwraca się do mnie. — My też musimy nieść swój krzyż. — Krzyż i nieść... Takie słowa w jego ustach, niepokoi mnie to. — Ale teraz bierzmy się do roboty. — I dodaje cicho, jakby mówił do siebie, jednak zwraca się

do mnie: — My nigdy nie zrozumiemy was, Niemców. Nie macie pojęcia o dialektyce, choć jej *fondatori*, Hegel, Feuerbach i Engels, byli Niemcami. Dla was nie liczy się po prostu życie samym życiem. Jesteście szczęśliwi dopiero wtedy, kiedy życie staje się problemem, kiedy można o tym mówić. Tak samo te młode chłopaki, banda Töpfnera: zamiast używać życia ciałem i duszą, przesiadywali razem i tylko gadali, i gadali. Także o tym, jak można obalać reżimy. Ale nic nie zrobili. Tylko gadali. Z gadania ukręcili sobie pętlę na szyję. Więzienie to dla nich najodpowiedniejsze miejsce. Ma się dużo czasu na gadanie. — Wertuje mój niebieski zeszyt i mówi: — I wszystko jest przenoszone na papier. A cała praca potem spada na nas. Choć większość to wydumane problemy. Potraficie skomplikować nawet najnaturalniejsze sprawy. Na przykład, jak należy obchodzić się z kobietą. Na Boga, przecież tu wystarczy ciężka ręka. Albo czy to dopuszczalne, żeby uwieść dziewczynę i potem się z nią nie ożenić. Dlaczego nie, jeśli ona ma z tego przyjemność?. Albo czy *contact sexual* to zdrada małżeńska. Toż to śmieszne! Iść do łóżka z kobietą to jak umyć zęby. Nie istnieje nic bardziej naturalnego niż żonaty mężczyzna, który ma kochankę i regularnie do niej zachodzi. Jeśli tego nie robi, żona naciska na niego: idź do prostytutki, bo inaczej stracisz swą męską siłę i będziemy mieli nienormalne dzieci.

Poprawia czarny krawat, spogląda na godło republiki i ciągnie dalej łagodnym głosem, lecz ja mimo to się wzdrygam, muszę przyzwyczaić się do jego nowego głosu: to, że ponad cztery miesiące nie chciałem powiedzieć nic istotnego, a *declara ceva substanțial*, jest kaprysem, na który wspaniałomyślnie mi pozwalali. Powiniennem wystrzegać się nazywania swojej postawy oporem. Gdyż niemożliwe jest, żeby nie udało się im zmusić kogoś do mówienia. To prawda, w moim przypadku zaistniały niedorzeczne trudności, *difficultate absurdă*: nie tylko wzbraniałem się mówić, wzbraniałem się także żyć.

To był podstawowy problem tej sytuacji, coś jak pierwiastek z minus jeden. Ale im wszystko się udaje, jeśli tylko obiekt ich wysiłków nie jest całkowicie martwy, *mort de tot*. Na szczęście posłuchałem głosu rozsądku i z własnej woli zmieniłem nastawienie.

A teraz musi iść, bo w śmierci wszyscy są równi, od cesarza do proletariusza, od generała do żebraka. I jest to rażąca niesprawiedliwość. W moich zapiskach kilkakrotnie pojawiają się słowa „popęd śmierci”, w związku z leczeniem u doktora Nana de Racova. Do niedawna był przekonany, że istnieją tylko dwa popędy: *instinctul sexual*, *instinctul de conservare*. Ale od pewnego czasu jest w stanie zrozumieć, że ktoś może chcieć umrzeć, i to z głębi duszy. Chce, żebym przetłumaczył mu pewne fragmenty na ten temat z moich dzienników. Ale nie podaje mi zeszytów, tylko kilka kartek odbitych niebieskim tuszem na powielaczu. Do tego papier i ołówek, ale żadnych słowników. Żołnierz wyprowadza mnie do pustego pokoju obok.

Dotychczas tylko jedna osoba przeczytała moje dzienniki: psychiatra, doktor Kamil Nan de Racov, w Klausenburgu. Dwa razy w tygodniu zapraszał mnie na kozetkę, gdzie potem rozkładał mą duszę na czynniki pierwsze, oczyszczał mózg i naprawiał głowę. To Annemarie zaproponowała taką kurację. Procedura odbywała się w pokoju jadalnym rodziców doktora, który służył także jako gabinet przyjęć. Całą rodzinę byłego generała wojsk ck Rudolpha Octaviana Mircei Nana de Racova stłoczono w dwóch pokojach. Posiłki jadali w przedpokoju.

Leżałem na pluszowej sofie w kolorze fioletowym. Wzrokiem zaplątałem się w kinkiet z alabastrowymi aniołkami, których piersi były zamaskowanymi żarówkami. Mój nieskładny potok wymowy wznosił się jak wołanie do tych dam lekkich obyczajów z aureolą nad głową. Tymczasem doktor

w białym fartuchu, siedzący z tyłu, na ukos ode mnie, w fotelu z lwimi łapami, przysłuchiwał się i notował. Wiele zadziwiających rzeczy doktor Nan potrafił wydobyć z intymnych głębi dzienników na światło świadomości i nazwać po imieniu. Na początek stwierdził u mnie zakłócone pojęcie czasu. Oznacza to, że kieruję się tęsknotą śmierci, która pojawiła się w dzieciństwie pod wpływem groźby: Gdy przyjdą Rosjanie! „Jedynym ratunkiem dla pana było: nie być, *mon cher*”. Wzorcem stał się tu wieczór 23 sierpnia 1944 roku, twierdzi doktor, kiedy z własnej woli rzuciłem się pod serię z karabinu maszynowego niemieckiego lotnika.

Słuchałem go. Wierzyłem i nie wierzyłem. Nieskończona jest liczba przyczyn i przapaści.

Doktor Nan, który uporczywie łowił w mętnych wodach mojej psychiki, wydobywał na światło dzienne coraz to nowe skarby. Odkrył początki matrolarii.

— Co to jest?

— Kult matki, chorobliwe uwielbienie dla matki. — U mnie można je wytłumaczyć wydarzeniami po wejściu Rosjan, tym umieraniem na raty wszelkich mieszczkańskich egzystencji. Wyrzucenie z domu z kamiennymi lwami to było wygnanie z dzieciństwa. Od tego czasu czułem się bezdomny, chciałem uciec z powrotem do łona matki, tej uroczej histeryczki i damy w bieli.

Jego wypowiedzi na temat Annemarie budziły we mnie lęk.

— Dopiero kiedy się pozbędziesz tej Schönmund, staniesz się prawdziwym mężczyzną. — Nie trzeba być prorokiem, żeby przewidzieć, że związek z nią nie może się dobrze skończyć. Przeniosłem na nią moje pragnienie macierzyńskiej opieki. Znalazłem u niej ucieczkę, choć nie pasowała do mnie ani z powodu środowiska, ani typu. Bardziej odpowiednie dla mnie są młodsze, łatwiejsze do kształtowania typy dziewczęce,

pełne uroku niewinności, mające za sobą tę samą kindersztubę i podobne pochodzenie społeczne. Właśnie że nie, pomyślałem przekornie. I kiwnąłem twierdząco głową — błąd, ale w pozycji leżącej był to jednak duży wyczyn. — Jako opuszczona przez ojca, twoja Schönmund należy do tego dziwnego typu kobiet macierzyńskich, które nie znoszą dzieci. Dlatego nastawiona jest na manipulowanie i podporządkowywanie sobie innych, psa, brata, matki czy kochanka. Ale dla pana, *mon cher*, będącego po trosze Toniem Krögerem, po trosze małym panem Friedemannem, taka jak ta Schönmund jest całkiem wygodna w charakterze superego.

Doktor widział ją tylko raz, kiedy towarzyszyła mi podczas pierwszej wizyty u niego, i wydawało się, że mu to wystarczyło. Później poprosił, żebym mu kiedyś przyniósł jej zdjęcie. W kostiumie kąpielowym, chciał się jej dokładnie przyjrzeć.

— Staroświecki kostium, macierzyńskie obwisłe piersi, biodra stworzone do rodzenia dzieci, pośladki zmysłowe, bardzo mięsiste, szerokie u góry. Do tego nieokiełznane włosy i twarde spojrzenie — głowa meduzy. — Chciałem się podnieść i wyjść. Lecz bezwstydną ciałą aniołków nad moją głową nie rozjarzyły się jeszcze na pożegnanie. Doktor Kamil kontynuował swoje wyjaśnienia, a ja zacząłem się pocić ze zgrzyoty: — Kobieta, nawet ta macierzyńska, chce być kochana jako dziwka, a nie istota wyższa. To z wyższą istotą jest niemieckim wynalazkiem. Nic dziwnego, że w fantazji tej Schönmund kotłują się najdziksze wizje! Marzy na przykład o tym, że Cygan, zarośnięty od pępka aż pod brodę, porywa ją na koniu, ukrywa w lesie w rozpadlinie skalnej, wchodzi na nią noc w noc w swoim wozie, na trzeszczącej słomie, pod osłoną kolorowego płóciennego dachu, gdy pada deszcz, pohukuje sowa, a psy pod wozem szarpią się na łańcuchach. To wszystko jest opisane w pańskim dzienniku. — Opuściłem wzrok. Na okrągłym dębowym stole przede mną stała patera na owoce ze sztucznymi pomarańczami.

Jej srebrną nóżkę zdobił wygrawerowany herb rodzinny, czerwone raki w tańcu. Lekarz roześmiał się: — Jak też dziewczyna z przedmieścia potrafi wyobrazić sobie cygańskie życie!

Za całkowicie normalne lekarz uznał, że kiedy w błazeńskim przebraniu uciekłem przed nerwicą natręctw z teologii, nieustannie nazywałem Annemarie słowem dziwka, dziwka, dziwka. Każda kochanka jest dziwką, nawet jeśli w danej chwili sypia tylko z jednym mężczyzną. Gdy w jej fantazjach senny krąży zawsze jakiś inny, drugi mężczyzna, egzotyczny jak Cygan i nieosiągalny jak człowiek z księżycą.

Doktora Nana śmieszyły u nas, Niemców, te wszystkie romantyczne zachowania związane z deflorowaniem dziewicy. Opuścił swoje stanowisko za moimi plecami, zaczął ostrożnie przechadzać się między nagromadzonymi meblami, przemawiając melodyjnym głosem:

— Gwiazdy jak łyzy, nieskalany księżyc przysłonięty obłokami i, nie zapominajmy, sarenki u źródła. Niczym na tych kiczowatych makatkach, jakie widuje się u fryzjera czy cukiernika. — Podniosłem oczy na alabastrowe aniołki, unoszące się w powietrzu, wszystkie z takim samym pyzaty uśmiechem. — To typowo niemieckie, tyle ckliwości przy najnaturalniejszych w świecie sprawach. Narody łacińskie zaśmiewają się z czegoś takiego. — Gdy chodził do liceum, koledzy z jego klasy ostatnią nietkniętą jeszcze dziewicę z żeńskiej Szkoły imienia Princesy Ileany zanieśli wśród śpiewów i radosnych okrzyków do lasu i tam zrobili z niej kobietę. — I niech pan zgadnie, co ta młoda dama potem zrobiła?

— Rozpłakała się?

— Ależ skąd! Podziękowała im. I całe miasteczko odechnęło z ulgą.

Na zakończenie tej duszpasterskiej auskultacji doktor puszczał płytę — gramofon miał tubę i był obsługiwany mechanicznie: czasem uwertury Wagnera, *Tristana i Izoldę*, częściej

Tannhäusera. Przy ostatnim utworze mruczał coś niezrozumiałego, gdy chór pielgrzymów majestatycznie przepływał nad Hörselbergiem, nie poddając się zmysłowemu *pizzicato* skrzypiec, prowokującym pokusom Wenus z podziemia. Często słuchaliśmy *Dyla Sowizdrzała* Richarda Straussa. Doktor oklaskiwał muzykę, kiedy klarnety swymi trelami towarzyszyły psikusom Dyla, jakby robiły pocieszne miny. I nie mógł się opanować w miejscach, kiedy puzy i rogi obwieszczały, że Dyl po niezwykle surowym przesłuchaniu został skazany na śmierć.

— *Vanitas vitae!* Niech pan nastawi uszu, teraz ten pocziwy figlarz zostanie powieszony. Z jakimi zabawnymi westchnieniami opuszcza go dusza! Właśnie tak trzeba umierać, jako kłown, który uśmiechnięty tańczy nad przepaścią i ze śmiechem w nią wpada. Jak Jezus!

Siedzę w pokoju przesłuchań. Dalekie słońce przetacza się po niebie, a ja czuję głód. Wreszcie ktoś otwiera drzwi. Wchodzi komisarz, nadal w stroju żałobnika, ale w wybornym humorze, krawat ma przekrzywiony, policzki zarumienione, w oczach radosne błyski. Musiał to być „piękny pogrzeb”, z hojną stypą i częstym wznoszeniem kieliszków. Mężczyzna w czerni zbiera moje notatki o śmierci i tęsknocie, nawet na nie nie spoglądając, rozsiada się w fotelu i drapie między nogami, jest to sygnał znany mi z tamtych brutalnych nocy: spotkanie się kończy. Oficer klaszcze w ręce. Pojawia się strażnik, przygotowuje mnie do odmaszerowania. Ale rozbawiony mężczyzna klaszcze dalej, w rytmie marsza weselnego.

Gdy tylko założyłem okulary i uczepiony ramienia strażnika przeszedłem ostrożnie parę kroków, klaskanie zmienia się, staje się rozkazujące. Żołnierz natychmiast zawraca.

— Niech pan zdejmie okulary i siądzie przy swoim stole! — rozkazuje oficer urzędowym głosem. To jest pokój

nocnych przesłuchań. — Co pan na to powie? — Strażnik podaje mi zdjęcie. — Niech pan opisz swoje uczucia. — Dotychczas jedynie doktor Nan żądał ode mnie czegoś takiego: reagowania uczuciami na zdjęcia. Scena na fotografii jest znana z kursów języka rosyjskiego i zebrań związku młodzieży: Zoja Kosmodemjanska, radziecka dziewczyna-partyzant, w drodze na szafot. Nigdy jeszcze ten obraz nie zrobił na mnie tak strasznego wrażenia: grupa niemieckich żołnierzy prowadzi młodą dziewczynę o pełnych kształtach, z warkoczami i promiennymi oczami. Uderza mnie nieubłagany kontrast między zachowaniem dziewczyny — Zoja, Zoe, czy to nie znaczy „życie”? — zamaszystym krokiem prawie niecierpliwie idącej w swoją ostatnią drogę, dumnie i pogodnie, a tępyimi twarzami żołnierzy, którzy obojętnie człapią obok skazanej. Jak to? Czyż nie rozumiecie, że prowadzicie na śmierć piękny kwiat człowieczy?

Jako że tym razem poruszają mnie jednoznaczne myśli i szczere wrażenia, uwalniam je z głowy i duszy. Wstydzę się, że jako dziecko wiwatowałem na cześć tych żołnierzy w mundurach feldgrau i oddałem im całe moje serce. Muszę się jednak przewyciężyć, by opowiedzieć sztywno siedzącemu przede mną mężczyźnie, co mnie porusza. Czyż to nie ten sam człowiek jeszcze niedawno bił mnie do krwi? Oficer kiwa mechanicznie głową. Odwraca się od sceny egzekucji, staje w oknie i zasłania rozlewający się po niebie wieczorny żar. Ale ja jestem tak wzruszony, że czuję, jakbym szedł razem ze skazaną, przykuty kajdankami do przegubu jej ręki, z towarzyszką ze Związku Radzieckiego — mogłaby być moją siostrą.

Mężczyzna przy oknie nie klaszcze. Ruchem ręki przegania nas obu. Strażnik i tak go rozumie. Ostrożnie, krok za krokiem, prowadzi mnie do pogrążonej w półmroku celi, gdzie myśliwy niecierpliwie czeka na mnie z obiadem i kolacją: do miski z zupą fasolową dodał duszoną kapustę i krupy.

W zielonkawym zmierzchu leżę rozciągnięty na łóżku, czas pozostawiam swojemu biegowi, i z oczami skierowanymi gdziekolwiek przyglądam się mojej siostrze Elke Adele. Wydaje mi się inna niż na tamtym zdjęciu sprzed roku, które przy mnie znaleziono. Dwie czarne postacie próbują utopić ją w nocnej rzece.

W gorące letnie noce biegaliśmy z domu w strojach kąpielowych prosto do Aluty, często była z nami nasza matka. W letniej wodzie pływaliśmy z położonego wyżej kąpieliska w dół rzeki. Albo, stojąc w wodzie, pozwalaliśmy, by niósł nas nurt, przy czym stopami ledwie muskaliśmy piasek na dnie. Przy ujściu strumienia, który odprowadzał do rzeki cały brud miasteczka, tworzyły się groźne wiry i leje. Ratowaliśmy się przed nimi ucieczką na brzeg i lekko marznąc, biegliśmy do domu. Kiedy byliśmy tam sami, w gronie rodzeństwa, kąpałiśmy się nago.

Miejsce, w którym strumień łączył się z Alutą, było nie tylko niebezpieczne, było także obrzydliwe. Gdy prąd wody porywał kogoś z nas, jego stopy zaplątywały się w jelita zwierząt, oślizgłe żołądki, rogi i kopyta. Ostatnim budynkiem przy Luthergasse, wzdłuż której płynął strumień, była rzeźnia. Tam wrzucano do rzeki wnętrzności zabijanych zwierząt. Spływała do niej także krew i zabarwiała wodę na różowo.

Widziałem, jak moja siostra walczy, słyszałem jej krzyk: „Pomóż mi!”. Pomiędzy okrzykami dwie ogromne ręce wciskały jej głowę pod wodę. Biegłem zarośniętą ścieżką na brzegu, lecz nie mogłem z niej zejść, żeby wskoczyć do wody. Przeciwko mnie sprzysiągł się gąszcz kolczastych zarośli. Głóg, czerwone ciernie igliczni, dzika róża i akacja wpijały mi się w ciało. Moja skóra pokryła się krwawymi zadrapaniami. Biegłem tak i biegłem, krzycząc: „Nie możesz im się poddać!”.

Myśliwy potrząsaniem budzi mnie ze snu:

— Śpisz z otwartymi oczami jak zając i mamrocześ przez sen jak jakiś lubieżny staruch.

Następnego dnia rygle odzywają się o całkiem dogodnej porze, po śniadaniu. Ostrożnie prowadzą mnie na wyższe piętra. Zewnętrznie kapitan zdaje się niezmienny, jak w poprzednich miesiącach. Do eleganckiej zielonej marynarki nosi sztruksowe spodnie. Do tego mokasyny i skarpety w paski. Jedyne czarny krawat, luźno zawiązany, odcina się zdecydowanie od fiołkowobłękitnej koszuli. Jego głos brzmi tak przyjaźnie, że zaczynam się bać. Na biurku nie ma już zeszytów ani teczek. Tylko notes z nazwiskami leży jakby przypadkiem na skraju blatu, a na środku trzy zielone linijki układają się w trójkąt równoramienny, prosta figura geometryczna o dobrych proporcjach.

— Najwyraźniej wydawało się panu — zaczyna tonem pogawędki — że może nas pan wodzić za nos, co bardzo nas ubawiło. — Do jakiego stopnia wszystko w moich wypowiedziach jest wierutnym kłamstwem i zmyśleniem, sprawdzono metodą wyrywkowych badań. Spogląda na mnie bystrymi oczami, już bez śladu żałoby, tylko zaczerwienione spojówki przypominają o śmierci. I pyta głosem, który brzmi prawie tak jak przedtem: — Kiedy czytałeś *Ostatnich jeźdźców...* tego... — przerywa i chwyta czarny notes.

— Dwingera, Edwina Ericha Dwingera — śpieszę z pomocą. — Kiedy czytałem? —Przełykam ślinę, tym razem mówię prawdę: — W 1956 roku, nad Jeziorem Świętej Anny. — O to wcale nie pytał, uświadamiam sobie. I szybko dodaję: — Jest to jedyne jezioro kraterowe w republice ludowej. Jezioro słodkowodne w wygasłym wulkanie. Otoczone źródłami.

— Ach, Jezioro Świętej Anny. Ma pan szczęście, że przegapił pan tamte zjazdy Sasów. — Tak, przegapiłem je. Ilekroć słyzałem o tych spotkaniach, odbywających się zawsze podczas

zrównania dnia z nocą, serce mocniej mi biło, ale jakieś nieprzyjemne przecucie powstrzymało mnie przed uczestnictwem. Pomijając fakt, że wtedy mieliśmy nasze praktyki studenckie nad rzeką i że moją ulubioną porą roku jest wczesna jesień. — Faszystowski tydzień śpiewów i zabaw pod przewodnictwem tego muzykanta Einara Hügela i jego brata Hugo, barda o rozdwojonym języku. Znasz ich obu. — Milczę. — *Un maniac*, ten Einar Hügel, szaleniec. Dyryguje jak feldfobel z SS. I właśnie dlatego potrafi porwać młodzież. Obaj bracia przesiąkli nazizmem do szpiku kości, przez matkę i ojca. Czy wie pan, co ci braciszkwowie urządzali tam każdego lata?

Czy muszę wiedzieć, skoro mnie przy tym nie było?

— Chcieli podpalić jezioro. Rozpalili stos ułożony na tratwie. Setki waszych studentów i uczniów tam się zebrały, śpiewając hitlerowskie piosenki. — Właśnie, znowu to złowieszcze słowo „studenci”. Postanawiam nie okazywać żadnej reakcji. — Przyjrzyj się temu! — Kapitan kiwa na mnie, bym podszedł bliżej. Mogę opuścić swój stolik i wziąć od komisarza kartkę. Gdy znowu siadam w swoim kącie, słyszę szorstki rozkaz: — *Traduce!*

Na kartce napisane jest staroświeckim pismem: „Ustawcie się czwórkami i uderzcie w bęben, tysiąc maszeruje, a wiedzie nas jeden!”. I tytuły pieśni: *Niech płomień strzela w górę!, Drżą spróchniałe kości, Czarnobrzazowy jest orzech laskowy*. I inne pieśni organizacji młodzieży męskiej i żeńskiej, wszystkie dobrze mi znane. Na końcu widzę podkreślone zdania, czytam: „Pamiętajcie! Co mnie nie zabije, uczyni mnie silniejszym”. I jeszcze: „Prawdziwa niemiecka dziewczyna, z nordyckim blond warkoczem, potrafi wziąć się w garść, choć serce z miłości trzepocze. Prawdziwy niemiecki chłopiec umie opanować swój język. Gdy dręczy go ból srogi, on tylko zagryza zęby”.

— Czy to są postępowe pieśni i hasła, których bracia Hügel uczyli młodych Sasów? — I zanim jestem w stanie

odpowiedzieć, mówi dalej: — Gdzie odbywały się te antypaństwowe spotkania? W samym środku naszej ludowej republiki. A kiedy, proszę bardzo? Podczas światowej rewolucji. Tolerowaliśmy to w milczeniu, mając nadzieję, że się wreszcie sami zreflektujecie. A wiesz, kto sklecił te bzdury tutaj? — Nie wiem, ale mogę sobie wyobrazić. — Twój Hugo Hügél, z którego zrobiłeś komunistę. — Podchodzi do okna, przegląda się w szybie, zdejmuje krawat i zawiązuje go sobie na nowo, w windsorski węzeł. — Tak! — Mnie także bardziej się tak podoba. — Poza tym wy, Sasi, jesteście jak szarańcza. Gdy tylko ktoś z nas chce pobycć sobie na łonie natury, zaraz trafia na was, w tyrolskich strojach i sukienkach chłopkach, z gitarą i skocznymi piosenkami. Zajmujecie najlepsze miejsca: na łące nad strumieniem czy w lesie na polanie, czy też nad jeziorami lodowcowymi i w górskich chatach, wszędzie można się o was potknąć. Nawet drogi są zatłoczone stadami waszych rowerzystów, w krótkich spodniach i z rozwianymi spódniami. Dla nas, Rumunów, nie ma miejsca w naszym własnym kraju. — Nigdy tak na to nie patrzyłem. Czuję nieprzyjemne ukłucie. — Poprzednim razem powiedział pan, że przeczytał tę książkę, zanim przyszli Rosjanie. — To prawda, tak powiedziałem. Miałem swoje powody. — A że znaleźliśmy czas i miejsce, pytanie o książkę służyło tylko sprawdzeniu pańskiej prawdomówności. Wiemy również, dlaczego przemilczał pan prawdę: bo jako świeżo nawrócony rewolucjonista bał się pan, że nie będzie można traktować pana poważnie, jeśli okaże się, że jeszcze w roku 1956 czytał pan takie książki. I słusznie! Poza tym liczył pan na to, że jedyny naoczny świadek pana nie zdradzi. Wreszcie: pańską metodą było kłamstwo. Wiemy wszystko. Ale będziemy wiedzieć jeszcze więcej.

To o książce Dwingera wiedziała tylko Annemarie Schönmund.

My razem w namiocie nad Jeziorem Świętej Anny, pod koniec sierpnia...

Leżeliśmy na sprężystych gałęziach jodłowych, na których Annemarie rozłożyła swoją flanelową halkę. Namiot, zbudowany z prześcieradeł, trzymał się kupy tylko dzięki monogramom mojej babki, jak żartowała Annemarie. Przez wytartą tkaninę mogliśmy rozpoznać księżyc, deszcz siąpił do środka. Moja towarzyszka oddawała się ćwiczeniom medytacyjnym według K.O. Schmidta, potem na dwie strony zagłębiła się w *Matce* Gorkiego, by wreszcie zamknąć oczy, a ja przy świetle latarni czytałem ową podejrzaną książkę, historię pokolenia walczącego w niesłusznej sprawie.

Wtedy, późnym latem 1956 roku, z wyrzuconych na brzeg desek zbudowałem tratwę. Wypływaliśmy nią na środek jeziora, do miejsca, z którego wycieczkowicze na brzegu wydawali się maleńcy jak wiewiórki. Zatrzymywaliśmy tratwę w samym środku krateru. Jego wklęsłe ściany były porośnięte lasem i rzucały na wodę zielone odbłaski. Z nieba leniwie opadał wiatr i szamotał się przez chwilę w zieloności, chłodząc nasze rozgrzane ciała. Annemarie leżała na mokrych deskach, podparta na boku, odwrócona twarzą do mnie. Czytała Makarenkę, klasyka sowieckiej pedagogiki. Oprócz rogowych okularów, nadających jej surowy wygląd, nie miała na sobie nic. Choć ze szczęścia drżały mi palce, nie dotykałem jej. Nie chciałem przeszkadzać jej w lekturze. Nocami spaliśmy jak brat z siostrą. Leżała obok mnie obnażona do pasa, a był to przepiękny widok w świetle latarni. — To ważne, żeby skóra pooddychała ozonem w leśnym powietrzu! Proszę cię, nie przeszkadzaj mi. — Gdy przysuwałem się do niej, zaraz się przykrywała i mówiła niezadowolona: — Szkoda! Pozbawiasz mnie mojego ozonu. Poza tym muszę dać wypocząć mojemu oku. — I tak nam mijały letnie noce.

Czytałem wtedy *Ostatnich jeźdźców* nocami. We dnie *Ostatnie dni Pompejów*.

— Poczytaj lepiej Szołochowa, *Cichy Don* — upominała mnie Annemarie. — Tam będziesz miał jedno i drugie: ostatnich jeźdźców i ostatnie dni. Ale przede wszystkim nowe życie w sprawiedliwości społecznej. Popatrz, na przykład w *Matce* Gorkiego: bohaterka z maltretowanej kobiety staje się świadomą komunistką.

— Ale jednak pozostaje matka.

— Budzi się w niej nowy człowiek. Poza tym Gorki to pseudonim literacki, oznacza „gorzki”. Ale jego dewiza brzmiała: co mogę uczynić dla ludzi? Miał to wypisane w sercu płomieniami literami. — I ze smutkiem dodała: — Ale my, ludzie, nawet nie zauważyliśmy jego śmierci.

— Ani nawet tego, że żył — przyznałem otwarcie.

Annemarie marzyła, żeby raz w życiu ktoś romantycznie ją posiadał: przy blasku księżyca, wśród zieleni, na łonie natury, w pobliżu szemrzącego źródła, na poduszkach z mchu w dębowym zagajniku. Pokazała mi odpowiedni obraz Ludwiga Richtera. Wiedziałem więc, o co chodziło.

Wybrałem się na poszukiwanie upragnionego otoczenia. To, co odkryłem, nie było dokładnie takie, jak powinno, jak sobie wyobrażała. Ale gdy ją tam prowadziłem, coraz bardziej zaczynało się jej podobać.

W źródle były szczawy, wody bijące z wulkanicznych głębi, otaczały je nie dęby, ale kasztany. Zamiast poduszek z mchu była zastygła lawa porośnięta skąpą roślinnością. Kwaśne, ciepłe wody wypłykały w niej dużą nieckę.

W tym zbiorniku w dzień pluskała się okoliczna ludność węgierska, by złagodzić rwanie w członkach. Nad parującą wodą unosiły się starcze głowy mężczyzn, nadziane na brązowe od słońca szyje. Po powierzchni pływały ogromne piersi kobiet, białe jak ser, a nad nimi twarze w kolorze czerwonej

papryki. Czasami przechodził obok milicjant, przerywał swój służbowy obchód, rozbierał się do naga i wpychał się między wrzeszczące baby, obok plujących mężczyzn. Nacieszywszy się kąpielą, pobrękując rynsztunkiem, szedł dalej, załatwiać swoje ciemne sprawy.

Annemarie i ja zażywaliśmy kąpeli mineralnych wieczorem, zanurzeni w podziemnym ciepłe siedzieliśmy obok siebie, w pełnym szczęścia zadziwieniu pieściliśmy nawzajem swą przyjemnie szczypiącą skórę. Czuliśmy, jak pociągają nas telluryczne głębie, gdy księżyc wisiał w liściach kasztanów. I kochaliśmy się zapamiętale. Dopiero gdy od ciepła nasza skóra robiła się stara i pomarszczona, wychodziliśmy z wody i kładliśmy się na nocnej ziemi, która cicho drżała pod wpływem ognistych wyładowań w głębi.

Z powodu tych szalonych nocy przedłużyliśmy naszą wycieczkę, aż nie mieliśmy już nic do jedzenia: ani okruszyny chleba, ani papryki z marmoladą. Żywiliśmy się jeżynami i kartoflami. Po ciemku zakradaliśmy się bosy na pola. Rozlatanymi rękami wykopywaliśmy bulwy i zbierali do worka. Pod sklepieniem niebieskim, rozświetlanym spadającymi gwiazdami, zapominaliśmy, że podnosimy rękę na państwowe mienie. Cały strach przed socjalistycznym milicjantem opadał z nas jak utkana z pokrzyw koszula. Annemarie chciała jodłować z radości, musiałem zasłaniać jej usta. Niespodziewanie rozrzucała na wszystkie strony swoje ubranie. Otoczeni przez roje robaczków świętojańskich padaliśmy na ziemię, wtulaliśmy się w bruzdy pola. Czuliśmy nagromadzone w ziemi ciepło dnia. Przez resztę nocy rozgrzewaliśmy się nawzajem opaloną skórą naszych ciał. I wyobrażaliśmy sobie, jak wciąż nas ogniste wnętrze ziemi, jak nasze członki roztapiają się, zanim spłoną na proch i popiół. Nie mogliśmy zrozumieć, dlaczego się mówi: strach przed śmiercią. Śmiertelna walka. Chłodny grób.

Przez trzy dni żywiliśmy się pieczonymi kartoflami. Potem zwinęliśmy nasz namiot ze staroświeckich prześcieradeł i przez porośnięte lasem połacie lawy, obok gorących źródeł zeszedliśmy w dół do dworca w Tuschnadzie. W drodze przez las Annemarie nagle zatrzymała się na jakiejś polanie i nie chciała iść dalej. Pociągnęła mnie do na wpół zapadniętej w ziemi chatki węglarzy. W środku powitał nas mroczny zaduch, zimny zapach dymu. Nagie deski drewnianej pryczy były szorstkie. Potem mieliśmy na skórze plamy żywicy. Pociąg w Tuschnadzie już odjechał. Ale to było coś niepowtarzalnego!

22

Kiedy rozpocznie się przesłuchanie? I kto pójdzie na pierwszy ogień? Na początek biorą mojego ojca. Komisarz życzy sobie, żebym powiedział, gdzie umiejscowiłbym ojca pod względem społeczno-politycznym. Budzi się we mnie dawny człowiek: nie chcę udzielić odpowiedzi. Mężczyzna przyznaje, że mam do tego prawo. Ale on postawił to pytanie prywatnie.

— ...choć prawdziwy rewolucjonista musi zdobyć się na taką siłę charakteru, żeby móc wystąpić przeciwko ojcu i matce, bratu i siostrze. — Po krótkiej chwili dodaje: — Nawet przeciw babce. Kto okazuje współczucie, staje się współwinnym. — Milczę. — Milczy pan. No dobrze, w takim razie ja będę mówił: pod względem społecznym pański ojciec jest drobnomieszczaninem bez środków z chwiejną politycznie mentalnością tej klasy. Ale zamiast z rewolucyjnym zapałem zejść na dół do proletariatu, on wspiął się do góry i został wyzyskiwaczem. — Zejść na dół, myślę. Do tego nie miał powodów. I wcale nie był tak całkiem bez środków ani też nie był drobnomieszczaninem. Ciotki nie miały wcale racji w swoich

narzekaniach: „Nawet jednej koszuli nocnej nie wniósł do tego małżeństwa!”. Wniósł ich kilka, z monogramem i fioletowym haftem. — A co może mi pan powiedzieć o pańskiej *mama mare dela Sibiu*?

— O mojej babce? Co pan sobie wyobraża, *domnule căpitătan*? — wrywa mi się nieopatrnie. — Myśl, że moja *bunică*, ukochana babcia, mogłaby popełnić jakąś nieuczciwość, jest niedorzeczna. Ona przecież nawet nie zna rumuńskiego.

— Już samo to jest zdradą ojczyzny, *trădare de patrie*.

— To biedna, skromna kobieta.

— Ale nie jest proletariuszką. — Nie jest, to prawda. — Bo ma przodków. — Każdy człowiek ich ma, myślę zdziwiony. — Na darmo upiera się pan przy milczeniu. Jeśli zechcemy, będzie pan musiał mówić. Ale zapewniam pana, ta rozmowa ma charakter prywatny. Interesuję się mianowicie genealogią. Tylko że sam nie mam żadnych przodków. Tacy jak my w najlepszym razie znają swojego dziadka. — I z dumą dodaje: — Prawdziwy proletariusz nie ma przodków. Ale za to każdy z nas jest pierwszym przodkiem swoich potomków. — A więc i tutaj przegrałem. — Co z kolei oznacza, że nikt z nas niczego nie dziedziczy. Na przykład fortepianu z angielskim mechanizmem. Ani żadnych naturalnie barwionych dywanów z Egiptu, ani kompletu do domina z kości słoniowej. — Skąd on to wie? Te rzeczy nasz dziadek przywiózł z Egiptu. — Ani malowanej porcelany z Delft... — Taką ozdobną konewkę wygrałem od ciotki Herty w domino. Komisarz podnosi głowę znad papierów: — I ze smutkiem muszę przyznać, że nikt z nas nie ma drzewa genealogicznego od podłogi aż do sufitu. Dlatego brakuje mi obiektów do badań. — Już przeczuwam, co wiem.

Oczyrna duszy widzę, jak trzech pozbawionych przodków mężczyzn wpada do pokoju ciotki Herty i babci i przeszukuje wszystko, z nakazem czy bez. Pułkownik Antonese zamyka się ze swoją kawaleryjską szablą w dawnym pokoiku służącej,

a pulchna towarzyska Mihalache w różowej halce nasłuchuje z uchem przy drzwiach. Obie damy drżą jak eolskie harfy, ciotka Herta bardziej wewnętrznie, babcia całkiem otwarcie. Zachowują się jednak z rezerwą: z niektórymi ludźmi się nie rozmawia, zwłaszcza po rumuńsku!

Komisarz mówi z powagą:

— Poza tym interesuje mnie badanie pasożytniczego życia szlachty, analizowanie charakterów ludzi, którzy nigdy nie musieli ruszyć nawet palcem, a mimo to byli kimś i mieli wszystko. Podczas gdy my musimy harować, żeby zostać kimś, żeby mieć cokolwiek. Z takimi ludźmi ktoś taki jak ja prawie się nie styka, w świecie na zewnątrz nigdy, nawet tutaj rzadko. Większość bojarów ucieła. A ci, którym nie udało się uciec, zachowują się jak drzwi kościelne, są spokojniejsi niż nasi niewdzięczni ludzie. I uczą się pracować. Na przykład pańska księżna Pálffy. Piecze i gotuje jak jedna z jej pałacowych kucharek.

— Ja tu nie mogę się panu na nic przydać.

— Ależ tak. — Wyczarowuje znikąd jakąś fotografię i podnosi ją wysoko do góry: portret mężczyzny w stroju węgierskiego arystokraty. Znam to zdjęcie: do wkroczenia Rosjan stało u mojej babki na toaletce. Potem schowała je za lustro, a po wypędzeniu króla Michała I zniknęło na zawsze. Ale mimo to je znaleźli. A więc przeszukali cały dom.

Zdjęcie na grubym kartonie, jakie zamawiano w większych ilościach, by rozesać różnym osobistościom i ukochanym krewnym, zostało wykonane w salonie Mártonfy Gy, Budapeszt. Widać na nim mężczyznę w stroju typowym dla jego stanu, w szamerowanym dolmanie. W wystudiowanej pozie stoi przed mapą z napisem „Europe”. Ta Europa zajmuje całą ścianę w jego gabinecie z kinkietami, stołem konferencyjnym i ozdobnym biurkiem. Na zdjęciu wkopiowano tekst po węgiersku, który przedstawia mężczyznę z nazwiska i rangi.

— Kto to jest? — pyta komisarz zza swego olbrzymiego biurka.

— Daleki krewny — przyznaję się.

— A ten tekst? — Ton jego głosu zdradza, że jest na ten temat poinformowany.

— Nie umiem ani czytać, ani pisać po węgiersku. Nauczyłem się tylko troszkę od chłopców z ulicy w Szentkeresztbánya.

— A więc ja ci objaśnię — mówi mój genealog. — Były sekretarz w Ministerstwie Spraw Zagranicznych w Budapeszcie. Pod faszystowskim wodzem Horthym. Ten też zresztą był bezwstydnie bogatym bojarem, a do tego dręczycielem robotników i prześladowcą chłopów.

— Nie mam z tym człowiekiem nic wspólnego.

— Niech pan odwróci to zdjęcie! Niech pan czyta!

Czytam:

— Mojej drogiej kuzynce Bercie de Sebess, w Nagyszében-Hermannstadt, 1928, z najwierniejszymi uczuciami, powyższy. Nazwisko powyższego: doktor Zilahi-Sebess Jenő.

Z wielu nazwisk ojciec mojej babki — należący do hermannstadzkiego mieszczaństwa i ziemczony — zostawił sobie tylko Sebes, Franz Sebes, bez von i de, bez przydomków i ostatniego s. Nazwisko, tytuł i dobra w naszej linii przepadły.

Mówię z przekorą:

— I co z tego! Ojciec mojej babki był rzeźnikiem!

Myśliwemu szepczę potem do ucha:

— Oni są w stanie posunąć się do tego, że zaarrestują moją babkę. — Na co on mi radzi:

— Powiedz kapitanowi wszystko, co wiesz o przodkach i arystokratach. Twoja *mama mare* jest bezpieczna, nic jej się nie stanie, Boże uchwaj. On się wścieka na ciebie. Czy nie

wspominałeś kiedyś, że jeden z twoich szlachetnych wujów zmarł jako ostatni biedak?

— W przytułku. Mój stryjeczny pradziadek.

Klęską życiową, po której stryjeczny pradziadek Karl Hieronymus Sebess de Zilah nie umiał się już podnieść, był trzeci rozwód. Po tym, jak jemu i jego ukochanej Pauline nie udało się w środku karnawału przechytrzyć śmierci, by wraz z nią tanecznym krokiem odejść na wieczny parkiet w siódmym niebie, jako Pierrot i Pierrette. Gdy weterynarz byle jak pozszywał mu porozcinane żyły na przegubie, stryj wrócił do Hermannstadt.

Na czwartą żonę nie miał już siły ani ochoty. „Po mojej Pauline nikt więcej!”. Ale pozostał panem wytwornym w każdym calu: gdy zastawił sygnet herbowy, zaraz kazał sobie sporządzić podobny z białej blachy, z wytłoczonym herbem. Dystyngowany, nawet gdy człapał w drewniakach ulicami miasta. Do samego końca, kiedy chodził już tylko w skarpetkach. I lubiany przez wszystkich na ulicach i placach całego Hermannstadt. „Solidaryzować się, ale bez nadmiernego fraternizowania, to jest właśnie cała tajemnica, na tym polega sztuka!”. Ulubieniec dzieci i psów, służących i pastorskich żon. „Nasz miejski baron”, mówiono o nim z szacunkiem i czułością. Ludziom mającym jakąś sprawę pisywał wnioski i podania do władz, a żołnierzom listy miłosne do ich bogdanek, w trzech językach. W salonie fryzjerskim H. Hempera, naprzeciwko pałacu biskupiego, w narożnym domu przy wielkiej obwodnicy, miał swoje godziny przyjęć i sporządzał owe pisma. Napędzało to interes fryzjerowi: niejeden kudłaty klient odczuwał nagle potrzebę podcięcia włosów. Mistrz Hemper zarabiał na nowe grzebienie. Punktualnie o dwunastej stryj Karlibuzi, *Karlibutzi-bácsi*, zawijał w najnowszą gazetę swoje przybory do pisania z alabastru i srebra, jedyne rzeczy zachowane z dawnych czasów, i szedł do jadłodajni dla ubogich.

Kiedy stracił ostatni dach nad głową i urządził sobie mieszkanie we wnętrzu pustego filara mostu, do akcji wkroczyła rodzina. Przypomniano sobie, że mimo wszystko jest jednym z Sebessów de Zilah. Głowa rodziny napisała, z pieczęcią i herbem, do rady miasta Sibiu, żeby zamknęła Ferencza Karla Hieronymusa Zilahi itd. w przytułku i już go stamtąd nie wypuszczała. Na koszt brata, doktora Jánoša Jenő Zilahi z Budapesztu.

Łatwo powiedzieć, trudniej zrobić. Dobre słowa na nic tu się nie zdały. Doszło do bijatyki między bezdomnymi i włóczęgami, którzy zabarykadowali się w filarze mostu jak w twierdzy, a rakarzami miejskimi wysłanymi przez miejskich rajców. Całe miasto było poruszone. Trzy dni trwało oblężenie, każdy obywatel musiał w tym czasie choć raz przejść się pod mostem, a gapie nie ruszali się z miejsca.

Rakarze, tak samo zrośnięci z miastem Hermannstadt jak elektryczny tramwaj czy wykształceni Cyganie, normalnie polowali ze swymi drucianymi pętłami na bezdomne psy, prześladowani za to przez kochające zwierzęta panie z towarzysztwa, które atakowały ich parasolkami od słońca, nożami do listów czy drutami do robótek.

Trzeciego dnia jednemu z hycli udało się wspiąć na filar. Zarzucił drucianą pętlę z góry przez otwór i złapał szlachetnie urodzonego za stopę. Wprawdzie inni włóczędzy rzucili mu się na pomoc, ale po trzech dniach byli już tak wyczerpani walkami i osłabieni, że marzyli tylko o kropelce czegoś mocniejszego. Poddali się więc i pozwolili zabrać swego barona.

I tak mój stryjeczny pradziadek został wyciągnięty ze swojej kryjówki i w klatce dla psów zawieszony do przytułku, pan i arystokrata nawet w tej sytuacji. Na bosaka i z podrapanymi nogami, ale w garniturze, z muchą i monoklem, uśmiechał się ze swego drucianego więzienia i pozdrawiał wszystkich z godnością. Cała masa ludzi, wznosząc okrzyki protestu lub

wiwatując, towarzyszyła mu w drodze jako gwardia honorowa. Połowa biedoty miejskiej była na nogach. W powietrzu latały kamienie, hycle musieli się przed nimi chować. Galopem odbyła się droga do przytułku przy miejskich murach. Tam przyjął go opiekun biedaków, Robert Zalman, feldfelbel w stanie spoczynku, zsalutował, pomógł miejskiemu baronowi wydostać się z klatki i poprowadził umęczonego człowieka do swojej kancelarii, gdzie poczęstował go lampką napoleona. Nowy pensjonariusz mógł sam wybrać sobie pokój i współmieszkańca. Wybrał najbardziej wilgotne pomieszczenie od północy, jako wspomnienie radosnych pijackich czasów pod mostem. A za kolegę weterana wojennego bez nogi: „Dzięki temu ma się w tej dziurze więcej miejsca na oddech” .

Nawet w przytułku widać było odnowę, jaka nadeszła po wyzwoleniu w roku 1944. Zamiast po dwóch, teraz w łukowato sklepionych celach z XIII wieku mieszkało po czterech ludzi. „Dzięki temu lepiej im się gra w karty” — stwierdzono na górze. Należało wzmocnić też nowego ducha wspólnoty. Dlatego następnym pomysłem były jednakowe ubrania: pensjonariuszy przyodziano w wycofane brązowe mundury dawnej policji królewskiej, która teraz nazywała się milicja ludowa i z rosyjska nosiła się na niebiesko. Ale i bez tego mężczyźni coraz bardziej się do siebie upodabniali, wszyscy mieli podobnie zalęknione miny, jakby prosili o wybaczenie, że jeszcze są na tym świecie. W stołówce wisiało wielce sensowne hasło: „Kto nie pracuje, nie powinien też jeść”. Kiedy jakiś przybysz z zewnątrz patrzył na starców, spuszczała potulnie oczy, jakby nie mieli nazwisk, i znikali za pokrytymi pleśnią drzwiami.

Inaczej stryj Karlibuzi: z elegancją nosił przebrzydły brązowy uniform, trzymał się prosto i spoglądał ponad głowami wszystkich. Nawet towarzysza dyrektora, dla którego solą w oku był monokl stryja. Kiedy nie poskutkował zakaz jego noszenia, „czy nie rozumiesz, stary błażnie, że to okrągłe

szkiełko razi klasę robotniczą!”, wybił mu po prostu monokl z twarzy. Szkło pękło. Było to bardziej dotkliwe, niż gdyby zabrano stryjowi toporne buty z drewnianymi podeszwami czy złamano sztuczną szczękę. Zdziwaczał, prawie nie opuszczał swojej celi. Jego doświadczeni towarzysze domyślali się, że niedługo umrze, kiedy zaczął chować swoje rzeczy pod siennikiem i coraz rzadziej wstawał z łóżka. I dużo rozmawiał z nieobecnymi i nieżyjącymi.

Moja babka i ja, wówczas uczeń szkoły Brunkenthala, odwiedziliśmy go pewnego razu. Leżał na żelaznym łóżku:

— Usiądźcie — powiedział i wskazał na drewniany kufer, o który oparta była proteza. Dwie postacie wylegiwały się na łóżkach. Czwarte było puste. — Wynoście się stąd, włóczędzy! Nie widzicie, że państwo składa wizytę! — I do mnie: — Co wiesz o wodzie, młody człowieku?

Zastanowiłem się krótko:

— Że nie ma własnego kształtu i poszerza swoją objętość, kiedy jej temperatura spada poniżej plus czterech stopni.

Przyjrzał mi się oczami, z których prawe było duże i okrągłe.

— Dobrze, a jakby tak nie było, to co wtedy?

— Lód opadłby na dno.

— I co by się stało?

— W zimie wszystkie ryby, w ogóle wszystkie stworzenia wodne poginęłyby, zamarły, poumierzały.

— Drzewa umierają stojąc — powiedział stryj i zamknął powieki. A mimo to dalej spoglądał na nas wytrzeszczonymi oczami, aż zamieniliśmy z babką przerażone spojrzenia. Co to było? Wyjmując z kosza słoik musu brzoskwiniowego i miskę *salade de boeuf*, babcia zapytała go:

— Co jest z twoimi oczami, stryju Karli?

— Ach — odpowiedział — to zemsta, sabotaż — i spojrział na nas swoimi prawdziwymi oczami. — Kazałem sobie namalować sztuczne oczy, chcę się zemścić na tym z góry. — Pokazał

na sufit, ku dyrekcji. — On stłukł mi monokl. — I dodał, zataczając ręką koło po pokoju: — Poza tym te wyrzutki tutaj chcą mnie okraść. Ale ja widzę wszystko, nawet kiedy śpię.

— Jak to zemścić się? — zapytałem.

— Wiesz, chłopcze, wszyscy podwładni tego tam z góry też namalowali sobie oczy na powiekach. I śpią na służbie, a on tego wcale nie widzi, ten łotr!

— A na czym polega tu sabotaż? — spytałem znowu.

— Atrapy oczu. Jeśli to się przyjmie w całym kraju, wtedy powstaną całe masy obiboków. Wszyscy udają, że pracują, a państwo coraz bardziej się chwieje, reżim upada... — tu zrobił teatralną pauzę: — we śnie!

Gdy stryj Karlibuzi na zawsze zamknął swe prawdziwe oczy, nikt nawet tego nie zauważył, bo jego drugie oczy nadal spoglądały na świat. A jak do tego doszło? Po prostu! Chciał zrobić więcej miejsca do oddychania w lochu i wyrzucił przez okno sztuczną nogę swojego sąsiada ze zbyt dużym zamachem. Uniesioną do zamachu ręką schwycił się za lewe ramię: „Powietrza!”. I już nie żył. Po raz pierwszy i ostatni jego oblicze zeszpecił gniewny uśmiech. Pod poduszką stryja znaleziono przybory do pisania ze srebra i alabastru i całą masę pokurczonych kasztanów. Ze spisane go po węgiersku aktu urodzenia towarzysz dyrektor Napoleon Boambă z trudem odcyfrował skomplikowane nazwisko.

Ale zanim trzeciego dnia zdążono pogrzebać stryja na Cmentarzu Centralnym, z Mayerlingu koło Wiednia przysłałno telegram podpisany przez głowę rodziny: Należy poczekać z pogrzebem. Nieco później na adres Banca Populară Sibiu nadszedł przekaz na pokaźną sumę w walucie zachodniej z przeznaczeniem na pogrzeb pierwszej klasy, jaki w ludowo-demokratycznych czasach nie był dozwolony. Dyrektor i sekretarz partii w jednej osobie nie posiadał się ze zdziwienia. Skąd na kapitalistycznym Zachodzie wiedziano o śmierci pen-

sjonariusza przytułku? Musiał się tu zagnieździć jakiś płatny szpieg! Ale partia złagodziła oburzenie towarzysza: dopóki do kraju napływają dolary, socjalizm na tym korzysta.

Stryj Karlibuzi został zabalsamowany i leżał w byłym kościele szpitalnym obłożony lodem. Od wejścia Rosjan kościół pozbawiony był wszelkiego liturgicznego wyposażenia. I idealnie nadawał się na magazyn czy skład najróżniejszych rzeczy. Tutaj w lodowatych kryptach mnichów przechowywano zmarłych czekających na transport. Tu czekała też uniwersalna trumna, którą wynalazł jakiś *inovator socialist*: w jej dnie była klapa, otwierała się, gdy trumna dotykała ziemi na dnie wykopu. Zmarły, owinięty w śmiertelny całun, leżał na ziemi, od góry nakryty deską, która także wysuwała się z trumny. Potem wyciągano skrzynię z powrotem na górę i zamykano klapę. I trumna natychmiast była gotowa do ponownego użytku. Dla starych kobiet i mężczyzn było to czymś strasznym, ta ordynarna innowacja, dzięki której pogrzeb kosztował państwo nie więcej niż jedną byle jaką deskę.

W chłodnych pomieszczeniach kościelnych towarzyszył dyrektor przechowywał w szczelnie zamkniętych beczkach swój prywatny miód. Tutaj także, w ogromnych kadziach, składowano miód państwowy, za który też odpowiadał.

Poza tym niegdysiejszy obiekt kultu religijnego służył jako sala zebrań i posiedzeń na cześć partii, informowano tu pensjonariuszy o strategii i taktyce partii na następny plan pięcioletni, tu wysłuchiwali odczytów o najnowocześniejszych metodach hodowli bydła czy specjalnej gimnastyce dla ciężarnych.

I tutaj Karl Sebess, zobojętniały na wszystko, czekał na to, co miało nadejść. Choć towarzyszył dyrektor, którego serce nagle zmiękło, zaglądał do niego po kilka razy dziennie, by skamieniałego gościa na bieżąco informować o najnowszych wydarzeniach, że na przykład nie było kolejnych telegramów

z Austrii, ale za to przyszły pieniądze na co najmniej sześć nowych pogrzebów, jeśli nie więcej.

Z okazji pogrzebu reaktywowano dawny karawan, który jako mistyczny przeżytek został przez partię wycofany z użytku. Pensjonariuszom zakładu nie wolno było iść w żałobnym orszaku. W tle dyrygował wszystkim pewien mężczyzna w ciemnoszarym ubraniu, który swoim sposobem składania rąk do modlitwy zdradził się jako niewierzący.

Na czele konduktu z karawanem ciągniętym przez zarekwirowane chłopskie konie przybrane w czarne czapraki kroczył pastor Alfred Hermann we własnej osobie, który z własnej woli był biedakiem. Po obu stronach karawanu dreptało po czterech milicjantów, jak warta honorowa; czasami skubali niezdarnie szarfy wieńców, na których błyszcząca cała geografia kapitalistycznego świata. Do orszaku należało jeszcze sześciu umundurowanych grabarzy, w pierogach na głowach i płaszczach do kostek. Z ich wściekle drogich butów zebrana ludność domyśliła się, kim byli w rzeczywistości. Zgromadzeni nie szczędzili potępiających, szyderczych okrzyków i obrzucali ich rzepami, skorupkami jaj i papryką.

Za przeszklonym karawanem z trumną szła jedynie moja babka, przedtem musiała wylegitymować się przed milicjantami jako prawowita wnuczka zmarłego. Mnie milicjant odsunął na bok z uwagą: — To ma być twój stryjeczny pradziadek? Czegoś takiego nie ma. Trzeba się cieszyć, jeśli pamięta się dziadka.

Motłoch z całego miasta ustawił się w szpalery: malowniczo ubrane kobiety w wystrzępionych kapeluszach, Cyganki z obnażonymi piersiami, do których przysane były brązowe dzieci, mnóstwo mężczyzn. Nie było zielonego samochodu śmieciarza, przystrojonego kawałkiem czarnego tiulu, którym teraz odwożono zwłoki na cmentarz, wszystko wyglądało tak jak dawniej. Ludzie nie posiadali się ze szczęścia. Klaskali

i rozptywali się w pochwałach. I czuli, że minęły nie tylko dawne dobre czasy, ale ich czas także się kończył. Już teraz w mieście i w całym kraju rozpoczęto polowania na jednostki społeczne i uchylające się od pracy. I to nie rakarze, ale milicjanci wyłapywali je jak wałęsające się psy.

Na karawan spłynął deszcz róż. Zostały zerwane w miejskim parku. Gdy jakiś dzielny jednooki inwalida krzyknął: „Niech żyje Karlibuzi, nasz dobroczyńca, nasz miejski baron i król żebraków Sibiu, ostatni rycerz naszej ukochanej ludowej republiki!”, wiwaty nie miały już granic. Wszyscy zaczęli ścisnąć sobie po bratersku dłonie i tańczyć wokół karawanu. Dobrze, że konie miały klapki na oczach i że orszak właśnie dotarł do placu Hermanna, gdzie kończyła się Strada I.V. Stalin. Tam czekała dorożka, którą pojechali dalej babka z pastorem, a ja dosiadłem się do nich. W tym momencie także zniknęła milicja ludowa i grabarze wraz z mężczyzną w szarym garniturze, przepadli, by nigdy nie powrócić.

Myśliwy spogląda na mnie karcąco:

— Tak nie możesz opowiedzieć tej historii kapitanowi. Musimy ją wygładzić. Poza tym daleko ci jeszcze do towarzysza ze świadomością klasową.

Odpowiadam urażony:

— Ale to prawda. Tak należy tę historię opowiadać.

— Prawda to sprawa ideologii — stwierdza myśliwy. — Wy, towarzysze, w ogóle nie macie poczucia humoru. Musicie wszystko tak okaleczyć, żeby pasowało do jakiejś waszej matrycy ideologicznej.

On przecież ma rację. Czyż nie postanowiłem z żelazną konsekwencją czuwać nad tym, by przywoływać tylko te myśli i wspomnienia, które można tu zaprezentować? Moja socjalistyczna świadomość jest delikatna.

Co chwilę proszę myśliwego, żeby zagrał ze mną w czerwone rękawiczki, by trochę czerwieni pokrzepiło mnie w naszej bielonej celi. Gra polega na tym, że dwie osoby ustawiają się naprzeciwko siebie i wyciągają ręce tak, aby dłonie jednego gracza znalazły się pod rękami drugiego, wewnątrz skierowane do siebie. Gracz, który trzyma ręce pod spodem, zaczyna, błyskawicznie uderzając wierzch dłoni przeciwnika, a ten powinien równie szybko cofnąć ręce. Jeżeli zostanie uderzony, rozgrywkę powtarza się w ten sam sposób, a gdy uderzenie trafia w pustkę, następuje zamiana ról. Wkrótce na rękach przegrywającego występują czerwone plamy, które w krótkim czasie rozrastają się w czerwone rękawiczki. Z myśliwym było za każdym razem tak samo: w jednej chwili miałem swoje czerwone rękawiczki — i łzy w oczach.

Następnego dnia prezentuję komisarzowi stylistycznie spreparowanego przodka w nadziei, że przyjmie go do swych zbiorów i że dzięki tej żebraczej opowieści poprawię proletariackie oblicze mojej rodziny. Ale mężczyzna bez przodków lekceważącym ruchem ręki zbywa mojego arystokratę i jego historię:

— Ten nie jest ani prawdziwym bojarem, ani autentycznym proletariuszem. To raczej jednostka zdeklasowana, lumpenproletariat. — I grozi: — Ci są następni w kolejce do likwidacji. A teraz bierzemy się do pracy!

23

Oprócz stosu formularzy protokołu przesłuchania na biurku kapitana nie leży nic. Wszystkie konstrukcje geometryczne zniknęły.

Na początek mówi:

— Niech pan nie zapomina: kto nie jest z nami, jest przeciwnikiem nam. Po drugie: każdy, o kogo tu pana wypytujemy, ponosi winę za to, że pan tu jest. I wreszcie: wymienione osoby same odpowiadają za swój los.

Kto będzie pierwszą osobą, którą trzeba będzie zidentyfikować jako wroga państwa?

Hugo Hügela... Dokładnie i wyczerpująco odpowiadam na wszystkie pytania, niemal z uroczystą powagą. Pytanie i odpowiedź następują szybko po sobie. Systematycznie, od pierwszego spotkania w hotelowym łóżku w Bukareszcie aż do ostatniego uścisku dłoni w listopadzie 1957 roku, po moim odczycie na spotkaniu kółka literackiego w Stalinstadt, dyktuję komisarzowi antypaństwowe wypowiedzi i przedsięwzięcia Hügela. Niczego już nie muszę zachowywać dla siebie. Nigdy więcej nie muszę się już bać tych ludzi i chować przed nimi. Z każdym kolejnym zdaniem oddalam się od samego siebie i mojej niewygodnej przeszłości.

Czasami wydaje mi się, że słyszę, jak moja babcia mówi bezzadnie: „Mój chłopcze, to są niedyskrecje, czegoś takiego się nie rozpowiada!”. Ale jej świat przemija. Wkrótce informacje wypływają ze mnie z taką siłą, że komisarz prawie za mną nadąża.

Hugo Hügela spotkałem tylko siedem razy. Tymczasem pod fachowym kierunkiem komisarza wystarcza tego na całostronicową notatkę. Przy czym sam ze zdziwieniem szeroko otwieram oczy, jakie niebezpieczne zamiary mogą ukrywać się pod całkiem zwykłymi wypowiedziami i nieszkodliwymi czynami.

Kiedy pod koniec przesłuchania, w południe lub wieczorem, czytam protokół, podpisując bez zastanowienia każdą stronę, mogę z czystym sumieniem własnoręcznie dopisać wymaganą formułkę: „Przez nikogo niezmuszany mówiłem prawdę i tylko prawdę”.

To jest ten sam Hugo Hügel co przed miesiącem, te same pytania i oskarżenia co wtedy. Ale kiedy ten sam człowiek ujmowany jest w nowe słowa, staje się kimś innym. Gdy nadasz zjawiskom nową nazwę, zmieni się ich istota. Ale przed następnym zdaniem, które się nasuwa, chcę się obronić: w ten sposób świadomość określa byt. Z całych sił chcę być nowym człowiekiem, tylko tym. Hugo Hügel zostaje zredukowany do schematu składającego się z antyreżimowych szczegółów. Traci swoją twarz, nie muszę go już kochać. Łatwo go wymienić na kogoś innego. To samo dzieje się z każdym, o kogo mnie wypytują za pomocą stereotypowych formułek.

Nie zapomniałem, że Hugo Hügel przyjął mnie wtedy, w listopadzie 1956 roku, kiedy przyszedłem do niego jako zrozpaczony uciekinier. Że czytał mi wiersze Weinhebera, aby uspokoić moje wzburzone emocje, wiem o tym, w pamięci pozostały mi całe wersy. Ale zachowuję jedynie fakt, że chciał mnie podbudować wierszami poety, który nie witał przyjscia Rosjan jako wyzwolenia, lecz z odrazy do wyzwolicieli popełnił samobójstwo. To jest sedno tej sprawy, a ja cieszę się, że nowy człowiek we mnie tak dobrze działa.

Kiedy się zacinam — bo przecież komisarz też jest ten sam co przedtem, to on przez długie miesiące traktował mnie jak nędznego psa — wyrozumiale pomaga mi podjąć wątek. Posiadają już dokładny obraz Hugo Hügela i obszerną listę jego wykroczeń.

— Jak już mówiliśmy, jest on produktem zdecydowanie faszystowskiego wychowania. Co człowiek wchłonął przez pierwsze siedem lat w domu i później w szkole, to już w nim zostaje. Tak powiedział już wielki Makarenko. — Czy go znam? Jakżeby nie!

Dodaję jeszcze, dla ścisłości, że właściwa indoktrynacja ideologiczna może zmienić człowieka. Tak powiedział nie tylko wielki Makarenko, lecz jeszcze większy Lenin. Ale komi-

sarz nie uwiecznia mojej wypowiedzi w aktach, więc przechodzi ona bez śladu. Dopiero teraz rozumiem mojego dziadka: *Quod non est in actis, non est in mundis*.

Komisarz kładzie przede mną list Hugo Hügela. Czy przyznaję, że jestem jego adresatem? Oczywiście. To jest ten sam list, który *căpitan* podsuwał mi już pod nos w czasach brutalnych przesłuchań. Wtedy bagatelizowałem jego treść i broniłem gorąco Hugo Hügela oraz jego wierności dla ustroju.

Komisarz podchodzi do biurka, notuje w protokole, że jestem adresatem, i kontynuuje: czy przyznaję, że w wymienionym liście autor podaje klucz do zrozumienia noweli *Król szczurów i flecista*? I dalej, że autor listu podburzał saską ludność Burzenlandu przeciwko ustrojowi? Dwa pytania naraz, to metodologicznie niedopuszczalne. Chyba że wystarczy tylko jedna odpowiedź. Tutaj wystarczy jedna. Muszę tylko powiedzieć „tak”. I mówię:

— Tak. — Ale mam jeszcze odwagę podkreślić, i nie chodzi mi tu o samego Hugo Hügela, lecz raczej o zalecaną skrupulatność, że jednak nic się nie stało. Nawet w czasie kontrrewolucji na Węgrzech żaden saski chłop nie rzucił się z widłami na partyjnych aktywistów.

— *Intenția este ca și fapta*. Zamiar to już jak sam czyn.

— Czy zna pan jeszcze inne książki z podwójnym dnem tego autora?

Ależ oczywiście. Na przykład *Bohaterskie czyny pioniera Juppa*. Hugo Hügel wspominał, że pisanie tej książki przyszło mu z niezwykłą łatwością. „Po prostu chłopcu z Hitlerjugend zawiesiłem na szyi czerwony krawat. — I ze śmiechem: — Wszystko, co w swoim czasie robiliśmy w Hitlerjugend, jest opisane w tej historii. Te głupki z Wydawnictwie Młodzieży Robotniczej wydrukowały też i to”.

Komisarz kontynuuje przesłuchanie:

— O jakich antysemickich wypowiedziach Hugo Hügela panu wiadomo? — Muszę się zastanowić: Bukareszt, hotel Union: „Ci Żydzi ze swoim destrukcyjnym intelektem przejrżeli na wylot dwuznaczność mojego *Flecisty*”. Czy było coś jeszcze? Kapitan wyciąga drugi list Hügela skierowany do mnie, z załączonym tłumaczeniem na maszynie. Nadawca ostrzega mnie, że nie powinienem za bardzo zbliżać się do Państwowego Wydawnictwa Literatury i Sztuki, bo jest zażydzone.

Wszystko, co zostało powiedziane, jest powtarzane i przeżuwane jeszcze raz, żeby wysledzić rozbieżności i sprzeczności.

— Kto kłamie, musi mieć dobrą pamięć — ostrzega mnie przesłuchujący. I pedantycznie za każdym razem dopytuje się, czy nie przyszło mi do głowy coś jeszcze.

— Nie.

— To jest za mało. Chociaż wiemy już wszystko...

— Chodzi o to, żeby wiedzieć więcej — uzupełniam usłużnie. I spokojnie dodaję: — Tak dużo, tak mało. — Niech zrozumieją, że mamy tu do czynienia ze śmiertelnie poważną sprawą socjalizmu. Po tym Hugo Hügel zostaje odłożony *ad acta* i na zawsze staje się częścią Securitate.

I tak wszystko toczy się dalej. Z tygodni robią się miesiące. Odsuwam na bok wszelkie wątpliwości, czuję jedność z marynarzem Matrosowem, młodym komunistą Vasile Roaitą i braterską bliskość z komsomołką Zoją.

„Do pracy”, słyszę za każdym razem na wstępie. Już sam fakt, że trzymają się stałych godzin przesłuchań, usprawiedliwia to określenie. Pracujemy przedpołudniami, między śniadaniem a obiadem, czasem wyjątkowo aż do wieczora, dwa razy w tygodniu popołudniami — i już nigdy więcej nocą. Dla mnie ten układ jest wygodniejszy niż dla komisarza. On musi jeszcze iść do domu, ja już jestem u siebie.

Odpowiadam na wszystkie pytania zgodnie z moją wiedzą i sumieniem. Czy byliśmy tylko we dwójkę, obwiniony i ja, czy też byli obecni inni, starannie wyliczam po kolei wszystko, co mówił. Jaką wartość mają te wypowiedzi, to już musi ocenić oficer. Czasami przypomina mi się rada mojego ojca, której udzielił nam na osobności po konfirmacji: „Jeżeli się tam dostaniecie, z czym każdy z nas musi się liczyć, nie mówcie wszystkiego. Kiedy trzeba, pewne rzeczy można powiedzieć, ale dewizą jest przemilczanie”. Ja robię odwrotnie: pewnych rzeczy nie mówię. Z innej rady ojca: „A kiedy przy rozmowie nie było osoby trzeciej, zachowajcie dla siebie wszystko, co mogłoby obciążyć drugiego” — korzystam rzadko. Moje nowe sumienie tworzy niezawodną cenzurę.

Sprawy mojego brata Kurta Feliksa jeszcze nie biorę na tapetę. Ustnie już wycofałem tamtą nieprawdziwą wypowiedź na jego temat, ale teraz chcę to zrobić pisemnie. A nad sprawą studentów rozpostarła się zasłona zapomnienia. Taką mam nadzieję.

Ciągle jestem wypytywany o naszych pisarzy. Jeżeli to się będzie toczyło w tak powolnym tempie, to upłynie jeszcze co najmniej rok, zanim z nimi skończymy.

Pojawiają się trudności, kiedy mimo najlepszych chęci nie udaje mi się o niektórych powiedzieć nic złego. Mam wtedy niemal wyrzuty sumienia: jakbym był winien, że wiem o podejrzanym za mało negatywnych rzeczy albo że chodzi o przyzwoitych i lojalnych ludzi.

Getz Schräg... W ciągu sześciu tygodni udało mu się napisać sagę rodzinną *Gdzie nikt panem i nikt sługą*, obejmującą czterysta stron najnowszej historii społecznej siedmiogrodzkich Sasów, w której rozprawia się z mitem bezklasowego społeczeństwa. Jego *Oda do Stalina*. Przytaczam to wszystko, ale nic nie zostaje zapisane na papierze.

— *Oda do Stalina?* — mówi komisarz z ziewnięciem. — To potrafi napisać każdy aktywista. Czegoś takiego uczą w Bukareszcie w Zawodowej Wyższej Szkole Poetyckiej imienia Vasile Roaity, tak samo zostaje się piekarzem czy tokarzem. Poza tym Stalin to już nie jest Stalin. Zostało tylko nazwisko.

Nieemożliwe, żeby Schrągowi, który przecież studiował *in Reichul german*, nigdy nie wymknęło się nic antyreżimowego.

— Czy chce pan nawrotu swojej dawnej choroby i zamierza znowu z wrogów państwa robić świętych? — Tego nie chcę. — Byłeś u Schrągów w domu, jadłeś tam, nawet nocowałeś. Dlatego wiesz wszystko.

Mówię:

— Woda, którą piliśmy, była brązowa od rdzy. Pompa ręczna pochodziła z czasów monarchii austriackiej. — To nie interesuje kapitana.

Więc szukam w pamięci jeszcze raz. I przypominam sobie wizytę z Annemarie i Herwaldem u Getza Schrąga we wsi Kreuzberg, gdzie w niewielkiej szkółce starał się przybliżyć wiejskim dzieciom niemiecką literaturę. W domu czytał nam swoje wyrafinowane wiersze, czystą poezję, ani za, ani przeciwko reżimowi, choć były napisane zielonym atramentem na pergaminie i ozdobione gotyckimi majuskułami. Jedno tylko tu nie pasowało: mowa była o ugotowanym na czerwono raku, który dokonywał niezwykłych rzeczy. Choć poeta tego nie powiedział, wiedzieliśmy, że to był partyjny aktywista, duszący się w swym czerwonym sosie, który mimo to był w najlepszym nastroju. Nikt z nas nie skomentował tego ani słowem. Podczas czytania za krzesłem Schrąga stało dziecko, blade kędzierzawy krasnal, który trzepaczką do dywanów wybijał ojcu na głowie rytm wiersza, na co ten reagował kiwnięciami przy deklamowaniu.

Parabola o raku podoba się komisarzowi, zostaje zapisana.

Po kilku godzinach przesłuchania jestem śmiertelnie zmęczony, co chwilę robi mi się ciemno przed oczami, głowa opada na dół. W moim mózgu panuje zamieszanie, z trudem jestem w stanie odpiierać niedozwolone myśli i wspomnienia. Nowy człowiek nagle zniknął. Kawowy wywar z kawałkiem *palukes* rano nie daje mi siły, bym mógł utrzymać swoją nową postawę. Dziwne: z takim samym wywarem w żołądku przedtem potrafiłem bronić się miesiącami. Mam wrażenie, że z każdym słowem o jakimś człowieku, nawet jeśli jest to zgodne z prawdą i słuszne, ulatnia się część mojej egzystencji, a ja staję się lżejszy. Pewnego razu powiew wiatru wywieje mnie przez zakratowane okno.

Gdy tylko żołnierz wprowadza mnie po kilku dniach do pokoju przesłuchań, od razu czuję: pachnie ludźmi. Na rozkaz zdejmuję okulary, widzę wiele podobnych do siebie twarzy i ogarnia mnie strach. Pomieszczenie jest pełne oficerów, tak jak pierwszego dnia po aresztowaniu, kiedy zgraja facetów przyglądała mi się swymi ołowianymi oczami. Brakuje komendanta. Zamiast niego major Alexandrescu, ten z żółtymi nastroszonymi brwiami, podchodzi do mojego stolika, jakby od dawna czekał na to spotkanie.

— Dobrze, że pan przyszedł. Jak się pan miewa? Co pan porabia?

— Dziękuję.

— Pomyśleliśmy sobie, że mógłby pan wygłosić dla nas referat o *Micie XX wieku* Rosenberga. A ściślej rzecz biorąc, o tym, jak ideologia faszystowska interpretuje pewne zjawiska społeczne, które marksizm wyjaśnia nam w sposób naukowy i precyzyjny. Może pan chyba zrozumieć, że nie czytujemy takich dzieł jak *Mit*. Nasz czas jest na to zbyt cenny. Nawet Hitler nie zdołał przeczytać więcej niż kilka pierwszych stron. Ale pan zgłębiał tę książkę. Słowo po słowie. Jeszcze jako uczeń,

w Liceu Mixt German, chyba pan sobie przypomina? Pański *journal* poświęca temu kilka stron. Tę nieszczęsną książkę wypożyczył pan w szkolnym internacie, tutaj, *vis à vis* — ma-cha ręką w stronę okna — i chował pod siennikiem. Wiemy wszystko. Ale chcemy wiedzieć jeszcze więcej. — Odchodzi i zajmuje miejsce za biurkiem. — A teraz niech pan zaczyna: na przykład, jak Rosenberg tłumaczy wczesny kapitalizm w północnych Włoszech? Dlaczego tam, a nie na południu? Pan wie, co o tym mówi Engels?

Wiem. Wiem także, co na ten temat mówi Rosenberg. Ale teraz nie przychodzi mi to do głowy. Muszę się pozbierać. Ten dawny człowiek, moje poprzednie ja, o którym myślałem, że je utopiłem, znowu się odzywa. Co się kryje za prośbą, żebym ich szkolił? Czy traktują mnie poważnie, czy może zastawiają pułapkę?

Dla zyskania na czasie chwytam się Engelsa:

— Szybszy rozwój sił wytwórczych oraz szlaki handlowe, które tam się krzyżowały, lądowe i wodne...

— O tym wiemy. A co mówi ideologia faszystowska?

— Rosenberg twierdzi, że dzięki wkroczeniu Longobardów, narodu rasy germańskiej, wcześniej zmieniły się stosunki kulturowe i gospodarcze, co doprowadziło do utrzymującego się rozkwitu tego regionu. Podobnie jak w Egipcie, gdzie kult słońca za czasów Echnatona można wytłumaczyć tylko w ten sposób... — natychmiast się poprawiam: — Alfred Rosenberg tłumaczy w ten sposób, że spragniony światła lud z północy podbił tamte tereny. A mogli to być tylko Germanie, twierdzi Rosenberg, dla których słońce i światło nie tylko są niezbędne do życia, ale stanowią także obiekty kultu.

Major wpada mi w słowo:

— A więc twierdzi pan, że gdyby Germanie, ci nadludzie, nie zajęli doliny Padu, to wszystko by tam zostało po staremu?

— Nie ja, ale Rosenberg.

Patrzy na mnie roziskrzonymi oczami.

— Ta teoria o wyższości Niemców jest podobna do tego, co wy, Sasi, sobie wymyśliliście: gdybyście nie przywędrowali do Transylwanii, to my, Rumuni, jeszcze do teraz skakalibyśmy po drzewach albo byli pastuchami w górach. — I rzuca ostro: — Moja krew jest tak samo czerwona jak towarzysza Mao Tse-tunga czy towarzysza Patrice'a Lumumby! Albo *domnul* Rosenberga. Popatrz tylko! — Odsuwa do góry rękaw, śmiejąc się nieprzyjemnie. Widzę, jak na przegubie dłoni jego krew pulsuje na niebiesko.

— Pytał pan, a ja odpowiedziałem. — Zmuszam się, by mówić dalej: — Faszyzm nie jest teorią filozofii. U jego podstaw leży indywiduum. Jest to określony sposób zachowania, czyli pewien stan ducha — o mało co nie powiedziałem: który objawia się w każdym człowieku: Hitler w nas. Udaje mi się jednak wybrnąć i skończyć zdanie inaczej: — Zachwianie psychiczne, które może dopaść każdego. Z tego tworzy się ruch, kiedy zbierze się garstka podobnie nastrojonych, podobnie skrzywionych psychicznie. Partia Hitlera początkowo składała się z siedmiu członków. — Na słowo „Hitler” wszyscy mężczyźni zwracają oczy w lewo, na majora, nie ruszając przy tym głowami. Milknę na chwilę.

— Dalej — rozkazuje major.

— Kiedy zbiera się siedmiu mężczyzn, kiedy wkładają takie same koszule i maszerują pod jedną flagą, to już powstaje ruch. Ideologię do tego dorabia się potem. A co jest treścią i celem wszelkich takich ruchów? Krótka definicja mogłaby brzmieć... — Całe audytorium kiwa głowami jak na komeńdę. — Kto jest inny niż my, musi zostać zniszczony. — Mężczyźni już nie potakują. Czuję, jak myślą: kto jest inny niż my, musi zostać zniszczony!

Miejmy nadzieję, że nie myślą: własna żona jest inna. A teściowa jeszcze bardziej inna. Raczej mają w głowach: inny jest

Węgier i Żyd. I ten, kto nosi żółte buty, a nie romarty, jest całkiem inny. A przede wszystkim zniszczony musi zostać wróg klasowy i kapitalista, którego inność jest najgroźniejsza.

Major jako jedyny ma tu coś do powiedzenia:

— Ciekawe. *Dar să nu generalizăm. Mai departe. Dalej!*

Każde słowo to o słowo za dużo, ostrzega mnie wewnętrzny głos. Odkrywam wśród zebranych *căpitana* Vinereanu. To specjalista w swoim fachu, jest najskuteczniejszy. Oszczędza tylko dziewczęta. Im wciska jedynie rozżarzone papierosy w ciało. Łagodzę trochę wypowiedź:

— Zniszczenie innego to ostateczna konsekwencja. Na początku wypiera się go poza nawias i zwalcza. Gdy wszyscy mają brodawkę na nosie, nie trzeba od razu zabijać tego, który brodawki nie ma. — Robię przerwę, czekam na reakcje, nasłuchuję i gdy nikt mnie nie zatrzymuje, ciągnę dalej: — Chodzi o to, że grupa jednostek ustala wspólnego wroga, a potem przekonuje o tym masę: tego musimy zniszczyć, żeby uratować ogół. — I zmierzając do końca, mówię: — To, że teoria rasowa jest nieprawdziwa, widać na południu Włoch. Tam, w tak zwanym Królestwie Obojga Sycylii, przez stulecia panowali Normanowie, także naród germański. Rezultat jest żaden. Gospodarczo region ten do dzisiaj jest na dnie. — Wreszcie kończę i życzę sobie z całego serca, żeby to była prawda: — Gdy społeczeństwa rozwijają się według obiektywnych zasad. Materia tworzy ducha, buduje bazę gospodarczą, kształtuje stosunki społeczne i nadbudowę kulturową. To jest niepodważalne. — Mężczyźni przede mną kiwają jednocześnie głowami.

Major Alexandrescu zadaje mi trzy pytania: czy wiem, skąd pochodzi słowo „materia”. Nie wiem, więc on mi tłumaczy:

— Od słowa *mater*. — Potem pyta surowym głosem: — Kto dał panu do czytania *Mit*? — Któżby inny niż wuj Fritz i ciotka Maly? „Ważne dla ugruntowania tożsamości młodego Niem-

ca”. Major pyta dalej: — Kiedy i gdzie po raz ostatni miał pan tę książkę w ręku?

W ręce nie miałem już dawno, ale widziałem: ostatni raz u Hugo Hügela. Pomijam pierwsze pytanie i odpowiadam:

— *La Hugo Hügel acasă.* — Potem mówię zdecydowanym głosem: — Proszę wszystkich panów, aby przyjęli do wiadomości, że wypowiedź o moim bracie Kurcie Feliksie jest niezgodna z prawdą. To nie on opowiedział mi o konspiracyjnych spotkaniach u Töpfnera, ale niejaki Tudor Basarabean, alias Michel Seifert. Niniejszym wycofuję tamto zeznanie.

Czy major wymienia spojrzenia z *căpitanem* Gavriiloiu i podporucznikiem Scaiete? Dzwoni telefon, ale nie podnosi słuchawki. Wstaje szybkim ruchem, wygładza mundur, jego oficerki skrzypią. Siedmiu mężczyzn w cywilu podnosi się wraz z nim, stoją wyprostowani, wszyscy w takich samych butach. Major pośpiesznym krokiem opuszcza pokój, pozostali idą za nim gęsiego.

Mój komisarz mówi, choć nie klepie mnie przy tym po ramieniu:

— Nieźle się pan sprawił.

Stać po właściwej stronie i móc walczyć o sprawę ludzkości, żeby wszyscy ludzie byli równi i szczęśliwi, a może nawet szczęśliwi po równo! Porywa mnie zachwyty. Gdy strażnik po przesłuchaniu odprowadza mnie do celi, tańczę na jednej nodze, przepełniony satysfakcją i dumą, że dołożyłem swoją cegiełkę do dzieła rewolucji światowej i zwycięstwa socjalizmu w mojej ojczyźnie.

W miesiącach poprzedzających lato tracę na wadze, podczas gdy mój rewolucyjny zapał przybiera na sile. Rozgorączkowany nie mogę się doczekać, aż mnie zabiorą na przesłuchanie i zacząć wypytywać. Niezauważenie przelatują godziny. Komisarz często podsuwa mi listy lub wybiera nazwiska podejrzanym

z mojego dziennika. O każdym z tych ludzi można powiedzieć coś złego.

Od dawna już jestem przekonany, że nie chodzi tu o starcze głędzenie czy babskie plotki, gdyż słowa naprawdę mogą być groźniejsze niż czyny. Czy to nie słowami bolszewicy przygotowali i wznieśli w 1917 Wielką Rewolucję Październikową? Na ten temat komisarz mówi swoje:

— Siła słowa w Biblii. .. Studiował pan przecież teologię. Jak wygodnie się urządził Bóg, kiedy stwarzał świat: rzekł słowo i stało się! My mamy trudniej. Samymi słowami nie stworzymy nowego świata. Trzeba ciężko pracować. I walczyć.

A jest jasne jak słońce, nie tylko dla Securitate, lecz także dla mnie: nie zawsze celem i pragnieniem wszystkich tych pisarzy było zwycięstwo socjalizmu. Potwierdza się przypuszczenie majora Blaua z pierwszych przesłuchań: w społeczeństwie rozprzestrzenia się nacjonalistyczny saski spisek, choć na zewnątrz wszystko zachowuje pozory normalności. Dotyczy to stowarzyszeń kulturalnych i teatrzyków amatorskich, każdego zespołu tanecznego i kółka literackiego, nawet jeśli jest to kółko literackie moich studentów w Klausenburgu. Tak, mamy z tym do czynienia już tam, gdzie co najmniej troje naszych ludzi spotyka się w swoim kręgu.

Wszędzie wietrzę machinacje, odkrywam podejrzone ugrupowania. Ledwie zdąży paść jakieś nazwisko, już przypominają mi się inne, tworzą kółko, klub dyskusyjny, grupę spiskowców... Proszę o papier i ołówek, dostarczają mi jedno i drugie do celi. Nazwiska same z siebie łączą się w inicjatywy czy organizacje wywrotowe. Póki wyżsi oficerowie mnie nie powstrzymają: tego już za wiele. Major Alexandrescu z nastroszonymi brwiami wpada do celi i zaklina mnie, żebym mówił tylko o osobach i nie konstruował jakichś sztucznych twórców czy kontrrewolucyjnych scenariuszy.

— To niech pan łaskawie zostawi nam, specjalistom! — Tworzenie wzajemnych powiązań i odkrywanie spraw tajnych to ich rzecz. Oni trzymają nici w ręku. Poza tym jestem w błędzie, jeśli myślę, że wśród Sasów nie ma lojalnych obywateli, żadnych uczciwych towarzyszy.

Schodzę więc na ziemię. Otrząsam się z szaleńczego przekonania, że tutaj należy uwolnić wszystkie swoje socjalistyczne myśli. I postępuję według rozkazu. Z umiarkowaniem mówię o nazwiskach i ludziach. Niektóre rzeczy zachowuję dla siebie. Rozmyślam. Kiedy nadasz zjawiskom inne nazwy, one nie stają się inne, sprawiają tylko wrażenie innych. A jakie są? Coś, co zostało wypowiedziane głośno, nie jest już tym, czym było. Gdzie więc leży prawda? Prawda — to już tylko punkt widzenia.

Już nie piszę własnoręcznie na końcu protokołu, że mówiłem prawdę. Pozostawiam to komisarzowi. Podpisuję się tylko, nieprzymuszany. I zaczynam pojmować, że nie każdy rewolucjonista może walczyć na wybranym przez siebie froncie, nie mówiąc już o tworzeniu własnych idei.

Mój rewolucyjny zapał został stłumiony. Sprawa nadal jest dla mnie bardzo ważna, ale zachwyty przeminęły. Coraz trudniej przychodzi mi ukrywanie nieodpowiednich myśli i wspomnień. Mądra jest rada myśliwego: „Człowiek ze wszystkiego, co ma w głowie, może myśleć tylko jedną myśl naraz, więc wybieraj takie, jedną po drugiej, żeby były mniej więcej w jednej linii. A jak ci będzie smutno, zagramy w czerwone rękawiczki. Zresztą sama linia partii też nie jest pociągnięta od linijki”.

Dobieram więc myśli, które mniej więcej są na jednej linii. Sięgają aż do samych początków.

Irenke Szabo już wcześniej mnie ostrzegęła: „Wasz sklep zostanie sprywatyzowany. — Interesy szły coraz gorzej, Rosjanie płacili w rublach, których nie można było wymienić, a inflacja

pożerała wszelkie zyski. Nasz ojciec, który właśnie wrócił z Rosji, nie mógł powstrzymać upadku. — I będziecie musieli opuścić to wasze feudalne mieszkanie. Taki jest bieg historii. Czekamy tylko, żeby wreszcie król ustąpił pola. Wtedy zacznie się walka klas. Poczytaj Marksa!”

Czytałem Marksa. Wśród naszych książek, choć nie na najwyższych półkach, odkryłem *Kapitał*, kieszonkowe wydanie Krönera, w niebieskich okładkach. Zamknąłem się w moim pokoiku z widokiem na gąszcz drzew w ogrodzie, czytałem nieskończenie długie zdania, które musiałem sobie powtarzać, nie rozumiejąc, zerkając czasami na lustro przy gzymsie okiennym, ciekaw, kiedy Irenke rozbierze się do naga za szpalerem irysów, żeby się wyciągnąć w popołudniowym słońcu.

Wieczorem po powrocie ze sklepu ojciec zawsze pukał do mnie, wsadzał głowę do pokoju i coś mówił. Tym razem powiedział:

— A, widzę, że czytasz Marksa.

A później, po kilku dniach, zrobił uwagę na ten temat, *en passant*. To był jego styl, cicho, jakby mimochodem rzucić kilka niezbędnych słów. Przechodząc przez pokój dziecinny z bajkowymi obrazkami na ścianach, namalowanymi przez moją matkę, w którym przytłoczony problemami życiowymi czasami chowałem się w łóżku siostrzyczki, zauważył od niechcienia:

— Przeciwno socjalizmowi nie można nic powiedzieć, oprócz tego, że jest wbrew naturze ludzkiej. — I wyszedł przez zamaskowane tapetą drzwi. Poczułem ulgę i sięgnąłem do *Niemcy, wzywamy cię, o kraju Dwingera*.

Następne spotkanie z udziałem mojego ojca, Marksa i mnie odbyło się kilka lat później, w szczyrim zamku, na strychu, gdzie uciekałem przed panującą na dole ciasnotą. Leżałem w hamaku i czytałem tym razem wczesnego Marksa. Ojciec

z wysiłkiem wspiął się po drabinie, zobaczył moją lekturę i znowu powiedział:

— Czytasz Marksa.

Oświeciło mnie pół zdania, które mówiło, że człowiek dla człowieka jest najwyższą istotą. Wynikał z tego kategoriyczny imperatyw, by odwrócić wszystkie stosunki, w których człowiek jest istotą poniżoną, uciemżoną, opuszczoną i pogardzaną.

Czyż nie mogło to mieć znaczenia dla nas, burżuazji, jako prawdziwa perspektywa, jako możliwa droga wyjścia z upodlenia? Dla nas, ostatnich, którzy w tym kraju pozostaliśmy istotami poniżonymi, uciemżonymi, opuszczonymi i pogardzanymi? Obecność ojca wywołuje moje zakłopotanie, odczytuję mu więc to zdanie. I mówię szybko:

— Teraz stosunki są odwrócone, a człowiek został ogłoszony najwyższą istotą, przynajmniej ten, który pracuje. A kto nie pracuje?

Ojciec zaczął ustawiać puszki po konserwach, pogięte wiadra i rondle z poobijaną emalią tak, żeby deszcz nie padał nam do łóżek. A ja nie ruszyłem się z mojego hamaka. Potem, schodząc po drabinie, kiedy już tylko jego głowa była widoczna, powiedział:

— Wszystkie stosunki odwrócone, to prawda. Ale człowiek jako najwyższa istota? Nikt z naszych ludzi podczas tamtych lat przymusowych robót w Rosji nie został komunistą. Przeszło nawet tym nielicznym, którzy wcześniej mieli czerwone sympatie czy flirtowali z bolszewikami. Nie wydaje ci się to dziwne?

— To było w czasie wojny i zaraz po niej. Rosjanom powodziło się jeszcze gorzej niż wam w obozach.

— Jeszcze gorzej? No tak, ty na pewno wiesz. — Jego głowa zniknęła w otworze. Tymczasem ja odłożyłem młodego Marksa i sięgnąłem po *Między bielą i czerwienią* Dwingera.

Nasza matka już w tym dziwnym międzyczasie, kiedy król rządził do spółki z komunistami, pojęła, że minęły czasy, kiedy można było po prostu zawołać córkę dozorczy do najróżniejszych posług: od grabienia ścieżek po trzepanie dywanów. Na ręczniku kąpielowym na łąkach nad Alutą siedziała teraz nie tylko nasza rodzina, jak kiedyś, matka, Uwe, Elke Adele; tłoczyły się tam także Irenke, szykownie wyglądająca w dwuczęściowym stroju kąpielowym ciotki Herty, która była w Rosji, oraz jej młodsza siostra Oronko z krzywymi plecami i obwisłymi piersiami, w czarno-żółtym kostiumie naszej babci. Elke Adele trzymała w objęciach jej czteroletniego synka, który miał na imię Imre. Każdy wiedział, kto jest ojcem chłopca, ale nikt nie znał miejsca jego pobytu.

Kilka lat później, mieszkaliśmy wtedy w szczurzym zamku, matka i ja postanowiliśmy odwiedzić Oronko. Rezydowała sama w dawnym domku dozorczy. Jej rodzice dzięki pośrednictwu Irenke dostali mieszkanie w pierwszym oddanym do użytku bloku. „Z łazienką!”. Ojciec pełnił obowiązki portiera w niegdysiejszej fabryce cegieł Stoofa, obecnie Partinsanul Rosu. „W mundurze. Z pistoletem. Wiecie państwo, w mieście sabotażyści, w górach bandyci”.

Jej matka, poczciwa Margitnéni, która od rana do nocy trudziła się dla rodziny i przez całe życie z oddaniem patrzyła na swego męża, pracowała w księgowości spółdzielni konsumentów Economica w Fogaraszu. Sprytny kadrowy odkrył, że miała zaliczone siedem klas węgierskiej szkoły ludowej, czyli potrafiła liczyć — choć nie po rumuńsku.

Oronko od niedawna miała bieżącą wodę w kuchni.

— Jak łaskawa pani, wtedy.

W szczurzym zamku musieliśmy nosić wodę wiadrami z rogu ulicy. Ciągłe wybuchały o to kłótnie: „Czyja teraz kolej, który z chłopców idzie po wodę? Nawet nie chce się wam ruszyć palcem! A może chcecie, żeby ojciec za was poszedł?”.

— Może niedługo wystarczy na łazienkę. Jak wtedy, u państwa, *nagyságasasszony*. — Wykonała gest w kierunku dużego domu, w którym planowano umieścić szkołę partyjną lub przychodnię akuszerki. Nie pytaliśmy o nic. Ale ukradkiem spojrzeliśmy przez niskie okna na nasz niegdysiejszy dom. Dość niezwykła perspektywa z tego miejsca. Lwów nie było. Królewskie zwierzęta zostały strącone z piedestału. Zewnętrzne schody były wyszlifowane. — Zarabiam całkiem nieźle. My, prządki, co miesiąc przekraczamy plan. — Niewielka kuchnia, w której dozorca obcinał mnie i moim braciom włosy, była urządzona na wysoki połysk. Nowiutkie meble kuchenne. — Na raty. — Oronko otwierała szuflady i szafki pełne sztuców, naczyń, porcelany: — Ze znakiem jakości! — Odwróciła talerz do góry: *Intreprindere de Stat Vasile Roaita, Cluj*. Była fabryka porcelany barona Zsolnay.

Łóżeczko z siatką, w którym spał Imre, wydawało się nam znajome. Zniknęło owej deszczowej nocy, kiedy burmistrz Antál Simon kazał swoim pacholkom wyrzucić przez okno nasz dobytek. Sąsiedzi pomogli nam powyciągać rzeczy z błota i przenieść je do pustej hali magazynu, naszego nowego lokum. Moja matka objaśniła Oronko parę detali i funkcji łóżeczka. Boki z siatką można było podciągać do góry, żeby zabezpieczyć dziecko. Po rozłożeniu tylnej części dziecko mogło siedzieć wyprostowane. A kiedy złożyło się nogi, łóżeczko stawało się kojcem.

Nowym zakupem było dwuosobowe *studio*. Bez okleiny, ale za to lakierowane. Z materacem zielonym jak preria. Skrzynia na pościel, przeszklona szafka na bibeloty, wbudowana półka na książki: węgierskie powieści groszowe i *Krótką historia WKP(b)*.

- Wiesz, co znaczy to małe „b”? — zapytałem.
- Nie, ale tu wszystko jest nowe.
- Bolszewicy.

— Wszystko nowe! — opadła na *studio*, odbiła się do góry i zaśmiała uszczęśliwiona: — To jest łóżko dla męża i żony. Może znajdę sobie mężczyznę. Mojego chłopca wychowuję tak, jak łaskawa pani swoich *urfi*. Punkt o siódmej musi iść do łóżka, choćby nawet był jak młody wilczek. Basta!

Z szumem weszła Irenke.

— Och, cóż za zaszczytna wizyta! Dzień dobry, towarzysko Gertrud. — Na mnie nawet nie spojrzała. To okropne, pomyślałem: nie jesteś już taki mały, a jeszcze nie wystarczająco duży. — Podoba się pani u nas? Jak biednie tu żyliśmy za czasów kapitalistów. Ale karta się odwróciła! Już nie jeździ się dorożką czy saniami na przejażdżki, po których nam pozostaje sprzątanie końskich gówień. — Tak, karta się odwróciła.

Gdy wychodziliśmy z domku, matka zapytała:

— Dlaczego wasz ojciec nie doprowadził wody do domku dozorczy, wtedy?

Przelotnie rzuciliśmy okiem na fasadę naszego dawnego domu, w którym byliśmy szczęśliwi. Państwowe akuszerki? Szkoła partyjna? Górne części wysokich okien zostały zamurowane. Nad nimi bezsensownie zwieszały się gipsowe róże i liście palmowe.

Był to bardzo emocjonujący czas, kiedy przebudzony proletariat stwarzał sobie swoje niebo na ziemi. Przebudzenie to charakteryzowała pewna niewinność połączona z rajską ciekawością. Gdzie byli dotychczas ci wszyscy ludzie, którzy nagle wyszli na światło dzienne, zadawaliśmy sobie to pytanie ze zdziwieniem. Gdzie spędzali noce, co jedli, jak kochali? Staliśmy na granicy półmroku i z pewnym lękiem w oczach przyglądaliśmy się temu barwnemu ożywieniu, a w naszych sercach walczyły sprzeczne uczucia...

I nie umykało nam, że opromieniał ich jakiś wzruszający blask szczęścia, tych ludzi, którzy odważyli się wyjść ze swych

nieznanych wcześniej rewirów, czując nową godność swojego stanu, którzy uczyli się radości życia. I ze zdumieniem urządzali się w nadziei na dobrobyt, gdyż praca własnych rąk dawała im siłę i ochronę.

Zawierając związek małżeński, para robotników wiedziała, na co może liczyć. Na początek komplet mebli z fabryki Nowe Czasy, radioodbiornik „Pionier” i po kilku miesiącach wózek dziecięcy „Sokół Ojczyzny”, wszystko na raty. Można było mieć pewność, że dzieci, po szkołach i studiach, zajdą daleko — mój syn, *domnul inginer*, nasza córka, *doamna doctor!*

W republice zapanował czas balów robotniczych. Lud zrozumiał, że do niego należy cała władza, i chciał to odpowiednio świętować. Nie tak jak dotychczas, w tanich lokalach na zniszczonych deskach przy świńskim targu czy za żydowskim cmentarzem, ale na lśniących parkietach reprezentacyjnej sali u Laurischa-Chiby przy samym rynku albo w Hotelu Parkowym obok fabryki papierniczej. Teraz panowali oni. Więc chcieli być jak panowie.

Oprócz zwykłych sobotnich potańcówek odbywały się pełne przepychu zabawy karnawałowe. Nawet w czasie postu albo w środku lata świętowano karnawał. W każdą sobotę Irenke przyprowadzała do nas towarzyski i towarzyszy, a nasza matka dopasowywała im kostiumy i maski z Budapesztu. Tylko tęczową spódniczkę baletową, w której wystąpiła kiedyś jako tancerka w kółku teatralnym, i strój z amerykańskiej flagi, gorsecik w biało-czerwone paski z niebieską spódniczką w gwiazdki, zostawiła dla siebie, z różnych powodów: przy baletowej spódniczce chodziło o wspomnienia ze szczęśliwych lat młodości, przy fladze bała się, że możemy zostać posądzeni o imperialistyczną propagandę.

Towarzysze w zabawnych przebraniach, przystrojeni w akşamity i jedwabie, tafty i atłasy, opuszczali szczyrzy zamek

w błogim złudzeniu, że są tym, na kogo wyglądają: bojarami i damami, egzotycznymi myśliwymi i księżniczkami, kapitanami statków i baletnicami.

Także my, moja matka i ja, daliśmy się porwać tej fali powszechnej radości, chcąc upodobnić się do tych ludzi nie tylko w pracy i biedzie, ale także w ich rozrywkach. I tak doszło do tego, że oboje tańczyliśmy nocami do dźwięków skrzypiec, harmonii i bębna, ze Stanem i Branem, Firużą i Lilicą. Kiedy moja matka w sukniach z surowego jedwabiu wkraczała między tańczących ludzi, zabawa na chwilę traciła rytm. Muzyka milkła. Pary odskakiwały od siebie. Kapela grała tusz. Wszyscy odwracali się w naszą stronę, zapraszali, żebyśmy podeszli bliżej. Jedno było pewne: nie należeliśmy do nich. Ale byliśmy z nimi. Opanowywała mnie słodka tęsknota, żeby być takim jak oni.

Dziewczyny, młode kobiety z kwitnącym uśmiechem na twarzy uważały się za godne pożądanego w swoich schludnych sukienkach z drukowanych we wzory materiałów kupowanych na talony po trzy leje za metr. Kiedy z nimi tańczyłem, przytulały się do mnie z wielką żarliwością, choć nigdy nie wiedziałem, co mam powiedzieć. Głęboko zapuszczane spojrzenia zdradzały mi, że nie noszą biustonoszy, za to ich dekolt cierpko pachnie tymiankiem, czułem także, że wiele z nich nie nosi majteczek. Przyjaciółki w przerwach wymieniały się sukienkami, ale potem wcale nie wyglądały inaczej. Chłopcy i mężczyźni w gotowych garniturach mieli na szyi krawaty w czerwoną pepitkę i sztuczną różę w butonierce. Męczyli się w butach z grubą gumową podeszwą i wierzchem z winylu. Często podeszwy odpadały od ciągłej walki o właściwy rytm, ale zaraz przytwierdzano je z powrotem do buta kawałkiem drutu i tańce trwały dalej.

Wokół mojej matki krążyli zalotnicy, podchodzili, dumnie wymieniali nazwisko i zawód, nieśmiało uklonami

i całowaniem w rękę chcieli zdobyć jej względy: fryzjerzy ze spółdzielni rzemieślniczej Rzetelność i Praca, dozorczy bytła z państwowej fermy Żniwny Front, piłkarze z klubu Nasza Przyszłość, mlaskający cukierkami sprzedawcy ze sklepu spożywczego. Ale kowal z fabryki kotłów Czerwona Spirala, z twarzą pokropkowaną od oparzeń, odsunął wszystkich na bok. I czy fryzjer, czy też tokarz, każdy tańczył z moją matką z taką ostrożnością, jakby trzymał w ramionach słomianą kukłę.

Wiele rzeczy wyglądało inaczej, niż byliśmy przyzwyczajeni z naszych *thés dansants*. Nie wolno było otwierać okien. Na czołach perlił się pot. Ubrania kleiły się do ciała. Spod pach unosiły się ostre opary. Niezwykły były też zwyczaje w tańcu: damę przyciskało się do siebie tak, że brakowało jej powietrza, albo kładło jej łapę na tyłku, aż z wrażenia dostawała czkawki. A już zupełnie zaskakujący był fakt, że w samym środku tanga ktoś trzeci wbijał się jak klin pomiędzy ciasno splecioną parę, porywał damę, prał jej partnera po gębie i odpływał w tańcu ze zdobyczą. I gdy w rytm tanga prowadziłem przez salę dziewczynę o figlarnych oczach i jędrnych piersiach — ja w lakierkach ojca, ona w butach gimnastycznych zwanych *tenisch*, po piętnaście lei sztuka, lewy i prawy do kupienia osobno — szeptałem sam do siebie z rezygnacją: choćbyśmy nie wiem jak próbowali się dopasować, nigdy nie będziemy do nich należeć.

Kiedy o moją matkę rozgorzała walka pomiędzy działaczem młodzieżowym Jonicą Roścatu z komitetu partyjnego a odznaczonym kowalem Decebałem Dragonu z fabryki dynamitu, gdyż obaj chcieli się z miejsca z nią żenić, w powietrzu zrobiło się gęsto od ciosów, my wyszliśmy z sali, nie dowiedziawszy się nigdy, kto wygrał. A po krótkim sezonie balowym opuściliśmy parkiet na zawsze.

Myśliwy proponuje mi grę w czerwone rękawiczki. Ale ja jeszcze nie skończyłem. Nadal przeglądam moje myśli, zawsze po jednej.

Zastanawiam się, dlaczego robotnik tak szybko zapomniał o swym pochodzeniu i stanie i tak szybko stracił z oczu cel i sens historii, dlaczego próbował prywatnie wskrzeszać dla siebie świat, który skazał na zagładę. Czas niewinności wkrótce minął. Zwrot „towarzysz” stał się niemal obelgą. Gdy ludzie byli wściekli, stojąc w kolejce do piekarni czy w przepełnionym autobusie, warczeli na siebie: „Idź do diabła, towarzyszu!” albo „A niech cię, towarzyszu, piekło pochłonie!”. Każdy chciał, by zwracano się do niego tylko *domnule*, *doamnã*, choć ustawy tego zabraniały.

Z zaskoczeniem, wręcz zupełnie zdezorientowani, obserwowaliśmy, że klasa robotnicza nie zadowalała się pozorami, już im nie wystarczały wyblakłe kostiumy i udawanie burżujów na balach maskowych. Teraz sięgnęli po oznaki ich statusu i zaczęli kopiować styl życia byłych panów. Gdy żenił się syn po studiach, pytano: Czy narzeczona ma apartament z dwoma klozetami i starymi meblami zostawionymi przez burżuazję, wyłożony orientalnymi dywanami? Informowano się, czy jest dom na wsi. I czy posiada fortepian z angielskim mechanizmem — o co przy tym chodziło, nie wiedział nikt. No i oczywiście samochód. Za mile widziany dodatek uchodził grobowiec z wychodzącym na południe przedsionkiem i szklanymi drzwiami, za nimi powinien być dobrze widoczny stół z plastikowymi kwiatami, wokół niego krzesła, obok lampy stojąca, i oczywiście ukryty barek.

I jak nie bez pewnego humoru opowiadała Irenke, gdy w ogłoszeniu podawano markę fortepianu, ewentualny nabywca uprzejmie pisał: „*Doamnã* Bösendorfer, pani Blüther czy też *Madame* Bechstein, oferowała Pani fortepian na sprze-

daż w gazecie — i nieodmiennie pytał: — A czy posiada on angielski mechanizm?”

Siedzę na skraju łóżka i pytam sam siebie: jak partia może jeszcze spokojnie spać? Rzeczywiście, trzeba człowieka przymuszać do szczęścia. Nagle uświadamiam sobie, że przyszła mi do głowy nowa definicja socjalizmu: socjalizm polega na tym, że szczęście narzucają człowiekowi siłą.

Przesłuchania ciągną się dalej. Niekończąca się pętla szubienicy. Po drugiej stronie krat lato pyszni się swymi urokami. Komisarz stwierdza z zadowoleniem:

— Herwalda Schönmunnda i barona von Pottenhofa już załatwiliśmy, przynajmniej na razie. A teraz wróćmy do Oinza Erlera. Co też on nawypisywał, ten fałszywy pastor! Nasi tłumacze nie nadążają z przekładaniem. Popatrz, to jest bazgrana z jego szuflady: *Pijana świnia*. — Kładzie na moim stoliku kilka stron maszynopisu.

Wyłapuję spojrzeniem słowo „prosię”. Jest ich osiem. Przed moimi pulsującymi oczami widzę jednak tylko siedem. Gdzie skryło się to ósme? Na siedmiu srebrnych półmiskach — liczę jeszcze raz — leży siedem uśmiechniętych pieczonych prosiąt, z chrupiącą skórką, orzechem w pysku i uszkami ozdobionymi zieleniną. W naszym salonie odbywa się rytuał niedzielnego obiadu. Uwe naciska elektryczny dzwonek, zwieszający się na zielonym drucie z kinkietu. My, starsi chłopcy, męczymy się z nożem i widelcem; łokciami przyciskamy do boków książki, którym nie wolno wypaść. Siostrzyczka ma na oczach czarną opaskę, żeby oszczędzić jej widoku martwych zwierząt. Jeszcze przed deserem matka wstaje od stołu i brzdąka na fortepianie; brzmi to jak bolero...

Przed oczami robi mi się zielono, wokół mnie zapada czerń. Nigdy więcej bolera... Gdzie on jest, mój poczciwy, wierny,

stojący twardo na miejscu stolik, którego mógłbym się przytrzymać?

Zielone światło, w które wkraczam z krainy snu. Wojskowe buty, spodnie koloru khaki otaczają moje łóżko. Białe fartuchy. Kłucie w ramię. Fala ciepła zalewa moje ciało. Raz nachyla się nade mną lekarski czepek, wprawna ręka bada moje powieki, dotyka czoła. — *Lux ex oriente*. — Obce języki. Jakiś oficerski but szura z niezadowoleniem, głos tłumaczy: — *Lumina din răsărit! Aurora*. — Ach, chodzi o jutrzeńkę. Doktor Scheditan. Feudalne posiłki, myśliwy pomaga. Czasami *căpitan* Gavriloiu, w oficerkach, pyta, ja odpowiadam, on notuje. Zapadam w czarny sen, często aż do południa następnego dnia.

Podczas tygodni wielkiej senności śnię ciągle o obfitych posiłkach w domu mojego dzieciństwa i o przejażdżkach saniami do oberży wesołych mnichów. Ale jedno jest zadziwiające: zamiast towarzyszyć Zoi Kosmodemjanskiej w jej ostatniej drodze, widzę ją, jak wsiada do naszych sań i przygrywa gościom na bałajce. I zamiast dzielić ostatnią skórkę chleba w więzieniu Doftana z Vasile Roaită, siedzę razem z nim przy naszym niedzielnym obiedzie, a jego oczy zasłonięte są czarnymi okularami z blachy.

I w godzinach jasności zadaję sobie pytanie: dlaczego nie śnię wcale o szcurzym zamku, gdzie wiedliśmy życie proletariatu, na śniadanie jadaliśmy prażone *palukes* albo paprykę nadziewaną marmoladą, gdzie wszyscy sypialiśmy w jednym pokoju, a zimą ogrzewaliśmy go chrustem z lasu albo trocinami.

Bajka w zielonym kolorze już się skończyła, wkrótce kończy się także jedzenie *à la carte*. Nie ma już menu ani zastrzyków. Choć mój umysł jest w świetnej formie — kuracja wysprzątała moją pamięć do czysta — jestem jeszcze trochę rozkojarzony. Dusza nie nadąza. Ale jedno już wiem: zawsze będą istniały

myśli, których nie można uzewnętrznić, nawet tam, gdzie jest największa miłość, przed najbliższą osobą. A że jednak muszę je wyrazić, zaczynam się modlić.

24

Czy to piasek pustyni chrzęści między naszymi zębami? Znad Sahary nadlatują upały, ranią się o szczyty Gór Dynarskich, rozgrzewają do czerwoności grzbiety Karpat Południowych. Czujemy to: niebo żarzy się żółtawo, jak tygrysie oczy. Cela aresztu jest jak rozgrzany piec. Obaj z myśliwym, rozebrani do pasa, przyciskamy się do chłodnego cementu, oddychamy z trudem. Strażnicy zaglądają przez judasza spoconymi oczami. Upał mnie zabija, stukam w żelazne drzwi, żądam, żeby zaprowadzono mnie przed otwarte okno, z zawiązanymi oczami; wszystko jedno jak: choć raz muszę porządnie nabrać powietrza!

Jest 23 sierpnia 1958, święto państwowe: aresztowania, łapanki. Żadnych przesłuchań. Odkąd wynurzyłem się z zielonych głębin senności, mam okres ochronny. Myśliwy leży na podłodze i chciwie nasłuchuje przez mury odgłosów otwierania i zamykania bramy, warkotu zajeżdżających milicyjnych furgonetek. Ja słyszę tylko szuranie i szlochy na korytarzu, potem zgrzyt zasuw. Myśliwy ostrzega:

— Tylko bez fałszywego współczucia. To wszystko są wrogowie. — I dodaje zadowolony: — Areszt się wypełnia. Będą nowości. Niedługo przyjdzie kolej na naszą celę. Przecież mamy dwa wolne łóżka.

— Wtedy tu zdechniemy!

Już słyszać kroki. Stajemy szybko pod tylną ścianą. Drzwi się otwierają, potem zamykają, cisza. Gdy się odwracamy, stoi

przed nami otyły mężczyzna w chłopskim ubraniu. Oczy ma dalej zamknięte, jakby jeszcze nosił blaszane okulary. Jego policzki drżą. Idzie prosto przed siebie, z rękami wyciągniętymi do przodu jak niewidomy, dotykiem odnajduje pulpit w ścianie, składa na nim głowę i zaczyna płakać. Po węgiersku mamrocze:

— Przecież ja tylko biłem w dzwony, tylko dzwony! — Nawet potem, kiedy drzwi otwierają się ponownie i do celi wepchnięty zostaje następny nieszczęśnik, dzwonnik nadal ukrywa twarz w dłoniach. Nie otwiera oczu także wtedy, kiedy strażnik potrząsa nim, aż łzy tryskają na boki: — Bądź posłuszny, bądź rozsądny!

Czwarty lokator celi jest młodym człowiekiem. Ma na sobie ciemnoniebieski mundur elitarnych oddziałów straży robotniczej. Ubranie jest w wielu miejscach nadpalone i pachnie oleistym dymem. Mimo gorąca nosi czapkę uszankę z baraniego futra z niebieską lamówką, ozdobioną sierpem i młotem. Jego dziecięce oczy w usmolonej sadzą twarzy z przerażeniem rozglądają się dokoła. Razem z myśliwym przedstawiamy się oficjalnie, ale gość mówi jedynie:

— *Din Făgăraș.*

Z Fogaraszu! Od razu chcę zasypać go pytaniami, ale myśliwy mnie powstrzymuje:

— Spokojnie! — Młody człowiek zdejmuje czapkę, rozmazuje sadzę na spoczonej twarzy. Głęboka czerń ożywia nagie ściany celi.

Myśliwy wilgotną chusteczką czyści nowo przybyłemu twarz, aż jest całkiem czysta. Nagle tamtemu drga lewa brew. Wtedy go rozpoznaję.

— Nicolae Magda! — mówię zaskoczony. Dopiero teraz kieruje na mnie wzrok. Padamy sobie w ramiona. Opiera twarz o moje ramię i szepcze:

— Młody panie, już cztery lata temu, w nocy na Pierwszego Maja, kiedy chciał się pan u mnie ukryć, wiedziałem, że pan tu trafi. — Ale że sam tu wylądował, to nigdy nie przyszedłoby mu do głowy nawet w najśmielszych snach. Przez te lata zdążył skończyć eksternistycznie drugą klasę szkoły powszechnej i został powołany do straży pożarnej, „bardzo polityczne stanowisko!”. Córeczka Alba Zăpada chodziła do szkoły, ojciec i córka ścigali się w nauce. Urodzony niedługo po mojej wizycie synek Nicolae Iljicz był już w przedszkolu i bez problemu biegał z góry na dół po schodach w bloku. Po narodzinach chłopca teść cofnął swoją klątwę i teraz w lecie dzieci razem z nim ustawiały się na baczność na peronie i salutowały przejeżdżającym pociągami. A jego żona, Maria, awansowała na szefową księgowości. Młody mężczyzna rozgląda się wkoło i mówi zdławionym głosem: — Na Boga, a co ja tu robię? — Pomagamy mu zdjąć ciężki, cuchnący spalenizną mundur, a on zaczyna opowiadać swoją historię. Zeszłej nocy bohatercko stłumił pożar w swojej fabryce. Dzięki Bogu zajęły się akurat pojemniki z eterem siarkowym, na których zasnął. — Trudno sobie wyobrazić, co by było, gdybym położył się gdzie indziej. Fabryka dynamitu wyleciałaby w powietrze razem z całym Fogaraszem.

— Ale przecież byłeś na służbie. Dlaczego zasnąłeś?

— No właśnie. Kiedy pracujesz w nocy, musisz złapać tyle snu, ile się da.

Jeszcze zanim przybyła straż pożarna, by stwierdzić, że niebezpieczeństwo zostało zażegnane, na miejscu już był dyrektor fabryki, „jakby spadł z nieba”. Ów potężny człowiek, którego młody robotnik nigdy w życiu nie widział na oczy, nachylił się do niego, uściśnął rękę, wlał mu do gardła łyk koniaku z wyjętej zza pazuchy butelki, pogratulował i obiecał, że zgłosi jego nazwisko do odznaczenia. Ale dalej sprawy potoczyły się inaczej. W środku nocy w fabryce pojawił się elegancki mężczyzna w cywilu w towarzystwie dwóch żołnierzy

w niebieskich czapkach i ostrym głosem rozkazał dyrektorowi: „Dość gadania!”. Jeszcze raz towarzysz dyrektor zaczął: „*Felicitare! Te propun pentru medalia...*” Ale zdanie zawisło w powietrzu niedokończone, a chwalebna karta pozostała niezapisana. Bohater, nie wiedząc, co się dzieje, został odpro-
wadzony w kajdankach.

Zgnębiony mężczyzna, teraz w podkoszulku i długich ka-
lesonach z fruującymi troczkami, powtarza ostatnie zdania,
jakby chciał się upewnić, że tamto jest prawdą, a nie to tutaj.
Zaczyna od nowa:

— Szanowny towarzysz... — by nagle wykrzyknąć: — Pali
mnie ogień. Płomienie mnie pożerają! Powietrza, powietrza,
duszę się! Otwórzcie wszystkie okna! — Z rozszerzonymi
strachem oczami pada na podłogę. Myśliwy zdążył go pod-
trzymać, żeby nie złamał sobie karku na krawędzi łóżka.

Mamy teraz komplet w celi: czterech mężczyzn i cztery
łóżka, jedno ustawione piętrowo, trzy na dole. Pomiędzy
nimi wąskie przejście w kształcie litery T. Razem z myśliwym
stawiamy Nicolae z Fogaraszu na nogi i opieramy o ścianę,
w którą wpatruje się pustym wzrokiem. Rozgrzane powietrze
dławi nasze oddechy. Nie możemy zrobić kroku, żeby nie
potknąć się o spocone ciało drugiego. Mimo to wpychają
nam do celi piątego więźnia. Mężczyzna w białym lnianym
garniturze toruje sobie drogę między łóżkami i ludźmi,
krzycząc:

— Gdzie leży Jerozolima? — Jerozolima jest gdzieś za ścia-
ną, o którą opiera się przerażony Nicolae. — Zrób mi miejsce!
Wynoś się stąd! — A gdy zastygły w rozpacz człowiek go nie
słucha, pan w letnim garniturze popycha go w drugi kąt i usta-
wia tam jak manekina. Potem zrzuca sandały ze stóp i zaczyna
uderzać czołem w ścianę, jakby chciał rozbić jedno i drugie.
Krzyczy: — O święty Izraelu, czyż nie dość żydowskiej krwi
już przelano? Stoję tu, o Najwyższy i Gniewny, przy tej nędznej

ścianie płaczu i pytam Cię: Czego chcą ode mnie te pacholki? Odebrali mi rzemienie modlitewne, żebym się nie mógł powieścić. Odebrali Ci nawet władzę nad śmiercią Twoich dzieci. Ci szaleńcy, o Wszzechmocny, zajęli Twoje miejsce jako panowie życia i śmierci. Pomścij nas, bo zemsta należy do Ciebie, o Pani! — Końcami palców posyła całusy, gdy zwraca się do Nieznazywalnego. I krzykiem wyrzuca z siebie cały ból duszy i cierpienie ciała. Krzyczy wbrew wszelkim przepisom. Krzyczy tak, że zaraz pojawia się oficer.

Tylko myśliwy i ja stoimy na baczność. Po prawej stronie opiera się o ścianę młody robotnik. Naprzeciwko niego nasz żydowski towarzysz niedoli wali głową w ścianę i krzyczy, aż echo odbija się od ścian. Uczepiony stolika szłocha dzwonnik. Ale oficer jest panem sytuacji, wie, co się tu dzieje i co trzeba zrobić. Za nim stoi strażnik w kapciach, w rękach trzyma dwa wiadra wody.

— Weźcie swoje garnuszki i polejcie tego wariata! — zwraca się do nas obu. — Powoli i równomiernie, bo inaczej ten zelota tak szybko nie przestanie. — Powoli i równomiernie polewamy kark i głowę modlącego się wodą. Rozgrzane powietrze zdaje się reagować sykiem. Jedno wiadro już opróżniliśmy, ale bez zauważalnego skutku. Przy drugim udaję, że się potknąłem, przewracam je i woda rozlewa się po rozgrzanej podłodze. Oficer, nasz tancerz solowy, podskakując na czubkach butów, ucieka na korytarz, strażnik także ratuje swoje kapcie. Myśliwy ostatni garnuszek wody wylewa na mężczyznę pod ścianą.

Ten odwraca się do nas i mówi z uśmiechem:

— Bardzo przyjemna taka chłodna kąpiel. No, skończyłem modlitwę. Będę ją powtarzał trzy razy dziennie. Nazywam się Samuel Apfelbach. Pochodzę z Elisabethstadt, jestem antykwariuszem. — Kłania się, podaje każdemu rękę, również szlochającemu mężczyźnie przy stoliku, nawet sztywnemu

Nicolae pod ścianą. Oficera nie zaszczyca nawet spojrzeniem. Ten mówi jeszcze:

— Porządek i spokój! Niech pan tego przypilnuje, *domnule* Vlad! Bo jak nie, to pójdziesz do karceru.

Myśliwy mruczy:

— Tam jest chłodno i byłbym sam.

Pan Apfelbach jest uosobieniem spokoju. Dla porządku pyta każdego o jego imię, zawód i język ojczysty. Z dzwonnikiem rozmawia po węgiersku, ze mną po niemiecku. Kiedy mu odpowiadam, moja mowa brzmi groteskowo i niewyraźnie.

— Proszę wybaczyć, panie Apfelbach; od miesiący nie powiedziałem słowa w moim języku ojczystym. — Po kilku dniach zauważyłem, że w ten sposób zaczynam prawie każde zdanie, gdy zwracam się do niego: „proszę wybaczyć”. Przedstawiając się imieniem, dodaję pośpiesznie: — To imię było postanowione jeszcze przed dojściem Hitlera do władzy. Ale moja matka urodziła się w Budapeszcie i rodzice mówią wszystkimi trzema językami naszego kraju. Ojciec w latach czterdziestych nie chciał umieszczać na wystawie swojego sklepu tabliczek z napisem: „Żydów nie obsługujemy” albo: „Nie życzymy sobie żydowskiej klienteli”. Ja sam jeszcze jako chłopiec bawiłem się z żydowskimi dziećmi. I zostałem za to ukarany przez dowódcę naszego oddziału Hitlerjugend. A od niedawna jestem za zwycięstwem socjalizmu na całym świecie. Tak samo pan Vlad Ursescu, sławny myśliwy.

Pan Apfelbach odpowiada na ten potok wymowy dowcipem, jakby chciał mnie pocieszyć:

— Szlomo, czemu nie śpisz, pyta Rachela. Bo nie mogę jutro oddać długu Szmulowi. Rachela woła do okna: Szmulu, Szlomo nie spłaci ci jutro długu. No i teraz Szmul nie może spać. To śpij dobrze, Szlomciu! — Śmieje się. — Kiedy chce się naprawdę rozbawić ludzi, trzeba opowiadać żydowskie kawały po niemiecku.

Pozwala, żebyśmy go nazywali wujkiem, albo też *Samu-bácsi*, wujaszek Sami, *unchiu Samulicã*. Pytam o pastora Wortmanna.

— Źle, bardzo źle. Jego syn Theobald został aresztowany. Przyłączył się tutaj w Kronstadt do grupy saskich młodych spiskowców. Ale ojciec dalej wymachuje czerwonym sztandarem. Najważniejsza jest wierność, tak mi niedawno powiedział, kiedy oferował mi do kupienia luksusowe wydanie dzieł Goethego. Wasz biskup przeniósł go na wieś, gdzieś do zapomnianej przez Boga dziury. Niech będzie pochwalone Jego Imię.

— Proszę wybaczyć, czyje imię? Biskupa?

— Nie, imię Nienazywalnego.

Theobald, mój szkolny kolega tutaj... Który z czystego wyrachowania zostawił Armgard na łodzi, bez względu na czas i okoliczności. Który widział swoje życie jako model atomu, unikał wszystkiego, co mogło zakłócić tor jego rozwoju. „Najrozsądniejsze w tych czasach totalnej inwigilacji jest zachowywanie się jak elektron. Obserwator może wiedzieć, gdzie on jest, ale nie wie kiedy. Albo zna moment jego pojawienia się, ale nie domyśla się miejsca”. Tymczasem Securitate wiedziała jedno i drugie.

Szczękają zasuw. Myśliwy ustawia nas w wąskim przejściu między łózkami, twarzą do ściany. Robotnika odwraca w prawo, dzwonnika chwyta za kołnierz i stawia na nogi.

— Wyc możesz też i na stojąco.

Kiedy odwracamy się, nie czekając na rozkaz, w drzwiach stoi zjawisko, przed którym odruchowo cofnęlibyśmy się o krok, gdyby w celi nie brakowało miejsca. Wysoki i wychudzony, w jednej ręce czarny kapelusz, w drugiej węzełek z ubraniem i blaszany kubek, nowy przybysz pozwala, by strażnik zdjął mu okulary. Ten musi się porządnie wyciągnąć.

Gość mówi:

— Proszę się nie bać. Do takiej celi wchodzi jedenaście do trzynastu osób, na całe miesiące, nawet udaje im się utrzymać przyjazne stosunki. — Podaje każdemu rękę, przedstawia się, prosi nas o powtórzenie nazwisk, by mógł je zapamiętać. Do mnie odzywa się po niemiecku: — Ach, pan jest Sasem.

— Czy może pan powtórzyć swoje nazwisko?

— Vasvári. — Przeciągnęły, spokojnym spojrzeniem sprawdza pomieszczenie, ogromne oczy lśnią w jego ascetycznej twarzy.

— Na pewno jest pan tu już długo — mówię.

— Z czego pan to wnosi?

— Nowicjusz zachowuje się inaczej. Bije na oślep rękami, tłucze głową w mur. Niech pan spojrzy na tego przy stoliku: płacze, wzdycha. Albo na młodego chłopaka pod ścianą: nie może oddychać.

— Zabrali mnie przed dwiema godzinami. Ale ja znam to wszystko. — Jeszcze raz rozgląda się po ścianach. — Znam to dobrze. Jaki dzień dzisiaj mamy? 23 sierpnia 1958 roku. Przez czternaście ostatnich lat ciągle mnie zamykali i wypuszczali. Niech policzę: w sumie przesiedziałem ponad siedem lat w więzieniu. Jestem dobrze przygotowany. — Pokazuje swoją długą koszulę z barchanu w niebieską kratkę. — Specjalnie dłuższa ze względu na nerki, kiedy trzeba spać na betonie. — Jego spodnie uszyte są z czarnego mocnego materiału, na nogach ma wysokie skórzane buty. — I nie traktuję tego tak dramatycznie. W gruncie rzeczy zamieniam tylko swoją celę na inną.

— Jak to?

— Jestem księdzem katolickim, tutaj w Kronstadt. Na Klostergasse.

— Katolicki kościół farny. Z wieżą na wschód. Ja skończyłem liceum Honterusa.

— Zresztą mój ewangelicki kolega, pastor Möckel, też tu jest, od lutego. — Nogi uginają się pode mną. Przypuszczenie to jedno, ale potwierdzenie to coś zupełnie innego. — Jest tu także wielu kronsztadzkich Sasów, w tym ponurym miejscu, przede wszystkim młodzież.

Stoimy w przejściu między łózkami, pan Apfelbach i myśliwy siedzą z tyłu na podłodze. Dzwonnik dalej szlocha oparty o stolik. A Nicolae z Fogaraszu, nieobecny duchem, stoi oparty o ścianę.

— Proszę się rozgościć — mówię.

— *Tonio Kröger*, o ile sobie dobrze przypominam. — Jakże raduje się moja dusza na te słowa. Wykonuję gest w kierunku łóżka z tyłu, nad którym sterczy ze ściany stolik. Dzwonnika sadzamy delikatnie na kiblu. Ksiądz zdejmuje buty, po turecku sadowi się na łóżku. W ten sposób można przejść obok niego.

Myśliwy proponuje „panu” Vasváriemu papierosa, zanim jego własny zgaśnie. I pyta, czy to prawda, że papież nie może się żenić i dlaczego mimo to ma dzieci. I zaraz chce jeszcze wiedzieć, jakby się bał, że ksiądz może mu uciec:

— Czy to prawda, że katolicki pop nie może się ożenić, ale ze swoją gospodynią wolno mu robić wszystko, co wyrabia męzczyzna z kobietą?

Przechodzimy na niemiecki. Urażony myśliwy milknie.

Wieczorem tworzy się długi korowód, jak na dziecięcych przyjęciach urodzinowych podczas zabawy w pociąg. To zupełnie inne wrażenie, kiedy tak drepczemy jeden za drugim niewidomi i ślepi, prawa ręka na ramieniu kompana idącego przed nami; ostatni niesie przelewający się kibel. — *Repede, repede!* — ścisk i zamieszanie w klozecie, wszystko musi iść szybciej niż przedtem. Obaj z myśliwym uprzejmiem ustępujemy pierwszeństwa nowicjuszom, których jelita jeszcze są wypełnione obfitymi posiłkami z zewnątrz.

Nocna zmiana straży pozwala nam zestawić razem dwa łóżka. Leżę w środku na kantach, z panem Apfelbachem po jednej i Nicolae Magdą po drugiej stronie. Ten szepcze: — Jak dobrze *Sfânta Vinerea* to uplotła. A jednak teraz śpimy razem. — W nocy obejmuje mnie i bełkocze: — *Arde! Te salvez!* Pali się, ale ja cię uratuję. — Mój sąsiad z lewej strony nie rusza się wcale, budzi się w takiej samej pozycji, w jakiej zasnął: na prawym boku. — W obozie tak się przyzwyczaiłem. — Beknę Bélé Nagya umieszczamy na górnym piętrze. Cały stelaż się trzęsie, kiedy miota nim rozpacz.

Myśliwy wczołgał się pod łóżko, głowę położył w przejściu, żeby strażnik go widział. Nasłuchuje strasznych odgłosów nocy. Ksiądz Vasvári ma tylne posłanie tylko dla siebie.

W środku nocy znowu słychać otwieranie drzwi. Wyrwani ze snu dostrzegamy podobną do ducha postać i rozwianą szatę. W mętnym świetle stoi prawosławny mnich w brązowym habicie, z brodą i włosami do pasa. Strażnik wskazuje mu miejsce obok księdza Vasváriego. Kiedy mnich słyszy, że tamten jest katolikiem, potrząsa głową, jego twarz ginie za czarną grzywą, broda omiata ramiona.

— Ja wyznaję prawdziwą wiarę. — Siada na podłodze, plecami opiera się o ścianę i rękawem habitu zasłania twarz. Ma skurcze żołądka i tak czy inaczej nie mógłby się wyciągnąć. Śpi na siedząco.

Podczas kąpeli w sobotni wieczór tworzą się najdziwniejsze kombinacje. Dwie kabiny bez drzwi muszą pomieścić całą masę spragnionych prysznic. Przepelnieni respektem przed rytualną wspaniałością przyrodzenia pana Apfelbacha my, szóstka pozostałych, tłoczmy się w jednej kabinie. Mierzymy się przy tym ukradkiem, oglądamy pomarszczone kielbaski w kroku drugiego, dyndające wśród gęstwiny włosów, szpakowatych lub też kruczoczarnych. W naszej jednoosobowej kabinie ścisk jest tak wielki, że woda nie może znaleźć drogi

do spływu. Jeden klei się mokruteńki do drugiego. Nawet nie można sąsiadowi wyszorować pleców. Z trudem zdołałem położyć lilipucie mydełko na obojczyku chudego mnicha — całkiem wygodne miejsce. Mnich zwiąja sobie włosy na karku w kok, brodę przetrzuca na plecy. Ale mimo to nie robi się więcej miejsca.

Tymczasem pan Apflebach ma wspaniały pomysł, jak nas porozdzielać:

— Wszyscy, którzy w Boga wierzą, do mnie! — Wywołuje ich imiennie: jego wielebność proboszcz, proszę! Bogobojny mnich Atanasiu! Protestancki dzwonnik Béla! Tak, nawet członka straży robotniczej zaprasza do siebie, bo przecież przyjaciel Apfelbach wie, że tamten ochrzcił swoje dzieci. Wzywani idą pojedynczo, drepczą do drugiej kabiny, wstydliwie zasłaniając ręką części intymne. Myśliwy i ja mamy teraz przysznic tylko dla siebie. Rzucam ubrania na kratkę ściekową i, jak podpatrzyłem u mnicha, wydeptuję z nich brud w cienkich mydlinach, które spływają z naszych ciał. I gdy my z myśliwym nawzajem namydlamy sobie plecy, pięciu naszych towarzyszy w sąsiedniej kabinie walczy o każdy strumyczek wody.

W dzień ksiądz siedzi po turecku na tylnym łóżku i przysłuchuje się naszym historiom. Tropikalny upał kładzie się na nasze głowy jak rozżarzony żelazny hełm. Powietrze w celi jest zamglone niebieskim dymem z papierosów. Strażnik musi wsadzić głowę do środka, żeby sprawdzić, czy wszyscy jeszcze tu jesteśmy. Kiedy któryś kończy swoją opowieść, proboszcz Vasvári klaszcze w ręce i woła: — Hop, hop, krzesło się pali! — Wtedy zmieniamy miejsca, przechodzimy jeden nad drugim, uważając przy tym, żeby nie poplątać rąk i nóg. Tymczasem ksiądz zabawia nas anegdotami i przypowieściami, żartami i humoreskami jak artysta z *varietés*. I tym nas ratuje, dzięki temu nie rozrywamy się nawzajem na strzępy i nie płoniemy jak pochodnie.

Nieprzyjemna jest historia dzwonnika z Szent-Márton, ksiądz słuca jej z nieobecnym wyrazem twarzy, jakby siedział w konfesjonale. Béla Nagy skarży się płaczącym tonem na swój los: nocami, kiedy jego żona Ana pracowała w cegielni, do łóżka pchała mu się teściowa i ostro z nim sobie poczynała. Ale jeszcze ostrzej postąpił z nim protestancki duszpasterz. W październiku 1956 roku wyciągnął go z łóżka i kazał bić w dzwony, żeby wesprzeć powstanie w Budapeszcie.

— Może pan to sobie wyobrazić, wielebny ojczcie? — I teraz on jest tutaj, a tamtych dwoje złych ludzi i podżegaczy na zewnątrz. Zamiast odwrotnie. Jedyna pociecha w tym, że teściowa z pastorem na pewno będą się smażyć w piekle, oby już wkrótce, a wtedy on ze swoją Aną będzie się zabawiał w niebie. Co wielebny ksiądz na to powie?

Ten odpowiada, że nie można tak sobie wysyłać innych do piekła. A tym bardziej samemu dostać się do nieba na własną rękę.

— Luter podobno powiedział: Kiedy ktoś naprawdę trafi do nieba, trzy razy się zdziwi, gdy zobaczy, kogo tam nie ma. I kto tam jest. Tak, i będzie się bardzo dziwił, że sam się tam dostał. — I dodaje po węgiersku: — Kobieta nie może uwieść mężczyzny przemocą, nawet jeśli ma autorytet teściowej; chyba że mężczyzna do tego dopuści. To samo dotyczy sytuacji odwrotnej. — Béla kiwa na to wszystko głową. Ale to nie musi nic znaczyć, gdyż kiwa tak od kilku dni.

Proboszcz idzie na przesłuchania z uśmiechem. Z tym samym uśmiechem na ustach wraca. Pewnego razu mówi, bez uśmiechu:

— Ci z góry nie znają pardonu. Bezlitosne kreatury. Wiedzą dokładnie, że w 1943 roku uratowałem przed egzekucją komunistkę, która podłożyła bombę, młodą dziewczynę. Ale to się nie liczy. — Wystarał się o jej ułaskawienie u samego

króla. Choć zajął się nią nie jako komunistką, ale katoliczką. Pocięszam go:

— W dyktaturze proletariatu zasługi i błędy rozlicza się osobno. Jak w przypadku naszego strażaka i członka straży robotniczej. Zgasił pożar, więc dostanie za to medal. Ale ponieważ przespał początek pożaru, będzie ukarany. — Proboszcz odpowiada słowami, nad którymi muszę się zastanowić:

— Nie wolno rozdzielać tragizmu i moralności.

Mnich nie chce się wypowiadać. Jego habit, wiara i bóle żołądka — to wszystko tłumaczy małomówność. Dowiadujemy się tylko, że został aresztowany w klasztorze Cernica na wyspie koło Bukaresztu, zabrali go prosto z jego ciągniętego przez osiołka wózka. Nie pozwolili mu nawet wyprząc ukochanego zwierzęcia. Co mnicha bardzo teraz dręczy. Choć mogli go też ściągnąć z traktora, bo wspólnoty klasztorne zgodnie z najnowszym dekretem muszą się utrzymywać same, zakładają spółdzielnie produkcyjne, najróżniejsze, od tkania dywanów do uprawy roli.

I mówi dalej, nie bez pewnej zjadliwości, że podczas wielkiej schizmy w 1054 roku papież powodowany chęcią władzy chciał połączyć Kościół wschodni. Od tego czasu prawosławnym popom nie wolno golić bród, a mnichom obcinać włosów.

— Dlaczego? — pytam rozszłoszczony. — Czy może chciecie przez swoje zaniedbane brody i nieuczesane włosy utknąć papieżowi w gardle, gdyby teraz chciał was połączyć? — Ksiądz Vasvári kładzie mi rękę na ramieniu, by mnie udobruchać.

— Nie tak gorączkowo. Gorąca mamy tu dość.

Mnich spogląda na mnie żółtymi oczami i mówi:

— Te brody i owłosienie zostały nam nakazane przez naszych wielebnych ojców Kościoła, żebyśmy się odróżniali od kapłanów odszczepieńczego Kościoła katolickiego.

— A co z ekumenizmem? — pytam.

— To bardzo proste. Wróćcie wszyscy do jedynego prawdziwego kościoła, *biserica ortodoxă*.

Ponieważ proboszcz Vasvári milczy, do rozmowy włącza się Samuel Apfelbach:

— Nie zapominajcie, skłócenii chrześcijanie, że wasz Mesjasz jest Żydem, tak samo jak ja.

Mnich odzywa się:

— Skoro jest pan Żydem, to niech mi pan wyjaśni, dlaczego Bóg tak ciężko doświadczał naród żydowski przez dwa tysiące lat.

— Bo nas kocha! Chwała Tobie, święty Izraelu.

— Pomyłka. Ale ja panu powiem dlaczego: bo Żydzi przybili na krzyżu Syna Bożego.

— My, Żydzi, nie potrzebujemy Syna Bożego, bo sami jesteśmy synami Bożymi.

Zanim mnich zaczął mówić swoje, wtrącam się:

— Gdyby nie ukrzyżowano Jezusa, wtedy by nie zmarł wstąpił i świat miałby o jednego zbawiciela mniej.

Proboszcz odzywa się pojednawczo:

— Wszyscy jesteśmy dziećmi Bożymi, a więc braćmi, choć podzielonymi braćmi.

Pan Apfelbach uzupełnia:

— Już od pięciu tysięcy lat On nas prześladowa.

Myśliwy przypomina, że Żydzi mają na Syberii Autonomiczny Żydowski Okręg Socjalistyczny, po raz pierwszy prawdziwą ojczyznę.

— To jest tylko mydlenie oczu — sprzeciwia się pan Apfelbach. — I to wszystko zda się psu na budę. Stalin w 1941 roku jednym pociągnięciem pióra zmiotł z powierzchni ziemi Okręg Niemców Nadwołżańskich. Ojczyzna Żydów? To może być wyłącznie państwo Izrael. Święty naród w Ziemi Świętej, nigdzie indziej.

Mnich mówi:

— Jeśli już święty naród, to jesteśmy nim my, prawosławni chrześcijanie, następcy pierwszych chrześcijan, których zwano świętymi.

Proboszcz Vasvári rzuca nagle pomiędzy nas słowo:

— *Apokatastasis!* — I gdy spoglądamy po sobie zbici z tropu, wyjaśnia: — Ostatecznym celem w planie zbawienia jest przywrócenie wszystkiego do miłości Bożej, odtworzenie świata w jego rajskim stanie przez nawrócenie i szczęśliwość wszystkich narodów, ludzi i stworzeń.

Mnich bełkocze:

— Wszystkich? Również Żydów i Węgrów, kaczerzy i łotrów, dziwek i czarownic?

— Nawet pcheł, wszy i pluskiew — wtrącam — które szczególnie dobrze czują się w klasztorach.

Proboszcz mówi:

— Całego stworzenia. Na końcu nastąpi odnowienie wszechrzeczy. Dzieje Apostolskie, 3,21.

Mnich dostaje skurczów żołądka, od których aż wije się na podłodze. Głos zabiera pobożny Samuel:

— Nie tylko na końcu, już teraz Najmiłociwszy zaczął przywracać stracone. Tam i wtedy, gdzie pojedynczemu człowiekowi lub całemu narodowi jest dane odkupienie strat i błędów. To jest pełna łaski droga naszego Pana. Niech będzie pochwalone Jego Imię.

— Przez Jezusa Chrystusa, naszego Pana i Zbawiciela — uzupełnia katolicki proboszcz.

Pan Apfelbach podnosi jęczącego mnicha z podłogi i kładzie ostrożnie na łóżko. Każdy coś robi: ksiądz wlewa mu wodę do ust. Dzwonnik szłocha. Młody robotnik żegna się. Myśliwy masuje mnichowi stopy. Ja stukam do drzwi i żądam przysłania lekarza. Ale żaden lekarz się nie pokazuje.

Syn Boży Samuel staje przed swoją ścianą płaczu, uderza czołem w mur, jakby miał na czole tefilin, i szepcze:

— *Apokatastasis*. — Dłońmi przesyła pocałunki w kierunku sufitu i pyta: — Czy nie za dużo wzięłeś na siebie, o Panie Zastępów, zbierając wokół swego tronu błogosławionych i potępionych, którym pozwalasz na równi otaczać swój tron korowodami tanecznymi? I czy nie żądasz za dużo od potępionych, gdy wraz z błogosławionymi muszą śpiewać przed Tobą najświętsze hymny pochwalne i dziękczynne, o Najsprawiedliwszy?

Proboszcz Vasvári musiał latami siedzieć w więzieniu tylko dlatego, że nie chciał podpisać sztokholmskiego apelu o pokój na świecie.

— Nie podpisać apelu pokojowego? — pytam poruszony. — Przecież pokój to pokój!

— My mamy na myśli inny pokój niż oni — i pokazuje palcem na górne piętra.

Opowiadam mu schrypniętym głosem o moich planach, żeby wszystkich Sasów przekonać do socjalizmu. I głęboko pragnę, by przyznał mi rację, dodał odwagi. Słucha, bez uśmiechu, ucieka w milczenie. Pyta mnie, czy mam mniej niż trzydzieści lat.

— Ma pan jeszcze czas. — Czas na co? — Chodzi o to, żeby w ciele saskiego narodu wypalić wszystkie faszystowskie reminiscencje. Należy pozbawić władzy elementy burżuazyjne. Nacjonalistyczne i mistyczne wpływy Kościoła ewangelickiego powinny zostać ograniczone. Jak mówi Bertold Brecht: „W owych czasach chwali się tych, którzy siedzieli na gołej ziemi..., którzy siedzieli pośród nędzarzy, siedzieli z walczącymi”. Nie ma prawie kadr do tego programu. Johannes R. Becher: „Bądźcie twardzi. I nieprzejednani. Nigdy wybaczenia, łaski”. — Moją nadzieją są studenci w Klausenburgu. A właśnie ich podejrzewa się o kontrrewolucyjne knowania. Czekam na jakieś słowo potwierdzenia i zachęty. Wreszcie ksiądz

mówi: — Kogo te diabły nie podejrzewają? Nawet sam szatan jest dla nich podejrzany.

— Historia świata z matematyczną dokładnością zmierza do komunizmu. — Kawałkiem szarego mydła rysuję na derce schemat: — Proszę spojrzeć, wielbny ojcze, te dwie linie pokazują, jak od czasów niewolnictwa dzięki zmianom stosunków produkcji zmieniają się systemy społeczne, i w końcu dwie połamane linie zaczynają harmonijnie biec razem.

— Kiedy to się stanie?

— W komunizmie. Na końcu historii świata.

— Wtedy Chrystus przyjdzie na sąd.

Ubolewam, że moja misja w tym punkcie jest nieco skomplikowana, gdyż ja sam pochodzę z niezdrowego środowiska, muszę więc w przekonujący sposób dowieść stałości moich socjalistycznych przekonań. A tym z góry, wskutek nieszczęśliwego zbiegu okoliczności, wcale nie będzie trudno udowodnić, że kółko studenckie bynajmniej nie było tak postępowe, jak ja je przedstawiam.

Proboszcz uśmiecha się wyrozumiale:

— Oni! Oni udowodnią wszystko. Nawet istnienie Boga. Młody przyjacielu, czy pan przypadkiem nie mydli sobie i innym oczu? Czy pan wierzy w to wszystko, co mi pan z takim podnieceniem wyłożył? Z ręką na sercu.

Zwlekam chwilę i mówię odważnie:

— Tak, jestem o tym przekonany. — Choć czasami opadają mnie wątpliwości. Bez żadnych zastrzeżeń jestem przekonany podczas przesłuchań, gdy przebywam na górnych piętrach.

Na jego twarzy pojawia się cień uśmiechu.

— *In status confessionis*, jak kapłan w czasie mszy. Ale niech pan pielęgnuje swoje wątpliwości.

Zwierzam mu się, że o każdym, o kogo mnie zapytają, mówię wszystko, co wiem, czy dobre, czy złe, po prostu prawdę, szczerą prawdę.

— Prawda też może być sprawką diabła.

Skarżę się, że w chwili gdy o kimś mówię, osoba ta traci twarz, staje się schematem. Przy czym w głębi serca mam nadzieję, że każdego obwinionego uda się pozyskać dla socjalizmu — później, kiedyś, kiedy wszyscy będziemy wolni. Ci z góry przyrzekli mi na wszystkie świętości, że nie zniszczą naszego saskiego narodu.

— Dla nich nic nie jest świętością.

— Obiecali mi, że będą oszczędzać młodych ludzi, których można jeszcze wychować dla nowej przyszłości.

— Oni nie cofną się przed niczym.

— To jest wielka sprawa. Wielebny ojciec, świadomie zacytowałem Bechera i Brechta, obaj pochodzili z burżuazji, a jednak nauczyli się posługiwać formułami dialektyki materialistycznej. Towarzysz Stalin sformułował cztery poręczne zasady. Nauczyłem się ich na pamięć i stosuję w życiu codziennym. Na przykład, kiedy muszę na stronę. Trzecia zasada dialektyki: nagromadzenie ilościowe prowadzi do skoku jakościowego; w pęcherzu mocz zbiera się w takiej ilości, że jego ciśnienie prowadzi do rozwarcia zwieracza, a w wyniku opróżnienia pęcherza powstaje nowa jakość życia. To naprawdę proste.

Na księdzu nie robi wrażenia fakt, że nawet przy sikaniu pamiętam o Stalinie.

— On będzie odpowiadał za swoje czyny przed sędziowskim tronem Boga. Zresztą już mu się dobierają do skóry. Niedługo nikt o nim nie będzie pamiętał.

— Chcę się nauczyć bez mrugnienia okiem zadawać rany. Ale najpierw muszę sam siebie osądzić.

— Bóg już to robi. — Podnoszę zdziwiony głowę.

— Stoi przede mną ogromna praca samooczyszczenia, że-bym w słowach i czynach stał się nowym człowiekiem, jakiego chce we mnie widzieć partia.

Ksiądz pyta:

— Modli się pan? — I patrzy na mnie przenikliwie.

— Tak — odpowiadam.

— Dlaczego?

— Bo mam dużo myśli, które nie pasują do nowego człowieka we mnie, a muszę je przed kimś wypowiedzieć.

— Tylko ten, kto zawierzył Chrystusowi, jest nowym człowiekiem. Wszystko inne to samooszukiwanie się. Na darmo się pan tak emocjonuje. Świadomie pomija pan najważniejsze. — A co jest najważniejsze, tego nie mówi. I zwraca się do pozostałych, opowiada anegdotę o radzie mądrego rabina dla jednej z jego owieczek: — Jak to, skarżysz się, że jest was za dużo w chacie? To weź psa do środka i przyjdź do mnie znowu. Nie do zniesienia? Wprowadź jeszcze kozę! Dusicie się? A osioł ciągle na podwórku? Niech wchodzi do chaty. Co? Teściowa od tygodnia już nieprzytomna? Dobrze, to wypędź psa i przyjdź znowu za osiem dni. Lepiej? Wyrzuć kozę! Cudownie? No to teraz precz z osłem! Raj na ziemi, no właśnie! — Proboszcz mówi do mnie: — Tak będzie się pan czuł, kiedy zabiorą nas wszystkich z pańskiej celi.

Mojej celi...

— Może ja pójdę jako pierwszy.

Potrząsa głową.

— Nie. Ta cela jest nieco większa od innych. Kto tu jest, ten zostaje, zostaje na długo.

— Moja historia jest bardzo prosta — zaczyna Samuel Apfelbach. — Krewnych nie mam już żadnych. Nasza rodzina pochodziła z Szatmar. Kiedy w 1940 roku północna część Siedmiogrodu przypadła Węgrom, byłem uczniem w saskim Gimnazjum imienia Biskupa Teutscha w Schässburgu, zostałem więc w Rumunii. Musiałem opuścić szkołę, kiedy niemieckie organizacje nacjonalistyczne zabroniły nam, Żydom, uczęszczania do tych szkół. Po maturze w rumuńskim liceum

państwowym zostałem wysłany przez królewską Sigurantę do obozu pracy dla Żydów do kamieniołomów w Dobrudży. Wyszedłem stamtąd po 23 sierpnia 1944 roku. Kiedy po zakończeniu wojny chciałem zliczyć pozostających przy życiu członków mojej rodziny, nie było już kogo liczyć.

Chcę go o coś zapytać, zaczynam jak zawsze od:

— Proszę wybaczyć — milknę. I nie pytam już o nic. Mówię jeszcze tylko: — Proszę wybaczyć.

W celi zapada cisza. Pan Apfelbach odzywa się:

— Trzeba się przyglądać, przyglądać, tylko to przynosi ulgę... — I po dłuższej chwili ciągnie dalej: — A tutaj jestem z powodu jednego jedyne słowa. — Każe nam zgadywać.

Jedno słowo? To za mało. Już „Precz ze Stalinem!” składa się z trzech słów.

— Wiecie panowie, jako antykwariusz mam *sui generis* i *per definitionem* do czynienia ze starymi książkami, z czasów przedkomunistycznych. Ale żeby dowieść mojej lojalności, część wystawy wyścieliłem czerwonym płótnem i ozdobiłem powiększonymi zdjęciami siedmiu przywódców partii. Żadnych książek, tylko twarze. W zeszłym tygodniu funkcjonariusz partii i securista wpadają do mojego sklepu, ciągną mnie przed wystawę z siedmioma obliczami. Człowiek partii wrzeszczy na mnie: „Usuń stąd natychmiast tego bandytę, nędznego zdrajcę narodu i wroga państwa!”. „Którego?”, pytam. A wtedy oni zabrali nie tylko zdjęcie, ale i mnie ze sobą. Czy tutaj nie wyprowadzają ludzi na powietrze?

— Nigdy — odpowiadam.

— Ale teraz i tak muszę się pomodlić.

— A teraz opowiem panu pewną historię — mówi ksiądz Vasvári i kiwnięciem przyzywa mnie do siebie. Przechodzę ponad trójką współtowarzyszy, odsuwam na bok dzwonnika i siadam u stóp duchownego.

W Wielki Czwartek — a był wtedy więziony w podziemiach Ministerstwa Spraw Wewnętrznych — zawieszono go windą na wyższe piętra, do pomieszczeń biurowych. Oczekiwał go sekretarz stanu Bunaciu. Najpierw urzędnik z ujmującą uprzejmością zapytał go o zdrowie, a potem obaj pojechali limuzyną na Calea Victoriei do pałacu. Straże zaprezentowały broń. Mężczyzna w czarnym garniturze poprowadził ich przez wspaniałe przedpokoje, obok nieziemskich dam i promiennych odźwiernych, prosto do pomieszczenia odznaczającego się niezwykle przepychem.

— Może pan sobie wyobrazić: po samotnych miesiącach w półmroku i zaduchu zakręciło mi się w głowie. Musiałem się upewnić, że nie mam halucynacji.

Przyjął go doktor Petru Groza, prezydent ludowej republiki. Znali się jeszcze z czasów, kiedy ten jako burżuazyjny polityk i chłopski przywódca ciągle bywał u króla. Vasvári przerywa relację i pyta mnie:

— Czy wie pan w ogóle, że ten renegat umarł w styczniu tego roku w nędzny sposób, zżarty przez raka? — Nie wiedziałem. — Widzi pan, Bóg nie pozwala z siebie szydzić.

Prezydent ludowej republiki wstał na wejście więźnia. Podszedł do niego, podał mu rękę i starannie dobierając słowa, zapytał o samopoczucie. I zakończył: „Naprawdę długo nie widzieliśmy się, drogi przyjacielu!”. Potem cała trójka rozsiadła się w skórzanych fotelach, wokół których stały lampy z kutego żelaza. Groza zapewnił księdza, że pamiętają o jego zasługach dla partii komunistycznej w czasach działalności w podziemiu. Na co Vasvári machnął tylko ręką: złożył przecież u króla za ledwie jedną prośbę o łaskę, żeby ocalić przed śmiercią młodą katoliczkę ze swojej parafii. Prezydent zapewnił go: „Uratował ksiądz młodą komunistkę, wyrwał ją ze szponów arbitralnej sprawiedliwości klasowej. Tego się tutaj nie zapomina”. Dlatego na najwyższych szczeblach postanowiono — gdzie, nie

wyjaśnił — w przyszłym tygodniu wypuścić szanownego proboszcza do domu.

— To był Wielki Czwartek. Zaproponowałem, żeby wypuścili tak, bym mógł w niedzielę celebrować mszę wielkanocną w swoim kościele. To by zrobiło dobre wrażenie na katolickich wiernych, gdyby ich proboszcz... Groza wpadł mi w słowo, prawie z wyrzutem odezwał się do Bunaciu: „Jak mogliśmy zapomnieć? Przecież nasi katolicy bracia obchodzą święta wielkanocne tydzień przed nami. Dobrze! Zgoda! Natychmiast trzeba dopełnić formalności. I wysłać wielebnego do domu! Zależy nam na dobrym wrażeniu wśród ludzi. Komunizm to trudna lekcja, to się rozumie samo przez się”. I życzył mi po węgiersku wesołych świąt.

Pojechaliśmy z powrotem: do wieczora czekałem w biurze sekretarza stanu, pilnowany przez strażników musiałem stać twarzą do ściany, aż wreszcie zawieźli mnie windą z powrotem do lochu. Rok później wypuścili mnie do domu — na krótko. Zdążyła minąć kolejna Wielkanoc.

Następnego dnia księdzu wyraźnie się śpieszy:

— Muszę panu coś powiedzieć, zanim będzie za późno. Szkoda pana, młody przyjacielu, dla tego reżimu. I nigdy nie uda się panu zostać jednym z nich. — Z niepokojem w oczach nasłuchuje dźwięków z korytarza i mówi dalej zatroskanym tonem: — Moja wiedza i doświadczenie mówią mi, że w żadnym obszarze życia nie można pominąć istnienia Boga, że nie istnieje nic, co miałoby prawo i siłę egzystować samoistnie. Rozumiesz?

— Tak, rozumiem — odparłem przekornie. — Z powodu tego absolutystycznego podejścia chrześcijaństwa uciekłem z teologii.

— Zasadnicza myśl ewangelii mówi, że z prawdą ludzką mamy do czynienia tylko wtedy, kiedy uwzględnia się relację

coram Deo. A jest to relacja miłości. Oni, i każdy, kto się z nimi sprzymierzy, są skazani na klęskę, gdyż ich koncepcja ludzkiego szczęścia odrzuca miłość Boga.

Zasłaniam sobie uszy i krzyczę:

— Czy chce ksiądz powiedzieć, że wizja osiągalnego szczęścia człowieka jest tylko pustą gadaniną? Ilu ryzykowało dla niej życie albo musiało je oddać!

— Każdy tutaj w szponach bezbożników nosi stygmaty wybrańca *sub contrario*. Co ci przypominają te słowa? Czy coś ci się z tym kojarzy?

— Śmierć Chrystusa na krzyżu — mówię głucho.

— Kto zostaje w tak straszny sposób odrzucony i osądzony i jest gotów wziąć na siebie krzyż, w tym spełni się cud zmartwychwstania. Tragizm twojej sytuacji, młody przyjacielu, polega na tym, że myślisz, oczywiście *bona fide*, iż możesz uwolnić się od osądzania swojej osoby, potępienia twojej klasy. Popelniasz błąd w myśleniu, kiedy chcesz usunąć ze świata relację *coram Deo* i koncentrujesz się tylko na relacji *coram mundi*. Ci tam — pokazuje palcem sufit — podlegają zmiennej ocenie świata. Dziś na górze, jutro na dole, dzisiaj słusznie na lewo, jutro lewicowe lub prawicowe odchylenie, dziś towarzysz, jutro wróg ludu. Jakże często siedziałem w jednej celi z wysokimi funkcjonariuszami partii, którzy ni stąd, ni zowąd zostali strąceni na samo dno. To, co oni nazywają „monolityczną jednością” partii czy jakoś podobnie, jest iluzją. Ale uważaj, przyjacielu, bo przyjdzie taki dzień, kiedy będziesz potrzebował tych słów: nad wszystkim jest sąd Boży, który nie pozostawia nam sądu *coram mundi*. Przez śmierć na krzyżu Jezusa Chrystusa uwalnia cię to od winy. Nie od razu to zrozumiesz; dopiero wtedy, gdy przejdiesz drogę bolesnej pokuty i nawrócenia. Teraz jesteś zbyt nieprzejednany. Ale przyrzeknij: kiedy Bóg cię zawoła, później, po latach, może nawet pod koniec, powiesz „tak”. — Schodzi z łóżka,

pozostali robią mu miejsce, ścieśniając się jeszcze bardziej. Ksiądz obejmuje mnie, przyciska do piersi, czyni znak krzyża nad moim czołem i całuje mnie pośpiesznie, jakby już słyszał wojskowe buciory z korytarza. — I zapamiętaj sobie te słowa pociechy, będą ci potrzebne: tylko miłość jest w stanie wyrównać bezmiar grzechu. — Zbiera swoje rzeczy do węzełka. — Niech pan się modli za wszystkich, których pan zdradzał!

Celę wypełnia mrok, choć na dworze jeszcze powinno być jasno. Jak poprzedniego wieczoru, ksiądz prosi nas, żebyśmy zachowali ciszę. Modli się oparty o piętrowe łóżko, szczupłą twarz ukrył w dłoniach. On się modli, a my patrzymy.

Nagle jak wybuch granatu rozlega się łoskot i trzask, drzwi się otwierają. Żołnierz z nieprzeniknioną miną daje pogrążonemu w modlitwie człowiekowi znak, żeby przerwał i się przygotował. Z kapeluszem w jednej ręce, węzełkiem i garnuszkiem w drugiej sługa boży zostaje wyprowadzony z celi, niewidomy i milczący.

25

Znowu jesteśmy sami, myśliwy i ja. Reszta poznikała jak duchy. Myśliwy siedzi na kiblu i wypróżnia się poza kolejnością. Smród odpędza strażnika od judasza. Mój towarzysz mówi z wyraźną ulgą:

— Partia nigdy nie popełnia błędów. Tylko jednostki się mylą. Trzeba pozostać wiernym! — A ja tworzę swój pierwszy zaangażowany wiersz. Sonet, bo wtedy przynajmniej wiadomo, kiedy trzeba skończyć. Całymi dniami męczę się, składając rymy.

Słońce pompuje żar w żyły świata.
Jasno powierzchnia morza migocze.
Kwiaty się śmieją i ptak świergocze,
Wiatr wyśpiewuje, tylko cień na czatach.

Naród w wysiłku, brat obok brata,
W znoju i pracy krew z serc swych toczy
I nowe życie wszystkich nas jednoczy
Nad starym światem jutrzni poświęca.

W drugiej części rymowanie przychodzi mi już nieco łatwiej.

Płomień rozświetla nam oczy i czoła
Słońca, co wznosi się nad szczyty gór,
I w serce świata wiedzie po świetlistych torach.

Tym sercem ty jesteś, o partio nasza,
Która swą krwią ożywasz robotniczy lud,
Lotem gwiazd kierujesz i noc odstraszasz.

Znowu dopadła mnie codzienność. Jesteśmy budzeni o piątej. O dziesiątej wieczorem słychać: „Gasić światła!”. W dzień trzy i pół kroku w tę, trzy we w tę, jeszcze raz, i jeszcze raz, przez siedemnaście godzin. Historie opowiedane szeptem, czasem jakieś plany na przyszłość. Stajenny w kołchozie, osadnik w górach.

Po śniadaniu przychodzą po mnie. Posłaniec bogów z twarzą sfinksa pyta mnie o nazwisko, choć słyszał je już setki razy.

— Włóż płaszcz, weź okulary. Idziemy! Jedenaście stopni w górę! Podnoś stopy! Czy już zapomniałeś, jak się chodzi?

Zostawiają mnie w pustym pokoju przesłuchań, siedzę przy stoliku za drzwiami. Za zakratowanymi oknami widzę, jak słońce rozświetla parowy prowadzące do Schulerau, krótki-

mi cieniami oznacza południe i wreszcie się pokazuje, kiedy powoli stacza się za horyzont. Strażnik wchodzi do pokoju, stawia przede mną kompot z gruszek, prowadzi mnie z zawiązanymi oczami do ubikacji, która wydaje się normalna. Gdy zapada zmierzch, zapala lampę. Po jakimś czasie odprowadza mnie z powrotem do celi. Tam pochłaniam za jednym zamachem obiad i kolację. Nawet tak doskonale znający się na rzeczy myśliwi nie potrafi tego wytłumaczyć.

Po kilku dniach już się do tego przyzwyczyłem, pograżam się w myślach. Tak, a raz nawet ośmielałam się wyobrazić sobie, że może nadejść taki dzień, kiedy tam, na zewnątrz, będę z dziewczyną za rękę spacerował po wąwozach, dyskretnym ruchem głowy wskażę do tyłu na ten budynek, i powiem: „To tam!”. Na co ona, miłość mojego życia, w milczeniu obejmie mnie ramionami.

Od kilku dni przesiaduję w pokoju przesłuchań, sam z monstualnym biurkiem, i błędzę oczami po zakratowanym krajobrazie, podążam drogami mojej duszy ku nierealnym celom. I nagle wiem, kim ona będzie, miłość mojego życia: Elisa. Czyż za każdym razem, kiedy się do niej zbliżałem, nie mówiła: „Jeszcze jest za wcześnie”? Czyli innymi słowy: teraz jeszcze nie, ale potem na pewno. Dlaczego dopiero teraz to zrozumiałem?

Kiedy pewnego razu, bardziej dla żartu, zapytałem Elisę, było to wczesnym latem przed moim aresztowaniem:

— Czy mógłbym cię zaprosić na noc do Ogrodu Botanicznego? — spojrzała na mnie z powagą i powiedziała:

— Chętnie! — I po kilku sekundach dodała: — Kto wie, czy jeszcze tu będę następnego lata.

Było to po jednym z naszych wieczorków literackich. Hugo Hügel czytał fragmenty swojego opowiadania *Król szczurów*

i flecista, ale potem od razu popędził na dworzec w towarzystwie wysokiej studentki z długimi jasnymi warkoczami.

Noc na łonie natury była krótka i chłodna. Nie było księżycy, więc nie mogliśmy przechadzać się wśród dalekowschodnich krajobrazów, po krętych ścieżkach, urywających się nagle nad kamiennymi schodkami lub prowadzących przez łukowate mostki. Zdecydowaliśmy się pozostać w pięciokątnym japońskim pawilonie herbacianym. Jego kunsztownie rzeźbione drewniane ściany porastały pnącza. Spośród egzotycznych liści wyzierały kwiaty w bajecznych kolorach: szkarłatne baldaszki, subtelne płatki kwiatów motylkowych i glicynie w kolorze indygo. Zanim zapadły ciemności, puściłem na staw przed pawilonem łódeczkę z kory z zapaloną świecą w środku.

Gdy zrobiło się ciemno, weszliśmy do pawilonu. Ja usiadłem na drewnianej ławce. Elisa wyciągnęła się na plecach, głowę położyła na moich kolanach. Czerwona spódnica w szkocką kratę otulała jej nogi aż do kostek. Przykryłem ją jeszcze moją wiatrówką. Przez wejście widzieliśmy kawałek jarzącego się trującą żółcią nieba nad miastem.

— Dlaczego myślisz, że za rok cię tu już nie będzie?

— Za rok? Może już jutro. A zresztą czy wiesz, kto jest naszym największym wrogiem?

— Securitate?

— Nasze ciało. W nim tkwi śmierć. Często w nocy leżę i myślę: gdzie w moim ciele zagnieździ się śmiertelna choroba, żeby zabrać mnie ze świata?

— Śmierć siedzi w jelitach — odpowiedziałem usłużnie.

Nie zwracałem nigdy uwagi na to, że ona, istota wyższego gatunku, ma też ciało. Pochyliłem się nad nią i pocałowałem w usta. Zachowała spokój, jej wargi nie poruszyły się, pozostały gładkie i chłodne jak księżycowy kamień. Powiedziała:

— Jest jeszcze za wcześnie. — I zaraz dorzuciła z głębokim westchnieniem: — Chodźmy już.

Zostaliśmy. Kiedy później zrobiło się zimno, Elisa podwinęła nogi i okryła je moją kurtką. Zapytała:

— A ty nie marzniesz?

— Nie.

I tak leżała do rana z głową na moich kolanach. Gdy ptaki zaczęły się budzić, ruszyliśmy się stamtąd. Niebo rozjaśniły pierwsze promienie słońca i w tym momencie na chwilę ustał świergot ptaków. Umyliśmy się w stawie, na którym rozkładały się zaspane liście lilii wodnych.

— To nam dobrze robi — powiedziała Elisa, szczękając zębami. — Zaraz się rozgrzejemy!

Na wolność wydostaliśmy się przez podwórko gospodarze na tyłach kliniki psychiatrycznej. Dziewczyna powiedziała:

— Szaleństwo jest przedostatnim sposobem, żeby w tym świecie uratować się przed światem. — Spojrzała na mnie badawczo swoimi jasnymi oczami. Nic nie powiedziałem. — Nie pytasz, co mam na myśli jako ostatni sposób? No dobrze, przecież wiemy oboje.

— Jeśli chodzi ci o to, żeby uratować się przed światem, uciekając ze świata, to jest to więcej niż ostateczność.

Na pożegnanie powiedziała:

— Tego lata chętnie pojeździłabym rowerem po Burzenlandzie. Nie znam tych ziem. Czy miałbyś ochotę mi towarzyszyć?

— Tak.

Na wschodnim krańcu Geisterwaldu, gdzie wznoszą się ruiny Kreuzburga, przejechaliśmy ze Starego Kraju do Burzenlandu. Wąska dróżka leśna stromymi zakolami wyprowadziła nas z lasu i powiodła w dół do wioski Kreuzbach. Na jednym z zakrętów Elisa straciła panowanie nad rowerem, wjechała w gęste zarośla i podrapała sobie twarz i ramiona. Przednie koło było wygięte, a ja zdołałem naprostować je tylko tak, żeby

się w ogóle obracało. Elisa siedziała na skraju drogi z twarzą ukrytą w dłoniach, gdy nagle usłyszeliśmy jakieś głosy. Dwóch wędrowców powoli szło pod górę leśną ścieżką. W jednym z nich rozpoznałem kolegę ze studiów Ljubena Taewa, siostrzeńca bułgarskiego prezydenta. Czego on tu szukał w Geisterwaldzie? Jak skamieniały siedział na spotkaniach naszych kółek dyskusyjnych w Klausenburgu i — jeśli właśnie nie cmo-kał w zębach — milcząc nadstawiał uszu i głodnym wzrokiem pożerał jedną ze studentek. Zapytałem zaskoczony:

— Dlaczego nie jesteś w domu w Bułgarii, przecież są wakacje?

Jego twarz nie zmieniła wyrazu. Pokazał tylko na swojego kolegę, młodego człowieka z brodą, i powiedział, jakby to było wystarczającym wyjaśnieniem:

— Mam tutaj coś do zrobienia.

— Tutaj, w środku lasu?

— Tak.

Elisa zbliżyła się do nas. Otrzepała swoją szkocką spódniczkę z ziemi i liści, bluzkę o bufiastych rękawach zawiązała pod szyją i stanęła przed Ljubenem. Schwyciła go za przegub ręki, zaczęła nią gniewnie potrząsać i zalała go potokiem angielskich słów. On patrzył na nią przez chwilę nieporuszony, syknął tylko przez dziurę w zębach, a w końcu powiedział jedno zdanie po rosyjsku, którego na początku nie zrozumiałem. Po tym Elisa ucichła. Puściła jego rękę i powiedziała do mnie:

— Jedźmy już.

Tamci dwaj poszli dalej.

— Jechać? Powinniśmy się cieszyć, jeśli uda się prowadzić twój rower i nie będziemy musieli go nieść na plecach.

To był długi marsz. Wieczór stłumił już światło lata, kiedy doszliśmy do Kreuzbach. Postanowiliśmy zajrzeć na plebanię.

Przyjęła nas pastorowa z pszenicznym blond warkoczem, z wplecionymi weń srebrnymi nitkami, ubrana w szare wato-

wane spodnie. Jej mowa brzmiała obco, słowa miały ciemną barwę.

— Na nocleg, studenci z Klausenburga? Nie brat z siostrą, no tak, gdzie was położyć? W czerwonym pokoju, czerwonym, bo stare meble są tak pomalowane, odziedziczone po rodzinie pana pastora, tak, tam są dwie sofy biedermeier; ale młody pan student jest za długi. Nie, lepiej w żółtym pokoju, tam są mosiężne łóżka moich nieżyjących teściów. Łóżka małżeńskie? Ależ nie, przecież nie jesteście bratem i siostrą. To najlepiej jedno do niebieskiego pokoju ze złotymi gwiazdami, ściany niebieskie jak niebo na Ukrainie, ale gwiazdy złote jak tu, w Burzenlandzie, tak, a towarzyszka, panienka, do pokoju liliowego, liliowy, bo wiszą tam portrety jednego malarza, który wszystkie twarze malował w takim kolorze, kuzyn pana pastora. Ale może powinnam zapytać jego. Proszę do środka, wejdźcie. Kolacja stoi na stole.

— Możemy też spać w stodole — powiedziałem uprzejmie, ale Elisa dała mi znak: tylko nie to! I pokazała na swoje krwawe zadrapania.

— Stodoły już nie mamy, odkąd nasze dzieci wyprowadziły się z domu. To znaczy, od kiedy spalili ją Cyganie z bandy Crisby, w zimie czterdziestego piątego. — Dotknęła dłońmi skroni i przysła jej do głowy nowa myśl: — Mogłabym was też położyć na noc tak: jedno w moim pokoju wspomnień, ale w nim jest pełno drewnianych lalek. Drugie w gabinecie pana pastora, ale tam jest pełno nieżywych roślin.

Pastor w czarnym ubraniu obsypanym pyłkiem kwiatowym przywitał nas przyjaźnie. Siedział na otwartej werandzie i oglądał zachód słońca za Königsteinem.

— Witajcie pod naszym dachem.

Pił herbatę z kwiatu lipy. Stół był nakryty dla dwóch osób. Na środku stała drewniana lalka wielkości dziecka w niezwykłym stroju ludowym. — Zostać do jutra? Oczywiście.

Warownie krzyżackie Burzenlandu, pięknie. Oboje studenci: rosyjski i gospodarka wodna, to jest przyszłość.

Żona pastora dołożyła jeszcze jedno nakrycie, nałała herbaty do dwóch filiżanek, posłodziła miodem, postawiła je przed nami i zwróciła się po rosyjsku do Elisy:

— Ta lalka nazywa się Matriona.

Elisa zapytała zaskoczona, także przechodząc na rosyjski:

— Nie zje pani z nami, gospodina?

— *Niet, barysznia.*

Pastor powiedział:

— Zanim zabierzemy się do jedzenia, podziękujemy Bogu za jego dary.

Jego żona przeżegnała się na sposób prawosławny. Spojrzał na nią krótko, a ona odparła:

— Tak się przyzwyczaiłam w mojej ojczyźnie. Zresztą także nasz reformator doktor Martin Luter powiedział, że czynienie znaku krzyża to piękny, bogobojny gest.

Kiedy jedliśmy, stała wyprostowana obok pastora, z rękami skrzyżowanymi na piersiach, i patrzyła rozbieganymi oczami na nasze usta i ręce. Jeśli panu domu okruszyna chleba spadała po serwetce z brody na stół, jego żona od razu śpieszyła, by zmieść paprochy szczotką na szufelkę z kutego srebra. Za każdym razem pastor kiwał głową, dziękując jej za to.

W kuchni za zasłoną pani domu przemyła rany Elisy letnim naparem ze skrzypu i sokiem z jaskółczego ziela, a pastor nasmarował jej ramiona maścią nagietkową i troskliwie przewiązał opatrunkiem z gazy.

Pastorowa, pani Milena, umieściła Elisę w żółtym pokoju. Mnie przydzieliła pokój z portretami, gdzie fioletowe i zielonkawe twarze mierzyły mnie kosymi spojrzeniami. Drzwi między naszymi pokojami zostawiła otwarte.

— Zobaczycie, czarny anioł boży i Przenajświętsza Dziewica na srebrnym sierpnie księżycyca uchronią was od wszelkich

złych myśli. Dobranoc. — I zgasiła lampę naftową, nie pytając wiele.

— Tę kobietę otacza jakaś tajemnica — odezwałem się w ciemność.

— Tajemnica? Raczej ukrywanie. A teraz śpijmy wreszcie. Dzisiejszy dzień mnie wykończył.

Obudziłem się w nocy i pomyślałem, że chyba byłby to dobry moment, aby zakraść się do drugiego pokoju — czyż Elisa nie powiedziała: „Chyba nie jest ze mną aż tak źle, jak wygląda po tych bandażach?” — gdy w drzwiach ukazała się jakaś postać i postawiła lampę naftową na podłodze obok siebie. W przejściu między pokojami stała pastorowa, z twarzą zwróconą do mnie; ramiona miała rozłożone, jakby własnym ciałem chciała przeszkodzić mi we wtargnięciu do tamtego pomieszczenia, i odezwała się błagalnym tonem:

— Nie róbcie tego! Za jedną chwilę przyjemności straciecie spokój duszy. Nie róbcie tego! Będziecie żałować, póki wasza krew serdeczna nie wsiąknie w ziemię. Nie! Lepiej nie!

Miała na sobie czarną koszulę nocną, tak cienką, że w świetle lampy można było rozróżnić krągłe kontury jej ciała, a na jedwabistej tkaninie tańczyły setki złocistych punkcików.

Pastor w czarnym ubraniu wszedł przez trzecie drzwi. Wziął żonę za rękę, otulił jej ramiona peleryną i delikatnie wyprowadził.

— Chodź, Mileno, pozwól obcym duchom iść swoją drogą, do ich ojczyzny. Poddaj się dobrym duchom tego domu. — Wziął lampę, rzucił szybkie spojrzenie na moje łóżko. Kobieta szepnęła:

— Czarny anioł stróż kopalń, on nie jest dla mnie obcy, ani ta apokaliptyczna kobieta na srebrnym sierpnie księżycyca!

Przełożyłem wizytę w łóżu małżeńskim u Elisy na lepsze czasy.

Śniadanie jedliśmy w trójkę.

— Moja żona już wyszła.

Modlitwa poranna składała się z luźno połączonych najróżniejszych myśli:

Noc minęła, zaczął się dzień.

Bądźmy czujni i przytomni i odrzućmy wszystko, co nas rozlewniawia.

O Panie, dziękujemy Ci za spoczynek nocy i światło nowego dnia.

Spraw, byśmy byli gotowi Ci służyć.

Spraw, byśmy byli otwarci na Twoje przykazania.

Nie mogliśmy się zabrać do jedzenia, dopóki pastor nie wyjaśnił nam modlitwy: czuwanie i przytomność jako przeciwieństwo nocy, czasu pijanych wybrzków duszy i ciała. Podziękowanie za światło nowego dnia — nawiązanie do pradawnych lęków ludzi, że słońce zaszło na zawsze i na wieki. Ostatnia prośba, wiążące hasło na resztę dnia, to najtrudniejsza rzecz: służba w imię przykazania miłości bożej.

Pastor Johannes Anselm Schmal pozbył się ciężaru tego przykazania w ten sposób, że podarował Elisie rower swojej żony.

— Ona i tak jeździ po okolicy powozem.

Odprowadził nas i pożegnał z szacunkiem, trzymając zielnik pod pachą. Elisa pochyliła się zniecacka nad jego dłońią i ucałowała ją, jak nakazuje zwyczaj wobec prawosławnych popów. W milczeniu jechaliśmy dalej kamienistą wiejską drogą, najpierw do Helsdorfu, stamtąd do Brenndorfu, a potem dalej do Marienburga, i dalej, dalej, aż w końcu do Honigbergu.

Z rozmachem otwierają się drzwi pokoju przesłuchań, cichego jak kaplica. Do środka wpada major Alexandrescu, pod pachą ściska grubą teczkę. Żołnierz taszczy jeszcze jeden stół.

Major unosi do góry żółte brwi, wygląda, jakby się cieszył, że mnie znalazł po długich poszukiwaniach.

— Świetnie! A więc tu pan jest! Niech pan spojrzy, literackie rzeczy, które pan przetłumaczy: listy, dzienniki, literatura z szuflady. O socjalizmie nikt tu specjalnie się nie rozpisywał. Na pewno sprawi panu przyjemność, że będzie pan mógł się przyjrzeć swoim przyjaciółom i znajomym od tej drugiej, przemilczanej strony, poznać ich intymne sprawy i kłamstwa, ich brudne tajemnice. Nowy socjalistyczny człowiek nie ma żadnych tajemnic. A jeśli jakieś ma, to znaczy, że nie jest nowym człowiekiem. Komunista musi być przejrzysty jak dwukrotnie destylowana wódka. — Śmieje się straszliwie. — Będzie pan pracował sam. Jeśli znajdzie pan coś podejrzanego, niech pan notuje. To jest próba pańskiej wierności ideologicznej. Gdy będzie pan czegoś potrzebował, wystarczy zaklaskać. Żołnierz trzyma straż przed drzwiami.

— *Domnule maior* — wołam, zanim zdążył wybiec z pokoju — wymyśliłem wiersz. Czy mogę go zapisać i przedłożyć panu?

— Brawo. Tutaj każdy zostaje poetą. To wspaniała reklama dla naszej instytucji: prawdziwa kraina poetów, Pola Elizejskie. No proszę. Czy to wiersz miłosny?

— Nie, o partii.

— Aha. Ale i do tego jesteśmy tu przyzwyczajeni. Najbardziej zatwardziały reakcjonista odkrywa tu swoją miłość do partii.

— Ale ja naprawdę tak myślę.

— Będzie pan musiał to udowodnić. A teraz do pracy. Niech pan się nie śpieszy. Mamy czas. — Rzucam się na stos zapisanych kartek. Jeszcze raz major otwiera drzwi, mówi: — A tę sprawę z pańskim bratem wyjaśnimy już wkrótce. — I znika.

Oinz Erler, *Pijana świnia*. Kiedy przed miesiącami wypytywali mnie o niego, przy słowie „prosię” zrobiło mi się ciemno

przed oczami i straciłem przytomność. Tym razem się trzymam. Kłujący ból w piersiach, krótki i ostry. Potem wszystko dzieje się automatycznie: konkretna osoba traci twarz. Jej nazwisko staje się inicjałami, które oznaczają na przykład wroga państwa.

Z zapalem biorę się do tłumaczenia. Saski chłop, który pod płaszczykiem walki klas jest skubany i wykorzystywany przez wszystkich, chowa swoją ostatnią świnię i jej osiem prosiąt w piwnicy, upija je wódką, żeby nie zdradziły się kwikiem. Ale Cyganie plądrujący obejście znajdują drzemiącą błogo świńską rodzinę, zapach wódki naprowadza ich na trop. I gdy Cyganie wywlekają zwierzęta na górę i odwożą na wózku zaprzężonym w osła, chłop siada pod orzechem ubrany w swoje odświętne futro i śpiewa psalmy *Wielki Boże, wychwalamy Cię i Bóg jest naszą twierdzą*. Natomiast wygłodzonym Cyganom nasycona wódką pieczeń z prosięcia nie posłużyła: zaczynają jak szaleni tańczyć wokół zaszlachtowanej maciory, a w końcu dostają wymiotów i zwracają wszystkie smaczne kąski.

Mój werdykt zapisuję na pustej stronie tytułowej: „Typowo klasowa i etniczna zarozumiałość w przedstawieniu osób — saski nadczłowiek w futrze oraz godny pogardy Cygan i tradycyjnie przypisany mu głód”.

Pewnego ranka wpychają mnie do pokoju przesłuchań i z zawiązanymi oczami sadzają siłą na krześle, przywiązując równocześnie moje ręce do jego oparcia. Dopiero potem zdejmują mi okulary. Siedzę przed ścianą. Obok mnie stoją kapitan Gavrioloiu i podporucznik Scaiete. Przy biurku siedzi major Alexandrescu ze śmiertelnie poważną miną. Ostрым głosem mówi:

— *Confruntare*. Konfrontacja. — Ale gdzie jest ta druga osoba? Oficer mówi dalej: — Obaj macie odpowiadać tylko na pytania, które będę wam zadawał. Krótko i zgodnie z prawdą.

Pytanie do mnie:

— Czy zna pan Mirceę Basarabeana, alias Michela Seiferta?

— Tak.

— Gdzie i kiedy widział pan wymienioną osobę po raz ostatni?

— W noc mojego aresztowania.

— Nie o to chodzi; poza więzieniem.

— W Klausenburgu latem 1957 roku w mojej studenckiej kwaterze.

Pytanie do siedzącego z tyłu za mną:

— Czy znasz tego człowieka?

— Tak.

— Czy przyznajesz, że odwiedziłeś go w jego mieszkaniu w lecie 1957 roku?

— Tak.

— O czym rozmawialiście?

— O niczym.

Pytanie do mnie:

— O czym rozmawialiście?

— Opowiedział mi, że Securitate w Stalinstadt zatrzymała go na jedną noc i że wiedzą tam o kółku spiskowców Petera Töpffnera, gdzie mówi się też o uzbrojeniu i powstaniu.

Pytanie do człowieka za mną:

— Przyznajesz, że to, co słyszałeś jest zgodne z prawdą?

— Tak i nie. Bo najpierw zajrzałem pod jego łóżko, potem sprawdziłem szafę, a dopiero potem powiedziałem mu powyższe rzeczy, szeptem i pod przysięgą milczenia.

— Powtórz, co mu powiedziałeś.

Człowiek za mną powtarza moje wcześniejsze słowa.

— Czy brat wymienionego, Feliks, wie coś o zamiarach tamtej bandy spiskowców?

— Nie.

— Dlaczego nie, skoro wiadomo, że tamtej zimy mieszkał u Töpfnera i dzielił z nim pokój?

— Bo nigdy go nie było na zebraniach.

— Dlaczego?

— Bo schodził mi z drogi.

— A to dlaczego?

— Bo wyprzągłem mu dziewczynę, którą później zabrał mi Töpfner.

— Jak się nazywa ta dziewczyna?

— Nie pamiętam — odpowiada tamten ze smutkiem.

— Wyprząc dziewczynę! Do diabła, traktujecie swoje dziewczyny jak bydło.

Wyprowadzają tego drugiego, nawet nie mam możliwości go zobaczyć. Wszystko jest jasne: mój brat o niczym nie wiedział, a więc nie mógł też niczego opowiadać. Żołnierz odwiązuje mnie od krzesła i mogę znowu zabrać się do pracy.

Przeoglądam spuściznę literacką wielu żyjących autorów i tłumaczy, tłumaczę, aż zaczynam mówić w obu językach naraz. Czasami odbywają się rozedrgane przesłuchania podszyte archaicznym strachem, od którego nie jestem w stanie się uwolnić.

Tak mija rok.

Żołnierz kładzie przede mną teczkę. Baron von Pottenhof: listy, notatki, bajki, wiersze. Na czerwono zaznaczone to, co trzeba przetłumaczyć. On tutaj! Nieoczekiwanie czuję opadający mnie smutek, którego nie potrafię opanować. Baron von Pottenhof, dokładnie w wieku mojej matki, urodzony w Fiume... A więc znowu zaczyna się dla niego tortura więzienia, przecież tyle już lat spędził w więzieniach, w tym trzy w celi śmierci w Aiud. Potem długie lata zesłania do zapadłej dziury na sarmackich stepach Wołoszczyzny, gdzie pracował jako woźny w szkole. Baron z aurą pokory, kochany i wielbiony jak święty, czyścił latryny, szorował podłogi lub nasyczał je

ropą. Zimą piłował i rąbał drewno na opał, palił w żelaznych piecach, musiał nawet codziennie robić nauczycielom kawę. W listach z Dor Marunt opisywał to przymusowe życie na odludziu z takim samym ciepłem i zaangażowaniem, jak swoje wędrówki wzdłuż włoskiego wybrzeża, które odbywał w latach trzydziestych. Przepadł tam na kilka lat, wysyłał tylko krótkie listy do rodziców w Hermannstadt, zachwycony uroczystymi południowymi pogrzebami, samotnymi drzewami o antycznej surowości i dziećmi rybaków bawiącymi się w pełnym słońcu.

Nie śpieszę się, czytam jeszcze raz, zagłębiam się w lekturę. Przemierzam ze studentem śródziemnomorskie wybrzeża, żywię się oliwkami i serem. Z wierszy o drzewach dowiaduję się, że *Palma*, *Robinia*, *Mirt* to nie tylko egzotyczne rośliny, każda z nich jest także pewną myślą czy przesłaniem. Czytam o palmie:

Zwisa zetlały krepy woal.
Strzełicie rośnie w górę pień.
Tym, co być może — tylko schody,
To zaś, co było — smutny tren...

„Zetlała krepka, smutny tren...”. Nie mogę już dłużej się w tym ukrywać.

Na pierwszej stronie teczki zapisuję: „Bajki Pottenhofa są łatwe do przejrzenia w swej antypaństwowej dwuznaczności, występujące w nich postacie zwierząt można zidentyfikować jako sobowtóry osobistości życia politycznego republiki ludowej”.

I uczę się na pamięć, dla mnie i mojego Boga:
Narody płyną,
Narody przelewają się, padają.
Upadek wielkim jest szczęściem.
Żaden płatek nie zna drogi z powrotem.

Praca nad dziełami Getza Schrąga sprawia mi trudność. Pełne walizki papieru, nie widać końca. Natrafiam na fatalną bajkę o raku ugotowanym na czerwono, który mimo to czuje się wyśmienicie, i skreślam bez namysłu słowo „czerwony”. Dobrze ugotowany rak jest z natury czerwony.

Nadal podtrzymuję swoją opinię: jako literat Getz Schrąg jest wierny — z wyjątkiem kilku apolitycznych wierszy — realizmowi socjalistycznemu, w gruncie rzeczy to pisarz lojalny wobec partii.

Hugo Hügel, zatrzymywany już kilka razy przedtem przez Securitate, dostarcza mniej materiałów na piśmie. Jest wśród nich lista dziewczyn z warkoczami i o imponujących wymiarach... Najwyraźniej ktoś tu nie trzyma się zasad moralności proletariackiej, myślę. I ma rację: „Każdy prawdziwy poeta potrzebuje kobiety z kamienia”. On potrzebuje kilku i ciągle innych.

Natomiast w jego nagrodzonej noweli nie znajduję niczego, co można by interpretować dwojako. Tak samo *Bohaterskie czyny pioniera Juppa* można by zalecić jako lekturę na każdym letnim obozie pionierskim w ludowej republice.

A więc notuję na pustej kartce: „Antypaństwowe jest nie to, co Hügel pisze, ale to, co mówi. Jeśli w ogóle jest dysydem, to w swojej gadaninie, a nie w czynach”.

W lecie 1959 do moich rąk trafiają zeszyty zapisane przez Herwalda Schönmunda. Z biciem serca rozpoznaję jego pismo. Jeden z brulionów nosi tytuł: *Ukryta ciągłość wiary ewangelickiej na sowieckiej Ukrainie. Z życia pastorowej z Kreuzbach*.

Kaskada obrazów mąci moje spojrzenie: Elisa sama w łożu małżeńskim, między nami pastorka Milena w czarnej jedwabnej koszuli nocnej, zaklinająca nas po rosyjsku, żebyśmy czegoś nie robili, a ja nic z tego nie rozumiem. Pastor Schmal z lampą naftową, w ciemnym ubraniu pokrytym opalizującym pyłkiem kwiatowym, uspokaja żonę i odprowadza z powrotem.

Herwald Schönmund, student ostatniego semestru teologii, pomagał w Kreuzbach podczas wakacji i co dnia spisywał swoje obserwacje i doświadczenia, z zamiarem wykorzystania biografii tej niezwyklej kobiety na seminarium z historii Kościoła. Tego zamiaru jednak nie zrealizował.

Fakt, że to pastorowa nosiła spodnie w tej rodzinie, zresztą naprawdę też w nich chodziła, był w kościele znany i tolerowany, jak wiele innych rzeczy. Wieś przyjmowała jej dziwactwa i kaprysy z cierpliwością i wyrozumiałością, gdyż ludzie ją kochali.

Podczas letniej praktyki Herwald Schönmund przejął wiele obowiązków pastora w parafiach Gelsental i Waldorf. Poeta z łaski bożej i czytany literat wygłaszał kazania, w których mówił mniej o Jezusie Chrystusie, a więcej o Gottfridzie Bennie i Thomasie Mannie. Ludziom podobał się mimo wszystko. Gdyż mówił głośno i wyraźnie, a melodyjną liturgię śpiewał „jak w operetce”.

Pastorowa często wozila go swoim powozem, dwukółką zaprzęzoną w jednego konia. Nosiła wtedy watowane spodnie. Czasami oddawała mu lejce. Kiedy przejeżdżali przez akacyjny zagajnik, a on trzymał lejce, całowała go w policzek. Akacje późno kwitły tego roku, ich zapach był słodki i ciężki. W drodze powrotnej jechali pod górę przez las, on puszczał cugle wolno, a ona brała go pod ramię i zaczynała zwierzenia. Zachodzące słońce chłonęło gęste chmury kwiatowego zapachu. Kobieta nie skarżyła się, tylko opowiadała.

Pastor Johannes Anselm Schmal znalazł swoją żonę Milenę Pawłówną w 1941 roku w Transnistrii. Trzymała się go od chwili, kiedy w parafii Liebenfeld nad Dniestrem udzielił jej chrztu.

Latem 1941 roku rumuńskie i niemieckie oddziały zdobyły Besarabię i weszły na Ukrainę. Po drugiej stronie Dniestru natrafiono na wioski, gdzie chłopci w strojach z XVIII wieku

witali żołnierzy w języku Schillera i Kleista i rzucali się im na szyje. Od razu też poprosili o przysłanie ewangelickiego pastora, chcieli zostać ochrzczeni, przystąpić do konfirmacji i wziąć ślub kościelny. Zmarłych także trzeba było pobłogosławić. A dzieci — mali poganie — powinny zostać nauczone podstaw wiary ewangelickiej. Biskup z Hermannstadt, któremu podlegali wszyscy niemieccy ewangelicy w całej Rumunii, rozesłał młodych pastorów na teren powiększonego aż do Bohu królestwa.

Na początku dorośli stali w kolejce do chrztu, na co niemieckie władze patrzyły z nieufnością. Przed chrzcielnicą klękała matka z niemowlęciem w ramionach i gromadką lnianowłosych dzieci wokół siebie. Zbiorowa konfirmacja wyglądała jak nakarmienie tysiąca głodnych nad jeziorem Genezet: bierzcie i jedzcie, bierzcie i pijcie! Podawano sobie chleb i wino, wyciągano ręce po błogosławieństwo. Pary w każdym wieku brały ślub. Wzruszenie ogarniało na widok obrączek, jakimi się wymieniali: srebrna blacha i miedź należały do najcenniejszych. W drewnianych skrzynkach po marmoladzie ludzie przywozili ziemię z najodleglejszych cmentarzy. Trzeba było się śpieszyć, bo każdy liczył się z rychłym powrotem Sowietów.

Podczas chrztu pewna młoda kobieta z pokorą pochyliła głowę, jak pozostali. A na pytanie: „Czy chcesz zostać ochrzczone?”, wykrzyknęła głośno i radośnie: „Tak, chcę zostać ochrzczone, chcę z całej duszy, proszę ochrzczycie mnie!”. Zapytana: „Jak się nazywasz?”, odpowiedziała: „Milena Pawłowna Leidenthal, Leiden przez ei i thal z th”. Wyznanie wiary wymruczała dobrą luterańską niemczyzną. Po pierwszej kropli święconej wody odrzuciła do tyłu głowę, aż włosami przejechała młodego pastora po oczach, podniosła ku niemu twarz — poczuł jej pachnący węglem drzewnym i koprem oddech — i szepnęła: „Więcej, dużo więcej wody, towarzyszu

pastorze, my jesteśmy tak spragnieni Boga!” Świeżo wyświęcony pastor Johannes Anselm Schmal, który tuż po objęciu parafii w Kreuzbach został wysłany do Transnistrii, potraktował tę prośbę z wielką powagą, jak wszystko w życiu: podniósł misę do góry i wylał całą jej zawartość na głowę uszczęśliwionej dziewczyny, aż cała ociekała wodą święconą. Potem wstała i jeszcze przed znakiem pokoju objęła go i ucałowała w usta. I zanim pozostali zdążyli ją odsunąć na bok, szepnęła: „Dziś w nocy do was przyjdę!”.

To było za wiele dobrego. Johannes Anselm Schmal pochodził bowiem z rodziny duchownych. Takie dziecko, zanim nauczy się sięgać po smoczek czy zabijać muchy, już potrafi składać ręczki do modlitwy. I od najwcześniejszych lat zna Dziesięcioro przykazań, które wyssało z mlekiem matki. Młodemu dryblasowi z odstającymi uszami matka wbijała do głowy: „Jeśli pocałujesz jakąś dziewczynę, musisz się z nią ożenić. A więc uważaj, jaką nam wybierasz synową, zanim którąś pocałujesz”. Ale matka nie wyjaśniła, co ma nastąpić w odwrotnej sytuacji. To było nie do pomyślenia.

Trzeba było działać, zacząć działać, zanim zapadnie noc. Pastor przełożył obrzędy liturgiczne i zamknął kościół. Odwiedził wybrankę w kuźni jej ojca. Roześmiana, z usmoloną twarzą deptała miech kowalski. Jej zęby lśniły. Ojciec wykuwał właśnie podkowę. Żadne z nich nie przerwało swego zajęcia, gdy do kuźni wszedł duchowny w czarnym surducie i stanął przy beczce z wodą.

— Czy jest pan ojcem panny Mileny?

— Tak jest.

— A gdzie szanowna matka? — Matki nie było, ale za to kilkoro młodszego rodzeństwa.

— Pozwalam sobie prosić pana o rękę pańskiej córki.

Mężczyzna odwrócił się od kowadła i palcem sprawdził wodę w cebrzyku, w którym chłodził żelazo. W języku będą-

cym mieszanką rosyjskiego i mowy Schillera polecił Milenie, żeby przyprowadziła dzieci, woda jest już dobra do kąpieli. I zapytał, nie rozumiejąc, czego ten obcy mężczyzna chce od ręki jego córki.

— On chce się ze mną ożenić — powiedziała po prostu Milena.

— Tak? Wszystko nam zabierają: najpierw Rosjanie kościół, a teraz Niemcy wiarę. I na dodatek nasze dziewczyny. Nic z tego — zakończył ostro ojciec, Milena jest mu potrzebna w kuźni, w gospodarstwie, a przede wszystkim w domu. — Nie da się! — I wyszedł.

— Jeszcze jak się da — wykrzyknęła dziewczyna i zaśmiała się głośno z całego serca, a jej zęby zaśniły perłowo w usmolonej twarzy.

Pastor powiedział:

— Może pani za mnie wyjść, łaskawa panienko, pod jednym warunkiem: że dziś w nocy nie przyjdzie pani do mnie. Pierwsza noc między mężczyzną a kobietą to noc poślubna.

— Tak, to już jest napisane w Biblii — zgodziła się potulnie.

— A więc do zobaczenia przed ołtarzem w Kreuzbach koło Kronstadt. — Tu pastor skłonił się i wyszedł. I tak się stało. Noc poślubna była dla obojga ich pierwszą nocą.

Punktualnie w maju każdego kolejnego roku, 1942, 1943 i 1944, Milena rodziła, najpierw chłopców Miszę i Saszę, potem dziewczynkę Matryonę, cała trójka miała pszeniczne włosy jak pola Ukrainy, a oczy niebieskie jak niebo Burzenlandu.

Milena Schmal różniła się od innych żon pastorów. Szalała ze swoimi dziećmi po pokojach plebanii, ciągnąc je, nawet niemowlę, na poduszkach po wyfroterowanych podłogach. Razem z dziećmi spała nago w łóżu małżeńskim na materacach wypchanych liśćmi orzecha: „Przeciwko pchłom!”. A ojciec dzieci spędzał noce u ich stóp na zajęcej skórze

rozpostartej na podłodze, cichy i oddany. Wprawdzie w każdą niedzielę siedziała w wyściełanej aksamitem ławce z wysokim oparciem, jak przystało pastorowej, ale w samym środku mszy, najczęściej po kazaniu, żeby pastor nie tracił wątku i się nie pogubił, rozchyłała gorset i zaczynała karmić niemowlę ze swej obfitej piersi. Chłopcy z chóru przyglądali się temu z góry, mlaskając do taktu.

Ubrana w spodnie objeżdżała dwukółką pola należące do plebanii. Gdy tylko głośno odezwała się po rosyjsku — może klęła, a może się modliła — prace polowe nabierały tempa. Domowi Cyganie i rumuńscy najemni robotnicy spluwali w dłoń.

Pewnego razu w małżeństwie nastąpiła przerwa. Pod koniec sierpnia 1944 roku, kiedy Niemcy się wycofywali, a zbliżali Rosjanie, oficer Wehrmachtu Bodo Müller, który mieszkał u nich na kwaterze, zabrał ze sobą pastorową w swoim czołgu na zachód. „Jeśli pani tu zostanie, Mileno Pawłowna, Sowieci rozstrzelają panią jako kolaborantkę albo jeszcze gorzej, wywiozą na Syberię”.

Jedynie pastor wiedział, że nie chodziło o wielki strach, ale o wielką miłość. I pozwolił jej odejść. Para pośpiesznie opuściła wieś. W tym czasie pastor wykarmił małą Matryonę butelką ze smoczką, nauczył młodszego synka Aleksandra jeść łyżką; najstarszemu, Miszy, wbił do głowy, że ma na imię Michael, i nauczył go manier: podawania prawej rączki i kłaniania się. I kiedy matka wróciła w marcu 1945 roku, dzieciątka powitały ją najwytworniejszymi grzecznościami i mogły zaprezentować wiele nowych umiejętności.

Tymczasem saskich mieszkańców wioski potraktowano bardzo źle. Kto nie został wywieziony do Rosji, musiał opuścić swój dom i obejście. Rodzinę pastora stłoczono w dwóch pomieszczeniach, kuchni i parafialnej kancelarii. W pozostałych dziesięciu pokojach zamieszkał cygański bulibasza, Grigorie

Bibicu, ze swoją liczną rodziną. Na parkietach rozłożyli słomę. I zaczęli palić stare meble, świetnie wysuszone po dwustu latach. Gdy pastorowa zwymyślała cygańskiego barona po rosyjsku i z gniewu tupnęła filcowymi walonkami, aż słoma zaczęła fruwać w powietrzu, arogancki uzurpator pojął, co się święci. Następnego ranka plebania była pusta.

Milena Schmal zadbała także o porządek i sprawiedliwość we wsi. Do wolnych pokoi na plebanii sprowadziła saskie rodziny, te najbardziej przybite i zastraszone, po jednej w pokoju, ze wszystkimi krewnymi, począwszy do chrześniaka, na samotnej ciotecznej babce skończywszy. Dotychczas koczowali oni we własnej stajni albo w ziemiankach u Cyganów nad strumieniem. Tego prawo nie przewidywało. Pastorowa przepawiła się przez śnieg do Heldsdorfu i wróciła z lokalnym sowieckim komendantem. Kiedy nowi panowie zobaczyli tych dwoje, mężczyznę w mundurze i egzotyczną kobietę, przechadzających się wiejską drogą, pograżonych w rozmowie po rosyjsku, pochowali się po kątach. Kapitan w bryczesach, któremu towarzyszyli wiejski żandarm i *primar*, wójt, sprawdzał dom po domu. I gdzie tylko jego *cravache* uderzała o but, tam wszystko nagle zaczynało się układać. Wypędzeni wracali do bocznych pokoi lub letnich kuchni swoich domów. Tak, nawet kradzione rzeczy znajdowały drogę do swych właścicieli. Pastorowa rozpuściła pogłoskę, że kapitan ze swoimi kozakami przeszuka wszystkie domy. Każdy, u kogo zobaczą kradzione przedmioty, zostanie wywieziony do Rosji, jak Sasi przed dwoma miesiącami czy Cygnie dwa lata temu. I nagle wszystko znów było na swoim miejscu: kołowrotek babci i niebieski fartuch wuja, singerowska maszyna do szycia, słomkowy kapelusz z czarną wstążką i makatka z sentencją: „Tu nie umiera Niemiec, bądźcie ufni”

Gdy Herwald Schönmund dziesięć lat później przyjechał do Kreuzbach na letnią praktykę, w obszernej plebanii na

wzgórzu mieszkał tylko pastor z żoną. Dzieci chodziły do szkół w mieście. Wakacje spędzały u dziadków lub na szkolnych wyjazdach. Pastor pisał o gatunkach traw rosnących w Kreuzbach, co Securitate wydawało się podejrzane, gdyż używał wyłącznie nazw niemieckich lub łacińskich. Czy nie ma rumuńskich nazw dla czegoś, co rośnie na świętej ziemi naszej *Patria Romănia*, co najmniej od czasów rzymskich i dackich, o ile nie jeszcze wcześniej? Nie spełniało to wprawdzie kryteriów zdrady stanu, ale gdy przyjdzie czas, znajdzie się i na niego sposób. Pastor ujawnił się jako zdrajca, gdy w kronice Kreuzbach napisał, że zamek Kreuzburg został zbudowany przez niemiecki zakon krzyżacki, a nie przez dackiego króla Decebala. Chronienie pastora przed Securitate było ostatnim wielkim aktem odwagi i oddania Mileny Schmal.

W tych latach opanował ją wyraźny niepokój. Nie obcinała włosów, nosiła je rozpuszczone i potargane, gdy w gumiakach błąkała się godzinami po polach lub dwukółką jeździła w pyłe wiejskich dróg. Śpiewała rosyjskie piosenki, zwracając twarz ku wschodowi.

Ostatniego wieczoru przed zakończeniem praktyki Herwalda pastorowa weszła późnym wieczorem do pokoiku studenta, roztrzęsiona i niekompletnie ubrana. Miała na sobie płaszcz od deszczu, pod spodem czarną koszulę nocną i była na bosaka. Z rozbieganym wzrokiem schwyciła za rękę Herwalda, który właśnie w piżamie leżał na łóżku i składał wiersze. Doświadczenie i własne skłonności podpowiadały mu, że mówienie „nie” wprawdzie podsyca namiętność, ale również pozbawia życie wielu uroków i barw. Pozwolił się więc porwać. Dokąd?

Na cmentarz. W opętańczym pośpiechu oboje biegli przez wygracowane alejki, do północnego krańca cmentarza, gdzie oddzielone szerokim pasem ziemi znajdowały się pojedyncze groby z powykrzywianymi drewnianymi krzyżami: samobójcy. „Tutaj jest dobrze, poza święconą ziemią — mrucała

Milena. — Ale gdzie jest ten grób, którego szukam? — Sierp księżycyca rozciął chmurę za chmurą, zmieniające się światło zwodziło oczy. — Tutaj, pod orzechem. — Znalazła zaróżniony wzgórek. — Będzie miał trochę radości biedny łotr. Powiesił się, jak to zwykle Sasi. Tutaj są takie zwyczaje. U nas wbijają sobie w serce rzeźnicki nóż. Kiedy człowiek umiera, musi popłynąć krew. Niech się biedak cieszy. Ani odrobiny szczęścia nie miał w życiu, nikogo, kto by go opłakiwał. Niech pan dotknie, panie kandydacie: mech jak w weselnym łożu wróżki Milenki u nas, w lasach nad Dniestrem. Tutaj będzie dobrze. Wisielec! A do tego chroniony przez panią na sierpie księżycyca”. Zarzuciła mu ramiona na szyję, pocałowała go z rozpaczliwą namiętnością i pociągnęła na mech i orzechowe liście.

Następnego dnia pożegnanie było krótkie. Pastor pomachał mu ręką pełną traw, pastorowa się nie pokazała. Jak się mówi „szczęście” po rosyjsku?

Melduję majorowi Alexandrescu:

— Prawie wszystko przeczytałem, ale nic nie przetłumaczyłem. Nie było też żadnych podkreśleń na czerwono. Ale wydaje mi się, że tu się nie opłaca.

— *Sigur, sigur* — mówi — są jeszcze inni. — Inni? O co mu mogło chodzić? Myśliwy i ja na próżno łamiemy sobie nad tym godzinami głowy.

— A wiersze?

Rzucam niefrasobliwie:

— *Doamne, Venera înfrigurată*. O Boże, *Marznąca Wenus*.

Major rzuca szybkie spojrzenie na zeszyty i mówi z roztarzeniem:

— *Venera*. Biedna dziewczyna, całkiem naga w zimowym parku. Widzi pan, jaki okrutny był ziemiańsko-burżuazyjny reżim. Ale niech pan dalej studiujecie ten materiał. Mamy czas.

Milena Pawłowna Schmal, z domu Leidethal, nie żyła potem długo. Umarła prawdziwie po ukraińsku: popłynęła krew. Jej dwukołowy pojazd uderzył w przydrożny krzyż. Zardzewiały Chrystus rozorał jej pierś. Gdy znaleziono Milenę, jej serce pływało we krwi. Życzenie żony, by ją pochowano w ojczystej ziemi, pastor spełnił w ten sposób: odciął pukiel jej włosów, włożył do ukraińskiej ludowej lalki z drewna lipowego, która była wydrążona w środku, i wysłał wszystko do sowieckiej ambasady w Bukareszcie z odpowiednim listem. Po latach nadszedł napisany po rosyjsku list z rady okręgowej miasta Taras Bulba, niegdyś Liebenfeld: lalkę Matryonę nieżyjącej Mileny Pawłowny Schmalowej włożono do grobu ojca, przedwcześnie zmarłej matki i dwóch sióstr. A żeby przyjaźnie usposobić spłoszone duchy ziemi, by zechciały przyjąć tego obcego i dziwnego gościa, wiano do grobu dużo wina, a potem, na stypie, równie dużą ilością wina spłukano wszelkie wątpliwości. „Bo ojczystej ziemi nie można sypać piaskiem w oczy. Jak to mówi wiersz: Nie nosimy jej w medalionie na piersi. Dla nas jest brudem na kamaszach, piaskiem w chlebie. Ale po śmierci układamy się w niej do snu i sami stajemy się ziemią ojczystą”.

Tak pisał sekretarz partii z okręgu Taras Bulba.

26

Rok szybko tutaj mija. Ale tym, co człowieka wyniszcza, jest jeden dzień, który nie chce minąć. Rok szybko przechodzi, kiedy patrzy się wstecz w jego pustkę. Minął na zawsze? Czy potem rzeczywiście nie pojawią się jakieś wspomnienia, kiedy się powie: *in illo tempore*? Lecz obraz tamtej bolejącej kobiety, dla której tęsknoty nie było żadnej pociechy, ani w rozpuście, ani

w śmierci, nie daje mi spokoju. Śnię, że do niej biegnę, otulam ją w aureolę i chowam za złocistymi chmurami. Na próżno, żadne miłosierdzie jej nie uratuje, żadna modlitwa.

Przyzwyczałem się modlić. Dzień w dzień modłę się za wszystkich, o których jestem wypytywany, o których mówiłem złe słowa prawdy. I z lękiem spostrzegam, że oni odzyskują swoje twarze, twarze we łzach.

Moje usta mruczają modlitwę, której Bóg nie powinien usłyszeć, choć dla Niego nie ma rzeczy niemożliwych: chciałbym, żeby On sprawił, by dawni przyjaciele usiedli ze mną jako towarzysze przy tym samym czerwonym stole, połączeni wspólną wolą budowy socjalizmu, w naszej ojczyźnie i na całym świecie.

I składam ślubowanie, które Bóg może potraktować poważnie, jeżeli tego zechce, choć kłóci się ono nieco z moim pierwotnym zamiarem. To nie jest ślubowanie w rodzaju jeżeli — to, jak na przykład: jeżeli Ty, Boże, sprawisz, by natychmiast pękło siedem żelaznych bram do wolności, to ja postąpię tak i tak... Obawiam się konsekwencji tego ślubowania, ponieważ formułuję je tak: gdy tylko zechcesz powołać mnie do swej służby, Boże i Panie, ja Cię posłucham. Spróbuj ze mną jeszcze raz. I pragnę, by stało się to już jutro. I pragnę, by nie stało się nigdy.

Odnowienie wielkiego czasu trwa nadal. Rewolucja nie zna pardonu. Dawno już zabrali myśliwego. Teraz nie ma nikogo, kto zagrałby ze mną w czerwone rękawiczki, trochę rozweselił moją zgnębianą duszę. Nie wiem, co zamierzają ze mną zrobić. Od dłuższego czasu nikt już nie pytał o kółko studenckie.

Na początku września 1959 roku otrzymuję wezwanie na dzień piętnasty tego miesiąca, na godzinę ósmą. Wyznaczono termin rozprawy przed wysokim sądem wojskowym w Pałacu Sprawiedliwości w Stalinstadt, gdzie mam wystąpić

jako świadek w procesie przeciwko... przeciwko — z trudem odcyfrowuję pięć nabazgranych nazwisk. Wąsaty strażnik, nazywany przeze mnie Ptasznikiem, podaje mi przez klapę pismo, które mam podpisać. Nachyla się do otworu i upomina, podnosząc do góry palec: — Nie zapomnij! *Punctual camera tui!* — Niech go diabli wezmą, podłego psa.

Do mojego schronienia z jego prymitywną geometrią i rytualnie powtarzanymi wzorami kroków wkrada się niepokój. Tysiące myśli tłoczą się naraz. A więc to w końcu z pisarzy zrobiono grupę wywrotową, jakby ich przypadkowo wylosowano. I dlaczego akurat ci? Są przecież inni, którzy piszą groźniejsze rzeczy.

Świadek oskarżenia... Czy wobec tego nie powinni mi dać do przeczytania zapisów moich zeznań? Przesłuchania odbywały się przed miesiącami, a na temat Hugo Hügela ponad rok temu. Stukam głośno w drzwi. Ale nikt nie ma dla mnie czasu.

Zaczynam odczuwać lęk. Biegam po mojej klatce tam i z powrotem, objam się o kanty i krawędzie. Nic nie pomaga się uspokoić, nawet powtarzanie wierszy, które skleciłem w zeszłym roku. Ani cząstkowe równanie różniczkowe, nad którego rozwiązaniem męczę się od dawna. „Nie daj się zastraszyć!”, słyszę napomnienia ciotek. I głos nieżyjącego dziadka: „*Contenance!*”. Zmuszam się do zachowania dyscypliny, przykładam czoło do chłodnej ściany, porządkuję myśli, staram się naszkicować orientacyjny schemat.

Zostałem wezwany jako świadek oskarżenia. Czytałem wystarczająco dużo powieści kryminalnych, żebym mógł wyobrazić sobie przebieg procesu. Po pierwsze: sala będzie pełna rodzin i krewnych. Będę więc musiał publicznie określić swoją pozycję. Dalej: świadek zobowiązany jest mówić prawdę. A co to oznacza w rzeczywistości?

Dość fantazjowania i uczonych definicji: prawda jako świadoma rzeczywistość, prawda jako stanowisko, prawda jako spotkanie. Albo: czasem prawda jest z gruntu dobra, a innym razem jest diabelską sprawą... Lub. zwieńczenie wszelkich prawd: nie ma żadnej prawdy *extra relatione coram Deo*. Mój Boże, która tu pasuje? Żadna, bo wiem, że gdy coś powie się głośno, przestaje to być prawdą. Więc się poddaję.

W przypadku tych oskarżonych chodzi o to, bym znalazł dla siebie taką prawdę, która dotyczy wszystkich, pewien rodzaj najmniejszego wspólnego mianownika. Nawet jeśli moja wiedza o ich działalności jest fragmentaryczna, powinna pasować do każdego: żaden nie jest ciałem i duszą za socjalizmem. Ale z drugiej strony, i to także odnosi się do każdego z tej piątki, są mniej groźni, niż wynika z tego, co mówią, są lepsi, niż myślą. W języku partyjnym brzmi to mniej więcej tak: poziom ich świadomości ideologicznej pozostaje w tyle za ich produkcją literacką — literatura jako specyficzna forma przedstawienia sytuacji społecznej w okresie rewolucyjnych przemian.

Ponieważ nie mogę zajrzeć do zapisu moich wypowiedzi, pozostaje mi tylko prześledzenie wydarzeń, odtworzenie z pamięci faktów, przytoczenie prawdy faktów, z całym ryzykiem.

Byłaby to zasada materiałowa: mówić, jak było naprawdę.

A zasada formalna? Ubrać prawdę tak, żeby na końcu każdy był przekonany o winie tej piątki: nie tylko sędzia wojskowy i prokurator, ale też każdy z oskarżonych, jeśli już nie nawrócił się na prawdę, a przede wszystkim ich rodziny obecne na sali.

Nie jestem w dobrej formie. W ostatnią sobotę w środku nocy doleciały mnie w celi słodko-gorzkie melodie, echo z beznadziejnej dali. Ktoś z naszych zebrał się chyba na odwagę i w jednym z wiszących ogrodów, które rozciągają się na zboczach Zinne aż do Angergasse, wydaje przyjęcie. Brucknerowie? Czy Stadelmüllerowie? A może to dzieci Antoscha?

Zapomniane melodie taneczne trafiały zbląkaną aż do nas za kraty. Sprawiały, że więźniowie skręcali się z bolesnej tęsknoty, zwinięci w kłębek, z odrzuconą do tyłu głową. A z okna płynęły *Florenckie noce*, powodując ściskanie w gardle. Umęczoną wyobraźnię podniecały *To tylko nogi Dolores*. Czy tamci młodzi ludzie wiedzieli o upiornej grozie w pobliżu? Jeżeli tak, to nic sobie z tego nie robili. *Przychodzimy z błękitnych gór*.

Strażnicy też się zasłuchali. Zaniedbali swoje obowiązki, przestali zaglądać do cel, nie sprawdzają, czy tej zaczarowanej nocy nikt z więźniów nie podnosi ręki, żeby się pozbawić życia lub w rozpaczy wycisnąć ze swego ciała choć trochę rozkoszy. Nawet nie pozamykali klap. Gdy muzyka cichła na chwilę, można było słyszeć podzwanianie łańcuchów kogoś z dożywociem, wlokącego się do kibla, żeby się odlać.

W innym świecie chłopcy i dziewczęta śpiewali swoją ostatnią piosenkę, głośno, ze smutkiem i patosem: *Miałem przyjaciela, lepszego nigdzie nie znajdziesz...*

Podczas jazdy furgonetką do budynku sądu zzerają mnie nerwy. Wciśnięty między dwóch strażników, którzy krzyżują mi ręce na plecach, ledwie mogę siedzieć. Oczy i nos mam obwiązane ręcznikiem, tak zamotanym, że brakuje mi tchu; na to nakrycie głowy założyli jeszcze blaszane okulary. Wokół mnie wzdychają i posapują niewidzialni ludzie. Jakiś młody chłopak szlocha. Płacze kobieta. Głos strażnika karci ją: — *Taci! Milcz! Wracaj do łona matki!* — Ale ona płacze dalej. Samochód trzęsie na kocich łbach i wydaje mi się, że rozpoznaję ulice Waisenhausgasse, a potem Schwarzgasse. Wreszcie przepaska opada mi z oczu. Furgonetka podjeżdża tylnymi drzwiami tak blisko murów sądu, że nie mogę zobaczyć ani kawałka słońca, nieba, ulicy i wolności. Dwóch uzbrojonych żołnierzy wyciąga mnie z samochodu i prowadzi do jakiejś komórki. Tam czekam z twarzą do ściany. Dobrze, nie chcę widzieć więcej. Moje

spojrzenie, przyzwyczajone do czterech białych ścian, boi się nadmiaru wrażeń wzrokowych.

Z odrętwienia wyrywa mnie mój komisarz, kapitan Gavrioliu. Znienacka staje obok. Bierze mnie za rękę, prowadzi przez sień do okna i każe mi — gdyż ciągle nie podnoszę głowy — spojrzeć na ulicę. Zwykle ubrany jak dandys, dziś przypomina raczej wiejskiego nauczyciela w niedzielnym ubraniu. Pyta, jak się czuję.

— Żle.

— Co pan tam widzi? — Ja, który myślałem, że świat przestał istnieć, widzę świat. Jest chyba późne popołudnie, ale słońce świeci tak, jakby nigdy nie zamierzało przestać. Zaciśkam oczy: to Szubieniczne Jezioro, pławiono tam czarownice i wieszano morderców, kiedy my byliśmy panami tego miasta.

— Nic, nie widzę nic.

— Ten wielki budynek, tam, na pewno go pan rozpoznaje. Niech pan przeczyta!

— Teatrul Dramatic — mówię ponuro. Wreszcie stoi. Bardzo głośno było wokół tej budowli, kiedy dwa razy w trakcie budowy pogrążyła się w Szubienicznym Jeziorze i za każdym razem pociągała ze sobą w błoto załogi inżynierów i techników. Sabotażyści!

— Osiągnięcie klasy robotniczej! Wszystko własnymi siłami: nasi robotnicy, nasi inżynierowie! Ma się rozumieć, z pomocą Związku Radzieckiego! — Tu następuje minuta milczenia. — A co pan widzi tam na ulicy? — Widzę ludzi przechadzających się, jakby zwycięstwo socjalizmu nic ich nie obchodziło. I zauważam dziwny pojazd sunący Brunnengasse, teraz Bulevardul Lenin, omnibus, który pałąkiem jest połączony z dwoma kablami, a mimo to jego cztery koła toczą się po asfalcie. — Czy wie pan, co to jest?

— Nie.

— *Un troleibus*. Cichy, wygodny, żadnych spalin. Niestety zużywa energię. Własnymi siłami: nasi inżynierowie, nasza klasa robotnicza. — Wzdycha. — *Uniunea Sovietică*.

Nie chcę nic widzieć ani słyszeć.

— A tam nowe latarnie uliczne, widać pan? — Jakbyśmy się spotkali na przechadzce, on, stary przyjaciel, ja, po długiej nieobecności. — Z neonowymi żarówkami! — Znam je z przesłuchań z nocy brata. — Własnymi siłami, ale nie zapominajmy o pomocy wielkiego...

Jeden z żołnierzy podchodzi do nas i szepcze coś oficerowi do ucha.

— *Bine!*

Drugi opasuje moje spodnie rzemieniem.

— Żebyś nie stał się pośmiewiskiem. — A jednak mechanicznie przyciskam spodnie do ciała. Kapitan zapadł się pod ziemię. Strażnicy pędzą ze mną korytarzem, ich pistolety maszynowe kołyszają się na plecach. Zatrzymują się przed jakimiś drzwiami. Drzwi się otwierają. Wpychają mnie do środka. Sala.

Jest za jasno.

Za dużo światła. Przecieram oczy. Wreszcie jestem w stanie rozróżnić otoczenie. Widzę tylko potylice, pochylone karki, zgarbione plecy. Nikt, tak mi się wydaje, nie odwraca do mnie głowy. To są rodziny. Przed ścianą z oknami, na podwyższeniu, za rzeźbionym dębowym stołem siedzi trzech oficerów. Środkowy przyzywa mnie kiwnięciem. Z wahaniem wykonuję jego polecenie. Stawiam jedną stopę przed drugą, po trzech i pół kroku zatrzymuję się automatycznie i poprawiam spodnie, ale sędzia nieubłaganie przyciąga mnie do siebie ołowianym wzrokiem. Wchodzę na podest dla świadków i chwytam się wygiętej barierki. Stoję oko w oko z sędzią. Na jego naramiennikach błyszczy jedna gwiazdka. Jak to, myślę, tylko major, a nie generał, nie pułkownik? Tak mało szacunku

dla pisarzy? Po bokach przewodniczącego sądu siedzi dwóch ławników ludowych, *asesori popolari* — oficerowie niższych szarż. Mają zielone i czarne naramienniki. Co to za rodzaj wojsk? Pogranicznicy? Wojska pancerne? Artyleria... Co oni wiedzą o literaturze?

Brązowe oczy sędziego majora, co mi one przypominają? Oczy łani, w których jest ból całego świata? Ależ skąd.

— Nazwisko?

— Nazywam się tak i tak.

— Wiek?

Słyszę swój głos:

— Przedwczoraj miałem urodziny. — I myślę: dziś moja Griso kończy osiemdziesiąt pięć lat. Czy jeszcze żyje? Tanneau leży prosto za moimi plecami, na przedłużeniu przejścia między ławkami.

— Miejsce zamieszkania?

— *Securitatea Oraşul Stalin*.

Major nie mówi: bzdura, ale uzupełnia dane protokolan-towi:

— Ostatni adres świadka: Kluż, Rosetti 28 A.

— *In arrest preventiv*?

— Od dwudziestego ósmego grudnia 1957.

— Zawód?

— Student hydrologii.

Major uzupełnia:

— *Scrittor*. Pisarz — Jego ołowiane oczy ledwie muskają moją twarz, a jednak jestem ich więźniem. Jak długo to potrwa, my obaj — on i ja?

Sędzia wypytuje mnie po kolei o każdego z oskarżonych. Gdzie siedzi ta piątka, z lewej czy z prawej strony? Jak na najtrudniejszych egzaminach z hydrauliki, ciało się gdzieś ulatnia, jestem tylko myślą i słowem, precyzją i językiem; i jak wtedy, gorzki smak rozlewa mi się na języku. Kiedy to

możliwe, przytaczam na dowód fragmenty tekstów, powtarzam to samo wprowadzenie: „Jak wynika z listu, który u mnie znaleziono i który ma pan do dyspozycji...”. Ale sędzia jest nie tyle zainteresowany korespondencją, ile rozmowami w cztery oczy. Istotne dla niego są rozmowy konspiracyjne:

— Zostaw te listy! O czym rozmawialiście? — Kiedy kończę wypowiedź, major dyktuje sekretarce przy stoliku z lewej strony streszczenie do zaprotokołowania. Choć opuszcza decydujące rzeczy, podpiszę wszystko — nie patrząc.

Sędziemu nie podoba się, że Getza Schräga nazywam pierwszym i jedynym autorem postępowym, który w swej powieści *Gdzie nikt panem i nikt sługą* w literacko dojrzałej formie naświetlił niesprawiedliwość społeczną w środowisku siedmiogrodzkich Sasów.

— Nie jesteś tu po to, żeby bronić tego wroga ludu! — strofuje mnie. A potem jednak każe zapisać pozwalające na otuchę zdanie: — Świadek twierdzi, że oskarżony pisał książki zgodne z linią partii. — Na siedzącym przede mną panu nie robi też wrażenia, że Getz Schräg napisał *Odę do Stalina*. — *Stalin este mort!* — Uznaje natomiast, i zostaje to zapisane, że wycofałem obciążającą uwagę na temat bajki o raku ugotowanym na czerwono.

Przy Hugo Hügelu mnożą się sprzeczności. Czy przyznaję, że w kwietniu 1957 roku otrzymałem od niego list, w którym opisuje mi swoją antypaństwową działalność literacką? To ten list, w którym pisze, że swoją nowelą podburzył czytelników w Burzenlandzie.

— List jest w pańskim posiadaniu. A ten list, o którym pan mówi, *domnule presidente*, otrzymałem nie w kwietniu, tylko w grudniu, krótko przed aresztowaniem.

— Nie list jest ważny, ale to, co oskarżony powiedział panu o swojej działalności, na przykład w hotelu Union w *Bucuresti*.

Ten fragment przekazuje protokolantce niemal bez opuszczeń, zostawia nawet tryb warunkowy, którym się posłużyłem:

— Można by było przy pomocy klucza zinterpretować tę historię na niekorzyść ustroju socjalistycznego.

Przygniata mnie swym ciężkim, ołowianym wzrokiem, a mimo to patrzy przeze mnie na wylot. I palcem wskazującym — z niezwykle zadbanym paznokciem, wymanicurowanym według wszelkich reguł kosmetyki — kartkuje od niechcenia strony akt.

Mechanicznie pyta, czy Hugo Hügel wypowiadał się na temat wrogich intencji pisarzy niemieckojęzycznych, czy mówił coś o wywrotowej taktyce wobec prasy i wydawnictw. Cytuję z pamięci fragment listu sprzed dwóch i pół roku, „który znajduje się w pańskim posiadaniu”. Hugo Hügel rozważał skupienie wokół „Gazety Narodowej” w Stalinstadt autorów, którzy potrafią dobrze pisać i mogą stworzyć front przeciwko przeciętnym pisarczykom zaangażowanym politycznie, oraz ostrzegał mnie przed „cwanyymi Żydami” z Państwowego Wydawnictwa Literatury i Sztuki.

Słyszę głos majora, który pyta, czy podtrzymuję to, co powiedziałem o Hugo Hügelu w trakcie dochodzenia przed komisją śledczą Securitate. Jest to za każdym razem ostatnie pytanie, zanim przejdziemy do następnej osoby.

— Tak — odpowiadam i myślę: jak długo jeszcze będę musiał znosić spojrzenie tych oczu, które w przygnębiający sposób coś mi przypominają?

— To wszystko? Głos ma obrona.

Raczej nie zrobi z niego użytku, myślę. I nagle wiem, kto ma takie same oczy jak major przede mną. Widziałem je w kinie. Nazistowski zbrodniarz często pojawiający się w filmach po roku 1945, pan życia i śmierci, zmęczony mężczyzna o ołowianym spojrzeniu, który góruje nad wszystkimi przy

rampie i bez zmruczenia oka wysyła ludzi na śmierć, ale równie dobrze może przypadkową osobę puścić wolno. Ten sam, który w domu jest niezwykle układnym człowiekiem, z teściową gra w domino, z dorastającą córką tańczy tango, a jego oczy potrafią jarzyć się urokiem.

Za moimi plecami odzywa się męski głos, zwraca się do sędziego. Głos pyta, czy świadek — to ja — podtrzymuje swoje wypowiedzi na temat Hugo Hügela, zapisane na stronach od tej i tej do tej i tej. Przerwa. Sędzia mógłby odszukać to miejsce, żeby sprawdzić, o co chodzi, mógłby udać, że nie dosłyszał pytania albo je oddalić. Tymczasem rozkazuje:

— Odpowiedz!

Pytam:

— Ale o czym mówimy?

— Twierdzi pan tam, że Hugo Hügel jest obywatelem, z którego republika ludowa może być dumna, że jest autorem o zdecydowanie socjalistycznym profilu, ideologicznie na linii partii w słowach i na piśmie. Postępowy! Oddany państwu! Czy pan to podtrzymuje?

Ołowiane spojrzenie sędziego nie zmienia się ani odrobinę, kiedy zwraca się do mnie:

— Odpowiedz!

Czy powiem tak, czy powiem nie — będzie niedobrze.

To światło, podobne do płomienia, wpadające przez wysokie okna, może zupełnie pozbawić rozumu. Zamykam oczy. Co się dzieje z moim bratem Kurtem Feliksem?

— Odpowiedz! — rozkazuje sędzia, którego oczy nie muszą się niczego trzymać, bo wszystko im wolno. Taka jest śmierć!

— Oczywiście — mówię — odpowiem. — I ciągnę: — Tak, podtrzymuję to, co powiedziałem dotychczas, oraz to, co znałem do protokołu w śledztwie.

Teraz rzuca się na mnie obrońca. Czyni to z triumfem w głosie, bo udało mu się złapać przeciwnika w pułapkę. Pyta:

— Jak pan wytłumaczy tę rażącą sprzeczność między obydwoma stwierdzeniami? W swoich wypowiedziach przed sądem przedstawia pan Hugo Hügela jako wroga ludu, a w cytowanym przed chwilą protokole jako człowieka wiernego ustrojowi?

Major sędzia mógłby przerwać tę dyskusję, oddalając pytanie obrony. Ale on mówi:

— *Räspunde!* Odpowiedz!

— *Simplu* — mówię. — *Printeoria marxist-leninistă despre omul nou.* Nowy człowiek jest produktem przemian społecznych, które wpływają także na jego światopogląd. Dlatego jedna z moich opinii odnosi się do Hugo Hügela z lat wcześniejszych, kiedy to skutek hitlerowskiego wychowania był elementem wstecznym. A stwierdzenie, że jest oddanym obywatelem kraju, dotyczy ostatniego okresu, gdy był redaktorem organu partii w Stalinstadt, „Gazety Narodowej”. Tam Hugo Hügel stał się nowym człowiekiem, takim, jakiego partia potrzebuje. Można to wyczytać z jego artykułów, które zawsze odpowiadały linii partii.

Major machnięciem ręki każe mi przestać. Czy obrona ma jeszcze pytania? Nie ma. Ani jedno słowo z mojej wypowiedzi nie zostaje zapisane w protokole sądowym.

W sprawie Herwalda Schönmunnda, pastora w Eisenstadt, major chce słyszeć moją opinię: czy mogę sobie wyobrazić, że ten, ten — nazwiska nie udaje mu się dobrze wypowiedzieć — mógłby kiedykolwiek pisać wiersze *pe linie de partid?* Tego nie mogę sobie wyobrazić. Byłoby szkoda, myśli coś we mnie. I mówię:

— *Nu.*

Gdy przy bocznym stoliku bez czytania podpisuję protokół, słyszę jeszcze pierwsze słowa literackiej ekspertyzy, lecz natychmiast sędzia kiwnięciem ręki wyprasza mnie z sali i wpadam prosto w ramiona strażnika. „Komisja ekspertów

potwierdza w całej rozciągłości zeznania świadków...”. Opuszczam sąd z dwiema informacjami: że byłem ostatnim świadkiem. I nie jedynym. Czy przekonałem ich do prawdy, braci i narzeczone, oskarżycieli i obrońców, a przede wszystkim tamtych pięciu?

W mojej celi w Securitate dopada mnie rozpaczliwa żałość. Nie wydając żadnego dźwięku, zawisam pochylony nad stolikiem, z twarzą ukrytą w dłoniach. Wszechobecny strażnik zauważa to, wlewa mi do gardła całą butelkę syropu bromowego. Opanowuje mnie tępe zmęczenie, wypełnione przez zjawiska i postacie. Siedzę na łóżku, nad sobą widzę ciężkie i ołowiane kinowe spojrzenie tamtego człowieka.

Każdy z tamtych pięciu zrobił dla mnie coś dobrego. Getz Schräg pożyczył mi pieniądze na czynsz za moją studencką kwaterę, ciągle jestem mu dłużny.

Oinz Erler czytał mi wiersze Bergenguena, w których ręka Boga prostuje gwiazdy. Pouczał mnie, że każdy pisarz powinien stworzyć jedno dzieło, po którym rozpoznawałby go cały świat. „Nawet jeżeli taśmowo pisze książki. Na przykład u Thomasa Manna to będzie...”. „*Buddenbrookowie*” — wykrzyknąłem. „A Knut Hamsun?”. Oprócz *Głodu* i *Pana* nie znałem innych rzeczy. Oinz Erler odpowiedział: „*Misteria! Nie Błogosławieństwo ziemi. Misteria.* Koniecznie musi pan przeczytać”. Tylko dobro.

Hugo Hügel pożyczył mi swój rower, żebym z Sandgasse mógł zdążyć na dworzec, trzy kilometry. Zdziwiony zapytałem: „Co mam z nim zrobić na dworcu?”. „Postaw na peronie. Jakoś znajdzie drogę z powrotem. A jak nie, to niech przepadnie”. Ale mimo to wsiałem do złego pociągu.

A baron von Pottenhof — wzdycham, ale łzy nie chcą płynąć. On mnie kochał.

Porusza mnie do głębi, że jest tu Herwald Schönmund i że będzie jeszcze przez pięć lat. Wprawił mnie kiedyś w wielkie

zakłopotanie — byłem wtedy studentem teologii pierwszego semestru — kiedy powiedział, że dziesięć razy miłszy jest mu wykształcony Murzyn z Afryki niż ograniczony siedmiogrodzki Sas. Prosił mnie, bym zaprzestał lektury niemieckiej poezji „pisanej głosem krwi plemion i krain. A jeśli już Niemcy, to na przykład Leonhard Frank! Wielcy Żydzi, jedyni pisarze niemieccy, których czytano za granicą w latach trzydziestych. Tylko literatura światowa nie psuje oczu i kształci ducha”. Dawał mi do rąk Dostojewskiego, Flauberta i Hemingwaya. I Stefana Zweiga.

To wszystko jest zbyt bliskie. Dokąd mogę uciec? Tylko milczący żołnierz zagląda do środka. Nawet myszy mnie opuściły.

Inne zamazane obrazy. Od marca do maja 1953 roku przebywałem w klinice psychiatrycznej przy Ogrodzie Botanicznym. Widzę Annemarie, jak wbiega na górę do szpitala, w pośpiechu między dwoma wykładami, z torbą pełną słodyczy. Insulina pochłaniała tyle cukru z mojej krwi, że zastrzyki glukozy prawie nie były w stanie go uzupełnić. Wydawała na słodycze całe swoje kieszonkowe. Widzę, jak przechadza się ze mną popołudniami po Ogrodzie Botanicznym, w japońskim pawilonie herbacianym wysłuchuje rozważań o śmierci, nie przerywając mi ani razu. Jak z anielską cierpliwością usiłuje rozweselić mą zgnębiającą duszę, wymyślając zabawne historyjki. Na wieży widokowej, wśród krążących wron, czytała mi historie o zwierzętach Kybera. Między krzakami róż szepotała mi do ucha baśnie z tysiąca i jednej nocy. A pod drzewem pistacjowym Abrahama opowiadała mi izraelskie bajki dla dzieci, w których wszystko nie tylko dobrze się kończyło, ale od początku było dobre. „Odpowiednie ze względów pedagogicznych. Straszne bajki są w tamtym kraju zakazane. Dla Żydów groza nadal wisi w powietrzu”.

Ze zmysłowym oddaniem próbowała rozbudzić moje przytępione uczucia. Pod gałęziami magnolii, zwieszającymi się pod ciężarem kwiatów aż do samej ziemi, leżeliśmy na jej amerykańskim płaszczu przeciwdeszczowym. Zdejmowała ubranie i odsłaniała najpiękniejszy pępek świata. Potem rozbierała mnie. Drżałem z zimna. Otulała mnie swoim rozgrzanym ciałem, kierowała moją drewnianą dłoń do swoich wypukłości i zakamarków. Jakież zabawy miłosne wymyślała, żeby mnie ożywić! Taka to była wiosna.

Ale ostrzegła, kiedy moja dusza zaczęła zapadać się w głąb: „Pójdę za tobą wszędzie, tylko nie w przepaść”. I poszła aż nad skraj, wychyliła się głęboko, zrobiła wszystko, by mnie zatrzymać.

W tamtym kwitnącym ogrodzie przechadzał się milicjant ze swą ukochaną. Podniósł opadającą na nas zasłonę z kwiatów i zapytał oczami, jak sędzia dzisiaj: „*Faceți dragoste?*”. „*Nu* — odpowiedziała Annemarie i podciągnęła nogi, a piersi zasłoniła ramionami. Do mnie powiedziała — Odwróć się. Połóż się na plecach”.

„*Nu? Păcat?* To grzech, przecież jest maj. Kochajcie się!” I z szelestem znowu opuścił na nas ukwiecone gałęzie. Dużo się kochaliśmy w maju. I pamiętam jeszcze, co wtedy myślałem: nie czuję nic, nawet tego, że nic nie czuję.

Pewnego wieczora chwiejnie wchodzi do celi mnich Atanasie, jak zjawa. Jego habit rzuca na ścianę bezkształtne cienie, włosy i broda sięgają aż do pasa. Zaszywa się na łóżku z tyłu za stolikiem. Jak to możliwe, że jeszcze żyje, pytam go bezlitośnie. On sam także zdaje się zdziwiony: od dawna powinien być u Boga. Minął już ponad rok od czasu, kiedy nauczył mnie, jak bez wysiłku prać bieliznę w czasie kąpieli.

Teraz zgaszony leży na sienniku. Gdy dopadają go skurcze żołądka, rzuca się z jękiem na wszystkie strony. Obraz nędzy

i rozpaczy. Mimo to zaczynam szydzić i kpić z niego, jak wtedy.

— Nie umiesz godnie cierpieć, ty, osoba duchowna, która chce trafić do nieba? — Ale tym razem nie broni się ze złością, tylko jękliwym głosem prosi o wodę. Garnuszek wypada mu z dłoni o wychudzonych pajęczych palcach. Niechętnie wlewam mu płyn do ust.

— Pali mnie!

Więc niech go orzeźwi anioł boży. Lekarz, major o szpakowatych włosach, przez chwilę uciska mu habit na brzuchu.

— Znamy to! — I do strażnika: — *Revine*. Wyjdzie z tego. Niech na razie trochę poleży.

Następnego dnia zauważam, że jest z nim coraz gorzej. Coraz częściej ma ataki bólu. Na białkach oczu pojawiają się plamy. Ręce niespokojnie biegają po kocu. Ale nie mogę sobie pozwolić na litość. Tu chodzi o jego życie, nie o moje. Pytam go, czy ma kogoś, komu chciałby coś przekazać, na potem. Na jego wargi wypływa uśmiech.

— Jakaś bliska mi istota, na zewnątrz? — I szepcze imię, muszę przyłożyć ucho do jego ust, zionących przykrym zapachem. — Powiedz mu, że czekam na niego, w niebie.

Od tej chwili nie odstępuję mnicha ani na chwilę. Wycieram mu pot z twarzy. Podaję wodę, którą zlizuje z moich palców. Składam mu ręce do modlitwy. Rozcieram jego stopy, których paznokcie zamieniły się w czarne szpony. I kiedy sadzam go na kiblu albo zmoczonym skrawkiem habitu przemywam jego członki, czuję koniuszkami palców papierowe, chude jak patyk ciało, które coraz bardziej upodabnia się do szkieletu. Prosi mnie:

— Nie mów nikomu, że ze mną już niedługo koniec. Pomóż mi się uwolnić.

Pomagam. Strażnikowi zgłaszam: Wszystko w porządku! Jedzenie mnicha rozdzielam pomiędzy myszy, chory zwraca

już pierwsze kęsy, cuchnące kawałki z krwawymi skrzepami. Resztę oddają przez kłapę:

— *Nu poate mai mult*, więcej nie mogę. — Mnich pyta, czemu sam nie jem. Coś mnie powstrzymuje, choć tak bardzo jestem głodny.

Następnego wieczoru strażnik przysuwa twarz do otworu w drzwiach — to Cygan, który przyprowadził nam do celi na kurację jelenia — i syczy mi do ucha:

— Muszę dziś w nocy odpocząć — przewraca przy tym ze strachu mysimi oczkami na prawo i lewo. — Trzeba było zabić naszą świnię, co miała być na święta, była chora. Zajmij się tym drugim! — I znika, nasz Mysie Oczka.

Nic nie wskazuje, że to już, kiedy się zaczyna: normalne konwulsje, które wkrótce mijają. Mnich szepcze, że w jego wnętrzości wbijają się rozżarzone noże. Potem ustają słowa, ale nie jęki. Zwilżam wodą jego rozgorączkowane wargi. Już nie ma siły, by zlizywać krople koniuszkiem języka. Wyparowują. Często wydaje z siebie dźwięki, jakby ktoś ścisnął go za gardło. Czy to się nazywa rżenie? Chcę złożyć mu ręce do modlitwy, ale wyrывa mi je. Upiory zabawiają się z nim, wichrzą mu brodę, szarpią za nos, dręczą, aż habit na jego ciele trzepocze. A może to resztką jego sił życiowych rozpaczliwie broni się przed... przed czym? Potem mnich leży jak martwy. Mija noc, a wraz z nią jego czas.

Nie ma już siły, by jęczeć. Ale jeszcze czuję jego oddech. Tylko wykrzywione usta rysują odgłosy bólu — a może to są słowa? Z jego oczu falami wylewa się przerażenie, rzuca się na mnie. Teraz pobiegiesz do drzwi, będziesz krzyczał, alarmował! Przypominam sobie, że trzeba oszczędzać strażnika, jest zmęczony po świniobiciu. Nie krzyczę. Nie wszczynam alarmu.

Czy to jest śmierć? Przecież on chciał umrzeć. Uwolnić się, odejść, zasnąć, pójść do nieba. A zdycha tak nędznie. Nasuwa

się tyle słów — wszystkie kłamią. Wargi mnicha formułują dźwięki. Przystawiam ucho do jego odrażających ust. Szepcze: — Ewangelia świętego Jana, *Ioan* 14,6. — Dziwne: przy każdym ataku coś mi zostawia. Siedzę w nogach łóżka i obejmuję jego zimne stopy. To tędy zakrada się śmierć. Czuję to i przechodzi mnie dreszcz. Z ust wydobywają mi się dziecięce modlitwy: jestem mały, mam czyste serduszko, zmęczony, idę na spoczynek.

Co to za wzory, które rysuje rękami w powietrzu, gdy jego ciało pręży się wyczerpane, a oczy wywracają się pod żółtymi powiekami? Teraz porusza tylko prawą ręką: nieświadome gesty, odruchy Pawłowa, nerwowe drgania jak podczas eksperymentów z żabami. A może to ostateczne dyspozycje dla świata, zaszyfrowane wiadomości, gdy dusza ulatuje z ciała?

Ręka jeszcze wymachuje w powietrzu. Wkrótce traci siły, opada, zwisa z krawędzi żelaznego łóżka i kołysze się, poruszana tylko siłą grawitacji. Nagle mnich otwiera oczy. Powietrze uchodzi z niego jak z kowalskiego miecha.

Tak wygląda śmierć. W jednej chwili robi się cicho.

Przykrywam jego stopy. Zamykam mu oczy, znam to z powieści. Jego twarz składa się tylko z nosa. Co teraz? Otworzyć okno, żeby dusza mogła ulecieć w eter, zasłonić lustro, żeby nie zbłądziła? Okienko u góry jest otwarte. Lustra nie ma, każdy wie tylko, jak wygląda jego towarzysz. Ojczcie nasz!

Nie chcę odmawiać przy nim modlitwy po niemiecku. Niemcy nie mają duszy, mówił za życia. „*Om să fi, nu neamf*”. Bądź człowiekiem, a nie Niemcem, powtarzał. Rumuńskiego *Tătal nostru* nie umiem. Ale nasza nauczycielka francuskiego, rudowłosa, uwielbiana przez nas Adriana Roșala, kazała nam nauczyć się tej modlitwy po francusku, przed rokiem 1948, w Liceu Radu Negru Vodă. Niech ją Bóg błogosławi! *Notre père, qui est aux cieux, que votre nom soit sanctifié... Ainsi soit-il*. Tak powinno być.

Wsuwam się pod koc, ręce na wierzchu, oczy zwrócone do góry. I jestem szczęśliwy. Tak powinno być.

Ioan 14,6, jego ostatnie słowa do mnie, słowa Jezusa do jego uczniów, brzmią tak: „Ja jestem drogą i prawdą, i życiem. Nikt nie przychodzi do Ojca inaczej jak tylko przeze Mnie”.

Prośba mnicha brzmiała: „Balaam, mój osiołek. Powiedz mu, że czekam na niego w niebie...”.

Jesteśmy budzeni o piątej. Jeszcze nic nie mówię. Dopiero po kilku minutach bębnię w drzwi. — *Ce este?* — pyta strażnik z oczami zaklejonymi snem. Bez słowa pokazuję łóżko w głębi. Tamten próbuje obudzić leżącego, potrząsa nim, widok śmierci przeszywa go jak zardzewiały rzeźnicki nóż. Z krzykiem wybiega z celi, wymachując rękami, w domowych kapciach na nogach. Drzwi zostają otwarte. Nie mogę ich domknąć, są całkowicie gładkie od środka. Siedzę więc w bieliźnie na skraju łóżka, przygotowany na *la program*.

W mgnieniu oka śmiertelna cela zapełnia się oficerami. Za późno. Lekarz potwierdza to, co wszyscy już wiedzą:

— *Este mort*.

Szef aresztu nerwowo przygryza wąsy, staje na palcach, nadyma się zarozumiale. Potrzebuje kozła ofiarnego. Ruga mnie, dlaczego temu nie zapobiegłem.

— Spałem.

— Tacy są ci Niemcy. Tu umiera chrześcijanin, a oni śpią. — Jako zagorzały komunista nie powinien powtarzać tego dwa razy. Krzyczy: — Do karceru z tym Sasem!

Major Alexandrescu, który zjawia się ostatni, mówi tylko:

— Weźcie go stąd. Zabrać go.

Każdy wie, że nie chodzi o mnie. Dobroduszny strażnik o mysich oczach już się nie pokazuje. Nikt nie prowadzi mnie na *la program*. Koło południa przychodzi dwóch żołnierzy w białych fartuchach, muszę opuścić spodnie, a oni spryskują mnie proszkiem naftalinowym.

Miesiąc później, w połowie października, podporucznik Scaiete mówi do mnie:

— Musimy zakończyć sprawę z panem.

Nigdy przedtem nie było o tym mowy. Nie potrafię sobie wyobrazić, jak to będzie wyglądało, koniec. Podsuwa mi akt oskarżenia. Niezgłoszenie przestępstwa: *omnisiunea denunțării*. Mam zostać skazany za to, że nie doniosłem. Z pewnością można mi tu przypisać wiele zaniedbań. Pełen lęku omijałem warownię Securitate szerokim łukiem. Ale to, co teraz wymyślili, jest groteskowe. Czego nie zgłosiłem? *Infracțiunea de trădare de patrie*, chodzi o grupę Töpfnera. Nie mogę się powstrzymać i mówię:

— Oni i zdrada stanu? Nie mam pojęcia, kiedy mieliby zdradzić ojczyznę. Jeżeli już niezgłoszenie, to lepiej wsadźcie mnie do tych pięciu pisarzy.

— Na pewno coś pan wymyśli. Niech pan podpisze!

Przewidziana kara: od trzech do dziesięciu lat.

Potem dowiaduję się, że Hugo Hügel złożył wniosek o uznanie mnie za niepoczytalnego z powodu moich wypowiedzi przed sądem. Wkrótce mam zostać przebadany przez doktora Scheditana. A więc kapitan Gavrioliu nie zrealizował swojej groźby aresztowania lekarza. Czyli jest jeszcze na wolności, sprawuje swój urząd i godność.

Badanie, które odbywa się kilka dni później w obecności mojego komisarza i jego pomocnika Scaiete, jest krótkie i bezbolesne, werdykt zapada z marszu: „Kto wytrzymał dwadzieścia miesięcy więzienia i nie zwariował, jest normalny”.

Termin rozprawy jest dwa razy przesuwany. Wreszcie 14 listopada 1959 roku zawożą mnie do budynku sądu. Tym razem mam nie tylko zawiązane oczy, ale i skute ręce. Anonimowe

jęki w furgonetce dają się znieść. Żadnych kobiecych szlochów. Na korytarzach wypatruję rozpaczliwie mojej rodziny. Nikogo. Dwaj uzbrojeni strażnicy wpychają mnie do sali. Sędzia wyganiania nas z powrotem. Przy drzwiach potykam się o człowieka, którego wykrzywiona twarz wydaje mi się groźnie znajoma. Żołnierz prowadzi go w kierunku ławy oskarżonych. Następne spojrzenie wszystko wyjaśnia: to Antál Simon, mąż naszej Irenke, postrach wszystkich wrogów klasowych w Fogaraszu. Z dokładnością co do miesiąca minęło jedenaście lat od tamtej burzliwej nocy, kiedy wyrzucił nas z domu, a teraz przyszła też kolej na niego.

Wpychają mnie do pozbawionej okien komórki w korytarzu. Otwieram oczy, zaczynam przyzwyczajać się do ciemności i oto kogo widzę? Kto podobny do cienia w więziennym ubraniu siedzi naprzeciwko mnie, przykuty do strażnika? Hans Fritz Malmkroger. To jemu polecałem *Upadek Zachodu*. A obok Peter Töpfner, jego szorstki sposób bycia budził w nas lęk, choć niektórzy cenili go za błyskotliwe odzywki. Mieszkał w Skei, przez płot z Annemarie Schönmund.

Mam przed sądem wypowiedzieć się o nieznanym mi wyrotowych poczynaniach tego przestępcy i jego pomocników. Z takimi ludźmi nie chcę mieć nic wspólnego. Już te kilka linijek, które z tajnego dziennika Töpfnera dał mi do przeczytania major Blau, zjeżyły mi włosy na głowie. Bez mojej wiedzy figurowałem w ich gabinecie cieni jako naczelny ideolog, minister propagandy. Czego ode mnie chcą? Dzielą nas światy i światopoglądy. Odwracam się do nich plecami, mogę to zrobić, bo siedzę samodzielnie i nie jestem z nikim skuty jak oni. Już wystarczająco dręczono mnie z ich powodu.

Oni tymczasem szepczą mi, zasłaniając dłonią usta, przerażające wiadomości. Zasądzono niezwykle wysokie kary. Przy Seifercie-Basarabeanie nastawiam uszu: dożywocie. No tak, bardzo często bywał u Töpfnera. Ale dlaczego dożywocie do-

stał pastor Möckel, pokorny i uczony duchowny, zawsze nieco oderwany od spraw ziemskich, z głową w chmurach? Nie mam siły, żeby się dziwić.

Kilka minut później siedzę na ławie oskarżonych, jeszcze wilgotnej od trzęsącego się tyłka Antála Simona, i wyraźnie znudzonemu majorowi i apatycznym ławnikom, także w mundurach, muszę wyznać swoją winę. Co wiedziałem o zdradzieckich planach i zamiarach grupy Wielcy Sasi, kierowanej z zagranicy przez zachodnioniemieckiego agenta i szpiega Enzia Putera? Co wiedziałem i czemu nie zgłosiłem tego właściwym organom państwowym?

Nie wiem, co mam powiedzieć poza tym, że nigdy wcześniej nie słyszałem określenia Wielcy Sasi. Uciekam się do ogólników, które mogłyby się odnosić do każdej grupy saskiej młodzieży. Podczas spotkań w lekkomyślny sposób sięgano do nacjonalistycznej ideologii oraz do reakcyjnych wspomnień z dawnych czasów... Zaczynam się: gdyby sędzia zapytał, kto konkretnie należał do grupy spiskowców Töpfnera, nie wiedziałbym, co powiedzieć. Ale sędzia usłyszał wystarczająco dużo, by wyrobić sobie zdanie o mojej winie. Woła:

— Świadkowie oskarżenia.

Töpfner i Malmkroger, niegdysiejsi przyjaciele, zostają wprowadzeni do sali. Nawet strażnicy okazują litość tym wynędzniałym postaciom. Jeden z żołnierzy trzyma ramiona rozpostarte w gotowości, jakby w każdej chwili musiał ratować któregoś z nich przed upadkiem. Drugi powstrzymuje się przed rytualnym *repede, repede*. Z taką samą cierpliwością zachowuje się główny sędzia. Nie pogania, pozwala im na własne tempo.

Teraz, w świetle dziennym, z przerażeniem patrzę na nich; wloką się, z trudem trzymając się na nogach. Ogolony na łyso, wychudzony jak szkielet Töpfner składa się tylko z wielkiego haczykowatego nosa, przypomina mnicha Atanasie po

śmierci. Malmkroger pełźnie przed siebie, nie do końca obecny duchem, oczy mą sklejone snem. Töpfner idzie pierwszy; ostrożnie stawia stopy jedną przed drugą, jakby chciał się przedostać przez pole minowe. Malmkroger patrzy w dół, zdaje się szukać tropów w lesie. Obaj wolną dłonią przytrzymują pasiaste spodnie, by nie opadły z wycieńczonego ciała.

Przy spisywaniu ich personaliów dowiaduję się, że obaj zostali skazani na dożywotnie ciężkie roboty. Każdy widzi, że po niecałych dwóch latach są już wykończeni. Zanim zeznają do protokołu rzeczy, które mają mnie obciążyć, Töpfner prosi bezbarwnym głosem, żeby przewodniczący sądu się za nimi wstawił; on sam cierpi na otwartą gruźlicę nerek, przy oddawaniu moczu wypływa z niego ropa i krew, jego ręka usycha — odwija rękaw i wszyscy widzimy, że jest cienka jak patyk. Potem pokazuje na swego towarzysza:

— I widzi pan, panie majorze, mój towarzysz Malmkroger jest na najlepszej drodze do całkowitej utraty wzroku z niedożywienia.

Sędzia pozwala mu się wygadać. Nie zamierza się zajmować jego skargami, to sprawa lekarza więziennego. Basta!

— Co wiedział oskarżony o waszej kontrrewolucyjnej i antypaństwowej działalności?

— Nic — mówi Töpfner. — Choćby dlatego nic nie wiedział, że nigdy nie zajmowaliśmy się działalnością antypaństwową. Nie wspominając o tym, że nigdy nie był obecny przy naszych rozmowach. A my zastanawialiśmy się tylko nad losem naszego saskiego narodu. Nie jest to niezgodne z prawem...

Sędzia przerywa mu w pół słowa: to nie należy do sprawy. Przewinienia zostały określone przez sąd.

— *Totul este la dosar.*

— On nic nie wiedział — mówi Töpfner i opiera się o barierkę dla świadków. Poza tym uważa, że jestem młodym pisa-

rzem o postępowej orientacji, do tego obdarzonym talentem, dlatego jest zdziwiony, że się tu znalazłem.

Malmkroger twierdzi, że jest prawie ślepy i nie widzi, kto siedzi na ławie oskarżonych. Patrzy w niewłaściwą stronę. Poza tym jest tak osłabiony z głodu, że nic sobie nie przypomina.

W ten sposób moja wina zostaje udowodniona i ustalona. Obaj więźniowie wychodzą z sali, szurając nogami, w myślach oderwani od świata jak żałobnicy po pogrzebie.

— *Procurorul!* — Głos ma prokurator. Choć jeszcze głosu nie zabiera, bo mężczyzna w tyle sali, obrońca, wnioskuje o przerwanie rozprawy, żeby mógł porozmawiać ze swoim klientem. Sędzia udziela mu dwóch minut na rozmowę. Narada trwa mniej niż minutę. Adwokat podchodzi do mnie z tyłu, staje obok strażnika i pyta, co może wykorzystać przy mojej obronie. Odpowiadam:

— Miał pan dwa lata, *domnule doctor*, żeby pozbierać materiały.

W ten sposób wszystko staje się jasne.

Domnul doctor wykazuje się dużym sprytem. Z sytuacji wynika, że mógłby wnieść o uniewinnienie. Ale skoro minęły już dwa lata, odwołuje się do okoliczności łagodzących. Cierpię — tu przedkłada moje akta — na psychastenię i kilkakrotnie byłem leczony w klinice psychiatrycznej, a nawet stamtąd zostałem zabrany do aresztu; jedyną moją winą jest tylko niezgłoszenie wykroczeń innych osób — co w saskich kręgach jest normalne i wynika z oczywistych błędów wychowawczych: nikogo nie oskarżać, nie donosić, nie zdradzać; zeznałem prawdę *în procesul autorilor germani* jako świadek oskarżenia, a przede wszystkim jestem młodym pisarzem, wyszkolonym w marksizmie-leninizmie, który zdobył już pewną sławę — *circumstanțe atenuante*, a więc są to okoliczności łagodzące. Co powiedziałwszy, wychodzi.

Po prawej stronie podnosi się prokurator w mundurze z czerwonymi naramiennikami jak u strażaka. Ma udręczony wyraz twarzy, ale nie taki, jakby go bolały zęby. Raczej jak człowiek, który właśnie uczy się czytać i musi to czynić publicznie. Z naganą w głosie stwierdza, patrząc przy tym na sędziego, że gdybym w odpowiednim czasie konsekwentnie opowiedział się za sprawą socjalizmu, te dwa nieszczęsne lata, *doi ani discomfort*, mogłyby mi zostać oszczędzone. Wnosi nie jak zwykle o karę śmierci, ale w moim przypadku prosi wysoki sąd o najniższy wymiar kary, żebym już wkrótce mógł się stać podporą socjalistycznego społeczeństwa. Kończy i zamyka swoje akta.

Sędzia udziela mi ostatniego słowa:

— *Scurt, scurt!*

To będzie długie ostatnie słowo, niemal z rozpaczą przemawiam do drewnianych twarzy:

— Jeżeli konsekwentnie zastosujemy wzorce walki klasowej do społeczeństwa saskiego, struktury mieszczańsko-chłopskiej bez proletariatu z ukształtowaną świadomością klasową, to należałoby nas doszczętnie wytępić. — Powtarzam to, co podczas pierwszych tygodni objaśniałem majorowi w zamiszowych rękawiczkach, a potem dyktowałem panience przy maszynie do pisania. I kończę: — Młodzieży, która wzrastała w środowisku przesyconym reakcyjną ideologią, do tego zainfekowanym doktryną nazistowską, która doświadczyła wojny, wywózek, wypędzeń i prześladowań, należy okazać cierpliwość. Dlatego dajcie im nadzieję. I wybaczcie.

Sędzia, który nie przerywał mi przez cały czas, mówi do pustej sali:

— Wyrok zostanie ogłoszony później.

Nie wiedziałem, że ma na myśli trzy tygodnie.

W celi pojawia się nowy. Patrzymy na siebie badawczo. Półprzymkniętymi oczami spogląda na moje usta, jakby odczytywał słowa z ruchu warg. Po wzajemnej prezentacji mówi po niemiecku: — Ze mnie nie ma dużo pociechy. — Nazywa się Gustav Küster. Nabieram podejrzeń. Dlaczego akurat teraz dokładają mi do celi kogoś, kto wcale nie jest obcy? Pochodzi z Kronstadt, zna rodzinę wujka Fritza Dworaka. Czyżby krąg się zamykał? Najpierw Rosmarin, teraz Küster? Po dwóch latach przesłuchań trudno dowiedzieć się o mnie czegoś godnego uwagi.

Mój nowy towarzysz ma za sobą dwanaście lat więzienia, jest to wypisane na jego twarzy. Nie wierzę, żeby był w stanie odsiedzieć jeszcze kolejnych trzynaście, wygląda na bardzo wyniszczonego. W sumie dwadzieścia pięć lat: to mogłoby być szpiegostwo. Dopiero po kilku dniach, kiedy zdążyłem zaobserwować, jak oszczędnie się porusza i unika wszelkiego wysiłku, z otwieraniem ust i podnoszeniem powiek włącznie, jestem skłonny uwierzyć, że wytrzyma tę niesłychanie długą resztę czasu. Próbuję liczyć: od 1947 w kiciu. Jeżeli to szpiegostwo, to dla Rzeszy. A może już dla Amerykanów? Pytań się tutaj nie stawia.

Szesnastoletni Andrei Popa z Hermannstadt, który od kilku dni dzieli ze mną celę, jest wyraźnie przestraszony. Jeszcze nigdy nie widział prawdziwego więźnia: pasiaste ubranie zwisające luźno na grzbiecie, twarz w kolorze popiołu, ogolona głowa, żółte dłonie ze szponami zamiast paznokci. Andrei siedzi na pokrywie kibla, spodziewa się, że będziemy kontynuować zabawę w przesłuchanie. Ja udaję sędziego śledczego, on jest oskarżonym. Po niezliczonych miesiącach w areszcie śledczym znam już kruczki i sztuczki, za pomocą których każdemu człowiekowi można udowodnić przestępstwa przeciwko państwu. Matka Andreia, Mathilde Josepha z domu Weidenbacher, nie

nauczyła go swojego języka. Nadrabiamy więc te zaniedbania. Mówię na niego Andreas, a on mnie słucha.

Licealista Andrei Popa razem z kilkoma kolegami z Liceu Gheorghe Lazar miał pomysł, żeby po cichu dać nogę — nie mieli ochoty dłużej się uczyć! Z tym że nie chodziło tu o ucieczkę na Zachód przez zieloną granicę, ale na budowę elektrowni wodnej Bicaz w Karpatach Wschodnich. Żeby tam się na coś przydać. Niestety, jak stwierdzam zaskoczony: łatwiej jest być komunistą w Paryżu niż tutaj, w kraju, przekonać kogoś o swoich patriotycznych zamiarach. Kiedy Securitate schwytała chłopców, nie uwierzono im w ani jedno słowo, poza tym, że grupa uciekinierów nadała sobie konspiracyjną nazwę: Submarinul Dox. To nazwa łodzi podwodnej w pewnej nieskończonej długiej amerykańskiej powieści przygodowej. W latach trzydziestych została przetłumaczona na rumuński i sprzedawano ją w postaci cienkich zeszytów. Teraz można ją było dostać potajemnie, bo została zakazana.

Za ciągnące się godzinami próby przesłuchania Andrei odpłaca mi się nauką chwytów jujitsu, szeptem uczy mnie też pieśni rumuńskich.

Nasz gość Gustav wzbrania się udzielać jakichkolwiek informacji na górze, zanim nie obetną mu szponów u rąk i nóg i nie udrożnią kanałów słuchowych, zatkanych woszczyną. Wprawdzie rozumie wszystko, bo czyta z ruchu warg, ale chciałby słyszeć na własne uszy, o co jest pytany, chciałby też na własne uszy słyszeć własne odpowiedzi. Został wezwany w celu wyjaśnienia pewnych dawnych spraw.

Wygląda na to, że wie dużo rzeczy, o których chętnie posłuchają tam na górze. Więc przez tydzień wkraplają mu do uszu gorący olej. A potem jest gotów. Kiedy felczer go odsyła, jego uszy zdają się wyleczone. Kuli się w sobie, gdy ktoś ziewa. Na dźwięk naszych szepcików zasłania sobie uszy. A kiedy ktoś pierdnie, przerażony kładzie palec na usta. Trwające całymi

dniami stukanie i walenie młotkiem, skrobanie i grzechot pod naszym oknem są dla niego męczarnią; w nas budzą ciekawość.

Tyle mi zdradza: zdecydował się mówić po tym, jak w lecie zeszłego roku podczas widzenia w więzieniu w Aiud po raz pierwszy po dziesięciu latach spotkał się z żoną i dwiema córkami. Musiał zapytać: „Która z was jest Adelheid, a która Veronika?”. Spogląda na mnie, podnosząc jedną powiekę:

— Uważaj, młody człowieku: najbliżsi tutaj w środku będą najbliższymi także na zewnątrz!

Pewnego popołudnia wszyscy trzej zostajemy wyprowadzeni gęsiego z naszego piętra. Jest grudzień. Spoza okularów próbujemy wywęszyć, dokąd idziemy, schody w dół ciągną się bez końca. Już raz przeżyłem coś podobnego: zaprowadzono nas na prześwietlenie w autobusie stojącym na dziedzińcu tuż przy drzwiach wyjściowych. Dziwi mnie, że tym razem musimy zabrać okrycia wierzchnie. Nagle owiewa nas chłodne powietrze, żołnierz rozkazuje: — Zdjąć okulary! — Stoimy w czworoboku z wysokich murów, który od góry nakryty jest drucianą siatką jak podwórko kurnika. Nad nią szare lodowate niebo. Poza tym nic. Słyszymy: — Ruszajcie się! — Żelazne drzwi zostają zamknięte. Zaczynam galopować, co łatwo mi przychodzi, bo codziennie się gimnastykuję. Ale nagle czuję, że wzdłuż mojej prawej nogi płynie coś ciepłego. Pęcherz opróżnia się, zanim zdążył się napełnić. Wbrew Stalinowi i jego czwartej zasadzie dialektyki o nagromadzeniu ilościowym i skoku jakościowym, kiedy miara się wypełni. Gustav Küster reaguje jeszcze gorzej. Robi kilka kroków, zatacza się w lewo, potem w prawo. Na policzki występują mu czerwone plamy. Zaczyna się chwiać. Podbiegamy do niego. Za późno. Przewraca się. Jedyne Andreas Popa kończy spacer w pozycji wyprostowanej. Nie wyprowadzają nas więcej na powietrze.

Za trzy tygodnie będę wolny. Wolny? Nie, pójdę do domu. Do domu? Nie, zostanę wypuszczony. Przedwczoraj, 7 grudnia, dwadzieścia cztery dni po moim procesie, poznałem wyrok: dwa lata więzienia za niezgłoszenie o zdradzie stanu — zdrada stanu chyba z powodu Enzia Putera, zachodniego agenta. Okoliczności łagodzące — przypuszczalnie fakt, że zostałem zabrany z kliniki psychiatrycznej. Utrata praw obywatelskich na rok — to boli. Przepadek całego majątku osobistego — co student może w ogóle posiadać: rower „Mifa”, zegarek „Moskwa”, radio „Pionier”, zakupione z honorariów za korespondencje do prasy, czarny garnitur z wełny czesankowej od ojca, wieczne pióro Parkera ze złotą skuwką od wujka Fritza, moje książki. Areszt śledczy zostaje zaliczony na poczet kary — niemal się z nią pokrywa. Trzysta lei kosztów sądowych — cena trzech stron mojego opowiadania *Czysty kruszec* lub *Oddech* albo miesięczna pensja matki. Prawo do odwołania? Nie!

Niemal uniżenie szef aresztu podaje mi pióro, tym razem nie unosi się tanecznie na czubkach butów. Oficer i ja stoimy spokojnie przy ściennym stoliku w celi. Drzwi są szeroko otwarte. Przyjmuję wyrok. Bez odwołania.

Do Gustava Küstera mówię:

— W czerwcu skończę studia hydrologiczne. W kołchozie we Frecku czeka na mnie szerokie pole do popisu: prace melioracyjne, poprawa jakości ziemi uprawnej. Trzeba osuszyć błonia nad Alutą. I zająć się przebudową słonych jezior koło Frecku, żeby robotnicy i chłopcy z okolicy mogli w kąpielach błotnych i solankowych nabierać sił do nowych wielkich zadań socjalizmu.

Pomyśl, żebym zamieszkał w domu ciotki Adeli we Frecku i wraz z całą rodziną wstąpił do kołchozu, Küster uważa za wspaniały. Kto raz przeszedł przez coś takiego, ten odwraca się od świata, zaszywa się w kręgu rodziny.

Mówię przygnębiony:

— Widzi pan, wujku Gustavie, po pierwszym kroku na wolności zawsze będę musiał się spodziewać, że znowu zostanę aresztowany. Także z tego powodu: tylko rodzina.

Przyznaje mi rację, że wolność kryje w sobie pułapki i niebezpieczeństwa i trudno się z nią obchodzić, a nawet że człowiek nie rodzi się do wolności — musi się jej nauczyć.

— Ale jednak jest lepsza od więzienia, wolność, bądźmy szczerzy.

Opowiadam mu o swoim procesie. Przysłuchuje się bez ruchu, z głową podpartą na rękach i łokciami na kolanach. Odkąd jest naszym gościem, nie pozwolił sobie na żaden zbędny ruch.

Na końcu mówię:

— Zrozumiałem, że ostatnie słowo jest jedyną szansą, żeby oskarżony swobodnie mógł wypowiedzieć swoją osobistą prawdę. Oskarżeni pisarze, poza baronem Pottenhofem, w ostatnim słowie zapewniali, że są lojalni i oddani, wierni ojczyźnie i partii.

— A pan, co pan miał na sercu? Żeby jak najszybciej wrócić do domu, za wszelką cenę?

— Nie — odpowiadam

Wujek Gustav mówi, i tym razem otwiera oczy, nawet się prostuje, najwyraźniej ten ruch mu się opłaca:

— Ma pan złą sławę w więzieniu. Wprawdzie wszyscy wiedzą, że się pan opierał przez kilka miesięcy, ale potem pan się poddał i przeszedł na drugą stronę. — Powiedziawszy to, zamyka oczy.

— To była moja decyzja — wyjaśniam. I dodaję: — Nigdy nie można aż tak ograniczyć wolności człowieka, żeby nie zostało mu trochę miejsca na własną decyzję, za którą sam odpowiada. Nawet tutaj to niemożliwe. Zdania: nie miałem innego wyboru, albo: Bóg tak chciał, są fałszywe.

Kilka dni później otwierają się drzwi, Gustav Küster musi zbierać swoje rzeczy. Właśnie zdążył udzielić mi ostatniej lekcji:

— Zdrajca to brzydkie słowo. Ale przy bliższym przyjrzeniu zdrajca to ktoś, kto miał odwagę odrzucić reguły i naciski swojej grupy, często nawet ze szlachetnych pobudek. — Obejmuje mnie ostrożnie, całuje i szepcze do ucha: — Będzie ci trudno tam na zewnątrz, młody przyjacielu. Uważaj! Żadnego niepotrzebnego ruchu. Nigdy o słowo za dużo. — Żołnierz już wmachuje mu przed nosem żelaznymi okularami, ale on podaje jeszcze rękę Andreiowi i na pożegnanie rzuca tytuł znanego filmu: — Głowa do góry, Johannes! — Wychodzi z godnością jak zdetronizowany król.

Andreas zostaje. Jego czerwone policzki zdążyły już zblednąć. Codziennie przesłuchują go godzinami. Potem pada z wyczerpania, ale jest w dobrej formie. Czasami przesłuchania na górnych piętrach przypominają próby generalne w naszej celi. Ćwiczymy następne przesłuchanie, zgodnie z aktualną sytuacją — ja jestem komisarzem, on zeznaje. Jest niewinny, musi być jakiś sposób, żeby ich o tym przekonać.

Na jego dłoniach uporczywie utrzymuje się wysypka. I tak go widzę ostatniego wieczoru, znika w mroku celi, gdy mnie wyprowadzają. Zostaje tam z żałośnie wzniesionymi do góry rękami w krwawych ropiejących wrzodach. Jeszcze na korytarzu słyszę jego szloch, kiedy już zamknęły się żelazne drzwi.

Wypuszczają mnie po dwóch latach i dwóch dniach, 29 grudnia 1959 roku. Późnym wieczorem, w chwili gdy właśnie skończyłem ostatni sonet. Dwa dni przy nim majstrowałem, wybijając rytm na głowie mojego młodego towarzysza. Muszę skończyć wiersz! *Repede, repede!*

Stary Węgier, Ptasznik, wchodzi do celi, patrzy na mnie w milczeniu nieokreślonym spojrzeniem, potem z węgierskim

akcentem wypowiada magiczne słowa, na które każdy więzień tak szaleńczo czeka:

— Weź wszystkie swoje rzeczy i chodź!

Drzwi są otwarte. Gdzie blaszane okulary? Nie ma. Z niezastłoniętymi oczami prowadzi mnie korytarzem wzdłuż cel, z których słychać mruczenie. Przechodzi mnie zimny dreszcz. Kiedyś, pierwszego ranka tutaj, 29 grudnia 1957 roku, już widziałem ten korytarz. Wtedy przyciśnięty potrzebą otworzyłem od środka drzwi toalety, żeby poprosić o papier toaletowy. Teraz idę tędy z odsłoniętymi oczami i przeraża mnie to, co widzę. Dobrze, że jest noc. Odzywam się po węgiersku:

— Boję się wyjść na zewnątrz.

Strażnik odpowiada:

— *Egye meg a fene.* — Czy to nie znaczy: niech to dupa zeźre?

Ostrożnie pokonuję dwa razy po jednaście stopni, jakbym miał zastłonięte oczy. Mój bagaż czeka przygotowany w pokoju odpraw. Panuje nierealny spokój, jak pierwszej nocy. Stoi tam walizka ze świńskiej skóry należąca do ojca, o którą my, chłopcy, ciągle się spieraliśmy. I skórzana aktówka, choć już nie taka nowa, teraz jest wytarta i podniszczona. Ktoś używał jej przez te dwa lata. Strażnik podaje mi pasek, szybko robi w nim dodatkową dziurkę. Inny podsuwa mi kompot gruszkowy. Połykam go na miejscu. Nie ma komisarza, który mógłby domagać się ode mnie jakichś zobowiązań, jak się tego obawiałem. Podpisuję tylko gotowy druk z oświadczeniem, że nikomu nie powiem, gdzie byłem. Wszystko należy do nich. Także i ten okres mojego życia.

Teraz dokument zwolnienia. Moje nazwisko jest napisane prawie bezbłędnie.

Otwierają się podwójne żelazne drzwi. Na zewnątrz tuż przy wyjściu czeka jeep, do którego od razu wsiadam. W środku na wąskiej ławce ktoś już siedzi. To musi być rumuński

chłop, jego białe wełniane spodnie jaśnieją w mroku. Oficer w szoferce obok kierowcy zabrania nam rozmawiać. Chłop nie może wyrazić swojej radości słowami, więc tylko jego stopy podskakują tanecznie w rytmie hory i sârby przez całą drogę do Fogaraszu, siedemdziesiąt kilometrów. Jutro rano, kiedy już nakarmi świnię i wydoi krowę, z aresztu i więzienia pozostanie mniej niż z pękniętego balonu. Chłopa wysadzają na skraju miasta, mnie wiozą aż do zamku.

Muszę wysiąść przed miejską łaźnią parową. — *Repede, repede!* — Jest chyba dobrze po północy. Łabędzie syczą przez sen w swoich nocnych budkach. Lodowate powietrze rzuca się na mnie, drapie po twarzy, kłuje w płuca. Idę, zataczając się jak chory. Zapomniałem, jak się chodzi prosto.

Rodzice spali głębokim snem. Uderzałem dłonią na płask w okno od ulicy w szcurzym zamku. Użyłem kodu z czasów Rosjan: raz-dwa, raz-dwa-trzy. Wreszcie zapaliło się światło. Kinkiet z pięcioma żarówkami, tak kiczowaty, aż się przestraszyłem, oświetlił ozdobiony różami sufit. Przez sekundę musiałem się zastanowić: no proszę, rodzicom dobrze się układało przez te dwa lata. W oknie ukazała się głowa obcego mężczyzny: dlaczego zakłócam ludziom nocny sen? Wyjąkałem:

— *Domnul* Feliks jest moim ojcem, wracam z więzienia.

Mężczyzna wychylił się, żeby obejrzeć mnie w ostrym świetle neonowych latarni. Pomyślałem: a więc w tym czasie zdążyli zlikwidować moją rodzinę.

— Który z chłopców?

— Jak to który?

— Bo przecież — powiedział, dla osłony przed zimnem przytrzymując pod szyją koszulę nocną — dwaj albo trzej synowie siedzą w więzieniu. — Potem zapytał, czy wiem, gdzie jest ulica Tümpelgasse.

— Tak — odpowiedziałem szybko — w Ziganie.

Właśnie tam, na Strada Mocirla, po niemiecku Tümpelgasse, pod numer 32 przeniesiono moich rodziców. Ziewnął i zamknął okno, nawet się ze mną nie żegnając.

Powoli szedłem do dzielnicy cygańskiej na skraju miasta. Czasu miałem jak nigdy. W marszu rozchyliłem płaszcz. To był prawdziwy mróz. Chciałem go poczuć.

Zatrzymałem się na odpoczynek w parku miejskim, gdzie stoi kamienna Doamna Stanca. Z ulicznej studni przede mną drogocenna woda tryskała w pustkę, tworząc lodowe sople. Dokonałem pierwszego dobrego uczynku dla mojej nowo pozyskanej ojczyzny: zakręciłem kurek. Nad ranem dotarłem do Strada Mocirla 32. Łukowata drewniana brama łączyła fasady dwóch domów. Prawa była popękana, niewielkie okienka spoglądały ślepo. Tu nie można mieszkać! A więc zapukałem po drugiej stronie. Nie było światła, ale zaraz odezwał się po rumuńsku kobiecy głos:

— Kto tam?

Powtórzyłem to samo: że *domnul* Feliks to mój ojciec, że wracam z więzienia. Najwyraźniej wywołało to wielką radość, bo usłyszałem:

— *Să dea Dumnezeu!* Bóg to sprawił. — Ale *domnul* Feliks z rodziną mieszka w drugim budynku.

Otworzyłem bramę, stanąłem na wąskim podwórku pokrytym resztką śniegu. Nie wiedziałem, co teraz. Bezradnie odstawiłem walizkę i aktówkę. Na wieży kościoła Franciszkanów zegar wybił pełną godzinę, czwartą.

Jeszcze godzina, a potem obudzą nas strażnicy. Pierwszy strach przy przebudzeniu: gdzie dzisiaj czai się niebezpieczeństwo? Potem czekanie: pozamiatać. Czekanie: *la program*. Czekanie: kawowa lura i *palukes*. Czekanie: czy przyjdą po ciebie? Nie przychodzą. A więc samoobsługa: matematyka. Wiersze. Hodowla drobiu we Frecku. Nagie dziewczyny w nocy nad rzeką. Wyśniona ukochana. Dużo czasu na nic.

Otwierają się drzwi. Doskakuje do mnie jakaś postać. Obejmuje mnie, całuje, przytula twarz do mojej twarzy. To moja siostra Elke. I szlocha, mówi, szlochając:

— Jesteś! Wróciłeś! Wyplakałam przez ciebie oczy! Prawie umarłam z tęsknoty. — Nie wystarcza jej ta bliskość. Przeszkadza jej mój płaszcz, więc odrzuca go w ciemność. Dzieli nas moja marynarka, siostra zdejmuje ją ze mnie i rzuca na zamrzniętą ziemię. Dopiero teraz podnoszę ramiona i obejmuję ją, przez materiał nocnej koszuli czuję jej serce, czuję, jak bije. Dziewczyna stoi bosą w śniegu. Z drzwi wysypali się sąsiedzi. Dały się słyszeć głosy w różnych językach, ale ciągle było ciemno. — Elektryka wysiadła!

Siostra wciągnęła mnie do ciemnego mieszkania. Jednym krokiem znalazłem się w pokoju. W jakimś trudno wyobrażalnym pomieszczeniu usadowiła mnie na krześle. Na moich ramionach położyła koc. W pokoju obok rozległ się głos matki:

— To niestychane, Feliksie, że akurat kiedy nasz syn wraca z więzienia, u nas nie ma światła! — Słyszę, że instalacja elektryczna w mieszkaniu jest uzależniona od sąsiadów. Kiedy prasują, wyciągają u siebie z gniazdka wtyczkę moich rodziców.

— Ależ Feliksie, myślisz, że jestem głupia? Przecież na pewno nie prasują w środku nocy!

Siostra odezwała się:

— Mamo, pan Bumbu wczoraj rzucił się z siekierą na swoją żonę i przeciął kabel. Błyskało się jak w kinie. On upadł, a ona krzyknęła: Mój biedny mąż, zabiło go, zabiło. Oni też siedzą po ciemku.

— Te wieczne benefisy. — To głos ojca. W mieszkaniu pachniało stęchlizną. Zapach ubóstwa, tak się kiedyś mówiło. Jak u szewca Szésza, którego szóste dziecko jeszcze ssało pierś matki, gdy ta już była martwa. Zapach ubóstwa, skąd jeszcze go znam? Jakże chętnie pograżyłbym się w zapachu wspomnień, jak jeszcze wczoraj w celi, w tamtejszej obfitości czasu. Ale ludzie wokół mnie nie mieli czasu, nie zostawiali mu miejsca.

Matka powiedziała:

— Ciotka Mały ma rację z tymi Cyganami: kto się czubi, ten się lubi. Ale dlaczego zapalki nie leżą na swoim miejscu? Gdzie znowu schowałeś lampę naftową? A gdzie podziały się świece? Przecież ustaliliśmy pewien porządek. W naszej rodzinie nie szanuje się żadnych ustaleń. I teraz, kiedy mój syn wraca z więzienia, jest ciemno choć oko wykol. Czy on tam jeszcze stoi przed drzwiami? Gdzie jest mój chłopiec?

— Tu jestem — odezwałem się i dodałem: — Możecie mnie zostawić na tym krześle trzy dni i trzy noce. Po ciemku, dla mnie to żadna różnica.

Za uchylonych drzwi rozległ się okrzyk zgrozy:

— Trzy dni, co ty myślisz! Zaraz będzie rano. A my musimy do pracy. Podsumowanie miesiąca. Bilans roczny. Trzy dni na krześle? Kto ma tyle czasu? — Matka po omacku przedostała się do mnie, objęła moją głowę i ucałowała w policzki. W policzki, bo jak nas nauczyła: „w rodzinie nikogo nie całujemy w usta”. Kogo całuje się w usta, tego nam, dzieciom, nie zdradziła.

— Gdyby chłopiec wrócił wczoraj — tłumaczył ojciec — jak twierdził adwokat, jeszcze mielibyśmy światło.

Wreszcie matka znalazła rozwiązanie, praktyczne i wspaiałe zarazem: zapalniczką zapaliła świeczki na choince.

Przy smętnym świetle woskowych ogryzków przywitaliśmy się z zakłopotaniem, moi rodzice i ja. Dyskretnie rozejrzałem się dokoła: obco, jak podczas pierwszej nocy w mojej celi. Z trudnością rozpoznałem pogrążone w żałobie meble. Nie pomyślałem: mój Boże, ależ tu wygląda! Pomyślałem: ależ tu wygląda! Wstałem i zacząłem się przechadzać, trzy kroki w tę, trzy i pół we w tę. I powiedziałem moje drugie zdanie:

— Wiele się u nas zmieni na lepsze!

Nikt tego nie potwierdził.

Zapytałem, czy nikt z rodziny nie umarł. Nie. Ani Griso z Tannenau, ani Grosi w Hermannstadt.

Wszystko było takie zmienione! Ojciec stał przy piecu, pochylony, a mimo to niemal dotykał głową sufitu. Matka, niecierpliwa, siedziała na kufrze, który udało jej się uratować ze wszystkich katastrof. Powinienem napić się kawy z mlekiem, wkrótce trzeba będzie przygotować się na nowy dzień.

— Nie, dziękuję. — Poprosiłem o kawałek chleba. Słowa z trudem wydostawały się spomiędzy moich warg. Język ojczysty brzmiał obco. Matka chciała wiedzieć, co jadłem na kolację.

— Krupy. — Krupy? Spojrzała pytająco na ojca, który był od niej starszy o trzynaście lat i jeśli nie o te trzynaście lat mądrzejszy, to na pewno bardziej doświadczony. Ojciec milczał. — I nic poza tym? — Znowu pytanie. Te pytania... Skuliłem się i, żeby uniknąć odpowiedzi, zapytałem:

— A co z domem we Frecku?

— Sprzedany — odpowiedziała matka z wyraźną ulgą w głosie — razem z ciotką Adele. Chwała Bogu, tego kłopotu udało nam się pozbyć. Połowę pan Bartel zapłaci w gotówce, znasz go. A za drugą połowę będzie utrzymywał ciotkę do jej śmierci. Dobrze, że wreszcie pozbyliśmy się tego utrapienia.

— Dobrze — powiedział szyderczo ojciec. — To typowy interes Goldschmidtów. Ciotka ma dziewięćdziesiąt lat, nawet gdyby żyła jeszcze dwadzieścia, nie pokryje to kosztów połowy domu. Puścić za bezcen jeden z najlepszych domów we Frecku! I do tego w takim położeniu. Przy głównej ulicy. — Zresztą Bartel w tej chwili nie ma gotówki. Ale od zeszłego miesiąca ciotka jest na jego utrzymaniu.

Oznajmiłem swoją decyzję:

— Ja to wszystko przejmę.

— A skąd weźmiesz pieniądze? — zapytał ojciec.

— Liczę na honoraria za moje książki. Poza tym do lata chcę zrobić dyplom inżyniera. Mam też inne plany: hodowla drobiu we Frecku i takie rzeczy. — Spojrzeli na siebie, a ja zauważyłem te ich spojrzenia. Ale nie przejąłem się nimi, jak sobie obiecałem.

Dopiero na końcu zapytałem o braci. Uwe pracował w Combinatul Chimic na nocnej zmianie. Nocna zmiana, pomyślałem, jakie straszne rzeczy istnieją na wolności.

— A Kurt Feliks? — Chodziłem tam i z powrotem, ich twarze oświetlone pełgającymi płomykami świec odwracały się za mną.

Ojciec powiedział głucho:

— Niezgłoszenie. Sześć lat. Z powodu Wielkich Sasów. — Mój brat Kurt Feliks... Poczułem na karku uderzenie pięści. — Dla prowodyrów prokurator zażądał kary śmierci. Jak to, nie wiesz, o kogo chodzi? Przecież tylko o tym wszyscy mówią. Töpfer i pastor Möckel, to byli ci najgorsi, potem jakiś Folkmar, niestety też Malmkroger, ten miły chłopak naszej Luis, i ten twój Seifert-Basarabean z jego dwoma nazwiskami i dwiema twarzami, którego tak często przywoziłeś tu na wakacjach.

Matka dodała:

— Zapamiętaj: ukarali was nie za to, że coś zrobiliście, ale za to, czego nie zrobiliście.

Mój brat, sześć lat za nic i jeszcze raz nic! Muszę się nad tym zastanowić. I nad wieloma innymi rzeczami.

— To nie jest czyn karalny — zauważył ojciec.

— A jednak: konfiskata całego majątku — przypomniła matka.

— Te kilka rzeczy Kurta Feliksa odkupiłem za trzysta lei. Wystawiono je na licytację. Śmiechu warte. A twoje rzeczy z Klausenburga przepadły — ciągnął dalej ojciec. — Zabrali nawet ten garnitur ode mnie z wełny chesankowej. I wszystko,

co miałeś wartościowego: radio, zegarek, rower, książki. Część książek matka przywoziła w workach pociągiem. — Nie mów, żebym jej podziękował. O Annemarie Schönmund dowiaduję się, że jest bibliotekarką w szkole Honterusa. Nie dostała więzienia, ale Enzia Putera też nie.

— A kółko studenckie? — Rodzice milczeli, mieli już dość tych spraw. Odpowiedziała Elke:

— Co ma z nim być? Rozpadło się, jak was zabrali.

— Żadnego studenta nie aresztowano, nawet z zarządu? Gunther Reissenfels, Achim Bierstock, Notger Nussbecker? Paula Mathäi, Elisa Kroner?

— Nikogo. Zabrali tylko dwóch z konserwatorium: Einara Hügela, tego od tych głupich pieśni znad Jeziora Świętej Anny. I jeszcze jednego, nie wiem, jak się nazywa, Klaus, Klaus... Tylu ludzi przypadło, po prostu ich nie ma, zniknęli bez śladu. Ten śpiewał ze studentami pieśni w kościele, mieli świece w rękach.

Siostra, ciągle w koszuli nocnej, siedziała skulona na fotelu. Ogień w żelaznym piecyku zdążył wygasnąć. Ciągnęło od drzwi na podwórko. Marzliśmy. Matka otuliła siostrę kocem, drugi koc położyła mi na kolanach. Niezdecydowanie usiadła obok mnie.

— Ten Kronstadt i jego Wielcy Sasi sprowadzili na nas nie-szczęście — powiedział ojciec.

Matka dodała:

— Kiedy poszedł Kurt Feliks, przywieźliśmy młodszych do domu, żeby chodzili do Liceu Radu Negru. Mieliśmy zostać całkiem bez dzieci?

— Od kiedy go nie ma? — dopasowałem się do tego ostrożnego języka. Aresztowali go 25 czerwca 1958 roku.

— A jak trafiliście do tej rudery?

— To dom z drewnianych bali, tylko fasada jest popękana — próbowała łagodzić sytuację matka.

— Drzwi bezpośrednio na podwórze — powiedziała Elke — można zajrzeć do samego żołądka, czuję się, jakbym była u ginekologa.

— Pamiętajcie, mamy trzy pokoje dla siebie. I nie ma szcurków.

— Tak, tak, mamusiu, wiem, zawsze w najgorszym dopatrywać się dobrych stron.

— Dlaczego musieliście opuścić szcurzy zamek?

Elke powiedziała:

— Musieliśmy! Gdyby tatko posłuchał mamy, dalej byśmy tam mieszkali. W centrum. Dwa kroki od liceum. Ale nie!

— Słowa „jakby” i „gdyby” należy skreślić ze swojego słownika — pouczyła ją matka.

Ojciec wyjaśnił:

— Antál Simon zagroził nam, że jeśli nie opróżnimy mieszkania w ciągu dwóch dni, to on się postara, żeby Uwe też został zabrany. Są rodziny, w których aresztowano trzech braci. Knallowie w Kronstadt na przykład. A dwoje rodzeństwa to normalne: Hönig, Bergel, Muschi i Herbert Roth, Horst Depner i jego siostra... Bez litości, nieubłaganie!

— Los jest nieubłagany — odezwała się matka. — U Bergelów przed kilkoma laty zginęli najmłodszy syn i szwagier. Pod lawiną! Jak matka może coś takiego wytrzymać. — I dodała: — Chciałam przeczekać...

Ojciec jej przerwał:

— Tak, tak, kobiety mają mocniejsze nerwy.

— Nie chciałam go słuchać. Ale z drugiej strony, wy obaj zniknęliście bez śladu, a do tego jeszcze Uwe w niebezpieczeństwie. Po tym, jak ten Simon pojawił się u nas z Otto Silcseakiem z Securitate, zdecydowaliśmy się wynieść. A dzień później aresztowali tego łotra, za oszustwa, przekupstwo i tym podobne, to normalne u naszych nowych włodarzy. — I niemal z dumą dodała: — W ciągu szesnastu lat to jest nasza

dziewiąta przewodniczka w Fogaraszu. Nasze kółko znowu bardzo nam pomogło. — Tu zapytała mnie: — Czy ty nic o nas nie wiedziałeś?

Co mnie dręczyło? Pytania, najdrobniejsze pytania. Gdyż każda odpowiedź to decyzja na śmierć i życie. Matka nie czekała, aż odpowiem.

— Myśleliśmy, że cię już nie ma. Nie było od ciebie żadnego znaku życia, do teraz, do września. A od Kurta Feliksa od ponad roku nie ma wiadomości. Na jego procesie mówili, że jest chory, że nie można go przewozić. Od tamtego czasu ani słówka. Zniknął! — Elke zaczęła bezgłośnie płakać.

Świece na choince pogasły. Poszliśmy spać. Bez pocałunku na dobranoc, co przyjąłem z ulgą. Ułożono mnie w łóżku, którego przedtem nie było. Nie modliłem się. Żeby oszczędzić Boga.

Wreszcie nadszedł pierwszy poranek. Przy świeczce ojciec zaczął się krzątać w pobliżu moich nóg. Widocznie tam stała umywalka. Wlał wodę do miednicy, zwilżył ciało, kilka kropel spadło na moje stopy, i wytarł się, wszystko po ciemku, żeby mnie nie budzić, choć już nie spałem. Potem za zasłonę wśliznęła się matka. Ojciec rozpałił ogień.

Podczas tych procedur uciekałem myślą do dnia wczorajszego. Tam ciepło rozchodziło się od kaloryfera. Podczas toalety porannej była bieżąca woda i ubikacja ze splukiwaniem. Kto pomoże Andreiowi z owrzodzonymi rękami, kto podciągnie mu spodnie, umyje twarz?

Zaskrzypiała brama, potem otworzyły się drzwi. Otulony zimnym obłokiem wszedł mój brat Uwe i przez ciemny pokój wsunął się do kuchni.

— Czy on już jest?

Zanim zdążył zamknąć kuchenne drzwi, matka powiedziała:

— Niech się wyśpi, syn marnotrawny.

Rodzice pośpieszyli do pracy.

Gdzieś w głębi domu spała siostra. Miała ferie. W innym miejscu brat Uwe kładł się spać. Świtało. Dom naprzeciwno obudził się ze snu. Ktoś sikał na podwórku przed drzwiami, jakiś kobiecy głos zaraz wrzasnął: „Jak ci nie wstyd, Bumbu, tak wystawiać niemytego kutasa! To nie wiesz, że wykształcony syn pana Feliksa wrócił z kicia? I że panna uczennica ma ferie?”. Mężczyzna odmruknął coś w odpowiedzi. Trzasnęły drzwi, zadzwoniły szyby. Wstałem. Rozejrzałem się dokoła. Poszedłem do kuchni, kilka schodków w górę. Ogień w piecu już się wypalił, dołożyłem drewna. Usiadłem przy stole, odsunąłem na bok resztki jedzenia. I napisałem podanie do Wielkiego Zgromadzenia Narodowego, w którym prosiłem o zwolnienie mojego brata ze względu na stan jego zdrowia. Po latach przyszła odpowiedź, że odsiaduje karę w jednym z więzień. Potem wpisałem do książki kucharskiej prababki swoje wyuczone na pamięć wiersze, żeby nie zatarał ich potop wrażeń i bodźców — sonety do dziewczyny i do ojczyzny.

Przy tym zajęciu zaskoczył mnie mój brat. Uściskaliśmy się. Zacząłem opowiadać mu o swoich planach na przyszłość, powiedziałem, że zamierzam zająć się starą ciotką z Frecku i że wszyscy się tam przeprowadzimy. Przysłuchiwał się w milczeniu i uśmiechał tym swoim chłopięcym uśmiechem, jaki zapamiętałem, lekko zdziwionym i powątpiewającym. Potem powiedział:

— Najpierw się trochę rozejrzyj. Ludzie boją się kogoś takiego, jak ty. Nawet rodzina nie wie, co z tobą zrobić.

Tydzień później pojąłem, że rzeczywiście ludzie się mnie boją, nawet we własnej rodzinie. Odwiedziłem ciotkę Maly i wujka Fritza w Tannenau. Tak szybko z powodu babci, która leżała w łóżku, gdyż nic nie ciągnęło mnie do Stalinstadt, *la terre maudite*. Babcia — ucałowałem jej bladą rękę, która zwieszała się znad krawędzi łóżka i tydzień później miała być

martwa — zawołała resztką sił: „Fritzusiu! Dziś nie będzie słuchania Głosu Ameryki. Komunista jest w domu!”.

Uwe wyjaśnił:

— Na przykład mój kolega szkolny Rudi Anton i jego kółko nie mają odwagi zaprosić cię na sylwestra. Mnie tak, ciebie nie. Musisz to zrozumieć.

Zrozumiałem. Mniej, kiedy moja siostra powiedziała:

— Ale my się odważymy. — Podniosłem rękę w geście obrony. — Pójdiesz na sylwestra do moich przyjaciół. Co oni sobie myślą, ci z Securitate? Czy mamy przez całe życie ich się bać? Tańczyliśmy rock and rolla w Trocadero, aż nasze marynarki fruwały koło uszu Otto Silcseakowi, temu, co załatwił Kurta Feliksa. Postawił nam kolejkę piwa.

Uwe powiedział:

— Nie wiem, czy pojedę z tobą do Frecku. Ale mimo to możesz na mnie liczyć. Z innych rzeczy: ubicacja jest w podwórku. Ta po prawej należy do nas, ale ci z naprzeciwka też z niej chętnie korzystają, zwłaszcza jak u nich jest zasrana.

Nikt z rodziny nie chciał słyszeć o Frecku. — Freck? Nawet nie chcę być tam pochowana — skomentowała matka, choć sześć komfortowych grobowców z widokiem, stojących pod rozłożystą sosną, wręcz zapraszało do ostatniego spoczynku; dwa z nich ozdobione szwedzkim granitem i białym marmurem. Wstąpić do kołchozu? Mieli wątpliwości... I w ogóle: już sam fakt, że w nocy biegałem po domu i coś zapisywałem, był dziwny, nawet przerażający. W nocy się śpi! Niepokoiło ich też, wręcz żenowało, że o wieczornym zmierzchu, gdy każdy siedział na swoim łóżku z podwiniętymi nogami, bo podłoga była lodowata, chciałem czytać im swoje wiersze. Odpowiednio brzmiały też ich komentarze:

— Ależ dziwacznie akcentujesz słowa — stwierdziła matka.

— Czy dobrze słyszałem: wycofanie? — dziwił się ojciec. — Powtórz, proszę, całe zdanie. Czy tu chodzi o parkowanie samochodu? A może ministra, który składa urząd?

— Ależ tato, to nie to. Posłuchaj dokładnie: kolumnowa brama wycofana; coś, co się stopniowo obniża w głąb.

— Ach tak, romański portal w Michelsbergu.

Rodzina, świat, wszystko obce...Gdzie mam się podziac? Gdzie? Gdzie?

Pierwsi złożyli mi wizytę Cyganie z sąsiedztwa. Po kilku przepitych dniach i nocach *domnul* Bumbu nie był całkiem świeży. Gdy jego żona wypychała go z pokoju na podwórko, zawadził o stojący w progu garnek z zupą, z którego każdy się częstował, kiedy dopadał go głód. Głowa rodziny wymierzyła garnkowi takiego kopniaka, że zupa grochowa chlusnęła aż na naszą stronę. W sumie w kuchni i jednym pokoju naprzeciwko mieszkało dziesięć osób, razem z babką Rozalią. Utrzymywali się z zasiłków na dzieci.

Z moją nową świadomością *fraternité* ucałowałem dłoń, którą podała mi *doamna* Florica Bumbu. Ona z kolei tytułowała mnie: *domnule inginer*. I nie dawała sobie wytłumaczyć: „Byłby z pana *inginer*, jakby nie wsadzili pana do kicia”. Ci ludzie umieli nazywać rzeczy po imieniu.

Ojciec rodziny Bumbu przypomniał sobie, że w więzieniu zawsze odpoczywał od ciężaru obowiązków ojcowskich, a zwłaszcza od tej diabelnej baby.

W południe przyszła Margitnéni, żona naszego byłego dozorca. Nie opuszczała żadnego rodzinnego święta w naszym domu, przychodziła punktualnie 2 lutego, w urodziny mojego ojca, i 17 marca, w imieniny Gertrudy, zawsze z odpowiednim prezentem, niekoniecznie z rosyjskimi czekoladkami, ale na przykład z miską salcesonu albo patelnią naleśników. Tym razem przyniosła wełniane skarpety. Nie mogła zrozumieć,

że taki *urfi* jak ja, młody, dobrze wychowany chłopiec, który kiedyś zawsze pierwszy ją pozdrowiał, musiał znosić taki ciężki los. I powiedziała to, co potem przez długie lata miała powtarzać przy wszystkich uroczystych okazjach w naszym domu, jak rok później, kiedy złożywszy kondolencje z powodu strasznego wypadku wyszłochała w czarny welon matki: „Tak młodo! Tak młodo!”

— Ale teraz i do naszych drzwi zapukał los. Nasz drogi zięć, szlachetny Antál Simon, który tylu ludziom pomagał, siedzi w więzieniu, niesprawiedliwie. A nasza Irenke, dobra i piękna, musi pracować, jak dziewczka stajenna. — Powiedziała też, że Irenke straciła swoją pozycję w partii. — Zresztą kazała się państwu pięknie kłaniać! — Spodziewa się, że *urfi* przyjdzie ją odwiedzić w jej mieszkaniu z pięknymi meblami. Wytarła nos w czerwoną chustkę, pogłaskała mnie po włosach jak w dzieciństwie i poszła.

Wieczorem zjawilo się kółko przyjaciół rodziców. Ciotki i wujkowie, jak ich nazywaliśmy, którzy wiernie nas wspierali przez te trudne lata nieszczęść. Znali się od czasów, kiedy ich dzieci były małe.

Siedzieli teraz zakłopotani przy kuchennym stole. W każdej rodzinie w ciągu ostatnich piętnastu lat ciągle ktoś wracał z deportacji lub z więzienia. Mieli więc doświadczenie, ale nie mieli wprawy. Poza tym byłem rzadkim przypadkiem. Należało więc zachować się z taktem, nie stawiać za dużo pytań. Najlepiej było nie komentować całej sprawy. „Dobrze, że już wróciłeś” — to były najdalej idące słowa.

Tylko bystry wujek Schorsch Krakmaluck, który podczas kampanii wschodniej odmroził sobie palce u nóg i teraz nosił buty obciążone ołowianymi płytkami, zapytał, czy spotkałem może Kurta Feliksa — tam. I z palców wykonał znak krat. A że milczałem, po chwili odpowiedział sobie sam:

— Wszystkich tych katów należałoby, powinno się... — Chwycił kuchenną miotłę, ustawił ją kijem do przodu i zatoczył koło: — ta-ta-ta.

Ciotka Ilsa, świetna modystka, powiedziała po francusku:

— *Qu'il se taise, le fou!* Lepiej niech milczy, wariat! — Ale jej słowa przeszły niesłyszane.

Wujek Schorsch przyniósł mi w prezencie na powitanie watowaną kurtkę:

— Weź ją, to moja kufajka z Workuty! — Na plecach miała ciemny kwadrat w miejscu, gdzie był więzienny numer. Kiedy spojrzałem na niego, wyjaśnił mi: — Czeka cię ciężka praca, mój drogi. — Tak ci się wydaje, pomyślałem.

Ciotka Agnes, wytworna dama, której mąż wyrabiał artystyczne meble, poradziła mi:

— Dobrze by ci zrobiło, jakbyś poczytał Stiftera. — Za nic w świecie! Tam nie było walki klas. — W twojej sytuacji, to znaczy tak między dwoma frontami, na ziemi niczyjej.

Na ziemi niczyjej? Żeby raz na zawsze zaznaczyć swoje stanowisko, powiedziałem, i rzeczywiście byłem o tym przekonany:

— Jestem pozytywnie zaskoczony osiągnięciami socjalizmu w naszym mieście: wodociąg i neonowe oświetlenie uliczne. Naprawdę niesamowite, czego dokonano przez te dwa lata.

Wujek Schorsch wypuścił z ręki miotłę. Ciotka Pitu wyraziła ubolewanie, że tej zimy prawie jeszcze nie padał śnieg. Zima bez śniegu to nie zima. Ciotka Mili, ogólnie podziwiana, bo zawsze miała odpowiedni cytat pod ręką, powiedziała:

— Z życia naszego ziemskiego padołu, radość i smutek czerpiemy pospołu.

Wszyscy zaczęli zabierać się do wyjścia, zmarzły im stopy, bo choć siedzieli z nogami podciągniętymi na krzesła, a ojciec ciągle dokładał do pieca, przez oszklone drzwi ciągnęło z dworu. Poza tym: „Biedny chłopiec, musi wypocząć!”

A jednak dzielna ciotka Jino zaprosiła mnie do siebie:

— Sylwestra spędzasz u nas. Będzie raczej spokojnie. Sama dzieciarnia. Uczniowie i głupiutki dziewczyny.

W ten sposób lody zostały przełamane. Każdy dobrodusznie zapraszał mnie, żebym go odwiedził. „Nie krępuj się! Bądź taki jak przedtem, kiedy byłeś takim miłym chłopcem”.

Choć była zima, musiałem nosić okulary słoneczne, ostre światło kłuło mnie w oczy. Bolesny był fakt, że nie prowadzono mnie już jak ślepcą, tylko sam musiałem szukać sobie drogi. Ciągłe podejmowanie decyzji w sprawie dróg życiowych, pół dnia — to było nie do zniesienia. Wszystko było inne, całkiem inne. Nikt mnie nie chciał, nikt mnie nie potrzebował. Jeszcze się broniłem. Próbowałem dochodzić swoich praw jako lojalny i zweryfikowany obywatel republiki ludowej. Ale...

Chciałem odebrać na milicji swój dowód osobisty. Najpierw muszę się zameldować w Securitate, pouczono mnie. Serce we mnie załomotało. Milicjant poprowadził mnie przez dziedziniec. Inaczej niż w Stalinstadt, tu wśród zadbanych żywopłotów nie spacerowały jelenie i sarny, tutejszy komendant stawał raczej na hodowlę kur i królików. Stąpałem sztywno na czubkach palców przez gnój, milicjant dotykał ziemi tylko obcasami swoich oficerek.

Căpitan Silcseak, którego wszyscy w mieście omijali z daleka, oczekiwał mnie i z jowialnym lekceważeniem poprosił, żebym usiadł w miękkim fotelu. Wolałem stać. Kurta Feliksa na pewno tak nie przyjmował.

Chciał ze mną pogawędzić, był lekko urażony, że się śpieszę. On nie żałuje czasu dla ludzi. Wyraził ubolewanie z powodu losu mojego brata:

— Biedny Feliks, wpadł jak mucha do mleka. — Ucieszył się, że ja wyszedłem na wolność. Tymczasem w moich skroniach pulsowało jedno pytanie. Co zrobić, żeby już nigdy nie

mieć z nimi do czynienia? Zaoferował mi pomoc, gdybym miał problemy ze znalezieniem pracy. Ostrzegł, że jako recydywista z wyrokiem za niezgłoszenie mogę zostać skazany na najwyższą karę, na dziesięć lat. — W pańskich kręgach za dużo się gada. Mógłby pan być dla nas użyteczny. — Robiło mi się niedobrze. Zaczęło mi się odbijać. Gdzie tu mogło być WC? Drzwi na lewo, do drugiej umywalki. — Wiele osób odczuwa tutaj potrzebę wyrzucenia z siebie wszystkiego.

Wróciłem, ku zdziwieniu tego groźnego człowieka usiadłem w klubowym fotelu, poprosiłem o szklankę wody, na co on nie zwrócił uwagi, i odezwałem się:

— Wie pan, *dommule căpitan*, mnie z powodu niezgłoszenia nic już nie może spotkać. Wszyscy schodzą mi z drogi. Albo milczą w mojej obecności. Tak więc niczego nie słyszę.

— Wiemy o tym. Dla swoich ludzi jest pan zdrajcą narodu.

— Poza tym mojej rodzinie też już nic gorszego nie może się stać. Ja byłem w więzieniu, mój brat jest w więzieniu.

Kapitan powiedział:

— Proszę, worek z pańskimi pismami, przysłali je ze Stalinstadt, niech pan go weźmie.

Wziąłem na plecy worek z kanciastymi teczkami i segregatorami. Nie podał mi ręki. Nie powiedział *La revedere*. Chwała Bogu...

Dokąd uciekać? W Hermannstadt babcia z drżącymi rękami zapytała, skąd przychodzi. Osunęła się na krzesło, gdy odpowiedziałem:

— Z więzienia!

— Nie wolno czegoś takiego mówić! — Potem stało się to przyjętym zwrotem: „Byliśmy tam, nie wolno mówić gdzie”. Kurt Feliks, ja i wielu innych.

Elisa nie pracowała, jak się obawiałem, w kolonii karnej. Po tym, jak wyrzucono ją z uniwersytetu, uczyła się sztuki farbiarskiej u swojego ojca. Wybiegła z domu, narzuciła na

siebie tylko kurtkę, i podniosła na mnie oczy. W neonowym świetle jej twarz przybrała lekko trupioblady kolor, ale oczy miały barwę akwamaryny, jej ojcu-farbiarzowi tylko tutaj tak dobrze udał się ten kolor. Podała mi rękę fioletową aż po przegub. W piwnicy upaństwowionej willi w Rosenfeldsgrund jej ojciec zainstalował ogromne kotły miedziane, w których parowały wszystkie kolory tęczy. I w ten sposób częściowo należał do klasy robotniczej. Ale w niedzielę rodzina oddawała się mieszczańskim przyjemnościom: rodzice i córka kąpali się w starych kotłach jak w średniowieczu.

Powiedziałem Elisie:

— Często wypisywałem twoje imię kawałkiem mydła na derce, tam, tam, nie wolno mówić gdzie. U ciebie są takie same samogłoski i w tej samej kolejności co u mnie. Czy też to zauważyłaś? — Nie zauważyła tego. W odpowiednim momencie podeszła do nas Elke, przypomniała:

— Musimy iść. Nasza babcia będzie się martwić.

W obecności babci, noszącej biały daszek nad oczami, bo znowu dokuczała jej katarakta, czytałem Elisie wiersze o nowym życiu w ludowej republice i walce klas jako motorze historii. Słuchała uprzejmie. I powiedziała, a jej ręce tym razem były błękitne:

— Oprócz walki klas jest jeszcze nieskończenie dużo innych konfliktów. — Potem: — Każda sprawa kryje w sobie tajemnicę okupioną rezygnacją. — I jeszcze: — Poezja jest tam, gdzie nie wszystko nazywa się po imieniu. — I zakończyła: — Nie rozumiem tego. Ale ucz się od socjalistycznego poety Alfreda Margula-Sperbera. On potrafi pisać tak i inaczej. Na przykład *Tajemnica i rezygnacja...* — Pod bramą, obok pojemnika na śmieci, chciałem ją pocałować, miłość mojego życia. — Za późno!

— Za późno? — Nie wierzyłem własnym uszom.

— Jestem zaręczona. I po ślubie wyjeżdżam daleko stąd.

— Do tego potrzeba dwojga. — Tym drugim był Ljuben Taew z twarzą jak ciasto z kruszonką. Daleko stąd nie oznaczało przeprowadzki w pobliże pałacu prezydenckiego w Sofii, jak się spodziewałem, ale do zamieszkaney przez Bułgarów wioski w Dobrudży, na rumuńskim wybrzeżu Morza Czarnego. Elisa cieszyła się i jej oczy rozblęły niepohamowanym światłem radości, cieszyła się na poezję prostego życia na wsi: gliniane chatki pod słomianymi strzechami, z frontem ozdobionym liśćmi tytoniu i kolbami kukurydzy, otoczone płotami ze słoneczników, dokołakozy i osły, a na horyzoncie cerkiew z baniastą wieżą. Wreszcie będzie mogła uciec od swojej przeszłości, nie będzie się musiała bać. Ljuben dostał już posadę dyrektora szkoły. Ona jako siła pomocnicza będzie uczyła dzieci niemieckiego i angielskiego, a z krewnymi Ljubena i sąsiadami będzie rozmawiała po rosyjsku, w języku łudzaco podobnym do bułgarskiego.

— I będziesz wycierała podłogi wodnistym krowim łajnem.

— To tysiąc razy lepsze niż wszystko tutaj. — Pokazała mi swoje ręce, które w neonowym świetle nabrały koloru wściekłej zieleni.

Zapytałem jeszcze tylko:

— A dlaczego ten twój Ljuben tak nas wodził za nos, jak on to tłumaczy?

— Uważał nas za zarozumialców, chciał się po prostu przed nami pokazać. Nawet mnie przyznał się do tego dopiero na końcu.

— Dobrze, że nie opowiadał, że jest mordercą. Tak robią niektórzy w więzieniu, żeby sobie zapewnić respekt.

— Mów o nim dobrze. Noszę pod sercem jego dziecko. — Nie chciała, żebym ją odprowadzał do domu. Już nie próbowałem jej pocałować.

Moja gospodyni Clotilde Apori umarła. Biedaczce nie udało się wymodlić wolności dla kardynała. Elisa odwiedzała ją regularnie i opiekowała się staruszką. Pewnego dnia znalazła hrabinę martwą, z rękami nie złożonymi pobożnie w modlitwie, ale jak szpony wbitymi w zasłonę.

— Jakby chciała pozrywać lodowe kwiaty.

— A pogrzeb?

Żałobnicy przyszedli we wspaniałych szatach węgierskich arystokratów. Zebrani gapie myśleli, że będzie kręcony jakiś film. Orszak przeszedł przez centrum miasta. Milicjanci salutowali. Kondukt zatrzymał się na chwilę w cichej modlitwie przed pałacem Aporich, w którym teraz partia miała swą siedzibę. Ludzie partii siedzieli w oknach, pozdejmowali z głów robociarskie czapki. Ksiądz odprawił mszę.

Księżna Pálffy i jej pokojowa siedziały w więzieniu. Kiedy dwóch oficerów straży skarbowej chciało opodatkować ich wypieki, księżna, bardziej dla *complaisance* niż z gniewu, walnęła jednego w głowę swoim buzdyganem. Oficer obłany ciastem padł na miejscu. Żeby móc swojej pani towarzyszyć do więzienia, jej wierna pomocnica natychmiast chwyciła wałek do ciasta i dała nim po łbie drugiemu intruzowi. Ten, zanim upadł, wykonał najpierw *dance macabre*. Okoliczności te znalazły odbicie w karach.

W mieszkaniu babci też nie mogłem zostać. Wydawało się, że wszystko jest na swoim miejscu, od stoletniego lustra z Kilonii aż do zegara z wahadłem z Fiume. Ale te pozory myliły.

Złe wiadomości nadchodziły do domu, którego drewniane ściany były tak spróchniałe, że pies sąsiadów rano wsadzał przez nie mordę i ziajał mi do łóżka.

Uniwersytet w Klauseburgu napisał: relegowany. Eksmatrykulowany z powodu nieobecności na zajęciach. Pojechałem tam, przy okienku kobiecy głos krótco mnie zbył:

— Za późno, *amice!*

Pochyliłem się do właścicielki głosu:

— Ale jak tak można, zna pani chyba zasadę fizyki, która mówi, że nie można być w tym samym czasie w dwóch różnych miejscach.

— W takim razie powinienem być nie gdzie indziej, ale tu — oświadczył nos damy w okienku.

— Ale ja chcę tylko skończyć studia. Trzy egzaminy i po wszystkim.

— Jest jeszcze za wcześnie. Co pan sobie wyobraża? Dopiero co pana wypuścili i chce pan jak na zawołanie odzyskać wszystkie prawa. To trwa lata!

Dziewkan ani rektor nie mieli dla mnie czasu. W Bukareszcie w ministerstwie oświaty nie wpuścił mnie portier.

A moje książki? Na próżno przeszukiwałem księgarnie.

Wydawnictwo odpisało, że umowa na obydwu opowiadania została rozwiązana — z winy autora. Pojechałem do Bukaresztu na rozmowy, upierałem się przy jej wykonaniu, gdyż nie naruszyłem żadnego z kilkudziesięciu warunków.

— Niech się pan cieszy, że nie obarczyliśmy pana kosztami produkcji — usłyszałem od dyrektorki, Olgi Goldbaum. — Książki poszły na przemiał. Niech pan da spokój.

Za to moja redaktorka, Erika Constantinescu, zaprosiła mnie do siebie, jak kiedyś.

— To, co minęło, niech pan zostawi w spokoju. Ale niech pan pisze dalej. Niech pan idzie do hotelu i zacznie pisać opowiadanie. Ma pan więcej talentu i fantazji niż większość tych poecin i pismaków, co się tu kręcą. — Piliśmy herbatę ze szklanek w srebrnych uchwytych. Jej mąż, prawdziwy bukareszteńczyk, filigranowy i kruchy, wciąż miał całkiem siwe włosy, jej ojciec był niezmiennie krzepki jak góral. Matka pozostała damą z Berlina. Kot *J'accuse* królował na swoim fotelu, ziewając z godnością. Wszystko było jak kiedyś. A jednak inaczej.

U towarzysza Enrica Tuchela, redaktora naczelnego przeglądu „Nowa Literatura”, chciałem się dowiedzieć o wiersz, który mu wysłałem dwa dni po powrocie. *Wielki ogród mojej młodości*, napisany z perspektywy domku dozorca. Towarzysz od literatury rezydował w byłym pałacu bojarskim, z ogromnym podjazdem i przeładowanym westybuliem.

Także i obok niego ten czas nie przeszedł bez śladu. Niebieski krawat lotniczy z płonącymi sztukasami ustąpił miejsca gładkiemu krawatowi koloru czerwonego, ozdobionemu sierpem i młotem ze srebra. Ledwie zdążyłem przedstawić moją sprawę, przerwał mi w pół słowa:

— Wie pan, towarzyszu, ten wasz wielki ogród dzieciństwa to najczystszy rewanżyzm. Z czymś takim wystąpili niedawno Niemcy sudeccy: chcą mieć z powrotem te wszystkie swoje ogrody dzieciństwa, które teraz należą do Polaków. Jak to? Nic pan nie słyszał? Ach tak, dopiero teraz pan stamtąd wyszedł. Odkąd wrogowie naszego państwa wymyślili ten... em... inwersjonizm w literaturze, musimy być *vigilnet*, czujni jak mysz w kościele. Widzi pan, wielki Margul-Sperber, ten wie, o co chodzi z tym inwersjonizmem, i pisze tak: „Jak drzewo połyka chmury, tak zwycięski proletariat połknie kapitalizm”. To jest jasne jak słońce na niebie. No i niech pan nie zapomina, że jest pan przestępcą politycznym, tego się pan nie pozbędzie przez całe życie, jak kot dzwonka na ogonie. — Przez telefon poprosił o filiżankę kawy. — Towarzyszko, proszę mi przynieść kawę bez cukru i z pianką na wierzchu. — Pożegnałem się.

W przedpokoju spotkałem Pitza Schindlera. Wyciągnąłem do niego po koleżeńsku rękę, którą ujął sztywnymi palcami, i powiedziałem:

— Pan i ja siedzimy w tej samej łodzi. — Miałem na myśli, że obaj zmieniliśmy front i przez naszych ludzi byliśmy uważani za zdrajców narodu. Nic mi nie odpowiedział, więc

poczułem, że muszę wyrazić się jaśniej: — Może pan na mnie liczyć, kiedy się pan będzie zabierał do strącenia dłutem tego saskiego biskupa Georga Daniela Teutscha. To ciężka praca dla dwóch mężczyzn. — Na te słowa Schindler uciekł.

Sekretarka zwróciła się do mnie:

— Widzi pan, młody człowieku z twarzą bladą jak bohater rosyjskiej powieści, pan popełnia błąd. Pan traktuje ten reżim zbyt poważnie, trzyma jego ludzi za słowo. Dlatego oni się pana boją, wszyscy, aż do samej góry. — Machnęła ręką w kierunku drzwi. — Towarzysz Tuchel też się pana przestraszył, dlatego chciał kawę z dużą ilością pianki. Towarzyszowi Schindlerowi również pan napędził niezłego stracha. — Mówiła to szczerze i swobodnie, bez rozglądania się z lękiem na boki. — Poza tym Pitz Schindler bardzo się dziś śpieszył. Czekali na niego w Komitecie Centralnym.

Na mnie nie czekano w Komitecie Centralnym. Dokąd więc miałem pójść? Poszedłem do ogromnej fabryki maszyn Mârşa koło Frecku, trzy tysiące robotników. Dyrektor kadr odmówił przerazony: „Mamy tu już jednego byłego więźnia politycznego, nie możemy obciążać fabryki drugim”.

Pozostał mi tylko urząd pracy w Fogaraszu. Uprzejmi ludzie. „Oczywiście, zgodnie z konstytucją ma pan prawo do pracy”. Nie interesowało ich, że mam prawie ukończone studia techniczne. Dla kogoś takiego jak ja mieli tylko pracę za dniówkę w cegielni, byłej fabryce Stoofa. Podziękowałem. Towarzysz Popa Zamolxe, kierownik urzędu, podał mi rękę, bo mój ojciec cieszył się szacunkiem w Fogaraszu.

Jeszcze jakiś czas walczyłem o swoje miejsce. Pisałem wnioski do wszystkich możliwych instytucji w Bukareszcie. Powoływałem się na swój wyrok, karę minimalną, wspominałem, że byłem świadkiem oskarżenia w procesie pisarzy, podkreślałem swoje socjalistyczne przekonania — niech żyje przyjaźń z wielkim Związkiem Radzieckim! — domagałem

się przyjęcia z powrotem na uniwersytet, żądałem miejsca pracy odpowiedniego do moich kwalifikacji, żądałem godnych warunków mieszkaniowych dla moich rodziców, prosiłem o zwolnienie mojego brata, nalegałem — i dostawałem odmowy albo karano mnie milczeniem. Szukałem schronienia u Stiftera, czytałem *Zamek szaleńców*. Odłożyłem. Przegryzłem się przez *Rotchina zwycięża*. Męczyłem się nad powieścią *Nadzy wśród wilków*. Precz z tym.

W Bukareszcie powiedziałem do pani Eriki, że nie pójdę do hotelu pisać nowego opowiadania, bo mam inne plany: chciałem zarejestrować się do neurochirurga doktora Poppa de Popy na lobotomię. Co to takiego? Niewielkie nacięcie w płacie czołowym mózgu. „Tutaj z przodu, potem człowiek jest głupszy, ale szczęśliwszy”. O tym marzyłem: głupszy i choć trochę szczęśliwy.

29

Kto dotrzymywał mi kroku? Tylko moja siostra. Opanowała mnie pasja chodzenia, która codziennie wyganiała mnie z domu. Nie na lekkie spacerki, ale na ogromne marsze przez zimowe okolice aż do wiosek na północnym brzegu Aluty: do Felmern, Scharosch, Kaltbrunn. Chodziliśmy nawet do Rohrbach, które leżało za siódmą górą. Tam spędziliśmy wakacje z rodzicami, tam jeździliśmy na rowerach albo z brodatymi Cyganami pędziliśmy bydło — w tamtym oddzielnym życiu przedtem. Najpierw towarzyszyła mi pewna uczennica, Manuela Weinbrandt, którą pocałowałem w sylwestrową noc, kiedy rozdzwoniły się dzwony i zawyły syreny, a ona stała spokojnie jak owca podczas strzyżenia. Potem już tylko moja siostra Elke miała cierpliwość do tych wycieczek.

Na ten obszar zakazanej przeszłości wkraczałem z mieszanymi uczuciami. Obiecywałem sobie, że już nigdy nie przywiążę się do niczego całym sercem. Wtedy będą mogli mnie w każdej chwili zabrać, a ja nie uronię ani jednej łzy za tym życiem.

Już rano, kiedy Elke myła się w miednicy stojącej w nogach mojego łóżka, podnosiła zasłonę i pytała ciekawie: — Dokąd dzisiaj idziemy? — budziła mnie z porannego przygnębienia: co mam zrobić ze sobą w świecie, co mam zrobić z moim czasem dzisiaj?

Nie było śniegu, ale ziemię skuł lód. Łatwo się szło po twardej podłodze. Po oglądaniu tylko białych plam na ścianach celi zapomniałem o tym, że pola zimą mają tyle odcieni brązu. Stada wróbla zrywały się z kolczastych zarośli, kolorem dopasowane do brązowej ziemi. Na drzewie siedział myszołów, pokryty brunatnymi cętkami, prawie niewidoczny. Przed nami przeleciał trznadel, jak oznaka lata.

Zaczął padać śnieg. Elke i ja utrzymywaliśmy równy krok. Brodziliśmy przez śnieżnobiałe połacie, ja osłonięty ciemnymi okularami — oczy mnie nadal bolały. Szliśmy tuż przy sobie, nie trzymając się za ręce. Twarzami byliśmy zwróceni do siebie. Nasze zmarznięte oddechy owiewały usta i nos drugiego.

Elke Adele, najmłodsza, wytęskniona córka po trzech chłopcach, była dużo młodsza ode mnie. Ale mieliśmy wspólne wspomnienia. „Pamiętasz, jak my oboje wtedy...”. Dla mnie były to obrazki jak z podartej książeczki dla dzieci: kiedy w jej wielkim wózku dla lalek woziłem ją przez pokoje — do dzisiaj czuje tamto łaskotanie w brzuchu. Kiedy namawiałem ją, żeby z najwyższego przęsła mostu na Alucie skoczyła do wody — „My dwoje odważyliśmy się na to”. Kiedy od poganiaczy była przyniosłem jej trochę bawolej śmietany — „Zjedliśmy ją oboje”. Kiedy zabrałem jej książeczki o Puckim i czytaliśmy

biografię Jawaharlala Nehru, *Śmierć w Wenecji* i *Za rzeką Galsworthy'ego* — „Na wyścigi, my razem”. Na początku się buntowała. Nie rozumiała, że dzięki zmyślonemu życiu i ludziom zrodzonym z fantazji można zapomnieć o łzach.

Zanurzaliśmy się w lasy porastające szczyty wzgórz, ze skraju zagajnika dostrzegaliśmy warowny kościół i wieś w popołudniowym słońcu, i zawracaliśmy. Tylko nie za blisko! Ominęliśmy także Kaltbrunn. Przeniesiono tam pastora Arnolda Wortmanna. Choć zaraz po moim powrocie przekazał mi wiadomość, że ucieszyłby się z mojej wizyty, coś mnie przed nią powstrzymywało. Odzywała się we mnie pewnego rodzaju uraza, a może lęk.

We dwójkę wędrowaliśmy przez zaśnieżone pola, często zygzakiem po śladach uciekającego zająca albo za drobiącym prosto lisem. Elke przywoływała wspomnienia, ja milczałem. Kurta Feliksa nie wspominaliśmy nigdy.

A jednak dałem się namówić Elke, żeby wstąpić na plebanię w Kaltbrunn, za akacjowym lasem. Dochodziło południe. Byliśmy przemarznięci i głodni.

— Nie bój się, nie spotkasz tam nikogo. Ich syn Theobald dostał sześć lat, za niezgłoszenie, jak nasz Kurt Feliks. Czy on nie był przypadkiem twoim kolegą szkolnym? — Wiedziała, że nie może ode mnie spodziewać się odpowiedzi, więc mówiła dalej: — I ta pastorowa, pani Emilia. Najmilsza osoba, jaką znam.

— Jak to? Milsza niż nasza babcia?

— Nie, ale inna. A tak na marginesie, nikt nie wie, co pastora rzuciło do tej dziury. — Ja wiedziałem. — Przedtem Elisabethstadt, a teraz Kaltbrunn. Ta wieś jest prawie pusta. Ludzie uciekają do miasta. Przede wszystkim z okolicznych wiosek przyjeżdżają do nas, do Fogaraszu. Nigdy w szkole nie było tylu saskich dzieci co od kilku lat. Ich rodzice pracują w fabry-

kach. I wszyscy budują domy, obok siebie, po sąsiedzku, jak się przyzwyczaili na wsi. Koło cmentarza żydowskiego powstało Małe Kaltbrunn. Koło cegielni Małe Rohrbach. W pobliżu rzeźni Małe Felmern. A co się wyprawia w domu kultury! Chóry, zespół taneczny, kółko czytelnicze, wystawiają sztuki, naprawdę można się uśmieć! Dokładnie tak, jak opisałeś to w *Czystym kruszcu*. — Na myśl o tym dostałem gęziej skórki: a w samym środku tańczy Securitate! Tango kryminalne!

— No chodź! — pociągnęła mnie w stronę plebanii. — Czasami przychodziłyśmy tu z mamą w niedzielę. To jedyne miejsce, gdzie mogłyśmy zapomnieć o nieszczęściach. Tu jest jak w bajce, jak na innej planecie. Przecież byłeś zaprzyjaźniony z pastorem? Mieszka tu już prawie rok.

Plebania leżała na wzniesieniu obok kościoła i szkoły. Na szczytowej ścianie widniała data 1751. Przed bramą Cyganka posypywała oblodzoną drogę popiołem. Wzięła Elke za rękę i poprowadziła ostrożnie do bramy. Czcigodny ojciec się ucieszy. Właśnie pobożna matka nakryła do stołu.

Siedzieliśmy w kuchni, której okna wychodziły na południe. Na horyzoncie szczyty Karpat kąpały się w świetle. Kwiecista zasłona dzieliła stół kuchenny na dwie połowy: na jednym końcu pastorowa ułożyła właśnie trzy nakrycia, druga połowa zarzucona była papierami. Gabinet pastora i kuchnia w jednym, ale starannie oddzielone ścianą z tkaniny. Inaczej wyglądał pokój do pracy na wspaniałej plebanii w Elisabethstadt. Ale tak samo jak przedtem złote rybki igrały w swoim akwarium. Murowany piec dawał ciepło. Komin był tak obszerny, że w czasach Rosjan chowały się w nim młode dziewczyny, jak powiedziała pastorowa. Małżeńskie łóżka stały w pobliżu pieca, w kącie kanapa zapraszała do odpoczynku. W tym jednym pomieszczeniu było wszystko, czego potrzebuje człowiek, żeby żyć i umrzeć.

Nie mówiąc ani słowa, żona pastora rozłożyła obrus, zabrała jedno nakrycie i dołożyła dwa nowe.

Pastor Wortmann nie objął mnie, ale długo trzymał moje dłonie w swoich, przyglądając mi się badawczo. Dlaczego tak na mnie patrzył? Czy postąpiłem zgodnie z jego oczekiwaniami?

— To, co pan właśnie przeszedł, to twardy orzech do zgryzienia. Ale widzi pan, te tak zwane razy od losu powinny być dla nas zaszyfrowanymi sygnałami ze świata Boga, które otwierają nam dostęp do głębszej wiedzy. — Wytwornymi gestami zabrał się do mieszania karmy dla świń. — No a teraz porozmawiajcie z moją żoną. Na wsi panują żelazne zasady: najpierw zwierzęta, potem człowiek, a na końcu Bóg. — Wyszedł, wesoło wymachując świńskim kubłem, wokół szyi powiewała mu fioletowa jedwabna apaszka.

Życie przepełnione przyjaźnią dla ludzi naznaczyło twarz pastorowej promiennymi zmarszczkami i fałdami. Nie stawiała żadnych pytań. Nie chciała wiedzieć, ani jak było w więzieniu, ani czy wiem coś o jej synu Theobaldzie, ani czy ukochana mojego brata, Gerhild, wiernie na niego czeka, ani czy to prawda, że leży śmiertelnie chory gdzieś w obozie pracy w delcie Dunaju. Opowiadała za to z sympatią i humorem o naszej matce, aż Elke zaśmiewała się dźwięcznie. Wprawdzie w głosie pastorowej pojawił się ton smutku, ale cieszyła się, że nasza matka mimo wszystko jeszcze potrafi śpiewać arie i pieśni z operetek.

Przy stole pastor odmówił modlitwę:

— Przybądź, Jezu, bądź naszym gościem. — Najstarsza modlitwa chrześcijaństwa

Na obiad była zupa Bertrama i knedle. Nie tknąłem jedzenia, czego nikt nie mógł zrozumieć, nawet moja siostra. Ale ja słyszałem w głowie przenikliwy głos kapitana Otto Silcseaka: „Co, twierdzisz, że twoja wizyta u tego saskiego popa to był

czysty przypadek, choć jadłeś tam obiad? O czym gadaliście, coście knuli? Przecież każdy wie, że jego syn jest więźniem politycznym”.

Pastor uroczyście zakończył posiłek i powiedział:

— Panie nam wybaczą, ale udamy się teraz do gabinetu. — Po czym zaciągnął zasłonę na środku stołu. — Teraz to jest *camera caritatis*. — Zwrócił się do mnie. — Ma pan za sobą ciężkie przejścia. A nieprzyjemne rzeczy przed sobą. Pali pan? Nie? — Zapalił aramę. — *In medias res. Primo*, nie ma nowego początku bez całkowitego zniszczenia przyszłości. Te zamki na piasku, które pan tam zbudował, musi pan rozwalić, włącznie z hodowlą zajęcy na Wyspie Błogosławionych i prostym życiem na wsi.

— Pewna pani w Fogaraszu powiedziała, że znalazłem się na ziemi niczyjej między dwoma frontami — odezwałem się uprzejmie.

— Ziemia niczyja, nie ma czegoś takiego, to jest pojęcie sztuczne. Powinien pan spojrzeć rzeczom bolesnym w twarz. I *secundo*, dobrze byłoby również, gdyby pan przemyślał, do czego się pan jeszcze czuje zobowiązany ideologicznie, a za co, jak się panu zdaje, ponosi pan moralną odpowiedzialność. Drogi przyjacielu, proszę, nie narzucaj sobie niczego siłą. Już dość tego było. A więc niech pan się zdobędzie na odwagę i odwróci się od wszystkiego, czego nie może pan poprzeć całą swoją istotą, co kłóci się z pańską naturą.

— Można przetrwać tylko jako zaciśnięta pięść — rzuciłem.

— Ale teraz niech pan otworzy pięść i wyprostuje dłoń. Niech pan ma odwagę przyznać się do swojej przeszłości, bo to jest część pana wewnętrznej biografii, w której dusza znajduje schronienie, która była dobra... — Oślupiały przypatrywałem się złotym rybkom. Czyżby to akwarium miało być jedyną

rzeczą, jaka łączy pastora, mojego Cicerone na drodze do socjalizmu, z jego przeszłością? I odparłem:

— Już Lenin powiedział, żeby przejmować z przeszłości to, co dobre.

— Możliwe. A więc niech pan uratuje z przeszłości to, co jest dla pana dobre. I, jak mówiłem, niech pan pozbędzie się wszystkich utopii i wizji przyszłości. *Tabula rasa*. Jeśli pan tego nie zrobi, siły z zewnątrz zapewnią panu zbawioną pustkę. Tylko tak może pan zacząć nowe życie. Czy się mylę? — Nie mylił się. Ale jeszcze nie chciałem tego nowego życia, i nie za tę cenę. A ponieważ teraz nie byłem w stanie udzielać odpowiedzi na pytania, milczałem. — Widzi pan, to jest prosta reguła psychologii, klasycznie wyrażona w pierwszym błogosławieństwie: „Błogosławieni ubodzy duchem”. Czyli biedni, pozbawieni ducha i biedni na tym świecie. Gdyż tylko do nich należy królestwo niebieskie. Dopiero tam, gdzie panuje taka pustka, może istnieć niebo na ziemi, niebo jako metafora pełni i doskonałości już na ziemi. A przecież tego pan chce?

Rozmowa odpłynęła daleko od oficjalnej ideologii. Zmieniłem temat:

— Pańska małżonka nazywa się z domu Müller von Kornberg. Arystokracja z ostatniego okresu ck. Skąd się to wzięło?

— Skąd się wziął von Kornberg? Mój teść, pastor Samuel Müller z Altbrück, dobrowolnie towarzyszył we wrześniu 1916 roku czterdziestu saskim zakładnikom, których Rumuni zabrali ze sobą, wycofując się z jego parafii. Sześciu zmarło podczas tej przymusowej wyprawy. Niech pan sobie wyobrazi: piechotą przez Przełęcz Czerwonej Wieży, aż za Bukareszt. Najstarszego, niejakiego Friedricha Schlattnera, osiemdziesiąt trzy lata, młodszy mężczyźni nieśli na plecach, w końcu musieli go zostawić na skraju drogi, gdzie rozstał się z życiem. Mógłby być pańskim krewnym. — Z pewnością, ale zachowałem to dla

siebie. To był mój pradziadek. — Ale nie o to chodziło. Mówiąc w skrócie, w osławionym forcie Jilava mojemu teściowi udało się dowiedzieć, kiedy niemiecki zarząd wojskowy wysyła do Rzeszy transporty zboża. Wtedy księżę von Starhemberg mógł je przejmować w Wiedniu i rozdelać wśród głodujących ludzi. To było warte tego „von”.

— Jako pastorowi powinno mu być wszystko jedno, który głodujący zostanie nakarmiony, Niemiec czy Austriak. Istnieje międzynarodowa solidarność potrzebujących.

— Nie wszystko jedno. Mój teść już na przełomie wieków twierdził, że Niemcy są winni naszego upadku. I my, Siedmiogrodzianie, także, odkąd zaczęliśmy postępować jak Niemcy, mniej więcej od 1871 roku, czyli od założenia Rzeszy.

— Nasze państwo każdemu narodowi stwarza możliwość rozwoju. — Miałem wrażenie, że cytuję wypowiedzi pastora z przeszłości. — Sekretarz generalny partii powiedział, że jak długo istnieje naród rumuński, tak długo inne narody wraz z nim zamieszkujące Rumunię będą miały prawo tu egzystować.

— To jest oferta dostosowana do *cantus firmus* liturgii politycznej. Już choćby z tego powodu należy wiedzieć, kim i czym się jest.

— A czym my jesteśmy? — zapytałem, akurat w chwili, kiedy pastorowa podsunęła nam deser, ciasto z kruszonką.

— Częstuj się, chłopcze, musisz być głodny jak wilk. A może ty pościsz?

— Siedmiogrodzcy Sasi to osobny naród. Tak się przedstawiliśmy jeszcze w roku 1918, kiedy składaliśmy deklarację lojalności królowi Ferdynandowi w Bukareszcie. Nasz kościół dawno temu nazywaliśmy *Ecclesia Dei Nationis Saxonicae*.

— Tak, naród, nawet według czterech kryteriów Stalina — uzupełniłem i wyliczyłem: wspólny język, wspólna gospodarka, wspólne terytorium i wspólne cechy psychiczne. Zresztą

w tym kraju każdy ma prawo wpisać sobie wszystko, co tylko chce. Powiesz Eskimos, zostaniesz zapisany jako Eskimos. Czasami chciałbym nim być.

— Nie uciekać, przyglądać się!

Ale ja chciałem patrzeć gdzie indziej, powiedziałem więc:

— Krótko po nadaniu szlachectwa pańskiemu teściowi cesarz abdykował, Karol Ostatni.

— Nie abdykował, ale stracił tron. Habsburgowie tylko wtedy abdykują, gdy robią innym Habsburgom miejsce. Nawiasem mówiąc, ck monarchia jest przykładem, jak trzynaście narodów może współegzystować, nie tracąc swojej tożsamości etnicznej.

Wstałem. Czy to był ostatni przystanek pastora Arnolda Wortmanna z czerwonym sztandarem? Zamiast wiosny ludów podziemia kapucynów? Ale pastor zmusił mnie, żebym znowu usiadł.

— W moim domu nie musi się pan bać. Strach okalecza istotę ludzką. I pierwszą rzeczą, którą strach pożera, jest miłość. Ale więcej o tym innym razem. Nie można wszystkich myśli wpakować do jednego kazania. Bóg jest nie tylko gniewny, *Deus absconditus*, ale też, a raczej równocześnie, jest Bogiem miłości, *Deus revelatus*. Jego sądy mogą być formami miłości. Zapewniam pana, że i panu Bóg ukaże się z dobrej strony, kiedy przyjdzie na to czas.

— A jak jest z panem, pastorze?

— Skoro mnie tu rzucił los, to tutaj zostanę, pełen duchowej ciekawości. Pozostanę, jeśli tak ma być, do końca. Widzi pan ten cmentarz naprzeciwko? Tam, w najdalszym kącie pod murem, tam będę leżał.

Kolorowa zasłona została uchylona.

— Nie dopuszczę do tego, mój drogi Arnoldzie Cezarze. Zasłużyłeś na lepsze miejsce. *Pardon*, że przeszkodziłam. — Pastorowa zasunęła zasłonę i na nowo podjęła pogawędkę z moją

siostrą: — A co będziesz robiła po maturze, moja droga Elke? Opiekunka do dzieci? Bo dzieci są takie słodkie, bezradne i wdzięczne? Pięknie to powiedziałaś. W Hermannstadt. Tam mieszka kochana babcia? To dla ciebie wymarzony zawód? Trzeba mieć marzenia, aż do późnych lat. Ja jeszcze dzisiaj marzę o tym, że mój kochany Arnold zabierze mnie do Wenecji, jak mi obiecał przed ślubem.

Pastor westchnął:

— Wszystko tu słyhać. Parafia nie jest w stanie dostarczyć tyle drewna, żeby można było dobudować jeszcze jeden pokój. Miejmy nadzieję, że zostanie tu jeszcze kilku mężczyzn, którzy kiedyś wniosą moją trumnę pod górę, na miejsce wiecznego spoczynku.

Ja tymczasem jednym uchem przysłuchiwałem się kobietom za zasłoną. Usłyszałem, że Elke odrzuciła pierwszą propozycję małżeństwa. Pewnego wieczoru jakiś młody człowiek śledził ją spod szkoły do domu. Nie mogła się go pozbyć, choć biegła jak zając. Ledwie zdążyła wpaść do domu, „Mamo, ktoś mnie śledzi!”, gdy młody rumuński oficer wszedł za nią i bez tchu wykrzyknął: „Gdzie jest ta cudowna czarodziejka? Muszę się z nią zaraz ożenić!”. Wróżka uciekła do drugiego pokoju i schowała się w szafie. Z trudem udało się rodzicom wyprosić tego w gorącej wodzie kąpanego chłopaka.

— Jeszcze jedno słowo dla skorygowania pańskiej wizji historii, może będzie to miało konsekwencje w pańskich dalszych poczynaniach. Zakładam, że zrobi pan wszystko, żeby zmienić swoją obecną sytuację. Że będzie pan chodził od Annasza do Kajfasza, żeby szukać sprawiedliwości dla siebie i pańskiego brata. Ale żeby pan nie marnował czasu i sił, niech się pan da przekonać do jednej rzeczy, niech pan to rozważy. Wiem, że jako marksista jest pan zaprzysięgłym zwolennikiem mechanizmów historii...

— Bardzo słusznie! Materializm historyczny daje nam do ręki niezawodną metodę wyjaśnienia wszystkich zjawisk historycznych i społecznych poprzez czynniki gospodarcze.

— Nie wszystkich — powiedział pastor z uśmiechem. — Proszę mi wyjaśnić, jakie materialne przyczyny wpłynęły na przejście od sztuki romańskiej do gotyku.

Rzuciłem przekornie:

— Rozwój gospodarczy jest warunkiem przemian społecznych. — I dodałem, gdyż nagle mnie olśniło: — Kiedy wasi wieśniacy przeprowadzają się do Fogaraszu i znajdują tam pracę, zmienia się ich świadomość społeczna. Jest to kolejny dowód na słuszność doktryny marksistowskiej. — Sztukę romańską i gotyk pominąłem.

— Tak, dobrze. Ale historia może się toczyć także według innego wzorca. To wzorzec staroegipski. W starożytnym Egipcie historia miała postać rytuału. Czas i przyszłość celebrowano jako ceremonie liturgiczne. Zawsze wiedziano, kiedy, co i jak powinno nastąpić, i tak było. W ten sakralny tok spraw mógł ingerować tylko faraon, i nawet on w stopniu ograniczonym do kultowego celebrowania czasu. Dlaczego? Bo tylko on był osobą, jeden jedyny. Każdy inny człowiek był nieosobą.

Nieosoba, co za dziwne słowo, pomyślałem, gdy nagle otworzyły się drzwi i weszła młoda, sympatyczna kobieta, która dopiero na progu zapukała we framugę drzwi.

— Przepraszam, spóźniłam się. Piliście już herbatę? Ach, jak widzę, macie gości. A więc Theobald ma rację. Dlatego nie chce opuścić swojej wieży. — Jej okulary zaszyły mgłą. Zdjęła okulary, chuchnęła na nie i wytarła do sucha. Potem jej spojrzenie spoczęło na mnie. Zrobiła wielkie oczy. Na nowo zdjęła okulary z nosa i energicznie je wyczyściła. Przyjrzała mi się i powiedziała: — Jak to? To ty żyjesz? Po tym wszystkim, co narobiłeś, jeszcze żyjesz? Myślałam, że umarłeś!

To była Paula Matthäi, która w Klausenburgu przy czytaniu *Szafy* Thomasa Manna wybuchnęła płaczem, która w wigilię zmusiła Annemarie Schönmund, żeby zaśpiewać *Cichą noc, świętą noc*, która pomagała wynosić meble u Armgard, studentka mineralogii, a teraz tutaj...

— Ten człowiek, wtedy, w Klausenburgu — wskazała mnie palcem — kiedy tam studiowałam, był dla nas bogiem. Ale teraz, jak to możliwe, że on jeszcze żyje, ten człowiek... No, ale ja już muszę iść. Do widzenia, towarzysze. — Obróciła się na pięcie i wybiegła. Nawet nie zamknęła drzwi.

Pastor Wortmann powiedział powoli:

— Nasz Theobald został przedterminowo wypuszczony. Ale to nie jest czysta radość. Ciągle ukrywa się w wieży obronnej, nawet w mroźne noce tam ucieka. Trwa to już od miesięcy.

— Wykupił go Kościół ewangelicki z Niemiec Zachodnich. Za sto tysięcy marek — powiedziała z dumą pani Emilia.

Pastor westchnął:

— Ale jednak cała sprawa ma też pewien bolesny aspekt... — No właśnie, pomyślałem z chaosem w głowie, dlaczego on, a nie mój brat Kurt Feliks? On też jest ochrzczonym ewangelikiem. — Bolesny aspekt. Otóż nasz syn został w więzieniu katolikiem. Długo siedział w jednej celi z katolickim księdzem nazwiskiem Vasvári. Zarzucił studiowanie teologii.

— Ale mamy też radosną wiadomość — dorzuciła pani Emilia. — Zaręczył się ze swoją przyjaciółką z młodości. Powiedział, że elektron wyrzucony ze swojego toru potrzebuje stałego jądra, żeby się nie zagubić.

— Z kim? — zapytała Elke.

Pastorowa odwróciła się do mnie:

— Na pewno ją znasz. Wasza koleżanka szkolna, Armgard Deixler. — Znałem ją. A więc w tej sytuacji wizyta u niej odpadła. — Jej ciotka, która miała tyle kotów, niedawno umarła. Na pogrzebie na cmentarzu w Obervorstadt w Kronstadt

wszystkie dwadzieścia kotów maszerowało za trumną z podniesionymi ogonami, dwójkami, jak się należy na niemieckim pogrzebie. Pastor Keintzel czuł się jak święty Franciszek z Asyżu. Wszyscy potem mówili o kocim kazaniu.

— Ale wracajmy do Egiptu — powiedział pastor z nieco wymuszoną wesołością. — Zaraz dojdę do sedna. Przy kultowej powtarzalności czasu ustaje wszelka historia, panuje święta pustka, ponieważ przyszłość jako kontynuacja przestaje być możliwa, i wtedy jest wszystko jedno, czy to pierwsza, czy czterdziesta dynastia, obraz pozostaje ten sam. Ważne jest, że konkretne rzeczy mogą dziać się tylko w określonym czasie, nie wcześniej i nie później. „Wszystko ma swój czas”, tak mówi też nasz Eklezjasta. — Przysłuchiwałem mu się z uwagą, lecz moje myśli były zbyt wzburzone: Theobald i... — A teraz wracajmy do pana, z całego serca panu życzę, żeby nie doznał pan już więcej szkód na duszy. Sądzę, a nawet jestem przekonany, że obecnie nie może pan poprawić swojej sytuacji, bez względu na to, co pan zrobi i jak słuszne będą pana argumenty.

— Według Marksa człowiek sam stawia sobie zadania, które potrafi rozwiązać. Chcę tylko rzeczy możliwych i wykonalnych.

— Na pewno, ale niech pan wykluczy aspekt planowanego czasu. Sposób obchodzenia się w tym kraju z czasem i przyszłością jako żywo przypomina staroegipską liturgię historyczną. Na przykład w planie pięcioletnim co do kropki jest określone, co, jak i kiedy ma nastąpić. Przyszłość, nawet najgłębsze obszary prywatności, zostaje zawłaszczona. Dopiero kiedy nadejdzie odpowiedni czas, może nastąpić określone wydarzenie i coś może się zmienić. Przypomniała mi się pewna paralela: w liturgii prawosławnej do dzisiaj w pewnym określonym momencie padają słowa: „drzwi, drzwi, zamknijcie drzwi!”. Prawie żaden pop nie wie, co ten okrzyk oznacza,

ale w każdą niedzielę w określonym momencie powtarza go na mszy.

Przypomniały mi się wykłady z symboliki, z pierwszego semestru teologii:

— We wczesnym chrześcijaństwie w ten sposób nie dopuszczano do uczestnictwa w sakramencie nieochrzczonych. Mogli wejść dopiero po przyjęciu chrztu w noc wielkanocną.

— Właśnie. A nie przedtem i nie potem. Chodzi o to, żeby doczekać *kairos*, nadejścia właściwego momentu.

— Chwili wyznaczonej przez Boga: Boga terroru, który całkowicie zawładnął naszą przyszłością!

— Z miłości... Ale o tym innym razem. Te dzisiejsze straszliwe procesy są tylko jedną z odmian wielkiej liturgii państwowej. Każdy, kto jest w nie zamieszany, od sędziów aż po ofiary, musi podporządkować się wyższej reżyserii, pozaplanowo nie dzieje się nic.

— Chodzi panu o to, że cokolwiek by się robiło, nie ma to sensu?

— Mniej więcej. Na procesie pisarzy oskarżeni starali się udowodnić, że są wierni linii partii, z wyjątkiem barona Pottenhofa, który pogwizdywał sobie pod nosem. Bez skutku. Nic to nie dało. Kiedy nadejdzie czas, będą wolni, nawet przed terminem.

Powiedziałem:

— Zgodnie z boską reżyserią Chrystus musiał umrzeć. Ale biada temu, kto wydał Go i doprowadził na krzyż. Ten narzucony z zewnątrz los to jedno, a drugie to osobista odpowiedzialność, tragizm i moralność. Nie pozwolę odebrać sobie swojej woli.

— Nikt panu jej nie odmawia. Ale wróćmy do moich rozważań: musi pan odczekać, choć to będzie trudne, aż nadejdzie pański czas. A wtedy wszystko samo się ułoży. We właściwym czasie skończy pan studia. Otworzą się bramy więzień. Nikt nie

będzie odsiadywał kary do końca, pański brat też. Natomiast wszelkie próby i starania przed tym czasem będą bezowocne. Dopiero kiedy faraon i jego kapłani w Bukareszcie postanowią: teraz liturgia pozwala, żeby...

Zerwałem się. Rozmowa przyjmowała niebezpieczny obrót, do licha. Już słyszałem, jak komisarz osacza mnie pytaniami: „Przecież nie siedzieliście do samego wieczora w milczeniu i nie nudziliście się?”. Gdzie, do wszystkich diabłów, podział się cały dzień? Właśnie się ściemniało. Żona pastora zapaliła naftową lampę z zielonym porcelanowym kloszem, która wisiała nad zasłoną i oświetlała obie części pomieszczenia, biuro i kuchnię. Podała herbatę w niebieskim dzbanku.

— Pójdziemy — odezwałem się szorstko.

Gospodarze zakrzyknęli niemal równocześnie:

— Herbata! Gorąca herbata! Kwiat lipowy z miodem. Z własnego zbioru. Musicie zostać. Jest całkiem ciemno. Możecie spać z nami w kuchni. Na kanapie. Theobald nie pokaże się do jutrzejszego wieczora.

— Nie — powiedziałem nieuprzejmie.

— Nie bójcie się — rzucił pastor z anielskim uśmiechem — wszystko rozstrzyga się tam. — I wyciągnął palec do góry.

— Właśnie — odrzekłem. — Dlatego możemy też iść. — Jaką decyzję podjąłby On, ten w górze, ponad zakopconymi belkami sufitu? Na którego sygnał obiecałem czekać, tam, nie wolno mówić gdzie? Już przed bramą powiedziałem: — Wie pan, dlaczego w Egipcie historia nie toczyła się dalej jak w młynku modlitewnym? — I nie czekając na odpowiedź, ciągnąłem: — Bo pewien niewolnik wyszedł poza swoją rolę. Ten buntownik wynalazł egipskie koło wodne, które samoczynnie pompowało wodę z Nilu na pola. Stał się wolnym człowiekiem i już nie musiał obracać koła czerpakowego, bez końca, bezmyślnie, wymknął się narzuconemu ceremoniałowi

faraonów, bo sam określał *kairos* i dzięki swojemu wynalazkowi mógł iść na spacer. Siły wytwórcze, które...

— Myli się pan! — zawołał za nami pastor, a jego włosy załśniły w świetle księżyca. — To był Jezus Chrystus. On zakończył to wszystko, wynosząc każdego człowieka do godności osoby. Każdemu, niewolnikowi czy żebrakowi, kobiecie czy cesarzowi nadał niezwykłą wartość: dziecka ojca w niebiosach, przyjaciela Boga. W ten sposób panowanie dyktatorów i hegemonów zostało złamane na zawsze! Niech was Bóg strzeże, odwiedźcie nas wkrótce znowu!

W zagajniku akacjowym Elke zaczęła mi opowiadać, jak odbyło się aresztowanie naszego brata. Drzewa wyglądały jak teatralne dekoracje, pomiędzy nimi biegła jasna smuga drogi. Ziarnisty śnieg dawał stopom oparcie.

25 czerwca 1958 roku Elke, Kurt Feliks i jego przyjaciółka Gerhild chcieli wybrać się na przejażdżkę rowerową. Wjazd nieco się opóźniał. Musieli naprawić w warsztacie jeden z przedwojennych rowerów marki Brenabor. Było popołudnie, kiedy w mieszkaniu zjawił się brat, bez roweru, w towarzystwie dwóch mężczyzn. Po masowych aresztowaniach w ostatnich miesiącach dziewczyny były już przygotowane i od razu zrozumiały, co się stało. Ostro nakazano im zapakować bieliznę i jedzenie na tydzień. „*Repede, repede!*” Elke stała jak sparaliżowana. Za to Gerhild zrobiła nie tylko to, co było trzeba, ale powiedziała także rozgniewana: „Chcicie zniszczyć i tę rodzinę? I wszystkich nas, Sasów? To w takim razie lepiej od razu na szubienicę. Proszę bardzo! Zabierzcie mnie”. „Zamknij swoją śmierdzącą gębę, bo inaczej naprawdę cię zabierzemy!”. Mężczyźni popatrzyli na zegarek, potem na drzwi. Między drugą a czwartą rodzice mieli wrócić z pracy. Otto Silcseak krzyknął na brata, że to z jego winy wszystko się tak przeciąga. Dlaczego zmarnował tyle czasu w warsztacie? I kto to widział, tyle

książek w prywatnym mieszkaniu? A gdzie są tajne akta? Nie ma. W takim razie muszą przejrzeć i skontrolować wszystkie materiały pisane i drukowane. Jeden z nich usiadł na fotelu. I zaraz podskoczył, jakby go coś uszczypnęło: „*Dracule!* Nawet tu książki!”

— A potem go zabrali. Musiał włożyć długie spodnie. Jeszcze teraz mam przed oczami jego niebieską koszulę. Marynarki nie wzięł, było gorąco.

Wyszliśmy z lasu. Światło księżycy było tak jasne, że musiałem ręką osłaniać oczy. Kotlina Aluty zatoneła w mlecznej poświacie. Na jej skraju wznosiły się góry jak z koszmarnego snu.

— Istnieje dziennik naszej matki pisany w formie listów do was do więzienia. Przypadkiem wpadł mi w ręce. Zaczyna się od ciebie. Lepiej go nie czytaj. Nigdy. Ale chcę ci powiedzieć dwie rzeczy. W rozpaczy mama chciała wystarać się u najwyższych organów w Bukareszcie, żeby jej pozwolili za was odsiedzieć karę, mimo że, jak pisała, to miejsce budziło w niej przerażenie. — Szliśmy dalej, a Elke mówiła: — Nie miałam pojęcia, że mama była tak zrozpaczona. Nigdy nie chciała nas obciążać swoim cierpieniem. Właściwie każdy z nas ukrywa swoje uczucia przed innymi. A po tym, jak zabrali Kurta Feliksa, napisała: „Straciłam nadzieję, że los łagodnie się z nami obejdzie. Od teraz musimy być przygotowani na samo najgorsze”.

— Co mogło się zdarzyć jeszcze gorszego? — zapytałem.

— Kto wie.

Tamtego dnia nasza matka, która pracowała w rzeźni, wracała najkrótszą drogą z biura do domu, koło siedziby Securitate. Na przeciwległym chodniku zobaczyła naszego brata, szedł, porządnie ubrany, w towarzystwie dwóch mężczyzn. Było siedem minut po trzeciej. „Jak to, nie wybiera się na rower?”, pomyślała i pomachała mu z uśmiechem. Kiedy

grupa zbliżyła się do niej, zauważyła, że jej syn zaczerwienił się i schował twarz w dłoniach. W tym samym momencie w mężczyźnie po cywilnemu rozpoznała Otto Silcseaka. I już wiedziała wszystko. Oparła się o słup telefoniczny. Słyszała, jak oficer zaklął: „*La dracu!* Tego nam jeszcze brakowało. *Stai locului!* Nie ruszaj się!”

Ale syn się ruszył. Zostawił obu mężczyzn, przeszedł na drugą stronę ulicy, podszedł do matki i ucałował ją. Ona zapytała: „Ty też musisz iść?”. Syn odszedł, nic nie mówiąc. Wtedy zawołała do tamtych dwóch: „Na litość boską, zabieracie mi drugiego syna?”. Kapitan Silcseak odparł uprzejmie: „Tak musi być. *Mussai!*”. Jeszcze kilka kroków i grupka mężczyzn zniknęła za żelazną bramą Securitate. Jakaś kobieta, która akurat wyglądała przez okno, wyciągnęła ręce spod biustu i załamała je nad głową: „*Vai de mine!* Biada!”. Naszej matce nogi odmówiły posłuszeństwa. Ale nie upadła. Pozbierała się i wyprostowana poszła do domu.

Nie trzymaliśmy się rady pastora: „Idźcie wyjeżdżoną drogą, znana droga jest najkrótsza”, ale po wyjściu z akacjowego lasu wybraliśmy skrót prowadzący przez wiszący most i dalej obok cegielni Stoofa.

— Dobrze znam tę okolicę — powiedziała siostra — wygrałam tu kiedyś bieg na orientację. Zaoszczędzimy pół godziny. Mama na pewno już się o nas martwi. A tatko burczy jeszcze bardziej.

Tymczasem księżyc był już wysoko na niebie. Kiedy zawisł nad czubkami drzew, odebraliśmy to jako przyjazny znak. Oświetlał teraz śnieżne połacie z bezlitosną ostrością. W blasku księżycza rzeczy straciły swoje cienie, wydawały się bezwstydnie upozowane. Nic dziwnego, że przeoczyliśmy ścieżkę i nagle znaleźliśmy się nad ciemną rzeką, bezskutecznie szukając wiszącego mostu wśród zarośli wierzbowych.

— Przechodzimy na drugą stronę. Lód jest gruby i mocny — zdecydowała siostra.

— To nie jest takie proste. Bywają ciepłe prądy, które mogą wydrążyć lodową pokrywę. Jeśli lód się pod tobą załamie, nurt cię porwie.

— Co tam. Specjalista z ciebie. Nic się nie stanie. — Trzymaliśmy się za ręce, zsuwając się po stromym brzegu w dół. Ręka w rękę zśliśmy przez nieskończenie szeroką rzekę. Tym razem światło księżyca nam służyło. Jak tropiciel śladów pochyliłem się nad lodową pokrywą, której kolor mówił o jej wytrzymałości: biała, zielonkawa, szara, czasem z lekko spienioną powierzchnią, która kruszyła się pod butem, ale pod spodem odsłaniała solidną twardość.

— Szybciej — popędzała mnie Elke — mama czeka. — Nie dałem się wybić z rytmu. Jest! Przy drugim brzegu w zakolu rzeki była dziura. Tam woda była głęboka, burzyła się wirami. W rzece zdarzają się źródła. Zwykle mają średnią roczną temperaturę powietrza, około dziesięciu stopni. Lepiej ominąć tamto miejsce. Ale siostra nie chciała nadkładać drogi. — Musimy do domu!

Przeszedłem jeszcze dwa kroki i lód zmienił barwę. Na powierzchni zaznaczył się gładki lustrzany owal, wyglądający w środku jak szklana szyba, pod którą coś kotłowało się węzowymi ruchami.

— Cofnij się, moja kochana — powiedziałem cicho, żeby nie przestraszyć siostry. Pod stopami poczułem wibrowanie cienkiej powłoki lodowej. Ale staliśmy dalej jak zaczarowani, pochyleni nad lodem. Z głębi wynurzały się twarze o niesamowitej mimice. I zaraz ginęły. — Księżycowe twarze — powiedziałem odruchowo.

— Nie — odezwała się moja siostra — to dziewczica wodna Aluta albo jej straszliwa matka Slaviga. Myślałam, że to tylko baśń. Wreszcie udało mi się ją zobaczyć. Mój Boże, ona mi

pomachała ręką! — Nagle Elke wyprostowała się, spojrzała na mnie i zapytała: — Kiedy umrę, będziesz przychodził z kwiatami na mój grób? — Obiecałem jej to.

Było tak jasno, że widzieliśmy skrzące się szczyty gór. Siostra znowu pochyliły się nad lodem, ale teraz widać było tylko lustrzaną powierzchnię, z której zagadkowo spoglądała jej własna twarz w kolorach księżycy i lodowych kwiatów: oczy napełniające się łzami i policzki mimo zimna blade jak u zjawy, krótkie włosy. Naciągnąłem jej na głowę białą czapkę, która się zsunęła.

Wielka była radość w domu, choć nikt specjalnie się o nas nie martwił. Teraz nie wyobrażano sobie jeszcze straszniejszych rzeczy. Istnieje coś takiego, jak energia nieszczęścia, która się wyczerpuje, bo ofiary nie chcą już więcej cierpieć, pocieszał mnie pastor Wortmann w Kaltbrunn.

— Powinniście byli tam przenocować. Przecież to kawałek raju — zachwycała się nasza matka.

Ojciec, już w łóżku, wymruczał:

— Dobrze, że dzieci wróciły. Ale teraz dajcie mi już spać.

30

Jeszcze raz dałem się ponieść nadziei. Odpowiedzi z najwyższych instancji na moje podania w sprawie uniwersytetu, wydawnictwa i pracy ciągle nie nadchodziły. Codziennie czekaliśmy też na wiadomość o ułaskawieniu brata.

Gunther Reissenfels, jak zwykle śmiały i lekkomyślny — w czasach studenckich wjechał motocyklem w chłopski wóz — przełamał mur milczenia. Mój dawny kolega został zesłany na koniec świata i pracował jako dentysta w kilku

górskich wioskach Banatu. Swoich pacjentów traktował według kryteriów moralnych: złym wyrывał zęby bez znieczulenia, a dobrym łątał je według wszelkich reguł sztuki. Ten niezłomny przyjaciel zaoferował mi w swojej przychodni pracę woźnicy na państwowej posiadzie. Jest to godny panów zawód, lecz słabo opłacany. Mógłbym do tego trochę dorobić, gdybym, posługując się moim moralnym doświadczeniem, pomagał mu jeszcze trafniej odróżniać dobrych pacjentów od złych. Ale lepiej zarobiłbym, pracując za dniówkę w kopalni marmuru.

Achim Bierstock zapytywał listownie nie tylko o to, jak mi się układa, i chciał mi pożyczać pieniądze — był nauczycielem niemieckiego w Heldendorfie — ale dowiadywał się też, czy nie miałbym czegoś z literatury więziennej. Zabrakło mi tchu.

Manuela Weinbrandt, siedemnastoletnia dziewczyna, która w sylwestrową noc ze spokojem podała mi usta do pocałunku, pewnego dnia stanęła na naszym podwórzu ze stoikiem ogórków. Był to tak niezwykły prezent, że wszyscy rzucili się do drzwi: ojciec, matka, dziesiątka Cyganów — drzwi na podwórze mieliśmy wystarczająco dużo. Zamiast zaprosić zaczerwienioną dziewczynę do środka albo wysłać mnie do niej, wszyscy przyglądali się ogórkom: kiszone, w zalewie octowej, a może zaprawione gorczycą?

— To tylko dla niego — wyrzuciła z siebie, postawiła stoik w śniegu i uciekła.

W tym czasie najmłodszy Bumbu wykorzystał fakt, że dorośli byli zajęci czym innym, i nasikał do garnka z zupą. O czym dowiedzieliśmy się, gdy jego ojciec wylał mu całą *ciorbę* na głowę.

— Jedzenie na tydzień! — wrzasnęła żona, chcąc wydrapać mężowi oczy.

— Tak to jest, kiedy kobiety igrają z losem — stwierdził nasz ojciec.

Manuela była sierotą, mieszkała u swojej ciotki Thusneldy Weinbrandt. Czasami chodziłem tam o zmierzchu. Przy pierwszej wizycie dama powitała mnie dwoma policzkami: — Zasługujesz na więcej, ty żółtodziobie. Ale resztą zajmie się opatrzność. Taki los spotyka tego, kto zdradza odwieczne wartości! — Nie odważyłem się zapytać, o jakie wartości jej chodzi. Czułem muskającą mnie iskierkę szczęścia, kiedy niebieski kot z mrużeniem układał się na moich kolanach. Siedziałem schowany między roślinami doniczkowymi, częstowano mnie ptasim mleczkiem.

Mój ojciec dostał od znajomego dyrektora fabryki guzików solenną obietnicę, że tamten zatrudni mnie u siebie, jeśli wszystkie inne szanse zawiodą. — Higieniczna i inteligentna praca — powiedział, kiedy poszedłem do niego przedstawić się, nawet podał mi rękę na powitanie. — I najodpowiedniejsza dla prawie inżyniera. — Trzeba mieć dobrą głowę, żeby rozróżnić wszystkie rodzaje i gatunki guzików: guziki kościane, plastikowe, to coś całkiem nowego, obciążane materiałem, guziki niciane, albo: guziki do koszul, do spodni, do mankietów, kołnierzyków, a nawet do butów. Dla klasy robotniczej guziki miały do spełnienia ważną rolę: musiały utrzymać razem to, co do powinno być razem, należało też umieć je przyszywać. Jakże krępująca była na przykład sytuacja, gdy podczas zebrania guziki w rozporzku towarzysza nie spełniały swojej roli albo gdy bluzka przodownicy pracy rozchodziła się w momencie przypinania orderu zasługi! Dyrektor zaśmiał się głośno, ja z grzeczności się przyłączyłem.

Maria Bora, moja koleżanka ze studiów, córka komunistycznego bojownika, od niedawna *doamna inginer* Posea, a więc policzek wymierzony przez Poseę z wielkimi ustami rzeczywiście zadziałał, pisała z Bukaresztu obszerne listy o tym, kto gdzie wylądował, kto z kim się ożenił i ile ma dzieci. Wszyscy moi koledzy zajmowali ważne pozycje albo

piastowali wysokie stanowiska. Wykształconych hydrologów było niewielu, tworzyliśmy więc niewielką grupę specjalistów. Ruxandę Stoicę poniosło do Kanady. Kamień spadł mi z serca. Nikt nie zawierzył mi tylu niebezpiecznych sekretów co ona. Czyżby rzeczywiście przepłynęła z Konstancy do Istambułu, jak zamierzała? „Przyjedź do nas w odwiedziny. Posea jest sekretarzem partii w Urzędzie Gospodarki Wodnej. Nic się nie może stać”. Komu? Im czy mnie?

Ale to były tylko mylące pozory. Horyzont spowijały ciemności. Z Klausenburga i Bukaresztu nadchodziły same hiobowe wieści. Nikt nie chciał mieć ze mną nic wspólnego. Wszystkie poczynania trafiały w pustkę.

Wydaje mi się, że to Uwe i Elke wymyślili, co zrobić dla poprawienia mojego nastroju: nauczyciel Caruso Spielhaupter zaprosił nas troje na 1 Maja, kiedy dotarła do niego wiadomość o „moim szczęśliwym zaprawdę powrocie do domu”. A więc w drogę, jedziemy! W tej krótkiej chwili bez wewnętrznej cenzury poczułem cichą radość. Wydawało się, że pobyt tam dobrze mi robi. Pojechaliśmy rowerami przez Rohrbach, Gross-Schenk i Agnetheln. Uwe daleko na przedzie na swoim enerdowskim rowerze marki Diamant z czterema przerzutkami. Ja na samym końcu.

Kiedy przybyliśmy na miejsce, wpadłem od razu na żonę nauczyciela. Stała na szczycie schodów. Zesztywniała na mój widok. I zaraz bez słowa zniknęła. Słyszałem, jak woła w głębi mieszkania:

— Dziewczynki, gdzie jesteście, chodźcie szybko, muszę was poukrywać. W domu jest komunista!

Nauczyciel przywitał mnie z zakłopotaniem.

— Dobrze, że mamy stajnię, tam nikt nas nie będzie słyszał. — Właśnie tam przysłuchiwałem się kiedyś jego filozoficznym monologom. Wtedy, przed trzema laty, byłem

w tym domu mile widzianym gościem, jako student i pisarz, o którym „pisze w gazecie”. Tymczasem nauczyciel zerwał ze swym solipsystycznym błędzeniem po manowcach. Zaczęło się od śmierci dziadka, która na pierwszy rzut oka wyglądała jak złudzenie: oparty o ścianę kurnika zdawał się wyciągniętą rękę nadal wydawać polecenia. A mimo to był martwy, zaprawdę. — Wie pan — powiedział Spielhaupter, rozglądając się dokoła — jedno i to samo może oznaczać różne rzeczy. W tym przypadku, w przypadku tej śmierci, wzniesiona ręka wskazywała krainę, w której kończą się iluzje, o ile to też nie jest iluzją.

Nauczyciel pozbył się też kilku innych wyobrażeń, gdyż poczuł, jak nieprzyjemna potrafi być Securitate, nawet jeśli nie wyciąga po kogoś ręki, tylko kiwa małym palcem. Ostro wy pytali go o mnie. Ja zaś przedstawiłem go jako nieszkodliwego fantastę i może nawet przesłuchujący mi uwierzyli. Jego samego spotkała tylko drobna przykrość: jako urzędnikowi państwowemu z całą surowością zabroniono mu gry na organach w kościele. Rozwiązanie tego problemu było proste i genialne: gdy pastor Hell ze Spiegelbergu odprawiał w kościele przy otwartych oknach słowną część nabożeństwa, nauczyciel Caruso, siedząc przy fisharmonii w najbliższym kościołowi pokoju swego mieszkania, podsyłał we właściwych momentach odpowiednie pieśni. Nigdzie, nawet w najbardziej ateistycznej dyktaturze, nie można nikomu zabronić muzykowania we własnym domu, o ile sąsiedzi się na to zgadzają. Zgadzali się.

Wielką zmianą było także doprowadzenie elektryczności. W środku nocy od razu można było zobaczyć, kto gdzie śpi lub gdzie się błąka.

A mimo to późną nocną porą miałem gościa w moim podniebnym gniazdku, przy schodach do wieży obronnej. Choć na początku maja noce bywają jeszcze dość chłodne, gospodyni z ponurą miną przydzieliła mi to miejsce do spania, nie dając

mi szansę, bym jak poprzednim razem mógł je wybrać spośród lepszych ofert — na przykład nocowania w sypialni gospodarzy. Wyróżnienie to, spanie u gospodarzy, przypadło Uwemu, którego nazywali dosłownie „naszym księciem”.

Pierwsza wśliznęła się za czerwoną zasłonę piegowata Bettina. Zobaczyła, że leżę na łóżku zwinięty w kłębek, ubrany w dres, przykryty płaszczem przeciwdeszczowym i ze stopami otulonymi derką.

— Zimno ci? — zapytała i stanęła niezdecydowanie przy łóżku. Jej oddech był przyśpieszony.

— Tak — odpowiedziałem.

Jeszcze nie widziałem żadnej z dziewczyn. Podczas spożywanej w milczeniu kolacji, *palukes* z mlekiem, towarzyszyli nam tylko nauczyciel z żoną.

— Przyniosę ci koc. — I bezszelestnie zniknęła.

Krótko potem zdarzył się mały cud, o którym nigdy nie myślałem, niejasno zapragnąłem go dopiero w cichych godzinach zakratowanej samotności, a i to głównie z ciekawości: szczupła, chłopięca, czarnowłosa Beate podeszła po omacku. Przy zasłonie zatrzymała się i szepnęła swoim niskim głosem, po którym ją poznałem:

— Czy mogę ci przeszkodzić?

— Możesz. Ale proszę, nie mów tego, co mi chciałaś powiedzieć. Opowiedz lepiej o sobie. — Pracowała jako pielęgniarka w zakładzie psychiatrycznym w Sankt Marten. Więcej nie powiedziała. Przez ostatnie dwa lata zastanawiałem się nad tym, czy jej oczy były niebieskie, czy też brązowe, a teraz znów nie mogłem tego zbadać. Usiadła na krawędzi łóżka i zacinając się co chwilę, szeptem oświadczyła mi, że obie siostry modliły się za mnie. Co wieczór, osiemset razy. — A Bettina powiesiła sobie nad łóżkiem twoje zdjęcie.

— Ale już tam nie wisi, prawda?

— Nasza matka je zabrała po tym jak, jak...

— Po czym?

— Jak zaczęto tyle o tobie mówić. Czy mogę usiąść koło ciebie?

Zrobiłem jej miejsce, otoczyłem ramieniem i zapytałem:

— Czy całował cię już jakiś mężczyzna?

— Mnie tak, ale ja żadnego. — Dotknęła wargami mojego policzka. Nigdy więcej nie przywiązać się do niczego całym sercem, pomyślałem. I pocałowałem ją w usta. Zaszleściła ciemna zasłona.

Bettina wsunęła się do środka, w ręce miała miękkie i ciepły koc wełniany:

— Kto tu jeszcze jest?

— Twoja starsza siostra.

— Ach — powiedziała i przytuliła się do mnie. Poszukała mojej dłoni i pocałowała ją z oddaniem. Skończyła Liceum imienia Stefana Ludwiga Rotha, ale nie zdała egzaminów wstępnych do Wyższej Szkoły Tekstylnej w Jassach. A teraz była ekspedientką w wiejskim sklepie: sól, gumiaki, czerwone broszury.

— Tak bardzo czekałyśmy na ciebie, Beate i ja. I pocieszałyśmy się nawzajem.

Wszyscy troje ułożyliśmy się pod wełnianym kocem. Tak mijała noc.

— A wasza matka?

— Śpi mocno. Zapomnij o niej. Przestraszyła się dzisiaj. Od kiedy umarła nasza siostra...

Bettina przerwała jej:

— Już w wagonie w drodze do Rosji, miała tylko szesnaście lat.

— ...matka boi się byle myszki.

Nad ranem zrobiło się bardzo zimno. Odesłałem dziewczyny na dół. Zapraszały mnie do swego pokoju, ale odmówiłem. Na paluszkach zeszyły po schodach, trzymając się za ręce. Lipa

była cicha mimo porannego wiatru. Nie wydała żadnego dźwięku. Jej liście były zbyt delikatne, żeby zawodzić.

Następnego dnia pożegnaliśmy się z nauczycielem przed śniadaniem. Uwe i Elke podziękowali za gościnne przyjęcie. Gospodyni pozostała niewidzialna. Babka w ogóle się nie pokazała. Nie doszło do filozoficznych rozmów: Florica, to nieobliczalne bydlę, kopnęła nauczyciela, choć zbliżył się do niej w bezpiecznym kobiecym przebraniu, żeby ją wydoić. Nikt nie machał przy bramie, jak przed trzema laty. Ale ja byłem zadowolony. Na próżno będą mnie wypytywać o tych ludzi.

Zrobiłem krótki wypad do Mediaszu, odszukałem brata Vlada Ursescu, myśliwego. Były major kawalerii siedział w siodle na środku pokoju dziennego, brodę opierał na szabli i spoglądał nieustannie na wschód, ku stepom Rosji. To prawda, ojciec był królewskim kapelmistrzem, matka córką ogrodnika, Niemca z Rzeszy, ale o generale Securitate kawalerzysta nigdy nie słyszał, ani jako o przyjacielu rodziny, ani w innej roli. Za to brat Vlad, tak, był wielkim myśliwym i jeszcze większym aktywistą partyjnym — nie jako zwykły frezer w warsztacie, tylko milicjant, który przy wydawaniu pozwolenia na broń przyjmował łapówki w postaci pieniędzy lub szampana. Dostał za to siedem lat więzienia. Dla córek myśliwego zostawiłem lalkę i pajaca, które zrobiła moja matka.

Dokąd? Dokąd? Ciotka Maly napisała z Tannenau: „Ludzie opowiadają, że dostałeś wysokie stanowisko w partii”.

Annemarie Schönmund, kiedy spotkałem ją w Kronstadt na Portengasse — wracała właśnie z pogrzebu, czarna jak cmentarny anioł — powiedziała ze szczerym współczuciem, wyciągając do mnie rękę i spoglądając przy tym swymi niesłychanie pięknymi oczami, tylko ja wiedziałem, które z nich mnie nie widziało:

— To źle być szpiclem Securitate.

Prawie cztery lata minęły od momentu naszego zerwania. Ostra jak nóż odpowiedź tym razem pojawiła się natychmiast:

— Biedactwo, pewnie mówisz z własnego doświadczenia.

Na następnej ulicy, na Klostergasse, ktoś nagle położył mi rękę na ramieniu. Gdy się odwróciłem, rozpoznałem majora Blaua. Był ubrany po cywilnemu i zaprosił mnie do pretensjonalnie urządzonej cukierni Dolores Ibarruri La Passionaria. Opanowała mnie szczególna wesołość. Wreszcie ktoś, kogo nie muszę się obawiać, o kogo potem nie będę wypytywany: „O czym rozmawialiście?”

Pan Blau nosił czerwone rękawiczki. Nie zdejmował ich. Jaskrawo odcinały się od marmurowego stolika. Zamówiliśmy kremówki i torciki ischlerskie.

— To mi przypomina moich dziadków — powiedział.

Nie dodałem „mnie też”. Może miał pobożnych dziadków, którzy w każdy piątkowy wieczór chodzili do synagogi na Wiesengasse i modlili się za niego przed swoim surowym Bogiem.

Zapytał, czy już zgłosiłem się do doktora Nana de Racova.

— Nie.

— Pan chyba wie? — Nie, nie wiedziałem, że doktor wykonał skok, który skończył się kalectwem, choć miał to być skok w śmierć. Rzucił się z pierwszego piętra znanej kliniki psychiatrycznej Socola w Jassach. — Ale znowu pracuje, choć na wózku inwalidzkim. To jeden z naszych najlepszych psychiatrów.

Rozumiał, że nie chciałem iść pracować do cegielni i że wybierałem się do władz zapytać o odpowiednią dla mnie posadę. I powiedział:

— Trzeba iść tam, gdzie partia pošle, nawet kiedy to się komuś nie podoba. Partia nie popełnia błędów. — I poparł to stwierdzenie własnym przykładem.

W każdym mieście republiki ludowej istniał od pewnego czasu pewien szczególny urząd: Oficiul de Deratizare, Urząd Deratyzacji, najwyższa instancja do niszczenia szczurów. Major został przez partię skierowany na stanowisko dyrektora szczurołapów w Stalinstadt. Siedzieliśmy, popijając mokkę i zjadając ciastka, a ja dowiadywałem się tymczasem zadziwiających rzeczy o szczurach. Jest to gatunek gryzoni, które potrafią przetrwać dzięki swej pomysłowości, będącej efektem graniczącej prawie z cudem inteligencji.

— Einstein powiedział, że gdyby ważyły dwadzieścia kilo więcej, mogłyby panować nad światem. — W momentach zagrożenia występują u nich prawie biologiczne mutacje, dzięki którym są w stanie dopasować się lub obronić. Gdy chce się je na przykład utopić w podziemnych kanałach, wtedy ze swych ciał tworzą korek i zatrzymują dopływ wody. A w tym czasie ucieka reszta stada. Nawet przeciwko truciznom potrafią szybko wytworzyć obronę. Udaje im się też wymknąć z żelaznych łapek i żyją potem z przepołowionym ciałem. O tym i ja mógłbym dużo opowiedzieć.

Skoro państwo i partia nie popełniają błędów, musiało to być właśnie to eksponowane stanowisko, na którym major Blau najskuteczniej mógł się przyczynić do budowy socjalizmu, pomyślałem. Nie wypowiadałem już bowiem prawie żadnych myśli. Przy bliższym przyjrzeniu wydawało mi się to wręcz chwalebna misją, najodpowiedniejszą wobec profesjonalizmu i duchowego wyrafinowania tego mistrza w przesładowaniu i tępieniu wrogów państwa.

Gdy powiedziałem, że nie chcę opuszczać kraju, choć moja rodzina wiele tu wycierpiała, przyznał mi rację, mówiąc:

— Nie należy opuszczać miejsca cierpienia, ale dążyć do tego, żeby cierpienie opuściło to miejsce. Człowiek musi wiedzieć, gdzie jest jego dom.

— Dom jest tam, gdzie ma się swoje groby?

Spojrzał na mnie zaskoczony. Siedzieliśmy przy jednym stoliku, on naprzeciwko mnie, ale tym razem mogłem przesuwając stół i krzesło.

— Brawo. Konkretnie i lapidarnie. Czy pamięta pan, że praojciec Abraham jako pierwszą i jedyną rzecz kupił kawałek ziemi pod mogiły w kraju, do którego skierował go nasz Bóg?

— *Machpela*. — I pomyślałem: nasz Bóg? Czy miał też mnie na myśli?

Pan wszystkich szcurów Stalinstadt zakończył swe rozważania słowami:

— Bez przeszłości nie ma przyszłości. Zobacz pan, że klasa robotnicza kiedyś też będzie musiała sięgnąć do przeszłości. Tak, będzie chciała zaanektować dla siebie całą historię ludzkości, od wspólnoty pierwotnej do rozwiniętego kapitalizmu. — Zapłacił za mnie, zdjął swoje czerwone rękawiczki i powiedział w zamyśleniu: — Czerwone rękawiczki, dziecinna zabawa. U nas, jak i u was, ulubiona zabawa chłopców. — Podał mi obnażoną dłoń ze słowami: — Szalom, tu albo gdzie indziej. — Rękawiczki zostawił na stoliku.

Zajrzałem do księdza Vasváriego do kościoła. Właśnie skończył odprawiać nieszpory, w fioletowym ornacie — to był czas Wielkiego Postu. Pełen oczekiwania podszedłem do niego. Spojrzał na mnie przenikliwie i długo. Tylko Bóg patrzy w głąb serca, przypomniałem sobie. Nie uściśnął mojej ręki, którą wyciągnąłem do niego zakłopotany. Powiedziałem:

— Dwudziesty trzeci sierpnia 1958, cela dwadzieścia osiem.

— Nie znam pana. — Odwrócił się do mnie plecami w zdo-bieniach i ornamentach i skierował się do zakrystii, a za nim kościelny ze złożonymi kielichami. W drzwiach odwrócił się jeszcze i powiedział: — Kiedy cierpią jego stworzenia, cierpi też i Bóg. — Przynajmniej tyle. — Niech pan myśli o Jezusie

Chrystusie na krzyżu. — Pomyślałem o doktorze Nanie i pomodliłem się za niego.

W mojej duszy zapadała ciemność. Już nie całowałem w rękę Cyganki Floricy z naprzeciwnika, choć mówiłem: „Całuję rączki”. Za to bawiłem się z jej dziećmi, budowaliśmy przed bramą zamki z piasku. Zachwycałem się ich wrodzoną gracją i zapałem, jaki wkładały w nasze małe budowle. I dziwiłem się, że posiadanie i utrzymywanie czegoś nic dla nich nie znaczy. Ledwie zamek zdążył urosnąć aż po szczyty wież, zaraz dzieło było z radością rozdeptywane. W końcu ja też rozdeptywałem z nimi te z takim staraniem wznoszone budowle. Z wierzbowych gałązek, które przynosiliśmy znad Aluty, wycinałem im fujarki, nauczyłem się tego od pasterzy kóz w Rohrbach jako chłopiec. Podczas naszych koncertów każdy mógł grać, co mu przyszło do głowy, przy czym harmonia pojawiała się tylko w czarnych oczach dzieci, spoglądających na mnie z uwielbieniem.

Nic się nie udawało. Nie powiodło się nawet wszmuglowanie mnie do fabryki guzików, mimo licznych interwencji dobroduszych potentatów średniego szczebla.

— Jak to — wrzasnął na mnie szef zatrudnienia Samoila Jurj, któremu nie patrzyłem w twarz, ale na rozporek, gdyż ten rzeczywiście był niezapięty, guziki nie spełniały swojej roli — ktoś taki jak ty, przestępca polityczny, i jeszcze po uniwersytecie, chce do takiego porządnego przedsiębiorstwa jak fabryka guzików? Toż to prawie jest jak *cofetaria*, kawiarnia. Nic z tego, towarzyszu! — Pokuśtykał na swojej drewnianej nodze do prezesa Cooperativa Economica, wszedł bez pukania, a ja czekałem w przedpokoju. Po chwili wyszedł i triumfalnie podstawił mi pod nos jakieś pismo: — Masz, czytaj! — Na górze było napisane: zatrudniony jako robotnik dniówkowy w cegielni, praca na zmiany przy taśmie. Praca była aktualna

od września. — Zapamiętaj sobie, przyjacielu, że jako robotnik za dniówkę możesz być w każdej chwili bezterminowo zwolniony. I przez trzy miesiące, póki się nie sprawdzisz, nie ma dla ciebie opieki lekarskiej i chorobowego. — Nie tak, towarzysz!

Nasza matka zasięgnęła języka na temat tego okrutnego człowieka.

— Musisz zrozumieć tę jego nienawiść do ludzi takich jak ty. Skończył tylko cztery klasy wiejskiej szkoły. Potem Niemcy przestrelili mu nogę. W dodatku własnymi rękami buduje sobie dom w Wildgarten, sam łąpi i wypala cegły, a więc nie kradzionego. Trzeba to zrozumieć... — że chodzi z rozpiętym rozporkiem, pomyślałem.

Ojciec ujął to najtrafniej:

— To są instrukcje z góry.

Ciotka Mały pisała w liście nie tylko o tym, ile musi pracować, odkąd Griso umarła, ale między innymi o filmie, w którym kowboj znalazł pracę i nowe życie na Dzikim Zachodzie. Z czego moi rodzice, obeznani z takim zaszyfrowanym językiem, zrozumieli, że powinienem za wszelką cenę próbować wyjechać na Zachód. „Musisz wyjechać, tutaj nie masz żadnej przyszłości”, mówiono po cichu wśród ciotek i przyjaciół.

Opanowała mnie przekora: zobaczymy, czy tutaj nie uda mi się jakoś pozbierać do kupy swojego życiorysu. W tym kraju!

Pewnego popołudnia Irenke Simon jednym skokiem weszła z podwórka do kuchni, w której właśnie przepisywałem na czysto kolejne podanie. Nie padliśmy sobie w ramiona, czego można by oczekiwać po dzieciach, które kiedyś razem ukrywały się w ogrodzie pod irysami. Poprosiłem, by usiadła na stołku.

Coś się w niej zmieniło, nie wiedziałem tylko co; może dlatego, że unikałem przyglądania się ludziom. Mimo to za-

cząłem powoli lustrować ją wzrokiem, z dołu do góry. A ona w tym czasie gadała. Chciała, żebym opowiedział, jak to jest w więzieniu. Bo jej mąż też tam jest, niewinnie, ale jednak tam. Pytała, jak w takim miejscu wygląda *viața sexuala*. I o inne rzeczy. Kiedy nic nie powiedziałem, Irenke stwierdziła z westchnieniem:

— No tak, przecież wy, polityczni, musicie trzymać gęby na kłódkę.

Dalej nosiła skórzaną spódnicę, choć teraz wydawała mi się za krótka. Kiedy założyła nogę na nogę, w oczy rzuciły mi się owłosione łydki, tak cienkie były jej nylonowe pończochy. Zapaliła zieloną virginię. Mnie też poczęstowała. Paznokcie, czerwone jak maki, miały kształt długich szponów, była to kokieteryjna wskazówka, że jej ręce służyły tylko do ozdoby, a przynajmniej nie musiały wykonywać żadnej ciężkiej pracy. Przypomniałem sobie narzekania jej matki: Irenke musi harować jak dziewczka stajenna. Gdzie znalazła pracę? Cooperativa Economica.

— A który dział? — Najlepszy, fabryka guzików. — Bo dalej mam ich wszystkich w ręku. — Jej biust, tam zawędrował tymczasem mój wzrok, czy nie był trochę zbyt teatralnie podniesiony do góry pod bluzką zbyt przezrystą jak na tę porę roku? W kącikach oczu widać było drobne kurze łapki. Na powiekach zwracała uwagę gruba warstwa zielonego cienia. Rozejrzała się bezceremonialnie dokoła, pociągnęła nosem i powiedziała: — To mi przypomina moje dzieciństwo.

Tak, mniej więcej tak wyglądało w mieszkaniu dozorczy. I podobnie pachniało. Ciasno tam było. Bardzo nam się to podobało. My, chłopcy, często się tam zakradaliśmy i przesiadywaliśmy w kuchni, gdzie wszyscy się o siebie potykali, od dziadków do dziewczynek, kontaktowali się wszystkimi zmysłami i z przyjemnością zajadali chleb ze smalcem i czosnkiem.

Irenke nie dała mi spokoju, aż obiecałem, że ją odwiedzę. Miała po mnie przyjść. Będę się czuł jak w domu, wiele rzeczy przypomina nasze dawne mieszkanie w willi, wzorowała się trochę na guście mojej matki. Poza tym mogłaby mi pomóc dostać odpowiednią dla mnie pracę. Może nie od razu posadę naczelnego inżyniera fabryki dynamitu, ale też nie jako robotnik fizyczny, jakieś biurowe zajęcie, lepsze niż jej praca. Bo przecież ja mam studia. A potem musiała iść, popołudniowa zmiana... Pocałowała mnie w usta. I poszła. Już nie pachniało u nas biedą. Teraz czuć było ostre perfumy. Rozpaczliwe pożądanie i pragnienie nagiej kobiety, wyobrażanie sobie tej sceny tysiące razy, w rozkosznych kolorach i lubieżnych gestach, tam, nie wolno mówić gdzie. Ta wizja dręczyła mnie i teraz, kiedy Irenke z krwi i kości posiedziała w naszej kuchni, kobieta z tamtych snów, nieukrywająca niczego, łącznie z podwiązkami: kobieta starsza ode mnie, z niejednym doświadczeniem za sobą, otoczona pewną atmosferą dzięki wspólnym wspomnieniom, obecnie bez mężczyzny. Ale przede wszystkim, jak sobie obiecałem: moje serce pozostało niezaangażowane.

Już kiedy o zmierzchu szliśmy do niej, sięgnęła od razu po moją dłoń, złapała ją i zaczęła miętosić w swojej, choć moja ręka była jak z drewna — nie chodziliśmy tak nawet z siostrą, z wyjątkiem tamtego razu na zamarzniętej rzece w nocy. Gdy skręciliśmy pomiędzy bloki przy świńskim targu, wzięła mnie pod ramię i przycisnęła moją rękę do swojej lewej piersi. Co to ma znaczyć? Jest mężatką, a jej mąż siedzi w więzieniu! Tak pomyślałem. Ale nie protestowałem.

Weszliśmy do czteropokojowego mieszkania na pierwszym piętrze.

— Jak to? Przecież jest was tylko dwoje.

— To z powodu moich mebli. — I dodała z wyrzutem, że jej mąż był wszak burmistrzem, potem szefem urzędu mieszka-

niowego, a przez ostatnie dziesięć lat było to jedno z najtrudniejszych stanowisk w mieście.

Wszystko, nawet komórkę na miotły, musiałem dokładnie obejrzeć: ogromny balkon zdobiony sztucznymi kwiatami, dwie ubikacje i oczywiście łazienkę.

— A teraz zdejmij buty, pokażę ci mieszkanie od salonu aż po sypialnię.

— Nie zamierzam. Co to za pomysły. Zresztą sypialni się nie pokazuje.

Ale wszedłem w skarpetach. Na orientalnych dywanach rozpostarta była plastikowa folia. Skrzypiała przy każdym kroku. Usiadłem na skórzanym fotelu i zaraz poderwałem się jak oparzony. To był komplet klubowy wujka Daniego! Usiadłem z powrotem i rozejrzałem się dokoła. Zbieranina mebli wszystkich stylów i rodzajów. Irenke czekała na okrzyki zachwytu. A ja milczałem. Imperialnym gestem zatoczyła po pokoju koło i powiedziała z przejęciem:

— *Empire i biedermeier.*

Zaśmiałem się:

— Nie opowiadaj bzdur. Bieliźniarka należała do ciotki Fritzi Haupt. Przełom wieków. W Fogaraszu twój mąż wyrzucił trzy saskie rodziny, Hauptów, Königów i nas. I sam diabeł wie, ilu Rumunów i Węgrów. Tu są ich najlepsze meble. Patrz tylko, kredens rodziny Königów. Lata trzydzieste. Chcesz usłyszeć więcej? Tamtą szafkę z blatem z różowego marmuru straciła rodzina Șerban de Voila. Stłoczyliście ich w dwóch pokojach, *repede, repede*, wszystko nocą. — Opadła mnie przedziwna chęć, by wszystko nazwać po imieniu, wyrzucić z siebie to, co się we mnie nazbierało. Ucisk z tyłu głowy był nie do zniesienia.

— Zostawmy to. Zróbmy sobie miły wieczór — powiedziała Irenke nieporuszona. Popchnęła mnie do sypialni. — Przebiorę

się tylko. A ty tymczasem naley sobie koniaku. Zaraz będzie kawa. Masz tam papierosy, zielone virginie, jakie lubisz.

Pod oknem stał turecki stolik do papierosów *colonela* Procopiescu, naszego lokatora w domu z kamiennymi lwami, i cztery taborety. Przy tym stoliku z arabeskami na mosiężnej płycie siadywaliśmy jako goście, przyjmowała nas dama serca pułkownika, *doamna* Lucretia. Włosy mieliśmy grzecznie uczesane na mokro i usilnie staraliśmy się zachowywać zgodnie z regułami dobrego tonu. *Doamna* Lucretia rozpieszczała nas, podając sorbety i *dulceața*, udzielała nam też nauk o życiu miłosnym Napoleona.

A tu, proszę, bajeczne podwójne łoże pułkownika sprowadzone z Paryża, z wbudowanymi lampkami nocnymi, zmieniającymi kolor od fioletowego do czerwonego, z wysuwanymi popielniczkami i przeszkloną półką na książki u wezgłowia! Nawet babcia z Hermannstadt pogodziła się z myślą, że nie jest to łoże rozpusty, choć *colonel* i *doamna* Lucretia spędzili w nim wspólnie niejedną noc, a nie byli małżeństwem.

Irenke i ja przed wojną naoglądaliśmy się wystarczająco dużo francuskich filmów, żebym mógł teraz przewidzieć zaplanowaną przez nią kolejność wydarzeń. A więc: szlafrok w ogromne róże na czarnym tle narzucony na gołe ciało, u góry niedbale zapięty, by można było widzieć wypukłości piersi. Papierosy, kawa i koniak, podnoszone do umalowanych ust dłonią z odstającym małym palcem. Niezobowiązująca wymiana słów oraz efekty świetlne: najpierw zgasić górną lampę — czy to nie ten żyrandol wisiał w naszej spiżarni? Z kłozkami w kształcie lilii? Wołałem tego nie wiedzieć. Włączyć lampki przy łóżku, dla wprowadzenia w nastrój żółte światło. Teraz rozpięcie guzików, negliż opada w dół z jedwabnym szelestem. I oto stoi przede mną, drżąca z podniecenia i oślepiąco naga. Podrywa mnie z fotela. Od tej chwili nic nie dzieje się dość szybko: wyłuskuje mnie z koszuli. Resztą muszę załatwić

sam. Przez chwilę przyciska do mnie piersi, ciężko dysząc. Potem pociąga na łożo rozpusty. Przy punkcie kulminacyjnym światło fioletowe lub czerwone. Do jej temperamentu wszystko w czerwieni. I jedno jest pewne: nie rzucimy się na siebie i nie będziemy się turlać jak szaleni po podłodze pokrytej folią. Łóżko z Paryża zobowiązuje.

Wszystko mi jedno. Zapomnieć, wreszcie.

Weszła do pokoju jak diwa, ubrana w fioletową szatę w różowe róże. Rytuał mógł się zaczynać, przyszłość była zaplanowana. Pozwalałem robić ze sobą wszystko, zdjęcie koszuli, gorąca skóra na sercu. Poddawałem się jej reżyserii. Poddawałem się — do pewnego momentu.

Już leżąc obok niej w ogromnym łóżku, nagle drżący od obcej nagości — w łóżku, w którym dawno temu mocowaliśmy się z Kurtem Feliksem, *colonel* był na urlopie, a my zakradliśmy się przez niezamknięte drzwi, zapasy te skończyły się remisem, zrozumiałem wtedy po raz pierwszy, że choć jestem starszy, to już nie silniejszy — w łóżku obok niej, kiedy już nie była w stanie realizować planu punkt po punkcie, lecz straciwszy głowę pomyliła kolejność i wpiła się w moje ciało czerwonymi pazurami, szepcząc przy tym węgierskie słowa, które znałem od węgierskich służących, nagle się jej wyrwałem. Wskoczyłem z łóżka i wiedziałem od razu: ona mi tego nigdy nie wybaczy. Zapaliłem górną lampę. Usiadłem na pufie. Zapaliłem papierosa. Czego chciałem? Uciekać? Zostać? Przede wszystkim zyskać na czasie.

Z trudem pojnowała. Wreszcie odrzuciła na bok błyszczącą kołdrę. Nie była w stanie powiedzieć słowa. Wydawała z siebie tylko dzikie, złe odgłosy. Paznokciami drapała się po brzuchu i biodrach. Usiadła i zaczęła kołysać się na krawędzi łóżka w tył i w przód, jak żebrzące dziecko. Ramiona splotła na piersiach. Sterczące brodawki nabrały fioletowego koloru. To oznaka ogromnej wściekłości, jak pouczył mnie kiedyś myśliwy. Zaraz

wydrapie mi oczy! Właściwie powinienem iść w swoją stronę. Uciec, jak myśliwy, kiedy Rosjanka z pistoletem zachęcała go do uprawiania miłości, aż on wreszcie zwał, goły jak święty turecki, wśród świstu kul i z martwym zającem w ręce.

Nie ruszyłem się.

Nagle wyrzuciła ramiona w górę, piersi zwisły bezwładnie, kawałki surowego ciasta, w gęszczu włosów pod pachami było widać srebrne nitki. Opadła na plecy i leżała tak, bezwstydnie wystawiając brzuch do góry, na jej udach wiły się drobne szlaczki żyłaków. Nie odzywała się, prawie nie było słyhać, że oddycha. Potem wstała, bardzo powoli, podeszła i stanęła przede mną. Za blisko, odsunąłem ją ostrożnie na bok, do ściany ze srebrnymi motylami i orchideami. Naga usiadła na pufie pokrytym aksamitem i zapaliła papierosa.

— Co cię napadło? — Mówiliśmy po rumuńsku, dla nas obojga był to neutralny język.

— Mój brat jest w więzieniu.

— To nie powód. Mój mąż też jest w więzieniu.

— Bo kradł. A mój brat bez powodu, żadnego powodu. I wielu innych braci razem z nim.

— To jest twoja burżuazyjna zrozumiałość. Wam, politycznym, wydaje się, że jesteście lepsi niż biedny złodziej. A przecież jesteście o wiele niebezpieczniejsi niż wszyscy inni razem wzięci. Bo wy chcecie przywrócić dawne czasy.

— A ty co robisz? Dokładnie to samo. Tylko jeszcze gorzej. Tu wygląda jak w gabinecie osobliwości. Ukradłaś wszystkie te meble, żeby wskrzesić dawne czasy i na dobre się w nich zagnieździć. Bo nigdy do nich nie należałaś. Kiedy Antál Simon wyrzucił nas z domu, pamiętasz, kręciłaś się koło nas tamtej nocy. A my myśleliśmy, że jako dobra sąsiadka przychodzisz nam pomóc. Teraz wiemy, że pomagałaś swojemu przyszłemu mężowi i przy okazji umiałaś zadbać o swoje interesy. Obrabowaliście nas. I wielu innych. Właściwie powinienem zadzwonić

na milicję. Bo nawet według waszych praw — mówię „waszych praw” — jesteś po prostu złodziejką. Ale kruk krukowi oka nie wykole. — Jak dobrze zrobiło mi to, że mogłem tej osobie wykrzyzczyć w oczy całą prawdę.

Jej twarz pobrzydła ze złości, gdy powiedziała:

— To jest walka klas. Sprawiedliwość wyrównawcza. Bogaci muszą zostać oskubani. Odbieramy sobie to, co nam zabieraliście przez stulecia. — Wy! Mówi to z nienawiścią.

— Zapamiętaj sobie jedno zdanie mojego dziadka, którego znałaś, lubiłaś i do niego jedyne go zwracałaś się „całuję rączki”: ze zła nie wyrośnie dobro! I zapamiętaj też moje słowa: zamiast jako proletariuszka o rozwiniętej świadomości klasowej walczyć o nowy świat prawdziwej wolności i sprawiedliwości, uprawiasz podwójną grę, udajesz coś przed sobą i innymi ludźmi i rujnujesz swoje życie. — Chciałem ją upokorzyć, ale nie zranić. — Kochana Irenke — powiedziałem prawie proszącym tonem, podszedłem i pogładziłem ją po fioletowych piersiach, bo najwyraźniej podkreślały jej żalostną sytuację. Ale ona chwyciła moją rękę zębami i ugryzła.

— Au, ty bestio!

Powiedziałem:

— Na próżno stroisz się w cudze piórka. Nigdy nie będziesz damą. Ani naga, ani ubrana. Stań przed lustrem mojej ciotki Fritzi. Możesz tam przestudiować całą swoją sylwetkę aż do łędźwi, z lewa, z prawa i z przodu. Obejrzyj w lustrze ciało i duszę. I przyznasz mi rację. Nie jesteś damą. Ale po co miałabyś być? Masz inne talenty i inne zadania niż małpowanie burżuazji. A przede wszystkim masz przed sobą przyszłość. Której ja już nie mam. I przestań wreszcie opowiadać te kłamstwa: *empire* i *biedermeier*. Żaden mebel w tej zbieraninie nie jest antykiem.

— Kłamiesz! — ryknęła, wściekła jak furia. I była tak szczerą w swoim bólu, że mogłbym ją za to pokochać. — Chcesz się

na mnie zemścić! Zemścić, bo ty i twoja rodzina staliście się kupą gówna! A największym gównem jesteś ty! W cegielni, to najgorsze, co może być! Obyś tam szczęł! Już ja się o to postaram, mam jeszcze tyle wpływów u władz. — Złapała szlafrok i przykryła brzuch. — Jeszcze cię dostanę, *urfi*. Postanowiłam to sobie już wtedy, gdy w skórzanych spodenkach biegałeś po zwirowanych ścieżkach w waszym ogrodzie, a ja musiałam plewić pokrzywy albo przycinać żywopłot.

— Ty, aktywistka partyjna, dla siebie jednej masz czteropokojowe mieszkanie, a mój sąsiad, Cygan Bumbu, prawdziwy proletariusz, gnieździ się ze swoją rodziną w dziesiątkę w kuchni z pokojem. Dlaczego nie zabrano wam tego wszystkiego, kiedy twój mąż sprzeniewierzył pieniądze? Mnie i mojemu bratu ściągnęli z tyłka ostatnie spodnie.

— Jeszcze jedno słowo i wydrapię ci oczy!

— Powiem jeszcze tylko tyle, i możesz to zgłosić do Stalinstadt albo dokąd chcesz: nie wierzę już w waszą sprawiedliwość ani w to, że chcecie dobra ludu. Kiedy zobaczyłem to tutaj, wiem, że Lenin miał rację, gdy mówił, że arystokracja robotnicza jest o wiele bardziej niebezpieczna niż dawne klasy wyzyskiwaczy były kiedykolwiek. — Pożegnałem się węgierskim zwrotem *Alázatos szólgájo*, sługa unizony, i wyszedłem. Kompletnie ubrany. I bez martwego zająca w ręce. Nikt też za mną nie strzelał.

Wróciłem do domu późno w nocy. Czekąca na mnie tradycyjna odmowa z pewnego urzędu. O Kurcie Feliksie nic. Matka, która jeszcze nie spała, usłyszała moje ostatnie na długo słowa: — Pusta przyszłość. — Mojej ostatniej myśli nie poznała: Kto jest tam, nie wolno mówić gdzie, może jeszcze mieć nadzieję. Kto jest tutaj, nie.

Zamknąłem się w małym pokoiku, zasłoniłem okno kostiumem z amerykańskiej flagi: niebieska spódniczka

w białe gwiazdy, biało-czerwony gorsecik, powiesiłem na to jeszcze czarną płachtę chorągwi żałobnej. Miało być ciemno w dzień i w nocy! I przez sześć tygodni nie ruszałem się z tego zaciemnionego pomieszczenia, ku milczącej rozpacz całej rodziny.

Bez echa pozostawały koncerty na fujarki wygrywane pod zaciemnionym oknem przez cygańskie dzieci, choć były tak przenikliwe i powodowane życzliwością. Na próżno siostra codziennie zakradała się do mnie do pokoju, gdzie w ubraniu leżałem na łóżku i wpatrywałem się w ciemny sufit. Nic nie pomagało, że siadała koło mnie, gładziła moje dłonie, a potem bezwładne jak kawałki drewna odkładała z powrotem; po jej twarzy cicho spływały łzy. Nic nie było w stanie skłonić mnie do mówienia.

Na nic nie zdały się także słowa pastora Wortmanna, które moja matka podała mi przez drzwi razem z jedzeniem: „Wreszcie zbawienny kryzys. Bardzo dobrze! Zniszczona przyszłość tworzy boską pustkę. Tylko tak Bóg może się pokazać ze swej najlepszej strony, rozświetlić swoje oblicze, jak my to nazywamy”. Puste słowa, chińskie zwroty bez celu i sensu, matka zabrała je z powrotem razem z jedzeniem. Prawie nic nie jadłem, choćby dlatego, żebym nie musiał chodzić do sła-wojki, był to akt woli, który mnie przerażał.

Żyłem z uprzejmości. A nawet jeszcze gorzej: brakowało mi siły, żeby nie żyć. Moja rodzina wiedziała o tym. Nocą wszyscy po kolei podkradali się do mojego łóżka i nasłuchi- wali. A w dzień każdy chciał mi poświęcać czas, którego ja nie chciałem.

Ojciec, gdy tylko wracał z pracy, wsuwał do mnie głowę przez drzwi i mówił: „Głowa do góry, Johannes! Wszystko przechodzi i wszystko mija, po każdym grudniu maj kwiaty rozwija”. On, który nigdy nie opowiadał o Rosji, zresztą i poza tym, ku utrapieniu naszej matki, raczej nie szafował słowami,

stanął pewnego dnia w zaciemnionym pokoju przy moim łóżku i powiedział:

— Rosja! Minus czterdzieści stopni. Uciekłem z szopy z trupami. Ważyłem czterdzieści kilo, kiedy jechaliśmy do domu, przyjaciele musieli wsadzić mnie do wagonu. — I ciągnął: — Czterdzieści to szczególna liczba. W Biblii oznacza karę i pokutę: czterdzieści dni potopu, czterdzieści dni Jezus pościł na pustyni. Ale na dłużej nie należy się zamykać przed światem. Poza tym, mój synu, kto stoi w miejscu, ten rdzewieje. Po każdym kataklizmie przychodzi dobry okres. Bo czterdzieści to liczba dopełnionego czasu. Tyle dni przebywał na ziemi zmartwychwstały Chrystus. Tak, i czterdzieści dni naród żydowski błądził na pustyni, a dopiero potem...

— Jak ja — powiedziałem słyszalnie.

Wszyscy się ucieszyli, podawali sobie te słówka jak kosztowną perłę. Uwe kupił magnetofon marki Tesla, wydał na to całe swoje oszczędności z pracy elektrotechnika, i nagrywał wszystkie tanga, których słuchano w mieście, bo wiedział, że bardzo je lubiłem, kiedyś. Czasami też rock and rolle, żebym się przyzwyczyił do nowych czasów.

Moja matka nie odzywała się słowem. Kładła się tylko obok mnie na łóżku po powrocie z biura. Leżała tak chwilę i odpoczywała, choć zwykle już w bramie zdejmowała płaszcz i rozpiniała sukienkę, żeby nie stracić czasu i od razu wskoczyć w roboczy strój domowy.

Pozwalałem robić ze sobą wszystko. Ale jako że nie można żyć bez myśli, wybrałem sobie jedną myśl z wiersza Paula Celana, że trzeba opuścić swoją flagę do połowy masztu pamięci, do połowy na teraz i na zawsze. I przez czterdzieści dni i czterdzieści nocy powtarzałem sobie tę myśl w głowie.

Czterdziestego dnia wieczorem zaskrzypiała brama i usłyszałem w kuchni okrzyki mojej rodziny: „Przyszło dwóch

z Securitate!” Podszedłem do okna i zobaczyłem, jak tamci idą prosto do naszych drzwi, w garniturach i kapeluszach.

Lekki powiew radości i nowa myśl: Chwała Bogu, koniec tej strasznej wolności. Teraz wrócisz do swoich towarzyszy. Oni już cię nie odepchną.

Pytanie, gdzie jestem.

— Chory. Chory psychicznie — powiedziała moja matka.

— Wiemy.

Miałem spakować najpotrzebniejsze rzeczy. Odetchnąłem: a więc z powrotem do tamtych, którzy w niebieskiej ciemności zgromadzili się wokół mnie! I nagle zrozumiałem: ja ich kocham, kocham ich wszystkich, bez względu na to, czy się nazywają Hugo Hügel, Hans Fritz Malmkroger, czy Peter Töpfer, czy to ja cierpiałem przez nich, czy oni przeze mnie, kocham ich rozpaczliwie. Na wolności byłbym na całe życie od nich oddzielony. Dlatego chcę z powrotem, z powrotem do nich.

Przyjdą po mnie jutro wczesnym rano. Matka powiedziała drżącym głosem:

— Tym razem na to nie pozwolę. Jest potulny jak baranek. Z nikim nie zamieni ani słowa. Te lata tam zrujnowały jego nerwy, zniszczyły go. Nas wszystkich. On potrzebuje opieki lekarzy.

— Właśnie. Napisała pani, *doamnă*, list do doktora Scheditana. Ale w Stalinstadt nie ma w klinice miejsca. To zresztą nie jest dobre miejsce dla pani syna, tam nie mógłby wyzdrowieć. Dlatego zabieramy go do Tîrgu-Mureş, do kliniki uniwersyteckiej. I niech pani nie mówi nikomu ani słowa. Oficjalnie pracuje jako geodeta w terenie. *La revedere*.

Doktor Matyas Matyas, dyrektor na najwyższym piętrze kliniki uniwersyteckiej w Tîrgu-Mureş/Marosvásárhely, przywitał panów z Securitate po węgiersku, co ich trochę zmieszalo. Nawet na *Bună ziua* odpowiedział: *Tessék parancsolni!* Czym mogę służyć? Znanego psychiatrę sprowadzono tu z Budapesztu, wprowadzie na teren Rumuńskiej Republiki Ludowej, ale za to do Autonomicznego Regionu Węgierskiego.

Rozmowa się nie kleiła. Przed moimi przypominającymi cienie towarzyszami, którzy przywieźli mnie tu samochodem z Fogaraszu, przemilczałem, że znam węgierski. Zakłopotani szepotali do siebie: — Jak to? W naszej republice nie możemy posługiwać się językiem państwowym? — I gdy słowa nic nie pomagały, obcojęzyczni panowie położyli na biurku teczkę z aktami i wyszli bez pozdrowienia. Profesor-dyrektor zadzwonił. Kolana mi zmiękły, gdy do pokoju wtoczył się na wózku doktor Kamil Nan de Racov, wprowadzie w białym fartuchu lekarskim, ale z nogami okrytymi pledem. Bez zaproszenia zapadłem się w jeden z klubowych foteli, jakbym chciał stać się niewidzialny. Doktor musnął mnie spojrzeniem, nie dał jednak po sobie poznać, że się znamy. Profesor w milczeniu wskazał na mnie. Podniosłem się i lekko skłoniłem, ale nie mogłem się przemóc, by głośno powiedzieć swoje nazwisko.

Doktor Nan przetłumaczył profesorowi moje akta na niemiecki, po czym ten przyjrzał mi się, na szczęście o nic nie zapytał, i powiedział:

— Trzeba się pozbyć traumatycznych przeżyć z przeszłości! Osłabiona psychika musi wrócić do równowagi. Najlepiej, żeby cała pamięć została sparaliżowana, coś w rodzaju *pneumothorax*. — Potem wrócą pozytywne wspomnienia. Zaleca się cwi-

czenia fizyczne, ruch jest niezbędny. Mówił po niemiecku. Do doktora Nana powiedział: — Na dół z nim. Pan już wie.

Na korytarzu przywitaliśmy się formalnie. Od razu popełniłem błąd, chcąc poprowadzić jego pojazd do windy. Bez słowa odsunął moje ręce od uchwyty wózka. Doktor Nan został tu przeniesiony jako podwładny, gdyż będąc kierownikiem sanatorium leczenia neuroz zawodowych — „tylko te są prawdziwymi neurozami” — zdecydowanie odmawiał zwracania się do „tych biednych okaleczonych robotników” inaczej jak *domnule* i *doamnã*. „Byłem to winien choćby naszemu królowi”. Sanatorium mieściło się w jego byłej letniej rezydencji.

— To, że wytrzymał pan w celi dwa lata, jest dla mnie wielką pociechą, a nasz przyjaciel Freud bardzo by się ucieszył. — Uśmiechnął się, spoglądając do mnie w górę. — Ale to, co szef dla pana wymyślił, to kwadratura koła. — Zjechaliśmy na sam dół, do piwnicy kliniki, gdzie mieścił się oddział zamknięty. Niżej się nie dało.

W dużej sali panował babiloński rejwach, ludzie krążyli wkoło jak wariaci.

— Niech się pan nie boi. To nieszkodliwe głupki i kretyni. Zrobię wszystko, żeby pana stąd wyciągnąć. — I odjechał. Zahamował jeszcze i odwrócił się do mnie: — Przynajmniej na spacer.

Czy chciałem tego? W tej pełnej chaosu sali chyba musiałem. Tu nie można było spokojnie siedzieć i zagłębiać w ciemne zakamarki swojej duszy. W każdej chwili jakiś Brunkenthal albo Mołotow mógł człowieka złapać za nos i wciągnąć do swojego korowodu. Długie godziny dreptałem z szaleńcami slalomem wśród żelaznych łóżek. Mieliśmy na sobie łaciate ubrania, po których każdy mógł rozpoznać, skąd jesteśmy.

Dziewięć tygodni siedziałem w tym domu wariatów i miałem zostać wyleczony. Z czego? Z grozy wolności? Z białych plam przeszłości? Doktor Nan nie odwiedził mnie ani razu.

Było mi to na rękę. Mogłem bez wstydu pograć się w moim nieszczęściu, w moim smutku. Dawały się zauważyć wyraźne paralele z aresztem. Wiele rzeczy było podobnych, niektóre się różniły. O tamtym miejscu przypominały żelazne kraty w małych oknach. Można było, kiedy stanęło się na czubkach palców, wyrzucić na zewnątrz i zobaczyć buty przechodzących mężczyzn i łydki sióstr. Tak samo jak tam w drzwiach toalety były judasze, poza tym do ubikacji można było iść tylko w parach, wariat i półwariat. Za to jedliśmy we wspólnej jadalni przy stołach przyśrubowanych do podłogi. Nie należało to do przyjemności, gdyż towarzyszom siedzącym przy stole najwyraźniej razem z rozumem odjęło maniery: mlaskali i paprali się jedzeniem. Używaliśmy aluminiowych łyżek i blaszanych misek. Nie było noży ani widelców. Także i tutaj nie wolno było podnieść na siebie ręki, nawet po to, żeby się ogolić. Wszystkie ostre przedmioty zabierali strażnicy, którzy — podobnie jak tam — z ołowianymi spojrzeniami przechadzali się wśród nas, ubrani na biało, na nogach mieli drewniaki, stukotem z daleka zapowiadające ich nadejście, w odróżnieniu od filcowych kapci strażników w więzieniu. Opornych podopiecznych nie zamykano do stojących kabin, ale na podobieństwo mumii zawijano w kaftany bezpieczeństwa i sztywnych kładziono na łóżku. Do różnic należało też to, że codziennie zapędzano nas do ogromnej zagrody, otoczonej wysoką siatką, żebyśmy odczuli świeżym powietrzem. Przy czym pacjenci prześcigali się w błazeńskich pantomimach i szalonych żywych obrazach.

Wszystko tutaj, na skraju świata, działo się równocześnie: strażnicy grali w kości i pili kawę, czasami przyłapywali jakiegoś zmęczonego życiem wariata, który chciał sobie przegryźć tętnice, i przywiązywali go do łóżka. Przerywali grę i pogawędkę, żeby chwycić za kołnierz chorego z miłości studenta Anatola i zawlec go do kąta, gdzie znajdowała się aparatura do elektrowstrząsów. Ten wił się jak ryba na haczyku: „Nie

zabierajcie mi wspomnień o moich cierpieniach!” Przywiązywali go do kozetki i przykładali do skroni nawilżone elektrody. Naciśnięcie guzika — i już nie było przeszłości. Choć jego ciało konwulsjami broniło się przed wydarciem wspomnień. Potem otwierał oczy i pytał: „Jak się nazywam?”

Kleptomaniak ukradł własny but ze swojej stopy i triumfalnie tańczył jak złośliwy karzeł z baśni braci Grimm. Inny szaleńiec podrygiwał w swoim kaftanie bezpieczeństwa.

Przewodniczący kołchozu ze Schnakendorfu rozrywał na sobie koszulę nocną od piersi aż do kolan i kołysał brzuchem pełnym czerwonych pionowych szram. Biada, jeśli ktoś w jego pobliżu chciał podnieść rękę, żeby na przykład palcami przeczesać sobie włosy. Od razu przewodniczący rzucał się na niego, a jego penis wściekle przy tym podskakiwał. Pewnej letniej nocy za bardzo zbliżył się do jakiejś dziewczki stajennej, a ta widłami zdarła z niego koszulę i spodnie, i do tego jeszcze kawał skóry. Półnagi, z fruującymi strzępami ubrania na sobie, krzycząc wniebogłosy z bólu i strachu, gnał potem przez wieś. Partia kazała go złapać i wysłać tutaj. Z tego powodu stracił rozum; dopiero tu naprawdę zwariował.

Były żołnierz brygad pancernych SS Emil, głosem, którego nie powstydziliby się kościelny organista, wyśpiewywał bez lęku i żenady pieśni *Szare oddziały maszerują ku słońcu czy Katusza*, pieśni żołnierskie z czasów Hitlera i Stalina, a mimo to był ogólnie lubiany.

Ci, których dni były policzone, umierali. Wynoszono ich pośród szpalerów przejętych wariatów, którzy żegnali się lub spluwali. Wszystko naraz.

Po mojej lewej stronie spał pewien przyjazny mężczyzna. — Nazywaj mnie — zastanowił się chwilę — powiedzmy *domnul* Göring. — Pomagałem mu. Kilka razy dziennie ukrywałem damski kapelusz i biustonosz, które on z dużym sprytem skądś wykradał, w ten sposób mścił się na swojej żonie. Przyłapał ją

kiedyś w łóżku z kochankiem. „*Madame* — powiedział wtedy — widzę, że stajesz na własnych nogach. Dziś rano przyłapiesz się jeszcze na paleniu”. Schwycił biustonosz i kapelusz i zamknął drzwi sypialni.

Krótko cieszył mnie fakt, że łóżko po prawej stronie, nie dbale pościelone, stało puste. Było to łożo śmierci. Kładziono na nim umierających z całej kliniki. Tutaj wydawali swe ostatnie tchnienia albo z krzykiem zapadali się w otchłań. I nawet tutaj, w tym rozgardiaszu, umieranie wyglądało tak samo jak tam: nagle robiło się całkiem cicho, choć dokoła dalej trwały harce szaleńców. Przewyciężyłem się i siedziałem przy tych biedakach do końca. Choć nie od razu! Najpierw odwracałem się pełen obrzydzenia. Wtedy ukazał mi się mnich Atanasie, nieśmiertelny, i przypomniał mi, jak dobrze mu było umierać w mojej obecności. A więc zebrałem się w sobie i już nie odwracałem wzroku. Pomagałem w dwojaki sposób. Kiedy ktoś był już martwy, zamykałem mu oczy, zasłaniałem twarz i wraz z innymi wiozłem go do kostnicy. Tym, którzy jeszcze żyli i o to prosili, nieporadnie mruczałem nad głową modlitwy, z wyrzutami sumienia, bo jednak był to ideologiczny dysonans, ale za to w języku ojczystym umierającego. Nie miałem przy sobie Biblii, tylko podręcznik do hydrografii Waltera Wundta i tomik Benna *Morgue*. A jednak czasem przychodziły mi do głowy odpowiednie słowa.

Wkrótce wszyscy wiedzieli o mojej usłudze. Strażnicy pozwalali mi przywozić wózek z jedzeniem. Trzeba było przynieść parę mebli: kredens u głównego dyrektora, lecz ten mnie nie poznał, bo mówiłem po węgiersku.

Tyle, jeśli chodzi o terapię ruchową. Trudniejsze niż ćwiczenia fizyczne okazało się zniszczenie własnej biografii. Jak mogłem w tym strasznym zakładzie zapomnieć o tym, co miałem za sobą, skoro te dwa miejsca były do siebie tak podobne? Ale może broniłem się przed tym, bo czas za kratami krył w sobie

to, co mi pozostało: nie zabierajcie mi moich wspomnień! Pakowano we mnie lekarstwa w stale zwiększanych dawkach, *deconnectante*. W końcu widziałem świat jak przez zielony filtr. Nie było poprawy. Odwiedzał mnie martwy mnich, powracała przerażona twarz Andreia. Utrzymywał się ucisk z tyłu głowy: mój brat.

Pan i władca z góry zarządził elektrowstrząsy. Wyprostowany szedłem na miejsce zabiegu. Trzeba umieć się zachować. I poczułem, jak cudownie jest znaleźć się poza czasem, zatrzymać się w wiecznie trwającej chwili, jak rozgwiezda albo lepiej: jak płatek śniegu.

Beate Spielhaupter podeszła i nachyliła się do małego okienka tuż nad chodnikiem. Zobaczyłem młodą kobietę w butach zapinanych na sprzączki — najwyższy doktor pozwolił mi widzieć rzeczy terażniejsze. Dziewczyna zbliżyła twarz do krat, żeby móc spojrzeć mi w oczy. Zapytałem: — Kim pani jest? — Zaczęła płakać, jej łzy kapały na asfalt. Wreszcie podniosła się ciężko i odeszła.

Pewnego czerwcowego ranka we czwórkę nieśliśmy do kostnicy ogromną kobietę. Jej wielkie ciało całkowicie przykrywało nosze. Z powodu jego obfitości nie wiedzieliśmy, za co mamy złapać. Całun nie przykrywał jej całej, małe stopy wyglądały spod niego, sterczały w powietrze.

Doktor Nan podjechał na swoim wózku. Powiedział coś, co mnie do głębi przeraziło:

— Obaj wiemy, że pan nie jest chory. Ma pan zakłócone pojmowanie czasu. Próbuje pan, tak samo jak przedtem, dokonać niemożliwego: wyjść z czasu. To się nie udaje nikomu, ani pustelnikowi, ani nawet więźniowi odsiadującemu dożywocie. Panu także się to nie udało, tam. Odsuwając się od terażniejszości, nie chce pan przyszłości. Ja panu radzę inaczej: niech pan spróbuje sprostać wymaganiom czasu, ale odpowie im zgodnie z własnym rozumem i sercem. Wreszcie udało mi się

przekonać starego króla Matyasa, żeby pana wypisał. Chciał najpierw zapytać w Securitate, ale udało mi się mu to wyper-swadować. W tym kraju, Bogu dzięki, nie ma komunistów, są tylko członkowie partii. Niestety nie pozwolono mi odwiedzać pana w tym piekle. Ale dziś wieczorem będzie pan moim gościem. Proszę mi wierzyć: bramy się otworzą. Tu albo gdzie indziej. — Nie pokazał przy tym na wschód, ale w stronę zachodu. — Powinien pan zająć się pracą. Niech pan weźmie, co się trafi. I proszę przestać zadawać sobie gwałt, własnoręcznie owijać się w kaftan bezpieczeństwa.

— Można przetrwać tylko jako zaciśnięta pięść. Tutaj też. I niczego nie wolno mi żałować, jeśli zabiorą mnie znowu.

— To niegodne człowieka. Nie może pan całe życie, we wszystkim, co pan robi i myśli, zerkać na to brutalne super-ego. Oni mają władzę tylko nad tymi, którzy się ich boją. Albo traktują ich poważnie.

Długa była ta rozmowa w kostnicy, gdzie ogromna kobieta zsunęła się nam z noszy i leżała teraz na brzuchu, rozciągnięta na podłodze jako płamista góra mięsa między stopami z jednej i zaondulowaną głową z drugiej strony.

Doktor Nan powiedział, że kostnica jest jedyną oazą prawdziwego spokoju. Dopóki człowiek żyje, nie znajdzie w sobie spokoju, ani w głowie z masą ukrytych myśli, ani tym bardziej w duszy, niespokojnej z natury. Kolana lekarza zadrżały pod pędem. Czy marzył? Wyciągnął mnie z kostnicy na światło dzienne. Usiadłem na ławce, on zatrzymał swój wózek obok mnie.

— Niech pan dopuści do siebie miłość.

— Mój młodszy brat jest w więzieniu. I wielu innych braci.

— Nie ma pan prawa dręczyć ludzi, którzy pana kochają. — Przed moimi oczami, gdy z wolna rozejrzałem się dokoła, rozpostarł się zadbany park, schodzący tarasami aż do rzeki.

Doktor powiedział: — Kto pracuje i kocha, ten jest zdrowy. I jaki pan z tego wyciąga wniosek?

— Doznałem skrawka wieczności. Wszystko tutaj w podziemiu dzieje się równocześnie. Poza tym przeżyłem kawałek Kakanii: tutaj w podziemiach poczułem coś z klimatu starej Austrii...

— No proszę — powiedział lekarz i zaśmiał się, gdyż właśnie zaświeciło słońce. — Każdy może mówić po swojemu, jak tylko ma ochotę. I jest w ten sposób szczęśliwy.

Czy coś się u mnie zmieniło? Zawahałem się:

— Pojawiła się odrobina ciekawości.

Doktor Nan został ulokowany w domku portiera na poziomie ziemi, w pokoju z kuchnią. Kiedy wieczorem zapukałem do drzwi, usłyszałem: — *Entrez!* — Otworzyłem drzwi i od razu znalazłem się w pokoju. Doktor siedział w wózku inwalidzkim. Miał na sobie bonzurkę, a na nogach koc. U jego stóp leżał owczarek collie o jedwabistej sierści, jego spiczasty pysk był schowany pod kocem pana. Po lewej stronie sparaliżowanego mężczyzny siedziała na dywanie młoda kobieta w czarnych rybaczkach. Policzkiem opierała się o jego kolana. Czarne włosy zasłaniały jej twarz. Powiedziałem zmieszany:

— *Bunã seara!*

— Moja żona. — Kobieta odsunęła włosy z twarzy, ale nie podniosła głowy z kolan męża. Musiałem głęboko się schylić, żeby ucałować jej rękę. Przedstawiła się:

— Irina. — Pies nazywał się Wyszyński. — Wyszyński, arystokrata, który zdradził własną klasę.

Przy drzwiach stały dwie torby podróżne.

— Moja żona dziś wieczorem wyjeżdża nad morze. Do Tomis. — Przed dom zajechał samochód. Rozległo się pukanie. Doktor Nan powiedział: — Pan doktor jest punktualny.

Do domu wszedł z uśmiechem asystent doktor Radu Merino. Jowialnie podał mi rękę:

— Jak słyszę, uciekł pan z Hadesu. Kto w tym domu wariatów chce wyzdrowieć, musi mieć mocne nerwy. Panu się udało. — Wziął torby i wyniósł je do samochodu, pełen energii. Pani Irina podniosła się lekko. Była młoda i piękna. Chciałem iść, ale doktor Nan zaprotestował, powiedział po niemiecku:

— Niech pan zostanie. To się zaraz skończy. — Zanim zdążyłem się odwrócić, kobieta pocałowała męża w usta. Wrócił młody lekarz, wziął panią Irinę za rękę i pociągnął za sobą. Poszła niechętnie i przesłała mężowi dłonią jeszcze kilka pocałunków.

— *La revedere, la revedere!* — Pies nie podniósł głowy ani nie zamerdzał ogonem. — *Adieu, Wyszyński, dbaj o pana!* — zawołała do niego kobieta.

Do późnej nocy słuchaliśmy Mozarta i Chopina.

— Wie pan, umierający nie chcą słuchać Bacha ani Beethovena. Wolą Mozarta. A ja jeszcze Chopina.

Zanim opuściłem klinikę, zdążył do mnie dotrzeć list od matki. Pisała, że stara Rozalia z naprzeciwka przez cały dzień je pestki dyni, które rozgryza swoim jedynym zębem, i przez to zrobiła się gruba jak pączek. Prawie nie jest w stanie dowieść się do ubikacji, w każdej chwili mogą jej pęknąć żyłaki. I żeby Rozalia się nie myliła, matka pomalowała ich część sławojki jak domek z piernika: ze środka wyglądał Jaś, z boku stała Małgosia i śmiała się w kułak. Gdzie Baba Jaga, pytali ludzie. Smaży się w środku. Ten artystyczny projekt nieco rozweselił moją matkę. Ale właściwie chciała mi napisać coś innego. Mianowicie to, że rodzina staruszki wspaniale się do niej odnosi. Za nic nie chcą jej oddać do państwowego przytułku, to są prawdziwe umieralnie. Jej zięć Bumbu, notoryczny leń, zmajstrował dla niej pojazd, prosty i praktyczny: zamiast kółek miał łożyska kulkowe z traktorów, siedzisko stanowił wygodny pleciony

fotel, własnoręcznie zrobiony z wierzbowych witek. Matrona siedziała na nim, a jej siedmioro wnucząt woziło ją na space-ry. Kobieta, która prawie nigdy nie wychodziła z domu, teraz poznawała miasto. Kiedy zjawiała się w zamkowym parku, od razu robiło się zbiegowisko. „To za każdym razem wielka uciecha dla wszystkich, jak za czasów Cyganów z tańczącymi niedźwiedziami, kiedy wy byliście dziećmi, a my byliśmy szczęśliwi”. Ostatnim schronieniem pozostaje rodzina, która otacza człowieka. „Wracaj do domu! Nie jesteś chory, tylko nie wiesz, gdzie jest twoje miejsce. Twoje miejsce jest z nami. Otoczmy cię miłością”.

Nie doszło do tego, żeby moja rodzina w wózku ciągała mnie po zamkowym parku. Na scenę wkroczyła ciotka Maly.

— On musi mi pomóc w Tannenau, bolszewik jeden. Mam tyle pracy w domu i w ogrodzie. Odkąd matka nie żyje, nie dają już rady. A Fritzuś, kiedy przychodzi z fabryki, jest jak dziurawy balon.

Czwartego czerwca po południu było chłodno i wietrznie. Rodzice właśnie wrócili z pracy, ja pakowałem rzeczy na podróż, Elke szła na trening koszykówki. Każdy biegał w swoich sprawach. Ciotka Maly przed południem z nudów zrobiła tort z placków kukurydzianych. I chciała, żebyśmy go zjedli.

— Co będziemy tak latać w pośpiechu jak Żydzi. Usiądźmy sobie spokojnie na godzinę.

Matka nalała herbaty pokrzywowej. Rozległo się pukanie. Na nasze jednogłośnie „proszę!” otworzyły się drzwi i weszła dama. Rozmowy ucichły. Po pokoju rozszedł się niezwykle zapach.

— Dzisiaj są pani imieniny, droga Gertrudo Berto? Nieprawdaż? — Spojrzeliśmy po sobie. Ciotka Maly zdjęła z głowy czubatą czapkę, którą nosiła, bo przez dziury w drewnianych ścianach ciągnęło. Jej rozburzone włosy wyglądały jak srebrno-

szara pagoda ozdobiona dwoma sztucznymi warkoczami. Matka zwróciła się do gościa:

— Jak to miło, że pani pamiętała. Pozwoli pani, że dokonam prezentacji? Pani Adelheid Hirschorn.

— Aha — powiedziała ciotka Mały, a my od razu wiedzieliśmy, co pomyślała: Żydówka!

Dama trzymała w rękach prezent, zawinięty w bibułkę i przewiązany srebrną wstążką z różą. Kobiety uściskały się.

Elke przysunęła do stołu taboret dla pani Adelheid, a matka rozpakowała prezent. Spod papieru ukazała się bombonierka z obrazkami wiśni i czekoladek. Na sam ich widok ślinka ciekła do ust. Matka powiedziała:

— Dziękuję bardzo. Taki kosztowny prezent i jak wytwornie wygląda, przypomina mi dawne czasy.

Dama w jasnoszarym kostiumie rozejrzała się wolno dookoła.

— A to tutaj, droga Gertrud, też przypomina mi dawne czasy. — Siedziała tylko na połowie taboretu, co miało oznaczać: ja tylko na chwilę, rzuciła okiem na książkę leżącą na parapecie i powiedziała od niechcienia: — *Przeminęło z wiatrem*. To mamy za sobą. Choć wtedy, w tamtych czasach, wszyscy czytaliśmy tę książkę, po niemiecku, rumuńsku, węgiersku, francusku, w języku, który każdy najlepiej rozumiał.

Umoczyła usta w herbacie pokrzywowej, skosztowała tortu kukurydzianego, który był tak twardy, że sklejał zęby, a potem stawał w gardle, i powiedziała:

— Długo się zastanawiałam, czego mogę pani życzyć, droga Gertrudo Berto. Zawsze życzy się innym tego, czego się samemu potrzebuje. A w prezencie daje się rzeczy, które podobają się dającemu.

Wymknąłem się do drugiego pokoju. Jej mąż był dentystą w milicji, w randze kapitana.

— A więc, życzę nam obu, żebyśmy mogły przeżywać nadchodzące czasy jak kiedyś, abyśmy mogły po prostu siedzieć w parku i śpiewać duety operetkowe albo z naszymi dziećmi, a może nawet wnukami pływać łódką po zamkowej fosie, dokładnie tak jak wcześniej. Nie jak przedtem, droga Berto, ale jak jeszcze wcześniej, przed przedtem, kiedy żadna z nas nie musiała się bać i w domu czułyśmy się naprawdę u siebie. Pani tak samo jak ja. I ja tak samo jak pani. Tego życzę nam obu.

Ciotka Mały powiedziała:

— Wiem, że to nie była szczególna radość być Żydem w Rumunii przed 1944 rokiem, ale teraz też nie jest przyjemnie być Niemcem. Teraz po prostu przyszła kolej na nas.

Pani Hirschorn zamyśliła się na chwilę, spoglądając na podłogę z desek. Potem powiedziała:

— Droga pani, jest istotna różnica między wami a nami, między przedtem i teraz. Wy, Sasi, dzisiaj musicie obawiać się tylko o swój dobytek, podczas gdy my wtedy baliśmy się o życie, noc w noc, a nie mniej za dnia. — Wstała, pogłaskała Elke po jasnych włosach, włożyła rękawiczki. — Właściwie jest jeszcze jeden powód, dla którego tutaj przyszedłam. Chciałam pani, droga Gertrud Berto, i panu, drogi Feliksie, pogratulować, że jeden z waszych synów wrócił do domu. — I podała moim rodzicom dłoń w zamszowej rękawiczce. W drzwiach szepnęła coś matce na ucho.

Ciotka Mały powiedziała:

— W towarzystwie się nie szepcze.

— Zawsze dobrze rozumialiśmy się z Adelheid. Miałyśmy dzieci w tym samym wieku.

Ojciec pośpieszył matce z pomocą:

— A jej ojciec był moim współnikiem w interesach, stary Sami Bruckental.

Ale ciotka Mały jeszcze nie skończyła:

— Jej męża znam, łatacz dziur w zębach. Przedtem reperował zęby niemieckim oficerom, a teraz wstawia plombę komunistycznym policjantom. Tak, tak, Żydzi zawsze spadają na cztery łapy. A widzieliście: nylonowe pończochy bez szwów! Ostatni krzyk mody! — I poszła do Rozalii naprzeciwno.

Matka zwróciła się do mnie:

— Adelheid powiedziała, że gdyby dla ciebie nic się nie udało znaleźć, powinniśmy się zwrócić do jej męża; może on jest w stanie coś dla ciebie zrobić.

Kiedy wysiedliśmy w Kronstadt, ciotka powiedziała:

— Praca osładza życie, od lenistwa sztywniejają członki. Ranek ma złoto w ustach, ale ma też ołów w tyłku. Nie będziemy się przemęczać. Powoli! Bawarscy chłopci wiedzą, o co chodzi w życiu.

Robiłem to, co ciotka kazała. Z jabłek, które co rano zbierałem w ogromnym ogrodzie, robiłem moszcz. Uliczne dzieci siadały wokół rynienki, którą spływał sok, i przez słomki spijały słodki napój, otoczone krążącymi osami. Grządki podlewałem z takim zapałem, że kwiaty rozrosły się w gąszcz o tropikalnej obfitości. Woda ze studni musiała stać przez jeden dzień w beczkach. Baronowa Hortensia Zotta z Czerniowców, która przyjechała, żeby pożyczyć cztery kartofle, zaplątała się w dżungli wyrastającej ponad jej głowę. Musiałem uwolnić ją za pomocą laski z kości słoniowej. „Jest pan rycerzem bez lęku i skazy!”. Razem z wujkiem Fritzem naprawialiśmy rozlatujący się ze starości płot, biegnący wzdłuż czterech ulic. Nic nie pomagało wujowi, choć stary człowiek wracał z fabryki zmęczony jak dziurawy balon, musiał zabierać się do pracy, czasem nawet zasypiał na stojąco. Nie pozwoliłem mu wspinać się na strych, gdzie ciotka kazała mi opróżnić naczynia z deszczówką. Uszczelnienie dziur uznała za wspianiały pomysł. — Ty

przecież studiowałeś takie rzeczy, zawsze ekstrawagancki, jak twoja matka. Tylko żebyś nie narobił kłopotu.

Na mieszkanie wybrałem sobie spichlerz, który służył jako skład rupieci. Ogłuszałem się książkami, które czytałem, żeby nie mieć w głowie miejsca na niekontrolowane myśli. Z biblioteczki wybierałem sobie najgrubsze książki, połykałem najdziwniejsze życiorysy, chłonałem *Świątą i błazna* Agnes Günter i *Elisabeth, niezwykłą kobietę* Egona Conte Cortisa. Nocami zapadałem w ciężki, ołowiany sen. Urządziłem się w komórcę, w której kiedyś sypiał parobek Johann. Jako dzieci z dreszczem lęku zaglądaliśmy przez zabite deskami okno do jego pokoiku, który zdawał się nie mieć drzwi. O parobku mówiono tylko szeptem. Powszechnie znany był fakt, że za życia był najwierniejszym sługą rodziny Dworaków i w kwiecie wieku umarł w strasznych boleściach. W końcu odkryłem drzwi, otworzyłem je siłą i wszedłem do środka. Łóżko z desek z siennikiem, w którym słoma rozpadła się w proch. Obok skrzynka z narzędziami. Wiejska komoda, pomalowana w kwiaty i ptaki. Zastanawiająco wyglądał ten mebel: trzy przegródki, nad nimi pulpit do pisania, po prawej i lewej stronie szufladki. Zauważyłem, że szufladki były krótsze niż głębokość szafy, zmierzyłem je: za nimi musiały się znajdować tajne skrytki. Ale jak się do nich dostać? I co parobek miał do ukrycia?

Wypytałem wujka Fritza.

— Biedny Johann, małowówny, solidny, pracowity. I bez kobiety. — Koło czterdziestki nagle zapadł na zdrowiu. Jego śmierć? To nie było normalne. Wujek Fritz spojrział w stronę ciotki Maly, która także nie zachowywała się normalnie. W biały dzień leżała w łóżku, jej członki „co do jednego były ciężkie jak z ołowiu”. A to dlatego, że „ten szatan — chodziło o mnie — mieszka w izbie tego przeklętego parobka”. Wujek Fritz gotował niedzielny obiad. Nie można było mu przeszkadzać, ale ja mimo to zapytałem:

— A jak to było z jego śmiercią?

Kiedy wujek podał zupę i ciotka z jękiem podniosła się do jedzenia, okazało się, że potrawa też nie wyglądała normalnie. Roiło się w niej od żywych robaków. Jak udało im się przeżyć gotowanie? Jedliśmy żywą zupę z mieszanymi uczuciami.

— Biedny Johann. Byłem wtedy chłopcem ze złotymi lokami. — Jakby coś rozszarpało mu wnętrzności, tak wyglądał jego koniec. Wymiotował krwią, srał krwią, to było straszne. Umierający nie chciał dopuścić do siebie żadnego lekarza. Przy swoim łóżku tolerował jedynie posługaczkę, Cyganek Crinę. Jej matka, Florica, przebywająca w domu od dawna, umarła miesiąc wcześniej. Crina nie odstępowała go ani na chwilę od piątku, kiedy to nagle zaczęły się konwulsje, do niedzieli rano, sama wykonywała wszystkie zabiegi. W niedzielę rano zawołała ojca wujka Fritza: „Przyjdźcie! Moja zmarła matka zawołała Ioana do siebie. Wszystko skończone”. Johann leżał już przygotowany w trumnie. W niedzielnym ubraniu, w którym nikt go nigdy nie widział. — Ze świecą w głowach i z butami na stopach, co nie było normalne u Sasów.

— Skarpety wystarczą! — zawołała ciotka Mały ze swojego staroniemieckiego łóżka.

Zapytałem, gdzie mieszkała Florica.

— Miała najlepsze miejsce ze wszystkich — odparła ciotka. — W stajni. Razem z córką Criną spały w hamaku między krowami, ciepło i przytulnie. — Tam urodziła Crinę i tam też umarła, śmiercią naturalną, z otwartymi oczami.

Wujek stwierdził, że problemy z parobkiem zaczęły się jeszcze poprzedniego lata. Jakby postradał zmysły. Na przykład mylił widły do siana z widłami do gnoju. I już nie chodził spać z kurami. Gadał do siebie po cygańsku.

— Jeszcze po śmierci ukazywał się Crinie. Dwa razy dezynfekowaliśmy jego pokój i dwaj popi go wykadzali. A mimo to straszny. Nie powinienesz go sobie wybierać na kwaterę.

Ciotka Mały miała na ten temat inne zdanie, rzuciła trzeźwo:

— Przeżarł się szczawiem, biedaczysko.

Ciotka Mały nie dawała mi ani na chwilę spocząć. Jej prosta recepta brzmiała: nie mieć czasu na głupie myśli. Na wszystko można mieć czas, tylko nie na myślenie!

— Wstawaj, kto stoi w miejscu, ten rdzewieje, jak mawiał mój ukochany ojciec, najpracowitszy człowiek na całej kuli ziemskiej. W wieku pięćdziesięciu lat umarł. Zapracował się na śmierć. Tak samo będzie z waszym ojcem.

Stałem koło orzecha i czyściłem zgrzebłem jego pień z mchu i porostów.

— Nicolas Sturm, nasz niemiecki bohater, już trzy razy o ciebie pytał. Oczekuje cię w swoim atelier, gdy zapadnie zmierzch.

— Nie — powiedziałem, ale o zmroku wybrałem się przez las do jego szwajcarskiej willi, wszedłem przez tylne drzwi i jednym skokiem pokonałem trzy stopnie do narożnego pokoju, gdzie zwykle rysował i malował.

Malarz przyjął mnie stojąc. I patrzył w ziemię, jak zawsze. Włożył sobie pędzel za ucho, potem podał mi czubki palców na powitanie. Przez okno dojrzałem czarne sylwetki jodeł, wznoszące się ku jasnemu niebu: wystarczy skok przez okno, i pochłoną cię lasy. Na jednej ze ścian wisiała kolekcja broni białej, której użył do obrony, gdy Rosjanie chcieli go zabrać. Inna ściana była pokryta grafikami z cyklu *Nigdy więcej wojny*, przedstawiającymi szkielety w mundurach i umierających na drucie kolczastym żołnierzy. Ale teraz zwrócił się ku przyjemniejszym tematom: baśniom szwabskich drwali z Karpat. Pełno w nich było pięknych wrózek, nagich dziewcząt z kwiatami, pomarszczonych bab zielarek i leśnych duszków.

Gospodarz odezwał się, patrząc w podłogę, więc i ja też zacząłem spoglądać w dół:

— Niech pan nie żywi żadnych złudzeń. Jesteśmy naznaczeni na wieczność i pozostaniemy obcy. — Na wieczność? Pomyślałem. Czy nie wystarczy: na zawsze? — Nikt nas nie chroni. Ani kochanka w łóżku, ani troskliwa żona w domu, ani też przemijająca miłość dzieci czy uwielbienie paru szaleńców. Nie uciekniemy przed naszą przeszłością.

— Może — powiedziałem.

— Tak wszyscy mówią na początku. Niech pan wreszcie zrozumie: możemy modelować, stylizować wspomnienia. Tym, co nas nie opuszcza, jest poczucie winy, głęboko zakorzenione w sumieniu. A z nim nikt się nie upora. Dlatego jesteśmy rozdzielonymi braćmi, pan i ja, którzy przeżyli podobne rzeczy. — Otworzył okno. Znad jeziora dolatywał chór żab, kumkały nieustannie, na całe gardło, w miłosnym zapamiętaniu. — Wina... Próbowałem dzielnie się bić i przetrwać z honorem, ale dopadło mnie poczucie winy. Powód był na pozór błahy, choć nie dla mnie. Widzi pan, ja nie tylko wyszedłem na wolność po sześciu latach, ale też udało mi się na nowo urządzić, z błogosławieństwem państwa i partii. Tymczasem jeden z moich ludzi, zwykły pionek, przypadkowy człowiek, całkowicie bez znaczenia, jego nazwisko wyleciało mi z pamięci, został tu w kraju skazany i uwięziony. I dalej siedzi, już dziewiąty rok.

— Anton Rosmarin z Temesváru — powiedziałem.

Nicolas Sturm podniósł głowę. Spojrzał na mnie rozbieganymi oczami:

— Najlepiej, żeby pan już poszedł.

Ciotka wyciągnęła mnie z zagrody indyków, które na jej widok zrobiły się fioletowe i zaczęły wściekle gulgotać. Wymiałałem nawóz.

— Musisz iść między ludzi, bo inaczej zdziwaczejesz. Wystarczy, że twój biedny ojciec wzenił się w taką egzaltowaną

rodzinę. Tylko żebyś nie narobił kłopotu. — Rzuciłem wierzbową miotłę w ką, indyki napuszyły się i zagulgotały. — Ubierz się ładnie! Pójdziemy do Tulei, tej biedaczki, zanieść jej kosz młodych kartofli. Musiałam to święcie przysiąc Griso na łożu śmierci. Mąż Tulei, doktor Rusu, jest w więzieniu już wieczność. A ona to uparta kobieta: posyła swoje dziewczynki do niemieckiej szkoły, nie daje się zastraszyć Securitate. Bardzo dobrze! Przyjdzie taki czas, że wszyscy Rumuni i Cyganie będą chcieli być Niemcami. Bóg się już postara, żeby taki zdolny naród jak my znowu zajął pierwsze miejsce w świecie. — I dodała, patrząc na mnie z ukosa: — Nawet twoi komuniści z NRD mają wiodącą pozycję w bloku wschodnim. Pruski porządek!

Do ulicy Fliederweg nie było daleko, ale ciotka Mały szła bardzo powoli. Z każdym musiała zamienić słówko, poplotkować chwilę.

— Idź naprzód. Widzisz, jak mnie lud wita, jak królową. Każdy jest wniebowzięty, kiedy z nim porozmawiam. Wiesz teraz, co to znaczy przystępny człowiek?

Diana Rusu od razu przypomniała sobie, że cztery lata temu byłam u nich z moją Griso w podobnej misji.

— A twoja babcia? — zapytałam. — Praskowia Marwa?

— Nie żyje. — Umarła zaraz po tym, jak wypuścili matkę Diany. Dziewczyna tak uprzejmie dziękowała za siatkę ziemniaków, jakby to była bombonierka. Nie odprawiła mnie od drzwi, jak się tego spodziewałem, ale zaprosiła do domu i szła przede mną. Jej letnia spódnica sięgała do kostek. Zauważyłem, że lekko powłóczy lewą nogą.

— Skaleczyłaś się?

Paraliż dziecięcy. Czy napiję się herbaty. Najlepiej na górze, na balkonie.

— Jestem sama w domu.

Matka pracowała w fabryce na drugą zmianę.

— Ciągłe jeszcze w fabryce? Jak długo każą jej pokutować? Przecież ona skończyła studia! — Diana nic nie odpowiedziała. — A twój ojciec? Już odsiedział trzynaście lat.

— Jeszcze dwanaście, jeżeli wytrzyma.

— A co z twoją kuzynką Ruxandą? — zapytałem z wahaniem. — Słyszałem, że jest w Kanadzie.

— Ach, Ruxi, twoja koleżanka ze studiów? Wyjechała, przez Turcję.

— Czy popłynęła tam? — zapytałem zaskoczony.

— Niezupełnie. Ale przez Turcję.

Dom był aż po dach wypełniony książkami, stały nawet na drewnianych schodach. Poza autorami rumuńskimi i kilkoma przekładami było tam wiele nazwisk i tytułów literatury światowej w oryginale, nawet po rosyjsku.

— Czy twoi rodzice znają te wszystkie języki?

— Nie wszystkie. Mój ojciec zamierzał się ich nauczyć. Właśnie po to, żeby czytać w oryginale. Ale nie doszło do tego.

Weszliśmy do pokoiku na poddaszu, wychodzącego na balkon, który unosił się nad frontowym ogródkiem z okaleczonymi kamiennymi rzeźbami. Naprzeciwko nie było innych domów. Zaczynał się tu Tannenwald, który sięgał aż do szczytu Krähensteinu, wystarczyło tylko odchylić głowę do tyłu.

— Usiądź. — Wiklinowe meble jak kiedyś u nas. Tomiki wierszy. Ojciec był wielbicielem książek. I więźniem politycznym. Wolałem rozmawiać o czymś innym:

— Co robiłaś teraz? — Porównywała *Korneta Krzysztofa Rilke* po francusku i rumuńsku z niemieckim.

— *Kornet* po rumuńsku? W którym tłumaczeniu?

— Eugena Jebeleanu.

— Niemożliwe. To przecież komunista.

Diana powiedziała:

— Dziwne są te różnice na samym początku. To: *reiten, reiten, reiten*, po niemiecku i francusku bezokolicznik: *chevaucher, chevaucher, chevaucher*. Ale u nas w formie modalnej: *să călărești*. Czy to nie brzmi bardziej osobiście? Masz jechać, musisz jechać, powinieneś jechać.

Pochyliliśmy się nad książką i nasze głowy się zetknęły. Jej włosy pachniały żywicą. Odezwałem się, mając przy tym uczucie, że zdradzam coś zakazanego:

— Twojego ojca w więzieniu może uratować to, że potrafi ze sobą rozmawiać w obcych językach. I to, że będzie innym opowiadał rzeczy, które wyczytał w książkach. I że ma tyle czasu co nigdzie indziej, żeby pisać wiersze.

Dziewczyna spojrzała w stronę lasu i zapytała, czy wiem, dlaczego ma na imię Diana Lăcrimioara.

— A co to znaczy dokładnie?

— Konwalia. Tam rosną. I mała łezka.

— Będę cię nazywał Lăcrimioara, Konwalia, Łezka.

— Mów tak do mnie, a będę cię słuchać. Inni mówią Diana.

Na stoliku leżała otwarta Biblia po rumuńsku. Zapytałem:

— Kto właściwie jest waszym Lutrem?

Nikt. To jest tłumaczenie Gała Galactiona.

— Poeta i pastor. Czy nie studiowałeś też teologii? Nie pisałeś książek? — I na tym samym oddechu: — Czy zwróciłeś uwagę, że w niebie już nie ma diabła? — Nie zwróciłem uwagi. — Został zmieciony. Strącony. Jest tolerowany tylko na ziemi. — Odchyliła się do tyłu w wiklinowym fotelu, splótła ręce na kolanach i zapytała, co dla mnie znaczy zdanie: Jezus Chrystus przyszedł, by zniszczyć dzieło diabła. — Jak to? Człowiek, który był w szponach diabła — rozejrzałem się dokoła, nic się nie poruszało, jak okiem sięgnąć — w ogóle się nad tym nie zastanawiał? — Spojrzała na mnie oczami, w których odbijały się jodły. — Te słowa przeganiały ode mnie wszelki strach.

Pomyśl o konsekwencjach, przecież to cudowne: nie muszę walczyć ze złem, nie muszę się z nim zmagać. To jest sprawa wyłącznie Boga w trzech osobach. Dlatego mogę się całkowicie skoncentrować na dobru, czynić dobro ciałem i duszą.

— Co rozumiesz pod pojęciem zła? — zapytałem niepewnie.

Zastanowiła się chwilę, jej wzrok spoczywał na moich rękach.

— Zło, zło, czy to nie jest siła, która niszczy to, co dobre, całe i piękne, która jest przeciwko Bogu, przeciwko ludzkiej naturze? Jak to się nazywa po niemiecku: zdrada, nieszczęście, wojna, rak, reżim, szaleństwo. — Wszystko, co mówiła, było jasne i zrozumiałe. Jednak powiedziałem surowo:

— Szaleństwo nie. I reżimu nie powinnaś do tego mieszać. Ale skąd się to wzięło, że tak się znasz na Biblii?

— Od mojej kochanej babci — odpowiedziała Łezka — rozmawialiśmy o wielu rzeczach, modliłyśmy się razem.

Dziewczyna miała maturę za sobą, przed sobą nic, poza fabryką szamotu, gdzie już jej matka rujnowała sobie zdrowie. Koleżanki i koledzy z jej klasy byli rozproszeni po kraju.

— Macie na to określenie w waszym języku: na ziemi nikogo.

— Na ziemi niczyjej — poprawiłem. Jaką może mieć przyszłość dziecko więźnia politycznego i kobiety, która cztery lata siedziała z powodu rzekomej działalności politycznej? Ileż wrogości musiały znosić obie z siostrą dlatego, że matka niezłomnie posyłała je do niemieckiej szkoły Honterusa. Ale teraz mówiły doskonale po niemiecku.

Gdy kuśtykając zeszła na dół po dzbanuszek mleka, na filiżance do herbaty odcyfrowałem markę Winterling Bavaria. Winterling, jak u Elisy albo u Hirschornów. Poczułem tęsknotę za wielkim ogrodem mojego dzieciństwa z jego zapomnianymi schowkami. Zagryzłem zęby. Opanowała mnie paląca

tęsknota za balami dziecięcymi w przestronnych pokojach, przez które przelatywały motyle...

Schody zaskrzypiały do taktu, raz-dwa-trzy. Kulejąca dziewczyna stanęła w drzwiach, na jej włosach igrał czerwony blask. Przyjrzała mi się uważnie, a ja spuściłem wzrok.

— Jesteś blady jak kreda. — Nalała mleka do mojej filiżanki. — Blady jak ściana, czy coś się stało, źle się czujesz? — Poprawiła fotel, przestawiała go tam i z powrotem, usiadła. Tak, czułem się źle.

Jej matka, *doamna* Lucretia, na którą wszyscy mówili Tulea, powitała mnie bez entuzjazmu. Gdy wyrecytowałem moje żelazne zdanie, jak bardzo *patrie* zmieniła się w ostatnich latach dzięki zdobyczom socjalizmu, powiedziała z pogardą:

— Proszę, niech pan nie udaje. Socjalistyczny to znaczy na siłę odarty ze wszystkiego, co ludzkie. — To trafiło mnie prosto w serce. — Oni nadużyli socjalizmu, te pokątne złodziejzki. Ale naszego domu nie dostali. Nie złamali mnie też na polach ryżowych pod Aradem, codziennie po kolana w wodzie. — I dalej zdecydowanym tonem: — Jest Bóg dla sierot i wdów. Modlitwami zmiękczyłam go jak jabłko. Prawie odchodziłam od zmysłów: dziewczynki zostały same z babcią, bezbronne przed tymi zbrodniarzami. Ale Bóg liczy kobiece łzy. — Zakończyła władcym tonem: — Młody człowieku! Każdy rozsądny człowiek jest za socjalizmem. My też, mój mąż i ja. Dlatego nas zamknęli, kłamliwe psy. — Tu pani Lucretia naturalnie i bez patosu wyciągnęła przed siebie zniszczone rękę.

Odpowiedziałem pokornie, że mnie też właśnie czeka coś podobnego: cegielnia. Wyjaśniła mi wszystko: po trzech dniach popękają krwawe pęcherze, potem skóra zrobi się tak twarda, że będę mógł kantem dłoni rozbić cegłę. To nas zbliżyło, bo na pożegnanie pocałowała mnie w czoło i powiedziała:

— Przychodź tak często, jak tylko będziesz chciał. Diana lubi rozmawiać po niemiecku. Przychodź, kiedy chcesz.

Wyszedłem z zamętem w głowie i w sercu.

Skończyły się ciężko przespane noce bez snów. W dzień zaniedbywałem program ciotki Maly. Trzeci raz jak opętany czytałem *Buddenbrooków*, tym razem odnajdywałem się raczej w postaci brata Christiana, który na czworakach pełźnie do otwartego okna, żeby uniknąć pokusy wyskoczenia. Nocami leżałem i śniłem na jawie. Kapitan Gavriloiu z groźnym nosem, w modnej marynarce, sztruksowych spodniach i mokasynach, czekał na mnie, kiedy wychodziłem z kościoła. Syczał: „Zdradziłeś wielką sprawę socjalizmu”, i wbijał mi w pierś trójkątny pilnik. Nie bolało. Ale męczyła mnie myśl, że mógłbym upaść i wyzionąć ducha w kałuży, jak Thomas Buddenbrook, człowiek, któremu nie brakowało smaku i kontenansu. Ciotka Maly wprowadziła do mojej izdebki *Lăcrimioarę*. Było popołudnie. Czytałem książkę. Ciotka chciała usiąść z nami, ale zmieniła zdanie i wyszła.

Diana rozejrzała się.

— Tu jest jak w bajce Andersena. — Rozłożyła szapoklak, wzbijając obłoczek kurzu. — Martwiłyśmy się. Nie zajrzałeś potem do mnie. Wiesz, wydaje mi się, że z tobą jest coś nie w porządku. Albo inaczej: opanował cię jakiś zły duch, przesładują cię zmyry. — Usiadła na łóżku. — Co to? To nie jest siennik! Suszone psie gówna. Wieczorem wypchamy go słomą, mój wujek Samoila to robi. Nie znasz go? To brat matki, ma gospodarstwo.

Miała na sobie spódnicę w kropki, do tego wysoko zapinaną pod szyją bluzkę bez rękawów, własnoręcznie uszytą. Pod pachami wiły się rudawe włoski. W cylindrze położyła się na łóżku, z rękami splecionymi nad głową i spódnicą obciągniętą do kostek.

— Tutaj ukrywał się twój ojciec. Sam stąd wyszedł, żeby nie sprowadzać nieszczęścia na Dworaków.

Łezka skinęła:

— Złapali go u mojej babci.

Opowiedziałem jej historię biednego parobka Johanna. Diana stwierdziła:

— To jest dobre miejsce, żeby oczyścić twoją duszę. Tutaj mężczyźni odprawiali pokutę. Rumuni mówią: gwóźdź wyciąga się gwoździem. Po niemiecku głupio to brzmi.

— Żelazo łamie żelazo. A po grecku pokuta to *metanoia*, zmiana ducha, nawrócenie.

— Właśnie! Musisz się nawrócić, zmienić ducha. Ale najpierw trzeba się dowiedzieć, dlaczego parobek Johann miał tak straszną śmierć. Co to za komoda? — Obejrzelśmy tajne skrytki, pół klęcząc, pół leżąc. — Tutaj, zasuwka! — Wsunęła rękę od dołu, poprowadziła moje palce do ledwie wyczuwalnej szczeliny, musnęliśmy się policzkami. Pociągnęła zasuwkę, ta poddała się, powstał otwór. Nic. Po drugiej stronie zasuwka się zacięła. Oboje usiłowaliśmy ją poruszyć, jakby od tego znależiska zależał spokój mojej duszy. Ruszyła się, coś trzasnęło. Z otworu wyleciał kawałek papieru i wirując opadł na ziemię. To był list.

— Co jest napisane na kopercie? Nie umiem czytać tego gotyckiego pisma.

Było tam napisane: „Otworzyć po mojej śmierci”. A więc otworzyliśmy list. I przeczytaliśmy: *Z powodu wielkiej miłości muszę porzucić me młode życie. Nie godzi się, by prawdziwy Sas gdzie indziej miłował. I dlatego nie pasuje też, żebym się powiesił jak Sas, bo tego nie jestem godzien. Chcę umrzeć inaczej z wielkiej miłości. Oby dobry Bóg mi wybaczył i miał ją w opiece. Johann, parobek Dworaków. Czyli to nie rozstrój żołądka z przejedzenia szczawiem.*

Sasi się wieszają, Cyganie załatwiają to zardzewiałymi gwoźdźmi. Tak samo i on: zardzewiałe gwoździe. Dlatego miał bóle brzucha i krwotoki. A więc jego wielką miłością musiała być Cyganka.

— Crina — stwierdziła Lăcrimioara.

— Jej matka Florica — to było moje przypuszczenie.

Długo siedzieliśmy na cienkim sienniku, rozmyślając o tej okrutnej historii. Czasami mówiłem coś, czemu ona gorąco się sprzeciwiała. Ale na koniec powiedziała pojednawczo:

— Pomyśl o tym, co pisze Izajasz: nie bójcie się. Bóg nadał wam imiona miłości. — I spojrzała na mnie takimi oczami, że jej uwierzyłem. — Raz w życiu każdy musi dać świadectwo imienia miłości.

Jakby zaczęły działać czary. Zniknęła moja koszula z długimi rękawami, która chroniła mnie przed słońcem. Napęczniały siennik stawał dęba i zrzucał mnie. Po nocach moje otwarte oczy widziały zjawy: święta i szaleniec byli prześladowani i błagali mnie, bym ich ukrył. Co robić? Uczeń Andrei został skazany na śmierć. Wyciągał do mnie ręce całe w ranach i prosił, żebym mu pomógł uciec przez zieloną granicę. Ogromna martwa kobieta dreptała wkoło na kurzych nóżkach. Beate przyglądała mi się oczami koloru różowego i kładła kwiaty na mój grób. Myśliwy uciekał z obdartym ze skóry zającem w ręce, ubrany w strzępy więziennego pasiaka. Tak, tak właśnie wygląda się po pięciu latach więzień w ojczyźnie! Ślepy Malmkroger wiódł ledwie żywego Töpfnera, obaj wpadali w przepaść.

Nie pokazywała się Lăcrimioara, choć przyrzekła mieć na mnie oko.

Chciałem już wracać do mojego niebieskiego pokoju w Fogaraszu, gdy pewnego dnia stanęła przy moim łóżku, w szapoklaku na głowie.

— Czy jesteś zjawą? — Po raz pierwszy od mojego powrotu poczułem napływające łzy, upomniałem się: trzeba być jak zaciśnięta pięść! I ukryłem twarz. Dziewczyna usiadła obok mnie, zatrzeszczała świeża słoma.

— Jak przyjemnie pachnie! — Niezręcznie pogładziła mnie po włosach. — Masz tu swoją koszulę. Jutro rano wybieremy się gdzieś na kilka dni. A potem wszystko będzie dobrze. Jestem pewna, że pozbędziesz się złych duchów, że zmienią się twoje myśli. — Słowa same z niej wypływały, prawie nie musiałem pytać:

— Moja koszula? — Odwróciłem się do niej, dziewczyna wzięła mnie za rękę. Uśmiechnęła się z zakłopotaniem:

— Byłam z twoją koszulą u mojej ciotecznej babki Stefanii.

— Żeby ją uprać?

— Jest mniszka w Mânâstire Sfântu Baritmeu, na krańcu świata. Chodzimy do niego na pielgrzymki, bo tam diabeł nie ma wstępu. I właśnie tam byłam przez ostatnie dni. Trzy wieczory odmawialiśmy modlitwy nad twoją koszulą. I każdego ranka podczas *utrenie*...

— Podczas jutrzni — powiedziałem.

— Podczas jutrzni modliłyśmy się za zbłąkaną duszę biednego Johanna. Miałam ze sobą kopertę jego listu. No, teraz włóż koszulę, będziesz w niej spał jak nowo narodzony. A przedtem odmów tę modlitwę o uwolnienie od duchów nieczystych. — Podała mi karteczkę z modlitwą po rumuńsku. — Twoja dusza znajdzie spokój. I dusza biednego Johanna także. Teraz może wreszcie wrócić do Boga, jego wina jest już odkupiona, bo przez swoją ciężką śmierć uwolnił inne dusze. — Były to słowa, których nie rozumiałem. Ale wierzyłem jej, w pewien sposób. Dla mnie poszła, kulejąc, na kraniec świata...

— Jutro rano o ósmej wyruszamy! — I już jej nie było. Zostałem z koszulą w rękach, która pachniała kadzidłem.

Śniadanie zjedliśmy przy Zbójeckim Źródle. Chleb ze smalcem i pomidory. Piliśmy wodę ze źródelka. W Dârste przekroczyliśmy bukareszteńską szosę. Od przełęczy Predeal szliśmy boczną doliną i około południa nad czubkami drzew ujrzeliśmy siedem miedzianych kopuł: klasztor świętego Bartymeusza, patrona niewidomych. Po drodze urządziliśmy sobie oryginalny odpoczynek: ja oparłem się plecami o pień drzewa, a Diana o mnie. Położyłem brodę na jej przedziałku, dziewczyna przycisnęła mi ucho do serca. W lesie było cicho.

Dalej szliśmy wiejską drogą. Domy były prawie niewidoczne w otoczeniu kwiatów i drzew. Wokół studni na skraju drogi tłoczyły się groby, na tabliczkach widniały nazwiska zmarłych. Kobieta, która pomiędzy drewnianymi krzyżami właśnie nabierała wody, powiedziała:

— Zmarli mają pragnienie i szukają naszej bliskości. Przy czerpaniu wody spotykamy się znowu.

— Biedy parobek Johann — powiedzieliśmy oboje prawie równocześnie — gdzie on zaspokoi swoje pragnienie? — Postanowiłem, że postawię mu krzyż przy studni, w pobliżu spichlerza.

Szliśmy przez wiszący most, coś wciągało nas w przełęcz. Musiałem mocno trzymać Dianę.

— Rozchwiane nieszczęście!

Pouczyłem ją:

— Żeby się nie kołysało, trzeba drobić kroczi jak lis, stawiać stopy jedna za drugą. — To było trudne dla chromej dziewczyny. Kiedy na końcu podniosłem ją i postawiłem wśród kwitnącej dziewanny, chciała mnie pocałować. Uchyliłem się, wyciągnąłem brodę nad jej głowę i poczułem łaskotanie włosów pachnących żywicą.

Klasztor otaczał kamienny mur, tylko szczyt wieży wystawał nad jego górną krawędź. Furta była ciasna. Mógł się przez nią przecisnąć tylko człowiek skulony albo w trumnie. Kołatka w kształcie głowy anioła przywołała młodą zakonnice o twarzy, której bezlitosne piękno robiło wstrząsające wrażenie. Powiedziała po niemiecku, nie musnąwszy mnie nawet wzrokiem:

— Wiem, kim pan jest, wiem o panu wszystko.

— Ja siostry nie znam — powiedziałem oszołomiony, schwyciłem skrawek jej habitu i ucałowałem tkaninę, jak nauczyła mnie ciotka Mały i jak należało się spodziewać po grzesznym człowieku w stosunku do wyświęconej kobiety.

— Nazywam się Claudia Manu. — Zacząłem przeszukiwać pamięć: wie wszystko, zajmuje się niewidomymi, zna niemiecki, wie wszystko...

— Jesteś błądy jak ściana — szepnęła Diana. — Co ona ci powiedziała?

Za bramą przywitała nas rośła kobieta w poplamionym stroju roboczym. Klasztorna młynarka, Aglaja. Poderwała Dianę jak worek zboża, mnie uściśnęła tak, że poczułem. Trafiła tutaj po życiu w grzechu, jak nam oświadczyła, i z utęsknieniem czekała na znak od Boga, żeby przywdziać zakonną szatę.

— No tak — powiedziała *protostareta*, przełożona, która przysłuchiwała się naszej rozmowie — po tylu grzechach trzeba długo czekać. Ale proszę, wejdźcie, błogosławieni w Panu!

Na trawniku wokół kaplicy suszyło się pierze, które zakonnice wypruły ze starych kołder. Matka Stefania, której zakonny welon odsłaniał włosy tylko na skroniach, wstała ze stołka, odwróciła głowę i nasłuchując powiedziała:

— Mówcie głośno, żebym was mogła łatwiej znaleźć. Dzisiaj moje oczy są lepsze. — Ucałowała siostrzenicę. Nade mną trzy razy uczyniła znak krzyża, potem przesunęła otwartą dłoń przed moją twarzą i całym ciałem, jakby chciała uchwycić nie-

pokój mojej duszy i zamęt w moim życiu. Ale nie pytała o nic, zdziwiła się tylko, że zakrywam każdy skrawek skóry, a nawet noszę rękawiczki. Diana odpowiedziała za mnie:

— Słońce daje mu się we znaki.

Przełożona poprosiła, żebyśmy usiedli na ławce. W kręgu klasztornych murów falował letni upał. Zwróciła się do zakonnicy z bezlitosnymi oczami:

— Możesz odejść, Urielo. — Zadrzałem: Uriel, archanioł, płomienny mściciel Boga... Gdy ta nie ruszała się z miejsca, matka Stefania dodała: — Drodzy goście rozjaśnili moje oczy. Na niesporach przy czytaniu pomoże mi moja siostrzenica. Na górze w klasztorze czekają na ciebie prawdziwi ślepcy.

Czytać, ślepcy... To ona, Claudia Manu, uczennica, która czytała ociemniałej Annemarie Schönmond, pomagała jej w korespondencji z Enziem Puterem i uczyła się od niej niemieckiego. A więc nigdy nie ucieknę przed Annemarie! Ta kobieta nikogo nie puszcza wolno, nawet zakonnicy Urieli! Przełożona powiedziała:

— To gniewne imię Uriela wybrała sobie przy obłóczynach.

Nigdy się nie uwolnię od tej kobiety! Myliłem się. Jakim szacunkiem w niebie musiała się cieszyć wielebna przeorysza, że udało się jej przełamać ten zły czar, w jednej chwili i na zawsze. Nigdy więcej Annemarie Schönmond nie wchodziła mi w drogę, nigdy więcej jej cień nie mącił moich myśli.

Nieliczne cele były puste.

— Dyktator wygnał wszystkie zakonnice poniżej pięćdziesiątki. Potrzebuje siły roboczej.

— A Uriela? — zapytała z wyraźną niechęcią Diana.

— To dla mnie zagadka. Komunizm to porywy najróżniejszych dziwactw. Ale Bóg ma dłuższy oddech. Dlatego skubujemy pierze i szyjemy kołdry. Nasze cele klasztorne się zapełnią.

Na nocleg wybrałem celę przylegającą do młyna, w której słyszałem szum spadającej wody. Ubikacja dla gości wyglądała jak w bajce: wokół dziury w desce wznosił się tron z rzeźbionym oparciem, siedzenie i podpórki pod łokcie były obciągnięte czerwonym aksamitem. Miało to swoje poważne przyczyny: przy konsekracji klasztoru zbłądził tu diabeł.

— Tylko ten jeden raz nieczysty siedmioskóry tutaj zajął, potem już nigdy. Więc niech pan odsunie wszystkie ciemne myśli i rozkoszuje się niebiańskim spokojem. — Jak to wyglądało? — Wiadomo, że diabeł nie dobiera się do zwykłych, przeciętnych grzeszników, których Bóg tak czy inaczej wypłuł z ust. Kusi go, by przywieść do upadku świętość i arcyświętość. — I diabeł wybrał sobie tamten świąteczny dzień konsekracji i zakradł się wielebnemu hierarsze do kiszek. Ze skutkiem natychmiastowym, fatalnym i godnym pożałowania. A następstwa tego miały trwać po wsze czasy: intymne odosobnienie zostało urządzone odpowiednio dla czcigodnej osoby. Kobiety zaśmiały się. Najbardziej śmiała się wielka grzesznica, aż się trzęsło jej doczesne ciało. Rzeczywiście, tutaj diabeł nie miał wstępu.

Kolację zjedliśmy u przełożonej. Umebrowanie było skromne, jak w komórcie parobka Johanna: łóżko, stół, szafka, na ścianach ikony, oprócz tego piec kaflowy.

Płonęło siedem świec. Przed gospodyniami po jednej, przy nakryciu Diany dwie. Obok mnie stał trzyramienny świecznik. Z powodu światła widziałem tylko oczy pozostałych osób, twarze rozmywały się w blasku płomienia. Przed każdym z nas stał kieliszek czerwonego wina. Talerze były z wypalanej gliny. Podczas modlitwy przed posiłkiem zaniesiono przed oblicze boskie wszystko, co dręczyło nasze dusze. Modlono się za ojca Diany, żeby Bóg zakończył mu karę więzienia, kiedy jego wiara zacznie się chwiać, za młynarkę Aglaję, do niedawna żonę popa, żeby Bóg wybaczył jej grzechy, kiedy wypełni się

czas pokuty, za mojego brata Feliksa w ognistym piecu i wielu innych młodzieńców, żeby strzegły ich żywe anioły.

Na końcu zaapelowano do Boga, aby — przecież nie byłaby to dla Niego żadna trudność — otworzył na Chrystusa umysł dyktatora w Bukareszcie. Kobiety przeżegnały się po trzykroć. Przełożona zanurzyła święcony chleb w beczce soli i rozdała wszystkim po kawałku. Mnie wsunęła do ust skrawek, który lśnił od białych kryształków. Nie spłukałem go winem, pocze-kałem, żeby rozpułynał się na języku, aż w oczach stanęły mi łzy. Wznieśliśmy kieliszki z winem i lekko się nimi stuknęli.

Jedliśmy ciemny chleb z kozim serem, do tego słodką cebulę. W okolicach 15 sierpnia należy zachować lekki post; to dzień, w którym Matka Boska we śnie została wzięta do nieba. Na polecenie przełożonej nowicjuszka Aglaja, ubrana w czarną odświętną szatę, miała przeczytać z lekcjonarza wybrany przez siebie rozdział. Jak można się było spodziewać, przeczytała historię o jawnoгрzesznicy. Pokutująca kobieta czytała z oskarżycielskim patosem. Jej głos ożywił się, gdy doszła do miejsca, kiedy uratowana jawnoгрzesznica myje Jezusowi stopy, namaszcza je wonnościami i wyciera własnymi włosami. Przełożona powiedziała:

— Ten, komu dobry Bóg zdejmuje z pleców brzemię grzechu, przez resztę życia powinien głosić Jego chwałę i okazywać Mu wdzięczność.

Zapytałem, co wielebna matka rozumie pod pojęciem grzechu.

— Wszystko, co oddziela cię od Boga. — To było dużo, prawie wszystko. Przełożona zwróciła się do Aglai: — Możesz sprzątnąć ze stołu. A potem się połóż. Jesteś dzisiaj zmęczona. — Diana chciała pomóc, ale przełożona jej nie pozwoliła. Gdy trzepotanie świec uspokoiło się, powiedziała: — Zapamiętajcie sobie: przeszłości nie można cofnąć, ale można ją odkupić.

— W jaki sposób? — zapytałem.

— Przez uświęcenie i przez miłość. — Bóg w swojej litości nawiedza dawne zło: miejsca w naszym życiu, gdzie zawiniliśmy myślą, mową i uczynkiem, czasy, kiedy nie trzymaliśmy się przykazania miłości. — W swej bezgranicznej dobroci Bóg wszystko przywraca do takiego stanu, jak w rajskich początkach. Wszystko znowu przyjmuje do swego serca, oczyszczone z grzechu. Ci, którzy na ziemi odwracali się od Boga, w przyszłości także zostaną nawróceni. — Myśl ta, doprowadzona do końca, oznaczała, że również Hitler i Stalin będą mogli śpiewać hymny przed tronem Boga w chórze błogosławionych. A mimo to: jakaż to wielka pociecha! Bóg odwraca ku lepszemu wszystko, co własnymi rękami popsuliśmy, czego nigdy o własnych siłach nie będziemy w stanie naprawić, i jednoczy przy swoim stole w jednym kręgu odepchniętych i przeklętych.

— Gdzie to jest napisane?

Przełożona zachmurzona sięgnęła po Biblię, przekartkowała i przeczytała:

— Na przykład w liście do Kolosan, 1,19–20. „Zechciał bowiem Bóg, aby w Nim zamieszkała cała Pełnia, i aby przez Niego znów pojednać wszystko ze sobą: przez Niego — i to, co na ziemi, i co w niebiosach, wprowadziwszy pokój przez krew Jego krzyża”. Albo w Dziejach Apostolskich, 3,21: „Którego niebo musi zatrzymać aż do czasu odnowienia wszystkich rzeczy, co od wieków przepowiedział Bóg przez usta swoich świętych proroków”.

— Amen — powiedziała Łezka.

Przełożona ciągnęła dalej:

— Mnie wystarczy wiedzieć, że w Wielką Sobotę Zbawiciel zszedł do zaświatów, do umarłych, odwiedził i poświęcił wszystkich, zarówno złych, jak i dobrych. — Podniosła obramowaną czarną tkaniną twarz i z niedopuszczającą sprzeciwu godnością powiedziała: — Początek leży w twoich rękach, mój

synu. Trzeba się zdecydować. Letnich Bóg wypluje ze swych ust. I coś jeszcze: nie łudź się, mój synu, *metanoia* nie oznacza, że wszystko natychmiast się zmienia w dobro. Najpierw następuje czas pokuty.

Diana spróbowała ją ułagodzić:

— Nie strasz go tak, droga ciociu.

— Uświęcenie należy do Boga. Ale miłość do nas. To jest ta druga droga odkupienia. Tylko miłość jest w stanie wyróżnić bezmiar grzechu. — Czy już tego gdzieś nie słyszałem?

— Miłość? Przecież to jest coś niszczycielskiego. Jakże więc?

— Co pan mówi? Chyba nieczysty to panu podszeptał.

Diana także spojrzała na mnie przestraszona, powtórzyła:

— Coś niszczycielskiego?

— Jak, pyta pan? Gdy się pan zwróci ku bliźnim.

— A kto to jest, ten bliźni?

— Na Boga, tak pytają faryzeusze. Ktoś, kto potrzebuje pomocy i miłości. Zawsze są gdzieś w pobliżu istoty, którym gorzej się powodzi niż tobie, które bardziej cierpią, są na dnie. — Zakonnica wzięła do ręki Biblię i zapytała: — Jak myślisz, co wybrałam specjalnie dla ciebie? — Chwała Bogu, znowu zwracała się do mnie przez „ty”. Odpowiedziałem szybko:

— Przypowieść o synu marnotrawnym. — Ale to nie było to, miała na myśli historię miłosiernego Samarytanina.

— Z jaką osobą się porównujesz? — I zanim zdążyłem powiedzieć, surowa kobieta dorzuciła: — W żadnym wypadku nie gódź się z rolą człowieka będącego na dnie. Dla ciebie Bóg ma inne plany. Ale musisz się zdecydować. — Świece pogasły. W otwartym oknie ukazała się noc z tysiącem gwiazd. Diana powiedziała:

— Kochana ciociu, czy nie jesteśmy jednym i drugim: tymi, co pomagają, i tymi na dnie?

— Oczywiście — przyznała stara dama i uzupełniła uroczyście: — Dobry Bóg tak to urządził w swojej mądrości, że nikt nie musi iść sam przez świat, nie mając kogoś bliskiego, bliźniego. — Poczułem tęsknotę za kimś.

Na nocne modły poszliśmy do kaplicy, gdzie w szklanych kloszach paliły się czerwone wieczne lampki. I gdzie bezsenna Aglaja zapamiętała mruzczała modlitwy, prosząc nie wiadomo o co. Ja także uklęknąłem. Przy monotonnym śpiewaniu psalmów poczułem zniecierpliwienie, zaczęły mnie boleć kolana. Obok mnie klęczała Diana. Oparła głowę o obraz świętej Praskowii, patronki jej babci i całej Rumunii. Szeptwała swoje tajemnicze modlitwy i żegnała się za każdym razem, gdy przełożona z rozjaśnionymi oczami wypowiadała imię Zbawiciela. I wtedy stało się coś niezwykłego: w pewnej chwili rozpląnął się ziemski czas, zniknęło poczucie własnego ciała. Fala jasnej lekkości zmyła gdzieś wspomnienia i grozę. To był czas z innego świata. Kiedy matka Stefania pogasiła świece, Diana musiała mną potrząsnąć. Moje ręce i nogi zeszywniały, było już późno. Na wieży klasztornej wybiła północ.

— Dzieci, powinniście się przyzwyczaić chodzić spać przed północą. Każdy dzień ma swój ciężar.

W szumie młyna spałem jak nigdy przedtem.

Zanim ruszyliśmy w drogę powrotną, matka Stefania poprosiła nas do kaplicy. Kazała nam uklęknąć i rozpostarła nad nami fioletowy baldachim, położyła nam na głowach ręce i pobłogosławiła nas w imię Trójcy Świętej i przenaświętszej Maryi. Prosiła o pokój Ojca, o miłość Zbawiciela dla nas obojga, błagała o siłę Ducha Świętego do obrony przed złymi duchami w ciele i w duszy. Na koniec przekazała nam znak pokoju. I powiedziała:

— Wczoraj w kaplicy modliłyśmy się tylko za ciebie, mój synu. Wykorzystaj to mądrze! — Ucałowała siostrzenicę, na moim czole zrobiła znak krzyża. Młynarka dała nam

prowiant na drogę, uściskała nas i zamknęła wąską furkę. Urieli nie było.

Chcieliśmy uniknąć chwiejnego mostku, więc przekroczyliśmy strumień przy młynie. Było gorąco. Młynarka Aglaja jeszcze nie zabrała się do pracy. Przesunąłem dźwignię. Zręcznie ukierunkowany strumień wody spadł na ustawione pionowo skrzydlate koło, które zaczęło się obracać jak karuzela. Rozebrałem się i stanąłem w zagłębieniu wypłukanym w dzień, żeby łopatki koła przyskały na mnie wodą. Przez zasłonę z kropelek widziałem Dianę. Jej głos przekrzykiwał szum wody:

— Ale śmiesznie wyglądasz! Jesteś w jasne i brązowe plamy, jak bernardyn. A twarz i ręce masz białe jak rosyjska hrabina. — Zatrzymałem koło młyńskie. Coś trzasnęło, zabrzmiało jak strzał. Skuliłem się, zadrżałem, rozsypując deszcz kropelek, i zapytałem ochryple:

— Co to było?

Dziewczyna zaśmiała się:

— Coś tam w lesie huknęło, coś tam w lesie trzasnęło. To pęta z mojego serca. Jeszcze kilka razy tak trzaśnie u ciebie.

Poszliśmy dalej, kuśtykając. Przyłapałem się na tym, że czasami też powłóczę lewą nogą. Czy to z sympatii? A może dopasowywałem się z litości? Ona zauważyła to, poczerwieniała. Zasłoniłem jej usta.

— Nie mów nic! Wiem, co myślisz.

Zaśmiała się:

— Istnieje fałszywa solidarność. Czytałam kiedyś o pewnej białej kobiecie w Afryce Południowej, która przyjaźniła się z Murzynami i narzekała: Ale ciężko być białym wśród was, czarnych!

Miejsce, gdzie wróg nie miał do mnie dostępu, zdawało się wędrować z nami. Szliśmy, trzymając się za ręce.

Na stromej przecince wiodącej od pogorzelska do Zbójckiego Źródła dziewczyna oplótła mnie ramionami:

— Boję się! — Chwyciła mnie kurczowo, przywarła całym ciałem i położyła głowę na mojej piersi. I nagle upadła, pociągając mnie za sobą. Sturlaliśmy się razem w dół zbocza, po drodze pogubiłem kapelusz, okulary słoneczne i rękawiczki. Woda rozprysnęła się na wszystkie strony, gdy wpadliśmy do strumyka na dole. Diana leżała jeszcze chwilę na plecach w wodzie i spoglądała w niebo pomiędzy bukami. Ja pozbierałem swoje rzeczy. Dziewczyna, nasiąknięta wodą, poszukała słonecznego miejsca. — Wiesz, dlaczego to zrobiłam? Jestem jak zając. Wchodzenie na górę to dla mnie żaden problem. Ale schodzenie w dół z moją niesprawną nogą to dla mnie coś strasznego. — Zdjęła bluzkę, wyjęła z niej wodę i powiesiła na plecaku. — No, teraz możemy iść dalej. Znam taką ukrytą ścieżkę, gdzie nas nikt nie będzie widział.

Gdy wyszliśmy z lasu przy jej domu, stanęła na palcach i pocałowała mnie, zanim zdążyłem się uchylić.

— Teraz wkraczamy na scenę oficjalną. — Zapięła bluzkę. Była już sucha. W ogrodzie, pełnym kamiennych figur z wzniesionymi do góry oczami, bez nosów i palców, Diana zatrzymała się na chwilę, odwrócona do mnie plecami. I powiedziała przed siebie, do odległego grzbietu góry Zinne, w dal, tak że nie widziałem jej oczu: — Kocham cię. — Powiedziała to w moim języku, mała Łezka. Odwróciłem się na pięcie i odszedłem.

U stóp Zinne, koło niemieckiego cmentarza w Stalinstadt, spotkałem kapitana Gavriloiu. Był w mundurze. Zmusiłem się, żeby na niego spojrzeć. Ale on odwrócił wzrok.

Ledwie zdążyłem wrócić z Tannenau i ukryć się na chwilę w niebieskim pokoju, kiedy moja matka wcześniej rano otworzyła drzwi. Hlibic ze związku sportowego szuka robotników.

Buduje sobie dom w pobliżu cegielni, tam gdzie osiedlili się ludzie z Rohrbach.

— Płaci co wieczór na rękę, i to tyle, ile ja zarabiam przez tydzień. Wstawaj! Wreszcie będziesz mógł się wyposażyć. Kupić sobie spodnie sztruksowe i porządne buty. Przygotuj się. To dobra zaprawa przed pracą w cegielni. — Ściągnęła z mojego łóżka koc i pokropiła mnie wodą. — Tu masz drugie śniadanie. Obiad przyniesie ci Elke.

Wiadomość ta pochodziła z targu, gdzie snuły się nieroby i obiboki, o ile milicja ludowa ich nie wyłapała i nie odwozła w zakratowanych wozach.

Towarzysz Hlibic był lokalnym wysokim funkcjonariuszem partii. A mimo to zamówił na ten dzień trzech popów. Właśnie negocjował z nimi cenę za duchowe usługi.

Fundament i podmurówka domu już stały, musieliśmy tylko uszczelnić je papą. Teraz przyszła kolej na duchownych. Należało wszystko pobłogosławić, jak najszybciej, zanim diabeł zdąży się tu zagnieździć. Wraz z diakami pomagałem kapłanom. Trzymałem przed nimi święte księgi, by mogli z nich wyśpiewywać pobożne słowa. Odbierałem kropidło, zapalałem kadzielnicę i odpowiadałem razem z chórem.

W czterech rogach domu murarze zostawili nisze. Wstawiono do nich kielichy z fermentującymi ziarnami pszenicy i zamurowano. W tym czasie popi wyśpiewywali swe ponadczasowe pieśni, w których zawierało się wszystko, co Biblia mówi o domu i obejściu, budowaniu i złych duchach.

Używając pęku wierzbowych gałązek, pokropiono wodą święconą wszystkie części domu oraz jego przyszłych mieszkańców, żeby dobrze im się żyło i żeby się rozmnażali chronieni przed diabłem i śmiercią; nawet na mnie, luterańskiego heretyka, też spadło parę kropel i poczułem, że wreszcie do czegoś należę. Na stole pełnym świec stała tacka z kwadratowymi chlebkami, które zostały pobłogosławione na mszy

w zeszłą niedzielę, na skórcie miały wypisane w kształcie krzyża słowo *Nike*, zwycięstwo. Pop odłamał z nich po kawałku i włożył każdemu z nas do ust.

Potem duchowni i my, świeccy, podawaliśmy sobie na czubkach palców talerz ze święconą pszenicą. W końcu gotowy i zaplanowany budynek został oddany w opiekę Bogu i zniknął w chmurze kadzidlanego dymu. Nas pan domu posłał do pracy, popędzając klaskaniem w ręce — trzeba było nadrobić stracony czas.

Kapłani odłożyli swoje pyszne szaty i usiedli z diakami do stołu. Na ręcznie tkanym lnianym obrusie tłoczyły się butelki i miski. Na widok przysmaków biesiadnikom aż kapało z ust. Co chwilę musieli wycierać je wierzchem dłoni. Śliwownicę pito szklankami do wina. Odgłosy bekania docierały aż do nas do wykopu z wapnem. Goście pożerali ogromne porcje chleba domowego wypieku z bawolim masłem i owczym serem. Wkładali sobie do ust fioletowe cebule i czerwone rzodkiewki. Z wypchanymi policzkami wgryzali się w pomidory, aż sok tryskał na sąsiadów. Sałatkę fasolową jedli prosto z niecki. Na koniec podano ciasto z dodatkiem hyzopu, biblijnej przyprawy. Ślinka ciekła nam do ust, kiedy z wiadrami pełnymi zaprawy przechodziliśmy obok tej uczty.

Za pierwszą dniówkę kupiłem sobie kurtkę. Brązową. Dałem ją do ufarbowania na czarno, na długie lata miał to być mój kolor. Choć bardzo byłem wyczerpany, chciałem, żeby wszyscy mnie zobaczyli w nowym stroju, wieczorem przeszedłem się więc po fogaraskim deptaku. Miejsce, gdzie wróg nie miał nade mną władzy, wędrowało razem ze mną. W pewnym momencie zobaczyłem, że mija mnie *căpitan* Otto Silcseak. Czy powinienem go znać? Nie!

Któregoś ranka pojawił się u Hlibica nowy robotnik, w którym rozpoznałem towarzysza niedoli. Prosto z mostu powiedziałem mu, że na pewno niedawno został wypuszczony. Jak

to? Czyżbym był jasnowidzem? Koścista, wychudzona twarz, blada skóra przypalona od słońca, czapka nasunięta głęboko na czoło, pod nią rozbiegane oczy, które zaczynały krążyć niespokojnie, gdy ktoś mu się długo przyglądał. Na dowód poczęstowałem go papierosem. Wypalił go do końca, aż poparzył sobie usta. No właśnie.

— Baragan, najtańszy gatunek — stwierdził — robione ze śmieci zmiotanych w fabryce. Po lei za paczkę. — Siedział dwa lata za „chuligaństwo”.

— To tylko słowo. A konkretnie?

Konkretnie upił się piwem, wszedł na daszek fabrycznej gospody i z góry odlał się na klasę robotniczą odpoczywającą po pracy.

Kiedy skończyliśmy pracę, nowy robotnik powiedział mi prosto z mostu, że jestem polityczny. Kto mu o tym szepnął? Sam na to wpadł! Ktoś taki jak ja, w rękawiczkach i po fakultetach, przy mieszaniu zaprawy? Przecież to jasne jak słońce.

— Wy jesteście ci lepsi — przyznał — ale to kosztuje. Wam dobierają się do skóry. A nas, zwykłe świnię, przynajmniej zostawiają przy życiu.

Dałem mu resztę papierosów i, po krótkiej walce ze sobą, nową kurtkę.

Elke przynosiła mi garnek z obiadem, a nawet zmieniała mnie na chwilę, żebym mógł odsapnąć. Wozila taczkami cegły razem z chuliganem Trandafirem Smarandache, który teraz wstydliwie chował się w krzaki, gdy odczuwał parcie na pęcherz. Moja siostra wprowadziła innowację, dzięki której murarze na rusztowaniach w mgnieniu oka mieli pod ręką dość materiału: siadała na występie muru, letnią spódnicę wciskała sobie między kolana, a pomocnik podawał jej cegły, podrzucając je w górę na drewnianej łopacie. Elke jak zongler chwyciła czerwone pociski, które krążyły w powietrzu wokół niej. Był to niezwykły widok, kiedy jej ciało pod lekką bluzką

wyginało się i prężyło, jakby tańczyła. Oddawała się tej zabawie ze śmiechem i błyszczącymi oczami. Wyglądało to tak, jakby jej ręce chwyciły równocześnie kilka cegieł w kilku różnych miejscach. Zabawę tę wszyscy obserwowali z otwartymi ze zdziwienia ustami, także gospodarz we własnej osobie. W tym czasie ja wypoczywałem, drzemałem w trzcinach, obserwowany czasami przez lisa. Albo szedłem do sąsiada, którego dom już był gotowy. Pan Hlibic wymógł na partii przydział kawałka ziemi w samym środku kolonii Małe Rohrbach: „*Este bine!* Dobrze jest mieć Sasów za sąsiadów. Nie okradną cię i zawsze pomogą, w dobrym czy złym”. Kiedy pęcherze na moich dłoniach popękały, do pracy chodził za mnie Uwe, jeśli akurat miał nocną zmianę. Dyżurował w rozdzielni elektrowni kombinatu chemicznego. A że urządzenia działały automatycznie, mógł sobie spokojnie pospać. Na polecenie majstra musiał tylko co rano trzepać dywany.

Wszystko kręciło się wokół mnie. Ojciec dzięki bardzo ważnym znajomościom zdobył trochę mięsa, nawet cielęciny. Matka gotowała buliony i sycące tradycyjne potrawy. Wieczorem rodzina zbierała się wokół mnie, zgodnie z obietnicą, otaczała mnie miłością, kiedy stałem w ogromnej miednicy na środku kuchni. Okna były wstydliwie przysłonięte. Wszyscy mnie szorowali. Moje ciało było usiane białymi plamami, nawet tam, gdzie okrywałem skórę. Białe plamy od chlapięć wapnem albo diabli wiedzą od czego. Znikały wprawdzie pod myjką i olejkami, ale natychmiast pojawiały się znowu, kiedy skóra wysychała.

Elke powiedziała, gładząc mnie swoimi niesłychanie delikatnymi palcami:

— Tak blisko ze sobą jak teraz nie byliśmy jeszcze nigdy, nawet tatuś jest z nami. To dobry znak na przyszłość. Niedługo cała nasza szóstka będzie razem, na zawsze.

— Oby Bóg cię wysłuchał — dodała matka, a ojciec do-
rzucił:

— Głowa do góry, Johannes!

Ale Bóg nie chciał słuchać, zastonił oboje uszu.

Podczas przerwy obiadowej siostra często siadywała ze mną w trzcinach nad Martwą Alutą, zapiaszczonym starorzeczem, karmiła lisa i opowiadała mi o Slavidze, wodnej nimfie bez duszy, i jej córce Alucie, dobrej wróżce rzecznej.

— Ale na Slavigę trzeba uważać. — Ta szalona nimfa musi obawiać się śmierci tak samo jak my, choć się nie starzeje. Jej mieszkaniem są wszystkie wody ziemi, ale przybyła tu z Tagu do córki Wołgi.

— Wiesz, gdzie płynie Tag?

Spojrzała na mnie z szelmowskim uśmiechem:

— Na księżycu! — I zaśmiała się: — Wydaje mi się, że w Maroku. Czy zwróciłeś uwagę, że u nas topią się przeważnie mężczyźni i chłopcy?

— Kobiety lepiej pływają — próbowałem zgadywać.

— Nie, tu chodzi o co innego. Slaviga stałaby się człowiekiem, gdyby ożenił się z nią jakiś mężczyzna. Niestety, mężczyźni są tak oczarowani jej urodą, że na jej widok umierają z zachwyty, zwłaszcza gdy wodna pani ich dotknie. — Czasami mści się na młodych dziewczynach. I dalej ma nadzieję. Nie potrafi wyjść z zakłętego kręgu, można powiedzieć. Budzi współczucie i strach. A więc jeśli ktoś chce mieć piękną śmierć, powinien zaczekać na ten moment, kiedy ona jest tutaj. To jednak wiadomo dopiero wtedy, gdy utonie jakiś mężczyzna albo chłopiec. Fatalnie!

Było popołudnie. Dym z cegielni smolił słońce. Dom Hlibica był prawie gotowy, można było zawieszać wiechę. Ciężko obładowani wspięliśmy się z kolegą Trandafirem na rusztowania. Do placu podeszło dwóch panów w garniturach i kapeluszach. Wyglądali dziwnie i obco pod czarnym słońcem,

w krajobrazie zeszpeconym budowlami i fabrykami. Kurz na drodze zagrażał ich butom Romarta. Panowie zbliżyli się — spacerowicze, którzy zbłądzili tu z deptaka. Zatrzymali się jakby przed niewidzialną granicą, w odległości głosu. Ale nie zawołali. Tylko dyskretnie kiwnęli. Czy musiałem ich znać? Nie musiałem. Wyglądali na zbitych z tropu. Choć miejsce, w którym wróg nie miał nade mną władzy, przyszło ze mną aż tutaj, nosiło z cegłami zaczęło się trząść w moich rękach tak mocno, że Trandafir stracił równowagę i spadł na dół, a za nim z dudnieniem posypały się cegły. Przewrócił beczkę ze smołą, która bulgotała nad ogniskiem. Zaraz obsypało go czarnymi kropkami, które dymiąc wżerały się w ubranie i parzyły skórę. Natychmiast rzucił się głową w dół do beczki z wodą. I to wszystko z powodu dwóch panów w kapeluszach. Musiałem dać mu swoje spodnie. Dwaj spacerowicze odeszli. Rozpłynęli się w powietrzu, jak to mieli w zwyczaju, a jednak nadal byli obecni.

Wieczorem matka podała mi kopertę.

— Dwóch panów z Securitate tu było, spoceni, zakurzeni i zmęczeni. Nie zapraszałam ich do środka. — Jej wargi drżały, a oczy spoglądały na mnie w szczególny sposób.

Zamknąłem się w niebieskim pokoiku. Szczegółowe sprawozdanie o kim, o czym? O rozmowie z dyrektorem Urzędu Deratyzacji Stalinstadt, Aronem Blauem, w cukierni Dolores Ibarruri La Passionaria wtedy i wtedy. Odesłać pocztą zwrotną na prywatny adres w Stalinstadt. Dołączono dwie karki papieru. Jedną wyrzuciłem do kosza. Drugą wykorzystałem w ten sposób: podpisałem pełnym nazwiskiem i imieniem obie strony u dołu, jak tego wymagano po każdym porządnym przesłuchaniu. Na drugiej stronie napisałem formułkę przyjętą w protokołach: „Jest to prawda i tylko prawda”. Złożyłem kartkę dwa razy, wsadziłem do koperty, napisałem adres i chciałem zakleić list. Nagle oblało mnie gorąco: Boże, przecież na wolnym

miejscu nad moim nazwiskiem oni mogą wpisać cokolwiek. Przekreśliłem każdą stronę piórem na krzyż. Zastanowiłem się: mogli jeszcze wpisać, co chcieli, w puste miejsca obok krzyża. W końcu zapełniłem obie strony wielkimi kółkami, w które w najlepszym razie można było wrysować twarz księżycy. Odesłałem papier pełen białych plam.

Znienacka stanęła w drzwiach matka, powiedziała głucho:

— Czy to musi trwać dalej? Czy już nie dość narobiłeś? Pomyśl o ojcu. O nas wszystkich. O Kurcie Feliksie. — Podeszła do mnie od tyłu, położyła mi twarz na ramieniu i rozplakała się, po raz pierwszy odkąd wróciłem do domu. Potem po cichu wyszła.

Tydzień później do domu przyszedł list z Klausenburga, nadawcami byli moi dawni gospodarze. W środku znajdowała się pocztówka z Jerozolimy przedstawiająca Kopułę na Skale.

Szalom, napisane po hebrajsku, było łatwe do odczytania, choć słowa w tym biblijnym języku składały się tylko ze spółgłosek. Obok, również od prawej do lewej, odcyfrowałem: *alef, rejsz, nun*. I osobno: *bet, lamed, waw*. Pod spodem było napisane: „Czerwone rękawiczki — to nie zabawa dla dzieci”.

Pewnego wieczoru Elke, o której matka mawiała, że jest jak srebrny pierścień, który łączy naszą rodzinę, powiedziała:

— Wiem, co zrobimy. Pójdziemy nad Alutę. — Stałem nagi w miednicy, właśnie skończyłem się myć. Ale czekałem na pojawienie się fatalnych plam. — Aluta to dobra wróżka, może dużo naprawić. Miejmy nadzieję, że kapryśna Slaviga nie przebywa teraz w kraju. Nikt ostatnio nie utonął.

Sierpniowe wieczory w Siedmiogrodzie... Niebo nie jest w stanie pomieścić migotania gwiazd, które zachowują się jak szalone. Często wystrzelają poza granice nieba, a oniemiały człowiek nie ma dość życzeń, by je posłać w ślad za spadającymi gwiazdami. W pełni lata ziemia aż do następnego ranka

zachowuje ciepło dnia. Grunt pod stopami jest gorący jak piec, nawet w wodzie ciepło wije sobie gniazda. Ludzie do północy siedzą przed domami: Rumuni w piżamach i kapeluszach na głowie, Sasi w krótkich spodniach i w koszulach, Cyganie z nagimi ramionami wytatuowanymi w syreny i przebite serca. Kiedy świeci księżyc, jest tak jasno, że można czytać gazetę albo grać w warcaby lub kości, które czule grzechoczą. Jeśli księżyc nie ma na niebie, snuje się opowieści o wojnie.

— Pełnia — powiedziałem — zupełnie jak wtedy, kiedy wracaliśmy z Kaltbrunn.

— Pamiętasz, co mi wtedy obiecałeś? — zapytała Elke. Pamiętałem. Zaczęła opowiadać: — Aluta... — Inaczej niż jej przepiękna matka, Aluta swymi łagodnymi kobiecymi dłońmi daje ludziom tylko dobro: wozaków prowadzi do brodu, wyciąga dzieci z wirów, dziewczyny, które topią z nieszczęśliwej miłości, łagodną siłą wiedzie na brzeg, z ludzi i zwierząt splukuje świerzb i parchy, skłócone pary wabi do nocnej kąpieli, by je pogodzić. — Aluta zna nieszczęścia ludzi. Ile jest kropli w studni Slavigi za Lasem Myliusu, tyle będzie łez w mieście. Przed wojną podobno się przelała.

Przy tej studni jako chłopcy bawiliśmy się w Indian, potem z dziewczynkami budowaliśmy na łące szałas z patyków i liści.

— Czy studnia jeszcze tam jest?

— Jest zapieczętowana.

Następnego lata studnia miała na nowo trysnąć wodą, dawno jej tyle nie było. Całe miasto przelewało łzy.

Szliśmy na bosaka. Z przyjemnością szuraliśmy stopami w piachu na drodze. Między palcami czuliśmy ciepłe łaskotanie. Powiedziałem:

— Wybiegłaś do mnie wtedy, na bosaka, w śniegu. — Na bosaka, nawet nie zauważyła. Kiedy przechodziliśmy obok żydowskiego cmentarza, powiedziała:

— Wszyscy mają to już za sobą. Podobno na żydowskim cmentarzu są groby, w których nie ma nikogo, tak mówi mój przyjaciel. — Nie zapytałem o nic. — Tylko nazwiska nieżyjących są wyryte na kamieniach. Ich groby są w powietrzu.

— Na saskich cmentarzach też znajdziesz nazwiska kobiet i mężczyzn z dopiskiem: pochowany w obcej ziemi.

— Ziemia to nie powietrze — odparła moja siostra.

Otoczył nas nadbrzeżny las. Potem usiedliśmy nad nocną rzeką.

— Pamiętasz to lato — zapytałem — zanim mnie zabrali? Popłynęliśmy moim kajakiem aż do mostu, byliśmy w czwórkę.

— Tak, rzeczywiście. Mój kot i pies były z nami. Wszyscy ludzie nam klaskali, nawet ci w wodzie.

Rzeka lśniła w blasku księżyca. Było tak jasno, że mogliśmy się wstydzić. Siedzieliśmy z przygarbionymi plecami, obejmując ramionami kolana, i patrzyliśmy na wodę, niosącą ze sobą srebrne twarze. Puszyste ciepło otulało nasze ramiona. Nadrzeczna łąka otoczona zagajnikiem tworzyła polanę schodzącą do wody.

Moją siostrę dręczyły zagadki życia. Zamartwiała się o ludzkość i cierpiała z powodu ludzi.

— Czasami mam już tak dość życia, jakbym była bardzo stara. — Choć wszyscy mieszkańcy ziemi siedzą w jednej łodzi i od urodzenia są istotami śmiertelnymi, nie panuje wśród nich miłość i harmonia, jak między psem i kotem mojej siostrzyczki. Bezgranicznym respektem napawał ją fakt, że nasza matka nigdy w życiu nie pokłóciła się z sąsiadami, choć odkąd opuściła Budapeszt, gdzie się urodziła, przeprowadzała się dwadzieścia cztery razy, a więc co dwa lata. Z rodziną też nigdy, nawet z ciotką Maly. — To chyba dzięki temu, że nasza mamusia umie zachować równowagę pomiędzy za blisko i za

daleko. Rób dobrze, ale się nie spoufalaj, mówi. Popatrz, tylko my się dogadujemy z rodziną Bumbu.

Elke opowiedziała o śniadaniu z dziećmi sąsiadów. Siódemka małych Bumbu siedziała w naszej kuchni wokół stołu. Elke wyjęła z zawiasów drzwi na podwórko, by zrobić więcej miejsca i wpuścić słońce. Żeby nie przychodzić z pustymi rękami, dzieci przytaszczyły garnek z zupą i przyniosły garść ziaren słonecznika.

— Wyobraź sobie, że oni wszystko jedzą łyżkami. Urocze! — Kury należące do rodziny Bumbu wchodziły do środka, wskakiwały na stół, dziobały okruchy. — A teraz uważaj: każda kura wyszukała sobie dziecko i siadła mu na ramieniu. Zobaczyła to nasza kura Monika, która już od dawna zazdrośnie gdakała na progu. I co zrobiła? Zatrzepotała skrzydłami i siadła mi na głowie, wczepiła się pazurami w moje włosy i jadła mi z ręki. Aleśmy się z tego uśmiali. — I powiedziała w zamyśleniu: — Mój Boże, dzieci nie mogą sobie wybierać rodziców. Mogliśmy przecież też przyjść na świat jako Cyganie albo Żydzi.

— Możliwe. Całkiem możliwe.

— Tak właśnie wyobrażam sobie komunizm. Wszyscy siedzą razem przy ogromnym okrągłym stole i wesoło się częstują. Aż podskoczyłam z radości na lekcji, kiedy nasz nauczyciel marksizmu powiedział, że w komunizmie nie są już potrzebne pieniądze i każdy sam sobie bierze w sklepie to, czego potrzebuje. Jeśli potrzebuje pianina, może sobie wziąć. Chcę mieć maszynę do szycia, zaraz ją dostają. Jak w bajce. Co na to powiesz?

— Może.

— Mój przyjaciel twierdzi, że prawdziwy komunizm jest tylko w kibucach w Izraelu, bo tam Bóg też ma coś do powiedzenia. Ale z Bogiem tak już jest. Właściwie zna się go tylko ze słyszenia.

— Właśnie — potwierdziłem.

— Mój przyjaciel... .

— A kto to właściwie jest?

Spojrzała na mnie zmieszana:

— Nie ma na razie imienia. Dla was. — I zdradziła coś jeszcze: dał jej do czytania dzienniki Anny Frank, po rumuńsku. — Czy myślisz, że przyjdzie taki czas, że będzie można wypowiedzieć każdą myśl?

— Nie — odpowiedziałem.

— No tak, a on twierdzi, że dopiero kiedy sam Bóg własnoręcznie otrze wszystkie łzy swoją chusteczką, ustaną cierpienia i lamenty. Co o tym myślisz?

— Może.

— Miejmy nadzieję, że uda się to osiągnąć wcześniej, jeszcze tu na ziemi, że wszyscy będą dobrzy i będą się kochali.

— Może...

Pocałowała mnie w policzek:

— Znasz ten dowcip: kiedy kobieta mówi „nie”, to znaczy „może”, a jeśli mówi „może”, to znaczy „tak”? U mężczyzn jest odwrotnie: mężczyzna mówi „tak” i to znaczy „może”, a „może” znaczy „nie”.

Gdy wierzby zaczęły drżeć w podmuchu wiatru, Elke powiedziała:

— Chodź do wody, tam jest cieplej. — Złapała mnie za rękę i zjechaliśmy w dół po gliniastym brzegu, jeszcze wilgotnym od zabaw dzieci za dnia. Minęliśmy zamki z piasku, z łódeczkami z kory kotwiczącymi w portach, i brodząc w wodzie, doszliśmy na środek rzeki, która spokojnie płynęła ku dolinie. W upalne popołudnia siadywały tam w kółku stare kobiety, pozwalały się łaskotać lotnym piaskom i godzinami plotkowały pod osłoną kapeluszy z szerokim rondem czy liści łopianu.

Siostra szła pierwsza. Woda była cieplejsza niż powietrze, ciepła aż do piasku pod naszymi stopami. Jej postać krok po

kroku rozmywała się w rzecznych falach. Piaszczysta łącha zmusiła nas do wynurzenia się. Elke odwróciła się do mnie, stojąc w wodzie do kolan. Księżyc oświetlał jej sylwetkę. Wyciągnęła do mnie nadgarstki i zapytała:

— Czy widzisz, co tu jest napisane? — Podszedłem do niej, pochyliłem się, moje włosy musnęły jej skórę. Na jednej ręce odcyfrowałem moje imię, na drugiej imię brata. — Zwróciłeś uwagę, na której ręce jest twoje imię?

Na lewej. Zanim zdążyłem jej wytłumaczyć, o co chodzi z lewą stroną i sercem, dlaczego ksiądz najpierw odwraca się do ołtarza stroną, po której jest serce, siostra rzuciła się na mnie, całym swoim ciężarem uwiesiła mi się na szyi, splatając ręce na karku, i przewróciła mnie. Lustro wody pękło na pół. Dysząc, poturlaliśmy się do środka rzeki, zanurkowaliśmy i wynurzyli się, wypływając wodę. Położyłem się na falach, pozwoliłem, by prąd niośł mnie na powierzchnię.

Płynąc dalej w dół rzeki, zbliżaliśmy się do ujścia potoku z rzeźni. Ciągłe czułem na skórze niesamowite dotknięcia rąk rzecznej wróżki, która gładziła moją skórę. Pilnowałem, żeby przynajmniej czubkami palców trzymać się siostry.

Odcinek od mostu do ujścia strumienia był długi. Rzeka płynęła przed siebie ze spokojnym pomrukiem. Księżyc odpoczywał na czubku wierzby, nie ruszał się z miejsca.

Ze strachu schwyciliśmy się nawzajem jak tonący. Na obniżeniu nurt nagle przyspieszył. Elke ostrzegła:

— Tylko nie tam! Tam jest ten okropny strumień pełen brudów i odpadków z rzeźni. Fuj, obrzydlistwo!

Wciągnęło nas w płataninę skór i wnętrzności. Nasze stopy opływała zimna woda z górskiego strumienia, a ogromne bydlęce flaki krępowały nasze ręce i nogi. Potrącały nas napęczniałe żołądki świń i owiec. Skłębione jelita wciągały mnie w głębię. Opadałem na dno. Wprawdzie ostatnio nie słyszało

się, żeby jakiś mężczyzna utonął, ale ja to czułem: ona tu jest. Elke też to wiedziała.

Chwyciła mnie za przegub, aż zabolało. Odbiliśmy się od oślizłego, grząskiego dna i walcząc z falami, płynęliśmy do brzegu, siostra na przedzie. Prąd był silny, rozbijał się o jej pierś i tworzył falę o dwóch skrzydłach. Po chwili dogoniłem Elke i oboje płynęliśmy ramię w ramię, trzymając się za ręce. Nagle woda zrobiła się głębsza, sięgała nam szyi. Siostra zawołała:

— Dalej! Zaraz się wydostaniemy! — Wreszcie zobaczyłem, że jej ciało wynurza się z wody, zaśniły szyja i ramiona, piersi oderwały się od powierzchni, potem wyłonił się brzuch wśród kaskady kropel. Byliśmy uratowani. — Wstrętne są te flaki pod nogami! — Ale gdy tylko wyszliśmy na brzeg, lepkie sploty podziały się gdzieś i uwolniły nasze ciała. Nasze oddechy były przyspieszone. Otrząsnęliśmy się z wody. Elke zawołała: — Ta zła kobieta nas nie złapała! Czułeś dłonie Aluty?

— Tak.

Spojrzała na mnie i uśmiechnęła się zagadkowo.

— Będziemy długo żyć, ty i ja, teraz to wiem.

Leżałem wyciągnięty, zwrócony twarzą ku niebu, na skórze czułem ciepło ziemi i łaskotanie traw. Czułem też zmysłowy przepływ czasu, pochodzącego z wnętrza wszystkich rzeczy, a może z serca Boga.

Siostra odrzuciła głowę do tyłu.

— Ile gwiazd spada z nieba, jak wodospad. Człowiek nawet nie ma tylu życzeń. Zauważyłeś? — Zauważyłem. Poderwała mnie z ziemi. — Wstawaj, jak mówi lis do dzika, słyszysz, myśliwska gra muzyka!

Szliśmy ścieżką wzdłuż brzegu, prowadzącą przez wierzbowe zarośla i krzaki jeżyn. Siostra lekko przemykała się w tym gąszczu, uchylała się, odwracała głowę, przypadała do ziemi, pokrzykując z radości, jakby brała udział w jakichś zawodach,

ja zaś na oślep rzucałem się w przód, nie zważając na drapiące gałęzie i liście. Jeszcze raz wskoczyłem do wody i zanurzyłem się w nocnej rzece.

Na nadbrzeżnej łące powietrze było łagodne. Elke wyjęła ręcznik i zaczęła mnie wycierać.

— Masz pełno zadrapań i szram, na piersiach i brzuchu, aż do kolan. — Z troską pogładziła moją skórę: — Ty ośle jeden.

Zarzuciła mi ramiona na szyję. Nocny wiatr osuszył jej ciało. Byliśmy prawie równego wzrostu. Dotykaliśmy się twarzami. Mogłem ją łatwo pocałować w czoło, w oczy. Nocna rzeka była cicha. Czas się zapomniał.

Po chwili siostra oderwała się ode mnie. Obeszła mnie dookoła, obejrzała dokładnie i powiedziała:

— Nie do wiary. Znowu pojawiły się te białe plamy. — Obracała mnie na wszystkie strony w świetle księżycy. — Będziesz miał te plamy już do końca życia. To zabawne. — I schyliła się po swoje ubranie. — Ubierajmy się, mama czeka. Już czas.